

JACEK PIEKARA



fabryka słów

WYDAWNICTWO
otwarte

OP
SZUBIENICZNIK

JACEK PIEKARA

S
SZUBIENICZNIK

WYDAWNICTWO
otwarte

KRAKÓW 2013

Prolog

Szlachcic spojrział na mężczyznę leżącego w kałuży krwi. Zobaczył, że ten otwiera oczy, i przyklęknął przy nim.

– Cóż to, panie bracie, nie spodziewałeś się mnie ujrzeć, czyż nie? – zagadnął łagodnie.

– Diabła bym się... prędeej... – Ranny z trudem poruszał ustami, każde wypowiedane słowo sprawiało mu ból.

– Diabła... – powtórzył szlachcic, uśmiechnął się i wyjął zza cholewy sztylet o ostrzu wąskim niczym liść akacji. – Do diabła to ja cię pošlę, panie bracie – obiecał ze słodyczą w głosie – ale nieprędko trafisz do piekła, wierz mi, nieprędko. Dopiero gdy uznasz, że *mors tibi munus erit*¹, i wyjawisz wszystko, co pragnę wiedzieć. A kiedy już zanurzysz się w diabelskich kotłach, to z westchnieniem ulgi, że *mors clementer*² nareszcie wyrwała cię z moich rąk.

– Waść... waść mi daruj... – wyszeptał leżący, a oprawca, słysząc tę prośbę, zacisnął usta. – Waść mi daruj... te popisy wymowy, bo Demostenesem nigdy nie zostaniesz... – Odetchnął z wysiłkiem, a na usta wystąpiła mu krew. – Lepiej zabierz się do roboty... Może wtedy przestaniesz mleć ozorem.

Szlachcic parsknął wściekle, zamachnął się, lecz w ostatniej chwili powstrzymał uderzenie i tylko stuknął pięścią w klepisko obok głowy swej ofiary. Ze złością zerwał się na równe nogi.

– Bywajcie no! – zawołał.

Spojrział na człowieka leżącego na pokrytym zaschniętą gnojowicą klepisku, człowieka, który był tak słaby, że nie mógł nawet odsunąć głowy od czubka jego buta, i wykrzywił wargi w pełnym złośliwej satysfakcji uśmiechu.

– Czas rozgrzać narzędzia, panie bracie – obwieścił. – Zabawimy się... Powiadam ci, przednio się zabawimy! A ponieważ uważam, iż *at vindicta bonum vita iucundius ipsa*³ – spojrział z namysłem na rannego – to nawet wolałbym, żebyś nie od razu zaczął mówić...

1 *Mors tibi munus erit* (łac.) – śmierć będzie dla ciebie dobrodziejstwem.

2 *Mors clementer* (łac.) – śmierć łaskawie.

3 *At vindicta bonum vita iucundius ipsa* (łac.) – zemsta dobrem powabniejszym niżli samo życie.

ROZDZIAŁ 1

Podstarości Jacek Zaremba

– Pan Jacek Zaremba! – wydarł się na cały głos chudzielec w poszarpanym mundurze dragona i przymałym trikornie nasadzonym na czubek głowy. Dziwny człowieczek pobiegł w stronę bramy, siłował się chwilę z jednym z jej skrzydeł i znów zawołał, jeszcze głośniejszym i jeszcze radośniejszym głosem: – Pan starosta Zaremba!

Jacek Zaremba, którego nawoływano tak donośnie, obrzucił krzykacza wzrokiem raczej zaciekawionym niż surowym, gdyż w głosie mężczyzny pobrzmiwała niekłamana radość, a pan Jacek w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, gdzie podobnie oryginalną postać mógł przedtem widzieć. Chudy człowieczek, jak już powiedziano, nosił mundur dragona, a do tego przymały, trójskrzydły kapelusz, w którym może i wyglądałby zawadiacko, gdyby nie to, że jedno skrzydło kapelusza było ścięte do równej linii. Baczemu spojrzeniu Zaremby nie umknął jednak fakt, iż mężczyzna miał na palcu okazały złoty herbowy sygnet, a przy wysokich butach złote zapinki tej wielkości i tej urody, że można by za nie kupić niewielką wioskę. Ale już pochwa szabli nieznajomego była szara i zdarta, a wystająca z niej rękojeść pozbawiona jakichkolwiek zdobień.

Podstarości dobrze wiedział, iż w Rzeczpospolitej nie należy zwracać uwagi na pozory. Tu człowiek, za którego na pierwszy rzut oka nie dałbyś złamanego grosza, okazywał się księciem krwi, co to taki miał humor, by chadzać w mundurze prostego żołnierza. A też zdarzało się, że szlachcic wyzłocony, wysobolowany, wyczaplony i wyaksamitowany okazywał się, jak mu się bliżej przyjrzeć, utracjuszem zadłużonym po uszy u Żydów i Ormian. Oczywiście, najczęściej księżę wyglądał jak księżę, a żebrak jak żebrak, lecz ludzie miewali przeróżne kaprysy i pan Jacek wiedział, że lepiej i bezpieczniej było kogoś docenić, niż nie docenić, przewartościować, niż nie dowartościować, raczej komuś słodzić, niż go kwasić.

Zaremba ściągnął wodze i zeskoczył z konia.

– Witam waszmość pana – powiedział grzecznie, gdyż szeroko uśmiechnięty szlachcic najwyraźniej chciał się przysłużyć, ile tylko mógł,

otwierając przed nim bramę dworu. – Szczęśliwy byłbym, gdybyś waszmość raczył mi przypomnieć, gdzie i kiedy mieliśmy okazję się spotkać.

Chudy mężczyzna aż zamarł i spojrzał na pana Jacka z wyraźnym rozżaleniem.

– Waść mnie nie poznajesz? – zapytał żalonym tonem. – Przecież waszmość pan jesteś dla mnie jak brat, co wieczór w modlitwach czule wspomniany...

Zaremba przyjrzał się uważnie swemu rozmówcy, ale mógłby przysiąc, że nigdy wcześniej go nie spotkał. Bo czyż nie zapamiętałby tego nosa niczym dziób krogulca, drapieźnie wyciągniętej szczęki i śladów po ospie, które sprawiały, że lewy policzek szlachcica wyglądał niczym plac maneżowy zryty końskimi kopytami? Mógł podejrzewać, że nieznajomy kpi sobie z niego albo szwankuje na umyśle. Małoż to spotykało się ludzi, przed których oczami wyobraźnia malowała niestworzone obrazy? Pan Jacek był człowiekiem bywałym i nie takie rzeczy widział, zwłaszcza że na wojnach, w których brał udział, natykał się na ludzi, ze strachu, z rozpacz czy z bólu tracących zmysły. Na Węgrzech i w Mołdawii Zaremba nie raz i nie dwa spotkał przypominające widma postaci snujące się po spalonych wsiach i miastach oraz polach dawnych bitew. Słyszał matki wzywające umarłe dzieci i mężczyzn zwołujących przyjaciół, którzy dawno już gnili w ziemi. Ale kto wie, czy najbardziej prawdopodobne nie było przypuszczenie, że nieznajomy tak bardzo lubił folgować trunkowym upodobaniom, iż później znajomi mylili mu się z nieznajomymi i na odwrót. Oczywiście pan Jacek nie zamierzał zdradzać obcemu swych podejrzeń, słusznie mniemając, że mogłyby być wzięte ze wielką obrazę i z człowieka przyjaźnie nastawionego uczynić zawziętego wroga. Tak to już bowiem bywało w szlacheckim narodzie – a podstarości jako obrońca prawa był tego świadom jak nikt inny – że od serdecznej życzliwości aż nazbyt łatwo przychodziło do zawziętej wrogości, a przyjaźń zamieniała się w nienawiść równie szybko, jak dłoń chwytająca za szablę. Gwoli sprawiedliwości przyznać też trzeba, że zapał i gniew często rozplływały się w podlanej trunkami serdeczności, krew mieszała się z winem, a łzy szczerzego i głośno wyznawanego afektu były finałem niejednego pojedynku. Bo też polskiej szlachcie, choć bić się lubiła i biła z fantazją, obce było wyrachowane mordowanie na francuską czy włoską modę, gdzie dwaj ludzie, zimni i trzeźwi, stawali naprzeciw siebie z myślą, że jeden

drugiemu życie odbierze. Na pojedynki we francuskim stylu w Rzeczypospolitej patrzono niechętnie, a tych, którzy brali w nich udział, raczej potępiano, niż chwalono. A już żeby kto walczył jak w Hiszpanii, ze szpadą w jednej ręce, a sztyletem w drugiej, to nawet mowy być nie mogło.

– Wybacz waćpan i nie bierz sobie do serca mej amnezji, gdyż w sławetnej bitwie pod Parkanami, w czasie której miałem zaszczyt służyć w chorągwi husarskiej – pan Jacek dumnym gestem podkręcił wąsa – Turczyni okrutnie mnie posiekli i od tego czasu zdarza się, iż nie pomnę twarzy dawnych znajomych.

– Ach, gdzieżbym się ośmielił, panie starosto, wybaczając czy nie wybaczając, bo kimże jestem, by moim wybaczeniem lub niewybaczeniem kłopotać znaczne persony? Choć przyznam, że sam mogę łącno powtórzyć za Cynceronem: *memini etiam quae nolo, oblivisci non possum quae volo*⁴...

Zaremba nie zdołał odpowiedzieć, a jego rozmówca – nie czekając nawet na tę odpowiedź – rozpromienił się i złożył dłonie jak do modlitwy.

– Parkany! – zakrzyknął w zachwycie i spojrzał w niebo, jakby chciał dostrzec pod chmurami owo słynne pole bitwy. – Gdy spotkam któregoś z bohaterów, co uczestniczyli w tej *pugna letalis*⁵, pokornie ich upraszam, by opowiedzieli mi o niej. Więc zapowiadam, że i waszmość pana podobna *difficultas*⁶ z mej strony nie ominie, bom strasznie ciekaw z kolejnych ust usłyszeć, jakże toczyła się ta batalia godna najznamienitszych rzymskich wodzów, w której *uno impetu*⁷ tak wielkie mocarstwo rzucono na kolana.

– Tuś waćpan utrafił, mówiąc: „godna rzymskich wodzów” – pan Jacek poważnie skinął głową – gdyż jedynie w historii Rzymu można szukać podobnej do naszej wiktorii, gdzie ogromną wrogą armię doszczętnie zmieciono z pola bitwy, tracąc zaledwie kilkunastu ludzi. Sam Juliusz Cezar od naszego króla Jana mógłby się uczyć taktyki. Lecz pozwól wpierw waszmość – Zaremba przymrużył oczy – że spytam cię o godność, jeszcze raz prosząc o wybaczenie, że twego nazwiska i twej twarzy nie pamiętam.

– Panie starosto kochany, a cóż tu, *venia sit*⁸, wybaczając!? – Szlachcic zasłonił się tak, jakby Zaremba chciał go bić. – Powtórzę raz jeszcze: kimże jestem, by wybaczając coś lub nie wybaczając bohaterowi, któremu *militaris virtus*⁹ pozwoliła wraz z królem Janem, *fama eius semper vivat*¹⁰, gromić Turczyńna na obczyźnie? I zaraz się waćpanowi akuratnie przedstawię. Jestem do usług waszmości. – Zdjął kapelusz i skłonił się głęboko. – Gideon Rokicki, herbu Lubicz, przez zacnych obywateli rodzimego

powiatu zaszczycony wyborem na podsędką lipnowskiego. – Ostatnie słowa wypowiedział z taką dumą, jakby okoliczna szlachta wybrała go nie podsędkiem lipnowskim, ale co najmniej wojewodą inowrocławskim.

Jackowi Zarembie nadal nic to nie mówiło, lecz zdjął rękawicę do konnej jazdy i uściśnął wyciągniętą przyjaźnie rękę szlachcica. Ten potrząsnął oburącz dłonią pana Jacka z tak wniebowziętym wyrazem twarzy, jakby właśnie od samego papieża dostał szczególnie drogocenną relikwię.

– A gdzie się podział gospodarz? A gdzie reszta kompanii? – zagadnął pan Jacek i niecierpliwym gestem dał znak swym rękodajnym, by wjeżdżali na podwórko.

Służących tych było dwóch, a tak różnych od siebie, jak tylko różnić się może dwóch ludzi. Pierwszy był to olbrzym o obliczu zarośniętym czarną skołtunioną brodą i o brwiach nastroszonych niczym krzaki jałowca. Broda nie mogła jednak przesłonić strasznej kontuzji, jakiej ślady widniały na twarzy mężczyzny. Nie miał on lewego oka, w jego miejsce jedynie zrośniętą, zrogowaciałą skórę, dokoła której czerwieniła się plama zastarzałej oparzeliny. Nie trzeba było szczególnego rozumu, by odgadnąć, że człękowi temu wypalono lewe oko. Może był to ślad po wybuchu szrapnela, może po strzale z pistoletu lub muszkietu, a może po prostu ktoś torturował go lub ukarał w okrutny sposób. Olbrzym twarz miał ponurą, lecz spojrzenie uważne i dyskretne. Już stojąc przy bramie, zdołał zbadać wzrokiem i Gideona Rokickiego, i całe podwórze, i budynki, i ludzi kręcących się po dziedzińcu. Tak jakby spodziewał się napaści i wołał się upewnić, z której strony nadejdzie atak. Drugim sługą Jacka Zaremby był młodzieniec dopiero co wyrosły z lat dzieciennych, tak że jasny zarost ledwo puszczał mu się po brodzie i pod nosem. Niewysoki i szczupły, twarz miał miłą i pogodną. Kiedy pan Jacek rozmawiał z nowo poznanym szlachcicem, chłopak głaskał po grzywie swojego konia, nachylał się do niego i coś mu szeptał w ucho.

– Wszyscy śpią, panie starosto kochany. Tak się wczoraj popili, że śpią niczym niemowlęta. – Gideon Rokicki zmarszczył brwi. – A lepiej powiedzieć jak trupy. – Zaśmiał się ochryple. – Ani nie zapłaczą przez sen, ani nie jękną, ani się nie przekręcą na bok, jak to *in infantia*⁴¹ bywa.

Jacek Zaremba nie był człowiekiem przesadnym, lecz przeżegnał się szybko, gdyż to przyrównanie śpiących towarzyszy do trupów wydało mu się i niestosowne, i nieśmieszne, i źle wróżące na przyszłość.

– Waćpan takich rzeczy nie powiadaj! – skarcił Rokickiego ostrym tonem.

Pan Gideon przygarbił ramiona.

– Ależ panie starosto, ja mogę sobie pleść, co ślina na język przyniesie, a przecież i tak wszystko w rękach Pana Boga wszechmogącego, który na moje *difficiles nugae*¹² na pewno nie zwraca uwagi i sprawiedliwym ludziom nie da uczynić krzywdy.

Szlachcic wypowiedział to zdanie uczciwie, prostodusznie i szczerze, lecz Zarembie wydawało się, jakby w głosie Rokickiego pobrzmiwały dziwna złośliwość, szyderstwo, a nawet... groźba. Spojrzał uważnie w oczy przybysza, lecz ten odpowiedział szczerym, niewinnym wejrzeniem.

– Wybacz waść, jeśli cię uraził – rzekł chudy szlachcic pokornie i kapeluszem z obciętym rondem wywinął jakiegoś dziwnaczego młyńca.

– Nie uraziłeś mnie waść, jeno nauczonym, by licha nie kusić. Czyż nie mówi Pismo, że „Zły krąży wokół nas jako lew ryczący”?

– Panie starosto, a kimże ja jestem, by *diabolus*¹³ we własnej osobie zwracał uwagę na to, co ja mamroczę pod nosem i co tam sobie *iocandi causa*¹⁴ gadam? Czyż mało szatani mają do roboty na świecie, by spoglądać, co wyczynia Rokicki, podsędek lipnowski?

– Waść zamiarów diabła nie staraj się ani zrozumieć, ani przewidzieć – powiedział jeszcze ostrzej pan Jacek – gdyż łącno możesz popaść w herezję, w grzech pychy lub trafić w piekielne sidła.

Gideon Rokicki podniósł głowę. Oczy zabłyśły mu gniewem.

– Aż dziw bierze, słuchając waści słów, że waszmość pan, panie starosto, na księdza się nie uczyłeś – wysyczał – bo może kropidło lub *turibulum*¹⁵ bardziej niż szabla by ci przypasowały?

Zaremba aż pobladł z pasji, słysząc te słowa. Po pokornym do tej pory szlachcicu nie spodziewał się podobnego responsu, wygłoszonego w dodatku takim tonem, jakby Rokicki zwracał się do byle parobka, a nie do towarzysza chorągwi husarskiej i podstarościego.

– Waść o tym, czy moja ręka pasuje do szabli, łatwo możesz się przekonać, jeśli tylko zechcesz – rzekł lodowatym tonem, powstrzymując złość, która już wzbierała w nim niczym rozpędzająca się sztormowa fala.

– Chociaż *fortuna tibi favet*¹⁶, panie starosto, to nie kuś jej za bardzo – rzekł złym głosem Rokicki. – Ja nie jestem twoim wrogiem, ale wiedz, że

pluć mi w twarz próbowali lepsi od ciebie. I wszyscy oni teraz diabłom w piekle swoje żale na mnie wyśpiewują.

Jacek Zaremba nie był człowiekiem skłonny do gwałtu, nad porywczosć przedkładał ostrożność i sądził, że szabla powinna być ostatnim argumentem w dyskusji, a nie jednym z pierwszych. Panami braćmi tłukącymi się w pijanym widzie po dymiących łbach szablami czy – co gorsza – czekanami głęboko pogardał, bo też niejednego takiego gwałtownika ścigał i sprowadził przed sąd, kiedy pełnił urzędowe obowiązki w rodzimym powiecie. Ale na globie całym nie było człowieka, który mógłby się pochwalić, iż panu Jackowi bezkarnie groził czy pięścią mu przed nosem potrzasał. A przecież Zaremba miał w życiu do czynienia z niejednym zawalidrogą, raptusem czy piniaczem, których musiał uczyć szacunku dla starościńskiej władzy. Czasem stawał przeciw wrogom dwakroć lub trzykroć przeważającym liczebnie nad nim i jego sługami, czasem przeciw ludziom, których ręka była tak prędką, jak umysł powolny, a czasem przeciwko konfidentom wielkich panów czującym się bezkarnie, gdyż otoczeni byli opieką magnata. I nikt nigdy nie mógłby powiedzieć, że podstarości Jacek Zaremba ustąpił mu pola ze strachu albo dla niskiej korzyści. Dlatego teraz też nie zamierzał darować obrazy. Ale zanim zdążył cokolwiek przedsięwziąć, usłyszał, jak z wielkim hukiem grzmotnęły drzwi bocznego skrzydła dworu. Ze środka wytoczył się gospodarz i właściciel posiadłości imię Hieronim Ligęza, starzec godnego rodu, piastujący zaszczytny urząd stolnika. Ligęza był w samych tylko hajdawerach, zresztą – jak spostrzegł pan Jacek – założonych na lewą stronę. W skołtunionie siwe włosy miał wplecioną różową wstążeczkę, jego oczy przekrwione były tak, jakby mu kto zalał źrenice czerwoną farbą, a policzki napuchnięte, jakby wpadł niedawno pomiędzy ule z rojącymi się pszczołami.

– Panie Jacku kochany! – zagrzmiął Ligęza potężnym, choć mocno chrypliwym głosem. – Czekam na ciebie od tyłu już dni, przyjacielu najdroższy, tak tęskno jak Penelopa na Odysa!

Szedł w stronę Zaremby z wyciągniętymi ramionami, kolebiąc się niczym kaczka (a to dlatego, że ogromny brzuch przeszkadzał mu w zwyczajnym chodzeniu), z zębami wyszczerzonymi w uśmiechu. Porwał pana Jacka w objęcia, owionął go smrodem nie do końca strawionych trunków i skwaśniałego potu. Zaremba pokornie dał się uściskać i w zamian również uścisnął czule gospodarza, gdyż znał go od dawna i szanował jako wielkiego wojownika – Ligęza jeszcze z ojcem pana Jacka gromił Kozaków

pod Beresteczkiem i z pułkami Czarnieckiego ratował Duńczyków przed szwedzką opresją. Wprawdzie teraz Ligęza nie przypominał Hektora czy Achillesa, raczej radosnego Priapa, ale przecież żołnierskie lata miał już dawno za sobą i mógł spokojnie gospodarzyć czy mniej spokojnie oddawać się zabawom z przyjaciółmi oraz krewniakami. Pan Hieronim kochał bowiem polowania, jazdę konną i głośno grających muzykantów i mimo wieku oraz dostojęstwa lubił przygruchać sobie na nockę jakąś krzepką dziewczuchę i pofiglować z nią w łóżku, na sianie czy nawet w trawie. Wszystkie te igraszki zwykł umilać sobie strumieniami najlepszych win, a ponieważ był człowiekiem wielce majątnym, to węgry z jego piwnic prawdziwie pochodził z Węgier, alikant zrodzony był w Hiszpanii, a małmazja w Grecji, a nie w jakiejś żydowskiej rozlewni pod Krakowem, gdzie ucziwy trunek mieszano ze zwyczajnym sikaczem oraz wodą.

– Pan Jacek Zaremba! Pan Jacek Zaremba! – powtórzył dwakroć Ligęza, za każdym razem z ukontentowaniem potrząsając głową gościa. – Ileż to już minęło czasu, drogi chłopcze?

– Trzy lata, proszę waszmości. W zimie będą trzy lata.

– Ano tak. Trzy lata. Jakżeż ten czas pędzi. Ani się człowiek obejrzy, już stolarz będzie z niego brał miarę.

– Waćpan uścisk masz iście niedźwiedzi. Tobie nie trumnę przymierzać, ale zbroję!

Ligęza roześmiał się, najwidoczniej zadowolony z pochwały, zwłaszcza iż zabrzmiała szczerze, bo Zaremba poczuł się w objęciach gospodarza niczym w stalowym splocie łańcuchów.

– Zostało jeszcze trochę dawnej krzepy, panie Jacku kochany, czyż nie? Ale ja już się nawojowałem. Zaszczyt służenia Rzeczypospolitej pozostawiam młodszym. Takim jak ty zuchom! – Pan Hieronim tak był zadowolony z odwiedzin Zaremby, że aż uszczypnął go w policzek.

Podstarości znosił te karesy cierpliwie, bo wiedział, że wynikają one z prawdziwej, nieudawanej życzliwości i dlatego że w stolniku widział niemal ojca (i to takiego, jakim by się chciało, aby ojciec był). Nie zamierzał oponować przeciw serdecznościom, choć komuś patrzącemu z boku mogłyby się one wydać despektem, lecz jemu zdawały się, i słusznie!, jedynie oznaką radości, jaką znajdujący się u kresu życia starzec czuje, widząc młodzieńców, którzy godnie go zastąpią na publicznej niwie.

– No to już ostaniesz z nami do wiosny, panie Jacku – zawyrokował Ligęza. – Nie może być inaczej, do wiosny.

Zaremba spojrział na dwie stare lipy, które rosły przy bramie, tak jakby chciał się upewnić, że oczy go nie mylą i widzi, co widzi. A widział, że na gałęziach wiekowych drzew liście zaledwie zdołały się zażółcić niczym papier, którym zamachano nad płomieniem świecy. Bo nadeszła dopiero ta pora roku, kiedy upalne lato skłania słoneczną głowę przed gospodarną jesienią. A co myśleć o przyszłej wiosnie! No ale pan Jacek wiedział dobrze, że Hieronim Ligęza nie lubi spędzać czasu w skąpej samotności, gdyż przedkłada nad nią hojną gościnność.

– Chwat to jest wielki, powiadam waćpanu. – Stolnik odwrócił się tymczasem w stronę Rokickiego, dłoń cały czas trzymając na ramieniu młodego szlachcica. – Potrafi pić przez trzy dni i nawet we łbie mu się nie zakręci, z pięćdziesięciu kroków strzałem z pistoletu umie świecę zgasić. A kiedy ujrzysz go waćpan przy szabli, to uznasz, że furda jego strzelanie i picie... Taki to mistrz!

– Waćpan jesteś dla mnie zbyt łaskaw. – Zaremba poczuł, że zapiekły go policzki, zwłaszcza że Gideon Rokicki przyglądał mu się uważnie, na pozór pełen respektu, lecz pan Jacek przysięgłby, że w jego oczach zamigotała złośliwość. Ale może tylko przemawiała przez niego niechęć, której zdążył już nabrać do dziwnego szlachcica.

– Zaszczyt to wielki spotkać męża obdarzonego tak wieloma talentami. I tym bardziej się cieszę, że przybyłeś, by wszystko mi objaśnić, kochany panie stolniku, bo wyobraź sobie, że zanim się pojawiłeś, pan starosta Zaremba...

– Pan starosta? – Ligęza obrócił pytające spojrzenie na Zarembę. – Czyżbym o czymś nie wiedział, panie Jacku?

– Nie, proszę waszmości. – Zaremba zagryzł usta. – Pan Rokicki raczył mnie nazywać starostą, choć Bóg mi świadkiem, że sam nigdy tak się nie nazywałem, gdyż, jak wiesz, pełniłem zaledwie obowiązki podstarościego łęczyckiego, które starosta Stanisław Wierzbowski powierzył mi w dobroci serca i ufając moim siłom.

– Phi – prychnął Rokicki – przecież, *ut loquitur vulgus*¹⁷, starosta w naszej Rzeczypospolitej to jeno urząd honorowy, a prawdziwa władza spoczywa w ręku podstarościego, bez którego *vis legis*¹⁸ na pewno by osłabła. Toteż i pana Zarembę pozwalałem sobie nazywać starostą, może niezgodnie ze stanem prawnym, lecz nie odmówicie waćpanowie, że zgodnie ze stanem faktycznym...

Ligęza machnął ręką.

– Dajże waść pokój z samego rana... Co tu nam rozprawiać o tym, kto co robi, a kto nie robi... A gdzieżeśmy to w ogóle byli? – Gospodarz zapatrzył się na pana Rokickiego. – Cóżes waść mówił, kiedyś tak niespodziewanie urwał w pół zdania?

Jacek Zaremba zauważył oczywiście, iż Rokicki był na tyle uprzejmy, by nie prostować, że to nie on przerwał, lecz jemu przerwano. Ukłonił się tylko grzecznie.

– Wybacz waszmość – rzekł gładko – wspominałem jedynie, że cieszę się, iż pojawiłeś się między nami, gdyż pan starosta Zaremba w następnych słowach miał zażądać ode mnie, *horresco referens*¹⁹, satysfakcji. I tylko twe przybycie uchroniło mnie przed skrzyżowaniem ostrza z tym zuchem. – Gideon Rokicki uśmiechnął się szeroko. – No chyba że waćpan nadal rankor do mnie żywisz – zwrócił się w stronę Zaremby – wtedy cóż mi pozostanie, jak...

– O tym nawet mowy być nie może – przerwał stanowczo Ligęza. – Pod swoim dachem żadnych awantur, zwad i pojedynków nie zniosę. A kto się spróbuje nie zgodzić, temu Pan Boćkowski do rozumu przemówi, a potem moi słudzy na łeb, na szyję z domu mego go wyświecą!

– Ja nigdy uchybić waści w niczym nie zamierzałem i nigdy na podobne zachowanie bym się nie ośmielił – powiedział zmieszany Zaremba.

– Pamiętajcie, że na ziemi Ligęzy Ligęza jest król i Ligęza jest prymas. Który mój gość w moim towarzystwie wyjmie szablę z pochwy, by poszczerbić drugiego, tego każę oćwiczyć i precz z mojej ziemi przegnać. Macie ochotę na bitkę, przeczekajcie tedy jeden dzień, by pierwsza złość wywietrzała z głowy. A jak tak się zdarzy, że nie wywietrzeje, jedźcie bić się do lasu, bo ja krwi pod moim dachem rozlewać nie pozwolę!

Gideon Rokicki uniósł dłonie obronnym gestem.

– Ja, panie stolniku, uczynię, co zechcesz, i *de facto*²⁰ nijakiej zwady nie szukam. Ale jak pan starosta będzie nalegał, bym się z nim do lasu wybrał, pewnie po dobrej woli pójdę, nie czekając, aż mnie *iure caduco*²¹ na arkanie zawlecze...

Ligęza spojrział surowym wzrokiem na Zarembę.

– A ty, panie Jacku, co powiesz?

– Ja, proszę waszmości, z panem Rokickim kłócić się nie zamierzałem, jeno...

– Jeno! Ale! Aczkolwiek! – przerwał mu ostro Ligęza. – My zawsze tacy jesteśmy. Zawsze tylko wykręty, każące tłumaczyć, czemu krew braterska się poląła. Szkoda, że rozumu szlachta nasza nie ma tak prędkiego jak ręki. Szkoda, że szablę woli na współobywateli wyciągać, zamiast na ościennych wrogach ostrze hartować, jak Pan Bóg przykazał.

– No jużże wybacz nam, waszmość panie, dobrodzieju i gospodarzu. – Rokicki złożył dłonie i zapatrzył się na Ligęzę niczym w święty obrazek. – Pan starosta gorączka, a mnie też krew potrafi w żyłach zawrzeć i *ab irato*²² byle co powiem. Wybacz nam, a ja chętnie się z panem starostą uściskam. I ze szczerego serca, *ex animo*²³, nie z musu, bo przecież to mój *amicus verus*²⁴, któremu wiele dobrodziejstw zawdzięczam, chociaż on mnie wcale nie pamięta...

– No to już! – klasnął Ligęza. – Uściśnijcie się serdecznie i zapomnijcie o urazach, a potem... potem wreszcie się napijemy. – Zatarł dłonie i zerknął w niebo. – Słoneczko już wysoko, a mnie w gębie tak pali, jakbym siarkę wczoraj pił, nie węgrzyna. Uuuch! – Otrząsnął się z obrzydzeniem. – Muszę ten smak szybko spłukać. – Spojrzał na towarzyszy, a ponieważ dostrzegł, że nadal stoją nieruchomo i żaden nie kwapi się, by uczynić pierwszy krok, dodał znacznie ostrzejszym tonem: – Waćpanowie, żwawo! Podajcie sobie ręce, uściśnijcie się...

Pan Jacek burknął coś pod nosem, ale prośbie, a lepiej powiedzieć: rozkazowi gospodarza, nie śmiał się sprzeciwić, postąpił więc krok, wyciągając dłoń w stronę Rokickiego.

– Już niech będzie, jak pan Ligęza chce – powiedział pojednawczo. – Ja do waćpana nijakiej urazy nie mam, jeno z łaski swojej nie posyłam mnie w przyszłości do księży na nauki.

Rokicki nie poprzestał na wyciągnięciu ręki, lecz żywo doskoczył do Zaremby, jego dłoń pochwycił w swoje dłonie i potrząsnął nią tak, jakby spomiędzy palców pana Jacka zamierzał wytrząsnąć złote monety, a potem rzucił się młodemu szlachcicowi na szyję i ucałował go gorąco dwakroć w lewy policzek i trzykrotnie w prawy. Zaremba dzielnie zniósł te oznaki serdeczności, nawet poklepał pana Gideona po ramieniu.

– No to napijmy się, mości panowie, skoro gospodarz prosi – powiedział, odsuwając się na krok i łapiąc oddech.

– Tak, pozwólcie waćpanowie do jadalni. Mam nadzieję, że przyszykowano nam śniadanko godne mojego podniebienia i godne mojego brzucha. – Ligęza roześmiał się tubalnie i klepnął w owłosione brzuszysko.

– Czuję, że konia z kopytami bym dzisiaj schrupał i na deser wieprzkiem zagryzł.

– Dzisiaj, dzisiaj, dzisiaj... Jakie „dzisiaj”, proszę waszmości? Zawsześ, tandem tedy, mosterdzieju, do obżarstwa gotowy, nie tylko dzisiaj – odezwał się czyjś skrzekliwy głos.

Wszyscy obrócili spojrzenia i dostrzegli wyłaniającego się zza węgła chudego mężczyznę, który jako żywo przypominał stracha na wróble, gdyż włosy miał pełne siana, a żebra zdawały się wystawać spod cienkiej skóry. Przybysz ubrany był tylko w rozchełstany lniany żupan, który ledwo zakrywał mu przyrodzenie i którego poły powiewały na wietrze niczym skrzydła szarego ptaka.

– Hajdawery zgubiłem, szablę zgubiłem, kontusz zgubiłem – poskarżył się zbolalym głosem i rozejrzał nieprzytomnym wzrokiem po podwórzu – baaa, buty nawet zgubiłem...

– Ciesz się waszmość, żeś głowy nie zgubił. – Stolnik machnął dłonią.
– Przedstawiam ci, panie Jacku, Krzysztofa Komarnickiego herbu Sas, szlachcica ziemi brzeskiej, który raczył wyświadczyć mi tę grzeczność i gościnę moją przyjąć.

Komarnicki stanął w miejscu, najpierw przyjrzał się uważnie Zarembie, potem kiwnął się w przód i w tył, wreszcie powiedział:

– Witam waszmość pana dobrodzieja. – Zamrugał szybko, po czym przetarł oczy wierzchem dłoni. – Skądś jakby waści znam, tandem tedy, mosterdzieju...

– Co prawda wielka jest nasza Rzeczpospolita, ale im człowiek znaczniejszy, tym mniejszy wydaje się świat wokół niego – stwierdził sentencjonalnie Ligęza. – Pan Zaremba to nie tylko żołnierz dzielny, ale także obrońca ładu publicznego, pochodzący z rodziny w Wielkopolsce dobrze znanej i szanowanej.

– Czołem biję waszmości – powiedział jeszcze grzeczniej Komarnicki – i pozwolę sobie jeno, tandem tedy, mosterdzieju, za wybaczeniem stolnika dobrodzieja rzec, że ojciec mój świętej pamięci był podczaszym brzeskim, gdyż jego ojciec, a mój znakomitej pamięci dziad, przez króla był mianowany podczaszym brzeskim, co w naszej rodzinie zawsze stanowiło powód do chluby.

– Dobrze, żeś waść o tym historycznym wydarzeniu przypomniął – mruknął stolnik. – A teraz idźże, panie podczaszycowiczu Komarnicki,

poszukać swych zagubionych rzeczy, odziej się i dołącz do nas. Śniadać będziemy!

– Dziewkę, coś mi waszmość zezwolił z nią pofiglować, też gdzieś zgubiłem – poskarżył się Komarnicki, albo nie rozumiejąc złośliwości, albo nie zwracając na nią uwagi.

Ligęza machnął ręką.

– Utrapienie boskie z tym szlachcicem – westchnął, raczej rozbawiony niż zezłoszczony.

– Powiedz waść, bo nie pomnę, gładka chociaż była? – spytał żałośnie pan Krzysztof i wpatrzył się z nadzieją w gospodarza.

– Cóż za różnica, skoro i tak nic nie pamiętasz?

Komarnicki zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

– Niby tak, waszmość panie, niby tak... Lecz nie wiem, czy mam żałować, że dzisiejszej nocy nie pamiętam, czy też za ową amnezję być raczej wdzięczny Panu Bogu? Hmmm? Jak waćpan sądzisz, tandem tedy, mosterdzieju? – Skończył zdanie i objął dłońmi głowę. – Jezusie najśłodszy, jak boli... – jęknął i przymknął oczy.

– Trafne pytanie – odezwał się Rokicki – gdyż *memoria*²⁵ to niezwykle ważna rzecz, waszmość panowie. Wręcz nazwę ją śmiało *necessarium vitae bonum*²⁶, bo przecież jakbyście ją, co Boże nie daj, utracili, to tak, jakbyście całe życie utracili. – Spojrzał na Komarnickiego, szczerząc zęby. – Ciesz się więc, żeś jedynie dziewczkę zgubił, gdyż to niewielka strata, bo jak ci zacny nasz gospodarz zezwoli, jeszcze dzisiaj ją odzyszczesz.

– Ją czy inną – Ligęza wrzucił ramionami. – Cóż za różnica dla niedźwiedzia, do której jamy wtargnie?

– Albo dla myszki, do której wskoczy norki... – Rokicki popatrzył złośliwym wzrokiem na wymizerowanego Komarnickiego.

Krzysztof Komarnicki zdawał się jednak nie pojmować aluzji, gdyż tylko westchnął i otarł twarz rękawem.

– Wody... – jęknął i powłókł się w stronę studni.

Ligęza pokręcił głową.

– Pije, a pić nie umie – zawyrokował. – Bo, proszę waszmościów, picie zasada się nie tylko na tym, by z kawalerską fantazją, lecz grzecznie zachowywać się w czasie uczyty, ale by również następnego dnia fantazję mieć podobną do wczorajszej. Kto, waszmość panowie, napić się na drugi dzień po uczcie nie chce, ten kiep, słabeusz i nic dobrego. A mówię tu,

rzecz jasna, o picciu miodu, wina, naleweczki lub gorzałki, nie wody, mleka czy komputu, którymi delectowanie się przystoi jedynie mnichom, niewiastom, dzieciom lub ludziom umierającym.

– Z ust mi te słowa waćpan wyjąłeś. – Rokicki gorliwie pokiwał głową. – I dlatego pokornie upraszam, panie stolniku najdroższy, byś dłużej nam w tym słońcu nie pozwolił stać, gdyż straszliwa *morsus*²⁷ ogarnia mi głowę od jego promieni, lecz byśmy wreszcie jakieś śniadanko mogli wypić, zgodnie z mądrą zasadą mówiącą, że *remedium*²⁸ na każdy *dolor*²⁹ znajdziemy w trunku!

Pan Hieronim zagarnął dowcipnego szlachcica ramieniem, a ten niemal zniknął w uścisku gospodarza.

– Chodźcie, waszmościowie, chodźcie! – zawołał serdecznie Ligęza. – Rację ma pan podsędek: dość strzępienia języka po próżnicy!

Nim jednak zdążyli ruszyć, z bocznych drzwi, przez które wcześniej opuścił dworzyszczę Hieronim Ligęza, wyszła taka dziewczucha, że Jacek Zaremba aż mlasnął głośno. Bo dziewczyna piersi miała ledwo co przesłonięte białą koszuliną, a tak wielkie, jakby chowała pod płótnem dwa niedźwiadki, które próbują wypchnąć głowy na światło dzienne. Jasne włosy spływały jej do połowy pośladków, a pośladki miała takie, że aż prosiło się, by zaszczyścić je i zabawić jednym czy drugim klapsem.

– Hu, hu – zdołał sapnąć pan Gideon.

– Gładka bestia, co? – Ligęza z dumą podkręcił siwego wąsa.

Dziewczyna, doskonale wiedząc, że szlachcice jej się przypatrują, obróciła się twarzą w stronę słońca, wyciągnęła ramiona w górę i przeciągnęła się powoli, lubieżnie, jak szykująca się do spaceru rozleniwiona kotka.

– Jezus Maria – wykrztusił Jacek Zaremba.

Podsędek jedynie głośno i z wyraźnym trudem przełknął ślinę. Ligęza, nadzwyczaj zadowolony z reakcji towarzyszy, roześmiał się głośno.

– Wać dziewczkę dzień w dzień widzisz i dzień w dzień głos na jej widok tracisz. – Spojrzał rozbawiony w stronę Rokickiego.

– *Obstipui*³⁰, stolniku dobrodzieju, przyznam bez bicia. A to dlatego, że ta dziewczka każdego dnia zdaje się coraz powabniejsza – odparł, odrywając wzrok od wybranki gospodarza. – I *talpa caecior*³¹ ten by być musiał, kto by mi nie przyznał racji, że *splendor*³² od niej bijący aż w oczy kłuje!

– Tak jest – potwierdził dumnie stolnik.

– Zresztą w takim odzieniu, za którego noszenie pewnie nawet Pan Bóg nie pogńiewałby się na Ewę, jeszcze jej nie widziałem – dodał Rokicki.

– I właśnie tak jej na chrzcie dano, panie Jacku – wyjaśnił Ligęza – co zresztą zdaje się zgodne z naturą tej figlarki.

– Fałszywa, podstępna i kłamliwa? – zapytał niewinnym tonem Zaremba.

– Piękna i godna pożądaniam – sprostował bez gniewu gospodarz. – Choć przyznać muszę, kapryśna.

– Ano kilka razy słyszałem, jak bardzo kapryśna. – Rokicki się zaśmiał. – Zresztą pewnie sąsiedzi dostojnego naszego gospodarza też słyszeli, bo taki dziewczka ma mocny głos. Jak widać, różnie u różnych ludzi *verus amor*³³ się objawia...

Podstarości zerknął zaciekawiony na gospodarza.

– Waszmość pan, stolniku dobrodzieju, baty jej dawałeś?

Rokicki tym razem wybuchnął śmiechem.

– *E converso*³⁴, panie starosto najdroższy! To dziewczyna gębę darła na swego jaśnie pana, tak że kasztany z drzew spadały.

Ligęza nie pogńiewał się wcale, machnął tylko dłonią, jakby odpędzał uprzykrzoną muchę.

– Tyle jej, co sobie powrzeszczy – skwitował lekceważącym tonem – a zapewniam waszmościów, że miodek z tego ula wart jest kilku ukłuc.

– *Faciunt favos et vespae*³⁵ – zgodził się z uśmiechem podsędek.

Jacek Zaremba spojrzał raz jeszcze w stronę dziewczyny, która teraz szła wolno w stronę łaźni, kołysząc biodrami – a że szła pod słońce, jej koszula zdawała się niemal przezroczysta. I kiedy podstarości tak patrzył na kochankę przyjaciela, musiał przyznać, iż chłopka warta była grzechu. Ba! pan Jacek łatwo i chętnie zgodziłby się, aby mu co dzień kołki na głowie ciosała, jeśli tylko nocami on mógłby w zamian za to do woli używać z nią swojego kołka.

– Chodźmy, chodźmy. – Stolnik tym razem zagarnął ramionami obu szlachciców, słusznie mniemając, że jeśli nie popchnie ich i nimi nie pokieruje, to sami z miejsca się nie ruszą, dopóki dziewczyna nie zniknie im z oczu.

– Ano chodźmy – westchnął podstarości i z żalem odwrócił wzrok od przechadzającej się Ewki.

Z rozbawieniem dostrzegł jeszcze, że Komarnicki na widok dziewczki zapomniał nawet o tym, iż przed chwilą napełnił sobie wiadro wodą, i stoi, chwiejąc się niczym wyschnięte drzewo targane podmuchami wichru. I Zaremba przyznawał, że musiała w tej dziewczce być wielka magia, skoro pan Krzysztof wolał cierpieć katusze pragnienia, niż choć na chwilę odwrócić od niej wzrok. A może, patrząc na tę ślicznotkę, zapomniał już o owym pragnieniu i jej widok zdawał mu się lepszy niż krynica kryształowej, lodowatej wody?

Widząc Krzysztofa Komarnickiego, pan Jacek zdziwił się po raz drugi od czasu wjechania na teren dworu. Bo – podobnie jak Rokicki – Komarnicki wydał mu się personą dość dziwną, a przy tym wszystkim Zaremba nie przypominał sobie ani jednego, ani drugiego szlachcica, a przecież wydawało mu się, że goszcząc trzy lata wcześniej u pana stolnika, zdołał wszystkich jego sąsiadów nie najgorzej poznać. Ale panowie nie byli raczej sąsiadami stolnika, skoro jeden pochodził spod Brześcia, a drugi z Kujaw. Jakie więc wiatry przygnały ich na dwór Ligęzy? Jacek Zaremba szybko zapomniał o rozważaniach dotyczących gości stolnika, gdyż zza otwartych nagle środkowych drzwi jego nozdrzy doleciał zapach zarówno pożądany, jak i upojny. Podstarości przyspieszył kroku, a wydawało mu się, że również jego towarzysze poczuli ten zapach i ruszyli ponaglieni niczym konie, które potrafią pięknie kłusować, lecz na zachętę potrzebują muśnięcia ostrogą.

Pan Jacek, przechodząc przez sień, zerknął w stronę izby czeladnej, w której kilka służących krzątało się przy kuchni. W izbie stał szeroki, przykryty czystym obrusem stół, na którego środku pysznił się wielki bochen świeżo wypieczonego chleba. Ligęza hołdował bowiem staremu i zacnemu obyczajowi, iż każdy, choćby najmarniejszy pacholik lub dziewczka do najgorszych posług, ma prawo zjeść tyle chleba, ile jemu czy jej w brzuchu się zmieści. I kiedy tylko bochen w izbie czeladnej skrojono do samego końca, natychmiast na obrus kładziono następny. Pan Hieronim nie uznawał nowomodnych zwyczajów, które kazały służbie chleb wydzielać, przydzielać i racjonować niczym w jakimś wojskowym obozie w czasie oblężenia. „Takie obyczaje dobre mogą być dla Francuzów, Włochów czy Niemców albo innych podlejszych nacji, lecz nie dla Sarmatów – mawiał Ligęza – gdyż wstyd to byłby dla mnie, gdybym z pełnym chodził brzuszyskiem, kiedy słudzy moi podkradają resztki z kątów, żyjąc w ciągłym głodzie”. Toteż stolnik karmił hojnie, płacił dobrze i na czas, ale za

to wymagał pracowitości, bezwzględności posłuszeństwa i bezwzględnej uczciwości. Jeśli przyłapał sługę na kradzieży, wtedy własnoręcznie Pana Boćkowskiego na plecach złodzieja hartował, a że miał ramię silne i niezmordowane, to nie było takiego, który na podobne traktowanie chciał zasłużyć. Zresztą słudzy szanowali stolnika i kochali go jak ojca, a kto już posadę na dworze dostał, pilnował jej niczym oka w głowie, wiedząc, że człeka wiernego i pracowitego czeka tu pomyślny los.

Pan Jacek nie rozmyślał jednak wiele o służbie Ligęzy ani o chlebie leżącym na śnieżnobiałym obrusie, lecz całym sobą chłonał upajający zapach, który spływał od kuchni. Cóż to był za aromat! Co za pieśczość dla wyczulonego zmysłu węchu, pieśczość tak silna, że aż łechcąca podniebienie i sięgająca do samego żołądka. Podstarość poczuł, że w gębie zbiera mu się ślina. Przełknął ją raz, a potem drugi.

– Cóżżeś, panie Jacku kochany, tak wrósł w podłogę, jakbyś bez mała zagładę Sodomy, tfu, tfu, obaczył albo od nieszczęsnej Niobe nabrał zwyczajów?

– Bigosik – wyszeptał Jacek Zaremba z prawdziwym uczuciem. – Czuję bigosik, waszmość panie.

Ligęza roześmiał się i żartobliwie potrząsnął młodym szlachcicem.

– Chodź no, panie Jacku, a dziewczkom na ręce nie patrz, bo kiedy zobaczą takiego gładysza jak ty stojącego w progu, to zaraz im naczynia powypadają z rąk albo, nie daj Boże, coś przesolą, przepieprzą, nie dosolą, nie dopieprzą i będzie bieda...

– Pokornie słucham waszmości...

Zaremba dał się poprowadzić przez sień do bawialni, ale cały czas ciągnął się za nim cudny, kuszący zapach polskiego bigosu – tej niezwyklej mieszanki kilku rodzajów mięsa i dwóch rodzajów kapusty, podgotowanej, podduszonej, popieprzonej i posolonej, a w dodatku obficie, choć z wynikającą z kulinarnego doświadczenia uwagą, podlanej czerwonym winem.

– Cóż może być smaczniejszego od ze znawstwem i uczuciem przyrządzonego bigosu? – westchnął.

– Dziewka w bigosie! – zawołał wesoło Rokicki, któremu najwyraźniej nie mogła wyjść z głowy piękna kochanica Ligęzy.

– Stół stołem, łoże łożem – zawyrokował stolnik tonem nieznośnym sprzeciwu. – Choć zdarzyło mi się w latach swawolnej młodości jedno z

drugim pomylić, to na starość wolę, by wszystko do przyrodzonego porządku rzeczy wracało.

– Amen! – zawołał Rokicki. – Przekonałeś mnie, panie stolniku kochany, bom ja też przecież stary i wstyd mi bardzo, że *barba crescit, caput nescit*³⁶, z uwagi na co powagi dostojnego wieku nie potrafię jeszcze udźwignąć na ramionach, zwłaszcza kiedy miłosna *febris*³⁷ wzbiera mi w sercu.

Zaremba zerknął na pana Gideona i pomyślał sobie, że podsędek wcale nie wygląda na człowieka starego. Ile mógł mieć lat? Ha, na takie pytanie podstarości nie potrafił odpowiedzieć, gdyż Rokickiemu równie dobrze można było dać poniżej czterech, jak i ponad pięć dziesiątków lat. Ot, taki to był typ twarzy i figury...

– Siadajcie z łaski swojej, waszmościowie, a rozkazy wydawajcie służbie jak własnej – przykazał stolnik. – I raczcie mi wybaczyć, że nie będę wam przez chwilę towarzyszył, ale przecież ochędożyć się wypada. Panie Jacku, kochany – obrócił się w stronę podstarościęgo – złym byłbym gospodarzem, gdybym gościowi utrudzonemu podróżą kazał czekać na posiłek. Niechże ci na razie pan podsędek kompanii dotrzymuje. Nie pogniewasz się na mnie, panie Jacku? Nie pogniewasz się?

– Ani mi to w głowie, proszę waszmości! – zakrzyknął Zaremba. – A głodny wcale nie jestem i z radością na waszmość pana zaczekam, kontentując się podziwianiem waćpanowej niezwyklej kolekcji, którą dobrze sobie sprzed trzech lat zapamiętałem.

Ligęza klepnął serdecznie młodego szlachcica w ramię.

– Wierzcie mi, waćpanowie, że niczym Merkury pospieszę – obiecał.

Zaremba i Rokicki zostali sami, a pan Jacek mógł zgodnie ze swym zamiarem przyjrzeć się kolekcji, o której wspomniał. Jadalnia była tej wielkości, że nawet niezbyt wytrawny kawalerzysta swobodnie by ją wzdłuż ścian objechał, a koń nie musiałby nazbyt wykręcać głowy, radząc sobie z zakrętami. Każdą ścianę obwieszono kolorowymi tureckimi kilimami, a były one takiej urody, że aż oczy bolały, kiedy się na nie patrzyło. Na kilimach wisiał oręż, zarówno ten, który gospodarz zdobył na wrogach, jak i ten odziedziczony po ojcu i dziadach (jako że rodzina Ligęzów zawsze słynęła z wielkich wojowników, wracających z zagranicznych wojen nie tylko z chwałą, ale i z wielkimi bogactwami). Pan Jacek pamiętał doskonale tę komnatę z poprzedniej wizyty, lecz przepych i różnorodność wystawionej na widok broni znowu go olśniły. Bo oto wisiał

tu pałasz szeroki na końcu ostrza więcej niż na dłoń, ze złotą, inkrustowaną rękojeścią, oto była para hiszpańskich pistoletów, oto wisiała wielka herbowa tarcza w kształcie serca, która – jak opowiadał Ligęza – należała niegdyś do pewnego Italczyka, oto był damasceński jatagan, ostry i prosty niczym psi kieł, z rękojeścią nabijaną rubinami, oto wisiał zadziwiający wynalazek niemieckich rusznikarzy: siekierka, zamiast trzonkiem zakończona pistoletową lufą, a cała pięknie rzeźbiona na indyjski sposób, w kości słoniowej i z wyobrażeniami słoni, oto była francuska szpada ze złotym wizerunkiem króla Ludwika na rękojeści i z jelcem wykutym z litego złota, z wygrawerowanym słońcem, oto na honorowym miejscu pyszniła się mamelucka szabla, tak krzywa, że gdybyś między sztychem a rękojeścią przeciągnął linę, to zdawałoby ci się, że trzymasz w dłoni łuk, a piękna i lśniąca dzięki połyskującym na pochwie i na jelcu, zatopionym w złocie brylantom oraz rubinom.

Pan stolnik nie pośpieszał niczym Merkury wypełniający Jowiszowe zlecenia i dał tym samym gościom możliwość dokładnego przyjrzenia się jego kolekcji, a także wyostrzenia apetytu zapachami dochodzącymi z kuchni. Tymczasem do jadalni zdołał już doczłapać schludnie, choć skromnie przyodziany Krzysztof Komarnicki. Zjawił się także młodzieniec, który cicho i jakby wstydliwie przedstawił się Jackowi Zarembie mianem Pawła Broniewskiego, szlachcica ziemi kujawskiej szczytającego się herbem Ogończyk. Wreszcie pan Hieronim wrócił do komnaty. Lecz jakże inaczej wyglądał teraz gospodarz niż wtedy, kiedy opuszczał dwór po nocnych zmaganiach z flaszą i dziewczką! Teraz Ligęza miał na sobie wytworny żupan z najdelikatniejszego jedwabiu, tak czerwoniutki, jakby całą barwę ukradł polnym makom. Na żupan nałożył błękitny kontusz o żółtych wyłogach, palce ozdobił pierścieniami, a na nogach miał buty o tak lśniących żółtych cholewkach, iż Jacek Zaremba mógłby przysiąc, że gdyby się pochylił, to w wypucowanej skórze ujrzałby własne oblicze niczym w lustrze. Obrazu wielkiego pana – jakim Ligęza przecież był, mimo iż w porywie skromności często zwykł nazywać sam siebie chudopachołkiem – dopełniała paradna szabla tkwiąca w pochwie ozdobionej tak wieloma brylantami, że w blasku słońca pochwa ta migotała niczym skąpana w kropelkach porannej rosy. Włosy pan Hieronim miał gładko zaczesane, a na głowie nosił czapkę aksamitną, karmazynową, otoczoną sobolowym futrem. Zaremba musiał przyznać, że pan stolnik wyglądał tak, iż mógłby

pozować do portretu, i tylko buławy w dłoni mu brakło, by bez trudu móc być za hetmana wziętym.

– Witam waćpanów – rzekł poważnie, z namaszczeniem, po czym czapkując mu towarzystwo zaszczycił skinieniem głowy.

Usiadł przy stole na honorowym miejscu, zarezerwowanym jedynie dla gospodarza, i dopiero wtedy czapkę zdjął i położył ją na blacie obok siebie.

– Proszę pięknie waszmościów – rzekł.

Wtedy dopiero panowie Zaremba, Rokicki, Komarnicki i Broniewski usiedli na swoich krzesłach, a każdy czapkę, jak wypada gościowi i człękowi mniejszego znaczenia, położył na własnych kolanach.

Wtedy dopiero służba czekająca, jak widać, tylko przybycia dziedzica ruszyła do stołów. Wpierw podano, tak jak się godzi, kielbasę – tak grubą, że każda mogłaby zastąpić męskie przedramię, i tak tłustą, że z każdej po nacięciu nożem sok tryskał niczym z fontanny. Do kielbasy sładzy przynieśli kilka dzbanów gorącego piwa z żółtkiem, potem wielki gar kapuśniaku, gęstego od kapusty i mięsa, a tak kwaśnego, że język aż kołowaciał, i równie co ten gar wielką miskę grochu.

– Imaginujcie sobie, waszmość panowie, że mój kucharz potrafi kielbasę przyrządzić na dwadzieścia cztery sposoby – rzekł Ligęza niewyraźnie, bo z pełnymi ustami – co podobnie jest tylko zaletą kuchmistrzów, którzy poznali najtajniejsze arkana sztuki kulinarnej i służą u wielkich panów.

– Dwadzieścia cztery? – zapytał z niedowierzaniem Rokicki, równie niewyraźnie, bo też gębę miał już zapchaną. – A to zmyślny łotr, nie ma co!

Jacek Zaremba jedynie skinął głową, bo chociaż nie męczył go pijacki głód (przecież często odzywający się na drugi dzień u ludzi, co nocą nadużyli trunkowych radości), to jednak po długiej podróży rad był, że może wreszcie popróbować prawdziwie domowego jedzenia, a nie ścierwa, które podawano po karczmach.

– Żwawo, waćpanowie, żwawo – przynaglił gości Ligęza. Jako dobry gospodarz doskonale wiedział, że najlepiej smakuje to danie, do którego zjedzenia serdecznie przymuszano. – Swój afekt dla mnie i dla kulinarnej sztuki mego kucharza najlepiej udowodnicie, zjadając wszystko co do listeczka i co do kosteczki...

– Sił braknie – zajęczał Rokicki.

– Chcesz mnie waćpan obrazić? – Stolnik zmarszczył brwi, po czym nałożył na talerz podsędką trzy wielkie łychy bigosu tak gęstego od mięsa, że zdawać by się mogło, iż kapusta jest zaledwie gościem w tej potrawie.

– Daruj, dobrodzieju. – Zaremba złożył dłonie na piersi i zaraz potem na jego talerzu wylądowało tak wielkie pęto kiełbasy, że aż na srebrze się nie zmieściło.

– Ależ waćpanie, przecież... – Broniewski nie zdołał dokończyć zdania, kiedy sługa na znak dany przez stolnika również jego talerz nappełnił po brzegi.

Jedynie Krzysztof Komarnicki zapomniał o uprzejmym zachowaniu i zgarbiony, z oczami wbitymi w talerz, a to kiełbasę dziobał, a to z miejsca na miejsce przekładał, a to zaledwie trochę, po kawałeczku, podjadał.

– Delicje. Przysięgąm, delicje – wymamrotał Zaremba, wgryzając się w kiełbasę i zakąszając ją kilkoma łydami kapuśniaku. – Powiadam waćpanom, dawno tak wysmienitej nie jadłem kapusty.

– Kiedy zapach czujesz, rzekłbyś: smak nie może mu dorównać – powiedział Rokicki z zachwytem w głosie – a jak już *expedite*³⁸ smak poczujesz, to myślisz sobie: a do czorta z zapachem!

Pan Jacek skrzywił się jedynie, gdyż nie spodobało mu się przywoływanie diabelskiego imienia, ale pana Gideona nie zamierzał tym razem karcić, słusznie uważając, iż przy stole Ligęzy jedynie Ligęza powinien być strażnikiem obyczajów oraz sędzią. Jednak stolnik nie słyszał słów Rokickiego, a nawet jeśli, to najwyraźniej nie przeszkadzały mu one na tyle, by przerwać jedzenie.

– Waćpanowie coś nie jecie – rzekł dopiero po chwili, surowym wzrokiem obrzucając gości. – Albo apetytu nie macie, albo moim chudopacholskim posiłkiem pogardzacie i wolicie tantalowe znosić męki.

Rokicki otarł wąsy chlebem i wstał, trzymając w obu dłoniach kielich wina.

– Żebym tak od tego stołu nie odszedł – zaklął się, wytrzeszczając oczy – jeśli wczoraj nie mówiłem, że niedzielne jadło u wielmożnego pana stolnika Ligęzy jest najlepsze w świecie. I powiem waćpanom: jak pies zełgałem! Ale wybaczcie mnie biednemu, bo skąd miałem wiedzieć, że poniedziałkowe będzie, *testis mihi Deus*³⁹, że prawdę i tylko prawdę gadam, jeszcze smaczniejsze? – Uniósł kielich wysoko nad głowę. – *Venia sit mihi dicere*⁴⁰: zdrowie pana stolnika, naszego przyjaciela i dobrodzieja! Zdrowie zacnego gospodarza, który nas, chudopachołków, pod swym wielmożnym

dachem gości! – Kończąc to zdanie, Rokicki obrócił w stronę stolnika oczy nabrzmiałe łzami rozczulenia. – *Bene tibi*⁴¹, mości Ligęza!

– Zdrowie waszmość pana! – ryknął Zaremba potężnie i szczerze, również wstając z krzesła.

– Szczęść Boże łaskawemu panu dobrodziejowi! – Broniewski spojrział z oddaniem w stronę Ligęzy.

– Aby się waszmości we wszystkim darzyło, tandem tedy, mosterdzieju! – rzekł pan Krzysztof, gdyż nawet on wyzwolił się z zasepienia i wstał, unosząc kielich.

– O nie, pod moim dachem tego nie będzie! – zaprotestował żywo stolnik. – Wpierw zdrowie gości moich kochanych pijemy!

Przez długą chwilę sprzeczali się, a Ligęza aż poczerwieniał i a to sapał, a to kładł dłoń na rękojeści szabli, aż wreszcie Jacek Zaremba go ubłagał, by raczył wpierw za swoje zdrowie wraz z gośćmi wypić, a w zamian za to potem zdrowie każdego obecnego po dwakroć zostanie wychylone. Pan Hieronim nadał się, zjeżył, lecz w końcu się zgodził. I dopiero kiedy opróżnił kielich, nieco się rozpogodził.

*

Pan Hieronim wiele już razy opowiadał o tym, jak w czasie elekcji po śmierci króla Michała, niesławnej pamięci syna wielkiego kniazia Jaremy, gościł wraz ze znaczniejszymi szlachećmi u księcia Sapiehy. Lubił jednak tę historię, a ponieważ zdawało mu się, że Jacek Zaremba nie miał jeszcze szczęścia jej słyszeć, to kiedy śniadanie niepostrzeżenie zamieniło się w obiad, zaczął snuć opowieść. O tym, jak Sapieha, na podobieństwo każdego możnowładcy, próbował zjednać sobie panów braci a to wspaniałymi ucztami, a to drogimi podarunkami, a to obietnicami stanowisk. A ile się przy tym „napanbratował”, to wiedzieli tylko ci, którzy mieli okazję korzystać z jego gościny. W każdym razie Ligęza mile wspominał prezenty, których książę mu nie szczędził, lecz do tej pory szydził z umiejętności książęcych kucharzy.

– Szafranu wszędzie sypali tyle, i do mięs, i do polewek, że ciężko było właściwy smak rozeznąć, a w język człowieka tak paliło, że każdy kęs musiał zapijać potokiem wina.

– Ot, Litwin, *barbarus*⁴² niewychowany, choć w mitrze książęcej chodzi – skwitował Rokicki.

– A żebyś waćpan wiedział – przyznał mu rację Ligęza. – Nie mają te litewskie panky godności i zacności polskiej szlachty. Oj, nie mają.

– I co z tymi kucharzami? – przypomniał Zaremba, widząc, że jeszcze chwila, a rozmowa z kulinariów skręci w stronę polityki.

– Ano tak, z kucharzami, właśnie. Nie przeczę, że mieli oni fantazję. Oto wnieśli pasztet tak wielki i tak ciężki, że sześciu pachołków ledwo go na ramionach utrzymywało. A kiedy otworzono pokrywę, ze środka wyfrunęło stado tak pięknych i kolorowych ptaszków, że jak żyję podobnych nie widziałem. – Ligęza uśmiechnął się do wspomnień. – Rzekłbyś: motyle zebrały się sejmować na kwietnej łące, tak te ptaszki były maleńkie i wdzięczne.

– Śmiały koncept – przyznał Zaremba. – Nie widzę jednak powodu, by waszmości podobna krotoczwila miałyby się nie spodobać.

– Pasztet był niesmaczny? – próbował odgadnąć Rokicki.

– Pasztet był wysmienity, proszę waćpanów, tak mi przynajmniej mówiono, gdyż ja nie próbowałem. A nie próbowałem pasztetu z tegoż powodu, że ptaszki złąknione ciemnością i ciasnotą zasrały go od środka, zanim na wolność uleciały.

Zaremba parsknął szczerym śmiechem, Rokicki się skrzywił.

– I jak panowie bracia? Jedli?

– Aż im się uszy trzęsły – rzekł Ligęza. – I tak to już w Polsce jest. Na zewnątrz, na pokaz: bogactwo, aksamity i złoto. A zajrzysz do środka i ot, zaraz gównem obaczysz.

– *Bene dicit!*⁴³ – zgodził się ochoczo pan Gideon, natomiast Jacek Zaremba jedynie wymruczał coś niezrozumiałego.

– A co do złota, waćpanowie, to powiem wam, że za tę zastawę, co ją na książęcym stole postawiono, to waściowie nie wioskę, nie klucz wioski, ale zacne miasto byście sobie kupili. Złote talerze, puchary nabijane rubinami, kryształowe kielichy, sztucce z litego złota tak ciężkie, że człowiek ledwo co na widelcu kawał mięsa unosił do gęby. Powiadam waszmościom, że większego zbytku nawet w chanowych czy Chmielnickiego nie widziałem namiotach, które po wiktorii beresteckiej wzięliśmy szturmem i ze wszystkiego dobra ogołocili. – Ligęza uśmiechnął się i podkręcił wąsa, gdyż znaczny miał udział w tatarskich łupach i jego bogactwo w dużej mierze pochodziło z tej właśnie wyprawy, kiedy to armia

Rzeczpospolitej do szczętu rozbiła liczącą dwa razy po sto tysięcy żołnierzy armię Kozaków oraz Tatarów.

– No ale wtedy, w czasie elekcji, byłem młodszy i przecież z Turkami nie wojowałem jak waszmość Zaremba – stolnik przychylnym wzrokiem zerknął na pana Jacka – i ich niezmiernych bogactw nie widziałem. Toteż przyznam waszmościom, że to, co zobaczyłem na Sapiehowym stole, wielce mnie zadziwiło... Taaak... Mniemam, że nawet na dworze Krezusa nie miałby się czego księżę Sapieha wstydzić. Zadziwiła mnie, waćpanowie, nie tylko znaczna wartość majątku, lecz i nieumiarkowanie w korzystaniu z niego. Imaginujcie sobie bowiem, że Sapieha po każdym toaście kryształowe kielichy o dymiący łeb sobie rozbijał, a i panów braci do podobnego postępowania zachęcał. Ileż tam zmarnowało się dobra, które na wspólny pożytek można by obrócić... – Zafrasowany pan Hieronim pokręcił głową.

– Fantazja szlachecka, powiem waści, tandem tedy, mosterdzieju – mruknął Komarnicki.

– A cóż to za fantazja, by majątek marnotrawić!? – zapytał ze złością Ligęza. – Chcesz przepić? Przepij! Chcesz w karty przegrać? Przegraj! Chcesz błyskotek niewiastkom nakupować? Kupuj! Ale jak kielichy tłuczesz o głowę, to równie dobrze mógłbyś wziąć skrzynię ze złotem i w bagnie utopić, bo ani ty z tego pożytku już mieć nie będziesz, ani nikt inny.

– Co racja, to racja – przyznał Jacek Zaremba po zastanowieniu.

– Tak to już jest w naszym narodzie szlacheckim, że choć zasobniejsi jesteśmy od każdej europejskiej nacji, to nasz majątek idzie na zmarnotrawienie – westchnął Ligęza. – Tylko trochę się wzbogaci nasz szlachciura, a zaraz sobie nasprowadza z Niemiec czy Holandii fikuśnych zabaweczek. A to mechanicznych ptaszków śpiewających, a to zegareczków, a to fontanienek, a to pozytywek, a to lusterek zabawnie obraz zniekształcających... I za te śmieci płaci szczerymi dukatami za nasze złote zboże otrzymanymi od zamorskich kupców! – Pan Hieronim aż prychnął z nieukontentowania.

Zaremba zauważył, że Komarnicki wyraźnie poczerwieniał, słuchając tych słów, nabrał powietrza, jakby chciał coś powiedzieć, lecz po chwili zrezygnował i opuścił oczy na stół, a widelcem zaczął gmerać w mięsie. Ot, nie było wątpliwości, że nożyce się odezwały, kiedy w stół uderzono...

– A ileż niepotrzebnej służby szlachta nasza najmuje – dodał Rokicki ze smutkiem. – Bo czy rzadko to bywa, że dwór wygląda niczym stodoła,

słoma z okien wystaje, bo wiechcie zamiast zbitych szyb wetknięto w ramy, a za to u jaśnie pana roi się od hajduków, laufrów i pajuków? A wszystkim tylko na jednym zależy: byle się dobrze nażreć, lafę odebrać, leżeć do góry brzuchem i w siennik pierdzieć albo jakie, co gorsza, *obscena*⁴⁴ wyprawiać. A jak przyjdzie co do czego, to pana swego *lucris causa*⁴⁵ i tak łatwo zdradzą!

– Co racja, to racja, panie bracie – przyznał Ligęza. – U Sapiehy, jak u każdego naszego paniątka, od służby aż się roiło. A kradli! A żarli! A pili! Rzekłbyś: stado głodnych wieprzy puszczone do koryta. Zresztą – pan Hieronim machnął ręką – większość panów braci nie lepsza była od tych darmozjadów. Jedni Sapiehę kołem obsiadali i nuże się o podarunki przymawiać, plotąc przy tym przypochlebne androny. Takie, że jak się ich słuchało, to aż mdliło człeka i z nadmiaru słodczy, i ze wstydu. Drudzy tylko patrzyli, co by tu za pazuchę schować, choćby kilka widelców złotych albo srebrny kubek. Cokolwiek.

– I nikt tego dobra nie pilnował? – ośmielił się odezwać Broniewski i zaraz się zaczerwienił i przygarbił, gdyż wszyscy na niego spojrzeli.

– Książę Sapieha dobrze wiedział, jak będzie i co będzie. – Ligęza wzruszył ramionami. – Niby tam książęcy dworzanie niektórym panom braciom zdobycz odbierali, co tym łatwiej im szło, że wielu szaraków się popiło i pod stołami zasnęło, lecz niejeden szlachcic wracał do domu dużo bogatszy, niż z niego wyjechał. Ale słyszałem też – pan Hieronim się roześmiał – iż wiele złotych sztuczków w warszawskich zamtuzach potem odnaleziono, jako że Sapiehowi goście jego dobrem za kurewskie usługi płacili.

– I takiż to smutny morał, waszmość panowie, że do tego właśnie nasza Rzeczpospolita zmierza, iż coraz krótsza robi się w niej droga od pałacu książęcego do burdelu – stwierdził Rokicki.

– No ale przypomnijcie mi, waćpanowie, co chciałem rzec... – Ligęza podrapał się w głowę. – Te dygresje, którymi żeście mnie zarzucili, przyznam, zbiły mnie z tropu...

– Waćpan mówiłeś o kuchmistrzach książęcych, lecz potem opowiedziałeś nam o zastawie, którą panowie bracia tak chętnie...

Gospodarz plasnął otwartą dłonią w czoło.

– Tak jest! Kuchmistrze! Widzicie waćpanowie, wydawać by się mogło, że im wystawniejszy dwór i im bogatszy gospodarz, tym

smakowiciej będzie się u niego jadło, jako że nie tylko o gości zechce on zadbać, lecz także kucharzy ma znamienitych na swe usługi...

– Tak jak, nie przymierzając, waszmość pan masz – rzekł, grzecznie skłaniając głowę, Rokicki i pomachał w powietrzu pętem kielbasy, a potem uniósł je tak, jakby był to kielich wzniesiony do toastu.

– Nie powiem, nie powiem... – Ligęza mimowolnie pogłaskał się po brzuchu. – Ale wracając do księcia Sapiehy, rzec muszę waszmościom, że nasprowadzał on kucharzy z Francji i Italii, którzy ponoć wielką estymą się tam cieszyli. Na królewskim oraz książęcych dworach odbierali wykształcenie w kulinarnej materii, a w dogadzaniu francuskim podniebieniom doszli do prawdziwej maestrii. Tak o nich mówiono, bo patrząc na to, co robili i jak robili, rzekłbym raczej, iż paryskie i rzymskie bruki szlifowali, a co najwyżej za kuchcików posługiwali, nie za prawdziwych kuchmistrzów. Ale że po francusku i włosku trajkotali z taką szybkością, iż przysięglibyście waćpanowie, że ludzki język nie jest w stanie tak szybko się obracać, i że zasypywali wszystkich dziwnymi nazwami potraw i przypraw oraz zarzekali się i zaprzysięgali, u jakichż to świetnych rodzin służyli, to i księżę Sapieha na dworze ich trzymał. Zresztą, nie powiem, może to i prawdziwi byli kuchmistrze – Ligęza wzruszył ramionami – lecz ich sztuka kucharzenia tak różna była od naszej, że miałem ich za nieudaczników. Kto ich tam wie... – Machnął dłonią.

– Włosi i Francuzi nie mają podniebień tak delikatnych jak my, Polacy – rzekł z namaszczeniem Gideon Rokicki – między innymi dlatego, że *mali mores*⁴⁶ każą im warzywami na wiele sposobów przyrządzanymi się kontentować lub nawet pożerać jarzyny na surowo, jakby byli krowami czy świniami, nie zważając na to, iż człowiek mięsem przecież powinien się żywić, gdyż inaczej ciężko słabuje i nawet może umrzeć.

– Racja, panie bracie, racja – przyznał gospodarz. – Przecież my, Polacy, i kapustę jemy, i kaszę, a i niejednego z nas arbuzem kiedyś pewnie poczęstowano – uśmiechnął się i przymrużył oko – ale owoce i warzywa są dla nas jeno dodatkiem do mięsiw, w których przyrządzaniu słuszny prym wiemy na całym cywilizowanym świecie.

– I w jedzeniu też! – zakrzyknął wesoło Rokicki, unosząc widelec z nabitym nań kawałem pieczeni.

– I w picciu! – Rozochocony Jacek Zaremba poderwał kielich pełen wina.

– Zdrowie gospodarza, patrona naszego i przyjaciela! – zapał Komarnicki, któremu całkiem już humor wrócił.

Zaremba pomyślał, że wesołość tego człowieka musi być obficie trunkiem podlewana, by się ujawniła.

I tak dobrze im się działo aż do popołudnia, kiedy wreszcie minął zapał wznoszenia toastów, a głód został tak odegnany, iż mogło się zdawać, że nie pojawi się już nigdy i u nikogo. Jacek Zaremba odsunął się z krzesłem od stołu, gdyż wydawało mu się, że jego brzuch urósł do rozmiarów brzuszyska pana Hieronima. Zerknął na stolnika, który w jednej ręce trzymał udko tłustego kapłona i leniwie je pogryzał, a w drugiej – dopiero co wyjętego z beczułki jędrnego i soczystego ogórka. Podstarośći zamrugął z wysiłkiem, przełknął ślinę i odwrócił wzrok od gospodarza. Krzysztof Komarnicki wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w sufit, a młody Broniewski zbierał się, by wstać od stołu, lecz co uniósł tułów z krzesła, to coś ściągało go na nie z powrotem. W końcu więc zrezygnował i zapatrzył się posępnie w napełniony po brzegi kielich.

– Jedzcie, waćpanowie, bo, na Boga, głodni stąd wyjdziecie ku mojemu ogromnemu wstydomu – rzekł z trudem Ligęza. – Przecież jeszcze desery na nas czekają.

– Jezus Maria – jęknął cichutko Broniewski.

– A po deserach pojedziemy do sąsiadów na kolację! – Stolnik mocno klasnął, bardzo zadowolony z konceptu. – Zabierzemy moich muzykantów i poweselimy się trochę. Ci moi sąsiedzi to prawdziwie zacna szlachta, że ze świecą takiej w Rzeczpospolitej szukać, ale powiem waćpanom, że strasznie do jedzenia zmuszają... – Wstrząsnął się i westchnął. – A pan cześnik, jak sobie popije, to nawet bić się chce z każdym, kto zjada mniej niż on. No taka już w nim fantazja oraz gościnność, i co poradzisz...

– Jezus Maria – westchnął jeszcze ciszej Broniewski, po czym obrócił się w stronę Zaremby. – Zmiłuj się, waszmość panie, tyś przyjaciel pana stolnika – rzekł roztrzęsionym głosem – zrób coś, żebyśmy nigdzie nie jechali...

Pan Jacek uśmiechnął się, skinął lekko głową, po czym władczym gestem przywołał jednego ze służących.

– Odprowadź no waszmość pana do wygodki – rozkazał – niech sobie ulży... – Potem szybkim gestem chwycił sługę za ucho. – Tylko mi na krok od niego nie odchodź – przykazał, widząc, iż Broniewski jest tak słaby, że

ani sam nie dojdzie, ani sam z wygodki nie wstanie, i obawiając się, że jeszcze mu się jakieś przytrafi nieszczęście.

Gospodarz tymczasem ogryzł już dokładnie kurakową nogę i teraz zastanawiał się, czy na następną przekąskę wybrać jagnięcinę, zajęczy pasztet czy może przepiórkę. W końcu zdecydował się na przepiórkę.

– Jeśli wolno spytać... Cóż waćpan za dobrodziejstwa zawdzięczasz panu Jackowi? – Położył przepiórkę na talerzu Rokickiego, po czym uśmiechnął się i sięgnął po następną, tym razem już dla siebie.

Jacek Zaremba spojrział w stronę pana Gideona, gdyż miał nadzieję, że wreszcie pozna przyczynę afektu tego człowieka do swej osoby. I miał nadzieję, iż to, co usłyszy, nie okaże się, nie daj Boże, przyczyną kolejnego sporu.

– Z ogromną przyjemnością wyznam waćpanom, co i jak. – Rokicki rozpromienił się, potem westchnął i zapatrzył w sufit, jakby pośród belek zamierzał szukać natchnienia dla swej opowieści. – Zdarzyło mi się kilka lat temu bawić w Wielkopolsce i tak się trafiło, że tam właśnie, gdzie wielce łaskawy pan Zaremba *pro publico bono*⁴⁷ oraz *ex officio*⁴⁸ chronił spokojnych obywateli.

Jacek Zaremba aż zmrużył oczy, usiłując z pamięci wywołać oblicze Gideona Rokickiego. Ale żaden wysiłek nadal nie przynosił niczego, co mogłoby ożywić wspomnienia.

– A prawo, prawo przecież jest najważniejsze. Choć niektórzy powiadają, panie starosto – podsędek spojrział na Zarembę – że w Polsce przypomina ono raczej drewniany płot. Żmija się prześlizgnie, wilk przeskoczy, żubr stratuje...

Pan Jacek się skrzywił, lecz w tym momencie Rokicki rozpromienił się w uśmiechu.

– ... ale za to, co najważniejsze! całe bydło trzymane jest tam, gdzie jego miejsce.

– Daruj sobie z łaski swojej, acan, wywody na temat prawa i zdradź nam wreszcie tajemnice swej znajomości z panem Jackiem – przykazał Ligęza łagodnym, choć stanowczym tonem.

– Tak, tak. – Chudy szlachcic skłonił głowę przed gospodarzem. – Ja, jak pan stolnik dobrodziej *sine dubio*⁴⁹ wie, a pan Zaremba zapewne się przekona – tym razem zwrócił niewinne spojrzenie na podstarościego – jestem człowiekiem spokojnym i bogobojnym. A choć ćwiczono mnie w

sztuce właściwej Marsowi oraz jego adeptom, przyznam, że *in praxi*⁵⁰ łatwiej mi oddawać serce i siły tym uczuciom, którymi włada raczej małżonka tegoż srogiego bóstwa, i *ars amatoria*⁵¹ przedkładałam nad *ars belli*⁵² – rozłożył dłonie i uśmiechnął się przepraszająco – zwłaszcza że z winy tej drugiej ludzie umierają, a *in effectum*⁵³ pierwszej przychodzą na świat.

Zaremba pomyślał, że ten szlachcic wcale nie wygląda, jakby pił od rana. Głos miał czysty, świeży i wyraźnie wymawiał słowa. Zresztą Ligęza również sprawiał wrażenie niemal trzeźwego. Trunek wywarł na niego jedynie taki skutek, że bardziej niż zwykle poczerwieniał na twarzy, a palce opuchły mu tak, iż musiał zdjąć pierścienie.

– A któryż z nas, mężów, Wenerze nie chciałby usługiwać!?! – zawołał wesoło stolnik. – Wiedz waćpan, że nie jesteś sam w swym rozdarciu pomiędzy powinnościami marsowej a wenusjańskiej służby.

Rokicki pochylił głowę, dziękując w ten sposób gospodarzowi za wspierające jego wywód słowa.

– Niestety, świat nie rozumie nas, którzy tak bardzo cenimy wdzięki niewieście, iż naszą miłość pragniemy okazywać nawet mężatkom – kontynuował. – Oczywiście jedynie tym nieszczęśliwym biedactwom, opuszczonym przez mężów, szlochającym w poduszki i złaknionym miłości, które w naszych ramionach pragną znaleźć nie tylko *amor*⁵⁴, ale i *amicitia*⁵⁵ oraz *fides*⁵⁶.

– Grzech rozbijać związek, który został uświęcony przez Boga – burknął podstarość, chociaż po prawdzie i jemu zdarzyło się tę niezręczność kilkakrotnie popełnić.

– Żaden z nas, choćby nie wiem jak Wenerze oddany, nie niszczy przecież szczęśliwego stadła! – zakrzyknął podsędek. – Ale żaden z waszmościów nie powie chyba, iż *miseris succurere*⁵⁷ to grzech?

Jackowi Zarembie te wymówki nie wydały się szczególnie przekonujące, gdyż mężatka to mężatka i nie po to Bóg świętym węzłem małżeńskim połączył ludzi, by człowiek taki węzeł złośliwie lub bezmyślnie rozrywał. Sam podstarość najbardziej cenił sobie młode wdówki, gdyż one były już ze światem i mężczyznami dobrze zaznajomione (dzięki temu pokonywanie przeszkód, by dostać się do skarbczyka, nie trwało wiele tygodni i nie kosztowało tak wielu zabiegów jak w przypadku panien), a przy tym nie czuwała nad nimi sroga ręka mężowska, a jeśli nawet pilnowali takiej damy bracia lub ojciec, to jednak

łatwiej ich wywieść w pole niż małżonka. Poza tym zawsze lepiej było się trzy razy zastanowić, zanim zaczęło się figle ze szlachcianką, gdyż takowa zabawa mogła się zakończyć albo przed ołtarzem, albo na cmentarzu, a i jedno, i drugie panu Zarembie nie dogadzało. Młodemu, wesołemu szlachcicowi najlepiej korzystać było z wdzięków mieszczek, bo pomiędzy nimi łatwo trafiały się takie, które bez trudu i na królewskim dworze mogłyby olśniewać pięknnością. Zresztą nie raz i nie dwa polscy monarchowie dawali poznać, iż niewiele ich obchodzi, z jakiego rodu wywodzi się wybranka ich serca i łoża, a patrzyli tylko na to, czy powabna i wesoła. Pan Jacek przypominał sobie ostatnie swe przygody z pewną wdówką po bogatym kupcu, która to – choć swawolna i rozkoszna niczym młodziutka klaczka – miała jedną wadę, gdyż w chwilach kiedy natura nakazuje mężczyźnie pozełgować na wiatrach snu do krainy Morfeusza, ona zaczynała opowiadać o kościołach, sukniach ślubnych, hucznych weselach i wielkich posagach. A popatrywała przy tym na pana Jacka tak czule i z takim oddaniem, że ten z wrodzonej delikatności nie mógł już podobnego sentymentu wytrzymać i przestał się z dziewczyną spotykać, by nie rozkrwawiać jej biednego serduszka. Bo przecież sama myśl, iż Jacek Zaremba, spadkobierca senatorskiego rodu, w którego żyłach płynęła królewska krew, mógłby ożenić się z mieszczką, choćby upojnie bogatą, najwdzięczniejszą i śliczną niczym kwiatusek, była śmiechu warta.

– I tak właśnie historia się miała. – Dobitne słowa Rokickiego wytrąciły Zarembę ze wspomnień.

– Co... co waść powiadasz? – Podstarości obrócił się szybko w stronę pana Gideona.

– Powiadam, że jestem właścicielem dłużnikiem.

– Dobrześ się spisał, panie Jacku, jak przystało na porządnego obywatela. – Ligęza położył Zarembie dłoń na ramieniu.

Podstarości o mało nie zgrzytnął zębami z gniewu. Że też musiał akurat wtedy, kiedy podsędek wyjaśniał okoliczności ich spotkania, zagłębić się we wdzięcznych wspomnieniach o miłutkiej mieszczce! Zaraz, zaraz, jak ona miała na imię? Basieńka? Kasięńka? Ech, któżby sobie zawracał głowę imionami dziewczek, kiedy minie już czas, by te imiona słodko szeptać im do uszka...

– Wdzięczny jestem wielce, że imię Rokicki zachował mnie w pamięci – powiedział uprzejmie pan Jacek. – Rzadka to i cenna cecha, waszmość

panie – zwrócił się w stronę podsędka – więc tym bardziej rad jestem, że waćpanowym towarzystwem będę mógł się cieszyć.

– Oj tak, oj tak... – Ligęza zatarł dłonie. – Zabawimy się, poweselimy, pohasamy na polowaniach, objedziemy kuligiem przyjaciół i sąsiadów. Do wiosny starczy nam zajęcia.

– Dopiero wrzesień. – Jacek Zaremba się uśmiechnął.

– Tu śnieg wcześniej spada! – Gospodarz spojrzął w okno takim wzrokiem, jakby spodziewał się, iż za chwilę w szyby uderzy śnieżyca. – A poza tym w wybornym towarzystwie czas do zimy zleci jak z bicia trzasa. A potem do wiosny to już tylko tyle, co mgnienie oka.

– Waszmość pan, panie stolniku dobrodzieju, czas odmierzasz tak mile, że nic, tylko zostać w twojej gościnie *perpetuis temporibus*⁵⁸, że tak powiem. – Rokicki się uśmiechnął.

– A waćpana kto wyrzuca?

– Obowiązki, proszę waćpana, obowiązki. One mnie wygonią z gościnnego domu waszmości – westchnął ze smutkiem podsędek. – Mam tylko nadzieję, że przyjaźń nasza przetrwa rozstanie, tak jak w przypadku każdej *verae amicitiae*⁵⁹ być powinno.

– Bzdurstwa! – Ligęza machnął lekceważąco dłonią. – Obowiązki obowiązkami, a zabawić się trzeba. Poza tym z waszmości jest tak wyśmienity gawędziarz, że wyjeżdżając, wyrządziłbyś nam wszystkim wielką przykrość... – Spojrzął w stronę Zaremby. – Wyśmienity, powiadam ci, panie Jacku. Jak on opowiada, to nikt tak nie opowiada!

– Pokornie dziękuję waszmości za dobre słowo.

– Waćpanowie! – Gospodarz poderwał się nagle z krzesła z nieoczekiwaną żwawością. – Czas nam kałduny wytrząść, świeżym powietrzem odetchnąć! Jasiu! Maciu! – krzyknął w stronę drzwi. – Siodłać konie, a żywo!

– Ale obiecaj, proszę, stolniku dobrodzieju, że do sąsiadów dzisiaj nie pojedziemy. – Rokicki spojrzął prosiącym wzrokiem.

– Furda sąsiedzi! Jasiu, Maciu, gotowe już te konie, niecnoty jedne!?

*

Pozostawili w świetlicy zastygniętego nieruchomo Komarnickiego, któremu nie pomogło nawet przykładanie gorzałki pod sam nos, gdyż najwyraźniej nie chciał nabrać ochoty na powrót do życia i siedział

wgapiony w sufit takim wzrokiem, jakby wypatrył pomiędzy belkami coś niezwykle zajmującego.

– Orzeźwimy się trochę, nabierzemy apetytu... – oznajmił gospodarz.
– Dobrze nam się będzie dzisiaj działało...

– Panie stolniku dobrodzieju, czy pozwolisz zadać sobie pytanie? – zaczął Jacek Zaremba, który od samego rana chciał o pewną sprawę spytać stolnika, ale trochę nie miał śmiałości, a trochę uważał, że w gruncie rzeczy to nie jego rzecz.

Ligęza zerknął na podstarościego tak bystro, jakby nie opróżnił od rana kilkudziesięciu kielichów.

– Później, panie Jacku. Później będziesz pytał, o co zechcesz – obiecał i ścisnął ramię Zaremby. – Nie martw się, panie bracie, zdążymy porozmawiać, a wierz mi, że i mnie do tego pilno, bo jest o czym.

Jacek Zaremba tylko skinął głową, gdyż po takim responsie nie mógł już nalegać i naprawdę pozostawało mu jedynie czekać, aż stolnik zechce odpowiedzieć na pytania.

Wyszli na dziedziniec. Podstarości przymknął oczy i z rozkoszą odetchnął popołudniowym powietrzem, które niosło już ze sobą zapowiedź chłodnego wieczora. I miło było również wciągnąć głęboko w nozdrza zapach trawy, kwiatów i przesuszonej słonecznym dniem ziemi, a odpocząć wreszcie od zapachu zup, mięsów, kapusty, grzybów, sosów i chleba. Ba, miło było nawet odpocząć na tę krótką chwilę od słodkiego zapachu wina.

– Jezus Maria, Józefie święty! Anulka moja! – wykrzyknął nagle Ligęza głosem tak przeraźliwym, jakby bez mała ujrzał śmierć tańczącą na jego dziedzińcu z kosą w kościstych dłoniach. Poczzerwieniał tak, jakby za chwilę miała go trafić apopleksja.

Jacek Zaremba błyskawicznie zauważył, o co idzie i czego tak bardzo przeraził się pan Hieronim. A przeraził się tego, iż ogromny sługa pana Jacka, ów brodac z wypalonym okiem, klęczał w piachu obok jasnowłosej dzieweczki i mówił coś do niej. Tuż obok dziecka stała blada jak alabaster piastunka, a za plecami olbrzyma czaiło się trzech służących Ligęzy, każdy z wyciągniętym orężem. Tym trzem gorączkowo, choć cicho, tłumaczył coś młody sługa pana Jacka. Zaremba chwycił stolnika za nadgarstek i zatrzymał w miejscu.

– Daj waść pokój – wyszeptał z naciskiem. – Życiem ręczę, że żadna krzywda nie stanie się waścinej wnuczce. Waść odwołaj swych ludzi. Niech, na Boga, głupstwa żadnego nie uczynią!

Stolnik zasapał jeszcze, prychnął jakby trochę ze złością, a trochę z niedowierzaniem. Wreszcie rozluźnił się i uspokoił, widząc, że Moskwiczanie uśmiecha się do dziecka i tak okręca pochwę noża, by zdobiące ją kamyki błyskały w słońcu.

– Iwajło to srogi człek, lecz jedynie dla moich wrogów i dla każdego, kto zechce mu uczynić krzywdę – wyjaśnił Zaremba. – Ale wyjawię waści, że żadna piastunka tak się dobrze dzieckiem nie zajmie jak ten człowiek.

– Aż dziw bierze... – Ciągłe czujny Ligeza przyglądał się, jak olbrzym bierze dziecko na barana i hasa z nim na czworakach po podwórzu. Mała Anulka zaśmiewała się do łez.

– Wio, końku! – usłyszeli radosny dziecięcy głosik.

– Musiał mieć synka lub córeczkę, może rodzeństwo... – rzekł pan Jacek. – Nie wiem i nie pytam, bo to człowiek, który najwyraźniej chce zapomnieć o przeszłości. Nie wiem, kim był, chłopem czy kniazem, choć pewnie nikim ordynarnym, gdyż rękę ma do szabli zaprawioną tak dobrze, że nawet między naszymi fechtmistrzami ciężko by znaleźć kogoś, kto chociaż pacierz by mu strzymał. A i ja ledwie sobie z nim radzę, i to też jedynie wtedy, gdy nie pozwalam, by wykorzystał swą niedźwiedzią siłę.

– Aż dziw bierze – powtórzył stolnik, tym razem jednak nie tylko ze zdumieniem, lecz i nieskrywanym szacunkiem w głosie.

– Ano dziw.

Obaj drgnęli, gdyż zapomnieli już, że za ich plecami stoi Gideon Rokicki, a przypomnieli sobie o tym dopiero, kiedy ten otworzył usta, by włączyć się do konwersacji. Chudy szlachcic wyszedł za próg, a na jego twarzy błąkał się ledwo skrywany uśmieszek.

– Dziw, powiadam – powtórzył – gdyż każdy wie, że Moskwiczanie do szabli nienawykli jako do broni szlachetnym ludziom i szlachetnym narodom przynależącej. Ów Iwajło musi więc stanowić *exceptio*⁶⁰ wśród tej psiej nacji.

– Biedna to nacja, nie psia... – mruknął niechętnie pan Jacek.

– A czy pies, który służy nie za miskę stawy, lecz za plagę batogów nie jest biedny? – zapytał żarliwie Rokicki. – Czy naród trzymany w strachu, poddaństwie i ogłupieniu nie jest biedny? Czy ludzie, którzy żyją i działają nie *ex lege*⁶¹, a *ex gratia*⁶² cara nie są biedni? Ja, panie Jacku, nie przeczę, że Moskwiczanie to biedny naród. Ale *paucis verbis*⁶³ powiem raz jeszcze: psi. Bo nawet jeśli zbuntują się kiedyś przeciw swym

ciemieżycielom, nie zamieniają się w szlachetne orły czy w wolne wilki, a jedynie we wściekłe, zdziczałe sabaki – ostatnie słowo wypowiedział celowo z ruskim zaśpiewem – i przez tę dzikość staną się jeszcze bardziej niebezpieczni dla wszelkich narodów. Zwłaszcza dla takich, które podobnie do naszego *libertas in legibus*⁶⁴ nade wszystko sobie umiłowały.

– Amen – westchnął pan Hieronim.

– Amen – zgodził się niechętnie Zaremba.

Pan Jacek zdążył już poznać Moskviczan oraz moskiewskie obyczaje i wiedział, że to, co powiada Rokicki, jest najprawdziwszą prawdą. Oto bowiem był naród niewolników, którzy jedyną radość widzieli w obracaniu w niewolę wolnych narodów. Oto był naród kretynów, którzy z kretynstwa uczynili cnotę. Oto wreszcie był naród nikczemników pozbawionych godności, wiary oraz sumienia. Z Moskwy nigdy nie przyszło nic poza biedą, wszami, złodziejstwem i krzywoprzysięstwem. „Tylko gorzałkę Moskviczanie mają niezłą – wspomniał w myślach Zaremba – chociaż nie może konkurować z prawdziwie szlachetnymi trunkami takimi jak choćby gdańska wódka. I ruskie dziewczki są całkiem, całkiem – mimowolnie podkreślił węża – chociaż zwykle zajmowało trochę czasu, by je wpierw domyć”.

– A drugi ze sług waszmość pana? – Rokicki ciekawie zerknął w stronę niewysokiego pacholka, który uspokojony, że nic złego się nie dzieje, siedział na kamieniu i gryzł kiełbasę. – Też Moskviczanin?

– Nie, jego z Węgier sobie przywiozłem. Ale do jakiej nacji należy, nie wiem, bo tego on sam nie wie. Dziecięciem był, kiedy Turcy porwali go od rodziców i na koniu odchowali. Nie uwierzylibyście, waszmościowie, jak ten chłopak potrafi każdego konia, choćby najdzikszego, okiełznać. Jakby mowę ich rozumiał i sam w niej potrafił gadać.

Ligęza aż się odwrócił, by przyjrzeć się pacholikowi.

– Znałem ja podobnego człowieka, neapolitańskiego kawalkatora, który nawet perszerona umiał tak wyćwiczyć, że ten wdzięcznie tańczył niczym jaki deresz, a każdej komendzie był tak posłuszny, jakby ludzką mowę pojmował co do słoweczka.

– Któż wie, czy naprawdę nie pojmował – rzekł w zamyśleniu Rokicki. – Skoro w księgach piszą, iż są narody, gdzie ludzie mają psie głowy, to może są i takie konie, co ludzki język rozumieją.

– I ja tak sądzę – odparł pan Hieronim – bo skoro greccy i rzymscy autorzy tak często opowiadają nam o centaurach, znak to najpewniejszy, iż

podobne stworzenia musiały kiedyś żyć pod naszym niebem. A może i do dzisiaj żyją, któż wiedzieć może...

– Grzeczne chorągiewki dałoby się z takich centaurów sformować – Zaremba się uśmiechnął – bo, jak greccy podają autorzy, łucznicy byli z nich niezrównani.

– A delfiny wyćwiczylibyśmy, by we flocie Rzeczpospolitej służyły – wtrącił pan Hieronim na pozór poważnym tonem.

– Waćpan sobie dworujesz – Rokicki zamachał dłońmi – ale powiem ci tylko, żeś zły cel obrał. Bo nie od dziś wiadomo, że delfiny tak wielkim afektem darzą człowieka, iż niejednego już marynarza, który znalazł się *rebus in arduis*⁶⁵, uratowały od śmierci. Zwłaszcza jeśli modlił się on, gdyż są to bydłatka wielce czułe dla wszystkich, którzy wzywają imienia Pańskiego. Zresztą nas, naród szlachecki, szczególnie sobie upodobać powinny – dodał po chwili – gdyż podobnie jak my w słodkiej demokracji żyją, panów nad sobą nie znając. A króla, tak jak i my, obierają spośród swego rodzaju, wybierając najgodniejszego, którą to tradycję za *pupilla libertatis*⁶⁶ uważają. I król ów władcą się staje nie z urodzenia, lecz *virtute et exemplo*⁶⁷, którymi świeci swym poddanym.

– To do towarzystwa delfinów i centaurów przyjmijcie waszmość panowie jeszcze chimery i mantykory na służbę Rzeczpospolitej. A już wtedy wojsko będziemy mieć nad trzema z czterech żywiołów panujące – przemówił Hieronim Ligęza. – Ale powiem wam jedno: choćbyście wszystkie mitologiczne stworzenia do armii zwerbowali, niewiele minęłoby czasu, jak wszystkie zgodnie nogę by dały – głos starego szlachcica nie brzmiał już wcale żartobliwie, a nieoczekiwanie gorzko oraz ponuro – bo Rzeczpospolitej nie chimer trzeba, ale na czas ściąganych podatków. Nie delfinów, ale egzekucji praw. Nie centaurów, ale skruszenia panów i paniątek. Tych, którzy nie tylko króla, lecz i sejmu nie słuchają, a od obcych ambasadorów pobierają lafę, służąc przeciw interesowi Rzeczpospolitej.

– Oto słowa Katona – rzekł z równą powagą pan Gideon i westchnął głęboko. – Ciężkie terminy idą na Rzeczpospolitą – dodał i westchnął jeszcze głębiej i jeszcze żałośniej, po czym otarł oczy wierzchem dłoni – powiadam waćpanom, ciężkie.

Zaremba prychnął z lekceważeniem.

– Trzydzieści lat jeszcze nie minęło, kiedy mieliśmy przeciw sobie Szwedów, Moskali, Wołochów i Prusaków. I co!? – krzyknął, ze złością

uderzając pięścią w otwartą dłoń. – I co!? A to, że nie dość, że wszystkim kota popędziliśmy, że zmykali przed nami niczym zatwardziały grzesznik przed furiami, to jeszcze sześć lat temu największą armię, jaką Turczyn kiedykolwiek wystawił, zbiliśmy pod Wiedniem i ze szczętem żeśmy znieśli pod Parkanami. Taka żywotność jest w naszym szlacheckim narodzie! Więc waćpan – obrócił ciężki wzrok na podsędka – nie powiadaj byle czego. Ciężkie termina, pomyślałby kto! Ba! Król Jan Europy pan!

– Jeno słowo „kier” wyjdzie, proszę waszmość pana, gdy do pierwszych literek to zawołanie sprowadzisz – zauważył cichutko Gideon Rokicki. Kiedy jednak spostrzegł, że policzki podstarościego pokryły się purpurą, szybko dodał: – *Ut ferunt*⁶⁸ wrogowie naszego monarchy, których przecież nie brak nie tylko w Wiedniu, lecz również w Warszawie i Wilnie.

Zaremba mierzył Rokickiego długą chwilę wściekłym spojrzeniem, jakby chciał odnaleźć na twarzy oponenta choćby ślad kpiny, choćby cień szyderstwa, choćby trop złośliwości. Lecz chudy szlachcic popatrywał tak szczerze i odpowiedział panu Jackowi wejrzeniem jednocześnie śmiałym i niewinnym, że ten wysapał się i odwrócił wściekłe spojrzenie od podsędka, a rumieniec zszedł z jego policzków.

– To prawda, że naszemu królowi wrogów nie brakuje. Od cesarza po litewskich panów, którzy tylko patrzą, jakby tu swemu władcy wbić nóż w plecy – odezwał się wreszcie Ligeza, który do tej pory przypatrywał się adwersarzom bez słowa i spokojnie słuchał, co mieli do powiedzenia.

– Sapieha najgorszy z nich... – Jacek Zaremba zgrzytnął zębami.

– Dobrze mówisz, panie Jacku. Zdrajca to i kurwisyn, a prywatnie, której hołduje, na dno ciągnie naszą Rzeczpospolitą. – Stolnik skinął poważnie głową.

– Litwini insze mają zdanie – wtrącił nieśmiało Rokicki – a znałem takich, co daliby się za hetmana Sapiechę pokroić w plasterki.

– Bo godności w nich nie ma! – rzekł dobitnie Ligeza. – Wieszają się pańskiej klamki, piejąc pochwały tym wszystkim Radziwiłłom, Sapiehom, Pacom, Wiśniowieckim czy inszym książątkom.

– Racja niezbita – poparł gospodarza Zaremba.

– Książątkom, które jeszcze po drzewach na podobieństwo małp harcowały, kiedy my, polska szlachta, konno i zbrojnie biliśmy i Niemca, i Turczyna. Książątkom, których pradziadowie jeszcze w lepiankach mieszkali, kiedy nasi przodkowie wraz z Eneaszem opuszczali płonące

Ilium, by na gościnnej sarmackiej ziemi w końcu prawdziwy dom znaleźć!
– kontynuował z pasją Ligęza.

– Racja po dwakroć. – Pan Jacek znów przyklasnął gospodarzowi, trochę dlatego, że z grubsza się zgadzał z przeprowadzonym wywodem, a trochę dlatego, by swą zgodą na wygłoszone tezy dopiec Gideonowi Rokickiemu.

– Cesarzy i sułtanów rzucaliśmy pod stopy wolnego narodu! I dawno by tych litewskich książątek na świecie już nie było, dawno skamlałyby one pod butem moskiewskiego cara, gdyby wojsko za nasze podatki najmowane nie zwyciężało bitew dla Litwy. Za nasze podatki! – Tym razem pan Hieronim huknął potężną pięścią we własną pierś. – Za nasze, koronne!

Ligęza zamilkł, sapnął, jakby zrzucił z ramion wielki ciężar, po czym otrząsnął się z taką pasją jak niedźwiedź zrzucający z siebie atakujące psy.

– Kiedy waszmość pana słucham, wtedy *stricte*⁶⁹ w każde słowo wierzę. – Rokicki pokręcił głową w podziw. – Powiem tak: waść masz nie tylko senatorską głowę, co przecież wszyscy, którzy mają szczęście z tobą obcować, od dawna wiedzą, lecz i przyznać trzeba, że orator z waszmości prawdziwie niezrównany.

Zaremba zerknął szybko na pana Gideona, lecz nie zobaczył na jego twarzy nic poza szczerym oddaniem i niekłamany afektem. Ale znowu coś go ubodło w słowach tego człowieka, jakby pochwałą, którą wypowiadał, nie była tak naprawdę pochwałą, lecz szyderstwem lub drwiną, a najmniej żartem. Jednak w swym mniemaniu musiał być odosobniony, a Ligęza w głosie chudego szlachcica musiał usłyszeć jedynie szczerłość, gdyż poklepał go serdecznie po ramieniu.

– Gdzie mnie tam do senatorskich foteli – powiedział, podkreślając wąsa. – Ot, prostym szlachcic na zagrodzie, a tyle mojego rozumu, co z doświadczenia się wzięło. – Westchnął i wyraźnie posmutniał. – Starym już, waszmość panowie, nie ma co kryć, stary.

– Waszmość dobrodziej nas wszystkich przeżyjesz.

– Oby nie, panie Jacku, oby nie – odparł poważnym tonem – bo nieszczęśliwy to kraj, w którym starcy muszą chować młodzików, a ojcowie płaczą nad grobami synów. Tak, tak, nieszczęśliwy to kraj. – Pokiwał głową i westchnął potężnie. Po chwili milczenia kontynuował: – Każde stworzenie, czy człowiek, czy dzika bestia, musi kiedyś odetchnąć ostatni raz. Ja się nie buntuję przeciw boskiemu porządkowi rzeczy, panie Jacku, jeno czasem żal lat młodości. Tej siły, co w człowieku drzemała, tej

radości, że życie jest jak ciasto i mnóstwo jeszcze pozostało nam czasu, by ugnieść je wedle własnej woli. A teraz, waszmość panowie, owo ciasto mi między palcami wycieka i widzę, że co ugniotłem, to ugniotłem, ale wiele więcej już nie zdziałam...

Jacek Zaremba zdumiał się tą przemową, gdyż sam nigdy nad sprawami życia i śmierci aż tak poważnie się nie zastanawiał. Śmierć zawsze była żołnierską kochanką i choć wiadomo, że należało się jej wystrzegać, to przecież człowiek nic nie zaradzi, kiedy ta zagnie na niego parol. W starościńskiej służbie Zaremba też nie raz i nie dwa ryzykował życiem, bo w całej Rzeczypospolitej, ba, na całym świecie!, tak się sprawy układały, że strażnik porządku publicznego często zaskarbiał sobie wdzięczność tych, których bronił, ale jeszcze częściej nienawiść tych, których doprowadzał przed oblicze sprawiedliwości. A ci drudzy zazwyczaj byli znacznie potężniejsi od tych pierwszych i o wiele większe mieli możliwości wywarcia pomsty niż ich ofiary dania dowodów wdzięczności. Toteż panu Jackowi grożono przecież śmiercią, a nawet pewnej nocy jakaś nikczemna ręka wycelowwała do niego z muszkietu, lecz miał na tyle szczęścia, że kula zaledwie zdmuchnęła mu czapkę z głowy.

– Waćpan masz trzech dzielnych synów – rzekł po chwili. – Daj Boże, przekażą przyszłym pokoleniom pamięć o twych zasługach.

Ligęza przytaknął.

– Rodzina to rzecz święta i najważniejsza w życiu człowieka – stwierdził z nadzwyczajną powagą w głosie. – Ty, panie Jacku kochany, też musisz się wreszcie ustatkować, bo przecież rzecz niepodobna, by tak grzeczny kawaler żył cały czas pozbawiony rozkoszy małżeńskiego stadła.

– A ja waćpanom powiem, że jako wdowiec wielce sobie stan bezżenny chwalebny i po raz trzeci żenić się nie zamierzam – wtrącił Gideon Rokicki – gdyż rozkosze małżeńskiego stadła, jak to waszmość pan określiłeś, wydają mi się *in usu*²⁰ mało warte w porównaniu z kłopotami, jakie przynosi małżeństwo. Chociaż – wydał usta – *inter nos loquendo*²¹, wiem, że niejedna sikoreczka byłaby chętna, by mnie zaciągnąć przed ołtarz i gniazdko wspólne ze mną uwić.

– Oj tak, tak, oj tak – zgodził się z nim Ligęza. – Ja zawsze mówię, że my, wdowcy, jesteśmy niczym złote pierścionki dla tych sikorek. Tylko patrzą, żeby nas w dzióbek porwać i zanieść do gniazda.

– I z tej niewoli już nie wypuścić – dodał znacząco Rokicki.

– Pomyślałby kto, że za waćpanami sznury niewiast ciągną, a wy je ciągle odpędzacie ile tylko sił... – powiedział Zaremba rozbawiony słowami towarzyszy.

– Ech, panie Jacku, wiele by gadać – stolnik machnął ręką – ale ty przecież, jako kawaler o zacnej prezencji, pięknej przeszłości i niezłym mająteczku, też z pewnością musiałeś nie raz i nie dwa pasować się z niewieściami zakusami na swą wolność. – Spojrzał bystro w stronę podstarościego. – Powiedz! Nie tak było?

Zaremba rozłożył ramiona.

– Panowie bracia kochani, ja mam dopiero, za pozwoleniem bożym, trzydzieści dwa lata! Ani mi myśleć o żeniaczce, przynajmniej póki nie przekroczę wieku chrystusowego. Ojciec mój moją matkę pojął nie prędzej, niż na dwóch zasiadł krzeselkach. I ja też sądzę, że czterdzieści cztery lata to zacny wiek, by zacząć dumać nad założeniem rodziny, lecz przy tym dumaniu myślom nie pozwolić biec zbyt szybko, by losu nie kusić i nie złościć nadmierną pochopnością uczynków.

– Wiedz waszmość, że *amor vincit omnia*²² i prędzej czy później jakaś ptaszynka wymości waćpanu gniazdko – rzekł Rokicki tonem nieznoszącym sprzeciwu – i wierz mi, że raczej prędzej to się stanie niż później, boś kawaler nie tylko grzeczny, ale i, jak mówi pan Ligęza, majątny. Sąsiadeczki waszmość pana – obrócił się z uśmiechem w stronę gospodarza – to by pana starostę żywcem zjadły.

– Ba! – wykrzyknął Ligęza. – One by go rozdarły niczym psy biednego Akteona, który ośmielił się podejrzeć wdzięki Diany! Tyle że, panie Jacku, moje sąsiadki to by waści nie tylko dały swe wdzięki pooglądać – mrugnął znacząco – ale pewnikiem pozwoliły skosztować specjałów, które cnota powinna im kazać zachować na noc poślubną.

– Łudzą się te niewiastki, że jak dadzą nam pokosztować owej słodyczy, to zaraz o jeszcze będziemy prosić...

– A nie jest tak? – Ligęza zmrużył oczy.

– Gdzież tam, proszę waszmość pana! Ja już takie mam usposobienie, że skoro cukrów poprobuję, to mi wreszcie *ex abundantia*²³ słodko w gębie, więc zaraz bierze mnie ochota, by skosztować innego smaku i innego specjału. Bo powiedzcie sami, waćpanowie, co to za polowanie, kiedy się tylko jednego zająca ustrzeli? Co to za obiad z jednego dania złożony? Co to za uczta, na której dali ci jeden kielich wina? – Rokicki złożył dłonie jak do modlitwy i spojrział na towarzyszy takim wzrokiem, jakby ich

odpowieź mogła zaważyć na jego życiu. – No powiedzcie, *si placet*²⁴, waszmość panowie, powiedzcie sami: nie mam racji?

Ligeża klepnął pana Gideona z takim impetem, że ten aż się ugiął pod jego ciężką dłonią.

– Tylko ostatni kiep odmówiłby waćpanowi słuszności – przyznał – bo kiedy masz waćpan ogród pełen owoców i warzyw, to czy dzień w dzień chciałbyś żreć samą kapustę? Cóż to byłaby za przyjemność!?

– A nawet niechby to nie była kapusta, ale słodziutka kalarepka – dorzucił Rokicki – lub lepiej jeszcze: nagrzane od słońca brzoskwinki – mlasnął teatralnie – to nic to nie da, waćpanowie, nic, powiadam wam. Nie ma co ukrywać, wszystkowi człowiekowi może się przejeść i zacznie się rozglądać, by objawiła mu się jaka *grata novitas*²⁵. Kiedy dzień w dzień każą mu zjadać to samo, kiedy przymuszają go, to choćby najbardziej w tym niegdyś gustował, choćby najbardziej niegdyś tego właśnie pokarmu pragnął, rzecz owa obrzydnie mu do cna i jedynie *sub ferula*²⁶ zatrzymają go przy niechcianym specjale! I tylko sposobności będzie szukał, by napęłnić miskę innym delikatesem...

– Szkoda, że nasza święta wiara inną naukę przekazuje na temat grzechu cudzołóstwa – rzekł z przekąsem Zaremba.

– Wiaaara... Och, wiara. Spełnianie wszyściuteńkich przykazań wiary jest *procul dubio*²⁷ przeznaczone dla ludzi mocnych duchem, panie starosto. Ot, nie przymierzając, jak waćpan... A my, maluczcy, nigdy w swej pysze nie zajdziemy tak daleko, by chełpić się wiarą niezłomną niczym granit. Toteż pozostaw nam, z łaski swojej, panie starosto, prawo popełnienia *salvo honore*²⁸ małych grzeszków, niemal niewinnych, tak byśmy wielkich grzechów ustrzec się mogli. – Rokicki zatoczył koło rękoma, by pokazać tym wyraźniej, jak ogromne grzechy ma na myśli.

– Ja waćpanu nic do pozostawiania czy niepozostawiania nie mam – odparł dość ostrym tonem Zaremba. – Kogo waćpan tarmosisz w łożnicy albo na sianie, to waszmość pana sprawa, waćpaniego spowiednika i Boga, który nas wszystkich kiedyś na sąd pięknie zaprosi. I wtedy przed nim, nie przede mną, wszystkie swe argumenta wymownie wyłuszczysz. I życzę, by wtedy właśnie język ci w gębie przypadkiem nie zardzewiał.

W oczach Rokickiego błysnął gniew, podobnie jak przed wjazdową bramą, zanim Hieronim Ligeża wybiegł powitać pana Jacka. Ale i tym razem gospodarz był tym, który ostudził zapal obu dyskutantów.

– Hola, mości panowie! Wystarczy! – rozkazał ostrym tonem. – Wy o teologii nie rozprawiajcie, bo nie wasze głowy do tej materii. Jak chcecie, dam wam mojego księdza, a on jak zaraz udowodni, że pan Rokicki ma świętą rację...

Jacek Zaremba zachnął się, lecz Ligęza powstrzymał go podniesieniem dłoni.

– A jak mu obiecuję butelczynę najlepszego muszkatelu, to zaraz wykaże, że racja jest przy panu Zarembie. A jak mu inaczej jeszcze rozkażę, to zaraz was obu uzna za głąby kapuściane i inszą teorię wywiedzie, w którą wierzyć nam wszystkim każe w imię Boga.

Pan Hieronim stuknął knykciami w stół, by dodać znaczenia swoim słowom. A taka była w jego głosie stanowczość, że zarówno Zaremba, jak i Rokicki ścierpieli nawet owe „głąby kapuściane”, które w innym przypadku byłyby powodem co najmniej do obrazy.

– My nie jesteśmy od tego, waszmość panowie, by o grzechach gadać niczym ksiądz z ambony. My nie jesteśmy od tego, by pytać: co?, jak?, dlaczego?, i na podobieństwo dawnych Bizantyjczyków kłócić się o znaczenie każdego słowa Pisma. My jesteśmy, panowie bracia, od tego, by uczciwie żyć, dobrze gospodarzyć, a kiedy przyjdzie pora, bez wahania położyć głowę za umiłowaną naszą ojczyznę, która jak matka nas wykarmiła. No! – Ligęza spojrział po obu towarzyszach wzrokiem zarówno poważnym, jak i uważnym, jakby na którejs z twarzy szukał śladu sprzeciwu.

Zaremba i Rokicki zamierzali się sprzeciwiać. Obaj opuścili głowy i całe ich zaciętrzewienie wygasło w jednej chwili. Ale pan Jacek wiedział, że trudno mu będzie polubić Gideona Rokickiego. Bo co innego zgodnie z przykazaniem gospodarza w głupie spory z tym człowiekiem nie wchodzić, a coś zupełnie innego zgadzać się z nim w każdej sprawie.

*

Jacek Zaremba uniósł się w strzemionach.

– A co tam się dzieje? – Zmarszczył brwi. – Chłopi się biją czy co...

Jakby na zilustrowanie tego przypuszczenia do jeźdźców doszedł najpierw przepotężny, wściekły ryk brzmiający tak, że można by uwierzyć, iż wydobywa się z gardła piekielnej bestii, a zaraz potem zawtórowały mu krzyki strachu i przeraźliwe kobiece piski.

– A cóż to? *Latrones*⁷⁹ jacyś poczciwych chłopków waćpana napadli? – spytał pan Gideon.

– Moi chłopci w kaszę dmuchać sobie nie dadzą. – Ligęza pokręcił głową. – Jak zeszłego roku pobili się z orylami, którzy próbowali ich okraść, to następnego dnia pięciu trupów się doliczyłem. A moim chłopkom nic – rzekł z dumą.

– Pięć trupów, powiadasz waćpan? Prawdziwa bitwa – mruknął Zaremba i pokręcił głową. – Trzeba przyznać, że zażarci ci waćpana chamowie niczym psy obskakujące dzika.

– Bo i jak psy zostali wytresowani. – Stolnik poważnie skinął głową. – A poza tym wiedzą, że ja ich miłuję, więc i oni mnie miłują.

– To waćpan dobrodziej, jak rozumiem, podobnie do wolnomyślicieli sądzisz, że chłop jest człowiekiem takim jak my? – Pan Gideon szeroko otworzył oczy.

– Czemuż mam tak sądzić? – Ligęza spojrział pochmurnym wzrokiem na podsędka. – Ja tylko, proszę waszmości, mniemam, iż dobry gospodarz dba o każde stworzenie, które w jego posiadaniu się znalazło. O chłopca, o psa, o konia... A że chłop więcej wyrozumie od psa czy konia, to chyba się waćpan zgodzisz? Hm?

– I temu, że ma duszę, też chyba waćpan nie odmówisz? – dodał Jacek Zaremba.

– Abo tam wiadomo, kto ma duszę, a kto nie? – Rokicki wzruszył ramionami. – Przyznam jednak i *in promptu*⁸⁰ zgodzę się z waćpanem, że więcej potu można z człeka wycisnąć, kiedy z miłości pracuje, niż kiedy trzeba go batem do harówki przymuszać...

– Z niewolnika nie ma robotnika – mruknął Zaremba.

– *In extenso*⁸¹ z waćpanem się zgadzam. – Rokicki aż zaklaskał. – I na nadzorcach wtedy waść oszczędzasz, kiedy nie z musu, ale z wielkiej miłości lud prosty a głupi haruje na twe dobro.

Ligęza już miał coś powiedzieć, kiedy ze strony, po której pan Jacek dostrzegł chłopskie zbiegowisko, dobiegł ich uszu ryk jeszcze potężniejszy od poprzedniego i tak złowrogi, że człowiekowi, który samotnie i nocą podobny wrzask by usłyszał, z całą pewnością krew zmroziłoby w żyłach, choćby liczył się do najśmielszych rębaczy.

– Ki diabeł? – Zaremba, nie zdając sobie nawet sprawy z gestu, położył prawą dłoń na rękojeści króciicy, a w lewej mocniej ścisnął wodze.

Potem splunął i przeżegnał się, prosząc w myślach Boga o przebaczenie, że w chwili konfuzji użył czartowskiego imienia, zamiast prosić o pomoc świętych pańskich.

– Nie diabeł to, ale niedźwiedź – odparł z uśmiechem pan Gideon. – Ja ten ryk poznaję. Niedźwiedzia ktoś zezłościł albo dla zabawy psami szczuje.

– A skądżeż by się u mnie wziął niedźwiedź? – mruknął pan Hieronim. Nagle klepnął dłonią w kulbakę. – Wiem już! Coś mi tam mój Jasiak plótł, że widział Litwinów z wozami. Pewnie to oni niedźwiedzia przywieźli. Ale nic więcej nie wiem, bo temu mojemu Jaškowi gęba się nie zamyka i imaginujcie sobie, waćpanowie, że jak dać mu po łbie, to nawet sobie nie przerwie, odskoczy tylko w bezpieczne miejsce i dalej gada. – Westchnął i aż zakręcił głową, dziwiąc się takiemu wybrykowi natury. – Toteż nauczyłem się jednym uchem jego gadaninę wpuszczać, a drugim wypuszczać.

– Ja bym takiemu pacholłkowi jęzor uciał i... – warknął Rokicki.

– ... i którejs nocy obudził się z nożem pod żebrami – dokończył Zaremba złośliwie.

– Właśnie tak – przyznał rację podstaroścemu pan Hieronim. – Tylko głupiec służbę do nadmiernej przypuszcza konfidencji, ale też tylko głupiec nad miarę się sroży i straszy wszystkich swą surowością. We wszystkim, waćpanowie, trza znajdować złoty środek i umiar. A kierować się należy rozsądkiem, nie uczuciem, choćby i czasem złość człeka oślepiła.

Pan Jacek zgadzał się z podobnym pojmowaniem spraw, gdyż wiele się już w życiu napatrzył na różnych panów i panków. Jedni szlachcice pozwalali służbie na wszystko i do takiej konfidencji dopuszczali, że czasem nie wiadomo było, kto pan, a kto cham, kiedy sługa swego dziedzica najobelżywszymi obrzucał zniewagami lub nawet pięścią w ucho przyłożył czy groził czekaniem. Tacy panowie pozwalali służbie żreć i pić bez umiaru, a Boże przykazania lekce sobie ważyć. Zdarzali się jednak i drudzy, którzy wprowadzali w majątku taką dyscyplinę, iż rzekłbyś: nie dwór to szlachecki, lecz wojskowy obóz. U takich panów baty były często w robocie, a zdarzało się również, że nieposłusznego sługę kazali obwiesić czy zatłuc na śmierć kijami. Najgorsi jednak byli tacy, którzy nie wiedzieli, czy chcą wszystkich zjednać sobie wielką łaskawością, czy raczej przerazić ogromną surowością. I w zależności od humoru oraz ilości wypitych trunków a to srożyli się nad miarę, a to pobleżali wszystkim i we

wszystkim, a nikt nie wiedział, kiedy i jak szybko surowość zamieni się w łaskawość i na odwrót.

– No to zobaczymy sobie tego misia – zdecydował stolnik.

Szlachcice podjechali bliżej i zobaczyli trzech mężczyzn w szarych kapotach, którzy trzymali wrywającego się niedźwiedzia. Szeroka obroża opasywała szyję bestii, a od tej obroży ciągnęły się grube łańcuchy, które mężczyźni dzierżyli w dłoniach. Wyraźnie próbowali namówić miśka, by wszedł pod dach okazałej chałupy, lecz ten zapierał się i ryczał, jakby go zarzynano żywcem. Gromadka chłopów trzymała się o ładnych kilkanaście kroków od przerażającego widoku i niedźwiedzia, którego srogość musiała napępiać ich wielkim strachem. Nie dość jednak wielkim, by przemóc ciekawość, która kusila: „zostań i zobacz, co stanie się dalej”. Poza tym trzej Litwini sprawiali wrażenie ludzi obeznanych z zachowaniem niedźwiedzi i widać ufano im, że nie puszczą łańcuchów przytrzymujących srożącego się potwora.

Hieronim Ligęza prychnął.

– A cóż ci niegodziwcy wyczyniają? – zapytał głosem, w którym zaczynała już wibrować złość. – Czegóż oni chcą od mojego sołtysa?

– To najbogatszy chłop we wsi? – zapytał Jacek Zaremba.

– A co ma jedno... Tak, panie Jacku, najbogatszy.

– Dajże mi waćpan zakończyć tę sprawę z zadowoleniem dla wszystkich. – Podstarości uśmiechnął się i podkręcił wąsa.

– Proszę – odparł zdziwiony stolnik.

– Wać o tej sztuczce nigdy nie słyszałeś? – zagadnął szybko podsędek, kiedy Zaremba jechał stępą w stronę Litwinów, a chłopci powoli rozstępowali się przed jego wierzchowcem, który przyuczony był do tego, by ruchami łba robić sobie miejsce pomiędzy ludźmi.

– Sztuczce z niedźwiedziem?

– Ano tak. Przy ruskiej i litewskiej granicy to znany *iocus*⁸². Oto niedźwiedznicy oprowadzają zwierzę po wsi i przechodzą z nim przez próg każdej chałupy, gdyż wierzą i innym każą wierzyć, że niedźwiedź będzie się wzdragał przed wejściem do domu, gdzie *malus animus*⁸³ grasuje.

– Czyli mówią ci ludzie, że u mojego sołtysa niedźwiedź wyniuchał złe duchy? – Ligęza zmarszczył brwi.

– Właśnie tak, proszę waszmość pana. – Pan Gideon uśmiechnął się szeroko. – A wypędzenie tych duchów wiele kosztuje, gdyż robota to

trudna, niebezpieczna, mało kto potrafi jej się podjąć i jej sprostać. Toteż kiedy niedźwiednicy będą chcieli odejść, sołtys, *volens nolens*⁸⁴, sam zacznie ich błagać, by przegnali duchy panoszące się w jego obejściu.

Ligęza pokręcił głową.

– No patrzże waszmość, że ja o podobnej krotochwili nie słyszałem.

– Obedrą biedaka do gołej skóry.

– A potem niedźwiedź przejdzie przez próg?

– Zgadza się, proszę waszmości. Tak tę bestię przyuczyli, że kiedy odpowiednio ruszyć łańcuchem, to ryczy, sroży się i zapiera w miejscu. Ale kiedy ruszyć nim inaczej, to misiek *ex improviso*⁸⁵ stanie się potulny niczym cielątko i wszędzie wlezie za swym poganiaczem.

– Trzech ich jest! Trzech, jasnie panie! – zawołała jakaś baba kilka kroków od nich, a tak głośno i tak niespodziewanie, że Rokicki omal nie podskoczył w siodle.

Stolnik odwrócił się z zagniewaną twarzą.

– A ty czego, głupia, wrzeszczysz?

Babę chwycił za ramię chłop, zapewne mąż, i mamrocząc słowa pokornych i uniżonych przeprosin, odciągał ją, aby dalej od pana dziedzica.

– Litwin mówi, że trzech ich jest, tych diabłów! – krzyknęła niezrażona. – Jeden to Maciek, drugi Jantoni, a trzeciego wołają Merdasiński!

Chłop przylał babie w ucho, a ta odwróciła się w jego stronę i wyjąc niczym zmora, chwyciła go za kudły. Ligęza bodnął piętami końskie boki, podsędek pojechał w ślad za nim.

– Zobaczymy, jak pan Zaremba zechce tę komedię zakończyć. – Stary szlachcic zerknął trochę zły i trochę rozbawiony w stronę Litwinów.

Rzeczony pan Zaremba tymczasem spokojnie konferował z niedźwiednikami. Najwyższy i najstarszy z nich pokornie, z czapką przytuloną do kolan i opuszczonym wzrokiem, coś mu tłumaczył. Zapewne to samo, co podsędek Rokicki przed chwilą wyjaśniał Ligęzie, tyle tylko, że opiekun bestii na pewno przekonywał o prawdziwości istnienia złych mocy. Niedźwiedzia odciągnięto na bok, by rykiem nie przeszkadzał szlachcicowi.

– No, sołtysie – rzekł Zaremba, patrząc na porządnie odzianego chłopca, który trzymał się dwa kroki dalej i spoglądał spode łba – sprawa, jak widzę, jest poważna i będziesz musiał pewnie zapłacić fortunę, by ten człowiek zechciał dla ciebie narażać zarówno życie, jak i duszę.

Litwin wykrzywił twarz, jakby go nagle rozboleły wszystkie zęby i smętnie skinął głową.

– Złe duchy prosto do piekła mogą mnie porwać, jaśnie wielmożny panie, jeśli choć słoweczko pomylę w zaklęciach lub modlitwach – powiedział, mnąc czapkę. – Nawet gdyby dawano mi górę złota, nie wezmę się za to. – Pokręcił głową. – Strach, jaśnie panie. Do tego domu strach wejść, a co dopiero w nim mieszkać. – Wzdrygnął się, jakby owiany lodowatym wichrem. – Lepiej już w łeb sobie, jak to mówią, palnąć albo na jakiej gałęzi się obwiesić...

Jacek Zaremba pokiwał głową.

– I ja czuję tu coś... – wciągnął powietrze nosem – złego.

Sołtys o mało się nie rozplakał, chłopska gromada, do której doszły słowa szlachcica, zaszemrała ze zgrozą, a jakaś kobiecina rozdarła się w tak przeraźliwym krzyku, że mogłoby się zdawać, iż duchy do spółki z niedźwiedziami wyrwają z jej piersi ostatnie tchnienie.

– Zdarzyło mi się raz, że pojmałem pewnego ruskiego czarnoksiężnika, który niedźwiedzi i wilków niczym koni używał – rzekł pan Jacek głośno – a ze złych duchów kpił sobie i szydził, zmuszając je, by buty mu czyściły, a w skwarne dzień by muchy od niego odpędzały.

Sołtys podniósł głowę z nieśmiałą nadzieją, natomiast chłopci zaszemrali tym razem trochę z podziwem, trochę z zadowoleniem.

Jacek Zaremba, zadowolony z efektu, jaki wywołały jego słowa, kontynuował:

– Czarnoksiężnik ten w zamian, że mu życie darowałem, zdradził mi wiele tajemnic i mrocznych zaklęć, których jednak nie używam, nie używałem i używać nie będę, gdyż z Panem Bogiem zawarłem przymierze i przymierza tego nigdy nie zdradzę. – Podstarośći przeżegnał się uroczyście, a wszyscy, którzy go słyszeli, powtórzyli ten gest. Nawet stary Litwin, podejrzliwie przypatrujący się panu Jackowi, również nie ośmielił się postąpić wbrew gromadzie. – Ów Rusin opowiedział mi jednak o sposobie, który mogę wam zdradzić, nie narażając ani swojego, ani waszego zbawienia – głos Zaremby brzmiał teraz tak poważnie, że kilku chłopów, tych najbliższych stojących, aż cofnęło się o krok. Stary Litwin przypatrywał się szlachcicowi coraz bardziej posępnym wzrokiem.

– Jakiż to sposób, panie Jacku? – Ligęza postanowił włączyć się do zabawy, gdyż wielce był ciekaw, jak zakończy się ta komedia.

– Jeszcze potężniejszy od żywego niedźwiedzia jest duch niedźwiedzia – oznajmił Zaremba. – Ten duch nie tylko wszelkie upiory przegna precz, lecz będzie czuwał nad bezpieczeństwem domu. Wystarczy tylko to zwierzę – podstarość wskazał uspokojonego niedźwiedzia – ubić, a jego truchło zakopać pod progiem...

– Nie! – wrzasnął stary Litwin.

Jacek Zaremba ściągnął wodze tak szybko i tak zręcznie, że jego wierzchowiec huknął niedźwiedznika głową prosto w pierś i obalił na ziemię. Litwin upadł w piach.

– Śmiałeś przerwać szlachcicowi, chamie! – warknął. – Zrób tak raz jeszcze, a pójdziesz najpierw na gałąź, a potem pod próg razem ze swoim niedźwiedziem.

– Łaski, jasnie panie! – Stary pozbiierał się z ziemi i ukląkł, pochylając nisko głowę. – Ulituj się, wielmożny kasztelanie. Toż ja tego Miskę od małego wychowałem, toż mlekiem niczym matka rodzona go karmiłem. – Mężczyzna chlpał pomiędzy słowami. – A ileż mnie kosztował! Majątek, jasnie panie. Jeśli go zabijecie, z czego będę żył ja i moi synkowie? Przecież żyjemy tylko dlatego, że Miska umie tańcować i sztuki pokazywać, za które ludzie i w miastach, i na wsiach chętnie płacą. Ulitujcie się, wielmożny rycerzu, nie krzywdźcie niewinnych.

Jacek Zaremba pokręcił głową.

– Sołtysowi i jego rodzinie zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. Sam tak mówiłeś i wszyscy to dobrze słyszeli, czyż nie? Czy myślisz, że postawię życie bezrozumnej bestii nad życie tego tu... – Machnął w powietrzu palcem.

– Maćka Pijawki – podpowiedział Ligęza.

– Maćka Pijawki – powtórzył Zaremba – który chociaż cham, to jednak w odróżnieniu od dzikich bestii posiada duszę.

– Ja wygnam te duchy! – wrzasnął Litwin. – Za darmo wygnam, obiecuję! Tylko oszczędźcie Miskę, jasnie panie, błagam was. Spójrzcie tylko, jakież to poczciwe zwierzę. – Pokazał palcem na niedźwiedzia, który siedział na trawie niczym człowiek, w prawej łapie trzymał kawałek ciasta, lewą oganiał się od latającej mu przy pysku pszczoły.

Pan Jacek pomyślał, że zwierzak naprawdę wygląda pociesznie, lecz nie uśmiechnął się mimo tego – a może właśnie dlatego, że w chłopskiej gromadzie rozległy się chichoty, śmiechy i rozbawione prychnania, a chłopci

zaczęli sobie pokazywać niedźwiedzia palcami i najwyraźniej lęk przed dziką bestią ustąpił miejsca wesołości. Zresztą Jacek Zaremba wiedział, że chłopci częstokroć zachowywali się niczym dzieci. Śmiali się, a zaraz potem popadali w rozpacz, obściskiwali kogoś, a po chwili zdzielili go pięścią, nienawidzili tak samo mocno, jak przed momentem kochali. Byli i niebezpieczni, i pocieszni zarazem, a podstarość uważał, że należy traktować ich trochę jak psy, trochę jak dzieci, a trochę jak bydło, które czasem przecież wymaga krzyku i bizuna, a czasem by pozwolić mu poleniuchować na pełnym świeżej trawy pastwisku. Możliwych znęcających się nad swymi chłopami pan Jacek nie lubił i chociaż nosa w nie swoje sprawy nie wtykał (bo przecież rzecz to dziedzica, co ze swymi chłopami zechce wyprawiać, i święte prawo szlacheckie, by mieć władzę nad życiem oraz śmiercią poddanych), to potrafił dać takiemu jednemu czy drugiemu okrutnikowi wyraźnie poznać, że podobnym towarzystwem pogardza, a jego samego ma za hetkę-pętelkę. Bowiem – choć czasem ciężko było w to uwierzyć – to przecież chłopci również mieli dusze i po życiu pełnym pokory oraz oddania mogli zasłużyć sobie na rajska wieczność. Podstarość nie wierzył wprawdzie, by niebo mogło być jednakie dla panów i dla chamów (bo cóż mogliby wspólnie czynić chłopci i dziedzice?), lecz ufał, że jest takie miejsce w raju, w którym chłop może do woli robić to, co lubi najbardziej, czyli leżeć w ciepłej trawie, wpatrywać się w wędrujące po niebie obłoki i gmerać sobie patykami w zębach.

– I jak tam, sołtysie? – spytał Jacek Zaremba.

Z olstra przy końskim boku wyjął króciwą i sprawdził lufę pod światło. Stary Litwin, widząc te zabiegi, zajęczał szczególnie żałośnie.

– Wolicie, żeby ten tutaj – podstarość machnął króciwą w kierunku niedźwiedznika, a starzec padł na ziemię, widząc migającą mu przed oczami broń – duchy przegnał, czy chcecie mieć niedźwiedzia, by was strzegł? Mnie tam za jedno. – Splunął pod końskie kopyta, zmrużył oko i przymierzył do niedźwiedzia.

Dwaj młodszy Litwini osłonili zwierzę własnymi ciałami. Jeden złożył dłonie jak do modlitwy, a drugiemu łzy wielkie niczym groch ciekły po białych policzkach.

– Łaski, panie! – wrzasnęli jednym głosem.

– Ot, durne pacholki – mruknął Rokicki – życie bezrozumnej bestii nad własne przedkładają.

– Jaśnie panie, ten zwierzak to dla mnie jak trzeci syn. Darujcie! – zajęczał stary Litwin.

– Znając osławioną urodę Litwinek? Hmm... Szczera *veritas*⁸⁶ to może być. – Pan Gideon się zamyślił.

– Dobrze. – Jacek Zaremba zdecydował się nie przedłużać komedii i schował króciwą do olstra. – Wypędź w takim razie duchy, ale... – pogroził starcowi palcem – mają być wypędzone tak dobrze, żeby niedźwiedź tańcował z radości, wchodząc do domu sołtysa. Rozumiesz?

– Rozumiem, jaśnie panie! – Litwin padł na kolana. – Niech Bóg jaśnie panu wynagrodzi i w majątku, i w dzieciach, i w żonce...

– No, no. – Pan Jacek już żartobliwie pogroził Litwinowi palcem. – Nie zapędzaj się w tych życzeniach, żebyś czegoś nie w porę nie powiedział.

– A złych duchów więcej na mojej ziemi już nie szukajcie – przykazał surowym tonem Ligęza – żeby się wam samym co złego przypadkiem nie przytrafiło.

Niedźwiednik zbladł i skłonił się głęboko, do samej ziemi.

– W tej chałupie wszystkie paskudniki na wiec się zgromadziły – wymamrotał – ale kiedy je wygonię, ani jeden już nie pozostanie.

– Czemu wybrały sobie właśnie chałupę sołtysa? – Pan Hieronim wpatrywał się w Litwina spod nastroszonych brwi.

– Bo chciały zaszkodzić tak zacnemu człowiekowi! – wrzasnął Litwin, a Jacek Zaremba pomyślał, że ta celna odpowiedź, idąca po myśli dziedzica, świadczyła o żwawym umyśle niedźwiednika.

Maciek Pijawka rozpromienił się, uniósł głowę i pociągnął spojrzeniem po gromadzie. Kilku chłopów pod wpływem tego wzroku opuściło oczy.

– Zostań z Bogiem, Macieju – rzekł Ligęza, a sołtys pochylił się do jego strzemięcia.

Później Pijawka podbiegł do pana Jacka, który nawracał już konia, i ucałował dłoń młodego szlachcica.

– Pokornie dziękuję, jaśnie panie – wyszeptał, a w jego głosie brzmiała niekłamana wdzięczność – obdarłyby mnie te łotry do żywego. Niech Bóg jaśnie pana błogosławi.

Podstarości łaskawie skinął mu dłonią, potem zawadiacko podkręcił wąsa i mrugnął do Ligęzy.

– Już wierzę, że prędko oni tu nie powrócą – rzekł – ale powiedz no mi – obrócił się jeszcze w stronę chłopca – czemu żeś ich nie przegnał, skoro wiesz, że to oszuści i jako żywo kłamią, bo żadnych duchów w twojej chałupie nie ma?

– Jaśnie panowie o tym wiedzą i ja o tym, z całą pokorą, wiem – odparł Maciek – ale kto by to gromadzie przetłumaczył? Myśleliby, że tylko próbuję ocalić pieniądze. Nie uwierzyliby, że duchów nie ma. – Zafrasowany pokręcił głową. – Kto by przyszedł do sołtysa, w którego domu złe harcuje? Kto by takiego sołtysa szanował? A nie daj Boże – obniżył głos – jakby co się we wsi stało. Jak nic wina byłaby niby moich duchów...

– A od stwierdzenia „twoich duchów” do stwierdzenia „twoja” krótką by już była droga – rzekł zamyślony Zaremba.

– Właśnie tak, proszę łaski jaśnie pana, właśnie tak. Dlatego pokornie i uniżenie waszej wielmożności dziękuję.

Podstarości łaskawie zezwolił, by mu dłoń znowu ucałowano, po czym obrócił się w stronę Ligęzy. Pan Hieronim nie słuchał rozmowy Zaremby z Maćkiem Pijawką, gdyż wpatrywał się w rozprawiającą coś ze śmiechem młodziutką dziewczynę. Dziewka stała daleko, więc nie było słyhać, co mówi, ale za to widać było, że twarz ma śmiałą i wesołą, piersi niczym dzwony kościelne, a pośladki kształtem przypominające przytulone do siebie kopuły ruskich cerkwi.

– A któżże to? – Stary szlachcic obrócił się w stronę sołtysa.

Ten wyszczerzył w uśmiechu poszczerbione zęby.

– Któżby, jaśnie panie, jak nie Hanka od Młynkowej!

Ligęza zeskoczył z konia nadspodziewanie żwawo jak na swój wiek i tuszę.

– Nie gadaj!

– Panu Bogu przysięgam! – Maciek uderzył się w pierś, aż zagrzmiało.

– Jaśnie pan kazali na nią chuchać i dmuchać, toż dbamy o nią niby o jaką wielką damę. Ptasiego mleka jej chyba tylko braknie!

– Dobrze! – Ligęza klepnął sołtysa w plecy z ukontentowaniem, a ten aż pokraśniał z dumy, nie tylko z tego powodu, że sam dziedzic był z niego zadowolony, ale i dlatego, że gromada widziała ten przejaw pańskiej łaski. – Czas, by dziewczka nabyła trochę ogłady – powiedział po chwili pan Hieronim – i potem dobrze ją wydamy za męża. Kto wie, czy jakiś godny

szlachcic jej nie przygarnie, jeśli posagiem mu w oczy zaświecę. – Spojrzał na Zarembę. – Jak waćpan sądzisz?

– Dziewka jest wielkiej urody, waszmość panie, to można i trzeba przyznać. A takiej piękności łatwo nawet znacznego szlachcica na haczyk złapać, kiedy wie, gdzie wędkę zarzucić i jak przynętę od nosa mu odsuwać, póki przed ołtarzem nie stanie. Niech tylko nie da byle komu się otumanić, a herbowe dzieci będzie niańczyła.

– O, już ja nikomu ogłupić jej nie pozwolę. – Ligęza się uśmiechnął. – Przyślij ją, Macieju, do dworu. Czas najwyższy, by dziewczyna ze światowym życiem się otrząsała.

– Stanie się wedle woli jaśnie pana. – Pijawka pochylił nisko głowę, a potem szybko opadł na czworaki, by pan Hieronim mógł wyświadczyć mu tę grzeczność i po jego grzbiecie wspiąć się na konia.

Ligęza rozparł się wygodnie w siodle, które specjalnie na miarę jego znacznej przeciwieź figury było przygotowane.

– Nagroda, Macieju, cię nie minie – obiecał. – Porozmawiam z dziewczką i jak mi się spodoba, co usłyszę, to, Bóg mi świadkiem, nie pożałujesz, żeś wiernie wedle mojego rozkazu działał.

– Niech Bóg jaśnie panu wynagrodzi dobre serce. – Maciej tym razem ucałował żółciutką cholewę jaśniepańskiego buta, po czym oddrałował w stronę gromady, zapewne po to, by wydać szczegółowe dyspozycje dotyczące wysłania dziewczyny na dwór dziedzica.

– A ta waszmość pana Ewka nie zagniewa się? – zagadnął Jacek Zaremba, który wiedział, że nie należy wściubiać nosa w cudze sprawy, ale nie mógł się przed pytaniem powstrzymać. – Wybacz, waszmość panie dobrodzieju, że to mówię, lecz sam twierdziłeś, iż...

– Panie Jacku, toż owa Hanusia to moja córka! – Ligęza aż poczerwieniał. – Z jej matką sprawy miałem. Akurat będzie szesnaście lat, jak mi posługiwała i z tego posługiwania Hanusia się narodziła. Córka z nieprawego łoża, ale zawszeć moja krew. Muszę zadbać, by na zmarnowanie nie poszła, bo już by mnie Bóg w niebie kazał dziarsko swym aniołom monitorować, gdyby się dowiedział, że krew z mej krwi i kość z mej kości na poniewierkę wydałem.

– Wybacz, waszmość panie stolniku dobrodzieju. – Podstarości czuł, jak palą go policzki ze wstydu. – Nie wiedziałem. Racz przyjąć najszczerze przeprosiny.

– Nie ma za co, panie Jacku, nie ma za co. – Ligęza się rozpogodził. – Przecież sam widzę, jakaż to dziewczucha wyrosła z tej mojej Hanusi. Eeech, gdybyż to nie była córka moja rodzona, sam bym ją chętnie pod kołdrę położył.

– Tureckim obyczajom musiałby chyba hołdować ten, kto by jej położyć nie chciał! – zawołał Rokicki. – Kraśna dziewczucha, powiadam waszmości. *Semper beatus*⁸⁷ będzie ten, komu dziewczka na umizgi pozwoli. A od razu też widać, co waszmość nie pogniewasz się, iż *cum debita reverentia*⁸⁸ dodam, że waćpana krew płynie w jej żyłach. Bo przecież ma w twarzy jakąś pańską godność i śmiałość, a nie przyrodzoną chłopom tępotę powodującą, że jednego chama od drugiego nie odróżnisz, gdyż każdy, kubek w kubek, jak *aries*⁸⁹ wygląda.

Jacek Zaremba ponownie nieco podejrzliwym wzrokiem łypnął w stronę podsędka, ale on na twarzy wymalowany miał wyraz szczerzej życzliwości. Zresztą w stronę pana Jacka wcale nie patrzył, lecz z uśmiechem przyglądał się roześmianej dziewczynie. Stolnik też jeszcze zwrócił spojrzenie ku Hance i przyglądał jej się z uśmiechem oraz wyraźnym ukontentowaniem.

– No, udała mi się dziewczka, nie powiem, udała. – Z nieukrywaniem i niekłamaniem zadowoleniem przyjął komplementy Rokickiego. – Rzekłbyś: z morskiej piany się narodziła, a nie w wielkopolskiej chałupie.

Przyglądali się jeszcze chwilę młodej piękności, po czym stolnik potrząsnął głową.

– No, jedziemy! – rozkazał. – Galopem, waściowie, galopem! Czas koniki trochę przegonić! I brzuchy wytrząsnijcie, żebyście rychło nie mieli podobnego kałduna do mojego – zaśmiał się rubasznie – bo mnie wolno, gdyż starym. A wy, młodzi, macie być niczym dębczaki! – Obrzucił spojrzeniem chudego i niskiego Rokickiego. – Albo jakoś tak... – dokończył, bodnął końskie boki i ruszył klusem, który zaraz przeszedł w ciężki galop.

Zaremba i Rokicki nie mieli innego wyboru i podążyli za nim, chociaż pan Jacek nadal czuł, że śniadanie i obiad zalegają mu w brzuchu niczym polne głazy rzucone na miękką ziemię. Nie był przyzwyczajony do takiego obżarstwa, gdyż z reguły starał się zachowywać wstrzemięźliwy umiar. Ale przy Ligęzie słowa „umiary” i „wstrzemięźliwość” wydawały się nie istnieć. I nagle podstarość przypomniał sobie, jaki obyczaj miał trzy lata wcześniej pan Hieronim.

– Co z piątkowym postem? – zagadnął Rokickiego. – Pan stolnik nadal surowo obchodzi posty?

Pan Gideon pokiwał głową.

– Tylko piwo *et pisces*⁹⁰ – rzekł, po czym spojrzał poważnym wzrokiem na podstarościego – bardzo dużo piwa i bardzo dużo ryb. I raki – dopowiedział jeszcze cicho. – Lepiej nie przypominaj mi, waszmość, o jedzeniu, bardzo cię proszę, bo *in praesenti*⁹¹ słabo mi się robi na samą myśl o nim...

Kiedy odjechali już kilkaset kroków od chłopskiej gromady, pan Hieronim zwolnił bieg wierzchowca do stępa i położył dłoń na ramieniu Zaremby.

– Dobrześ zrobił, panie Jacku, ratując z opresji moich chłopków, i dziękuję ci za to.

– Cieszę się, że mogłem pomóc, bo przecież skoro chcieli okraść waćpanowych chamów, to tak, jakby samemu waćpanowi złoto ze skrzyni zamierzali wyciągnąć.

– Słusznie! – zawołał Rokicki wesoło. – Dobrze gada ten szlachcic. Dać mu gorzałki!

I już sięgnął w zanadrze, wyjął skórzany, szamerowany srebrnymi nićmi bukłaczek i podał go podstarościeму.

– Gdańska wódka, najlepsza na świecie – pochwalił z dumą, jakby bez mała sam ten trunek pędził.

Zaremba podziękował uśmiechem, przyjął bukłak i łyknął trzy razy. Pierwszy raz ostrożnie, tylko by posmakować, czy gorzałka aby naprawdę taka dobra, jak powiadał Rokicki, drugi raz już potężnie, gdyż smak zgadzał się z obietnicą, a trzeci raz długo i z namaszczeniem, by podniebienie i gardło dobrze sobie zapamiętały delikatność trunku, a sam trunek porządnie w żołądku się wymościł oraz rozgościł.

Jechali potem niespiesznie, oglądając włości stolnika, a sam pan Hieronim niezmiernie perorował – opowiadał o swych wsiach, lasach oraz stawach i widać było, że dumny jest nie tyle z bogactwa, ile z tego, że pod jego właśnie ręką kraj ten rozkwita.

Kiedy słońce przechyliło się już daleko ku zachodowi, znacząc niebo krwawymi barwami, stolnik zatrzymał nagle konia i zaniuchał niczym ogar na tropie.

– Czas do domu – zawyrokował – bo w brzuchu mi dudni niczym w Hefajstosowej kuźni.

Panu Jackowi co prawda przeszło już poczucie nasycenia i wypełnienia, ale daleko mu jeszcze było nie tylko do uczucia głodu, lecz nawet do przelotnej ochoty na przekąskę. Rokicki zerknął szybko w stronę podstarościego i zamrugął.

– Panie stolniku dobrodzieju, tak waćpan pięknie opowiadasz nam o swej ziemi, że i do nocy mógłbym słuchać słów wynikających z tak szczerzego afektu.

– Tak jest, tak jest – przytaknął szybko Zaremba.

– No, prawda? – Stolnik podparł się dłonią pod bok i potoczył wokół dumnym wzrokiem posiadacza. – Przyznam, że pięknie tu. Tu się urodziłem, tu żyłem i tu złożę kości. Tak mi dopomóż Bóg.

– Oby nieprędko, proszę waszmości, bo jesteś skarbem dla tego kraju, temu nikt nie zaprzeczy.

– A gdyby nawet zaprzeczył, zaraz czeka go bigosowanie! – zakrzyknął wesoło Rokicki i poklepał szablę.

– No to jeszcze waćpanom pokażę moje stawy rybne, bo pięknie urządzone wedle niemieckiego porządku, jako że Niemcy hodowlę ryb podnieśli do znamienitego poziomu.

– Z radością obejrzymy te stawy! – zakrzyknął szybko Rokicki, a Jacek Zaremba zaraz i łatwo zgodził się ze słowami podsędka.

*

Trzej szlachcice wrócili dopiero późnym wieczorem, a w czasie powrotnej drogi zarówno Jacek Zaremba, jak i Gideon Rokicki wychwalali to, co zobaczyli, i rozpływali się nad gospodarnością stolnika oraz bogactwem jego włości.

– Pewnie, że nam tu, w Wielkopolsce, łatwiej, bo ziemię mamy żyzną, a lud gospodarny – stwierdził Ligęza – ale macie rację waszmościowie, że prócz dobrej ziemi i pracowitego ludu trzeba również dobrego gospodarza – stwierdził bez zbędnej skromności. – Ze złym gospodarzem najbogatsza ziemia popadnie w ruinę, a najuczciwsze chłopki zamiast o pracy zaczną myśleć o złodziejstwie i awanturach.

– Racja, panie stolniku dobrodzieju, święta racja – przytaknął pan Jacek. – Nie raz widziałem takie majątki, że złoto powinno się z nich sypać,

a straszyły jakby po jakiej wojnie. Lud pijany, pola pełne chwastów, bydło głodne i chore, brud, smród i bieda, krótko mówiąc. A czemu to wszystko?

– Bo gospodarza nie było – odgadł Rokicki.

– Właśnie tak. Bo gospodarza nie było, który mocną ręką trzymałby wszystko w ryzach.

– Patrzcie waszmościowie, jakżeż ten świat jest zbudowany, że nam, szlachcie, najbardziej, niczym powietrze, potrzebna jest chwalebna libertas⁹². A z kolei chamstwo, by przeżyć, potrzebuje smyczy oraz bata. – Podsędek pokręcił głową.

– Wolność nie dla każdego została stworzona – zauważył Jacek Zaremba.

– Ano nie dla każdego – zgodził się łatwo Rokicki – bo przecież chociaż wolność jest słodka niczym lukier, to niektórym łatwo przekroczyć finem et modum⁹³ w korzystaniu z niej. I taki cham lukrem obeżre się bez opamiętania, aż się pochoruje i porzyga...

– Słusznie, panie Gideonie. Tak jak nie każdemu dobrze w sobolach i aksamitach, tak nie każdemu wolność przypasuje. Przecież pies chowany w domu, jak go wygnasz wolno do lasu, to tylko zdziczeje na tej wolności. I nie dość, że nie zyska żadnej szlachetności obyczajów, to wręcz przeciwnie: groźnym stanie się wrogiem i dla człowieka, i dla zwierzęcia. Takież samo jest z chłopem. Potrzebuje on budy i miski, to prawda, ale kiedy trzeba, to smyczy i bata też mu nie wolno żałować.

– Z ust waszmość pana dobrodzieja *sapientia*⁹⁴ spływa niczym źródłana woda z krynicy – zachwycił się Rokicki, a Jacek Zaremba znowu spojrzął szybko, choć nienachalnie w stronę podsędka, by sprawdzić, czy za pochwałą nie kryje się drwina. Ale nie, wydawało się, że pan Gideon jest z serca szczerzy i nie ma w słowach jego krzty wyrachowania.

Tak gawędząc, niespiesznie dojechali do dworu, gdzie służdy czekali już z gorącą kilkudaniową kolacją. Zobaczyli, że Broniewski nabrał nieco animuszu oraz śmiałości i nawet żartował sobie z jedzenia, natomiast Komarnicki leżał w czeladnej na ławie i pochrapywał. Ligęza, widząc to, zmarszczył brwi.

– Cóż on tu robi?

– Do dziewczek się zalecał, jaśnie panie, ale daliśmy mu wina, to zaraz popił się i usnął – wyjaśnił jeden ze służących.

– A czemu tu śpi?

– Jakżeśmy próbowali go przenieść, to do szabli się rwał i groził strasznie, no to żeśmy go ostawili tutaj, za pozwoleniem jaśnie pana, że niech niby śpi, kiedy chce... – odpowiedział pokornie pacholek.

Ligęza skrzywił się jedynie i pan Jacek wiedział dlaczego. Bowiem stolnik jak wielu szlachciców sądził, że miejsce pana lub jego gościa jest gdzie indziej niż miejsce sługi. A izba czeladna we dworze Ligęzy była przeznaczona dla służby. Oczywiście, że czasem i tak bywało, nawet u wielkich dostojników, iż domownicy mieszały się ze sobą. Kiedy na przykład przybywał gość z wielkiego świata i opowiadał zajmujące historie z dalekich krain, to słuchali go zarówno dziedzic i jego goście, jak i rządca, jak i stajenny, jak i posługująca dziewczka, z tym że panowie siedzieli wygodnie rozparci w fotelach i przy winie, a słudzy tłoczyli się za progiem lub pod oknami.

– Mówiłem ci, panie Jacku kochany: pije, a pić nie umie – burknął Ligęza i zagarnął podstarościego. – Za nogi, za ręce go i wiadro na łeb przy studni – rozkazał służącym.

– Jak jaśnie pan rozkaże! – wrzasnął pacholek, a Jacek Zaremba w tym krzyku wyczytał spory entuzjazm.

Uśmiechnął się pod wąsem i dostrzegł, że stolnik również się uśmiecha.

*

Po kolacji najpierw pan Gideon uprzejmie prosił obecnych o wybaczenie, a gospodarza o pozwolenie, by udać się na przechadzkę, potem pana Pawła sam stolnik wysłał na odpoczynek, bo choć młodzieniec dzielnie pił, to robił się coraz bledszy i trunek zdawał mu się już nie służyć, ale szkodzić.

– Niedobrze by było, żeby gość mi zachorował albo i umarł. – Zafrasowany Ligęza pokręcił głową, kiedy Broniewski wyszedł podtrzymywany przez pacholka.

– Niektórzy powiadają, że taki wypadek, jeśli się zdarzy, świadczy jedynie o wielkiej gościnności gospodarza – zauważył Zaremba.

– Eee, panie Jacku kochany, śmierć to śmierć i grzech doprowadzić do niej kogoś, czy samego siebie, nieumiarkowaniem w korzystaniu z darów bożych.

– Co racja, to racja. Mówię tylko, że tak mówią...

– No popatrz, panie Jacku, a ten znowu śpi. – Machnął ręką, spoglądając na Komarnickiego, który szpakowatą głowę złożył pomiędzy talerzami.

Jacek Zaremba przez chwilę przyglądał się panu Krzysztofowi w milczeniu, aż wreszcie spojrział w stronę stolnika.

– Panie stolniku dobrodzieju, przyznam, że zdumiewa mnie, co zastałem w twym domu, jeśli pozwolisz tak szczerze mi mówić...

Ligęza z uśmiechem skinął głową i pan Jacek był przekonany, iż stary szlachcic doskonale wie, jakie pytanie zostanie za chwilę zadane.

– ... dom twój pamiętam jako zawsze pełen gości, tętniący życiem, zabawą, z muzykantami, tańcami, zabawami. A teraz? Cóż się stało, panie stolniku, że zwyczajnie tak odmieniłeś? Wybacz, że o twoich gościach to powiem, ale z ręką na sercu i przysięgając, że w żadnej mierze nie chcę cię, waszmość panie, urazić, lecz przyznam, iż dość cudaczne to są osoby, zwłaszcza ów pan Komarnicki... – Zaremba podbródkiem wskazał sapiącego przez sen szlachcica.

Ligęza wznosił dłoń królewskim gestem.

– Dość, panie Jacku. Wszystko rozumiem i takiego właśnie pytania się z twej strony spodziewałem. Zanim ci wytłumaczę, czemu zgodziłem się na odmianę mych wesołych obyczajów, wiedz, przyjacielu, że odmiana to jedynie chwilowa i wynikająca z przymusu, nie z wyboru czy wolnej woli. Daj Boże, rychło sprawa się wyjaśni i zakończy, a wtedy znów będzie jak dawniej.

– Kamień z serca, kamień z serca, proszę waszmości – rzekł z ulgą Zaremba – bo już się bałem, czyś aby zdrowy, czy może jakie śluby złożyłeś lub z sąsiadami w spór wszedłeś...

– Nic z tych rzeczy – zapewnił Ligęza. – Za mało mi zostało życia, żeby marnotrawić je na śluby lub na kłótnie z sąsiadami. Taki sam jestem jak dawniej, panie Jacku, a sąsiadów coraz bardziej spragniony...

– I sąsiadeczek pewnie... – Podstarości zmrużył oko.

– I sąsiadeczek – potwierdził stolnik – bo wierz mi, waćpanie, że jest tu w okolicy kilka tak gładkich bestyjek, że sam bym w konkury szedł, gdyby nie to, że... ach... – Urwał, skrzywił się i wreszcie zrezygnowany machnął dłonią.

Jacek Zaremba nie dopraszał się o dokończenie tego zdania, gdyż słusznie się domyślił, że pan Hieronim nie chce sprowokować gniewu

pięknej miłośnicy, która na pewno rywalki by nie zniosła, i Ligęza mógłby się narazić na pośmiewisko, dopuszczając do awantury chłopskiej kochanki ze szlachecką żoną. A odsyłać dziewczuchy pewnie mu było żal. „Zresztą komu nie byłoby żal?”, westchnął w myślach pan Jacek, kiedy przypomniał sobie opromienione słońcem kształty pięknej wieśniaczki.

– Potrzebowałem spokoju, by przemyśleć, co mnie ostatnio spotkało, a o czym waszmości zaraz opowiem. Zresztą sam niedługo przekonasz się i obaczysz, że ktoś poprosił mnie, bym tak uczynił.

Podstarości jedynie leciuteńko uniósł brwi, bo rzecz jasna nie zrozumiał, co stolnik ma na myśli, a pojął tylko, że staremu szlachcicowi umysł zaprzęta jakaś sprawa, o której niezręcznie mu mówić i która wyraźnie go frasuje.

– A sąsiedzi tak łatwo dali się nakłonić, by z dobrodziejstwa zarówno waścinej gościny, jak i waścinych odwiedzin nie korzystać? – zapytał pogodnym tonem.

Ligęza parsknął i rozchmurzył się nieco.

– Przyznasz, że dobrych mam sąsiadów, co, panie Jacku? Pamiętasz ich jeszcze?

– Zapewne nie wszystkich miałem okazję poznać, ale co znacniejszych pamiętam. Jak choćby panów Kaczyńskich, których polskimi Katonami raczyłeś nazwać...

– O tak, tak. – Pan Hieronim uniósł wskazujący palec.

– Pana Stypułkowskiego pamiętam, słynnego rębajłę...

– W Bożej on już światłości – westchnął Ligęza – bo jak mi ze szczegółami doniesiono, trafił na szlachcica, który nie miał cierpliwości do słuchania facecji pana Macieja, za to szablę miał zbyt szybką.

– Uuuch... – Zaremba się zmartwił, bo dobrze pamiętał potężnego szlachcica z czupryną siwą jak śnieg, który ze wszystkich żartował, lecz przezornie nikt za te żarty się nie gniewał. – Pan Czech, pan Topolski – przypominał sobie.

– Pan Topolski chory, ledwo dycha, pan Czech jeszcze ma gorzej, bo widzisz, panie Jacku kochany, z taką heterą się ożenił, która, głowę dam, rychło go do grobu wciągnie. Powiem waści tylko, że w okolicy Ksantypą ją nazywamy, rzecz jasna nie publicznie, bo by z tego jakie nieszczęście mogło wyniknąć... Ale, ale, ty mnie tu, panie Zarembo, na opowieści o sąsiadach nie wyciągaj, bo nie czas teraz plotkować.

– Zastosuję się do życzenia waszmość pana – rzekł zgodliwie podstarość.

– Otóż wiedz, panie Jacku, że kilka tygodni temu przybyli do mnie posłowie od pana Ernesta Denhoffa, starosty kiszporskiego. – Ligeza, wypowiadając nazwisko magnata, mimowolnie uniósł dumnie głowę, gdyż znany był z tego, że wielce cenił sobie przyjaźń wielkich posesjonatów, zwłaszcza tych, którzy z królem Janem w bliskiej i przyjaznej żyli komitywie, a wszak powszechnie było wiadomym, że Ernest Denhoff, wojewoda malborski i starosta kiszporski, należał do najbliższych konfidentów władcy. – Wykorzystałem to, by sąsiadów prosić o wybaczenie, iż ważne sprawy natury państwowej, w których rozwiązaniu o pomoc mnie poproszono, nie pozwalają mi ani w gościnie zbyt często bywać, ani gościny zbyt często udzielać.

Jacek Zaremba z powątpiewaniem pokręcił głową.

– I starczyło? W mojej okolicy taką zapowiedzią tym większą sąsiedzka ciekawość byś waćpan rozbudził i już w ogóle zarówno od gości, jak i od zaproszeń byś się nie odgonił.

– Starczyło – stwierdził z powagą Ligeza – bo u mnie sąsiedzi wiedzą, że kiedy uczuję, to uczuję, kiedy piję, to piję, kiedy okolicę spraszam, to wszyscy piją i uczują ze mną, choćby taka z nich szlachta była, że chadzają z szablą zawieszoną na konopnym sznurku. I wtedy gość w dom, Bóg w dom. Ale kiedy proszę, by mi sprawom natury państwowej dano się poświęcić, wtedy goście jeno mój płot pocałować mogą...

– Twarde warunki – rzekł pan Jacek, lecz stolnik wzruszył jedynie ramionami, słysząc te słowa.

Istotnie wielki mir wśród okolicznej szlachty musiał mieć Ligeza, że mogła mu darować owe kaprysy czy fanaberie. W słynącej z gościnności Rzeczypospolitej nie lubiano bowiem tych, którzy gościom wstręt dawali, nawet jeśli goście ci byli nieproszeni czy nawet zupełnie nieznanymi. Ot, przejeżdżał pan brat obok dworu innego pana brata, uznawał, że się zatrzyma niby w jakim zajeździe, i nie dość, że złego słowa nie usłyszał, jeszcze karmiono go, pojono i po kilku dniach lub tygodniach puszczano w dalszą drogę obdarowanego licznymi prezentami. A jak gość okazywał się grzeczny, wygadany i świat znający, to jeszcze uwolnić go z miłej gościny wcale nie chciano i czasem owa gościna niemal przemieniała się w więzienie, w którym jednak więźniowi życie starano się umilić, nie obrzydzić. Taki zwyczaj był pośród polskiej szlachty i na kogoś, kto mu się

sprzeciwiał, często gęsto patrzono krzywym okiem. Albo naśmiewano się z niego i szydzono, co przecież czasem nawet gorsze było od obrazy, bo wiadomo, że ludzka złośliwość kłuje bardziej nawet niżli rapier. I nie raz, i nie dwa, i nie trzy razy zdarzało się, że polski szlachcic chętniej wybaczał cięcie szablą (choćby i od tego cięcia nosił bliznę na gębie) niż szyderstwo lub kpinę. Bo rana zazwyczaj szybko się goiła i pozostała po niej blizna z czasem stawała się tematem do gawęd, wspominek oraz opowieści. A urazy zadane ostrym językiem często goić się wcale nie chciały i przysychały dopiero wtedy, kiedy obficie polano je krwią niewczesnego szydercy.

– Widziałem pana Denhoffa pod Wiedniem – rzekł pan Jacek – kiedy wojska naszego króla prowadził, i aż miło, powiem waćpanowi, było patrzeć, chorągwie wypuszczał bowiem z taką precyzją i maestrią, jakby przestawiał figury po szachownicy.

– Pan Denhoff wielki żołnierz – zgodził się Ligęza – a i taktyk wyborny, i jeszcze w dodatku polityczną ma głowę. Zobacysz waść, że wiele on będzie miał do powiedzenia przy następnej elekcji.

– Boże, daj zdrowie królowi Janowi – powiedział zaraz Zaremba.

– Daj mu, Boże, daj. – Ligęza poparł podstarościego poważnym tonem. – Życzeń zdrowia i długiego życia naszemu panu nikt skąpic nie będzie, to rzecz pewna. Lecz każdemu kiedyś wypada umrzeć i za nowym suzerenem naród nasz szlachecki będzie musiał się rozglądnać. I wierz mi waćpan, że duuużo wtedy pan wojewoda Denhoff będzie miał do powiedzenia.

– Oby w takim razie jego spojrzenie padło na zacnego kandydata, bo wojennego króla będzie potrzebować Rzeczpospolita i nie daj Boże nam znowu takiego władcy jak Michał.

Ligęza prychnął i nieco się zakłopotał, choć owego zakłopotania starał się nie dać po sobie poznać. W czasie czerwcowej elekcji roku pańskiego 1669 poparł właśnie Michała Wiśniowieckiego, podobnie jak rzesze szlachty, które w owym młodym magnacie chciały widzieć następcę i kontynuatora dzieła Jeremiego Wiśniowieckiego, wielkiego wodza, który sam jeden, własną piersią, Rzeczpospolitą przed buntem kozackim obronił i po wielu wyrzeczeniach oraz trudach wreszcie powstanie łotra Chmielnickiego we krwi utopił, a jego samego do zguby doprowadził. Jednak Hieronim Ligęza prędzej niż inni przejrzał na oczy i zrozumiał, że ma do czynienia nie z młodym lwem, lecz z owcą, która w zdumiewający

sposób w lwim leżu przyszła na świat. Król Michał nie tylko rozum miał bowiem owczy, ale i do niego podobną wolę, gdyż jego stronnicy, kiedy tylko chcieli, zaganiali go na wzór psów pasterskich. I niczym innym nie był ten nieszczęsny król jak lalką w rękach tych, którzy osadzili go na tronie. Toteż stolnik szybko oddał swe serce i siły stronnictwu malkontentów i od tej pory wiernie już popierał hetmana Sobieskiego, a i niemały też miał wkład – tak przynajmniej powiadał –w jego triumfalne elekcyjne zwycięstwo.

Pan Zaremba oczywiście nie pytał, w jakimż to celu wojewoda Denhoff wysłał ludzi do stolnika Ligęzy, gdyż ufał, że jeśli gospodarz zechce mu o owej misji opowiedzieć, to opowie, a nagabywanie pana Hieronima o szczegóły tegoż poselstwa znamionowałoby człowieka prostych, by nie powiedzieć: prostackich, obyczajów.

– Pan Denhoff zapowiedział, że może odwiedzi mnie pod koniec września lub w październiku – powiedział Ligęza. – Dlatego szczerze ufam, że będziesz wtedy w mej gościnie, panie Jacku, bo... sam wiesz najlepiej, że człowiek taki jak ty powinien zyskać możnego protektora... Owszem, ja wiem, żeś bogaty, ale przecież nie tak bogaty jak wielu. Owszem, ja wiem, żeś dzielny, lecz sama odwaga w dzisiejszych czasach to mało, bo trzeba mieć kogoś, kto twe marsowe wyczyny ujrzy, doceni oraz rozgłosi. Ród twój, przyznać trzeba, jest starożytny i sam najlepiej wiesz, ilu wojewodów, kasztelanów, biskupów i starostów pochodziło z twego gniazda.

Jacek Zaremba pokiwał głową, gdyż w jego rodzinie pielęgnowano pamięć o przodkach, którzy zawsze dumnie, odważnie i godnie Rzeczypospolitej służyli, najlepiej jak tylko ową służbę pojmowali.

– My, wszyscy Zarembowie, pochodzimy od Magnusa Zaremby, który był latoroślą angielskiego króla Harolda – stwierdził z dumą pan Jacek – więc, jakkolwiek by tam patrzeć, królewska płynie w nas krew.

– Ale starożytność rodu, niestety, niewiele dzisiaj znaczy. – Ligęza westchnął, najwyraźniej uważając, iż czasy zmieniły się na gorsze. – Pan Denhoff to człek rozumny i dobrze znający ludzkie charaktery, a przy tym bliski królowi. Życzyłbym sobie, by cię poznał i by na dworze wyjednał urząd dla ciebie. Kto wie, może później zmieni się to w jakie starostwo?

– Pokornie dziękuję waszmość panu dobrodziejowi. – Rozczulony Zaremba pochylił się do dłoni stolnika. – Lecz powiedz, czemuż wojewoda miałby się kłopotać moją skromną osobą?

– Wszyscy wiemy, panie Jacku, że król nasz nie będzie żyć wiecznie. A w czasie elekcji warto mieć oddanych, dzielnych i wiernych przyjaciół – stolnik mocno zaakcentował słowo „wiernych” – to tu, to tam. A im wyższy urząd mają, tym lepiej. A im składniej potrafią przemówić do szlacheckiej braci, to też tym lepiej. I co ważne – uniósł palec – by oni byli tak jak ty, ci nasi przyjaciele, kością z kości i krwią z krwi tej ziemi. By pięknie potrafili przemówić do serc panów braci, ale jeśli trzeba, to by żelazem wtłoczyli im do łbów miłość do tego, kogo zechcemy, by miłowali.

– Waćpan zawsze dla mnie będziesz mentorem i bez wagi na piastowane stanowisko zawsze waści pilnie będę słuchać – zapewnił szczerze Zaremba.

– Obaczę, co się da uczynić. Wojewoda Denhoff wyświadczył mi tę łaskę, iż do ścisłej niegdyś dopuścił mnie konfidencji. Ośmielam się twierdzić, lecz... – stolnik znaczącym gestem położył palec na ustach – proszę, zachowaj to dla siebie, panie Jacku, że z moją dużą pomocą porzucił przed laty grzechy kalwinizmu, by dotknięty wolą Bożą stać się dobrym katolikiem takim samym jak ty czy ja.

– Waść samym tym jednym uczynkiem zasłużyłeś sobie na wielkie poważanie w niebie – rzekł Zaremba – bo żal to straszny patrzeć, kiedy możny pan tkwi w błędach parszywej wiary.

– Było, minęło – odparł Ligęza. – Pan Denhoff, Bogu dziękować, Maryi teraz służy, nie owym kalwińskim diabłom, co ministrami każą się nazywać. Ale wracajmy, panie Jacku, do sprawy, bo chociaż wojewoda malborski to człek wielkiej zacności, wielkiej odwagi i wielkiego serca, który zarówno w służbie Marsa, jak i Ateny wybornie się sprawdza, to nie o nim mieliśmy rozprawiać. Bo czas nadszedł najwyższy, panie Jacku kochany, bym wyjawiał, czemu tak nagle prosiłem cię o pilny przyjazd. Za który – Ligęza podniósł oczy – z serca i duszy pokornie ci dziękuję.

– Ależ waść jesteś dla mnie niczym ojciec rodzony! Jak mógłbym nie przyjechać, gdy ośmielam się podejrzewać, że pilnie potrzebujesz pomocy przyjaciela. – Zaremba znaczącym gestem położył dłoń na rękojęści szabli.

– Ano tak, panie Jacku, ano tak. – Stolnik smętnie pokiwał głową. – Trzeba przyznać, że pomoc mi potrzebna, choć sądzę, że bardziej przyda się twoja głowa niż twoja szabla. Bo szabel na swe usługi mam w powiecie dostatek, lecz głów to chyba tylko kapuścianych. – Machnął ręką. – Zresztą nie każdego, choćby nawet zdawał się życzliwy, można do znaczącej dopuścić konfidencji...

Jacek Zaremba uniósł kielich.

– I szabla, i głowa są do twojej dyspozycji, waszmość panie dobrodzieju – rzekł uroczyście i szczerze, bo pamiętał przecież, z jaką estymą jego świętej pamięci ojciec wspominał zawsze pana Hieronima, widząc w nim nie tylko wcielenie Hektora, lecz również Odyseusza i Katona. No ale skoro Ligęza dwukrotnie ratował starego Zarembę od pewnej śmierci, narażając jednocześnie własne życie, tylko nikkzemnik nie zachowałby takich postępków we wdzięcznej pamięci.

– Rozmowa pewnie sporo czasu nam zajmie, a i umysły chciałbym, byśmy zarówno ty, jak i ja sam mieli świeże. Jutro po obiedzie, a może lepiej powiedzieć: po lekkim obiadku – stolnik przymrużył oko – wszystko ci wyłuszczę, byś zrozumiał, jak dziwne sprawy się dzieją.

*

Obszerny gabinet stolnika pełen był ciężkich dębowych mebli, pełen też szaf z księgami, gdyż Ligęza nie raz i nie dwa mawiał, że wiedza jest, obok dzielnego serca, największym bogactwem człowieka. Stolnik zaprosił pana Jacka, by ten zasiadł w fotelu, a sam zbliżył się do wzmacnianej żelazem skrzyni z potężnym zamkiem. Rozpiął guziki żupana, wydobyl ukryty pod materia łańcuszek, odczepił od niego klucz, pochylił się nad mechanizmem i otworzył skrzynię. Wydobyl z niej zwitek papierów i rzucił je na blat stołu przed Zarembę.

– Czytaj, panie Jacku, czytaj – nakazał. – Oto dwa listy napisane w jednym czasie do dwóch różnych osób. Czytaj...

Zaremba nie dał sobie powtarzać prośby, czy raczej polecenia, i wziął się do lektury tym pilniej, że w słowach pana Hieronima brzmiała nuta rezygnacji. Tak jakby gospodarz wiedział, że nikt mu nie jest w stanie pomóc, a syna starego przyjaciela poprosił o radę tylko dlatego, by sobie nie wyrzucać, iż nie uczynił wszystkiego, co możliwe. Podstarości przesunął się bliżej lampy, gdyż w gabinecie były zamknięte okiennice i tylko ta jedna mała lampa rozganiała mrok. W miarę lektury jego zdziwienie coraz bardziej rosło, w pismach tych nie znajdowało się bowiem nic zaskakującego, nic niespodziewanego ani nic niezwykłego. Ot, były to wielce uprzejme zaproszenia, pełne wyszukanych grzeczności i spisane zgodnie ze sztuką epistolografii (w której to sztuce szlachta polska słusznie europejski wiodła prym). Oba listy podpisano nazwiskiem Ligęzy i

opieczętowano jego herbowym sygnetem. Pana Jacka zaskoczyło dopiero, iż w obu listach *post scriptum*⁹⁵ mówiło o „wyjaśnieniu dręczącej Waszmość Pana tajemnicy i ukaraniu tych łotrów, którzy nieszczęścia są winni”. Na dole strony natomiast znajdowały się słowa – wyrysowane drobniutkim pismem, tak różnym od zamaszystego stylu cechującego resztę listu – jakby niemające związku z właściwą treścią. Na pierwszym były to „Jaworski” oraz „przebieraniec”, na drugim zaś „panna ze skarbem” oraz „Strzeżymir Dobrowolski”.

Zaremba raz jeszcze przejrzał oba listy, zerknął nawet, czy nie ma na papierze innych dziwnych znaków lub śladów, lecz nic więcej nie znalazł. Odłożył karty na blat i spojrzał uważnie w twarz Ligęzy, który siedział posepnie zamyślony i wpatrywał się w ścianę za plecami pana Jacka.

– Nie wiem, w czym waści mogę doradzić – rzekł ostrożnie Zaremba – bo na pewno nie w sztuce epistolografii, którą waść opanowałeś tak biegle, iż mistrzem godniejszych ode mnie mógłbyś łatwo zostać...

Pan Hieronim jedynie machnął dłonią, jakby odpędzał od twarzy uprzykrzoną muchę.

– Szkopuł w tym, panie bracie, że to nie ja napisałem owe listy. Choć sam dałbym głowę, że mój podpis jest na każdej karcie wyrysowany i moim herbem pisma zapieczętowano...

Zaremba zmrużył oczy, lecz nic nie powiedział, czekając na dalsze wyjaśnienia.

– Nie dasz wiary, panie Jacku kochany, lecz ja żadnego z tych ludzi nie znałem ani o żadnym wcześniej nie słyszałem. A listy zdają się przecież świadczyć o czymś wręcz przeciwnym. Tak, jakbym zapraszał ich nie tylko z życzliwością, ale wręcz z zażyłością...

Podstarości skinął głową.

– I ja odczytałem te zaproszenia jako pisane w serdecznym zamiarze. Lecz powiedz waćpan, skąd masz owe pisma? Kto ci je dał? Gdzie są ludzie, których w twoim imieniu zaproszono? I wreszcie: kogóż podejrzewasz o spleatanie ci takiej krotochwili?

Ligęza podniósł się z krzesła i wolnym krokiem zaczął chodzić po komnacie.

– Pisma otrzymałem od ludzi, którzy w dobrej wierze przybyli do mnie jako goście. Od tych właśnie, których imiona widnieją na zaproszeniach. A gdzież oni są, pytasz, panie Jacku? Gdzieżby indziej, jak

nie u mnie! To Komarnicki i Broniewski, których miałeś okazję poznać. Pierwszy zajechał jakieś dwa tygodnie temu, a przybył aż z województwa brzeskiego, drugi natomiast, młodzieniec zacnego rodu, wywodzący się spod pruskiej granicy, przybył ze cztery dni po nim.

– Uprzejmy ten pan Paweł, lecz jakoś śmiałości i fantazji właściwej naszemu narodowi w nim nie dostrzegam.

– Ech, młodzik to jeszcze. Gołowas. Poczciwie wygląda, a tuszę, że pan ojciec musiał go krótko trzymać, bo ledwo śmie gębę otwierać przy starszych.

– Tak być powinno – stwierdził poważnie Jacek Zaremba.

– Tyle że ty, panie Jacku, spod ojcowskiej kurateli dałeś dyla. – Ligęza się roześmiał. – Nie zmuszaj więc innych do czynienia tego, co tobie było kiedyś niemiłe.

– Stare dzieje – mruknął Zaremba.

– Ano stare. Ale wracajmy do moich gości. Komarnicki aż pod kolana mnie podejmował z wdzięczności za zaproszenie. Rozpłakał się i wyznał, że jeśli zdołam mu dopomóc, to pozostanie moim dozgonnym dłużnikiem. Choć Bogiem a prawdą nie wiem, co mógłbym za pożytek mieć z takiego dłużnika, bo biedą śmierdzi od niego na kilometr. – Pan Hieronim parsknął. – Przyznam też, że sprawia wrażenie człeka zagubionego – dodał po chwili w zamyśleniu – i wypić lubi, jak sam już na pewno zdołałeś spostrzec.

Jacek Zaremba dotknął listu paznokciem.

– „Mam nadzieję, że będę mógł dopomóc Waszmość Panu we wszystkim, co cię trapi, i z pomocą Bożą winnych Waścinego nieszczęścia odnajdziemy i ukarzymy...” – przeczytał, po czym spojrzął na gospodarza. – Waszmość wiesz, co autor tego listu miał na myśli?

– Ani-ani.

Zdumiony Zaremba potarł brodę palcami, zastanawiał się chwilę, po czym pokręcił głową z uśmiechem.

– Dziwna sprawa, ale nie wiem, czym tu się kłopotać, panie stolniku dobrodzieju. Ot, wypłatano ci sąsiedzki lub przyjacielski żart, by sprosić gości na twój koszt, bo wszak wiadomo wszem i wobec, żeś człowiek hojny oraz zacny.

Ligęza skinął poważnie głową, nie dlatego, by słowa pana Jacka miło połehtały jego próżność, lecz dlatego, że w wypowiedzianym zdaniu była niezaprzeczalna prawda. Hieronim Ligęza znany był z serdeczności, która

kazała mu gości hojnie obdarowywać, i niejeden szlachciura wyjeżdżał z jego domu nie tylko opity niczym bąk i najedzony po dziurki w nosie, lecz również z licznymi podarkami w sakwojażu. A to z tureckim kobierczykiem, a to z futrzaną szubą, a to z ozdobną szablą lub parą znakomitych króćcie albo choćby ze skrzynką przedniego muszkatelu lub węgryzna. Czasami nawet sąsiad, co przytruchtał do Ligęzy na lada jakiej chabcie, opuszczał jego dom nie tylko na zacnym koniku, lecz w dodatku na koniku przyozdobionym bogatym rzędem.

– Nie zgodzę się z tobą, panie Jacku, a skąd się bierze moja niezgoda zaraz ci wyłuszczę. Oto zważ, że ludzie ci nie pochodzą z naszej okolicy, lecz z odległych stron Rzeczypospolitej. Przecież pan Komarnicki – gospodarz przystanął nad stołem i stuknął wskazującym palcem w jeden z listów – przybył spod Brześcia, a z kolei pan Broniewski spod pruskiej granicy.

– Mówisz waćpan, że ci dziwni goście przybyli z daleka... – podchwycił Zaremba. – Zgodzę się, że zaproszenie jest bardzo uprzejme, lecz przyznam, iż zawahałbym się, otrzymawszy nawet tak serdeczną prośbę, przed odwiedzinami u nieznanego człowieka. Zwłaszcza gdybym musiał pół Korony przebyć w tym celu... – Pan Jacek uśmiechnął się pod wąsem, gdyż wszyscy wiedzieli, że choć Rzeczpospolita liczyła się w poczet najpotężniejszych mocarstw świata, a chwała sarmackiego oręża jedynie z rzymską mogła być porównywana, to drogi łączące miasta Korony i Litwy były raczej barbarzyńskie niżli rzymskie.

– Wręczono im pieniądze na podróż i obiecano więcej, kiedy pojawią się u mnie – wyjaśnił ponurym tonem Ligęza.

– Ktoś zadał sobie więc nie tylko trud, by tę krotochwilę spłatać, ale i poniósł koszt – odparł po chwili podstarości. – Dziwny to figiel, przyznam, i na razie niewielki w nim widzę sens. Czy ci dwaj znają się nawzajem?

– Nie, panie Jacku, żaden z nich nie poznał wcześniej drugiego, a przynajmniej tak twierdzą. I choć nie jestem może tak wytrawnym znawcą ludzkiej natury jak ty, to ufam swemu osądowi na tyle, by wierzyć, iż nie kłamię.

– Jakiż tam znawca ludzkiej natury, panie stolniku dobrodzieju! – Zaremba strzepnął palcami. – Ot, prosty pacholek. Podstarości łączycki, który miał szczęście kilku wrogów ładu publicznego doprowadzić przed oblicze sprawiedliwości.

– Twój ojciec zawsze powtarzał, żeś rozumny, dzielny i skromny – rzekł z powagą w głosie Ligęza i położył dłoń na ramieniu syna dawnego towarzysza. – Takiego mi właśnie człowieka trzeba.

Pan Jacek miał co prawda wątpliwości, by ojciec malował jego obraz podobnymi słowami, ale kto wie, może przed obcymi miał serce czulsze dla syna niż przed nim samym? W każdym razie podstarości nie zamierzał się sprzeczać ze starym szlachcicem o słowa, gdyż nawet jeśli Ligęza pływał po piasku, to czynił to w cnotliwym zamiarze i wytykanie mu braku pamięci lub, co gorsza!, fantazjowania byłoby wielce nietaktowne. Zresztą może to i była prawda, a może Ligęza takim szczerze ojcowskim uczuciem darzył Jacka Zarembę, iż wydawało mu się, że tym bardziej rodzony ojciec powinien go takim uczuciem darzyć.

– Waszmość panie dobrodzieju, waszmości zaufanie to dla mnie zaszczyt – Zaremba wstał i pochylił się do dłoni starego szlachcica – lecz wyznam, że te zaproszenia, choć są dziwne, nie wydają mi się groźne. No chyba że po tych dwóch, jeszcze dwustu gości twój dwór nawiedzi – prychnął – bo podejrzewam, że taki najazd to nawet waszmość pana kiesę nie miło by nadszarpnął.

Ligęza poklepał pana Jacka po ramieniu, a jego zmęczona twarz rozpogodziła się na chwilę.

– Dwustu? Uradzilibyśmy i dwustu – rzekł – choć fortuna moja raczej chudopacholska niż magnacka i gdzie mnie tam równać się z pierwszymi posesjonatami Rzeczypospolitej... Nie w tym jednak rzecz, panie Jacku, nie w tym rzecz. – Gospodarz znowu spowaźniał. – Mam pewność, iż jakiś zamysł stoi za sproszeniem tych właśnie gości. Czy to zamysł zacny, czy niegodziwy, trudno mi w tej chwili powiedzieć, lecz że celowy, rzecz dla mnie pewna.

Zaremba skinął głową. Zgadzał się z takim postawieniem sprawy, gdyż skoro ktoś zaprosił zarówno szlachcica spod Brześcia, jak i szlachcica spod pruskiej granicy, to pewnie obu zaproszonych coś łączyło. I należało jedynie wyjaśnić co.

– A spójrz na te dopiski, panie Jacku. Żebyś ty widział, jak obaj powtarzali wypisane tu słowa. Jakby one właśnie skrywały jakąś straszną tajemnicę. Jakby one były tu sednem. Jakby to one ich przyciągnęły...

– Przebieraniec, Jaworski, Dobrowolski, panna ze skarbem – wymienił podstarości. – Waszmość panu co owe słowa mówią?

– Nic a nic. Jaworskiego, rzecz jasna, znam, bo przecież każdy zna jakiegoś Jaworskiego, ale nie o to w tym wszystkim chodzi.

– Bo to musiałyby być jakiś Jaworski, który coś ma wspólnego z przebierańcem, skoro w jednym liście umieszczono te dwa słowa. No nic, tuszę, że Komarnicki wszystko nam dokumentnie wyjaśni, zwłaszcza że, jak waszmość pan mówisz, słowa te wywarły na nim wielkie wrażenie.

– Właśnie tak – zgodził się Ligeza. – Przyjechałeś, więc trzeba go będzie przesłuchać. Czy ich raczej – poprawił się zaraz.

– Jaką waćpan przeznaczysz dla mnie rolę?

– Abyś pilnie słuchał, panie Jacku, kiedy będę badał tych ludzi, i wspomógł mnie swym bystrym rozumem. Bo może nie wpadniesz od razu na właściwą odpowiedź, ale chociaż utrafisz tak, by moim gościom zadać właściwe pytanie, które doprowadzi nas do rozwiązania zagadki.

– Stanie się, jak waszmość każesz.

– Pokażę ci, panie Jacku, również trzeci list. List, który otrzymałem dzień po przyjeździe pana Broniewskiego.

– Trzeci list – powtórzył Zaremba. – A któż go tym razem dostarczył?

– Arendarz, u którego w karczmie pismo zostawił jakiś pachol.

– Cóż jest w tym liście?

– Patrz sam.

Podstarości posłusznie przyjął ofiarowaną mu kartę, przeczytał list, potem przeczytał po raz drugi, aż wreszcie oddał dokument do rąk stolnika.

– Tak czy inaczej, właśnie ciebie bym zaprosił, panie Jacku, byś mi pomógł w tej sprawie – powiedział stolnik – ale jak sam widzisz, autor owego listu w *post scriptum* na drugiej karcie zamieszczonym wręcz zażądał, byś pojawił się u mnie i byś moich gości poznał.

– Sprawa zdaje się coraz dziwniejsza – rzekł zamyślony Zaremba. – Może z opowieści tych szlachciców wyniknie, jaki związek łączy waszmość pana dobrodzieja i mnie z historiami, które mają nam opowiedzieć i w rozwikłaniu których mamy im pomóc.

– Autor tego listu musiał wiedzieć zarówno to, żeś przyjacielem domu Ligezów, jak i to, żeś znany z bystrego umysłu i niejedną ciemną sprawkę potrafiłeś wywlec naienne światło. Przecież wszyscy chyba pamiętają, kto rozwikłał zagadkę tajemniczych morderstw na dworze wojewody Opalińskiego...

– Zawstydzasz mnie waszmość...

– A kto panów Żalińskich wyrwał z władzy elektorskich werbowników, też nam wiadomo.

Jacek Zaremba pokręcił głową.

– To była niezwykła sprawa, panie stolniku. Porwać szlachciców do pruskiego wojska z granic Rzeczypospolitej! Straszliwa zniewaga, proszę waszmości. I dla Rzeczypospolitej, i dla stanu szlacheckiego.

– Pewnie by tam sześli w obcej niewoli, gdyby nie ty...

– Bóg dał, że akurat przejeżdżałem z mymi ludźmi w pobliżu.

– Tak czy inaczej, panie Jacku, nazwisko twoje i zasługi są znane. Najwyraźniej również autorowi owych listów.

– Najwyraźniej... – powtórzył podstarość z przekąsem. – A powiedz mi jeszcze waszmość, czy twoi goście wiedzą o trzecim liście? No i czy wiedzą, że nie ty ich zapraszałeś?

– Nie – gospodarz potrząsnął głową – i nie chcę, by się dowiedzieli. Dla nich jestem jedynie hojnym gospodarzem, który zadał sobie trud zaproszenia ich z drugiego końca Rzeczypospolitej, by raczyli w jego gościnie spędzić zimę, i obiecał wyjaśnić coś, co oni by chcieli, by zostało wyjaśnione. Kiedy przyjdzie do interrogacyi, wtedy wszystko im wyłuszczę. Trzeci list zamierzam ujawnić, gdyż, jak przeczytałeś, jego autor przykazuje – Ligeza prychnął z niezadowoleniem – bym od mych gości wydobył prawdę, gdyż tylko prawda ich oswobodzi z niedoli. To im pokażę, bo może wtedy trudniej będzie im pływać po piasku, jeśli by nawet chcieli. Natomiast dopisku ujawniać nie zamierzam, bo i po co? Niech cię mają za przyjaciela domu, ale niech nie sądzą, iż w tej sprawie odgrywasz jakąś wybitniejszą rolę.

Jacek Zaremba skinął głową. Zgadzał się z podobnym postawieniem sprawy, gdyż jako człowiek doświadczony wiedział doskonale, iż z mroku czasami lepiej wszystko widać, niż kiedy by się stało w jasnym świetle. A człowiek nierzucający się innym w oczy więcej dostrzeże niż ten, który wzbudzi ogólną ciekawość.

– O nic nie pytali? Nie pospieszali waszmości?

– Pytali, i owszem. – Ligeza skrzywił lekko usta. – Nawet bardzo pilnie pytali, lecz powiedziałem, że muszę czekać na ciebie. Wybacz, panie Jacku kochany...

– Ależ nie ma czego wybaczać. Rozumiem, że ucieszyli się z mojego przyjazdu.

– O, to na pewno!

– Jacy to ludzie? Waszmość pan już ich przecież poznałeś. Majętni? Komarnicki nie wygląda, a po Broniewskim ciężko poznać...

Pan Hieronim wzruszył ramionami.

– Ja im do kieski nie zaglądałem, jednak nie sędzę, by Komarnicki był bogatszy od Radziwiłła – burknął – albo i nawet od Radziwiłłowego charta – dodał z przekąsem. – A Broniewski to skromny młodzieniec, przyznam, lecz biedy chyba nie cierpi. Co ważne, grzecznym wychowaniem mógłby dawać przykład innym szlachcicom.

– Wielcem ciekaw historii tych niezwykłych gości waszmość pana. – Jacek Zaremba wstał od stołu. – Pozwól waść sobie jeszcze tylko powiedzieć, że dumny jestem z zaufania, jakim mnie obdarzasz. I chociaż nic nigdy nie spłaci do końca długu, jaki u waszeci zaciągnąłem, to wiedz, że płacić go będę nie tylko posłusznie, lecz i z prawdziwą radością, gdyż...

– Nie masz u mnie żadnego długu, panie Jacku. – Ligęza twardo i zdecydowanie przerwał wywód podstarościego. – I żadnego długu nie miał twój ojciec. Bóg pozwolił, bym ocalił mu życie, i Bóg pokierował wtedy moją szablą. U Boga macie obaj dług do spłacenia, nie u mnie.

– Waść pozwolisz, że się nie zgodzę z twoimi słowami – rzekł grzecznie, lecz stanowczo pan Jacek. – Przyznam, że dobry Bóg postawił cię obok mego świętej pamięci ojca. Lecz ty sam, kierując się dobrodziejstwem danej nam przez Pana wolnej woli, wybrałeś, że chcesz rodziciela mojego ratować z opresji. A przecież mogłeś uciec, tak jak inni uciekli. – Ostatnie słowa podstarości wypowiedział z wyraźną goryczą.

Ligęza znowu klepnął go w ramię.

– Zacny z ciebie chłopak i widzę, że nie tylko trudno ci w szabli sprostać, ale i w gębieś silny. No nic, następnym razem przyślę ci mojego księdza, a ten na pewno wszystko wyjaśni, tak by jego twierdzenia były zarówno zgodne z Pismem Świętym, jak i z moją wolą.

Zaremba uśmiechnął się pod nosem, gdyż trudno było w tych słowach nie wyczytać magnackiej dumy. Może nie tej samej, która kazała Radziwiłłom uśmiechać się z ukontentowaniem, gdy poddani kłaniali się przed nimi w czasie mszy, jakby modlili się do nich, nie do Boga, niemniej jednak dumy każącej sądzić, że nawet słowa Pisma można nagiąć do woli wielkiego pana. Zresztą, czyż nie tak właśnie było? Czyż prawosławni, kalwini, luteranie i katolicy nie pasowali się w teologicznych dysputach, a każdy swoją prawdę miał za jedyną, chociaż powoływali się na te same

słowa, inaczej je jedynie rozumieli i inne z nich wyciągali wnioski? A czyż te dysputy, dyskusje i spory na słowa nie przeradzały się w pojedynki, najazdy, zajazdy czy rapy, by wreszcie skończyć się krwawymi wojnami, w których po jednej i drugiej stronie ginęli ludzie wzywający przed śmiercią imienia Chrystusa?

– Coś się tak zadumał, panie Jacku? – głos gospodarza wyrwał podstarościego z zamyślenia.

– Myślę, że gdybyśmy tyle krwi, ile między chrześcijanami przelewamy, zechcieli przelać na tureckich i tatarskich polach, to i Krym, i Bakczysaraj dawno byłyby już w naszych rękach. I zamiast meczetów stałyby tam kościoły, a zamiast do arabskich diabłów modlono by się do Jezusa i Jego Matki.

– Święta racja.– Stary szlachcic poważnie skinął głową. – Jenó widzisz, panie Jacku, nasza wina tkwi w tym, że nie możemy się zdecydować, który kraj wpierw ratować przed niewolą i który pod słodką opiekę Chrystusa i Maryi oddać. Jedni mówią: tron szwedzki nam się należy, drudzy chcieliby Kreml carów zawojować, trzeci znowuż wołają, że czas iść na Konstantynopol, by miasto to, z wielkiej świętości sławne, odwojować dla Pana Boga...

– A innym nie wojaczka w głowie, lecz by na zagrodzie siedzieć i kury szczać prowadzać – przerwał mu Jacek Zaremba. – Takich w Rzeczpospolitej najwięcej, co nic ich poza własnym nosem nie obchodzi.

– Bo my, panie Jacku, jako ten Cincinnatus jesteśmy – westchnął pan Hieronim. – Oderwać nas od pługą można jedynie wtedy, gdy wróg zbrojnie wejdzie w nasze granice, a sami innych narodów niewolić nie chcemy.

– Któż mówi o niewoleniu? – obruszył się pan Jacek. – Wszak chodzi o to, by tyranów nimi rządzących obalić i pozwolić tym nacjom zakosztować fruktów słodkiej wolności, którą jedynie my na całym bożym świecie możemy się chlubić i delektować.

– Jenó aż dziw bierze, że owe narody przed wolnością, o której waszmościowie pięknie mówicie, tak się zaciekle bronią, że *eo ipso*²⁶ gotowe ginąć za kaprysy władających nimi *tyranni*²⁷, a co za tym idzie w przeciwieństwie do nas *pro servitute*²⁸, nie *pro libertate*²⁹ życie chętnie oddadzą – odezwał się ktoś cicho z ciemnego kąta.

Pan Jacek o mało nie podskoczył, słysząc ten głos. Zaraz potem w kręgu światła rzucanego przez lampę pojawił się Gideon Rokicki.

– Waszmościowie wybaczcie, lecz czytając, za twoim pozwoleniem panie stolniku – uklonił się grzecznie gospodarzowi – książeczkę, którą mi poleciłeś, ot, jak rusz zasnąłem w fotelu, mimo że *nervis omnibus*¹⁰⁰ starałem się trzeźwość myśli zachować. I dopiero głosy waszmościów tak pięknie o wolności rozprawiające z Morfeuszowej krainy mnie wyrwały.

Jacek Zaremba przyglądał się w milczeniu niespodziewanemu intruzowi, lecz pan Gideon wcale nie wydawał się przejęty faktem, iż jest mierzony surowym spojrzeniem podstarościego.

– Jak wiele waść usłyszałeś z naszej rozmowy? – obcesowo zapytał Ligęza.

– Zdaje mi się – Rokicki potarł nos w zamyśleniu – że ze słodkiej drzemki wyrwały mnie ogniste zachęty pana Zaremby, byśmy otworzyli *belli portae*¹⁰¹ i szli na Krym oraz Sztambuł, by nieść sztandar świętej wiary na te pogańskie domeny i *lacte avium*¹⁰² wolności nakarmić znękaną narody.

Podstarości się zachnął, lecz zdążył ugryźć się w język, zanim postanowił coś odrzec. Jakoś tak mu się wydało, że najlepszym sposobem na tego szlachcica będzie nie odpowiadać na jego słowa, gdyż najwyraźniej potrafił on wykręcać zarówno swoje, jak i cudze twierdzenia na podobieństwo wierzbowych wici.

– Wcześniej waść spałeś? Tak? – dopytywał pan Hieronim surowo.

– Jako dzieciaczek napojony gorzałeczką miał matczynym mlekiem. – Rokicki się zaśmiał. – Jako niedźwiedź w zimowej gawrze. A nawet jakbym co usłyszał, zaraz by *ex capite*¹⁰³ uleciało. Zresztą powiem waściom, iż sen mam tak twardy, że gdyby muzykanci jacy, cymbaliści, bębniarze czy trębacze, nad uchem mi *gregatim*¹⁰⁴ przygrywali, to nawet by mi to ucho nie drgnęło. – Chudy szlachcic uśmiechnął się tak szeroko, jakby koncepcja jego mocnego snu wydawała mu się wielce zabawna.

Ligęza sapnął i pogładził się po haftowanym w smoki perskim pasie, który opinał mu potężne brzuszysko.

– Racz więc nam wybaczyć, waszmość panie, lecz z panem Zarembą musimy omówić pewne sprawy, do których zachowania w ścisłej konfidencji zobowiązuje nas przyrzeczenie.

Rokicki wydał wargi.

– Więc waszmość panowie pragniecie i życzyście sobie, bym opuścił waszą kompanię? – spytał z niezwykłą powagą w głosie, a zaraz potem, zanim zdążyli cokolwiek mu odrzec, rozpromienił się i rozłożył ramiona. –

Ależ, panowie bracia kochani, najuniżej zgłaszam się do waszych usług, czy to chcecie, żebym poszedł precz, czy wolicie może, bym został i pamiętając, że *omne trinum perfectum*¹⁰⁵, wspomógł was w radzie. – Roześmiał się chrypliwie. – Jeśli jednak uważacie, iż *in maiorem cautelam*¹⁰⁶ lepiej milczeć, tedy ja milczenie to uszanuję – kontynuował poważnym już, wręcz uroczystym tonem. – W każdym razie cokolwiek sobie, waćpanowie dobrodzieje, zażyczycie, takż się *stante pede*¹⁰⁷ stanie. – Pan Gideon uderzył się w chudą pierś, aż zadudniło, i zapatrzył w Ligęzę szeroko rozwartymi oczami.

Gospodarz odchrząknął i już zabierał się do dania responsu na tę propozycję, w której uprzejmość mieszała się tak ściśle z bezczelnością, że ciężko było odróżnić jedną od drugiej, kiedy Jacek Zaremba zdecydował się wreszcie odezwać.

– Gdybyś raczył nas pozostawić na niedługą chwilę, panie Rokicki, tedy zyskamy czas, by się naradzić, czy wolno nam skorzystać z twej szczodrobliwej propozycji, nie sprzeciwiając się jednocześnie zacnemu obyczajowi, który każe sekrety w ściślejszej zachowywać konfidencji.

– Gdyż inaczej przestają być sekretami – poważnie dodał Rokicki i skinął kilkakroć głową tak szybko i gwałtownie, jakby ową głowę dopiero niedawno mu do szyi przyczepiono i chciał właśnie wypróbować jakość umocowania.

– Tak właśnie jest, panie bracie, tak właśnie jest – zgodził się z nim Zaremba, udając, że bierze niewątpliwą złośliwość za dobrą monetę.

Pan Gideon uniósł do światła książkę, którą trzymał do tej pory przy udzie, w cieniu.

– Pozwolisz, waszmość panie, że wypożyczę jeszcze ten tom, gdyż w objęcia Morfeusza zapadłem z takim impetem, iż *in re*¹⁰⁸ nie zdążyłem nawet do dziesiątej strony dojść, a wierzę, że lektura będzie nadzwyczaj zajmująca.

– Proszę – odparł Ligęza sucho.

Rokicki skłonił się wielce uprzejmie, znaczącym gestem stuknął w tom palcem, uśmiechając się przy tym szeroko, jakby dawał znać, że nadzwyczaj jest zadowolony z życzliwości gospodarza i wielce sobie tę życzliwość ceni. A potem przy akompaniamencie zapewnień, że „jest na każde zawołanie” i „zawsze gotów usłużyć miłemu gospodarzowi oraz wielce szanownemu panu staroście”, wreszcie wyniósł się z komnaty.

– Co to za człowiek, panie stolniku? – zapytał niechętnie Zaremba, kiedy na korytarzu ucichły już szurające kroki Rokickiego. – Skądże ta cudaczna persona wzięła się w waści domu?

– Koło mu się złamało w powozie, toteż zaprosiłem go, by został, póki szkody nie naprawimy. Tak więc cały tydzień dobrze żeśmy jedli i dobrze pili – Ligeza uśmiechnął się do wspomnień – a kiedy po tygodniu pan podsędek w końcu zmusił mnie i ubłagał, bym go z gościny wypuścił, to, imaginuj sobie waćpan, drugie koło pękło zaraz za dworem. Śmiechu było z tego tyle, że przez następne trzy dni żeśmy nie trzeźwieli.

– A po naprawieniu drugiego koła?

– Musieliśmy jechać na polowanie. – Ligeza zmrużył oczy i policzył na palcach. – Sześć dni to w sumie trwało. Potem jakaś uczta z sąsiadami, no i znowu zleciały nam ze cztery dzionki. Później sami do sąsiadów jednych i drugich zajechaliśmy w gościnę, więc i następne dwie niedziele minęły, jakby diabeł z bicza trzasnął.

– To jak długo ten Rokicki jest w gościnie waszmość pana dobrodzieja?

– Koło mu pękło jeszcze za wiosennych roztopów – odparł Ligeza po namyśle i pokiwał głową – szmat czasu, panie Jacku, nie ma co... Ale jakoś łatwo weszliśmy w konfidencję... – Stary szlachcic ożywił się nagle i klepnął w czoło. – Uwierzysz, panie Jacku, że podobnie rzecz się miała z Baranusem moim kochanym, któremu przecież w każdym calu wierzę i ufam, choć człowiek to, mówiąc między nami, rozumu raczej pospolitego, lecz – uniósł ramiona – zacności wielkiej, a często cnota wszak droższa od mądrości.

Zaremba spojrzał pytającym wzrokiem na stolnika.

– Baranusia mojego nie pamiętasz? Jana Barańskiego?

– Oczywiście, że pamiętam – odparł pan Jacek, który przypomniał sobie starego szlachcica z wianuszkami siwych włosów okalającymi zawsze czerwoną łysinę – jeno nie wiedziałem, że w takich okolicznościach żeście się waćpanowie poznali.

– Tak było, panie Jacku, tak było. Jeszcze Jan Kazimierz nam panował, Boże, bądź miłościw mu grzesznemu, kiedy Baranusiowi kolaska ugrzęzła w błocie. Ha, przecież to jeszcze było przed szwedzką wojną! No a w czasie wyciągania z tegoż błota powozik niemal na drzazgi się rozpadł. I tak już Baranuś został w moim domu jako sługa i przyjaciel. Gdy ja na wojny jeździłem, on administrował całą majątnością i przyznać muszę,

zarządzał tak dobrze, jakby jego matka na jakiegoś Żydka się zapatrzyła. – Pan Hieronim parsknął rozbawiony. – Jezus Maria, tylko mu tej krotchwili nie opowiedz – zaniepokoił się – bo na śmierć na mnie i na ciebie się obrazi!

– Stanie się, jak waćpan sobie życzysz – odparł posłusznie Zaremba, choć ani w głowie by mu nigdy nie powstało, by innemu szlachcicowi nawet żartem zarzucić, że jego matka niecnotliwie prowadziła życie. Z takich żartów jedynie złość ludzka się brała i krzyże na mogiłach.

– A gdzież teraz mości Barański się podziewa?

– Jutro, pojutrze wróci – odparł stolnik. – Wyobraź sobie, że Baranuś mój, choć przecież starszy ode mnie...

– Waszmość panie – Zaremba odważył się wejść Ligęzie w słowo – zezwól, że spytam cię jeszcze o owego Rokickiego... – dokończył, lękając się, by pan Hieronim nie zaczął snuć przed nim całej historii życia Jana Barańskiego.

– Ano tak, ano tak, panie Jacku kochany. Mądry to człowiek, w świecie bywały lub na tyle odczytany, że bywałego potrafi doskonale udać. Przy tym wielce wymowny, choć... niekiedy jego swada zdaje się prowadzić na manowce. Ale, ale! Usłyszysz, jak Rokicki potrafi snuć gawędę wieczorami, to sam uznasz, że trudno o milszego kompaniona. Choć przyznam, że czasem – stary szlachcic zmarszczył brwi – jego towarzystwo zdawać się może męczące...

– Zauważyłem, że to człowiek, który ma talent, by niewinne z pozoru zdania w taki sposób wypowiadać, iż zdają się wręcz obrażać. Niebezpieczna to przywara...

– Nie polubiłeś go, Panie Jacku? Nie polubiłeś?

– On mnie podobno zna i twierdzi, że coś mi zawdzięcza – mruknął Zaremba, nie odpowiadając na pytanie. – Jeśli w ogóle prawdą jest, co gada o naszej znajomości i długu, który jakoby ma do spłacenia za dobrodziejstwa, jakie mu wyświadczyłem. Ale wierz mi, waszmość panie, że ja w życiu tego szlachcica na oczy nie widziałem!

– Sam mówiłeś, że po wojennej kontuzji niełatwo przypominasz sobie niektóre twarze...

– Jeno on twierdzi, że zna mnie z mojej podstarościńskiej służby, a to wszak już było po wyprawie na Turka...

– Nie turbuj się tym, panie Jacku. Rozum i pamięć czasem płatają ludziom przedziwne figle. Zwłaszcza gdy ktoś tak jak ty potężnej, jak przecież słyszałem, doznał kontuzji i z ran wylizał się jedynie z pomocą boskiego cudu.

Podstarości westchnął, a zaraz potem przeżegnał się uroczyście.

– Boska ręka nade mną czuwała, dobrze waćpan rzekłeś, bo bez opieki naszego Pana albo zginałbym od tureckiej szabli, albo potem zdechł pod trupami. Cud prawdziwy, że znaleźli mnie pacholkiwie, co po bitwie obdzierali zwłoki.

– Cud nie w tym, że waści znaleźli, ale że waści nie zarznąli...

Zaremba skrzywił usta.

– Nie z litości pewnie to uczynili ani z miłości bliźniego, jeno ufając, że szcudrze ich nagrodzę za wydzwignięcie spod tureckiego ścierwa. Co też i uczyniłem, gdyż Bóg, jak widać, czasem wybiera najpodlejszych pacholków, by wcielić w życie swe zamysły. Ale spójrz waćpan – uniósł dłoń i zdjął pierścień z serdecznego palca prawej dłoni – tu już mi palec piłować zaczęli, ot, jeszcze krecha została, bo ostrze sięgnęło kości. Mówili mi potem, że jęknąłem, kiedy pacholek nożem mnie ciął. I właśnie ten jęk uratował mi życie.

– Opatrzność boża, panie Jacku kochany, opatrzność boża jak nic.

– I dobrze, że pierścień był ciasny – dodał Zaremba.

– Powiedz no mi, od kogóż zaczniemy, panie Jacku kochany, naszą małą interrogacyję?

– Pan Komarnicki dzisiaj wygląda gorzej nawet niż wczoraj, chociaż wczoraj wcale nie wyglądał kwitnąco – odparł po chwili podstarości – więc sądzę, że rozsądek nakazywałby jego pierwszego przepytac na okoliczności owego dziwnego listu.

– Aż tak źle, żeby umarł, to on znowu nie wygląda... – zauważył Ligęza.

– Widziałem już, że dużo pije, ale, co dziwne, po pijanemu albo zasypia, albo wpada w odrętwienie czy inszy stupor. Dzisiaj w nocy słyszałem również, proszę waszmości, jak płakał, a tak rozpaczliwie, jakby mu... – Zaremba wzruszył ramionami. – No sam nie wiem. Jakby mu... co by tu rzec... serce z korzeniami wrywano.

– Coś takiego! – Pan Hieronim pokręcił głową. – Patrz, panie Jacku, tyle dni już go goszczę, a nie widziałem i nie słyszałem, by płakał. Jeszcze

coś, waćpan, może zauważyłeś?

Podstarości pomyślał, że skoro gospodarz zajęty jest nocnymi zabawami z chętną dziewczką, trudno, żeby słyszał czyjeś chlipania. Ale rzecz jasna owe przemyślenia zostawił dla siebie samego.

– Słyszałem też, że gada przez sen, jakby się z kimś kłócił, a czasem jakby błagał o przebaczenie. Potem znowu zaczął płakać, cały czas śpiąc...

– Dziwna sprawa.

– Też tak sędzę, proszę waszmości. I dlatego myślę, że takiego człowieka warto wybadać, zanim mu się stanie co złego i zanim swą tajemnicę, jeżeli w ogóle takową posiada, zabierze tam, gdzie jedynie Pan Bóg będzie mógł ją usłyszeć.

– Racja, panie Jacku. Przekonałeś mnie i w związku z tym wyznaczam ci zadanie.

– Słucham pilnie waszmości.

– Jutro rano poczekaś, aż Komarnicki się obudzi, dopilnujesz, by łeb dobrze mu zlano wodą, i przyprowadzisz go do tego właśnie gabinetu na śniadanie. I pamiętaj, panie Jacku kochany – Ligęza surowym wzrokiem zmierzył Zarembę – że kropli trunku nie wolno mu wypić, zanim do mnie trafi.

Podstarości się uśmiechnął.

– Założę się, że będzie płakał i złorzeczył, ale waszmość możesz być pewien: tak jak powiedziałeś, ani kropli nie dostanie. Ręczę za to słowem!

– Aha, panie Jacku, i Pismo Święte zabierz ze sobą na tę rozmowę.

– Oczywiście, proszę waszmości – odparł Zaremba, domyślając się, że Ligęza zażąda od Komarnickiego złożenia uroczystej przysięgi.

⁴ *Memini etiam quae nolo, oblivisci non possum quae volo* (łac.) – pamiętam to, czego [pamiętać] nie chcę, zapomnieć [zaś] nie mogę o tym, o czym chcę.

⁵ *Pugna letalis* (łac.) – śmiertelna bitwa.

⁶ *Difficultas* (łac.) – trudność, niedogodność.

⁷ *Uno impetu* (łac.) – jednym zrywem.

⁸ *Venia sit* (łac.) – tu: za pozwoleniem.

⁹ *Militaris virtus* (łac.) – żołnierska dzielność.

¹⁰ *Fama eius semper vivat* (łac.) – sława jego niechaj trwa wiecznie.

¹¹ *In infantia* (łac.) – w dziecięctwie.

¹² *Difficiles mugae* (łac.) – nieżośne brednie.

¹³ *Diabolus* (łac.) – czart.

¹⁴ *Iocandi causa* (łac.) – dla żartu.

¹⁵ *Turibulum* (łac.) – kadzielnica.

¹⁶ *Fortuna tibi favet* (łac.) – fortuna ci sprzyja.

¹⁷ *Ut loquitur vulgus* (łac.) – jak to lud powiada.

¹⁸ *Vis legis* (łac.) – moc prawa.

- 19 *Horresco referens* (łac.) – drżę, wspominając [o tym].
- 20 *De facto* (łac.) – w istocie.
- 21 *Iure caduco* (łac.) – prawem kaduka, bez podstawy prawnej.
- 22 *Ab irato* (łac.) – w afekcie.
- 23 *Ex animo* (łac.) – z duszy.
- 24 *Amicus verus* (łac.) – prawdziwy przyjaciel.
- 25 *Memoria* (łac.) – pamięć.
- 26 *Necessarium vitae bonum* (łac.) – dobrem w życiu niezbędnym.
- 27 *Morsus* (łac.) – boleść.
- 28 *Remedium* (łac.) – lekarstwo.
- 29 *Dolor* (łac.) – ból.
- 30 *Obstipui* (łac.) – oniemiałem.
- 31 *Talpa caecior* (łac.) – od kreta bardziej ślepy.
- 32 *Splendor* (łac.) – blask.
- 33 *Verus amor* (łac.) – prawdziwa miłość.
- 34 *E converso* (łac.) – przeciwnie.
- 35 *Faciunt favos et vespae* (łac.) – i osy budują plastry.
- 36 *Barba crescit, caput nescit* (łac.) – broda rośnie, [a] głowa pusta.
- 37 *Febris* (łac.) – gorączka.
- 38 *Expedit* (łac.) – wyraźnie.
- 39 *Testis mihi Deus* (łac.) – Bóg mi świadkiem.
- 40 *Venia sit mihi dicere* (łac.) – niech mi wolno powiedzieć.
- 41 *Bene tibi* (łac.) – tu: pomyślności.
- 42 *Barbarus* (łac.) – barbarzyńca.
- 43 *Bene dicit!* (łac.) – słusznie prawi!
- 44 *Obscena* (łac.) – bezeceństwa.
- 45 *Lucri causa* (łac.) – dla zysku.
- 46 *Mali mores* (łac.) – złe obyczaje.
- 47 *Pro publico bono* (łac.) – dla dobra ogółu.
- 48 *Ex officio* (łac.) – z urzędu.
- 49 *Sine dubio* (łac.) – bez wątpienia.
- 50 *In praxi* (łac.) – w praktyce.
- 51 *Ars amatoria* (łac.) – sztukę kochania.
- 52 *Ars belli* (łac.) – sztukę wojowania.
- 53 *In effectu* (łac.) – wskutek.
- 54 *Amor* (łac.) – miłość.
- 55 *Amicitia* (łac.) – przyjaźń.
- 56 *Fides* (łac.) – wierność.
- 57 *Miseris succurere* (łac.) – nieszczęśliwym przyjsć w sukurs.
- 58 *Perpetuis temporibus* (łac.) – po wsze czasy.
- 59 *Verae amicitiae* (łac.) – prawdziwej przyjaźni.
- 60 *Exceptio* (łac.) – wyjątek.
- 61 *Ex lege* (łac.) – na mocy prawa.
- 62 *Ex gratia* (łac.) – z łaski.
- 63 *Paucis verbis* (łac.) – krótko [dosłownie: w niewielu słowach].
- 64 *Libertas in legibus* (łac.) – wolność w praworządności.
- 65 *Rebus in arduis* (łac.) – w opałach [dosłownie: w trudnych okolicznościach].
- 66 *Pupilla libertatis* (łac.) – żrenicę wolności.
- 67 *Virtute et exemplo* (łac.) – z racji enoty i przykładu.
- 68 *Ut ferunt* (łac.) – jak powiadają.
- 69 *Stricte* (łac.) – dokładnie.
- 70 *In usu* (łac.) – w praktyce.
- 71 *Inter nos loquendo* (łac.) – między nami mówiąc.
- 72 *Amor vincit omnia* (łac.) – miłość wszystko zwycięża.
- 73 *Ex abundantia* (łac.) – z nadmiaru, z przesytu.
- 74 *Si placet* (łac.) – jeśli łaska.
- 75 *Grata novitas* (łac.) – miła nowość.
- 76 *Sub ferula* (łac.) – pod groźbą różgi.
- 77 *Procul dubio* (łac.) – bez wątpienia.
- 78 *Salvo honore* (łac.) – bez ujmy na honorze.
- 79 *Latrones* (łac.) – rabusie.
- 80 *In promptu* (łac.) – ochoczo.
- 81 *In extenso* (łac.) – w całej rozciągłości.
- 82 *Iocus* (łac.) – żart, igraszka.
- 83 *Malus animus* (łac.) – zły duch.
- 84 *Volens nolens* (łac.) – chcąc nie chcąc.

- 85 *Ex improviso* (łac.) – nieoczekiwanie.
- 86 *Veritas* (łac.) – prawda.
- 87 *Semper beatus* (łac.) – na zawsze szczęśliwy.
- 88 *Cum debita reverentia* (łac.) – z należyty szacunkiem.
- 89 *Aries* (łac.) – baran.
- 90 *Et pisces* (łac.) – i ryby.
- 91 *In praesenti* (łac.) – obecnie.
- 92 *Libertas* (łac.) – wolność.
- 93 *Finem et modum* (łac.) – granicę i miarę.
- 94 *Sapientia* (łac.) – mądrość.
- 95 *Post scriptum* (łac.) – dopisek.
- 96 *Eo ipso* (łac.) – tym samym.
- 97 *Tyranni* (łac.) – tyranów.
- 98 *Pro servitute* (łac.) – za poddaństwo.
- 99 *Pro libertate* (łac.) – za wolność.
- 100 *Nervis omnibus* (łac.) – ze wszystkich sił.
- 101 *Belli portae* (łac.) – wrota wojny.
- 102 *Lacte avium* (łac.) – ptasim mlekiem.
- 103 *Ex capite* (łac.) – z głowy.
- 104 *Gregatim* (łac.) – gromadnie.
- 105 *Omne trinum perfectum* (łac.) – każda trójca jest doskonała.
- 106 *In maiorem cautelam* (łac.) – dla większego bezpieczeństwa.
- 107 *Stante pede* (łac.) – natychmiast, z miejsca.
- 108 *In re* (łac.) – w rzeczy samej.

ROZDZIAŁ 2

Podczaszycowicz Krzysztof Komarnicki

Pan Jacek słowa danego stolnikowi, rzecz jasna, dotrzymał. I oczywiście miał rację, przewidując, iż Komarnicki nie przyjmie dobrze podobnego obrotu spraw. Pan Krzysztof, który od razu po odzyskaniu świadomości zamierzał sięgnąć po wino, by splukać nim zbolące jelita i by ociążałemu rozumowi dodać kawalerskiej fantazji, najpierw wydanym przez stolnika zakazem setnie się zdumiał, potem uznał go za żart, a gdy wreszcie zrozumiał, że o krotchwili nie ma mowy, okrutnie się rozsierdził. Podstarości tym gniewem szlachetki nie przejął się ani trochę, a widząc, że łagodne namowy i rozumne przekonywanie nie zdają się na nic, przywołał dwóch służących i kazał im wierzgającego pana Krzysztofa zanieść pod studnię, tam do naga rozdziać i solidnie oblać lodowatą wodą. A potem już spokojnie czekał na powrót pacholków, umilając sobie to czekanie pyszną piwną polewką z serem i kluskami z makiem, których kazał wiele nagotować. Wreszcie słudzy wrócili, wlokąc za sobą bladego, zziębniętego i drżącego Komarnickiego, który wyglądał, jakby go strzygi wyciągnęły właśnie z grobu.

– Panie Krzysztofie kochany! – zawołał serdecznym głosem Jacek Zaremba. – Posil no się, bo szlacheckim ręczę słowem, że i polewka wyśmienita, i kluseczki palce lizać.

– Waszmość do diabła idź ze swoją polewką i ze swoimi kluseczkami!

Pan Krzysztof chciał zapewne ton zachować surowy i groźny, ale że był niewyspany, zmarznięty i chciało mu się pić, cała przemowa wyszła jedynie żałościwie, gdyż więcej w niej znalazło się schrypniętego koguciego piania niż lwiego ryku.

– Siadaj, panie Krzysztofie, i jedz – nakazał Zaremba surowszym już głosem – gdyż zaraz pójdziemy do gabinetu pana stolnika, gdzie ważne zostaną ci przedstawione sprawy. Umysł więc masz mieć trzeźwy, takie jest nieodwołalne i ostateczne życzenie naszego gospodarza.

– Panie starosto najdroższy – Komarnicki złożył dłonie – toż ja mam najświeższy umysł, kiedy zajrzę do kielicha! Uwierz mi, tandem tedy, mosterdzieju, że taką już konstytucję mam i taka to przywara lub zaleta

mego ducha, iż jeno po kielichu mogę myśleć, po flaszcze mój rozum ostrzeje niczym damasceńska szabla, a po kilku butelkach na isticie odysowe wpadam rozwiązania, kiedy trudne problema mi przedstawić.

– Waćpan swady nagle nabrałeś, no, no – pochwalił żartobliwie Zaremba. – Ale teraz jedz waść, jedz, a jak do pana stolnika zajdziemy, z pewnością poczęstuje cię czym dobrym. Zakładam, że lepszym w twym mniemaniu niż polewka i kluski...

– Panie starosto... – Komarnicki spojrział prosto w oczy pana Jacka i dłonie wyciągnął ku niemu niczym kaleka modlący się o zdrowie przy świętej figurze. – Panie starosto najukochańszy...

– Mowy nie ma – przeciął prośby Jacek Zaremba. – Panu stolnikowi obiecałem, że cię trzeźwego niczym dzieciątko oddam w jego ręce, a waść sam powinienes wiedzieć, iż *nobile verbum*¹⁰⁹ rzecz święta, toteż nawet gdybym miał cię związać, to zwiążę, jeśli taka przyjdzie potrzeba. A wina nie dam!

Słowa podstarościęgo zabrzmiały tak sucho i surowo, a jednocześnie tak poważnie, że Komarnicki pewien był, iż przymuszony Zaremba groźby swoje spełni i rzeczywiście zawlecze go do stolnika w postronkach niczym świniaka na targ.

– To widzę, żem nie w gościnie, ale w tatarskiej niewoli – zajęczał jedynie, tęsknym wzrokiem obrzucając stojącą na stole butlę.

– Skoro tak, to jedz, póki cię nie przedadzą. – Pan Jacek się zaśmiał, lecz zaraz spochmurniał. – No jedz waść, do kaduka! Stolnik kazał cię dobrze nakarmić, więc nie każ mi, bym twój apetyt polecił gorliwości jego sług, bo kiedy przyjdzie co do czego, może ci się to wydać tak samo nieprzyjemne jak tuczony gęsi.

Komarnicki obrzucił prześladowcę złym wzrokiem, lecz nic nie odpowiedział, tylko najpierw łychnął w misce pogmerał, a potem chlipnął z niej trochę polewki. I widać albo zasmakowała mu, albo przed panem Jackiem chciał udąć apetyt, by go do jedzenia nie przymuszano, bo łyknął kilka łyżek pod rząd.

– Nawet dobra ta poleweczka – pochwalił niechętnie.

Podstarości dał znak pachołkom, że mogą odejść, bo widział już, iż z Komarnickim sobie poradzi. I rzeczywiście, pan Krzysztof nie tylko miskę z polewką wylizał do czysta, ale jeszcze nawet przekąsił kluskami. I zdawało się, że nabrał animuszu, a jego wzrok, mętny dotąd, pojaśniał.

– No to zapraszam waszmości do stolnika dobrodzieja – powiedział pan Jacek, kiedy zobaczył, że na razie chudy szlachcic nic więcej nie przełknie.

Pan Krzysztof odsunął krzesło i posłusznie wstał.

– Waść wiesz, o czym pan stolnik chce ze mną mówić? – zagadnął cicho.

– A jak waść sądzisz? O czymże innym, jak nie o liście?

– No tak, no tak. – Komarnicki przetarł twarz dłonią, a Zaremba ze zdziwieniem dostrzegł, że szlachcic zbladł, jakby mu zmora usiadła na piersi.

– Zapraszam więc waszmości.

Hieronim Ligęza czekał już na nich w tym samym gabinecie, w którym panu Jackowi wyjawiał tajemnice dziwnych listów. Tutaj zwykle, jak sam mawiał, poświęcał się pracy naukowej. I rzeczywiście, nie tylko komnatę zamienił w bibliotekę, w której zebrał bogaty księgozbiór, lecz również pisał w niej listy (a korespondencję prowadził obfitą) i notował w domowym dzienniku pożyteczne uwagi, sentencje oraz aforyzmy, a także własne przemyślenia. „Za życia księgi tej co prawda nie wydam – mawiał – lecz synom mym przykażę, by jej wydaniem pamięć mą uhonorowali i może przyszłe pokolenia uznają ją za pożyteczną”.

– Witaj, panie Jacku kochany! – Ligęza uśmiechnął się serdecznie zza biurka. – Witaj, panie Komarnicki – dodał chłodniejszym tonem. – Rozsiądźcie się waszmościowie wygodnie, bo, jak mniemam, zabawicie tu dłuższą chwilę.

– Do usług waszmości. – Pan Jacek spoczął w fotelu.

– Panie Hieronimie najdroższy, stolniku mój kochany, dobrodzieju najmilszy – zajęczał Komarnicki, łącząc poufałość z uniżonością – zlituj się nade mną, nade mną, który iście piekielne cierpię męki z pragnienia, głowę sobie dam uciąć, tandem tedy, mosterdzieju, gorszego niżli tantalowe. Zlituj się, waćpanie!

Ligęza usta zacisnął, ale chyba nie dlatego, że był rozgniewany, lecz by śmiechem nie wybuchnąć.

– Panie Zarembo kochany, jeśli raczysz waszmość pełnić honory domu, będę ci szczerze za takową przysługę wdzięczny.

– Z przyjemnością waćpanom usłużę.

Podstarośći najpierw napełnił kielich stolnika, potem zbliżył się do Komarnickiego, a kiedy lał trunek do jego naczynia, zauważył, iż pan Krzysztof tak pilnie, tak uważnie i w takim napięciu wpatruje się w czerwoną strużkę, jakby od uronienia lub nieuronienia choć jednej kropli miało zależeć jego życie. Na końcu dopiero pan Jacek wlał wino do swego kielicha i odstawił flaszkę.

– Zdrowie waszmość panów, gości moich – rzekł stolnik, wznosząc puchar.

– O, nie może to być! – zaprotestował zaraz Jacek Zaremba. – Zdrowie pana stolnika, dobrodzieja naszego i miłego gospodarza.

– Zdrowie pana stolnika! – zapał Komarnicki.

Ligęza protestował jeszcze przez grzeczność, ale serdecznie przymuszony toast spełnił i zaraz potem poprosił podstarośćiego, by kielichy znowu napełnił. Tym razem wypito zdrowie drogich gości.

– Panie Komarnicki, waszmość dostałeś list, w którym proszono cię o przyjazd do mego domu, czyż nie? – zapytał stolnik, kiedy już odsapnął.

– Tak jest – odparł wyrwany z winnego rozmarzenia pan Krzysztof, a potem szybko i z nadzieją zerknął w swój kielich, by sprawdzić, czy nie została w nim przypadkiem choć kapka trunku. Ale nie została, więc wyraźnie posmutniał.

– Musisz mi więc waćpan uwierzyć, że nie ja cię zapraszałem. Podpis i pieczęć moje podrobiono, a treść tego listu poznałem dopiero, kiedy mi go wręczyłeś.

Pan Krzysztof zagapił się na stolnika, zamrugał w pomieszaniu raz, drugi i trzeci, czoło przetaił wierzchem dłoni, potem za czuprynę się targnął, wreszcie skurcz strachu przemknął przez jego twarz.

– Jezus Maria, panie stolniku, ja nie sfałszowałem twego listu! Panie Jezu najśłodszy, nigdy bym czegoś podobnego nie uczynił, uwierz mi waszmość...

– Panie Komarnicki, nikt cię o nic nie oskarża! – zakrzyknął Ligęza, zdumiony wybuchem gościa. – Uspokójże się waść. Panie Jacku kochany, nalej no naszemu towarzyszowi kielicha.

Stolnik poczekał, aż Komarnicki przyjmie naczynie w drżące dłonie i wypije wino duszkiem.

– Na zdrowie, panie bracie – rzekł pan Hieronim serdecznym tonem. – Wierz mi, nie o oskarżenie tu idzie, lecz by poznać sekret, który kryje się za

owym dziwnym pismem. Bo zobacz, panie Komarnicki, jaki ja list dostałem od tego samego człeka, który do ciebie napisał.

Pan Krzysztof podszedł, wziął dokument, ten sam trzeci list, który Jacek Zaremba czytał poprzedniego dnia, i trochę mrużąc oczy, trochę ciągnąc palcem po karcie, a trochę mamrocząc coś do siebie, przeczytał.

– Napisano tu, że masz mnie skłonić, bym opowiedział ci o mej krzywdzie, i abys mnie przekonał, że powinienem mówić prawdę – rzekł głucho i Zaremba zauważył, że jego twarz znowu pokryła się taką bielą, jakby wapnem ją poproszono – i że tylko jeśli będę w swym wyznaniu szczery, to wroga mego odnajdziesz.

– Tak właśnie napisano – potwierdził Ligęza.

– A co waszmość możesz mi pomóc? – zapytał gorzko Komarnicki. – Mnie już nikt nie pomoże. Nikt, panie bracie, nikt. Dla mnie już diabli kocioł z wrzącą smołą w piekle szykują, by taplać mnie w nim po wiek wieków.

Słowa te zabrzmiały tak ponuro, tak posepnie, tak żałobnie i jednocześnie z takim przekonaniem zostały wypowiedziane, że Zaremba poczuł, jak niechciany dreszcz przebiega mu wzdłuż kręgosłupa.

– Waćpan nie powiadaj byle czego! – obruszył się Ligęza. – Nie po to mamy instytucję świętej spowiedzi i pokuty, by za życia diabłom się oddawać. Wszystko da się naprawić, jeśli tylko żal za grzechy jest szczery, a nie wynikający jedynie z bojaźni przed piekłem.

Pan Krzysztof położył list z powrotem na blacie biurka tak ostrożnie, jakby papier mógł się od jego dotyku rozpaść na kawałeczki lub w popiół obrócić. Potem poczłapał w stronę fotela i opadł na siedzenie.

– Dla mnie już nie ma nadziei, panie stolniku dobrodzieju. Ja zbyt wiele zgrzeszyłem, by myśleć o miłosierdziu Pańskim. – Podniósł głowę, a Zaremba zobaczył, że w jego oczach błyszczą łzy. I coś widziało się podstarościemu, że Komarnicki nie udawał, lecz prawdziwie był zasmucony i przerażony.

– Wielu jest grzeszników i nie nam oceniać, który zasługuje na piekło – powiedział podstarości. – Waćpan wyroków boskich nie staraj się przewidywać, byś pychą nie zgrzeszył i tej winy do innych nie dodał.

– Ja? Pychą? – Komarnicki otworzył szeroko oczy. – Bóg mi świadkiem, że nie ma nędzniejszego robaka nade mnie...

Hieronim Ligęza sapnął, najwyraźniej zniecierpliwiony tymi lamentami.

– Widzę, że waćpan wiele będziesz miał do powiedzenia. I nie zapominaj, że autor tych listów kazał mnie wypytywać, a tobie swym sekretem się dzielić. Tak więc gadaj waszmość, a pan Zaremba zadba już, byś wyschnięte gardło mógł winem wygładzić, by ci swady dodało. Oraz odwagi w ujawnieniu prawdy i całej prawdy – dodał znacząco.

Komarnicki tak był ponury, że wydawało się, iż nawet wzmianka o Zarembie, który troszczyć się będzie, by kielich pana Krzysztofa był ciągle pełen, nie zrobiła na nim wrażenia. Jednak na tyle dobrze słyszał i na tyle dobrze rozumiał, że dłoń z pustym naczyniem wyciągnął przed siebie. Pan Jacek uśmiechnął się, głową pokręcił, lecz hojnie nalał. Chudy szlachcic przechylił kielich i duszkiem wypił trunek. Odsapnął. Zadrżał. Odsapnął znowu i dłoń powtórnie wyciągnął. Tym razem Jacek Zaremba spojrzął w stronę Ligęzy, lecz stolnik, zmarszczywszy brwi, skinął tylko głową na znak, iż pozwala Komarnickiego jeszcze uraczyć trunkiem. Pan Krzysztof znowu nad kielichem się nie modlił i kiedy odstawił puste naczynie na blat, spojrzął stolnikowi prosto w oczy.

– Opowiem waćpanu wszystko jak na świętej spowiedzi – obiecał uroczyście – niczego nie ukryję, niczego nie zmienię i nie zataję. Bóg mi świadkiem, że nie wybielę własnych uczynków, Bóg mi świadkiem... – Położył dłoń na piersi.

Jacek Zaremba, korzystając z nadarzającej się okazji, szybkim ruchem wyciągnął Pismo Święte, które miał już wcześniej przygotowane, tak jak stolnik go prosił.

– Waćpan przysięgniesz – nie zapytał nawet, lecz stwierdził.

Komarnicki podniósł na niego wzrok.

– Przysięgnę – odparł głucho – ale wiedz waćpan, że grzechów popełniłem tyle, iż nawet jeśli dodałbym do nich krzywoprzysięstwo i bluźnierstwo, nic by to nie zmieniło w rachunku, który mi czarty w piekle wystawią.

Ligęza wyraźnie zbierał się, by coś powiedzieć, jednak zmilczał, najwidoczniej uznawszy, że z tym człowiekiem, tak pewnym swego potępienia, nie ma sensu dyskutować i zapewniać go o potędze bożej miłości i o tym, że Bóg mocarną dłonią nawet największego grzesznika może z otchłani podnieść i do swej światłości zawieść.

– Mów – rozkazał, kiedy Komarnicki złożył już przysięgę i zdjął dłoń z okładki świętej księgi.

Pan Krzysztof nic nie rzekł, zbierał się w sobie długą chwilę, najwyraźniej zastanawiając się, jak zacząć. Kilka razy oddech już wziął i usta otwierał, lecz najwyraźniej uznawał, że nie tak trzeba i na powrót pogrążał się w milczeniu. Ligeza i Zaremba czekali cierpliwie, gdyż obaj zdawali sobie sprawę, że prędzej czy później chudy szlachcic zacznie gadać, a połajanki mogą go tylko skonfundować i na dobre język mu w gębie zamknąć.

– Nazywam się Krzysztof Komarnicki – rozpoczął wreszcie, a Zaremba z trudem powstrzymał się od prychnięcia – i pochodzę z dobrej rodziny od lat mieszkającej niedaleko Brześcia. Ojciec mój, podczaszyc brzeski Herakliusz Komarnicki, po dziadach wielki odziedziczył majątek, a sam pomnożył go, gdyż w potrzebie nie tylko dzielnie stawał, lecz nawet z krwi, tandem tedy, mosterdzieju, potrafił złoto wycisnąć.

Pan Hieronim z uznaniem skinął głową, gdyż sam należał do podobnego gatunku ludzi. Też wojował, też dzielnie na polu bitwy się sprawiał i też zawsze tak się jakoś zdarzało, że w łupach wielki miał udział.

– Matka moja wcześniej umarła, zostawiając mi w spadku dwie wioszczyne: Komarnice i Muszynkę. I całe szczęście, gdyż na przychylność ojca niewiele mogłem liczyć, a i brat raczej kainowym niżli polluksowym darzył mnie afektem.

– Więc i brata waszmość masz?

– Miałem – sprostował głucho pan Krzysztof. – Brat mój Andrzej kawalerskiej fantazji w sobie ani trochę nie miał, choć przyznam, tandem tedy, mosterdzieju, że gospodarzem był dobrym. Ale ani do szabli, ani do kielicha się nie nadawał, choć nie powiem, czasem wypić lubił. Na polowania chadzał niechętnie, dziewczkami się nie przejmował, sąsiadów nie odwiedzał. Ot, cały czas siedziałby z nosem w księgach rachunkowych, gotował handlowe pisma i jeździł po majątku, by pilnować naszych zarządców, administratorów i ekonomów. A tak się już na wszystkim wyznawał, że nie uwierzycie waszmościowie, nawet największy frant by go nie okpił, bo brat mój każdą piędź ziemi znał w majątku. – Pokręcił głowę z niechętnym podziwem.

– Rzeczpospolita nie tylko wojną stoi, ale również, a może przede wszystkim, gospodarnością – powiedział Ligeza. – Tedy dlaczego waćpan brata swego potępiasz?

– Broń Boże, ja go nie potępiam! – zarzekł się Komarnicki. – Jeno pojąc mi ciężko, tandem tedy, mosterdzieju, jak dwaj z jednego łona, a tak różni, mogliśmy wychynąć. Ja bowiem, jaśnie panie stolniku dobrodzieju i wielmożny panie starosto, nigdy głowy nie miałem ani do ksiąg, ani do gospodarki. Szlachecka fantazja tak we mnie dzień i noc płonęła, że strumieniami wina wciąż musiałem ją gasić. Dziewce żadnej co gładziej, albo i nawet mniej gładkiej, bo też i tak bywało, nigdy nie przepuściłem i ojciec mój świętej pamięci, Boże, bądź miłościw mu grzesznemu, zawsze mawiał, że wszystkie jego chłopki zbrzuchacę, ale przyznać muszę, tandem tedy, mosterdzieju, że ten mój zapal akurat życzliwie przyjmował...

– Co więc przyjmował nieżyczliwie? – przerwał Zaremba.

Komarnicki splótł palce, zakręcił nimi, wykręcił, potarł, wreszcie położył dłonie na udach.

– Grało się troszkę i hulało odrobinę – odezwał się wreszcie – zdarzyło się też, że wyrokami źli ludzie mi grozili. A i raz tak wyszło, że ojciec fortunę niemałą wydał, by mnie, tandem tedy, mosterdzieju, od infamii obronić przez przekupnych sędziów i za poduszczeniem wrogów moich orzeczonej i by relaksację dla mnie uzyskać.

– To nie taki zły ten ojciec, skoro wykupił waszmości gardło, co? – zagadnął pan Jacek.

Komarnicki tylko westchnął.

– Com ja się wyrzeczeń, narzekań a skarg nasłuchał, to czasem myślałem, że lepiej by było, gdyby mnie nie bronił i na pastwę niesprawiedliwego prawa wydał. Już od tej pory tylko Andrzej, tandem tedy, mosterdzieju, w jego sercu panował i tak się tam wygodnie rozgościł, takie sobie miłe gniazdko wymościł, iż wiedziałem, że żadna siła go nie wyrwie. Tak, tak – pokiwał głową – żadna... – Potem obrócił się w stronę Jacka Zaremby i uniósł kielich nad blat. – Jeśli waść pozwolisz, panie starosto, bo w gardle diablo mi zaschło.

Podstarości usłuchał i pan Krzysztof, pokrzepiony trunkiem, już po chwili opowiadał dalej.

– W domu nie mogłem, tandem tedy, mosterdzieju, wytrzymać, więc bratu Muszynkę i Komarnice za dziadowski grosz w dzierżawę puściłem, po czym poszedłem, niebożatko, w świat, by szczęścia szukać i takiego też człowieka odnaleźć, co się na mych rozlicznych talentach pozna. Dumiałem nawet o karierze wojskowej, lecz szybko pojąłem, że żołnierska dyscyplina nie odpowiadała memu charakterowi. – Westchnął i pokręcił głową z

wyraźnym zafrasowaniem. – Potem o urzędzie jakimś przemyślałem i nawet na dworze jaśnie oświeconego wojewody wileńskiego bawiłem przez jakiś czas, ale... – machnął dłonią – tak się zdarzyło, tandem tedy, mosterdzieju, że po wielu perypetiach, które, przysięgam Bogu, nic wspólnego ze sprawą nie mają, wylądowałem znowu w Brześciu, lecz tym razem pozbawiony nie tylko przyjaciół, ale i gotowizny. Jeden tylko człowiek nie odwrócił się ode mnie... – Komarnicki zamilkł i wzrok utopił w ciemnym kącie pokoju. Usta zaciął w cienką krechę. Kiedy sięgał po kielich, dłoń wyraźnie mu drżała. – Waszmość pozwolisz? – zwrócił się w stronę podstarościego.

Tym razem pił wolniej i trunek smakował, a to zamlaskał, a to sapnięciem pochwalił, lecz Zaremba był pewien, iż tak naprawdę szukał czasu, by porządnie ułożyć myśli w skołatanej łepetynie.

– Nazywał się ów człowiek Jaworski. Jan Jaworski. I przysięgam waszmościom, że nie pamiętam ani gdzie, ani kiedy, ani w jakich okolicznościach go poznałem. Ale czasy to były takie, że piło się i hulało tak mocno, że człowiek czasem nawet nie wiedział, w jakim mieście się budzi... – Komarnicki uśmiechnął się smętnie, lecz w tym uśmiechu łatwo można było wyczytać tęsknotę za dawnymi czasami, kiedy kiesa była pełna, młodzieńcza fantazja grała w sercu, a świat wydawał się stać otworem. – Im mniej miałem pieniędzy, tym puściej się wokół mnie robiło, lecz ów Jaworski pojawiał się, by mi towarzyszyć, choć nie widziałem, by na brak gotówki narzekał i by z mojego złota musiał korzystać.

– Najwyraźniej polubił waszmości – orzekł Zaremba.

– O tak, poluuubił – potwierdził Komarnicki dziwnie nieprzyjemnym tonem.

Milczeli przez chwilę.

– Nie ma co ukrywać, zadłużyłem się tu i tam, a potem, kiedy już o chętnego, by mi co pożyczył, stało się trudno, to wyprzedawałem, co miałem cenniejszego...

– A majątek waści? Owe dwie wioski?

– Oddałem bratu w pięcioletnią dzierżawę, za co, tandem tedy, mosterdzieju, z góry mi zapłacił. I wtedy jeszcze rok gospodarzenia mu został. Zresztą do Muszynki i Komarnic w mej opowieści powrócę, tak więc nie turbujcie się, waszmościowie, wszystko akuratnie wam objaśnię.

Zaremba skinął głową na znak, że na ową obietnicę przysłych objaśnień chętnie się zgadza.

– Pamiętam jak dziś, waszmościowie, ten dzień. Ten dzień, od którego wszystko się zaczęło. – Komarnicki zwiesił głowę. – Mieszkałem w izbie, z której karczmarz chyba tylko dlatego jeszcze mnie nie wyrzucił, iż wiedział, że wtedy tym trudniej byłoby mu odzyskać należność. W desperacji byłem, w prawdziwej desperacji, powiadam wam, tandem tedy, mosterdzieju, waszmościowie. I tak mnie zgryzota żarła, tak straszliwie żarła, że myślałem, iż serce i rozum mi wyżre, a ja z bólu ducha wyzionę. – Westchnął potężnie, serdecznie i żałośnie, po czym objął głowę dłońmi i zakolysał nią. – I kiedy tak siedziałem i walczyłem z myślami o popełnieniu przeraźliwego grzechu, grzechu, który by mnie zesłał do tego kręgu piekła, w którym cierpią ci wszyscy, co zaprzeczając bożym nakazom, rękę na siebie samych podnieśli, nagle rozległo się stukanie do drzwi... – Pan Krzysztof oderwał dłonie od głowy i się wyprostował. – Pewnie bym nie otworzył, ale człowiek zza drzwi nie kłopotał się zaproszeniem. Kiedy spojrzałem, kto zacz, ujrzałem na progu Jana Jaworskiego.

Komarnicki przymknął oczy, jakby chciał lepiej przywołać w pamięci obraz tamtych chwil...

– Żywcem Żydy mnie zjedzą – poskarżył się Komarnicki, kiedy tylko zobaczył wchodzącego do izby Jaworskiego.

Zauważył, że Jaworski przygląda mu się, i wiedział, że źle to badanie wypada. Ale też, szczerze mówiąc, niewiele go to obchodziło. Pan Krzysztof miał podpuchnięte oczy, włosy brudne i zmierzwione, niemalże jakby przed chwilą wytarzał się w ziemi niczym pies. Co gorzej, na dwóch palcach prawej dłoni miał wyraźne białe ślady po zdjętych pierścieniach i doskonale widział, że Jaworski te białe ślady dostrzegł. Tymczasem Jaworski był odziany nie tylko bogato i porządnie, lecz nieledwie jak wielki pan. W oczy świecił i karmazynowym kontuszem, i srebrnym żupanem, i żółciutkimi cholewami, i jedwabnym pasem haftowanym w perskie smoki. A guzy spinające jego kontusz były nie z miedzi, nie ze srebra, ale z czyściutkiego złota, to rzecz pewna!

– Nic już z nich nie wyduszę. – Komarnicki drżącą dłonią sięgnął po cynową szklanicę i zaklął, kiedy zobaczył, że jest pusta. – Nic, powiadam waszmości, nawet złamanego klepańca. A teraz, teraz... – zacisnął palce w pięść – panie Janie, sam wiesz, że do szaleństwa mi potrzeba gotowizny. Choćby ze sto złotych...

Jaworski skinął głową, przybierając ponury wyraz twarzy. Jednocześnie uważnie, choć nienatrętnie zlustrował wzrokiem wnętrze izby. I zauważył, że pierścienie na palcach Komarnickiego nie są jedynymi przedmiotami, które zniknęły od czasu ich ostatniego spotkania. Na podłodze nie było już wzorzystego tureckiego kilimu, a na ścianie zamiast zdobionej srebrem tarczy z dwoma srożącymi się lwami zawisł byle jaki obrazek, widać kupiony naprędce, aby tylko zasłonić wyblakłe miejsce na murze.

Jaworski podsunął sobie krzesło do stołu i usiadł.

– Na ile waści naciągnęli ci szubrawcy, panie Krzysztofie? – zapytał łagodnym tonem.

Komarnicki podniósł na niego zmęczone, zażółcone oczy, poznaczone siatką czerwonych pęknięć.

– Dobrze mówisz, panie Janie: naciągnęli. Takież to podły ten naród żydowski, że z krwi naszej żyje niczym wsza...

Jaworski wyciągnął zza pazuchy flaszę i postawił ją na blacie stołu.

– Nie jest to węgrzyn ani muszkatel, ale może pocieszy nas w strapieniu i doda nam rozumu, by waści pomóc połamać kajdany przez ów wszeteczny naród założone.

Komarnickiemu zaświeciły się oczy. Uśmiechnął się szeroko. Zęby miał przyczernione i połamane, ale całkiem jeszcze silne, bo jak chwycił nimi za korek, to wyciągnął go w jednej chwili. Polał hojną dłonią, sobie nawet tak hojnie, że wokół kubka rozlała się kałuża czerwieni. Ale naczynie uniósł do ust tak pewnie, jakby to nie jego ręce jeszcze przed chwilą drżały niczym po wielkim zmęczeniu. Prowadząc kubek do ust, nie uronił ani jednej, najmniejszej nawet kropelki, ale za to jak przechylił, to wlał w usta całą strugę trunku, łyknął ze smakiem, zamlaskał i z hukiem odstawił na stół puste naczynie.

– Zdrowie mi wracasz, panie bracie. – Nachylił się i serdecznie, choć ceremonialnie ucałował Jaworskiego w policzek. – Jak Bóg mi miły, znać, żeś prawdziwy przyjaciel.

– Bo takiego w biedzie się poznaje – dodał Jaworski i nappełnił naczynie towarzysza po brzegi.

– Ano w biedzie. – Komarnicki znowu spochmurniał. – Waść jesteś człowiek w świecie bywały i z niejednego pieca chleb jadłeś. Jeśliś mi

życzliwy, jak mówisz, to radź. Co robić, zanim przyjdzie zdechnąć z głodu czy do Żydków na służbę się zaciągnać? – Zgrzytnął zębami.

– Duże waść poczyniłeś długi?

Komarnicki potarł palcami siwawą szczecinę na brodzie i prychnął, trochę z rzeczywistego zakłopotania, a trochę dlatego, że zastanawiał się, co powiedzieć.

– Wiesz, jak to jest z nami, panie bracie. My, dobra szlachta, nie rachujemy i nie liczymy, Żydom, Ormianom oraz zamsikom podobny trud zostawiając. Toteż ponoć jest tego – westchnął ciężko – prawie pięć tysięcy czerwonońców.

Jaworski zagwizdał cicho.

– Nie licząc procentów – dodał Komarnicki – które te ścierwojady każą mi płacić.

– Czyli będzie z sześć tysięcy do spłaty... Godna sumka, naprawdę – przyznał Jaworski. – A który to Żyd, jeśli wolno wiedzieć, tak nieuprzejmie żąda od waści tych pieniędzy?

– A któryż, jak nie stary Abram? – Pan Krzysztof wzruszył ramionami. – Nie wiesz waść, że on między naszymi Żydami poczyna sobie niczym jaki ksiązę udzielny?

– Tak, tak, trudno nie wiedzieć, panie bracie! – Jaworski uśmiechnął się do własnych myśli. – I mówisz, że prolongować waści tej spłaty nie zechce?

– Jak mi Bóg miły, nie zechce! – warknął Komarnicki i ścisnął krawędź blatu tak mocno, że aż knykcie mu pobielaty. – Mówi niecnota, żebym Komarnice i Muszynkę sprzedał albo choć puścił w dzierżawę, bo on ponoć znalazł już i kupca, i dzierżawcę, który za pięć lat z góry zapłaci. Kurwisyn jeden, żeby tak jego i cały ten przeklęty naród zaraza zżarła!

Jaworski wstał od stołu i podszedł do okna. Wyjrzał zza okiennic na brudny, tonący w błocie zaułek.

– A waść wiesz, jakże oni mnie oszukali, te Żydy przekłete? – ciągnął podczaszycowicz. – Przecież ja zaledwie trzy tysiące pożyczyłem, ale kwit kazali mi podpisać na pięć, a do tego już sobie, zgodnie z ustawą, policzyli odsetki na dwadzieścia od sta.

– Tak to oni właśnie czynią, ci Żydzi, by prawo nasze ominąć, które granice lichwy im wyznacza. – Jaworski pokiwał głową. – Nie waćpan pierwszy, nie waćpan ostatni. Ale waszmość lepiej powiedz, czemuż to nie

uczynisz, jak radzi ów Abram? Przecież pamiętam, jak mówiłeś, że to wielce znaczne wioseczki. Sprzedaj je i kłopotu się pozbędziesz. – Odwrócił się w stronę towarzysza. – Przecież ty, panie Krzysztofie, i tak nie siedzisz na gospodarstwie, tylko a to w Wilnie, a to w Brześciu czas pędzisz... I w Warszawie wszak niedawno bawiłeś...

Komarnicki pokręcił smętnie głową.

– Waść wiesz, że mam brata? Andrzeja?

– Coś waćpan wspominałeś – Jaworski zmrużył oczy – ale zdaje się, z przeproszeniem waszmości, że nie braterski was łączy afekt, jak wywnioskowałem z twoich słów.

– Bo to łajdak, małpa i nic dobrego – warknął Komarnicki – ale z ojcem na gospodarce siedzi i wkupił się w jego łaski. Ojciec jak nic zostawi mu wszystko. A jeśli ja, panie Janie, Komarnice i Muszynkę bym sprzedał, to już nawet nie mam co myśleć o ojcowskim spadku, bo ojciec powie, że mój zły gospodarz i że wioseczki po matce nieboszczce za długi puściłem. – Pan Krzysztof pochylił głowę. – Widzisz, panie bracie, i tak źle, i tak niedobrze. Wiosek nie sprzedam, to Żydy mnie żywcem zjedzą. A jak wioski sprzedam, wtedy ojciec znać mnie już nie zechce i cały majątek zostawi Andrzejowi. A tak, to chociaż nadzieję jeszcze mam, słabą, bo słabą, lecz jednak, której nieodwołalnie bym się pozbył razem z owymi wioszczkami...

– Trudna sprawa – stwierdził Jaworski, a Komarnicki pomyślał, że wolałby w jego głosie usłyszeć więcej współczucia.

Bo czy przecież, uczciwie patrząc, to on winien był tych zaciągniętych długów? Czy dla siebie pan Krzysztof brał te pieniądze? Czy sam je wydawał? Nie, na Boga! Połowa brzeskiej szlachty bawiła się za jego dukaty! A czyż nie wykupił kiedyś całego najlepszego wileńskiego zamtuza na całe dwa dni, by panowie bracia, przyjaciele ukochani, mogli nie tylko godnie się napić, ale i zabawić z wesółymi dziewczkami? Tyle że, jak to zwykle bywało, grono przyjaciół kurczyło się, kiedy kurczyła się sakiewka. Aż pan Krzysztof został sam. Z długami.

– A dzierżawa na pięć lat cię nie satysfakcjonuje, panie bracie, skoro to Żydzisko znalazło dzierżawcę?

– Taka sama sprawa, panie Janie, jak ze sprzedażą – odparł zrezygnowany Komarnicki. – Mój brat dzierżawi te wioski i gdy termin dzierżawy mu się skończy, będzie chciał go prolongować. Dam komu innemu, kto by wyższą cenę chciał płacić, to ojciec mnie wyklnie... – Westchnął żałośnie. – W matniężem wpadł po uszy, panie bracie, tak

waszmości powiem... Ani światełka w tym mroku już nie widzę, chyba tylko się zarżnąć...

– Miej waść w Bogu nadzieję, że zły los się odwróci – powiedział Jaworski. – Może i serce twego ojca się odmieni.

Pan Krzysztof parsknął, jednocześnie zły i zirytowany tym, że pan Jan, zamiast doradzić coś rozsądnego, wygłasza banialuki godne księdza, a nie szlachcica i przyjaciela.

– Już tam Andrzej w jego sercu dobrze się rozgościł i tyle miejsca zajął, że nikt inny się nie zmieści – rzekł ze złością w głosie. – Ale widzisz waćpan, jak Komarnic i Muszynki nie sprzedam, to chociaż dostanę część udziału. Może nie połowę, może jedną piątą, ale zawsze coś... Muszę mieć pieniądze, żeby tych Żydów opędzić! Muszę! – Tym razem tak huknął w blat stołu, że Jaworski uratował trunek tylko dzięki temu, że szybkim ruchem wyciągnął rękę i chwycił flaszę za szyjkę.

– Trudna sprawa – powtórzył Jaworski. – Wyjaśnij całą rzecz Abramowi, tak jak mnie ją tłumaczysz. Może ubłagasz Żyda, by chociaż na czas jakiś, chociaż do śmierci twego ojca, pofolgował ci i wielkodusznie cugli popuścił.

Komarnicki zerwał się na równe nogi z twarzą wykrzywioną wściekłością.

– To taka jest waćpana rada!? Żyda o łaskę błagać!? Może jeszcze kawał ciała z piersi sobie wykroić!? Waść zupełnie rozum straciłeś!?

Pan Jan spojrzał mu prosto w oczy, bynajmniej nie przestraszony ani nie zrażony tym nagłym wybuchem gniewu.

– Trzeba było od Żyda nie pożyczać, skoro nie miałeś z czego oddać – syknął. – I waszmość na mnie głosu nie podnoś, bo jam nie wróg twój, ale jak mi się zdaje – rozejrzał się teatralnie po pokoju – jedyny przyjaciel, jaki ci pozostał.

Komarnicki dyszał ciężko i wpatrywał się w Jaworskiego oczami przekrwionymi z pijaństwa, niewyspania i złości. Wreszcie wysapał się i opuścił głowę na piersi. Zaszlochał.

– Waćpan mi daruj. Waść dobrze mówisz, żeś jedynym przyjacielem, jaki mi pozostał. – Uniósł głowę i szeroko rozpostarł ramiona. – Niechże waści uścisnę, panie Janie, pozwól... Na zgodę i na wybaczenie. Wybacz waćpan, ale to rozpacz przemawia przez moje usta, nie złość.

Jaworski nie dał się długo prosić i padł w ramiona towarzysza. Ucałowali się uroczyście w policzki i uścisnęli jeszcze raz, mocno i serdecznie.

– Możesz na mnie liczyć, panie Krzysztofie – obiecał pewnym głosem Jaworski. – Całą rzecz musimy przemyśleć i znaleźć jakiś fortel, jakiś sposób, byś Żydów spłacił i jednocześnie nie utracił ojcowskiego majątku.

– Ba! Ale czy się da, panie Janie? Czy to się da?

Jaworski uśmiechnął się nieznacznie.

– Wszystko się da, panie Krzysztofie, wszystko się da – rzekł w zamyśleniu – tylko zależy to od tego, ile masz w sobie determinacji, by życie do swej woli nagiąć. By zły los batami wytresować niczym krnąbrnego psa.

Komarnicki chwycił jego dłoń i zmiażdżył ją w gorącym uścisku. Spojrzał Jaworskiemu prosto w oczy.

– Na całym świecie nie znajdziesz człowieka, który miałby w sobie więcej determinacji niż ja! – powiedział z zapalem w głosie i takim tonem, jakby jego życie zależało od przekonania Jaworskiego. – Radź, panie Janie, radź, a ja twych rad usłucham, abyś mnie tylko z niedoli wydobył. – Wypuścił rękę towarzysza, sięgnął po kubek i opróżnił go jednym tchem. Sapnął i splunął w kąt pokoju. – Jak mi Bóg miły, we wszystkim cię usłucham – powtórzył – bo wiem, żeś prawdziwy przyjaciel, a nie jeden z tych, co tylko mojej sakwy się czepiali. Ty, panie Janie najdroższy, w moim sercu masz wieczne miejsce. – Chlipnął i przetarł oczy brudnym rękawem. – Gdyby człowiek brata mógł sobie wybierać, ciebie bym wybrał, panie Janie. Nawet bym się nie zawahał!

– Dziękuję waćpanu. – Jaworski znowu podszedł do okna i spojrzał w dół. – Daj mi dzień czy dwa, bym spokojnie przemyślał twoje sprawy. A kiedy wrócę, to – uniół znacząco palec – z całą pewnością z jakowymś konceptem.

W głosie pana Jana było tyle pewności, że w serce Komarnickiego spłynęła nadzieja. Odetchnął głęboko i niemal uwierzył, że za dwa, góra trzy dni wszystko będzie już dobrze i że przyjaciel wybawi go z kłopotów. Sięgnął po flaszkę, potrząsnął nią, spojrzał pod światło i kiedy przekonał się, że jest pusta, westchnął żałośnie.

– Może karczmarz, niecnota, zborguje nam jeszcze flaszynę – powiedział.

– *Zawsze możesz waść popróbować – odparł obojętnie Jaworski. – Zaczynij od skrzynki, a może dostaniesz chociaż butelkę.*

Komarnicki spodziewał się raczej, że przyjaciel, zobaczywszy jego determinację, sięgnie do kiesy, a nie do arsenału dobrych rad, bo przecież wypadło opić tę nadzieję, która zaświtała właśnie dzięki Jaworskiemu. Ale pan Jan najwyraźniej ani nie kwapił się do dawania pożyczek czy fundowania pijatyki, ani nie zamierzał już zostać długo na kwaterze pana Krzysztofa. Pokręcił się jeszcze kilka chwil, coś tam powiedział, coś obiecał, rzucił jedno, dwa zdania ku pocieszeniu gospodarza i kiedy już wiadome było, że zaraz wyjdzie, pan Krzysztof postanowił zdobyć się na odwagę i poprosić o maleńką pożyczkę. Już otwierał usta, kiedy...

– *Mógłbym ci, panie Krzysztofie, użyczyć nieco gotowizny – rzekł poważnym tonem Jaworski – ale nie śmiem ciężarem pożyczki cię obarczać, byś do wszelakich trosk nie dodał i takiej, że długu nie masz mi z czego spłacić. Dlatego wolę wędkę ci dać, panie bracie, a nie rybę. – Wycelował wskazującym palcem w Komarnickiego, by dodać znaczenia dopiero co wypowiedzianym słowom. – Pamiętaj, waćpanie, ja myślę nie o chwilowym rozwiązaniu waścinych kłopotów, lecz byś raz na zawsze już się ich pozbył. Raz na dobre.*

Wypowiedziawszy to zdanie, z animuszem zatarł dłonie, skłonił się, ucałował przyjaciela w policzek, zawinął się niczym fryga i już go nie było. Krzysztof Komarnicki słuchał jeszcze przez dłuższą chwilę oddalających się kroków druha, po czym splunął na podłogę.

– *Do diabła z taką amicyją, która nawet w winku nie zdążyła się poplaskać – burknął, rozcierając płwocinę podeszwą.*

– *A to paradne, proszę waści – zauważył Hieronim Ligęza, klepiąc się w kolano. – Celnie powiedziane, rzekłbym nawet. Sam waść ten koncept wymyśliłeś o owych przyjaźnianych kąpielach?*

Komarnicki spojrzął na stolnika nieco nieprzytomnym wzrokiem, gdyż najwyraźniej myślami przebywał jeszcze w pokoju w brzeskim zajeździe.

– *Wybacz waszmość, że co takiego?*

– *Do diabła z przyjaźnią, która w winie nie zdążyła się nawet poplaskać. – Ligęza cierpliwie powtórzył słowa pana Krzysztofa. – Waść sam ową sentencję wymyśliłeś czy gdzieś wyczytałeś?*

Komarnicki zagryzł nerwowo usta.

– Chyba sam, panie stolniku dobrodzieju – rzekł wreszcie – bo nawet nie przypominam sobie, bym czytał cokolwiek od czasu lat młodszych, kiedy to ojciec do nauki mnie pędził. – Uśmiechnął się niewyraźnie. – Pędził, pędził, ale nie zapędził – dodał takim tonem, jakby wspominał dawne zasługi.

Pan Jacek uważał, że sprawa niewarta była chlubienia się, gdyż sam naukę wielce szanował i sądził, że człowiek gładkich obyczajów powinien nie tylko wysławiać się wedle zasad retoryki, ale również mieć co do powiedzenia. A to wtrącić łacińską sentencję, a to odwołać się do greckich czy rzymskich mitów, by we właściwym czasie wspomnieć a to o Cyncynacie, a to o gęsiach na Kapitolu, a to o Odysie i jego przemyślnych fortelach, a to o Hektorowym czy Achillesowym męstwie, przewagach Juliusza Cezara, piękności Afrodyty, dzielności Diany, pracowitości Hefajstosa czy bitności Marsa. Wypadało też przypomnieć wiekopomne dzieła naszych wielkich wodzów lub królów, a co tu i mówić jeszcze o znajomości ustaw, która to znajomość czyniła człowieka biegłym w dziedzinie prawa, dając mu w ten sposób i dodatkową tarczę, i dodatkowy miecz przeciw wrogom, którzy pragnęliby go napaść.

– Celne powiedzonko i zapamiętam je. – Stolnik pochwalił Komarnickiego takim tonem, jakby panu Krzysztofowi wyświadczał nadzwyczajną przysługę.

– Pokornie dziękuję – wymruczał Komarnicki.

– I, jak mniemam, wrócił do waści, tak jak obiecał, onże Jaworski? – zagadnął Zaremba.

– Wrócił, wrócił, bodajby nie wracał, pies przeklęty! – Komarnicki opuścił głowę. – Tak jak przyrzekł, pojawił się po dwóch dniach i w takiej desperacji mnie zastał, że kiedym go ujrzał, do nóg mu się rzuciłem niczym jakiemu magnatowi, który by mnie łaskami obdarzał...

Pan Krzysztof aż zsiniał na gębie, wspominając ten dzień, ale – jak widać – Zarembie i Ligęzie swą historię opowiadał szczerze i bez upiększeń, tak jak tajemniczy autor przykazał w liście.

– *No, panie Krzysztofie kochany, wstawajże, wstawaj!* – *Jaworski poklepał przyjaciela po ramieniu, ale jakoś nie kwapił się, by pomóc mu w podnoszeniu się z kłęczek.*

Komarnicki więc zebrał się i powstał z trudem i ze stęknieniem – mało spał i dużo pił, więc świat widział jak przez mgłę, a nogi tak się pod nim

gięły, że zdawały się mu nie z kości, mięśni i ścięgien, ale jakby ze źle wypchanej kiszki.

– Panie Krzysztofie kochany, widzę, że polepszyło ci się, boś miał za co trunkować, kiedy ja w pocie czoła harowałem na twoją sprawę.

– Trunkować? – zajęczał Komarnicki. – Waść wiesz, jaka to krzywda dla dobrego szlachcica pić ten przebrzydły sikacz, którym uraczył mnie karczmarz, a za który dałem całą gotowiznę, jaką żem jeszcze zdołał uzyskać?

Niby głos miał zbolaty i dłonie załamał, lecz tak naprawdę, kiedy padły słowa „harowałem na twoją sprawę”, to w sercu rozśpiewały mu się chóry anielskie, bo już po dobrym humorze i zawiadackiej minie Jaworskiego poznawał, że zły los może się rychło odmienić.

– Siadajże, panie Janie kochany! Nie mam cię nawet czym ugościć, ale wdzięczność moją masz dozgonną za to choćby, żeś nieszczęśnika takiego jak ja przyszedł pocieszyć. – Zachlipał, gdyż srogi los, jaki dawał mu się we znaki, prawdziwie i serdecznie go wzruszył.

Gość zaproszenia usłuchał i rozsiadł się wygodnie, a zaraz potem klepnął się w czoło i zza pazuchy wyciągnął butelczynę, która zagulgotała tak miło i tak przyjaźnie, jakby do samego pana Krzysztofa się zwracała i jakby pytała uprzejmie, czy uczyni jej ten zaszczyt i zamkniętego w niej winka zechce popробować.

– Rzecz jasna, że tak – zaszeptał cichutko do siebie samego pan Krzysztof i aż mlasnął, gdyż wyobraził sobie cierpki smak wina rozlewający się na języku i podniebieniu.

„A może jakowąś małmazję pan Jan przyniósł? – przebiegło mu przez myśl. – Jakowys słodziutki maślaczyk, który gębę cukruje, a w głowie potrafi nielicho zaszumieć?”

Jaworski flaszkę otworzył, napelnił kubki i jeden z nich wyciągnął w stronę Komarnickiego.

– Wypijmy za powodzenie wspólnych spraw – rzekł uroczystym tonem – i za naszą przyjaźń, dzięki niej bowiem odzyszczesz majątności, z których chcę cię tak podle ograbić.

– Tak, panie Janie, tak. – Komarnicki chciał wina posmakować, ale kiedy tylko kubek zbliżył do ust i kiedy w nozdrzach zakręcił mu ten cudowny, upajający winny zapach, to już o żadnym smakowaniu nie pamiętał, lecz jednym tykiem z trunkiem się uporał, po czym odetchnął

głęboko i poczuł, jak miłe ciepło rozlewa się po ciele. Zaraz jednak, zaniepokojony, zerknął w stronę butelki, by zobaczyć, ile wina zostało po rozlaniu do obu kubków. I zmartwił się, gdyż spostrzegł, że nie było go tak wiele, jak miał nadzieję.

– Powiedz no, panie Krzysztofie, co z majątkiem ojca i brata byś uczynił, jakbyś już prawowitym jego stał się właścicielem? – zagadnął pogodnie Jaworski.

– Baaa, panie bracie – Komarnicki machnął dłonią – i dziesięć, i sto razy o tym myślałem. Bo widzisz waćpan, powiem ci szczerze, że w moim młodszym bracie żadnej nie ma szlacheckiej fantazji. Na wysyłce zboża zarabia krocie, a podobno specjalnie do Gdańska pojechał, by z niderlandzkimi kupcami podpisać umowy i by nie korzystać z gdańskiego pośrednictwa. Co dukaty zarobi, to ziemię w okolicy z pozwoleniem ojcowym dokupuje. Mówiłem mu: postaw godny kamienny pałacyk, to tylko wzruszył ramionami, bo woli mieszkać w starym dworze. A powiedźże waszmość, kto we Francji czy w Niderlandach gnieździ się w drewnianych budach? Co to my psy jesteśmy, pytałem go, albo konie? Mówiłem mu: sprowadzę ci francuskich ogrodników, którzy taki park urządzą, że w całej okolicy będzie głośno o Komarnickich. To powiedział, niecnota, żebym za swoje francuskich darmozjadów najmował, nie za ojcowe czy jego. – Pan Krzysztof zgrzytnął zębami tak potężnie, jakby rozgryzał właśnie w szczękach garść orzechów. Na twarz wystąpił mu krwawy rumieniec i od razu było widać, że rozmowę z bratem dobrze sobie zapamiętał i do tej pory nie mógł urazy przeboleć.

Jaworski pokręcił głową.

– Spostonował waćpana jako żywo, a wszak starszy jesteś, więc starszego brata powinien słuchać z szacunkiem, nie pomiatać nim niczym jakąś hetką-pętelką.

– Waść... mnie... hetką-pętelką nazwałeś!? – Komarnickiemu głos zaciął się z gniewu.

– Ja? – Pan Jan rozłożył ramiona, a w jego głosie dało się słyszeć wielkie zdumienie. – Ja przecież waści szanuję jak nikogo na świecie! To brat twój Andrzej ma cię za głupca i niedojdę. A pomyśl sobie, co przed ojcem musi mówić, jaką mu truciznę sączy co dzień do ucha. Ani się tego dowiesz, panie bracie! A skończyło się na tym, że zostałeś bez grosza przy duszy, kiedy twój brat opływa w dobra, tobie przecież z racji wieku święcie należne. – Jaworski podszedł do towarzysza i położył mu dłonie na

ramionach. – I nie tylko z racji wieku, lecz zacności wielkiej i fantazji szlacheckiej, których w tobie, panie bracie, tyle, że mógłbyś pół Rzeczypospolitej nimi obdzielić.

Komarnicki uśmiechnął się, rozczulony.

– Nigdzie nie znalazłbym takiego przyjaciela jak waćpan! Jak kto powie, że nie waść najpocziwszy w naszej Rzeczypospolitej, to mu w oczy plunę i własnymi palcami wyrwę mu plugawy jęzor z gęby!

– Powiedz, panie Krzysztofie, czy jest jakiś sposób, byś swego brata sprowadził do Brześcia? Czy przybędzie, kiedy go wezwiesz?

– Chyba na mój grób, żeby na niego naszczać! – warknął Komarnicki.
– Inszej rady nie widzę. – Pokręcił głową i dodał już spokojniejszym tonem:
– Tak zapiekła nienawiść w jego sercu się pali, jakby nie był moim bratem, lecz raczej poganinem zazartym na dobrego chrześcijanina...

– Trudna sprawa, co? – mruknął Jaworski.

Znowu rozlał trunek do kubków i tym razem ku rozpaczycy pana Krzysztofa we flaszy zaświeciło dno. I Komarnicki wiedział, że nie będzie mógł się cieszyć smakiem wina, kiedy przekonał się, że następnej porcji już nie dostanie. Chyba że, chyba że... udałoby mu się namówić Jaworskiego na następną butlę. Pokrzepiony tą myślą spełnił toast, nie słuchając nawet, czego tam pan Jan mu życzy, po czym dał się ucałować w oba policzki.

– Nie wierzę, że niczym go nie możesz skusić – wrócił do sprawy gość.
– A gdyby brat twój usłyszał, żeś chory albo umierający? Że po ostatnim namaszczeniu tylko braterskiego oczekujesz wybaczenia oraz pojednania? Przyjedzie wtedy?

Pan Krzysztof wydmął usta.

– Jak Bóg na niebie, nie przyjedzie! Uzna, że to jakaś sztuczka wymyślona, by... – Cmyknął przez zęby i nie dokończył.

– By pieniądze od niego wydobyć – domyślił się Jaworski i dokończył zdanie za Komarnickiego, doszedłszy do wniosku, iż podobny fortel musiał już kiedyś być w robocie. – Masz więc waćpan rację: drugi raz podobna przynęta nie zadziałała, a wręcz zwierzyne nam spłoszy. Taaak...

– Wiem! – Komarnicki klepnął się otwartą dłonią w czoło, aż klasnęło.
– Wiem, na Boga!

– Mów więc waść.

– Napiszę do niego list, że Komarnice i Muszynkę chcę mu sprzedać, a jak obu wiosek nie kupi, to oddam je w obce ręce. Niech tam idą na

zatracenie!

– Uwierzy?

– A czemuż miałby nie uwierzyć? Wie, że zdesperowany jak nigdy. Zdesperowany, powiadam waści.

– Więc wtedy przyjedzie?

– Tak jest.

– Ale zaraz, zaraz... – Jaworski wyraźnie się stropił. – Powiedz no waść, czemu właściwie tak naprawdę wioseczek mu nie sprzedasz? Ty byś miał gotowiznę, a ojciec by cię nie potępił, bo przecież nie w obce ręce majątek by poszedł, lecz został w rodzinie.

– Jeny wtedy figę z makiem bym w spadku dostał, nie udział – westchnął Komarnicki – bo jedyne, co ojca mojego przed wyrugowaniem mnie z testamentu trzyma, to strach przed tym, że doprowadzony do desperacji Muszynkę i Komarnice sprzedam byle komu, choćby ostatniemu Żydowi, a taką w zapisie ustanowię cenę, że i retraktować jej nie będzie sposobu, chyba że nakładem wielkich kosztów. A tak, to pewnie liczy, że prędzej czy później diabli mnie wezmą i mająteczek po niebodze matusi wpadnie w ręce Andrzeja.

– Hmm... – Jaworski potarł brodę wierzchem dłoni. – Widzę, że twój ojciec, panie Krzysztofie, wszystko obmyślił do każdego szczegółu. Lecz wiedz o tym... – skrzywił usta w uśmiechu i uniósł wskazujący palec z paznokciem szerniałym na węgiel – że nie ma takiego planu, którego pokrzyżować by się nie dało, ni takiego muru, którego dobrze dobrana i odpowiednio wyrzutowana armata by nie skruszyła.

Komarnicki skinął z zapalem głową, lecz potem zamyslił się na chwilę, splótł dłonie, aż stawy mu chrupnęły niczym łamane gałzki, i wreszcie spojrzal nieśmiało na towarzysza.

– Powiedz waść, czemu mojego brata chcesz widzieć w Brześciu? Z tym człowiekiem do ładu ani prośbą, ani groźbą nie można dojść. A jak ojciec się dowie, że Andrzejowi jakowąś przykrość wyrządziłem, to na wiek wieków dziedzictwo przede mną zamknie i nic już jego woli nie odmieni.

Jaworski się roześmiał.

– Panie Krzysztofie kochany, czy ja jaki zbój jestem, by twego brata przymuszać siłą do tego, by podzielił się z tobą majątkiem? Nawet go palcem nie tknę, to waści święcie obiecuję!

Komarnicki nie odpowiedział na to, tylko nadal uważnie się przyglądał towarzyszowi. Ten jednak odpowiedział mu szczerym wejrzeniem.

– Los ludzi jest w rękach Boga – rzekł wreszcie pan Krzysztof uroczyście – i wiadomo, że bratu memu mogłoby się przydarzyć jakieś nieszczęście czy w Brześciu, czy w drodze do Brześcia. Ale zapewniam waćpana, że jego nieszczęście w moją fortunę by się nie zmieniło. Ojciec prędzej oddałby cały majątek Kościółowi niż mnie, jeśli tylko powziąłby najmniejsze podejrzenie, iż zapraszając brata, miałem nieszczerą intencję. Zresztą – zrezygnowany machnął dłonią – gdyby podejrzeń nie powziął, też pewnie wolałby Kościółowi majątek zapisać.

– Nic takiego się nie stanie – odparł równie uroczyście tonem Jaworski – i nie powinienes waść nawet myśleć o podobnym ułożeniu spraw. Wiedz jednak waćpan, że ja spowoduję, iż otrzymasz całą ojcowiznę. Całą – powtórzył dobitnie, by Komarnicki dobrze pojął jego słowa. – Lecz sam rozumiesz, iż będę miał wielkie koszta, a i całe przedsięwzięcie ogromnego wymaga wysiłku oraz... – stuknął się wskazującym palcem w skroń – bystrego rozumu. Spytałem więc waćpana, szczerze, jak brata, którym chcesz przecież być: co otrzymam w zamian za mój trud i za afekt, który do tego trudu mnie zmusza?

– Ha! – Komarnicki zapatrzył się w towarzysza, gdyż podobne pytanie, a tym bardziej odpowiedź na to pytanie, nie przyszły mu wcześniej do głowy. – No tak, masz waćpan rację, masz rację, by waści wysiłki... jakoś nagrodzić... No ale... – wzruszył ramionami – nie wiem... A czego waść oczekujesz? – zapytał nagle i zaraz potem sapnął wyraźnie zadowolony, że ciężar wyznaczenia nagrody zrzucił ze swych barków.

– Podpiszesz mi skrypt na piętnaście tysięcy złotych płatnych w miesiąc po tym, jak wejdiesz w posiadanie majątku – powiedział Jaworski.

– Na? Że co? – Komarnicki wstrząsnął głową, jakby trafiony potężnym ciosem. – Że jak waść powiedziałeś? Że na ile?

– Na piętnaście tysięcy złotych, panie Komarnicki – powtórzył, tym razem ostrzejszym tonem, pan Jan. – I nie powiesz mi, że będziesz stratny na tym interesie. Wszak obaj wiemy, że majątek twego ojca wart pewnie i dziesięć razy tyle. I to same wioski! A kto tam wie, jakie skarby stary chowa po skrzyniach? Założę się, że, by spłacić mnie, starczy ci tego, co ojciec chowa w komorze, a nawet włóki ziemi nie będziesz musiał sprzedać.

Pan Krzysztof w pomieszeniu sięgnął po flaszkę, przechylił ją nad kubkiem, a gdy przekonał się, że naprawdę nic w niej nie ma, naczynie

odstawił z głośnym stuknięciem na blat stołu. Jaworski na to się uśmiechnął, raz jeszcze sięgnął za pazuchę i wyciągnął drugą butelczynę, a tak zręcznie niczym kuglarz, który przedstawia sztuczki ciekawej gawiedzi. Komarnicki był jednak tak zdumiony wcześniejszym żądaniem, że widok flaszki nie zrobił na nim wielkiego wrażenia. Owszem, trochę go ucieszył, lecz radość ta przykryta została rozczarowaniem. Odetchnął więc głęboko, usiadł w krześle i zapatrzył się w towarzysza wzrokiem, w którym niechęć biła się o lepsze z żalem.

– Myślałem, że waćpan darzysz mnie afektem, jak to wielokrotnie powiadałeś. Myślałem, że chcesz mnie wspomóc w potrzebie, tak jak w złym świecie cnota cnotę powinna zawsze wspierać. A ty po prostu parol zagiąłeś na mój majątek! A ty...

– Milcz waszeć! – Jaworski huknął tak, że Komarnicki aż kłapnął zębami z wrażenia. Posłusznie zamilkł, gdyż pan Jan wyglądał na prawdziwie rozsierzonego. – Milcz waszeć – powtórzył już spokojniej, choć nadal w jego głosie pobrzmiwała zimna groźba – zanim powiesz coś, co nie tylko przyjaźń naszą zakończy, ale co zmusi mnie, bym zażądał od ciebie satysfakcji za wyrzeczone słowa.

Jaworski przemawiał z taką powagą, a tonem tak zimnym i nieprzyjemnym, że Komarnicki bez trudu uwierzył, iż jeszcze jedno nieprzemyślane słowo, a nie tylko prysną jego marzenia o ojcowskim majątku, lecz w dodatku z oddanego towarzysza uczyni sobie śmiertelnego wroga. A kto wie, kto wie, czy nie trzeba by nawet głowy dać pod szablą pana Jana, gdyby przyszło do najgorszego?

– Ja przecież waści nie zamierzałem urazić – powiedział pojednawczo.
– Waść tak nawet nie myśl! Przecież wierz, że nawet brata rodzonego...

– Waćpan jesteś człowiekiem o dwóch twarzach i dwóch językach – przerwał mu bezceremonialnie Jaworski – raz zapewniasz o braterskim afekcie, a zaraz potem okazuje się, iż chcesz mnie jedynie wykorzystać i potem za próg przegnać. Wyrzucić jak zbrzuchaconą dziewczkę albo jak murwę jakowąś!

– Ależ waćpanie, ja...

– To ja nad waści szczęściem rozmyślam dniami i nocami, to ja wywiaduję się u różnych ludzi, co zrobić i począć można, jak trzeba działać... A waść, panie Komarnicki, co? Myślałeś, że kiedy już zostaniesz wielkim bogaczem, to z Jaworskiego hajduka swojego w podzięcie zrobisz? Laufra? Pajuka? Kozaka? Dozorcę ogrodu?

– Ależ waćpanie, jakże...

– To ja rozum mój daję waści i koneksje, to ja decyduję się zaryzykować, może nawet dobrym imieniem, może i gardłem, a waść tak mnie traktujesz, jakbyś chciał mnie pognębić. – Jaworski pokręcił głową. – Tego się po waćpanie nie spodziewałem. Nie spodziewałem się tego po człowieku, przed którym z ufnością otwarłem serce. A ty, panie bracie... – Szlachcic zapatrzył się prosto w twarz Komarnickiego – ty, panie bracie, naplułeś mi w to serce.

Odwrócił się i postąpił trzy szybkie kroki pod same drzwi. Chwycił za klamkę.

– Nigdy mnie waćpan nie szukaj – przykazał, nie obracając się – i najlepiej zapomnij, że kiedykolwiek znałeś Jana Jaworskiego. I choć zranieś mnie do żywego, to życzę ci, byś kiedyś jeszcze znalazł przyjaciela tak zacnego i szczerego jak ja. Żegnaj, panie Komarnicki.

Pan Krzysztof siedział w krześle niczym skamieniały iznaczony tym skamieniem wysłuchał całej przemowy gościa, ale kiedy już się za Jaworskim drzwi zamykały, zdołał się jednak poderwać.

– Na rany Boga żywego, stójże waszmość! – I ruszył pędem w stronę wychodzącego towarzysza. Chwycił Jaworskiego za ramię i szarpnął potężnie. – Panie Janie, nie opuszczaj mnie! – ryknął basem, który po słowie „opuszczaj” załamał mu się w splekany falset.

Zakrztusił się, rozkaszał, jednak cały czas mocno trzymał ramię towarzysza, jakby bał się, że ten może skorzystać z chwili słabości człowieka, który przysporzył mu tyle strapienia, i jednak uciec, gdzie wzrok poniesie. Wreszcie pan Krzysztof wykaszlał się i wyparskał.

– Panie Janie, bracie najdroższy, nie odchodź. Wybacz, lecz rozpacz i zarazem nadzieja tak mną miotają, że w tym okrutnym sztormie porwane już zostały na strzępy żagle rozumu...

Komarnicki mówił tak pokornie i spoglądał z taką żalnością, że zacięta twarz Jaworskiego w końcu się rozchmurzyła.

– No to pogadajmy, skoro waść uważasz, że jest jeszcze o czym – oświadczył tonem, który jednak wyraźnie wskazywał, że słowa nie przekonały go do końca o szczerości intencji towarzysza i że pan Krzysztof wiele będzie musiał jeszcze uczynić, by odzyskać utracone zaufanie.

Komarnicki powiódł gościa w stronę krzesła, cały czas trzymając go za łokieć, jakby obawiał się, że Jaworski zmieni zdanie i z komnaty ucieknie,

usadził, nalał wina do kubka, kubek podał, a wręcz wcisnął w niechętną dłoń towarzysza, który te uprzejme zabiegi traktował z taką obojętnością, jakby dotyczyły kogoś innego. Potem wlał trunek również sobie i zbliżył kubek do naczynia, które Jaworski trzymał w nieruchomej dłoni.

– No stuknijże się ze mną, panie Janie kochany – odezwał się przymilnie. – Na zgodę i za to, byśmy nasze, twoje raczej – uśmiechnął się pochlebczo – plany co do joty wypełnili i nie tylko wzajemną przyjaźnią mogli się dalej cieszyć, lecz również zacnym mająteczkiem.

Jaworski wrzucił ramionami, a dłonią poruszył w taki sposób, że ścianka jego kubka otarła się o ściankę kubka Komarnickiego, co przy dużej dozie dobrej woli można było uznać za stuknięcie. W każdym razie pan Krzysztof tak właśnie osądził, gdyż swoje naczynie opróżnił, po czym rzucił nim o najdalszą ścianę tak mocno, że kubek na skorupy się rozprysnął.

– Daj Boże, panie Janie najdroższy, przyjacielu miły, że niedługo kryształowe kielichy będziemy tłuc o marmury, nie gliną ciskać w drewno.

– Coś czuję, że waść nie za długo będziesz się cieszył tym majątkiem, skoro takie figle ci w głowie – mruknął zgryźliwie Jaworski.

Komarnicki roześmiał się tylko radośnie, wielce szczęśliwy, że towarzysz wreszcie raczył się do niego odezwać, a nawet był na tyle łaskaw, by zażartować. Po chwili jednak znowu spochmurniał, bo przypomniało mu się, jakiej sumy zażądał pan Jan. I myśl o tej sumie, o tych piętnastu tysiącach, kłuła go niczym drzazga wbita w dziąsło. Tak kłuła, tak przeszkadzała, tak swędziała i tak uwierała, aż wreszcie nie wytrzymał i bolesne miejsce postanowił rozdrapać.

– Nie chcę cię obrazić, panie Janie najdroższy, ale... piętnaście tysięcy? – zaczął nieśmiało. – Boże mój, piętnaście tysięcy? Kwota to straszna, a ja chudopacholek i nawet jak majątność otrzymam, to niewiele więcej będę niż chudopachołkiem...

– Nie pleć, panie Krzysztofie – warknął Jaworski – już ja się dobrze o twego ojca rozpytałem i wiem, że kiedy majątek odziedziczysz, to w grono najpierwszych posesjonatów województwa będziesz się liczył.

– Eee, to nie tak, kochany...

– A czy ty, mój panie bracie, myślisz, że łatwo będzie spowodować, byś otrzymał spadek w miejsce Andrzeja? No, jak sądzisz? – Jaworski zajrzał przyjacielowi głęboko w oczy.

Komarnicki rzeczywiście dopiero teraz zdał sobie sprawę, że rozmowa o pieniądzach dla Jaworskiego to jakby dzielenie skóry na żywym niedźwiedziu. I nawet w jakiś przekorny sposób ucieszył się, że majątkiem jeszcze nie dysponuje, a co za tym idzie, nie może i nie musi wywiązać się z zapłaty tego skandalicznie wysokiego haraczu.

– Wszakże gdyby to było łatwe i rozumu wymagało lada jakiego, sam byś już dawno rzecz stosownie przeprowadził... – dokończył pan Jan z życzliwym uśmiechem.

Komarnicki równie życzliwym uśmiechem odpowiedział. Dopiero w chwilę po usłyszeniu tych słów doszło do niego właściwe znaczenie wypowiedzianego przez towarzysza zdania i nieprzyjemność, a człowiek pochopny rzekłby nawet: obelga w nim zawarta.

– A skoro sam nie mogłeś przeprowadzić swego zamysłu, to ja zgodziłem się służyć ci pomocą oraz radą – ciągnął spokojnie Jaworski. – Ale przecież, waszmość panie, na tym świecie nawet karczmarza Żyda się nagradza, nawet posługaczce w zajeździe rzuci się czasem miedziaka – szlachcic uniósł rozżalony wzrok na Komarnickiego – a ty mnie... ty mnie, proszę waszmości...

– Nie mówmy już o tym, błagam cię, panie Janie! – zakrzyknął Komarnicki.

I ponownie przeraził się – tym razem nie myślą o wysokości haraczu, lecz że Jaworski odejdzie i już się więcej nie pojawi. A on sam nie tylko nigdy nie odzyska majątku, lecz nie dowie się nawet, na czym sposób jego odzyskania miałby polegać.

– Pokornie proszę, byś nie wspominał więcej o tym żalonym wypadku! A ja z ogromną chęcią wypiszę ci list na piętnaście tysięcy złotych i wielce będę zobligowany, jeśli raczysz go przyjąć. Abyś tylko swej rady, pomocy i przyjaźni mnie nie pozbawiał. – W oczach pana Krzysztofa załśniły łzy, a dłonie złożył niczym do modlitwy.

– Spróbuję zapomnieć – obiecał po chwili Jaworski. – A jeśli chodzi o wybaczenie, to wybaczę ci chętnie, bo dla przyjaciela takiego jak ty serce moje mięknie niczym wosk – tym razem pan Jan chlipnął z rozrzewnieniem – z czego bezlitośnie przecież korzystasz... – Pokręcił głową, jakby zadziwiony tym cynizmem pana Krzysztofa.

Komarnicki uściskał go, ucałował, przytulił i tak się obaj przyjaźnią swą rozrzewnili, że rychło płakali niczym bobry.

– Człowiek ten tak mnie omotał, tak usidlił, tak kłamstwami i zapewnieniami przyjaźni oplątał, że, tandem tedy, mosterdzieju, zgodziłem się na wszystko, czego chciał – rzekł pan Krzysztof, nie patrząc ani w stronę Ligęzy, ani w stronę Zaremby. – Wystawiłem mu list na piętnaście tysięcy złotych, który obaj potwierdziliśmy u brzeskiego notariusza, choć przecież zapewniałem Jaworskiego, że słowo szlacheckie nie dym... – Pokręcił głową, najwyraźniej sam zadziwiony tym, jak mógł się nie poznać na złych intencjach rzekomego druha. – Przyznam waćpanom szczerze, że do tego mnie niegodziwiec doprowadził, iż prawdziwie byłem mu wdzięczny, że jest tak łaskawy i podobną sumę zgadza się przyjąć. Toteż aż wstyd przyznać, starałem się zgadywać jego życzenia i nadskakiwałem mu, jakby dobrodziejowi jakiemuś. – Zrezygnowany zamknął oczy.

– Nie spytałeś waćpan, jakimż sposobem ten człowiek chce zapewnić waszmości spadek? Zwłaszcza że na drodze do tegoż spadku stali zarówno ojciec, jak i brat? – indagował Zaremba.

– Spytałem, lecz Jaworski wtedy odpowiedział, bym się nie turbował podobnymi detalami, gdyż on rzecz całą przeprowadzi ku mojej satysfakcji.

Ligęza prychnął.

– I takie tłumaczenia waści starczyły?

– Zasmuciłem się, przyznam szczerze, tandem tedy, mosterdzieju, bo myślałem, że poznam jakiś wybitnie ulissesowy podstęp.

Komarnicki nisko opuścił głowę.

– Ale jednak nie pytałem więcej... – dodał po dłuższej chwili milczenia. – Może, teraz tak myślę, tak naprawdę nie chciałem nic wiedzieć. Nie chciałem, by cokolwiek mi wyjaśniał, lecz by całą rzecz przeprowadził zgodnie z zawartą umową. Wstyd powiedzieć, ale ja, stolniku dobrodziejcu, już tylko myślałem, co zrobię z pieniędzmi. I jak tym niegodziwcom, którzy opuścili mnie w potrzebie, zaświecę złotem w oczy. I jak będą znowu o przyjaźń moją skamleć niczym głodne psy... – Westchnął ciężko. – No i, tandem tedy, mosterdzieju, dziewczka jeszcze była...

– Co za dziewczka?

Pan Krzysztof uśmiechnął się na poły smutno, na poły z rozmarzeniem.

– Tak piękna, że Afrodyta mogłaby u niej za szpetną posługaczkę robić. Ale z jej uprzejmości mógł korzystać tylko ten, kto zabrzęczał kieską pełną złota. I też nie każdego bogacza raczyła obdarzyć łaskami. Czasem

tylko wyśmiała i przegnała precz. Taka to była, tandem tedy, mosterdzieju... figlarka. Ale ja, proszę waści, miałem to szczęście, że sobie mnie upodobała... – Komarnicki westchnął jeszcze ciężiej. – Bo był niegdyś czas, powiem waszmość panom, że z Krzysztofa Komarnickiego był prawdziwy zuch, nie taki dziad jak dzisiaj. Tak, tak... – Zapatrzył się w ścianę za plecami Ligęzy, jakby w kilimach przykrywających drewniane belki chciał odnaleźć chwałę dawnych dni.

– Mów waćpan dalej – rozkazał stolnik, kiedy cisza się przedłużała.

Pan Krzysztof drgnął, jakby dźgnięty ostrzem. Najpierw spojrział nieprzytomnym wzrokiem w stronę gospodarza, potem się otrząsnął.

– Wybacz, waszmość panie, wybacz. Przez chwilę zdawało mi się, tandem tedy, mosterdzieju, jakby dawny ogień znów zapłonął w moim sercu... – Uśmiechnął się smutno. – Taaak... Kiedy przetraciłem już wszystko, co miałem, dziewczka jeszcze była mi powolna przez jakiś czas. Pewnie sądziła, że znowu zdobędę złoto, tak jak to zawsze bywało. No ale kiedy zobaczyła, że nic z tego, że już nawet długów nie mam u kogo zaciągnąć, że byle Żyd czy Ormianin pilnuje swego domu przede mną niczym przed wściekłym psem, to już, tandem tedy, mosterdzieju, kazała mnie służbie przegnać precz – zgrzytnął zębami z nieudawaną wściekłością – jak jakiegoś dziada proszalnego, nie szlachcica, który nie tylko łaską konfidencji ją obdarzył, ale który obsypywał ją złotem oraz podarkami. Murwa przeklęta!

Ligęza uśmiechnął się pod wąsem, zadowolony z tego, że sam nigdy podobnych wstrząsów rozumu nie przeżył i że mógł z wyższością spoglądać na ludzi, którzy głupieli w obliczu byle dziewczki. A jak takoważ dziewczka rozłożyła przed nimi nogi, to już czuli się niczym Ali Baba przed otwartym Sezamem. A przecież z podobnego Sezamu jedynie paskudztwo się brało i duchowej, i fizycznej natury, bo wiadomo, że co drugą z miejskich dziewczek przeżerała francuska choroba. Tak samo jak i te niecnotliwe dwórki, które żona króla Jana, paryska murwa poznaczona syfilitycznymi szankrami, sprowadziła na warszawski zamek. Owszem, pan Hieronim lubił z dziewczkami pofiglować i męskiej chuci ulżyć, jednocześnie swym zainteresowaniem zaszczyt sprawiając tej czy innej dziewczuszynie. Ale przecież nie wycierał się po zamtuzach, gdzie wszetecznym sprzyjano obyczajom i gdzie brud, krosty i wrzody przykrywano barwiczką i posypywano pudrem. Pan Hieronim uważał się za człeka kutego na cztery nogi, który byle mirażowi i pozorowi nie da się zwieść. A ponieważ nabył

solidnego, antycznego wykształcenia, lubił mówić o sobie, że za platońskim przykazaniem potrafi odróżnić prawdziwe postaci od nędznych cieni tańczących na skalnej ścianie. Ligęza wołał hoże, wiejskie dziewczki (które, zanim pozwolił wpuścić do łożnicy, wcześniej nakazywał w łaźni solidnie wyszorować), może nie tak w sztuce Amora biegłe jak warszawskie nierządnice, za to mężczyźnie oddające się z naturalnym wdziękiem, nie z wyrachowania każącego każdy uścisk przeliczać na złoto. Przyznać też panu Hieronimowi było trzeba, iż żadnej poddanki nie niewolił siłą, lecz wręcz przeciwnie: młode dziewczuchy aż się biły, by w domu pana dziedzica usłużyć, bo z tego usługiwania można było wyjść nie tylko z zapewnionym posagiem, lecz nawet z mężem. A z mężem dlatego, iż swe ulubienice Ligęza potrafił dobrze wydać za mąż. I często uboga dziewczynina, której jedynym atutem było piękne liczko i obfite kształty – bo stolnik lubił białogłowy solidnej postury – po kilku miesiącach praktyk u pana dziedzica szła za mąż za bogatego chłopca lub nawet mieszczanina i w dodatku wносиła w wianie godny posag. Teraz, co prawda, stolnik musiał przyhamować zapały, gdyż Ewa, której urodę i kształty mieli okazję podziwiać jego goście, mocno trzymała go w garści i nie zamierzała z niewoli wypuszczać. Inna rzecz, że Ligęza trzymać w tej garści się pozwalał, gdyż widział w tym posłuszeństwie więcej pożytku niż szkody.

Ale pan Hieronim nie zawsze był człowiekiem tak łagodnym jak teraz, na stare lata. Dawniej, w czasie długich lat wojennej służby, żołnierski zapał spalał nie tylko w bitwach, lecz marsowe obowiązki pilnie łączył z wenerowymi. A czy tam z wolą dziewczek rzecz się odbywała, czy bez ich woli, to już Ligęza nie zważał, gdyż słusznie mniemał, że niezależnie od epoki, od wojny i od nacji kobiety zawsze były zdobyczą, taką samą jak złoto czy precjoza. A kto by się tam wypełnionej kosztownościami sakiewki pytał, jakież palec chce właśnie wpuścić do środka?

– No, opowiadaj waść dalej, opowiadaj – ponaglił Komarnickiego – bo przyznam, że ciekaw, jak rzecz się cała zakończyła, chociaż pewien jestem, że dobrego finału mieć nie mogła.

– Dla kogo dobrze się skończyła, dla tego dobrze, a dla kogo źle, dla tego źle – powiedział Komarnicki sentencjonalnie. – Lecz w jednym waść masz słusność: wielu ludzi, tandem tedy, mosterdzieju, spotkała krzywda z mojej winy. A czemu tak się stało, zaraz wam dokładnie wyłuszczę...

– A dziewczka? Ta Afrodyta? Co z nią? – przypomniał jeszcze Zaremba.

– Ano tak sobie myślałem, tandem tedy, mosterdzieju, że kiedy majątność będę już miał i twardo trzymał w garści, to dziewczkę odzyskam. I już sobie roiłem, jak ona będzie błagać o moje łaski, jak kolanami próg mojego domu wycierać, a ile mi obieca, a ile da... – Uśmiech wypełził na usta pana Krzysztofa, a jego oczy zabłyły, jakby przejrzał się w nich ślad dawnej namiętności.

– Odzyskałeś ją waszeć?

– Panie Jacku kochany, dajże mu gadać! I niech opowiada nam w takiej kolejności, w jakiej rzeczy się miały – odezwał się stolnik strofującym tonem – bo przecież inaczej nigdzie nie dojdziemy.

– Milczę jak grób, waszmość panie. – Pan Jacek krzyż nakreślił sobie na ustach, jakby gębę tym gestem ryglował.

Ligęza się uśmiechnął.

– Już ja widzę, jak w obietnicy dotrwasz – powiedział całkiem rozpozgodzony. – No gadajże, panie Komarnicki. – Odwrócił wzrok w stronę chudego szlachcica. – Jak rozumiem, do brata posłałeś list, tak jak ci to ów Jaworski nakazał?

– W samej rzeczy tak właśnie uczyniłem, jak waść rzekłeś, panie stolniku dobrodzieju. Jaworski list pomógł mi napisać i przyznać muszę, że zrzecznie mu to poszło, bo w piśmie tym, tandem tedy, mosterdzieju, tak okrutna wrzała desperacja, iż gdybym nie wiedział, z jakich ono powodów i pobudek jest pisane, to pewnie sam bym w nie uwierzył. Dlatego też pewien byłem, że brat mój Andrzej jak pszczoła do miodu do mnie przyleci i niczym jaki Żyd zechce się wzbogacić i utuczyć na mojej krzywdzie oraz determinacji. Bo przyznaję, waszmościowie, że brata mego ścierpieć nie mogłem, lecz czyż moneta, którą dawałem, nie była zaledwie zapłatą za towar? Czyż od Andrzeja spotkało mnie kiedy co dobrego? Czy pomógł mi? Czy rad moich kiedyś usłuchał? Czy braterskim afektem mnie darzył? Nie, waszmościowie. Nie, nie i nie, powiadam, tandem tedy, mosterdzieju, i w ten sposób, choć grzechów mych wielkich się nie wypieram, to przecież nie cała wina spada na moje sumienie, niebożątka zagubionego. – Komarnicki przetarł oczy palcami, gdyż najwyraźniej wzruszył się własną przemową.

– Waści brat do Brześcia przybył i co wtedy? Powiadaj, cóż się wtedy stało?

Krzysztof Komarnicki położył na czubku nosa palec wskazujący i spojrział na niego zezem, jakby wzrok chciał wyostrzyć i jakby wrośnięty w

pazury brud miał mu przypomnieć spotkanie z bratem.

Andrzej Komarnicki był to szlachcic na schwał. Postawny, tęgi i wąsaty, z czupryną podgoloną i rumianymi polikami. Oczy miał bystre (choć ździebko w tłuszczu zatopione), nos na kształt bulwy przeciętej czerwonymi sznureczkami i uśmiechał się niemal zawsze, gdyż chętnie pokazywał zdrowe białe zęby, tak mocne, iż potrafił w nich bez trudu podnieść ciężkie dębowe krzesło. Odziany był godnie, by nie powiedzieć: wystawnie, i przy starszym bracie sprawiał wrażenie pawia z rozłożonym ogonem puszącego się przy skulonym, utaplanym w błocie wróblu. Najgorzej, iż pan Krzysztof, kiedy tylko zobaczył Andrzeja wchodzącego do izby, natychmiast spostrzegł tę różnicę. Różnicę, jaka brata, któremu się wiodło i szczęściło, dzieliła od brata, któremu życie najwyraźniej się nie ułożyło. I ta pierwsza obserwacja jeszcze bardziej popsowała mu humor. Zwłaszcza że Andrzej do sali wszedł posuwistym krokiem, z głową uniesioną tak wysoko, jakby czuł się udzielnym władcą odwiedzającym wiernych poddanych, z prawą dłonią butnie wspartą na biodrze, a łokciem tak szeroko rozstawionym, że kto wszedł mu w drogę, tego ten łokieć spychał niczym taran. Zresztą popijający w zajęzdzie tyczkowie szybko zeszli panu Andrzejowi z drogi, a jakiś nieznanany panu Krzysztofowi szlachcic szaraczek podskoczył i na wypródki zaczął ofiarowywać przybyszowi swe usługi, perorując coś o domu pełnym szykownych dam, które chętnie poznają tak wielkiego magnata. Jednak młodszy Komarnicki odpędził natręta wielkopańskim gestem, a ten gest był tak pogardliwy, a jednocześnie dumny i zdecydowany, że szarak odskoczył jak oparzony, coś tam jedynie zamamrotał pod nosem i odszedł w kąt karczmy, skąd tylko na pana Andrzeja od czasu do czasu nieprzyjaźnie zerkał. Krzysztof Komarnicki otrząsnął się, zęby zagryzł, po czym – robiąc dobrą minę do złej gry – na twarz przywołał radosny uśmiech i poszedł przez środek sali z ramionami rozłożonymi tak szeroko, jakby chciał zatopić w objęciach cały świat.

– Andrzeju, mój bracie kochany! – wrzasnął na całą salę i podchwycił zdziwione spojrzenie karczmarza, który widać nie spodziewał się niczego dobrego po swym zalegającym z opłatami gościu.

Młodszy brat ani uśmiechem, ani serdecznym rozłożeniem ramion nie odpowiedział. Wręcz przeciwnie. Ręce co prawda wyciągnął, lecz jedynie, by pana Krzysztofa na dystans łokcia od siebie utrzymać.

– *Asan śmierdzisz niczym jaki hycel – zasyczał, a jego bulwiasty nos spurpurowiał. Wzrokiem prześlizgnął się po dłoni brata. – A gdzie asana pierścień, co? – zagadnął rozzłoszczony. – Pewnie u Żydów albo brzeskich murew nasz rodowy znak się poniewiera.*

Krzysztof Komarnicki zniewagę przełknął, choć łatwo mu to nie przyszło. Wydusił jednak ze stężalej twarzy jeszcze jeden uśmiech.

– *I ja się cieszę, że cię widzę, kochany braciszku – powiedział. – Usiądźmy no sobie w alkierzu, bo i po co tyczkom teatrum sprawiać.*

Pan Andrzej wydał pogardliwie usta i sapnął z rozdrażnieniem, ale wreszcie wzruszył ramionami i skierował się w stronę usłużnego i domyślnego karczmarza, który już stał przed brudną wełnianą kotarą zasłaniającą alkierz i gestami serdecznie zapraszał wielmożnych panów do środka.

– *Co tam trzymasz dla lepszych gości, co? Gadajże mi... – Młodszy Komarnicki chwycił karczmarza za brodę i zakręcił sobie ją wokół palców niczym kozacki oseledec, potem dłoń do biodra opuścił i wszedł do alkierza, a skulony karczmarz drobił za nim kroczyki i pojękiwał z cicha, bo bał się, że zaraz straci brodę.*

– *Mam prawdziwego popiela, jaśnie panie kasztelanie – zawołał zduszonym głosem – sek hiszpański, całe lata dobrze odleżany...*

– *Tak, tak, popiela, na pewno – parsknął pan Andrzej i ciężko zwałił się na ławę, a pociągnięty gwałtownie za brodę karczmarz upadł na posadzkę tak gwałtownie, że wylądował z ustami i podbródkiem przy żółciutkich cholewach młodego Komarnickiego. – Taki to popiel pewnie jak i ja, patrzcie, patrzcie, popiel.*

– *A gdzież tam, jaśnie oświecony wojewodo! Toż to prawdziwy popiel z Hiszpanii. Tam jeszcze pieczętowany, a nie tu rozlewany. Co to, to nie, gdzieżbym takiemu wielmożnemu panu ośmielił się dać jakiś sikacz!?*

Krzysztof Komarnicki z radosną, choć nieujawnioną satysfakcją obserwował, jak młodszy brat pastwi się nad karczmarzem. Bo przyznać trzeba, że karczmarz ten mocno już naraził się panu Krzysztofowi, gdyż po pierwsze: dopominał się o zapłatę w sposób pozbawiony wszelakiej delikatności, a po drugie: w żaden sposób nie chciał dawać więcej wina na kredyt, pomimo że pan Krzysztof, z pańską pewnością w głosie, zaręczał mu, iż dług odda.

– *No dobrze, dawaj tego seka i kubki. – Młodszy brat wypuścił brodę karczmarza, a mężczyzna zaraz, na czworakach jeszcze, wykręcił się*

przodem do kotary i na czterech popędził przed siebie. Panu Krzysztofowi udało się popędzić go potężnym kopem w zadek i bardzo był z siebie rad.

– I co tam, asan, swoje wsie naprawdę chcesz mi sprzedać? – Pan Andrzej obrzucił brata ponurym spojrzeniem. – Czy też taki, patrzcie, patrzcie, pretekst znalazłeś, by mnie do Brześcia zwabić? Bo jeśli tak, to zapewniam cię, że gorzko podobnego postępkę pożałujesz!

Pan Krzysztof umościł się na krzesła.

– Poczekamy na wino, wtedy pogawędzimy – rzekł pewny już siebie, bo pomimo bezczelności brata wiedział, że i jemu, i ojcu zależy na odkupieniu obu wiosek i że Andrzej wiele zniesie, by całą sprawę zakończyć z sukcesem.

– Jak sobie asan chcesz. Ja wino wolę pić w dobrej kompanii, ale jeśli sek naprawdę zacny, to i twoje towarzystwo wytrzymam.

Krzysztof Komarnicki spojrział na pana Andrzeja z nienawiścią. Ten spojrzenie brata podchwycił, jednak nie tylko nim się nie przejął, ale jakby sprawiło mu ono dziwaczne zadowolenie, bo usta wydął i uśmiechnął się.

– Już, jasnie panie, już jestem do usług i na rozkazy – rozległ się uniżony głos karczmarza. – Zobaczcie, jakież to wino, co za wino, najprzedniejsze hiszpańskie, cymes, nie wino, słodycz w gębie, miód z różami, że tak powiem...

Gadając bez przerwy, zachwalając, zachwycając się, przymilając i cmokając, postawił kubki przed szlachcicami, a potem chciał flaszkę odkorkować, ale pan Andrzej ruchem tak prędkim, że nikt by się po nim nie spodziewał podobnej szybkości, wyrwał mu naczynie z rąk.

– A pokaż no, jakże tam jest z pieczęciami – powiedział podejrzliwie.

Przypatrzył się pod światło zalakowanej szyjce, a pan Krzysztof pomyślał, że jego brat pomimo pozorów pewności siebie i znajomości świata w rzeczywistości wielce jest naiwny. Żydowscy czy ormiańscy kupcy nie takie rzeczy potrafili bowiem robić jak fałszowanie lakowych pieczęci na butelce z winem.

– No, masz szczęście, bo zdaje się, że flaszka, patrzcie, patrzcie, jest cała. Teraz niech i wino będzie dobre, jak zapowiadałeś, bo jeśli nie, to jak nic oberwiesz. No! A przynieś jeszcze jedną butelkę, tym razem dla brata mojego, żeby o suchym pysku mi tu nie siedział i ślepiów w mój kubek nie wgapiał.

– Słucham jasnie pana kasztelana uniżenie.

Krzysztof Komarnicki nie mógł nie zauważyć złośliwego i pogardliwego spojrzenia karczmarza, które prześlizgnęło się po jego twarzy. A wściekły był też na siebie, gdyż wiedział, że policzki mu z całą pewnością poczerwieniały ze wstydu i z pasji.

– A jakież to wino mam przynieść szanownemu bratu jaśnie oświeconego wojewody?

– Dajże jakiś sikacz, który mój brat tu u ciebie zwykle chłepcze.

– Już pędzę, już lecę, już przynoszę, wielmożny hetmanie. – Karczmarz się rozradował i wyleciał za kotarę z takim impetem, jakby go pan Krzysztof znowu trafił butem w zadek.

Pan Andrzej starannie i ostrożnie wyjął korek, powąchał szyjkę butelki i uśmiechnął się szeroko. Potem kubek przetarł od środka rękawem żupana, wlał sobie kapkę wina, posmakował, zamlaskał i rozpromienił się.

– Prawdziwy sek, patrzcie, patrzcie, nie kłamał łotr. Kto by pomyślał, że w tym chlewie znajdzie się prawdziwy sek?

Starszy Komarnicki nie uniósł nawet głowy, tylko ponurym wzrokiem wpatrywał się w brudny blat. Szczerze mówiąc, i tak był wdzięczny bratu, że ten zamówił dla niego butelkę wina. Podłego, bo podłego, ale zawsze to przecież wino i we łbie dobrze zaszumi. A nieważne nawet, jak smakuje, lecz ważne, by umysł rozjaśniło i dodało kawalerskiej fantazji. Jednocześnie tym bardziej Andrzeja nienawidził. I za to, że młodszy brat upokorzył go przy karczmarzu, i za to, że musiał skorzystać z jego łaski i przyjąć od niego trunek. Choć przecież powinien mu tym sikaczem plunąć w twarz! A potem... A potem Komarnicki dostrzegł, że palce jego dłoni jakoś bezwiednie i bez udziału rozumu zacisnęły się niczym szpony raroga. Odetchnął więc głębiej, wspomniawszy słowa Jaworskiego, który kazał mu bez względu na wszystko zachować cierpliwość. Wiedział, że jeśli bratu plunie w pysk, jeśli butami go zdepcze, jeśli do gardła z pazurami mu się rzuci, to z pieniędzmi będzie można się pożegnać. Dlatego uniósł głowę, na usta przywołał uśmiech i oparł się wygodnie o ścianę.

– Mam nadzieję, że dobrze ci się wiedzie, braciszku – wykrzesał z głosu życziwość. – Wiem, ile ze mną korowodów miałeś i ile z winy mej wycierpiałeś. Daj Boże, kiedy transakcję naszą zakończymy z powodzeniem, a Bóg mi świadkiem, że surowym negocjatorem wcale nie będę, ani ty, ani ojciec więcej mnie nie obaczycie.

– Patrzcie, patrzcie...

Pan Andrzej szczerze się zdumiał, gdyż był przekonany, że list od brata jest jedynie kolejnym wybiegiem służącym temu, by wyłudzić trochę gotówki, ale że ojciec kazał jechać i z bratem się spotkać, no to i pojechał. A tu nagle się okazało, że naprawdę może do domu wrócić z umową w rękach, co ojca na pewno by ucieszyło i wartość pana Andrzeja znacznie w ojcowych oczach podniosło (choć młody Komarnicki pochlebiał sobie, że i tak była ona niemała).

– Widzieliście no! Patrzcie, patrzcie...

Pan Andrzej nadal języka w gębie nie mógł znaleźć, wreszcie słabość elokwencji zapił tykiem wina i potrząsnął głową.

– A to żeś mnie waćpan skonfundował, nie ma co – przyznał wreszcie.

– Ha, no coś takiego. – Wypił resztę wina z kubka.

Potem sięgnął po butelkę, zawahał się przez moment, wreszcie zdecydował i napełnił bratowy kubek do pełna hiszpańskim winem.

– To ja się teraz z waszmością chętnie napiję – rzekł uroczyście. – Twoje zdrowie, panie bracie!

– Ojca naszego najpierw – łagodnie zaprotestował pan Krzysztof, a Andrzej tak raptownie wstrzymał dłoń tuż przed ustami, aż mu wino z kubka chlapnęło na żupan. Zaklął paskudnie, lecz zaraz się uspokoił.

– Dobrze żeś waść powiedział! – przyznał serdecznie. – Ojcowe zdrowie wprawdzie należy pić. Daj mu Boże zdrowie i co najlepszego.

– Daj mu Boże wszystko, na co zasłużył – mruknął starszy Komarnicki pod nosem, ale pan Andrzej tych dwuznacznych życzeń nie słyszał, bo przechylał właśnie głowę i kubek jednym tchem opróżniał.

Kiedy już wypili, młodszy Komarnicki pochylił się nad stołem.

– Co pan brat zamierzasz robić? Potem?

– Udam się na Malte, by z pogaństwem walczyć jako kawaler świętego Jana Jerozolimskiego – odpowiedział ze słodyczą w głosie pan Krzysztof, jednocześnie ze złośliwą radością obserwując, iż oczy Andrzeja rozszerzają się niczym u kota w ciemnościach. – Poczuję powołanie, by walką w Boże imię dawne grzechy odkupić. Tam już, na tej wyspie dalekiej, żywota też dokonam, kiedy nadejdzie mój czas. A Boga błagam jedynie, by pozwolił, abym jak największą liczbą pohańskich głów mógł Jego chwałę przyozdobić!

– Jezusie Nazareński! – Pan Andrzej wstrząsnął głową tak silnie, jakby mu do każdego włosa wesz przywarła i jakby chciał je tym potężnym

trząśnięciem ze łba zrzucić. – Prawdę gadasz? Zaprzysięgnij się: prawdę gadasz? – Zajrzał bratu w oczy.

– Chcesz wierzyć, wierz, nie chcesz, nie wierz – odparł starszy Komarnicki obojętnym tonem. – Kiedy się tylko porachujemy, ani wam nic do mnie, ani mnie nic do was.

– Ależ... tak się nie godzi... No bracie... przecież...

Po tonie głosu pana Andrzeja pan Krzysztof wywnioskował, że w bracie zaczęły się odzywać jakieś rodzinne uczucia. Najwyraźniej wizja pozbycia się raz na zawsze czarnej owcy rodu tak ociepliła bratowe serce. Pan Andrzej jednak nie zdążył się bardziej rozczulić, gdyż nagle zafurkotała kotara odgradzająca alkierz, a do środka wkroczył Jan Jaworski. Tym razem odziany z cudzoziemska, cały w czerni i złocie. O jego bogactwie zaświadczało, iż kaftan miał uszyty z najczystszonego, połyskliwego aksamitu bogato szamerowanego złotą nicią, na palcach nosił złote pierścienie, a przy butach złote zapinki. Rękajeść jego rapieru również lśniła złotem, a pochwa nabijana była w dodatku rubinami. Na widok wchodzącego przybysza zdębiał pan Andrzej, a jego brat, który wszak tej wizyty się spodziewał, aż stracił język w gębie. Nie sądził bowiem, że Jaworski może tak wyśmienicie i bogato się prezentować, nie przypuszczał również, iż współnik przyrodzie cudzoziemski strój.

– Witajże mi, panie Krzysztofie! – rzekł tubalnym głosem Jaworski. – To, jak mniemam, twój wielmożny brat. Czółem biję waćpanu, czółem biję! – Zerwał z głowy kapelusz i zamiótł nim ziemię. – Jestem Jan Jaworski, chorąży leszczyński, do usług.

– Byłże ten Jaworski naprawdę leszczyńskim chorążym? – przerwał opowieść Ligęza. Urzędnika o takim nazwisku nie mógł sobie w Lesznie przypomnieć.

– A gdzież tam, tandem tedy, mosterdzieju! Taki z niego był chorąży leszczyński jak ze mnie wojewoda kijowski! I jeszcze psiajucha, jak waszmość panowie dobrodzieje widzicie, wybrał sobie odległy powiat, wierząc, że Andrzej nie za bardzo wyznaje się w tym, kto dzierży urzędowe tytuły w Wielkopolsce.

– A i mógł się sparzyć takim mniemaniem – wtrącił Jacek Zaremba – bo nie raz i nie dwa zdarzyło się, że poznałem tak dobrze wyedukowanych szlachciców, co potrafiliby wyrecytować waćpanom, kto jest skarbnikiem,

miecznikiem czy wojskim na drugim krańcu Rzeczypospolitej, i jeszcze rodzinne koligacje owych urzędników nadzwyczaj zręcznie by wywiedli...

– No dobrze, gadaj aść dalej... – ponaglił stolnik Komarnickiego, nie zwracając szczególnej uwagi na wtęt Zaremby.

Andrzej Komarnicki, widząc personę tak znacznego wyglądu, a przy tym tak grzecznie do niego przemawiającą, zerwał się z ławy i wypowiedział kilka przyjemnych słówek.

– Pozwolicie waszmościowie, że was ugoszczę z moich zapasów – Jaworski pstryknął palcami, a na ten znak karczmarz wpadł z tacą, na której stało kilka omszałych butli – byście nie musieli katować gardel końskimi szczynami, które ten parszywy Żydek nazywa winem. Oto są, waćpanowie, wina z mojej piwniczki, ze sto lat pewnie mają, jak nie lepiej, bo dziadek mojego dziada sprowadził je z Grecji.

– Ależ... ależ... – Młodszy Komarnicki zapatrzył się na flasze, a oczy aż mu zabłyśły.

– Nie ma „ależ”! Moimi gośćmi jesteście!

– Jeno widzisz waćpan... my z bratem... w interesach...

– Ja wiem, ja wiem, co waćpan chcesz powiedzieć. – Jaworski uniósł dłoń gestem rzymskiego cezara. – I wiem również, w jakim celu waszmościowie się spotkaliście. I powiem waści więcej: przybyłem tu, by brata twego Krzysztofa bardziej uczynić powolnym twej woli i by obstrukcji ci żadnej nie czynił!

– Patrzcie, patrzcie – zdołał jedynie wyjąkać pan Andrzej.

– Człowiek ten brata mojego tak omotał, omamił i ogłupił, tak samiutko zupełnie, powiadam waszmościom, jak i ze mną to uczynił – przyznał smutno Krzysztof Komarnicki – że, tandem tedy, mosterdzieju, brat mój zdawał się miłować Jaworskiego iście braterską miłością, a jak gadali ze sobą, pomyślałby kto, że to dziewczka z oblubieńcem siedząca, tak czule na niego wciąż popatrywał.

– Waszmości brat miał tureckie upodobania?

– Matko Święta, uchowaj Boże! – Pan Krzysztof się przeżegnał. – Powiedziałem tak jeno, byście waściowie, tandem tedy, mosterdzieju, zrozumieli, że Andrzej w mocy tego człowieka się znalazł i przyjaźnią do niego zapałał równie silną, co niespodziewaną.

Pan Krzysztof głową pokręcił, by dać wyraz swemu nieustającemu zdumieniu, jak to się stało, że Andrzej, nieufny i niegłupi, dał się zupełnie omotać obcemu szlachcicowi.

– Tak już jest czasem, że kiedy człowiek miłkiego umysłu spotyka kogoś, kto zdaje mu się ważny oraz bogaty, a jednocześnie życzliwy, zaraz afektem do niego zaczyna płonać – skwitował pan Hieronim.

– Ot co! – zgodził się Komarnicki. – Waćpan, panie stolniku dobrodzieju, jak czasem co rzekniesz, to żywcem i w senacie można by waćpana słowa cytować. Przyznaję to śmiało i bez ogródek, tandem tedy, mosterdzieju.

Ligęza udał, że tych przychylnych, by nie rzecz: przypochebczych, słów nie słyszy, a pan Krzysztof czekał przez chwilę na jakiś uprzejmy respons, a jako że się nie doczekał, wrócił do opowieści i do zdarzenia w Brześciu.

– Popiliśmy dobrze – lekki uśmiech wypełził na usta Komarnickiego – bo też wino, jakim uraczył nas Jaworski, rzeczywiście było przednie. Kto wie, kto wie, może i ono naprawdę ze sto lat miało? A nawet jak nie sto, to pewnie wiele. Zresztą nieważne, jak było wiekowe i czy pochodziło z Grecji, czy z innej krainy, ważne, że brat mój upił się niczym nieboskie stworzenie. Najpierw pokrzykiwał, potem mamrotał, bełkotał i gaworzył, aż wreszcie czołem gwoźdźcia przybił do stołowego blatu, jak to u nas w brzeskim powiadają, i zasnął. I mnie, przyznam, trunek nieco zmógł, bo mocne to wino było, powiadam waćpanom, tandem tedy mosterdzieju, i słodkie, a takie łatwo wchodzi i w głowę, i w nogi. Taaak... Pozwolisz waćpan, skoro tak o winie już sobie gawędzimy? – Komarnicki znów wyciągnął w stronę Zaremby dłoń trzymającą kielich.

Podstarości uprzejmie napełnił trunkiem naczynie pana Krzysztofa, a ten upił łyk i uspokojony, że napitku mu nikt nie skąpi, mówił dalej:

– Wnieśliśmy brata na piętro, do mojej izby, i tam położyliśmy go na łóżku. Nabiedziliśmy się, ile wlezie, bo Andrzej był ciężki, a schody wąskie. A powiem waćpanom, tandem tedy, mosterdzieju, że aż dziwiłem się, bo spał ten mój rodzony niczym zabity. Wtedy też Jaworski rzekł, że Andrzej jeszcze długo się nie obudzi, bo, jak otwarcie przyznał, jakowegoś likworu mu nakapał, który to likwor wywołuje twardy sen.

– Więc nie otruł go, chociaż mógł? – Zaremba zmrużył oczy.

– Mógł, mógł, rzecz jasna, że mógł. Bez najmniejszego trudu. – Komarnicki gorliwie pokiwał głową. – Z mojej opowieści obaczycie jednak

waszmościowie, iż gorszą rzecz niż trucizna ów szubienicznik dla mego brata przyszykował. Tak, tak, gorszą powiadam, tandem tedy, mosterdzieju, stokroć gorszą, bo i śmierć na niego sprowadził, i hańbę, i żalność cierpienia za grzechy niezawinione.

– No, no... – Ligęza aż się wyprostował w fotelu. – Przyznam, że waszmość obudziłeś mój apetyt na dalszą część tej historii.

– Jeno szkoda, że to nie powieść czy inny romans, lecz historia mojego nieszczęsnego żywota... – Pan Krzysztof kułakiem przetarł oczy.

– Tak, tak, gadajże waść dalej – przynaglił stolnik niecierpliwym tonem.

Kiedy już, zasapani, zdyszani i spoceni, ułożyli Andrzeja Komarnickiego na łożu, wtedy pan Krzysztof usiadł na podłodze i głowę oparł o ścianę.

– Jezusie – westchnął – jakaż to ciężka bestia!

– A waść co? Pospać sobie przyszedłeś? – warknął Jaworski i nie patyczkując się, czubkiem buta trącił pana Krzysztofa w udo.

Ktoś nieuprzejmy mógłby nawet rzec, że nie poufale trącił, lecz po prostu ze złością kopnął niczym jakiego polegającego na drodze świniaka.

– Panie Janie, cóż ty wyprawiasz? – obruszył się Komarnicki. – Czegoż ty ode mnie jeszcze chcesz?

– Byś waćpan wstał!

Teraz nie można było mieć wątpliwości, iż stopa Jaworskiego z takim impetem zatoczyła łuk, że mowy nie było o pijackiej poufaleści – pozostała złośliwa bezczelność. Komarnicki tym razem oberwał w tydkę, ale tak mocno, iż ból aż do głowy mu uderzył, a przez całą nogę od koniuszków palców aż po udo przeszedł mu paraliżujący dreszcz.

– Daj waść spokój, do czarta! – ryknął i zerwał się na równe nogi.

A raczej chciał się zerwać, bo kończyzna, którą tak niegrzecznie potraktowano, odmówiła mu posłuszeństwa i ledwie się pod nim nie załamała. Byłby upadł, gdyby nie przytrzymał się parapetu, ale zaraz potem silna dłoń pana Jana pomogła mu ustać.

– Wybacz waść, lecz wiele nas pracy jeszcze czeka i nie pora na uprzejmości – rzekł pan Jan i od biedy można było owo zdanie wziąć za przeprosiny, choć wypowiedziano je wcale nie przeprasającym tonem.

– Pracy? Jakiejż to pracy?

– *A co ty myślisz, że ja twojego brata tak uraczyłem, jedynie by mógł się przespać w twoim łóżku?*

– *No niby nie – zakłopotał się Komarnicki – tylko właśnie nie wiem, proszę waszmości, cóż zamierzasz i dokąd zmierzasz?*

– *Waść zaraz obaczysz dokąd – odparł Jaworski. – Obiecuję, że waść zaraz dobrze wszystko obaczysz... Na razie jednak rozdziej no braciszka ze wszystkich szatek. Niech zostanie w samych kalesonach.*

– *Jjjakże to? – wyjąkał zdumiony pan Krzysztof. – Po co mam brata rozdziewać? Cóż waść zamierzasz mu uczynić?*

Jaworski stanął twarzą w twarz z Komarnickim, a minę miał złą i zniecierpliwioną.

– *Waść mnie słuchaj tak jak dragon swego oficera, jeśli pragniesz majątek odzyskać! A jak nie, to ostawiam waści i sam sobie z pijanym bratem tu siedź.*

Pan Jan zawinął się i już postąpił dwa kroki ku drzwiom, kiedy Krzysztof Komarnicki zdołał go ucapić za rękaw.

– *Waść mi wybacz, proszę! – zaskomlał. – Już Andrzeja rozdziewam, jak każesz. Tylko nie zostawiaj mnie, przyjacielu kochany, bez rady i pomocy. Błagam, nie ostawiaj mnie, chyba że mojej zguby, niebożątka, pragniesz!*

– *I tak się stało, jak Jaworski sobie umyślił i jak rozkazywał – rzekł smutno Krzysztof Komarnicki. – Z brata mojego wszystkie suknie zdjąłem, a zobaczyłem też, że Jaworski rozdziewa się w drugim kącie izby.*

Stolnik uniósł jedynie brew, lecz nic nie rzekł.

– *Potem ów niecnota, co moim się mienił przyjacielem, szybko przebrał się w szaty Andrzeja, które całkiem, całkiem, trzeba to powiedzieć, tandem tedy, mosterdzieju, na niego przypasowały.*

– *Po jakież licho ten człowiek chciał udawać twego brata? – zapytał Jacek Zaremba. – Tuszę, że jakoweś dokumenta chciał sfalszować, by potem...*

– *Panie Jacku, no! Któż tu ma opowiadać historię Komarnickiego? Komarnicki czy ty? – zeźlił się Ligeza. – Siedźże cicho i daj gadać panu podczaszycowiczowi, a z pewnością zaraz sam się przekonasz, cóż za fortel Jaworski wykoncypował na, jak mniemam, zgubę mego gościa... – Stolnik utkwiał spojrzenie w panu Krzysztofie.*

– Ano na zgubę, wielmożny stolniku dobrodzieju, na zgubę – zgodził się Komarnicki jeszcze żałośniejszym głosem niż poprzednio – choć wtenczas owa komedia niczym innym jak właśnie komedią mi się zdawała. Ot, upiliśmy mojego brata, ot, leżał on w samych kalesonach, tandem tedy, mosterdzieju, i wcale już nie przypominał jakowegoś dumnego magnata, za jakiego chciał być brany. Ot, Jaworski szatki mu zabrał. No, powiadam waćpanom, istna komedia! – Pan Krzysztof skrzywił usta w złośliwym uśmiechu i podniósł dłonie całkiem tak, jakby chciał plasnąć nimi o uda, lecz wstrzymał się w ostatniej chwili. – Jeno że to wcale nie była komedia, lecz diabelski spisek – dodał posepnie – choć o tym przecież wiedzieć nie mogłem, bo i pewien jestem, tandem tedy, mosterdzieju, że nawet najmędrszy człek dałby się onemu Jaworskiemu na haczyk złapać. Powiadam wam, waćpanowie, że nawet Odys by nie poradził, pasując się z tą diabłą przebiegłością! A jakżeż mógł przeniknąć zamiary tego nikczemnika człek tak pocziwy jak ja, któremu krzywda wyrządzona bliźniemu zawsze własną krzywdą się zdawała... – Komarnicki przetarł oczy, gdyż własna przemowa bardzo go wzruszyła.

Jacek Zaremba ziewnął sobie serdecznie, rozparł się w fotelu i nogi na podnóżku wygodnie ułożył.

– Waćpana moja opowieść, jak widzę, nuży? – Pan Krzysztof poczerwieniał.

– Nie tyle opowieść, ile opowiadający – odparł bez litości pan Jacek. – Radzę ci, asan, byś lepiej zmierzał szybko do rzeczy, bo jak nie, to źródelko, co nad nim trzymam pieczę – obrócił wzrok na flaszę z winem – zaraz dla ciebie wyschnie.

– Tak, tak, do rzeczy – poparł podstarościego Ligęza. – Gadaj waść: co stało się dalej!?

– I żalów nad samym sobą nam nie wyśpiewuj, bo to jeszcze nie twój pogrzeb – dodał Zaremba.

Krzysztof Komarnicki skurczył się w sobie, przygarbił, kolana podciągnął niemal pod brodę – rzekłbyś, że tak się stropił i skonfundował, że pragnął już jak najmniej miejsca zajmować w gabinecie stolnika. Chlipnął tylko raz z cicha, wierzchem dłoni potarł oczy, po czym spoglądając przepraszająco w stronę pana Hieronima, sięgnął po kielich i szybciotko duszkiem wypił, co tam mu jeszcze w naczyniu zostało od ostatniego polania. Odetchnął i pusty już kielich postawił sobie na podołku, jakby nie chciał się z nim choć na chwilę rozstawać.

– No i jakże wyglądam, co? – zagadnął z butą Jaworski, wziął się jedną ręką pod bok, a drugą przybliżył lampkę do swej twarzy, tak by postać i oblicze wyraźniej oświetlała.

– Jezusie Maryjo! – Krzysztof Komarnicki aż się cofnął o dwa kroki.

Jego przyjaciel nie tylko przebrał się w szaty Andrzeja, ale dodatkowo czapkę nacisnął głęboko na oczy. I nie wiadomo, jakim sposobem na jego twarzy wyrosły sumiaste wąsy, kubek w kubek niczym te Andrzejoye, a w dodatku policzki miał teraz nie tylko pucułowate tak jak młody Komarnicki, lecz również czerwone, zupełnie jakby je wysmarowano buraczkami. I nos przecięty żyłkami.

– A maszże go! – Stolnik klasnął głośno i z rozmachem. – To ci dopiero historia!

– Mówisz więc, że wąsy sobie doczepił? Jak to doczepił? Skąd wcześniej mógł wiedzieć, jakie wąsy brat twój nosi? A skąd wiedział, że róż czy czerwony sok ma sobie przygotować, by nim posmarować policzki? – zagadnął szybko i podejrzliwie podstarość.

Komarnicki wlepił spojrzenie w pana Jacka i bezgłośnie poruszył ustami.

– Jezus Maria, nie wiem! A toś mnie waćpan zastrześlił!

– Bez wątpienia dobrze się łajdak przygotował. – Zaremba sam odpowiedział sobie na zadane wcześniej pytania. – Tak naprawdę musiał waszeci rodzinę wcześniej wybadać i więcej wiedział o tobie i twoich, niż byś mógł przypuszczać.

– Tak musiało być – poparł Zarembę pan Hieronim. – Ale powiedz, kiedy się przebrał, wąsy przyprawił i twarz pomalował, naprawdę przypominał twego brata?

– O tak! – odparł bez namysłu Komarnicki. – Bo przecież byli podobnej postury, a poza tym Jaworski czapkę głęboko na łeb sobie nasadził, kołnierz wysoko postawił, to i człowiek głównie na odzienie patrzył. A po samym odzieniu jak nic rzekłbyś, tandem tedy, mosterdzieju, mój brat.

– Gdybyś nie wiedział, dałbyś się oszukać?

– Jak amen w pacierzu! Pewnie i ojciec nasz rodzony by się oszukał do czasu, kiedy baczniej by się mu nie przyjrzał albo, tandem tedy, mosterdzieju, jego głosu uważnie nie posłuchał. Obcy nie miałby żadnych wątpliwości. Ktoś, kto w karczmie, w izbie na dole, wcześniej widział

mego brata, przed krucyfiksem by się zaklął, że Andrzeja, nie Jaworskiego zoczył wychodzącego z karczmy. Zresztą tak właśnie się stało, kiedy już przyszło co do czego... – Komarnicki opuścił głowę.

– Czyli Jaworski wyszedł z karczmy, by wszyscy sądzili, że to asana brat wychodzi? Zgadza się?

– Jak amen w pacierzu, stolniku dobrodzieju – gorliwie przytaknął Komarnicki. – Aż dziw, że waćpan zawsze w sedno utrafisz, tandem tedy, mosterdzieju, z taką maestrią, iż...

– Nalej no, panie Zarembo, wina naszemu gościowi – przerwał te niewyszukane komplementa stolnik. – A ty, acan, gadajże: gdzie i po co poszedł Jaworski?

– Już, już, już, już...

Nim Komarnicki powrócił do historii swego życia, wyczekał, aż pan Jacek napełni mu kielich, a owe „już, już, już, już” nie tyczyło bynajmniej tego, by podstarośći zaprzestał wlewać do naczynia trunek, lecz tego, by dobrodzieja stolnika upewnić o swej gotowości do usłużenia mu opowieścią i jednocześnie go zapewnić, iż chwilowa przerwa wynika nie z godnej potępienia opieszałości, lecz ze zwykłej niedogodności, której przyczyną ustana za krótką chwilkę. Pan Krzysztof tym razem nie łyknął wina, natychmiast odstawił na stół pełen kielich, wiodąc za nim wzrokiem pełnym zadowolenia, takim bez mała, jakim dobry gospodarz mógłby żegnać odchodzącego na pastwisko dorodnego buhaja.

– Z tego, co wiem, tandem tedy, mosterdzieju, Jaworski starał się, by go dostrzeżono i by go dobrze zapamiętano. Gdzieś tam przewrócił Żydowi stragan, ówdzie panom braciom postawił kilka butelek wina, wesoło zagadał do dziewczuch powłóczych... – Pan Krzysztof umilkł i sięgnął po kielich. Ale, o dziwo, nie pił na razie, a tylko objął naczynie dłońmi i przytulił je do piersi. – Mieliśmy wtedy lato, więc mimo wieczornej pory na ulicach było jasno, gwarno i tłoczno. A powiem wam też, tandem tedy, mosterdzieju, waćpanowie, że w brzeskiej katedrze odbywała się właśnie uroczysta msza, zapowiadana od wielu tygodni. I to, że Jaworski spotkanie z Andrzejem na ten właśnie zaplanował święty dzień, też było przez owego nikkczemnika ukartowane.

– Coraz bardziej mnie asan zaciekawiasz, coraz bardziej. – Ligęza zatarł dłonie.

– Tylko zwieńczeniem opowieści nas nie rozczaruj – przestrzegł Zarembo.

– Panie Jacku kochany, a cóż to za groźby!?! Prawdę ma mówić, a nie naszej ciekawości czy naszym gustom schlebiać! – Stolnik obrócił surowe spojrzenie na Komarnickiego. – Acan pamiętaj, że na Pismo ślubowałeś. I przysięgi lepiej dotrzymaj.

– Tak, tak, ja waćpana do pływania po piasku, Boże broń!, nie namawiam – zapewnił szybko i szczerze podstarość. – Waść przysięgałeś, więc przysięgi dotrzymaj i gadaj prawdę, nieważne, czy będzie ona nużąca, czy zajmująca.

Krzysztof Komarnicki gorliwie pokiwał głową.

– Ani na literkę od prawdy nie odszedłem – zapewnił z żarem. – I minęły, oj, minęły już czasy, gdym chciał moje życie łgarstwami farbować.

– Do rzeczy, panie bracie, do rzeczy – ponaglił go nieco serdeczniejszym tonem Jacek Zaremba.

– Jaworski przed wyjściem surowo mi nakazał, bym nikogo do izby nie wpuszczał, a gdyby tak się zdarzyło, że mój brat się ocknie, to żebym wszystko zrobił, by z pokoju nie wyszedł. To właśnie, tandem tedy, mosterdzieju, solennie mu obiecałem i, jak się waćpanowie z dalszej części mojej opowieści przekonacie, obietnicy niezachwianie dotrzymałem. Aby się nie smucił w niepewnej samotności, Jaworski zostawił mi flaszkę wina i tylko przykazał, że mam na zydłu usiąść pod samymi drzwiami. „Bo kiedy sen waćpana zmorzy, to żebyś nawet w nim pogrążony, wyjścia z izby pilnował”. Ale gdzież mi tam, tandem tedy, mosterdzieju, było do spania! A to gorączka, a to zimno mną trzęsły, cały się oblewałem potem i tylko, szczerze powiem, myślałem, czy i kiedy, i w jaki sposób rękę swą na ojcowskiej majątności położę. A bałem się też, że Jaworski jakie głupstwo wymyślił, które nie tylko, tandem tedy, mosterdzieju, nie przyniesie mi bogactwa, lecz na dodatkową hańbę narazi i wystawi na pośmiewisko...

– Asan to chyba nie miałeś się już czego w tej mierze obawiać, skoroś tak nisko upadł, jak upadłeś – zauważył bezlitośnie Ligęza.

Komarnicki ani się nie zawstydził, ani nie zgniewał, jedynie pokręcił głową ze smutkiem.

– Potem upadłem jeszcze niżej – wyznał z bólem w głosie – i wiercie mi, waćpanowie, że był taki czas, kiedy wszystko bym oddał, aby dzięki boskiemu cudowi do tego wieczora w Brześciu się przenieść i zamiast Jaworskiego w niecnym zamiarach umacniać, to za próg go wyrzucić!

– Proszę, proszę... – Stolnik tym razem spojrzał na Komarnickiego niemal z litością, bo w głosie spowiadającego się szlachcica wyczuł

nieudawane cierpienie.

– Nie wiem, czy wiele minęło czasu. Chociaż chyba sporo, bo za okiennicami, jak pamiętam, tandem wtedy, mosterdzieju, było już ciemno. Może i zresztą przysnąłem na chwilę, jak się tego Jaworski obawiał. Grunt, że kiedy ja w izbie siedziałem, wtedy właśnie wszystko, co się miało zdarzyć, się zdarzyło... A może powiem inaczej: wszystko się zaczęło. Wszystko, co doprowadziło do ostatecznego zła i nieszczęścia. – Komarnicki zaszlochał przeciągle i zwiesił głowę na piersi tak nisko, jakby był jakąś szmacianą laleczką, nie człowiekiem z krwi i kości.

Ligęza i Zaremba przez chwilę milczeli, popatrując to na siebie nawzajem, to na pana Krzysztofa. Może trochę chcieli mu dać czas na zebranie sił i myśli, a może pragnęli uszanować jego niekłamaną boleść, w każdym razie nie odzywali się i w komnacie zapanowała dłuższa chwila ciszy. Ciszy zmałowanej jedynie nawoływaniem się służby w czeladnej, ale też nie za głośnym, gdyż gabinet zarówno drzwi, jak i ściany miał wyjątkowej grubości. I nagle ciszę ową zgwałcił charkot dochodzący od strony fotela, na którym siedział Krzysztof Komarnicki. Podstarości zerwał się natychmiast ze swego siedzenia i podskoczył, chcąc pana Krzysztofa ratować, gdyż pierwsze, co pomyślał, to to, że chudy szlachcic się dusi. Jacek Zaremba niejednego już bowiem widział pana brata, który przez opilstwo naraził się na szkodę na zdrowiu. Ba, i takiego widział, który własnymi rzygowinami zadławił się na śmierć, i takiego, co się utopił, wpadłszy do beczki z okowitą, i takiego, który zasnął pijackim snem tak twardo, iż nawet nie obudził go pożar. Pan Jacek uchwycił Komarnickiego za włosy, głowę mu unióś, przyjrzał się twarzy, po czym prychnął rozeźlony.

– Śpi – rzekł, odwracając się w stronę stolnika. – Jak mi Bóg miły: śpi!

Wściekły Ligęza huknął otwartą dłonią w blat biurka, lecz po chwili złość odeszła i roześmiał się gromko.

– Ależ znalazł sobie chwilę, by zasnąć! – zawołał. – W najciekawszym miejscu nas ten łotr ostawił, tak zupełnie, jakby się na postęпки Szeherazady zapatrzył.

– Jeno że my ani z nim pokładać się będziemy, ani mu głowę chcemy ściąć, jak ów sułtan, który z Szeherazadą przestawał – powiedział zaraz Jacek Zaremba.

Odezwał się w ten sposób, by stolnikowi, który był wszak człowiekiem uczonym i ocytany, dać poznać, że i on, podstarości

Zaremba, nie wypadł sroce spod ogona. Zresztą była to prawda, gdyż młody szlachcic po łacinie czytał i pisał jak po polsku, po niemiecku szwargotał niczym rodowity Prusak, a za młodych lat, ojcowską zachętą i ojcowskim rzemieniem nakłaniany, liznął sporo z greki. A chociaż był człowiekiem czynu, to niemal tak samo lubił książki jak szablę i konie.

– Choć nie powiem: ściąć bym go nie ściął, ale łbem bym o ścianę kilka razy postukał – dodał.

– Daj waść pokój. – Ligeza machnął dłonią. – Niechże się prześpi, potem dokładnie go wypytamy i mam nadzieję, że doczekamy końca tej opowieści. Aha, i już mu tak z trunkami, panie Jacku kochany, nie folguj. Pamiętaj!

– Stanie się wedle woli waćpana dobrodzieja – odpowiedział grzecznie Zaremba, nie przypominając oczywiście, że to przecież sam stolnik zezwalał na pojenie pana Krzysztofa, któreż to pojenie zakończyło się, jak widać, niefortunnie.

– A my może, panie Jacku, wyjdźmy popróbować, co nam dobrego szykują na obiad. Bo widzisz waszeć, ja, kiedy tylko mam czas, lubię pracy moich kucharzy się przyjrzeć zgodnie z maksymą mówiącą, iż pańskie oko konia tuczy. W końcu muszę przecież uważać, by niecnota jeden z drugim nie oturł mnie czy któregoś z gości, prawda?

Pan Hieronim zaśmiał się, by pokazać, że tych akurat jego słów nie należy traktować poważnie. Jacek Zaremba i bez tej podpowiedzi poważnie by ich nie potraktował, gdyż przecież gościł wcześniej w domu starego szlachcica i wiedział, że choć kuchni w domu pana stolnika brakuje może magnackiego wyrafinowania, to jednak podjąć tu można smacznie, obficie i różnorodnie. A że żywe ptaszki z pieczonych pasztetów lub ciast nie wylatywały, to naprawę niewielka strata!

*

Pan Hieronim i pan Jacek zabawili w kuchni i w czeladnej dłużej, niż zamierzali, i dłużej, niż chcieli, gdyż stolnik musiał naprędce rozstrzygnąć jakiś spór pomiędzy służącymi i w końcu, nie wiedząc, któryż z nich ma rację, a który nie, kazał łaskawie obu wypłacić po dziesięć batów i po czerwonym złotym, co wywołało zrozumiałą radość. Bo dostać dziesięć batów na grzbiet, to żadna przecież przykrość, jeśli w zamian można wydać całego czerwonońca na własne przyjemności.

– Od waszmości i Salomon mógłby się uczyć ferowania wyroków – rzekł Zaremba ze śmiechem.

– Tylko pamiętać, żeby baty zostały uczciwie wypłacone – przykazał Ligęza – bo skoro złoto zacne, to i ramię musi być porządny. Czyż nie, panie Jacku kochany?

– Jakby z waści ust nawet byle głupi słowa spijał, to rychło stałby się najpierwszym mędrcom w naszej Rzeczpospolitej – oświadczył uprzejmie Zaremba.

Stolnik zagarnął pana Jacka ramieniem.

– No chodźże, przyjacielu kochany. Obudzimy tego niecnotę i niech opowiada dalej, bo przyznam, że wielcem ciekaw, jakiż fortel ów Jaworski przygotował, by sprawy poszły zgodnie z jego nikczemną wolą.

Jacka Zarembę również ciekawiło, jak potoczyły się losy rodu Komarnickich, chociaż wiedział przecież, że nie skończyło się to wszystko pomyślnie, zważywszy na mizerną kondycję pana Krzysztofa, który nie sprawiał wrażenia człowieka ani bogatego, ani szczęśliwego. Kiedy wrócili do gabinetu, podczaszycowicz brzeski spał jeszcze smacznie, a to głośno pochrapując, a to sapiąc, a to chrypiąc, a to nawet gwizdząc przez nos. Ułożony był wygodnie, gdyż głowę oparł na miękkiej poręczy, a stopy zawinął pod siebie.

– Patrz, panie Jacku, jak to człowiek, gdy pijany lub zmęczony, wszędzie zaśnie – rzekł Ligęza.

– Panie stolniku kochany, wszak za żołnierskich lat to i na śniegu się sypiało, i w błocie, a nawet na wrogich trupach albo na kościstej babie, kiedy nie stało innych wygod. – Zaremba się zaśmiał. – A tu, proszę waszmości, poduchy adamaszkiem wykładane... Życ, nie umierać!

– Obudź no waść tego nicponia – rozkazał pan Hieronim, a sam przeszedł za biurko i usiadł z sapnięciem, wyciągając nogi daleko przed siebie – i należy mi, panie Zarembo, pucharek winka. Mam nadzieję, że mnie sen nie zmorzy jak tego tutaj – dodał.

Podstarości najpierw zajął się winem dla stolnika, a kiedy już podał pełny kielich Ligęzie, wtedy dopiero zbliżył się do Komarnickiego. Uśmiechnął się złośliwie do własnych myśli, potrząsnął mocno ramieniem pana Krzysztofa i huknął mu prosto w ucho:

– Acan! Wstawaj! Waści brat, Andrzej, przyjechał!

Podczaszycowicz brzeski zerwał się na równe nogi z takim przerażeniem wymalowanym na twarzy, że Jacek Zaremba aż zatoczył się z wesołości na ścianę. A i pan Hieronim zahuczał ze swego fotela basowym śmiechem.

Krzysztof Komarnicki długą chwilę wodził spojrzeniem od jednego szlachcica do drugiego, a usta i podbródek drżały mu tak, jakby właśnie opuścił lodowatą kąpiel i wspomnienie przeżytego zimna trzęsło jeszcze jego ciałem.

– Cccococccococo... – wydukał wreszcie.

Po chwili opadł na fotel i zacisnął tak silnie palce na poręczach, że knykcie zbieleły mu niczym trupowi.

– Waść nie powiadaj byle czego – rzekł wreszcie cicho i jakby ze strachem w głosie – bo brat mój Andrzej nie żyje. Na rynku w Brześciu łeb mu niesławnie toporem ucięli.

Jacek Zaremba przestał się śmiać i z zakłopotaniem szarpnął wąsa.

– Wybacz waćpan niewczesny żart – rzekł i widać było, że choć nie w smak mu przeproszenie Komarnickiego, to jednak uznał, iż tak postąpić wypada.

– Dla ojca waści cios musiał być to straszny: ukochanego syna utracić – odezwał się Ligęza.

Komarnicki zapatrzył się tępo w kobierzec na ścianie i milczał dłuższą chwilę.

– Kiedy Andrzej umierał na brzeskim rynku, kiedy oczy do nieba wznosił, lamentując i Boga biorąc za świadka swej niewinności, ojciec mój dawno już w ziemi gnił – odparł wreszcie głucho.

– Ha! – zawołał tylko stolnik, po czym niecierpliwym gestem nakazał panu Jackowi, by ten napełnił kielich Komarnickiego.

– Daj Boże wieczne odpoczywanie bliskim waszmości – powiedział uroczystym tonem Zaremba.

– I niech światłość wiekuista im świeci – dodał Ligęza.

Komarnicki skinął głową, przyjmując te słowa do wiadomości, po czym upił kilka drobnych łyčzków z kielicha i spojrzał w sufit.

– Ano obaj nie żyją. Tak jest. I powiem waćpanom, tandem tedy, mosterdzieju, że czy w niebie z aniołami psalmy wyśpiewują, czy diabli ich w smole kąpią, tego nie wiem i zresztą sprawdzać mi niespieszno. – Pan

Krzysztof obnażył w szerokim uśmiechu przyczernione i poszczerbione zęby.

Jacek Zaremba zachnął się, gdyż nie spodobało mu się takie traktowanie pamięci zmarłych, ale nic nie powiedział.

– Brata ubili jak jakiegoś byle łotra, a ojciec... – Komarnicki westchnął – diabeł jeden wie, gdzie kości jego dzisiaj gniją...

– Jakże to? – Zaremba nie wytrzymał. – Acan nie wiesz, gdzie twój ojciec jest pochowany?

– Pochowany? – powtórzył z szyderczą goryczą pan Krzysztof. – Skoro „pochowaniem” nazywasz rzucenie niczym psie ścierwo w bagno, to tak, zgadza się: nie wiem, gdzie został pochowany.

– Jakże to? – Podstarości szeroko otworzył oczy. – Powiedz przecież, jak...

– Dość! – Ligęza uniósł wysoko dłoń. – Tak nigdzie nie zajedziemy i niczego się nie dowiemy. Panie Jacku kochany, dajże spokojnie mówić naszemu gościowi, proszę cię serdecznie. A asan – obrócił spojrzenie na chudego szlachcica – racz wspomnieniami nie wybiegać w przyszłość, tylko opowiadaj, co i jak, po kolei, byśmy z prądem waścinego życia szli, a nie przedzierali się pod prąd.

Komarnicki poważnie skinął głową na znak, że jak najbardziej się zgadza z podobnym postawieniem sprawy.

– Skończyłeś na tym, jak przebrany za twego brata Jaworski wyszedł z karczmy, a ty aż do zmroku czekałeś na niego w izbie. I teraz powiadaj, asan! Cóż wydarzyło się potem?

– Brat mój spał tak twardo, że m sprawdzałem, czy aby żyje, bo przyznam waszmościom, tandem tedy, mosterdzieju, iż taka straszna myśl przeszła mi przez głowę, że oto Jaworski otruł Andrzeja, a mnie z jego trupem zostawił w jednej izbie, czy to na pośmiewisko, czy by pognębić mnie przed prawem.

Jacek Zaremba skrzywił się lekko, bo uważał, że słuszniej by było, gdyby Komarnicki bał się o życie rodzzonego brata, a nie o to, jakie konsekwencje spotkają go, kiedy zostanie z jego trupem znaleziony w jednej izbie. No ale, jak widać i słyhać było z opowieści pana podczaszycowicza brzeskiego, niespecjalnie przejmował się on kimkolwiek innym poza własną osobą.

– Ale nie, nie otruł, choć może i lepiej by było, żeby otruł, kiedy spoglądam na to, co wydarzyło się później...

– Asan, na rany boskie, nie spoglądaj na to, co wydarzyło się później, tylko o tym opowiadaj!

Komarnicki zerknął urażonym wzrokiem na podstarościego.

– Ja opowiadam, jak potrafię, waćpanie. A że tak potrafię, jak właśnie potrafię, i nie inaczej, to za starym już jestem wróblem, tandem tedy, mosterdzieju, żeby nowych sztuczek się nauczyć.

– Dobrze, dobrze, panie Krzysztofie, opowiadaj proszę – wtrącił Ligęza z wystudiowaną łagodnością w głosie, a potem spojrzął na Jacka Zarembę i znaczącym gestem położył palec wskazujący na ustach.

Komarnicki łypnął jeszcze podejrzliwie w stronę podstarościego, jakby chciał sprawdzić, czy ten będzie protestować przeciwko propozycji stolnika, lecz pan Jacek odpowiedział mu niewinnym spojrzeniem. Tak więc Komarnicki odchrząknął raz i drugi, podrapał się za uchem, zaszeptał coś do siebie, pokiwał palcem do własnych słów lub myśli, po czym kontynuował opowieść.

„Co teraz robi Jaworski? Czy w ogóle jeszcze wróci? A jeśli Andrzej się obudzi i zacznie dopytywać, gdzie się podziało jego drogocenne odzienie?” Takie właśnie pytania zadawał sobie Komarnicki, a im więcej mijало czasu od momentu, kiedy pan Jan opuścił izbę, tym chętniej myśli podczaszycowicza brzeskiego podążały ku koszmarnym wizjom, które bogato malowała mu przed oczami wyobraźnia.

– Jezus Maria, Jezus Maria – szeptał do siebie. – Na cóż mi to wszystko było, Chryste miłosierny.

I cały czas a to zerkał na leżącego brata, sprawdzając, czy ten przypadkiem się nie budzi, a to podchodził i badał, czy Andrzej jeszcze oddycha, bo sam w pewnym momencie już nie wiedział, czy wolałby, aby brat się obudził, czy też by dalej leżał nieruchomo na podobieństwa trupa. Na szczęście od pewnej chwili młodszy brat zaczął pochrapywać i posapywać, gulgotać i świstać, mlaskać i chrząkać i dzięki tym wszystkim odgłosom Krzysztof Komarnicki mocno się uspokoił, bo zrozumiał, że Andrzej nie tylko nie umiera, ale ma się całkiem nieźle, skoro stać go na wysiłek wydawania tylu różnorodnych dźwięków. I kiedy już pogrążył się w spokojnym stuporze, wtedy właśnie usłyszał szybki tupot stóp na schodach,

po czym ktoś załomotał w drzwi i naparł na nie z taką mocą, iż wydawało się, że razem z framugą je wywali.

– Otwieraj no, bracie kochany! – usłyszał Komarnicki niezwykle donośny głos Jaworskiego. – Cóżżeś ty, patrzcie, patrzcie, zasnął tam czy co?

Pan Krzysztof zasuwę przesunął, po czym od drzwi odskoczył – i dobrze uczynił, bo Jaworski wpadł z takim impetem, iż na pewno by towarzysza przewrócił, gdyby ten stał mu na drodze. Pan Jan błyskawicznie drzwi za sobą zamknął, dla pewności ciężką skrzynię pod nie przesunął, po czym zaczął się rozdziewać z szat Andrzeja Komarnickiego, a tak mu to znakomicie szło, że pan Krzysztof nawet Ojciec nasz nie zdołałby pewnie odmówić, a już Jaworski stał przed nim w samych kalesonach.

– Na co czekasz? – syknął Jaworski. – Odziewaj brata! Tylko szybko, mospanie, szybko!

A sam, ledwo te słowa domówił, już zaczął wkładać własny czarny strój, który wcześniej zostawił na stole. I niewiele czasu minęło od momentu, kiedy Jaworski wpadł do izby, jak do drzwi załomotały mocne pięści.

– Otwierać! – zawołał ktoś. – Otwierać w imię pana starosty!

– Potem, kiedy Jaworski zgodnie z poleceniem drzwi otworzył, do izby wpadli starościńscy pachółkowie. I zaraz, tandem tedy, mosterdzieju, kiedy tylko brata swojego ujrzeli, to porwali go za łeb i pod ramiona, i za nogi. I nie bacząc na nasze protesty, ponieśli go na dół, kiedy zobaczyli, że w nijaki sposób nie dadzą go rady ocucić.

– A to ów pan Jaworski musiał niezły figiel wypłatać w przebraniu asanowego brata, skoro pachółkowie starościńscy szli jego tropem niczym posokowce.

– Ano wypłatał – przyznał smętnie Komarnicki. – To był 1680 rok. Waćpanowie, tu, w Wielkopolsce, nie słyszeliście zapewne, co się wydarzyło owego czasu w Brześciu, bo u nas to głośno o tym było.

Ligęza potrząsnął głową.

– Nie. A cóż takiego się zdarzyło?

– Tumult był przeciw Żydom. Wielu Żydkom sklepy rozgrabiono, wielu poturbowano, a i z niewiastami motłoch po swojemu się zabawiał.

– Wielu ich zginęło?

– A kto tam może wiedzieć, tandem tedy, mosterdzieju, skoro oni jako robactwo zawsze się roją? Zdepczesz dziesięciu, a tu dwudziestu nowych przyjdzie na ich miejsce...

– Asan, nie rezonuj, tylko odpowiadaj na pytania – burknął podstarość.

– Kilkunastu, może więcej – odparł Komarnicki. – Ja, proszę waćpanów, nie jestem człowiekiem, co by się roztkliwiał nad byle kwiatkiem złamanym albo sarenką z przetrąconą nogą. Toteż Żydków wcale mi nie żal, bo każdy wie, tandem tedy, mosterdzieju, że to nieprzyjaciele rodzaju ludzkiego, wrogowie chrześcijaństwa i zabójcy Pana naszego Jezusa. A poza tym kłamcy, złodzieje i kurwisyny, jeden w drugiego z trzecim. – Komarnicki odetchnął głęboko. – Ale widzicie waszmościowie – kontynuował już spokojniej i wyraźnie smutnym głosem – przecież dzieci niczemu nie były ani nie są winne. Nie ich wina, że w podłym narodzie z suczych matek i przeklętych ojców się narodziły. Przecież dzieciaczki takie zawsze można ochrzcić i wychować na dobrych katolików, nauczyć je naszej wiary i sprawić, by ją pokochały... – Popatrzył na Ligęzę, a ten w milczeniu skinął głową, przyznając mu rację. – Toteż pal licho, waćpanowie, tych Żydów, co motłoch Brześć z nich oczyścił, ale dzieci było mi prawdziwie szkoda. Przecież one nawet nie mogły jeszcze, tandem tedy, mosterdzieju, wybrać prawdziwej religii. Mówię: nie żal mi starych Żydów – głos Komarnickiego znowu stwardniał – którzy w grzechu żyją i którzy odrzucili łaskę naszej jedynej wiary. Żal mi jedynie tych niewiniątek, bo co to za różnica, czy Żyd, czy Rusin, czy Polak, kiedy nawet słowa jeszcze nie potrafi wyrzec? – Szlachcic szybko przetaił oczy rękawem i potrząsnął głową. – Tak się właśnie rzeczy miały, tandem tedy, mosterdzieju, waszmość panowie, tak się właśnie rzeczy miały...

Przez chwilę w komnacie panowała cisza przerywana jedynie mamrotaniem Komarnickiego, który coś tam gadał do siebie z pochyloną głową, a brzmiało to tak, jakby się przed kimś tłumaczył albo kogoś przeproszał.

– Król Jan zawsze był owemu narodowi nad wyraz przychylny i Żydzi słusznie go w wielkim mieli i mają poważaniu – rzekł wreszcie Ligęza – a królewscy urzędnicy koso patrzyli i patrzą na każdego, kto Żydkom szkody czyni. Toteż rozumiem, że i w tym przypadku nie było inaczej, czyż nie?

Komarnickiemu zabrało chwilę, zanim zorientował się, że pytanie jest skierowane do niego, ale kiedy się o tym już przekonał, pokiwał głową.

– Tak właśnie było, panie stolniku dobrodzieju. Tak właśnie było. Zresztą tumult to tumult, tandem tedy, mosterdzieju. Waćpanowie sami wiecie, że mieszczanie, którzy przeciw władzy powstaną, okrutnie są zazwyczaj karani. A tu mieszczan podburzył nie kto inny, jak brat mój Andrzej. Znaczy, rzecz jasna, Jaworski ich podburzył, brata mego Andrzeja zręcznie udając, bo, jak opowiedziałem waszmościom, Andrzej wówczas spał tak mocno, że niczym w letargu pogrążony czy w trumnie położony.

– Wyobraź sobie, asan, że wyrozumieliśmy to z twoich słów – rzucił zgryźliwie Zaremba.

– Tumult trwał całą noc, dopiero następnego dnia udało się mieszczan okiełznać, a zaczęło się, waszmościowie, od uczniów szkoły jezuickiej, tandem tedy, mosterdzieju, których Jaworski na mszy podburzył. Bo, jak mi potem opowiadano, wpadł do kościoła i zaczął krzyczeć, że Żydzi dzieciaczki chrześcijańskie mordują i na macę krew ich wylewają.

– To prawda, że naród żydowski dziwnie na krew chrześcijańską jest łasy i zasmakował w niej wielce – pokiwał głową Ligęza – choć przyznać to trzeba – uniósł palec – że nie wszyscy Żydzi podobne krzywdy chrześcijanom wyrządzają i nie wolno tych, którzy żyją uczciwie, karać razem z tymi, którzy za ohydne *crimina*¹¹⁰ są odpowiedzialni.

– Święte słowa, panie stolniku – poparł Ligęzę podstarości – bo ja prawo Rzeczpospolitej służę i służyłem, nie żadnej szczególnej nacji. I kto prawo łamał, ten dla mnie tak samo winien, czy to był Polak, Litwin, Rusin, Niemiec, Żyd czy inny Ormianin.

– Takoz zdaje się pan starosta brzeski również myślał – rzekł Komarnicki – bo dla brata mego żadnej nie miał litości, choć my, Komarniccy, przecież sławni byliśmy w okolicy. Bo tu, widzicie waćpanowie, nie tylko o Żydów szło i o tumult, i o zniszczenia miasta, które znaczne były, jako że motłoch sklepy rabował i ogień podkładał, a przy tym później to i nawet nie patrzył, czy rabuje i bije Żyda, czy dobrego chrześcijanina, ale i o to, że ów przeklęty Jaworski dwóch pacholków pana starosty zarąbał, a pan starosta swoich ludzi nikomu nigdy nie dawał gnębić.

– Kto na mojego sługę podnosi rękę, ten okazuje brak szacunku dla mnie samego – stwierdził Ligęza. – Tak on pewnie sobie myślał, bo i ja sędzę, że tak właśnie sprawy się mają.

Pan Jacek skinął głową na znak, że jak najbardziej zgadza się z podobnym rozumowaniem.

– Jaworski powiódł tłum na dom Żyda, któremu byłem winien pieniądze, więc płomienie strawiły moje weksle razem z domem i razem ze wszystkimi Żydkami. Wielu tam się z tego potem cieszyło i odetchnęło z ulgą, podobno i znaczne nawet osoby, bo ów Abram najpierwszy był spośród lichwiarzy. A sami wiecie waćpanowie, tandem tedy, mosterdzieju, że jak wierzyciela nie ma i dokumentów nie ma, to nikt się z dobrej woli nie przyzna do wiarygodności, bo i po co?

– Uwięziono brata asana, ale powiedz no, co się stało z twoim ojcem? Rozumiem, że szybko o losie Andrzeja się dowiedział, więc...?

– Ba! Szybko? Mało powiedziane! Dowiedział się baaardzo szybko. A waćpanowie wiecie, tandem tedy, mosterdzieju, czemuż to? Ano temuż, że sam Jaworski do mego ojca wyjechał jeszcze tej samej nocy.

– No, no... – Zaremba pokręcił głową z niechętnym uśmiechem na ustach. – Przyznam, iż to diabeł prawdziwy, żeby syna do zguby doprowadzić, a potem do ojca jechać z wieściami o tym nieszczęściu.

– Diabeł prawdziwy – powtórzył Komarnicki. – Waszmość pan, panie starosto, w samo sedno utrafiłeś. W samo sedno.

– I wiesz, asan, co się stało, kiedy Jaworski twego ojca spotkał?

– Rzecz prosta, wiem. – Pan Krzysztof wyciągnął w stronę Jacka Zaremby dłoń z pustym kielichem. – Pozwól waszmość, bym język właściwie naoliwił do tej opowieści, bo już miałem nim tak, jakbym bez mała był wozem, co kołami w piachu utonął, nie człowiekiem.

Podstarości spojrział pytającym wzrokiem w stronę Ligęzy, gdyż nie zamierzał podejmować żadnej samodzielnej decyzji w materii udzielania podczaszycowiczowi pozwolenia na picie wina. Stolnik chwilę się zastanawiał, wreszcie skinął głową. Niechętnie, bo niechętnie, jednak zgodził się. I zastrzegł tylko:

– Asan, tylko mi tu znowu nie zaśnij, bo tym razem chcemy opowieści wysłuchać do końca. A jak już powiesz wszystko, co wiesz, będziesz mógł sobie pić, ile wlezie.

Krzysztofowi Komarnickiemu oczy rozbłysły i uśmiechnął się szeroko. Nie wiadomo, czy na widok czerwonej strugi wlewającej się do jego kielicha, czy też pod wpływem obietnicy stolnika, która roztoczyła przed jego oczami wdzięczny miraż niekończącego się pijaństwa. Zapewne

z obu tych powodów naraz. Upił łyk i przymknął oczy, a kiedy drugi raz łyknął, zagulgotał tak, jakby właśnie płukał usta. Przełknął i spojrzął z wdzięcznością na stolnika.

– Waszmość pan dobrodziej życie mi wracasz swoją łaskawością. Teraz już znowu mogę opowiadać...

Jaworski zagarnął ze sobą pacholka, który przyjechał do Brześcia, towarzysząc Andrzejowi Komarnickiemu. Kiedy w mieście rozpoczął się tumult, chłopak smacznie spał w stajni i dopiero obudzili go starościńscy pacholki, którzy postanowili zabrać konia należącego do młodszego z braci. Ów pacholik, Jurek, coś tam musiał im odpyskować, może bronił wierzchowca lub juków, bo dostał od ludzi starosty solidne baty i twarz miał całą posiniaczoną, a żebra tak rozbite, że z bólu sapał przy każdym gwałtowniejszym ruchu. A że podróż do siedziby Komarnickich zajęła im całą noc, a potem cały dzień, to i nacierpiał się, ile wlezie. Jaworski wiedział, że Komarniccy są znaczną rodziną i że pośród okolicznej szlachty liczą się do najmajętniejszych posesjonatów, lecz nie sądził, że są aż tak bogaci. Przekonał się o tym dopiero, kiedy Jurek pokazał mu kopce graniczne posiadłości, a do dworu jechali jeszcze szmat czasu, mijając po drodze trzy wsie należące do starego Komarnickiego. Przypomnił sobie też, jak pan Krzysztof opowiadał, że brat nie tylko kazał zbudować przystań na rzece i splawia własne szkuty ze zbożem do Gdańska, ale że co dwa lata z jego gospodarstwa wychodzi kilkaset sztuk bydła na sprzedaż aż na amsterdamski rynek.

– *A Muszynki i Komarnic, co to panakrzysztofowe są po matce nieboszczce, nie zobaczymy, bo są za lasem – wyjaśnił pacholek.*

Potem Jaworski ujrzał stojący na niewielkim wzgórzu dwór. Siedziba Komarnickich składała się z głównego, parterowego budynku oraz z dwóch szerokich skrzydeł, otulających obszerne podwórze. Całą posiadłość otoczono wysokim płotem, który ginął w wieczornej szarówce i we mgle snującej się nad polami. W oddali widać było jeszcze zasnuty oparami zarys innych zabudowań.

Ojciec Krzysztofa i Andrzeja był człowiekiem mocno posuniętym w latach. Włosy miał liche i siwe, a twarz pobrużdżoną zmarszczkami, ziemistą i zmiętą. Lecz w tej twarzy błyszczały nad podziw bystre, uważne oczy, a wąski i długi nos nadawał jej wygląd drapieżnego ptaka. Albo

padlinożercy śledzącego pilnie, kiedy można będzie bezpiecznie podlecieć do konającej ofiary.

– Waćpan jesteś Herakliusz Komarnicki, jak mniemam! – zawołał Jaworski. – Czołem uniżenie biję waszmości!

Zamiast starca odezwał się jednak towarzyszący mu sługa, szlachcic tysi jak kolano o twarzy czerwonej niczym rozkrojony arbuz i brodzie strzyżonej na tatarską modłę. Wystąpił o krok.

– Waćpanuj sobie byle hetce-pętelce – warknął, popatrując spod nastroszonych brwi. – Tu masz do czynienia z jaśnie oświeconym podczaszycem brzeskim!

– Dajże pokój, Grzymalski – poprosił łagodnie starzec. – Niech już ten szlachcic gada, z czym do nas przyjechał.

Jaworski zeskoczył z siodła.

– Czołem uniżenie biję waszmość panu bratu – powtórzył grzecznie.

Choć każdy przecież zauważył, że mimo tej grzeczności nie zastosował się do rady Grzymalskiego i nie tytułował podczaszyca brzeskiego jaśnie oświeconym panem, a wręcz przeciwnie: przez nazwanie Komarnickiego „panem bratem” zrównywał we własnych oczach i własnym mniemaniu siebie, nieznanego przecież przybysza o niewiadomym pochodzeniu oraz majątku, i podczaszyca brzeskiego, szlachcica starego i zasłużonego, a w całym powiecie mocno szanowanego. Grzymalski aż zębami zgrzytnął, lecz Herakliusz Komarnicki skrzywił tylko blade usta w czymś, co zapewne miało być uśmiechem, i uspokajającym gestem położył słudze dłoń na ramieniu.

– Gość w dom, Bóg w dom, panie bracie. – Dwa ostatnie słowa wypowiedział z niemaskowaną ironią w głosie. – Czemuż zawdzięczam wizytę waszmość pana dobrodzieja?

– I kimże jesteś, do diaska? – burknął Grzymalski.

– Jestem Jan Jaworski, chorąży leszczyński i porucznik chorągwi pancерnej jaśnie oświeconego wojewody poznańskiego. Do nówek padam waszmość panu, panie podczaszycu. – Jaworski nawet nie spojrzał w stronę pleczystego szlachcica, całą uwagę skupiając na gospodarzu, przed którym uprzejmie zamiótł ziemię czapką.

– Witam waszmość pana w moich niskich progach – odparł Komarnicki zdecydowanie uprzejmiejszym już tonem. – Cóż za wiatry waszmości przywiały do naszego powiatu, tak od Wielkopolski odległego?

Ale, ale, pozwól waść do izby – zamaszystym gestem pokazał drzwi dworu – boś pewnie utrudzony drogą. Jadło i napitek u mnie chudopacholskie, lecz mam nadzieję, że człek strudzony podróżą nawet takim byle czym nie pogardzi...

Wyblakłe spojrzenie starca zatrzymało się na Jurku.

– A i widzę, że sługę mego syna przywiodłeś, więc chyba co ciekawego mi waćpan opowiesz, hmmm?

– Do opowiadania mam rzeczywiście wiele – odparł Jaworski – jednak za poczęstunek serdecznie dziękuję i pozwolisz waćpan, że przejdę do spraw, które mnie do ciebie sprowadziły. A czemu na grubiaństwo odrzucenia twej uprzejmej gościny sobie pozwalam, zrozumiesz, kiedy usłyszysz moją opowieść...

– Skoro tak, tedy pozwól za mną waćpan do gabinetu – odrzekł spokojnie Komarnicki, nie dając niczym poznać po sobie, że słowa gościa go poruszyły, zaniepokoiły lub zdziwiły.

– Przynieś no nam, Grzymalsiu, węgryzyna – podczaszyc obrócił spojrzenie na sługę – tego, co w spiżarni chowamy dla co znaczniejszych gości.

– Ojciec zawsze podobnie gadał, kiedy chciał kogoś sobie skaptować – wyjaśnił, uśmiechając się, pan Krzysztof – a tak naprawdę, tandem tedy, mosterdzieju, żaden to był węgryzyna. Ot, może i porządne wino, niby węgryskie, ale rozlewane w Wilnie czy Brześciu, więc jedni Żydzi tylko wiedzieli, ile w nim prawdziwego węgryzyna, a ile wody czy byle kwaśnych szczyn z Moraw lub Austrii.

Jacek Zaremba skinał głową, bo dobrze znał te zabiegi niektórych panów braci, czynione, by wydać się personami znaczniejszymi lub bogatszymi niż w rzeczywistości. A to złote pierścienie lub guzy były zaledwie z miedzi pociągniętej cieniutką warstewką złota. A to kamienie ze znaczną skazą tak zręcznie obracano, by owej wady nie było widać i by klejnot, za który kupiec niewiele by dał, mógł uchodzić za kamień pierwszej wody. A to płaszcze podbijano futrem zaledwie od strony kołnierza i rękawa, a na plecach, gdzie nie widać, wiatrem były jeno podszyte. I setki jeszcze innych sztuczek znano, które pozwalały byle szlachciurze udawać człeka majątnego. Choć, Bogiem a prawdą, coraz trudniej było tak czynić, gdyż też wzrok panów braci coraz lepiej postrzegał owych przebierańców. Ale naiwni trafiali się zawsze. Tu jednak, w

przypadku Komarnickich, nawet mowy być nie mogło o uzurpowaniu sobie znacznej pozycji, gdyż ród to był bogaty i panowie Komarnicy niczego udawać nie musieli. Krzysztof Komarnicki zaraz jednak wytłumaczył wszystko:

– Bo widzicie, waćpanowie dobrodzieje, w ojcu moim tak wielki zawsze się żal odzywał, jak trzeba było co na zmarnowanie oddać, że wiedząc o tym, zawczasu wołał, tandem tedy, mosterdzieju, raczej tańszą niż droższą rzecz zmarnować.

– A więc za marnotrawienie uważał honorowanie gości?

Krzysztof Komarnicki skrzywił usta.

– Najchętniej posiadłości nasze otoczyłby murem i warty postawił, by żaden nieproszony przybysz nie mógł się wdrzeć i z gościny naszej korzystać. Ale przyznać muszę waćpanom dobrodziejom, że ojciec mój, tandem tedy, mosterdzieju, sprytnie słabość swą przed wzrokiem sąsiadów ukrywał i skąpstwa, o którym my, domownicy, świetnie wiedzieliśmy, nie dawał poznać. Bo mądry był i wiedział, że człowiek śmiesznością w sąsiedztwie okryty nijakiego posłuchu nie będzie miał w sprawach czy to gospodarczych, czy politycznych...

Ligęza poważnie skinął głową, a i Jacek Zaremba strzelił palcami, mówiąc: „święta prawda!”.

– ... a że bratu mojemu Andrzejowi wielką chciał zgotować karierę, to przecież dobrze wiedział, iż szybko dojedzie do celu jeno ten wóz, który dobrze posmarują...

– No dobrze, już dobrze. – Ligęza się otrząsnął. – Asan znowu ze szlaku schodzisz i zaraz opiszesz, jakie ojciec wina trzymał w piwnicy. Ty nam na gościniec wracaj!

– Jaworski z ojcem waści udali się do gabinetu... – podpowiedział Zaremba.

Pan Herakliusz wprowadził uprzejmie gościa i wskazał, by ten zajął miejsce w miękkim, obitym adamaszkim fotelu, a sam zasiadł za blatem kolorowego francuskiego biurka niezwykle misternej roboty, z tak pokrzywionymi nóżkami, jakby drewniany mebel cierpiał na jakąś przeraźliwą odmianę reumatyzmu. Służący podał wpierw kielich jaśnie panu podczaszycowi, potem podszedł z tacą do gościa.

– Zdrowie waćpana dobrodzieja gościa mojego – rzekł pan Herakliusz, ale widać, że jeno ze zdawkowej uprzejmości, gdyż ani nie powstał, jak

kazał dobry obyczaj, ani z głosu nie wykrzesał życzliwej serdeczności czy, jakby kto wołał, serdecznej życzliwości.

– O, nie, to być nie może! – zaprotestował Jaworski. – Zdrowie waszmość pana dobrodzieja, miłego gospodarza!

Komarnicki nie protestował, tylko skinął głową i upił tyk. Zaraz jednak odstawił kielich na blat biurka i spojrzął na gościa twardym wzrokiem.

– Mów waćpan – rozkazał krótko, tonem całkowicie obojętnym, wypranym zarówno z uprzejmości, jak i z nieuprzejmości.

– Ze strasznymi, nie da się tego ukryć, przybywam wieściami. – Jaworski pochylił głowę, jakby zmorzony ogromnym żalem. – A tyczą one syna waszmość pana dobrodzieja, któremu kostucha nad głową już dzwoni...

Herakliusz Komarnicki prychnął ze zniecierpliwieniem.

– Waść, widzę, na darmo trud podróży podjąłeś – przerwał gościowi – bo mnie ten hultaj nie obchodzi i ratować go nie zamierzam, w jakąkolwiek biedę by wdepnął... Na tym obwiesiu dawno już kreskę położyłem.

– Ależ o synu waszmości tu mowa!

Podczaszyc pańskim gestem uniósł dłoń.

– Asan rodzinnego afektu mnie nie ucz! – warknął i powstał z fotela. – Ja z tobą sprawy skończyłem i bądź rad, że satysfakcji za doznany despekt nie żądam. A Krzysztofowi powiedz, że za stary szpak ze mnie, by się nabrać na jego fortele.

– Ależ tu nie o Krzysztofa idzie! – zakrzyknął z rozpaczą Jaworski. – Nie ośmieliłbym się kłopotać waszmość pana wieściami o tym człowieku. To Andrzej Komarnicki jest w straszliwej biedzie i potrzebuje twojego bezzwłocznego wsparcia ojcowskim afektem kierowanego.

Stary szlachcic poczerwieniał, nic jednak nie powiedział, tylko zasapał z irytacją i widać było, że obcemu przybyszowi nie dowierza.

– Przywiozłem ze sobą jego sługę – pospiesznie dodał Jaworski – z którym to sługą przyjechał do Brześcia. On waćpanu wszystko zezna jako na świętej spowiedzi. Jeno, na Boga żywego, pospiesz się waćpan z tą interrogacją, bo tu wszak o życie twego syna i dziedzica idzie!

Stary Komarnicki usiadł z powrotem w fotelu. W alteracji szturchnął nos knykciami, potem upił tyk wina z kielicha, prychnął, sapnął i wreszcie spode łba spojrzął na Jaworskiego.

– Biada waści, jeśli łzesz – rzekł zimnym tonem.

– Może ze mnie żaden salvator¹¹¹, a jedynie nuntius¹¹² żalobne przynoszący wieści – odparł spokojnie Jaworski – lecz kłamstwa w nich waćpan na pewno nie odnajdziesz.

– Obaczymy – mruknął podczaszyc. – Wolać mi tu Jurka! – zakrzyknął z mocą.

Przestraszonego chłopaka szybko przyprowadzono i wepchnięto do komnaty, a on rymnął zaraz na kolana z takim hukiem, że Jaworski aż się skrzywił, myśląc o tym, jak jego szlacheckie kolana zniostyby podobne spoufalenie z twardymi deskami. No ale wszak chamstwo miało kark giętki i nawykły do schylania, a kolana silne, by móc szybko i często klękać zarówno przed Panem Bogiem, jak i panem dziedzicem, więc i Jurek musiał być przyzwyczajony do tego, że szlachcic jest niczym słońce gorejące na niebie – zawsze trzeba wzrok unosić, by spojrzeć mu w oblicze.

Stary Komarnicki wolnym krokiem podszedł do drżącego pacholka i lewą dłoń zasadził za pas, a prawą uniośł podbródek Jurka.

– Zbóju jeden, mało moskiewska, niecnoto zakazana – wysyczał – gadaj mi tu zaraz, coś swemu panu za niegodziwość uczynił!? Gadaj, na miły Bóg, bo cię ze skóry żywcem obedrę i rany solą posypię!

Kończąc to zdanie, pan Herakliusz najpierw plasnął sługę otwartą dłonią w policzek, a potem pochwycił go za ucho i tak je skrzywił, że chłopak aż skulił się z bólu. A jęk wydał z siebie taki, jakby diabli go naprawdę żywcem ze skóry łupili.

– Jegomość, ja niewinien, jegomość! – zawołał. – Łaski, wasza dostojność, łaski!

– Waćpan daj gadać chłopakowi! – krzyknął Jaworski. – Niczego się nie dowiesz, jak go dręczyć będziesz. A tu nam spieszyć się trzeba!

Podczaszyc puścił ucho pacholika i podniósł kamienny wzrok na pana Jana. Zobaczyłbyś jego oczy, rzekłbyś, że to nie człowiek, ale znieruchomiwały wąż szykujący się do ataku i obserwujący ofiarę.

– Waćpan, panie Jaworski, czy jak tam waćpana zwa, uważaj, byś mojej gościny nie nadużył. – Komarnicki, cedząc słowa przez zęby, cały czas wpatrywał się w przybyłego złym wzrokiem. – I głosu w moim domu nie waż się na mnie podnosić, bo chociażem stary, to takiemu jak ty jeszcze dam radę jęzor przyciąć.

– No to żegnaj waćpan – rzekł Jaworski i odwrócił się na pięcie. – Niech ci tam pacholik pomaga syna spod stryka wyciągnąć, skoro mojej

pomocy nie potrzebujesz. Bądź waćpan zdrów!

– Czekał no, czekał – rozkazał Komarnicki wyraźnie łagodniejszym tonem. – Widzieliście go... Gorączka... Siadaj waćpan, gadaj co i jak, i wiedz, że jeśli okażesz się przydatny, nagroda cię nie minie.

Odszedł kilka kroków od chlapiącego pacholka i uniósł kielich do ust. Upił ostrożny lyczek.

– Wiedz waćpan, że nie dla nagrody czynię, co czynię – wyjaśnił Jaworski, siadając w krześle – ale dlatego, że straszna to rzecz dla dobrego szlachcica widzieć w biedzie zacnego towarzysza. Towarzysza, którego pacholkiwie do lochu ciągną i, jak Bóg na niebie, obwieszą.

Komarnicki przymrużył oczy i w milczeniu upił kilka następnych lyczków z kielicha. Spod zmarszczonych brwi cały czas uważnie obserwował Jaworskiego.

– Za cóż to niby mają obwiesić Andrzeja? Jakąż niegodziwość mógł popełnić mój syn?

– Podburzył motłoch do buntu przeciw Żydom – wyjaśnił Jaworski. – W czasie mszy księdza zrzucił z ambony i wrzasnął, że Żydkowie chrześcijańskie dzieci mordują...

– Andrzej? – zapytał z niedowierzaniem w głosie stary szlachcic. – Waśc jesteś pewien, że nie mówisz o Krzysztofie? O moim starszym synu? Może on ci się za Andrzeja podał? – W oczach Komarnickiego zabłysła nadzieja.

– Jasne włosy, tęższy ode mnie, ma znamię w kształcie półksiężyca pod lewym okiem. To Andrzej?

– Andrzej, Andrzej – jęknął głucho podczaszyc i obrócił wzrok na kłęczącego pacholika. – A co ty na to powiesz, niecnoto? Gdzieś był, kiedy twój pan takie wyczyniał brewerie?

– Ja nic nie wiem, jegomość! Ja nic nie wiem. Tyle że naszego pana starościńscy ludzie zabrali. Mnie, o patrzcie, pobili. – Rozerwał koszulę i odstłonił ciało, na którym rozlewał się przechodzący od piersi w stronę nerek wielki, podbiegły krwiak siniak.

– Słabo żeś własnego pana bronil, skoro tylko lada jakim skaleczeniem możesz się pochwalić – rzekł Komarnicki surowym tonem, po czym klasnął głośno.

Na to klaśnięcie z ciemnego kąta wyszedł wąsaty szlachcic o niedźwiedzich ramionach i szerokiej szramie przechodzącej od kącika oka

po kącik ust, która zniekształcała mu twarz.

– Zabierz to ścierwo – rozkazał Komarnicki, wskazując czubkiem buta na pacholka – każ mu dać pięćdziesiąt batów i przegnaj z mojego domu.

Szlachcic skinął tylko głową.

– Jegomość, nie jegomość! – Jurek padł staremu do stóp i objął jego łdki dłońmi. – Daruj jegomość, ja niewinny, daruj jegomość!

Wąsaty szlachcic chwycił pacholika jedną dłonią za pas, drugą za włosy z tyłu głowy i uniósł bez trudu, zupełnie jakby miał do czynienia ze szczeniakiem, a nie z młodzieńcem słusznego wzrostu i słusznej postury.

Podszedł do drzwi, niosąc zawodzącego wciąż pacholika, i cisnął go za próg.

– Pięćdziesiąt batów, a potem precz z dworu! – rozkazał w ciemność i zaraz później z tej ciemności dobiegły odgłosy szamotaniny, krzyk Jurka i przekleństwa służących Komarnickiego.

Wąsaty szlachcic zatrzasnął drzwi.

– Mam siodłać konie, jaśnie panie?

– Dobrze słyszałeś wszystko, Robaczku?

Nazwany Robaczkiem uśmiechnął się ponurym uśmiechem, pokazując łopaty poszczerbionych, brązowych zębów.

– Co miałem nie słyszeć, jaśnie panie. Rzecz prosta: słyszałem, jak ten szlachcic gada, że Andrzejek tumulcik wywołał.

Stary Komarnicki odwrócił spojrzenie w stronę Jaworskiego.

– Oto drogi mój przyjaciel i zaufany dworzanin, pan Tomasz Robaczyński – wyjaśnił.

– Sługa uniżony waszmości – rzekł Jaworski, skłaniając głowę.

Wąsaty szlachcic nie raczył ani odpowiedzieć, ani dać w jakikolwiek sposób znać, że usłyszał pozdrawiającego go grzecznie przybysza.

– I co myślisz, Robaczku?

– Węsę w tym sprawczkę Krzysztofa – odparł Robaczyński. – Warto by tylko wybadać – spojrzenie jego bladoniebieskich oczu obróciło się na Jaworskiego – kim ten szlachcic jest i komu lub czemu służy.

– O tym łatwo się waćpanowie przekonacie w Brześciu – powiedział lekkim tonem Jaworski, jakby nie usłyszał groźby zawartej w słowach Robaczyńskiego ani nie uraził go ton jego wypowiedzi. – Również przekonacie się o szczerości moich intencji. A czy ten grzech ciąży na sumieniu waćcinego starszego syna Krzysztofa? – Pan Jan wzruszył

ramionami. – I tak, i nie, bo gdyby obaj się nie upili jak nieboskie stworzenia, to i nieszczęścia by nie było...

– Jedyna to słabość Andrzeja – mruknął stary Komarnicki – wypić naprawdę lubi.

Robaczyński skinął głową z powagą.

– Że lubi pić, rzecz właściwa. Bo każdy lubi, kto nie chory – stwierdził rzeczowym tonem – ale że nie umie, to już inna rzecz...

– Ano nie umie, Robasiu – zgodził się cicho gospodarz i pokręcił głową – ano nie umie, choć i w tobie, i we mnie właściwych napotkał przecież preceptorów.

– Natura już taka. – Pan Tomasz wzruszył ramionami. – Jaśnie pan do szabelki i szklanicy się urodził i szabelką swój majątek wyrąbał, tymczasem Andrzejek ma smykałkę do gospodarzenia... – Surową twarz szlachcica rozjaśnił szczerzy uśmiech. – Oj, rośnie mająteczek w jego rękach niczym ciasto w piecu, oj, rośnie.

– Gospodarność dobra rzecz. – Komarnicki obrócił spojrzenie na Jaworskiego. – Co waść o tym sądzisz?

– Sądzę, że waszmość pan możesz nie mieć komu zostawić majątku, jeśli z panem starostą brzeskim szybko się nie porozumiesz – odpowiedział grzecznym tonem Jaworski.

Jednak jego grzeczność nie zwiódła starego szlachcica, a słowa gościa znów setnie go rozsierdziły. Uderzył pięścią w stół.

– Uważaj, mospanku, do kogo gębę otwierasz! – warknął.

Policzki Jaworskiego poczerwieniały zupełnie tak, jakby ktoś plasnął go otwartą dłonią w twarz, po czym szlachcic rzekł spokojnie:

– Pozwolisz więc waść, że opuszczę twój dom, by powinnościom gościa nie uchybić, skoro tak mnie tu przyjmują i skoro waszmość pan pomoc moją masz sobie za nic.

Twarc Komarnickiego nawet nie drgnęła, ale wąsaty szlachcic postąpił krok, zagradzając Jaworskiemu drogę do drzwi.

– Jaśnie panie – zwrócił się do gospodarza – wybac, że to powiem, ale rację ma ten szlachcic: jedźmy i obaczmy, w czym można pomóc Andrzejkowi. A jak okaże się, że to jakowaś intryga Krzysztofa, to wtedy – zniekształcona twarz obróciła się w stronę Jaworskiego, a zimne oczy spoglądały na niego na poły obojętnie, na poły groźnie – będziemy już wiedzieć, komu, ile i w jakiej walucie łafkę wypłacić.

Herakliusz Komarnicki wpatrywał się chwilę w ogień liżący drwa na kominku i zdawał się coś rozważać. W końcu klepnął dłonią w udo i wstał.

– Masz rację, Robaczku, jedziemy! – zdecydował dziarsko. – A waszmość pana – obrócił się z ujmującym uśmiechem w stronę Jaworskiego – pokornie błagam o wybaczenie i upraszam, byś towarzyszył nam do Brześcia i wspomógł w ratowaniu Andrzeja. Musisz zrozumieć, waszmość panie, niepokój oraz gniew starca, który usłyszał właśnie o krzywdzie jedyne go syna.

– Sam jestem ojcem i wiem, jak silnie może ojcowskie serce drzeć o dziecko – powiedział uprzejmie pan Jan – tedy nie mam waćpanu co wybaczać, a jedynie zazdrościć Andrzejowi, że ma w waści tak mocnego protektora. I mam nadzieję, że moje dzieci równym afektem będą mnie darzyć jak Andrzej waszmość pana.

Komarnicki skinął obojętnie głową, jakby te gładkie słowa nie wywarły na nim żadnego wrażenia albo jakby uważał je za całkowicie oczywiste i niewarte skomentowania.

– Chcę tylko jedno wiedzieć, zanim udamy się do Brześcia. Otóż, powiedz mi waszmość, jaki ty masz interes w ratowaniu Andrzeja? Przecież aniś mu brat, ani swat... – wyblakłe oczy starca spoglądały uważnie, jakby chciał wejrzeć wprost w duszę Jaworskiego i wyczytać z niej wszystko, co zostało tam zapisane.

– Przyznam waszmości rację w tym względzie i widzę, że nic waszmości bystremu spojrzeniu nie umknie. – Jaworski westchnął. – Prawda jest taka, waszmość panie podczaszycu dobrodzieju, że syn waćpana Krzysztof jest mi winien sporą kwotę na co stosowne posiadam dokumenta...

Stary Komarnicki skrzywił blade usta w pogardliwym uśmiechu, za to Robaczyński bezceremonialnie prychnął, jak widać rozbawiony tym, co usłyszał.

– Dokumentami od Krzysztofa pozyskanymi to waćpan, kiedy przyjdzie ci nagła potrzeba, możesz sobie co najwyżej rzyć podetrzeć. Inszego z nich pożytku nie będzie – stwierdził podczaszyc.

– I ja to zrozumiałem, lecz poniewczasie – rzekł poważnie i ze smutkiem Jaworski – ale tak sobie wykoncypowałem, że jeśli ja pomogę panu Andrzejowi głowę uratować, to może on zobowiązania swego brata zechce łaskawie spłacić...

– Taaak... – Stary Komarnicki powoli skinął głową. – Waszmość, jak widzę, wielką ufność pokładasz w ludziach – powiedział – ale w tym przypadku nie pomylisz się. Bo jeśli naprawdę pomożesz Komarnickim, to Komarnicy pomogą i tobie.

Pan Jan skłonił głowę.

– Nie będzie człeka szczęśliwszego ode mnie, jeśli tak się stanie.

– Podejrzewam, że tym właśnie sposobem Jaworski przekonał mojego ojca – rzekł Krzysztof Komarnicki – bo świętej pamięci rodziciel mój obdarzony był taką zaletą czy wadą, zależy jak to kto, tandem tedy, mosterdzieju, chce pojmować, iż drugiemu człowiekowi, zwłaszcza obcemu, w niczym nie ufał. A w szczerłość i bezinteresowność tym bardziej nie wierzył, podejrzewając, iż jeśli ktoś próbuje ci grzeczność świadczyć, to choć się zarzeka, że darmo ją świadczy, prędzej czy później rachunek ci za nią wystawi.

– Bywa i tak, oj, bywa... – mruknął Ligęza.

– A tu, widzicie waćpanowie, tandem tedy, mosterdzieju, zobaczył, że człowiek, co tak z ratunkiem pospieszał, swoje interesa ma na uwadze, a nie niesienie bezinteresownej pomocy. I już bardziej mu wtedy wierzył. Taki właśnie był mój ojciec...

– Pomaga w życiu podobna ostrożność – stwierdził Zaremba.

– I broni przed rozczarowaniem – poparł go stolnik – bo przecież cóż gorszego jest niż nóż w plecy wbity ręką przyjaciela? A jak nikomu nie ufasz, to i łatwiej ci żyć. Czyż nie, panie Jacku?

– Nożem w plecy można oberwać, czy się komu ufa, czy nie. – Podstarośći pozwolił sobie nie zgodzić się ze zdaniem Ligęzy.

– Ale jak się nie ufało, to serce tak nie boli, panie Jacku. No pomyśl choćby o Cezarze, kochany panie Zarembo. Czyż wielki ten wódz, umierając, nie wypowiedział słów: „*Et tu, Brute, contra me?*”¹¹³. Czyż nie oznacza to, że w chwili śmierci ze wszystkich spraw właśnie ta sprawa, sprawa zdrady dokonanej przez przyjaciela, wydała mu się najważniejsza na świecie i godna ostatnich słów?

– Hmm... – Pan Jacek splótł palce dłoni. – Kiedy waszmość takie argumenta przytoczyłeś, tylko głupi by się z tobą nie zgodził. Pewnie, że bardziej żał umierać, kiedy przyjaciel czy, nie daj Boże, syn, córka lub żona nożem człowieka dźga. Bo jak od wroga czy człowieka obcego krzywdy

doznajesz, to jakieś to bardziej... – podstarości wzruszył ramionami – zwyczajne.

– Ano właśnie – westchnął Ligęza. – W każdym z nas skrywa się ta dobroć, która każe ludziom choć trochę ufać.

– Jeśli tak, jeśli waszmość dobrodziej prawdziwie masz rację, to w moim ojcu zaiste bardzo głęboko się ona ukrywała – powiedział Komarnicki z przekąsem.

– Asanowi nie miał chyba szczególnego powodu ufać, co? Ale nieważne. Gadaj dalej. Cóż uczynił twój ojciec?

– To, co Jaworski spodziewał się, że uczyni. Bo cały ojcowski afekt, jaki ojciec mój miał, na Andrzeja przelał. I za dwóch go kochał, że niby, tandem tedy, mosterdzieju, za niego samego i za mnie. Wiadome było, że nie da mu szczeznąć niczym lisowi w potrzasku, i choć zawsze miał zimną krew, to na wieść o Andrzejowym nieszczęściu nie tylko rozgrzała mu się ona w żyłach, lecz wręcz zagotowała. I ojciec mój od razu, tej samej nocy jeszcze, postanowił do Brześcia wyjechać, aby jadąc co koń wyskoczy, zdążyć przed zmrokiem następnego dnia. Pachołków wziął ze sobą trzech i trzy luźne konie, na wypadek gdyby co się po drodze zdarzyło niespodziewanego. No i Robaczyński z nim oczywiście jechał...

– Mniemam, że niespodziewane po drodze się zdarzyło – rzekł Ligęza – choć pewnie było tak bardzo niespodziewane, że nawet ostrożność twego ojca nie potrafiła tegoż niespodziewanego uczynić spodziewanym.

– Ano właśnie tak się stało. Co do joty, zgodnie ze słowami pana stolnika dobrodzieja – zgodził się Komarnicki, po czym upił łyk z kielicha.

Potem próbował upić następny, ale że w naczyniu nic już nie było, tylko smętnie zajrzał do środka, jakby spodziewał się, iż kielich napełni się dzięki jakiejś czarodziejskiej mocy wywołanej jego pożądlwym spojrzeniem. Skoro jednak nie miał w jaki sposób swego iście tantalowego pragnienia zaspokoić, a trunkowej pożądlwości ukoić, tedy kontynuował opowieść.

– *Grzymalski, pozwól no, przyjacielu...*

Komarnicki wypowiedział te słowa spokojnym tonem i cichym głosem, ale pogrążony w rozmowie łysy szlachcic usłyszał go, o dziwo, przerwał wypowiedzane zdanie w pół słowa i kopnął się pędem w stronę starca.

– *Do usług, jaśnie panie. Czego jaśnie pan sobie zażyczy?*

– *Posłuchaj, Grzymalski: jadę teraz do Brześcia z tym szlachcicem i Robasiem. Weźmiesz o świecie ludzi, ilu tylko dasz radę, a i po sąsiadach roześlesz wieść, że Andrzeja Łyczkowie uwięzili w grodzie. I kto wie, czy synka mego nie obwieszą bez sądu, co byłoby najświętszych praw szlacheckich jawnym pogwałceniem. Zrozumiałeś? Będziesz wiedział, co czynić?*

– *Jak nic trzydzieści szabel na jutro jaśnie panu przyprowadzę do Brześcia – dziarsko odparł zapytany. – I czeladzi dojdzie nam z setka do pojutrze. Będzie trzeba, to pana Andrzeja z wieży szturmem odbijemy, jaśnie panie!*

– *Dobrze gadasz, Grzymalski! Spraw się, a sprezentuję ci takiego konika z rzędem, że i wojewoda podobnego nie ma.*

– *Stanie się zgodnie z wolą jaśnie pana.*

– *No, stary druhu, wiem, że na twój rozum i twoją szablę zawsze mogą liczyć. – Komarnicki klepnął szlachcica w ramię, a ten aż pokraśniał z dumy.*

– Nawet swego sługę aści ojciec okłamał – rzekł w zamyśleniu Ligęza – bo przecież to nie mieszczanie, ale starościńscy ludzie pojмали brata acana.

– Tak właśnie było, waszmość panie stolniku dobrodzieju – zgodził się Komarnicki. – Ojciec mój dobrze znał naturę narodu naszego szlacheckiego i wiedział, że na wieść, iż dobrego szlachcica mieszczanie uwięzili i chcą sądzić, co byłoby, tandem tedy, mosterdzieju, jawnym pogwałceniem praw przez majestat Rzeczypospolitej nam nadanych, a co, dobrze pamiętamy, w przeszłości nie raz i nie dwa się zdarzyło, to szable z pochew same się wysuną i całe sąsiedztwo na ratunek Andrzejowi podąży. Bo jakie by tam między nami spory i zwady czasem nie były, to przecież to, tandem tedy, mosterdzieju, między nami sprawa. Między nami, szlachtą, nie pospółstwem! „Chamy miejsce swoje znać powinny, a jak nie znają, to batem ich tam trzeba zagonić”, tak mój ojciec zawsze mówił, tandem tedy, mosterdzieju, i waćpanowie dobrodzieje sami przyznacie, że racja w tym jest niewątpliwa.

– Tego waćpanowi nie negujemy. – Ligęza skinął poważnie głową. – Wszystko na świecie w przyrodzonym porządku powinno być ustawione oraz ułożone. I jak ptak ma latać, a ryba pływać, tak pan ma być panem, a

cham ma być chamem. Tak już Bóg stworzył świat, a przecież negowanie boskiego dzieła to grzech i herezja.

– Święte słowa – zgodził się Jacek Zaremba. – Choć przyznać trzeba, że wiele już poznałem rybek, co zapragnęły latać lub nawet zaczynały ów proceder uprawiać. I niektórym całkiem zręcznie szło, zanim domyślność oraz przenikliwość ludzka ich nie wyśledziły.

– Ale iluż to nie wyśledziły, panie Jacku kochany! – zawołał z wyraźnym smutkiem stolnik. – Czyż *Liber Chamorum*¹¹⁴ dokładnie nam nie ukazuje i nie dowodzi, jak bardzo pilnować się musimy, by chamów nie wpuszczać do szlacheckiego narodu? A pchają się wszak drzwiami i oknami!

Krzysztof Komarnicki westchnął rozdzierająco, lecz ponieważ wzrok miał znowu utkwiony w pustym kielichu, więc nie wiadomo, czy westchnął z żalu nad brakiem trunku, czy ze smutku nad panoszącym się w Rzeczpospolitej chamstwem, nad którym to zjawiskiem ubolewał właśnie stolnik Ligeza.

– Dobrze, dobrze, już ty nam tu acan nie jęcz i nie wzdychaj, ale opowiadaj dalej!

– Już opowiadam, panie stolniku dobrodzieju, już opowiadam – gorliwie i pokornie zapewnił Komarnicki.

– *Stać, waszmościowie, stać!* – wrzasnął pełnym głosem Jaworski.

Komarnicki niespiesznie wstrzymał konia, a dopiero w ślad za nim uczynili to Robaczyński oraz słudzy.

– *Czego waść jak strzyga wyjesz?* – burknął nieprzyjaznym tonem podczaszyc.

– *Na Boga, spójrzcie w niebo, waszmościowie!* – Głos Jaworskiego był tak przejmujący, iż wszystkim sięgnął prosto do serca. – *Kometa z krwawym ogonem mknie po niebie!*

– Waść malujesz nam obrazy tych nieszczęsnych wypadków, jakbyś bez mała był świadkiem każdego z nich – Ligeza przerwał wywody Komarnickiego – a przecież nie unosiłeś się nad owym Jaworskim i swoim ojcem niczym Amor nad zakochanymi lub Furie nad grzesznikami, czyż nie? Skąd więc tak dokładnie wiesz, co zaszło? Gadaj waść, co z tą kometą? Co za kometa!? Gadajże no!

– Gadałbym, gdyby wielmożny pan stolnik nie raczył mi opowieści przerwać. – Niezadowolony Komarnicki pozwolił sobie na przytyk i nawet zbuntował się na tyle, by obrzucić pana Hieronima nieprzychylnym spojrzeniem.

Stolnik gestem nakazał, by podstarości napełnił szlachetce kielich, a Zaremba posłusznie wlał trunek aż po brzegi naczynia. Uśmiechnął się przy tym całkiem życzliwie, bo ów naburmuszony rokosz Komarnickiego nawet go nieco rozbawił.

– Napij się waść i opowiadaj dalej, bo coraz bardziej jestem ciekaw, jak ta historia się zakończyła.

– A na czymże ja skończyłem, tandem tedy, mosterdzieju? – Komarnicki podrapał się po czole, a pan Jacek przysięgłby, że namysł i niepamięć były udawane.

– Krwawa kometa mknie po niebie! – przypomniał mu Ligęza.

– Ano tak – zgodził się pan Krzysztof i łyknął tak potężnie i tak łapczywie, że gdyby w jego kielichu mieszkała kometa, to niechybnie by ją caluteńką połknął.

– *Kometa z krwawym ogonem mknie po niebie!*

Wszyscy unieśli głowy, zdziwieni i przestraszeni, a wtedy pan Jan wyciągnął z olster króćce. Do pierwszego sługi wystrzelił z przyłożenia, a kula urwała nieszczęśnikowi szczękę i niemal pół głowy. Drugi pacholek zdołał jedynie łeb opuścić i z twarzy nie zniknęło mu jeszcze zdumienie spowodowane zapowiedzią lotu komety i następnie tej komety brakiem na nieboskłonie, kiedy Jaworski wystrzelił mu prosto w pierś. Mężczyzna zwałił się z siodła na ziemię, a przerażony wierzchowiec zdeptał go kopytami. Nim trzeci sługa zdołał cokolwiek uczynić, Jaworski gestem tak spokojnym, jakby celował do knotów świec, nie do ludzi, wyjął z olster przy końskim boku dwa następne pistolety. Pierwsza kula chybiła celu, gdyż zerwała pacholekowi tylko czapkę i ucho z głowy, lecz drugi pocisk nie zmylił już drogi.

Jaworski odrzucił niepotrzebne króćce i wyszarpnął szablę z pochwy. Rychło w czas, by sparować uderzenie Robaczyńskiego. Towarzysz starego Komarnickiego nie myślał bowiem o zadawaniu pytań, tylko rzucił się do walki tak szybko, jak mógł. Na własne nieszczęście, gdyż Jaworski uchylił się przed drugim ciosem, koniem rzucił w lewo, ostrzem ciął po chrapach Robasiowego wierzchowca, a kiedy oszalałe ze strachu zwierzę wierzgnęło i

z równowagi wytrąciło swego jeźdźca, wtedy potężnie uderzył szablą w bok głowy Robaczyńskiego. Szlachcic nawet nie jęknął. Spojrzał tylko w stronę wroga, jego źrenice pomknęły w górę, odsłaniając białka i Robaczyński zwałił się z siodła.

– Ot, zostaliśmy sami, jasnie oświecony panie podczaszycu – oznajmił grzecznie Jaworski, obracając się w stronę Komarnickiego.

Stary szlachcic uśmiechnął się tylko zimno i wystrzelił dwa razy. Jaworski nawet nie drgnął, a obie kule chybiły celu. Pierwsza o dłoń, druga o grubość dwóch palców. Jedna gwizdnęła koło ucha zabójcy, następna uleciała w dal, unosząc ze sobą kilka kłaków z futrzanego otoka jego czapki. Starzec przeklął pod nosem, rzucił pistolety na ziemię i sięgnął po szablę.

– Nawet nie spytasz dlaczego? – zagadnął łagodnie Jaworski. – Chcesz umrzeć, nie wiedząc, czemu i z czyjej ręki spotka cię śmierć?

– Ja jednak chcę poznać, skąd waść wiesz, co oni ze sobą gadali? – przerwał opowieść naburmuszony Ligęza.

Podstarości spojrzał na niego niemal przepaszającym wzrokiem.

– Panie stolniku dobrodzieju, jeśli pozwolisz, ośmielę się wyjaśnić, iż domniemywam, że Robaś...

– Robaś przeżył! – dokończył gwałtownie Ligęza i w czoło plasnął się z takim impetem, aż echo poszło po całej izbie.

I stolnik wyraźnie był zły, że takie oczywiste oczywistości należało mu tłumaczyć, gdyż przecież sam na to rozwiązanie powinien wpaść, gdyby tylko choć chwilę rozsądnie pomyślał.

– Właśnie tak, tandem tedy, mosterdzieju, masz waszmość całkowitą rację: Robaś przeżył – zgodził się Komarnicki. – Ale musicie wiedzieć, waćpanowie, że uderzenie Jaworskiego straszne spustoszenie uczyniło w jego głowie. I już ani szermierzem nie był niezrównanym, ani nawet chodzić nie dawał rady i zataczał się w taki sposób, jakby był wiecznie pijany lub jakby kto mu nogi podkładał, by nie mógł zrównać kroku. Podobnie z mową jego było, gdyż słowa, które wypowiadał, tak się czasem sensu trzymały jak akurat pijak płota. – Komarnicki dłońmi zamieszał w powietrzu, jakby udąć chciał ciała walące się z boku na bok. – Słyszałem, tandem tedy, mosterdzieju, że zginął niedługo potem, bo ze słabością swoją nie mógł się pogodzić i któregoś z panów braci na szable poprosił, mówili mi, nie dalej niż w rok po owych strasznych

wydarzeniach. – Wtedy leżał na ziemi niczym trup, bo trafiony, tandem tedy, mosterdzieju, i szablą Jaworskiego, i końskim kopytem, ale zapewniał, że widział wszystko. I co widział, to mi opowiedział.

– *Zgaduję, że jesteś, łotrze, kompaniem mego przekłętego syna – rzekł Herakliusz Komarnicki.*

Jaworski uśmiechnął się, a jego twarz w srebrnym blasku księżyca wyglądała niczym oblicze trupa, który powstał właśnie z grobu, by przerażać żyjących.

– *Kompanionem? Cóż, wolałbym raczej, byś powiedział waszmość „wspólnikiem w interesach”. A waść jesteś w nich niestety... zawadą.*

– *Ile ci zapłacono? Dam dwakroć – obiecał Komarnicki wyniosłym głosem.*

– *A więc strach cię obleciał, waćpanie, skoro już chcesz mnie kupować, nie zabijać...*

Stary, słysząc te słowa, poczerwieniał i sapnął wściekle, ale do Jaworskiego się nie zbliżył, tylko nadal z uwagą śledził każdy jego ruch i tak obracał się wraz z wierzchowcem, by krążącego przeciwnika wciąż mieć przed sobą.

– *Nie, nie – kontynuował Jaworski – twój syn prędzej mi da, co chcę, żeby dał. A poza tym – skrzywił usta – gdybym go zdradził, gdzie by się podziało nobile verbum? Ty, panie Komarnicki, musisz zginąć, bo innej rady nie ma... Bóg mi świadkiem, waćpanie, że...*

Szlachcic przemawiał tonem spokojnym, niemal przyjacielskim. Rzekłbyś wręcz, że przyjechał tu, by pogawędzić ze starym znajomkiem, nie by mordować. Lecz ta łagodna mowa miała jedynie ukryć prawdziwe intencje Jaworskiego. Bo oto przy słówku „że” bodnął wierzchowca ostrogami i ruszył wprost na starego Komarnickiego.

– *Zwykle z ludzkiej twarzy wiele można wyczytać, nawet to, jakie będą przyszłe zamierzenia tegoż człowieka – stwierdził sentencjonalnie Krzysztof Komarnicki. – Tymczasem wtedy, imaginujcie sobie, waszmościowie, tandem tedy, mosterdzieju, że człowiekowi temu nawet brew nie drgnęła przed atakiem. Nawet oczu nie przymrużył, nawet głosu nie podniósł... – Pan Krzysztof westchnął. – Wszystko to nieszczęsny Robaś mi zeznał, bo powiadał, że w blasku księżyca twarz owego charakternika widział niczym w słonecznym świetle dnia.*

– Waćć myślisz, że to prawdziwy był charakternik? – Zaremba zmrużył oczy.

– A kto go tam wie... Nigdy bym się nie spodziewał, że Jaworski to taki straszny człek. – Komarnicki aż wzdrygnął się, a na jego twarzy odmalowały się i boleść, i wstyd. – Pachołków ustrzelił, jego szczęście, że króćce przygotował i suchy proch podsypał, bo mierzył przecież z bliska, a na pięć stóp to i niewiasta strzału nie zmyli. Ale powiem, tandem tedy, mosterdzieju, że skoro ojca mego i Robaczyńskiego posiekał w plastry, to rzecz niepodobna – pan Krzysztof pokręcił głową – bo waćpanowie na pewno o tym nie słyszeliście, ale Robaczyńskiego uważano za najpierwszego rębajłę w całym powiecie, a to nie była lada jaka pochwała, gdyż ziemie nasze zawsze słynęły z wielkich fechtmistrzów. A mój ojciec, powiadam, tandem tedy, mosterdzieju, choć wiekowy, to niejednego młodzika nauczyłby jeszcze skakać przez żelazo.

– Tedy, jak rozumiem, ojciec waćpana zginął z ręki owego nikczemnika? – zapytał Ligęza.

– No jakżeby inaczej. Zginął, pewnie, że zginął – odparł zdziwiony Komarnicki. – Nie powiedziałem tego waszmościom? Ach nie, bo przecież w mojej opowieści zatrzymałem się, tandem tedy, mosterdzieju... Gdzież to ja się zatrzymałem? – Pan Krzysztof potarł skroń w zakłopotaniu.

– Jak Jaworski, bez dania znaku żadnego, ojca waszmości zaatakował – odpowiedział Zaremba.

Herakliusz Komarnicki był jednak zbyt starym wygą i zbyt wiele wojennych widział forteli, by się na podobną sztuczkę nabrać. Nie dał się zwieść spokojnym słowom Jaworskiego, lecz pilnie baczył na to, co szlachcic uczyni. I kiedy tylko zauważył, że ten rusza na niego z wielkim impetem, już wodzami ruszył i zastawił się szablą. Jednak cios Jaworskiego był tak potężny, że szabla zadrżała w dłoni starca, a on sam zachwiał się w siodle.

– Stary wróbel – zacmokał z udanym podziwem Jaworski. – Nic, nic, waćpanie, nie pomoże ci to, wierz mi na słowo.

Komarnicki może i nie wstydzilby się uciekać, lecz wiedział, że nie zdąży rozpedzić wierzchowca, zanim przeciwnik wsiądzie mu na plecy. Bo Jaworski dosiadał wspaniałego ogiera, po którego każdym kroku i każdym ruchu znać było wielką krew. Pan Herakliusz rozumiał się na koniach lepiej niż większość szlachciców (a nie było wszak na świecie większych znawców

końskiej nacji niż Polacy), a zatem wiedział dobrze, że rumakowi Jaworskiego nie umknie. Pozostawało mu jedynie walczyć tu i teraz, i owego mordercę zapędzić przed Sąd Pański.

– W imię Boże! – sapnął Komarnicki i tym razem to on zaatakował.

Uderzył, a kiedy cios jego odbito, szybko zamarkował następny, po czym skręcił szablę niczym żądło, godząc wprost w pierś przeciwnika, lecz ku swemu zdumieniu nadział się na zasłonę i sam zaraz ledwo co odbił potężne uderzenie, które mało nie ścięło mu ucha. Po tym wierzchowiec zadrobił mu w tył i rozjechali się z Jaworskim na kilka kroków.

– Waszmość stary jesteś i siwy, lecz rękę jeszcze masz pewną – pochwalił Jaworski – ale już nawet pół pacierza nie strzymasz.

Komarnicki nawet nie kłopotał się odpowiedzią, bo nie widział powodu, by marnować oddech na czczą gadaninę. Patrzył tylko pilnie, kiedy i w jaki sposób Jaworski zaatakuje. Bo że zaatakuje, był święcie przekonany. Ale zabójca na razie kręcił się tylko wokół starego szlachcica i tu pogroził, tam udał, że bodzie ostrogą końskie boki, ówdzie znowu gwizdnął ostrzem w powietrzu.

– Robaczyński mówił, że modlił się, by ojciec mój zaatakował tego człowieka, bo wiedział, że z takim szermierzem czekać na jego atak, to śmierć pewna.

Jacek Zaremba skłonił głowę, godząc się z tymi słowami.

– Widziałem takich fechtmistrzów, którym starczyło zaledwie potaćcować wokół przeciwnika, a ten zaraz głowę tracił i nie wiedział już, kiedy przyjdzie atak i czy bronić się ma, czy atakować, czy uciekać gdzie pieprz rośnie, aż w końcu zwykle wybierał najgorsze rozwiązanie.

– Tak jest, panie Jacku kochany – poparł go Ligęza. – I ja wiem, że wiktoria nie tylko w sprawnej dłoni się kryje, lecz i w bystrym pomysłu.

– Ojciec mój był przednim szermierzem – zauważył urażonym tonem Komarnicki – i zapewniam waszmościów, tandem tedy, mosterdzieju, że z rozumu swego zarówno w życiu, jak i w walce korzystał. Zresztą, gdyby na co dzień z niego nie umiał skorzystać, to i pomoc tego szubrawca Jaworskiego na nic by mi nie była przydatna.

– Nikt tu pamięci waćpanowego ojca nie chce uwłaczać – stwierdził pan Hieronim. – Mówimy jeno, jak niebezpieczny jest człowiek, co niczym kot wokół myszki krąży, gdyż samym swym krążeniem na śmierć ją przeraża i odbiera jej nawet zdolność ucieczki...

– Waszmość pan mego ojca do myszy porównujesz!? – Komarnicki poczerwieniał tak, jakby z porów zaraz miała mu buchnąć posoka.

– Panie Komarnicki, daj waść pokój awanturom – rozkazał Jacek Zaremba stanowczo. – Ojcu twemu niech ziemia lekką będzie i niech mu światłość wiekuista świeci. Opowiadaj!

Pan Krzysztof zwrócił oczy na podstarościego, lecz kiedy jego wzrok zderzył się z chłodnym spojrzeniem pana Jacka, wtedy westchnął tylko, po czym pociągnął tak nosem, jakby zamierzał chlipać.

– No i miał słuszość przeklętnik, bo ojciec mój ani pół pacierza już nie strzymał i z głową rozplataną na strzępy spadł z siodła.

Kiedy tylko Jaworski zobaczył, że jego wróg pada na ziemię, sam spokojnie zeskoczył z końskiego grzbietu. Najpierw swego wierzchowca uwiązał do gałęzi, potem łagodnymi słowami przywabił konia należącego do Komarnickiego, gdyż zwierzę odbiegło ledwie o kilkanaście kroków. Kiedy zabójca zajęty był nakłanianiem konia do posłuszeństwa, Robaczyński, pomimo ran i otępienia po uderzeniach, zrozumiał, że oto los pozostawił mu szansę, jaka może już się nie zdarzyć. Starając się robić jak najmniej hałasu, odczołgał się w chaszczę, potem podniósł się na czworaki, aż wreszcie stanął na nogach i pobiegł przed siebie, aby dalej od tego straszego męża, który samojeden pokonał pięciu ludzi. Los mu naprawdę sprzyjał, gdyż już w chwili, kiedy Robaczyński zaczął się czołgać, tarczę księżycy przykryła brunatna chmura i noc z rozświetlonej srebrnym blaskiem stała się nagle tak ciemna i tak ponura, jakby schowano ją pod kapturem kata. Ale Robasiowi ta złowroga i smutna ciemność uratowała życie, bo wiedział, iż Jaworski nie będzie go szukał, kiedy ledwo co widać własną dłoń wyciągniętą przed twarz.

– I tak to właśnie sługa mego ojca ocalał, choć nigdy już do naszego domu nie powrócił. Ufam, tandem tedy, mosterdzieju, iż dlatego tak postąpił, że za śmierć mego ojca się winił i wstyd było mu oczami przed wszystkimi świecić, że przy życiu nie pomógł go zachować.

– Pięciu ludzi, no, no... – Stolnik splótł palce tak mocno, aż chrząstki mu trzasnęły. – Prawdziwa bestia, nie powiem.

– Jeśli ów Robaczyński powiadał prawdę – odezwał się z powątpiewaniem Jacek Zaremba.

– Sądzis, panie Jacku kochany, że kłamał?

– Cierpiał. I z fizycznego bólu, i z upokorzenia, że ojca mego nie obronił przed śmiercią, że sam uciekł, jak byle pies chowając się po wykrotach. Po cóż miałby, tandem tedy, mosterdzieju, kłamać?

– Może był w zмовie z onym Jaworskim?

Komarnicki szczerze się roześmiał.

– Robaś? Ten głupiec świata poza moim ojcem i Andrzejem nie widział. A ojciec tak się o niego troszczył, takimi prezentami go obdarzał, jakby Robaczyński nie jego sługą był i domownikiem, ale, tandem tedy, mosterdzieju, bratem rodzonym! Robaczyński rękę miał ciężką podobnie jak pomyślunek i ojca mego nigdy by nie zdradził. Przenigdy!

Jacek Zaremba skinął jedynie nieznacznie głową, choć sam wiedział, co sądzić o podobnych zapewnieniach. Mało to świat widział zbrodni popełnionych przez dłużników na ich dobroczyńcach? Czyż nawet w starożytnym Rzymie nie zdarzało się, że syn szedł na wojnę z ojcem, a brat szczuł na brata? Cóż tu dopiero mówić o obcym człowieku! A bo to wiadomo, jakimi sposobami można go było zjednać, omamić bądź nastraszyć, by podniósł rękę na swego pana i dobrodzieja? Oczywiście podstarości dopuszczał myśl, iż Jaworski naprawdę był znamienitym szermierzem, a przez to, że na takiego nie wyglądał, tym groźniejsze mógł uczynić spustoszenie. Pan Jacek spotkał już takich ludzi w swym życiu – ludzi, za których zdolności i siłę na pierwszy rzut oka nie dałoby się nawet klepańca, a kiedy przyszło co do czego, okazywali się wytrawnymi graczy i szable tańczyły posłusznie w ich dłoniach. A bywało i odwrotnie. Że szlachcic groźny z wyglądu i postury, o niewyparzonej gębie i grubych obyczajach okazywał się do cepa bardziej zdatny niż do szabli i kiedy wyszedł na plac, to zaczynał taką młóckę, że każdy doświadczony szermierz, zanim pacierz nie minął, pozbawiał go zarówno szabliska, jak i godności, a bywało, że również ucha lub palców. Trzeba zresztą szczerze przyznać, że na ten drugi typ pan Jacek trafiał o wiele częściej, bo łatwiej było w Rzeczpospolitej, i pewnie na całym bożym świecie, o samochwalców, owych wygadanych *milites gloriosi*¹¹⁵, niż o ludzi ukrywających swe zdolności za skromnością.

– Wierzę, że waśc bez trudu rozpoznałbyś owego Jaworskiego, gdybyś na niego trafił.

Krzysztof Komarnicki przymknął oczy, jakby usiłował pod powiekami odmalować wizerunek szlachcica, który przywiódł jego rodzinę do upadku.

– Minęło wiele lat od czasu naszego ostatniego spotkania – rzekł w końcu niepewnym głosem – a ludzie wszak się zmieniają. Ot, ja sam, nie uwierzylibyście waćpanowie, że tandem tedy...

– Waść poznałbyś go czy nie? – przerwał te wywody Zaremba.

– Chciałem jedynie rzec, wielmożny panie starosto, że dzisiaj pewnie samego siebie z tamtych lat bym nie rozpoznał – odparł smutno – ale – ożywił się i uniósł głowę – poznałbym go, tak, poznał. Po znamieniu pod okiem. Miał tam myszkę, proszę waćpanów, a uwierzcie, tandem tedy, mosterdzieju, że tak dużą i tak pokrytą włosiem, iż prawdziwe zwierzę przypominała, które jakimś cudem przyłgnęło do policzka tego człowieka. Tak, tak, po tym znamieniu niechybnie bym wiedział, iż to właśnie on, nikt inny...

– Coś prócz znamienia?

Komarnicki potarł nos.

– Cóż by rzec, tandem tedy, mosterdzieju... Ach, wiem już! Miał zwyczaj wtrącania, czy trzeba było, czy nie, słów *per consensum*¹¹⁶.

– Tak jak waść „tandem tedy” wtrącasz?

Pan Krzysztof zerknął na niego zdziwiony, potem uśmiechnął się lekko.

– Ach tak, waszmość panie, masz słuszość, lecz ja tego, tandem tedy, mosterdzieju, nawet już nie słyszę. Lecz pewnie właśnie podobnie rzecz się miała z owym Jaworskim, niech go piekło, szubrawca, pochłonie.

– To wszystko?

– Więcej nic nie pamiętam. – Komarnicki zmrużył oczy, jakby miało mu to pomóc w wyciśnięciu obrazów z przeszłości.

– *Per consensum* i owo znamię już wiele mówią, panie Jacku kochany, nie uważasz?

– Lepsze to niż nic – zgodził się Zaremba.

– Palec! – wykrzyknął nagle Komarnicki.

– Co za palec?

– Jaworski paznokiec wskazującego palca miał przyczerniony, jakby go w smole utaplał. Ale to nie brud był czy plama, tylko kość taką miał ciemną i już.

– Dobrze – pochwalił Ligeza. – A powiedz jeszcze asan, czy nie próbowałeś brata ratować? Zwada między wami była, trzeba przyznać, ale... co krew, to krew.

– Panie stolniku dobrodzieju, czyż ja tego nie rozważałem? Czyż się nie biłem ze strasznymi myślami? Czy może nawet nie rozważałem, by staroście brzeskiemu do stóp paść i całą prawdę wyznać? Bóg mi świadkiem, że o wszystkim tym myślałem. Bóg mi świadkiem!

– Ale, jak mniemam, nic asan nie uczyniłeś – odezwał się tym razem Zaremba.

Krzysztof Komarnicki spojrział na niego wzrokiem zbitego psa.

– Panie starosto, waćpan przecież sam praw Rzeczpospolitej strzegłeś, czyż nie? Waćpan pewnie i pod miecz, i pod topór, i na szubienicę zaprowadziłeś wielu złoczyńców. Nie mylę się w tej mierze, proszę waści, prawda?

– Tak właśnie było – odparł krótko podstarości.

– I waćpan zapewne wiele słyszałeś łgarstw, wykrętów oraz zwyczajnych bajęd, którymi nie tylko winni, lecz pewnie i ich rodziny cię raczyły, by w ten sposób stępić surowe ostrze sprawiedliwości... Mam rację, panie starosto?

– I tak bywało, jak asan mówisz.

– Powiedz mi więc, waćpanie, czy uwierzyłbyś, gdybym przyszedł do ciebie z podobną historią? Czy uznałbyś, że mówię prawdę, czy też pomyślałbyś, że próbuję jedynie ratować życie swego brata?

Zaremba podumał chwilę, po czym skinął głową i spojrział w stronę stolnika.

– Ma rację w tej mierze pan Komarnicki. Pomyślałbym, że to nad wyraz nieudaczne łgarstwo i na całą sprawę machnąłbym ręką, sądząc, że szkoda tylko mego czasu i czasu mych ludzi, by iść podobnie zwodniczym tropem.

– Właśnie! – Pan Krzysztof klasnął. – Właśnie tak! Więc co ja mogłem, waćpanowie, co ja mogłem? Przyznajcie sami, że sprawy tak się potoczyły, tak paskudny przybrały obrót, że nie w ludzkiej mocy było rzecz całą odwrócić.

– Ja temu nie odmówię. – Zaremba wzruszył ramionami.

– Choć może próbować trzeba było, nawet jakżeś nie miał nadziei na pomyślny obrót spraw – dodał stolnik nadzwyczaj surowym tonem.

– Może i trzeba było – zgodził się smętnie Komarnicki – ale, jak powiadają, tandem tedy, mosterdzieju, stłuczonego jaja nie skleisz. Tak się stało, jak się stało, i widocznie tak właśnie się musiało stać. Poza tym kiedy

wspomniałem na owego charakternika, na tego niby Jaworskiego – pan Krzysztof aż się wzdrygnął – to myślałem sobie, że podobnej zdrady płazem mi nie puści. A pomyślcie sami, waszmościowie – uniósł oczy i złożył dłonie jak do modlitwy – pomyślcie no sami: ja przecież samojeden na świecie zostałem. Ostatni z przesławnego rodu Komarnickich! Moje życie to furda, ale wszak rodu szkoda. Rodu, tandem tedy, mosterdzieju, nie wiem, czy waszmość panowie wiecie, wielce dla Rzeczypospolitej zasłużonego, choćby dlatego, że praszczur mój jeszcze z królem Łokietkiem po jaskiniach się krył i tamże przed czeskimi żołnierzami własną piersią go obronił. – Pan Krzysztof westchnął głęboko, a na jego twarzy pojawił się wyraz łagodnego rozmarzenia. – Jak Bóg da, może jeszcze potomków spłodzę i podtrzymaniem nazwiska choć w małej mierze spłacę me straszne winy...

Stolnik jedynie prychnął z wyraźną dezaprobatą, natomiast Jacek Zaremba nie omieszkał skwitować słów Komarnickiego.

– To żeś sobie asan wymyślił, nie ma co! Że niby płodząc dzieci, co nie jest wszak takim przykrym zajęciem, swoje zbrodnie odkupisz? No, no, proszę bardzo. A na pierwszy rzut oka za twój rozum człek by nawet klepańca nie dał. A tu: niespodzianka.

Pan Krzysztof nie odpowiedział nic na tę słuszną i celną przyganę, tylko ramiona przykurczył i wzrokiem uciekł gdzieś w kąt komnaty.

– Jakowis juryści bronili twego brata? – dociekał podstarość.

Komarnicki rozłożył dłonie.

– A na cóż tam juryści byliby potrzebni, proszę waszmościów, skoro wiedziałem, że dla starosty i dla sądu sprawa jest więcej niż jasna! Kauzyperda to by tylko na złoto mnie naciągnął, a wywalczyć i tak by nic nie wywalczył. Toteż pomyślałem sobie, tandem tedy, mosterdzieju, że w takowej sytuacji najlepiej będzie zdać się na najlitościwszy sąd Boży. Jeżeli Pan Bóg cudem jakim brata mego z opresji wyratuje, przysięgam sobie, że majątnością uczciwie się z nim podzielę. Ale jeśli ratunek nie przyjdzie, znak to będzie najoczywistszy, iż Pan nasz brata mego Andrzeja na swoim dworze już pragnie ugościć. A skoro taka jest wola Boga, kimże ja jestem, robak nędzny, by się Jego woli sprzeciwiać? Czyż nie mam racji, tandem tedy, mosterdzieju?

– Żeś asan nędzny robak, ja się z tym twierdzeniem bez trudu zgodzę – odpowiedział po chwili milczenia Ligęza – ale to w końcu nie nasza rzecz. Gadaj dalej!

Komarnicki udał, że nie usłyszał ostrych słów.

– Jaworski co mi obiecał, tego dotrzymał – przyznał z goryczą w głosie – ale klnę się na Boga, tandem tedy, mosterdzieju, i na wszystkich Jego świętych, że nigdy bym owoców zwycięstwa nie pragnął, gdybym wiedział, za jaką cenę zdobyte.

– Majątek był waści, czyż nie?

– Tak. Ojciec i brat nie żyli, więc jedynie ja pozostałem, by zarządzać rodowymi dobrami.

– Waćpan zapłaciłeś owemu Jaworskiemu?

– Ano zapłaciłem – Komarnicki skinął głową i zadrżał – bo charakternik był z niego, nie ma dwóch zdań, tandem tedy, mosterdzieju. A takiemu w paradę wchodzić to zagłada pewna. Piętnaście tysięcy czerwonych złotych mu sprezentowałem i modliłem się tylko, by więcej tej kanalii nie obaczyć.

– I gdy majątkiem się podzieliłeś, wtedy Jaworski ostawił cię w spokoju?

– Bogu dziękować, więcej go nie widziałem – przyznał pan Krzysztof – i trzeba szczerze rzec, waćpanowie, tandem tedy, mosterdzieju, że człowiek to był w jakiś pokrętny sposób uczciwy – Komarnicki niechętnie wypowiedział te słowa – bo *primo*¹⁷: słowa dotrzymał i do majątku mnie doprowadził, choć taką drogą, że do tej pory wzdrygam się z obrzydzeniem i strachem, kiedy o niej myślę, *secundo*¹⁸: nie zażądał nawet grosza więcej, choć Bogu przysięgam, tandem tedy, mosterdzieju, że owemu przekłębnikowi wydałbym nawet i drugie piętnaście tysięcy, by jego twarzy już nigdy więcej nie oglądać.

– Uczciwy... – Ligęza posmakował to słowo, jakby zdawało mu się zupełnie obcym pojęciem. – Dziwny waść masz pogląd na uczciwość – rzucił.

– Po zabraniu gotówki mógł pana Komarnickiego ubić, by świadka swej niegodziwości się pozbyć – rzekł Jacek Zaremba.

– O, już ja zbrojnymi ludźmi się wtedy otoczyłem! O, już ja wiedziałem, co się może zdarzyć, i strzegli mnie pachołkowie dzień i noc!

– Jak z opowieści waszmość pana wynika, ten Jaworski niespecjalnie mógł się waćpanowymi pachołkami przejmować...

– Inna sprawa zamordować w nocy ludzi, co się niczego złego nie spodziewają, a inna, tandem tedy, mosterdzieju, napaść człowieka

przygotowanego do walki.

– Może i waść masz słusność – zgodził się Zaremba. – Tego już pewnie nigdy się nie dowiemy, co w umyśle owego łotra się wykluwało i czemu tak, a nie inaczej postępował.

– Łotr, o tak, łotr prawdziwy! – zasyczał z pasją Komarnicki.

Podstarości najpierw tego nagłego wybuchu złości nie zrozumiał, potem jednak pojął, że pan Krzysztof musiał przypomnieć sobie chwile, kiedy chował się przed wrogiem niczym zagoniony do kąta szczur. Musiał przypomnieć sobie, że co noc budził się spocony ze strachu, iż zobaczy Jaworskiego nad głową. Musiał przypomnieć sobie, że jak pił, to nie radośnie, ale by o strachu zapomnieć i by wraz z winem wsączyć w serce trunkową odwagę. Musiał przypomnieć sobie, że nic nie sprawiało mu radości: ani jadło, ani trunek, ani gładka dziewczka. I nawet majątek odziedziczony po zamordowanym ojcu nie wydawał się w tych strasznych, pełnych lęku chwilach tak ponętny jak niegdyś.

– Waćpan komuś wcześniej opowiadałeś tę historię?

– Jezusie Maryjo, na rany Chrystusa, nie! – Komarnicki prawdziwie się przeraził. – Jakże bym mógł? Teraz tylko, po tym liście, i wiecie waćpanowie, tandem tedy, mosterdzieju... – rozłożył dłonie, nie wiedząc, co powiedzieć dalej.

– A co się stało z waszeci majątkiem? – zainteresował się Ligęza. – Tuszę, że znaczna to była wartość, skoro i brat, i ojciec tak pilnie pracowali nad jego pomnażaniem.

– I wyjaśnij, jakżeś w jego posiadanie wszedł? – Zaremba zmarszczył brwi. – Wszak ojciec umarł pierwszy, więc jego testament był w mocy i twemu bratu zostawiał majątność. Brat głowę w Brześciu położył, ale czy to znaczy, że aści wszystko wcześniej pozostawił?

– Nie, nie tak było... – Policzki Komarnickiego poczerwieniały.

– Asan testament ojcowy sfalszowałeś – odgadł Ligęza – więc brat, umierając, nic już nie miał...

– O to szło, by nie domagano się zadośćuczynienia za szkody – wyjaśnił szybko pan Krzysztof. – Bo widzicie waszmościowie dobrodzieje, że tak jak wyszło, to wyszło na to, tandem tedy, mosterdzieju, że Andrzej nic nie ma, więc i nic płacić nie może... – Komarnicki uśmiechnął się w podziwie dla własnej przebiegłości, choć Zaremba postawiłby złoto przeciw orzechom, że pomysł ten nie w jego powstał głowie.

– No a co się stało z tym majątkiem? – powtórzył pytanie stolnik.

Komarnicki opuścił głowę i rozsmarował palcami kałużę wina po stołowym blacie.

– Ot, jakoś się rozeszło, anim zoczył kiedy – mruknął.

– Wszystko straciłeś? – dopytał bezlitośnie Ligęza.

– Wszystko – przyznał smętnie Komarnicki. – Bo widzicie waćpanowie, czasem, kiedy człowiek pragnie wprowadzać zmiany, to zmiany te przygniotą go, przytłoczą i zgnębią, więc choć sama koncepcja zdaje się nad wyraz słuszna, jednak życie wniwecz teorię obraca.

– Nie bardzo chyba pojmuję wywody asana...

– Zacząłem budować pałac – podczaszycowicz uśmiechnął się do własnych myśli – porządny, z kamienia i cegły, nie jakąś psią budę z drewna... Och, za przeproszeniem waszmość pana dobrodzieja. – W tym momencie pan Krzysztof zorientował się, iż przecież piękny i rozległy dwór stolnika Ligęzy jest niemal w całości wzniesiony z modrzewiowego drewna, bo tylko podmurowanie miał solidne, ceglane.

Ligęza jedynie parsknął i dłonią machnął, a pan Jacek pomyślał, iż stolnik słusznie lekce sobie waży te nowe mody, które panom braciom kazały opuszczać siedziby przodków i budować kamienne domy lub pałace, w których jesienią i zimą marzli niczym psy i z których też zwykle jak psy, z podkulonym ogonem, wracali do ciepłych drewnianych siedzib, a kamienne domostwa ziały pustką, przez lata potem zjadane przez wiatry i deszcze. Mówiono, i chyba nie bez racji, że więcej w Rzeczypospolitej pałacowych ruin wzięto się stąd, że szlachta opuściła nowe siedziby, niż stąd, że wróg poniszczył budowle.

– No i tak, co ja tam, tandem tedy...? – Komarnicki potarł czoło. – Aha, no tak, pałacyk. Udało się niby pierwszą wznieść kondygnację, ale architekci mnie oszukali pewnie i na planach, i na budulcu, bo zawalił się strop, nie było komu go podnieść i tak jakoś po staremu zostało... No i francuskim ogrodem chciałem oczy ucieszyć. Dziury na stawy mi robotnicy pokopali, fontanny jakieś niby, mostki, kanaliki, rośliny cudaczne posadzili, jak kazał architekt, co z samej Francji do naszej Rzeczypospolitej przyjechał. Ale, ach tam – pan Krzysztof w konfuzji wykręcił sobie ucho i westchnął ciężko – jakoś poszło wszystko nie tak, jak trzeba, i nie tak, jak pójść miało. Po dwóch latach to, co rosło, to pomarzło, jeziorka zarosły i zamieniły się w bagna, smród tam taki, waćpanowie, tandem tedy mosterdzieju, od tego niby-ogrodu leciał, że wszyscy tylko z dala się od niego trzymali, a komary

to tak człeka żarły niemal cały boży rok, że nie szło wytrzymać... To w diabły kazałem wszystko zasypać, zaorać i trawy nasadzić. I tak to się skończył mój francuski ogród, ale co on mnie kosztował, ech, szkoda gadać!

– Tak to bywa, kiedy mody z innych krajów bezmyślnie się ściąga – stwierdził surowo Ligęza. – Tak to bywa, kiedy cudze uważa się za lepsze niż własne. Wielu takich jest, co w obcych krajach wielkiej jakoby mądrości jadą szukać i tylko z ust postronnych mistrzów prawdę chcieliby spijać. I nas, nas, którzy tradycji Rzeczypospolitej służymy, ciemnogrodem nazywają. – Ligęza roześmiał się raczej z rozbawieniem niż ze złością. – A któż głupszy, jak nie ten, co bezkrytycznie próbuje obcych nowinek i na polski grunt chce obce rośliny przesadzać? A już wierz mi, panie Jacku, że ani daktylowa palma, ani hiszpańskie winogrono na naszej ziemi nie wyrośnie i godnego plonu nie da. Bo nie wszystko, co obce, to dla nas, Polaków, dobre. Choć wielu ludzi złej woli lub o ograniczonych umysłach próbuje braci szlacheckiej owe dyrdymały wmawiać i jako jedyną sprzedawać prawdę. I tylko potem, jak w przypadku tego tu pana Komarnickiego – Ligęza surowym spojrzeniem obrzucił podczaszycowicza – nieszczęścia się z podobnego myślenia biorą.

– Święte słowa – zgodził się Zaremba i też zerknął na Komarnickiego. – No ale przecież nawet po tych pałacykach i ogrodach coś waści jeszcze musiało zostać?

– Gospodarka to rzecz nie dla mnie, proszę waćpanów, bo ja taki bardziej delikatny jestem – wyjaśnił Komarnicki – toteż majątki puściłem w dzierżawę, a sam do Wilna i potem do Warszawy się udałem. Ale co począć, skoro nieuczciwość ludzka z majątności mnie ograbiła, ot co waszmość panom powiem, tandem tedy... Bo jak na me wioski wróciłem, to powiem waćpanom, że rzekłbyś, że nie dzierżawca trzy lata nad nimi trzymał pieczę, a jaka orda tatarska grabiła i pustoszyła całą okolicę...

– No jak acan na trzy lata bez dozoru swą własność zostawiłeś, to co się potem dziwisz...

Zaremba pokiwał głową, zgadzając się ze słowami stolnika, gdyż sam był świadkiem i rozjemcą w sporach, w których dzierżawców oskarżano, iż powierzone sobie włości traktowali gorzej od Tatarów czy Kozaków i że jakby ziemia krew miała, to całą by z niej wycisnęli.

– Co więc dalej uczyniłeś?

– Sprzedałem ruinę za psi grosz, a złotko jakoś tak – pan Krzysztof wzruszył bezradnie ramionami – rozeszło się to tu, to tam.

– Na karty i na kosteczki pewnie, na dziewczki i na hulanki... – skwitował Zaremba.

– Moje było! – Komarnicki niespodziewanie poderwał głowę, a oczy mu zabłyśły. – Swoje straciłem, nie cudze! Za swoje hulałem, nie za kradzione!

– Zamordowanego ojca i zamordowanego brata majątek zmarnotrawiłeś – rzekł Ligęza tak surowym głosem, że chudy szlachcic aż zgarbił się nad stołem. – To tak, jakbyś na groby im napluł, panie Komarnicki. Bo nie dość, że z twojej zginęli winy, to jeszcze pamięć ich splugawiłeś! – Umilkł i przez chwilę w komnacie panowała cisza, w której słychać było tylko posapywanie zezłoszczonego gospodarza. – Nie wiem, po co cię do mnie przysłano, bo pomóc ci w niczym nie mogę. A nawet jakbym mógł, nie zechcę – dokończył wreszcie Ligęza głosem spokojniejszym, lecz lodowato zimnym.

– Zlitujże się, waszmość panie, łaskawco mój i dobrodzieju! – Komarnicki opadł na kolana i wznosił wykrzywioną płaczem twarz w stronę stolnika. – Cóż ja pocznę, niebożatko, bez waszmościnej pomocy? Przecież ja nawet nie mam złamanego grosza, by w byle karczmie siwy łeb przytulić. Śmierci mojej pragniesz, wielmożny panie stolniku? Żebym szczeł pod płotem niczym byle kulawy pies albo żebrak? Cóż ja ci zawiniłem, jaśnie panie dobrodzieju?

Jacek Zaremba z rozbawieniem zauważył, iż Komarnicki tak był zestrachany i poruszony własnym nieszczęściem, że zapomniał nawet o zwyczajowym „tandem tedy, mosterdzieju”.

– Wstańże waść – rozkazał z obrzydzeniem w głosie Ligęza. – No wstańże, do kroćset! – zawołał już ostro, kiedy zobaczył, że pierwszy nakaz nie skutkuje. – Bo skoro jak byle cham się zachowujesz, to jak chama każe cię potraktować i za łeb z domu wyrzucę.

Komarnicki podniósł się z wielkim trudem, z westchnieniami i z posapywaniami, cały czas rozcierając łzy wierzchem dłoni po twarzy. I już stał ze zwieszoną głową, przygarbiony niczym sługa czekający na wyrok przed surowym panem, niepewny, czy każą go wychłostać, czy przewiny jednak darują.

– Jaśnie oświecony panie stolniku dobrodzieju, przecież mnie zgryzota żre niczym wściekły pies – zaczął mówić z boleścią w głosie, najpewniej

przeświadczony, iż oto ważą się jego losy i jeśli teraz nie przekona Ligęzy, że może pozostać w jego domu, to nigdy już nie przekona. – Przecież ja niemal co noc widzę we śnie brata mego Andrzeja...

Komarnicki zadygotał, więc albo świetnie odgrywał komedię, albo rzeczywiście dręczyły go nocne koszmary. Pan Jacek wierzył raczej w to drugie, gdyż sam przecież słyszał, jak podczaszycowicz brzeski męczy się przez sen.

– ... idzie on w gieźle białym, do podłogi sięgającym – kontynuował Komarnicki posępnie i głucho – a w dłoni trzyma za włosy swą skrwawioną głowę. I idzie tak krok za krokiem, powolutku, wprost na mnie, a ja nawet drgnąć nie mogę. Nawet palcem ruszyć, nawet odwrócić się, a co tu mówić o ucieczce. I mówi głosem takim, jakby z grobu dobiegał: „Porachujemy się, oj, porachujemy, panie bracie”. A czasem nic nie mówi, tylko śmieje się tak, jakbyś pilnikiem po żelazie jeździł... – Pan Krzysztof otrząsnął się.

– W jakim sposobie mówi, skoro własną głowę trzyma w dłoni? – zapytał Jacek Zaremba.

– Że... że co?

– Pytam, jak właściwie brat może cokolwiek mówić, skoro ma głowę odciętą?

– Panie Jacku kochany, dajże waść spokój. Różne rzeczy we śnie człowiekowi do łba przychodzą, na ten przykład mnie śniło się kiedyś, że latałem niczym ptak. A spójrz no waszmość na mnie i powiedz, czy ci jaskółkę przypominam.

– Jako żywo nie. – Zaremba się uśmiechnął.

– Ty mi lepiej, panie Jacku, zamiast szukać logiki w sennych koszmarach, doradź, co mam z tym tu szlachcicem uczynić – poprosił Ligęza i szarpnął wąsa.

Kundle spojrzenie Komarnickiego szybko pomknęło w stronę Zaremby, lecz zaraz potem osunęło się z powrotem na podłogę. Podstarość chrząknął.

– Jeśli jesteś tak uprzejmy, by pytać mnie o radę, panie stolniku dobrodzieju, powiem, iż kazałbym mu zostać, póki cała sprawa się nie wyjaśni. Zaszkozić, to nie zaszkodzi, a kto wie... – zatrzymał wzrok na zgarbionym Komarnickim – może jeszcze ów szlachcic na coś nam się przyda, chociaż, dalibóg, na razie na to nie wygląda.

Tym razem pan Krzysztof obrócił głowę w stronę stolnika i czekał na wyrok, pochlipując z cicha i splatając palce tak mocno, że aż kości mu zachrzęściły.

– Gość w dom, Bóg w dom – zdecydował w końcu Ligęza. – Zaprosiłem i swego zaproszenia nie wymawiam, póki mej gościnności nie nadużyjesz. Zapamiętaj sobie, asan: póki gościnności nie nadużyjesz – powtórzył, mocno i wyraźnie akcentując słowa.

A potem zagarnął ramieniem pana Jacka, odwrócił się do drzwi i posapując ze złością, opuścił komnatę, pozostawiając w niej zapłakanego Komarnickiego.

– Po cóż tego człowieka do mnie przysłano, panie Jacku? Cóż to za zamysł, prawy lub niegodziwy, stał za zaproszeniem?

Jacek Zaremba zastanawiał się właśnie nad odpowiedzią na to samo pytanie, więc niełatwo mu było dać stosowny respons.

– Posłuchajmy opowieści pana Broniewskiego, panie stolniku – rzekł wreszcie. – Może ona rzuci światło na tę sprawę? Może pozwoli nam lepiej zrozumieć historię Komarnickiego? Może, kto wie, znajdziemy jakieś podobieństwa?

Ligęza zatrzymał się i bystro zerknął na podstarościego.

– Na przykład osobę tego samego krzywdziciela?

– Też właśnie o tym pomyślałem.

– Ale jeśli nawet, jeśli nawet, to jakież w tym cel, panie Jacku kochany? Czy ja mam odnaleźć owego człeka i go ukarać? Ale w imię czego lub kogo? Mamże być mścicielem w imieniu nieznanym mi ludzi? W dodatku ten tam Komarnicki niechby i szczył pod płótem i żebyś się za nim nie wstawił tak rozumnie, panie Jacku, pewnie i szczytać bym mu zezwolił...

Jacek Zaremba rozumiał pogardę starego szlachcica tym lepiej, iż sam uważał Komarnickiego nie tylko za hetkę-pętelkę, lecz za niegodziwca, który własnego ojca i własnego brata wydał na śmierć.

– Trzeba Broniewskiego wypytać i do szczerzej spowiedzi namówić – powtórzył podstarości. – Nie widzę innej drogi, by prawda wyszła na jaw. Może wtedy rzeczy nam się rozjaśnią.

– Może i tak, może i tak... Poczekajmy więc – westchnął Ligęza, a widać było, że rozważne słowa towarzysza nieco go uspokoiły.

Jacek Zaremba zaś nie niepokoił się szczególnie, gdyż uważał, że na razie wszystko, co przydarzyło się panu stolnikowi, jest wprawdzie

zagadkowe, lecz nie niebezpieczne. Oczywiście nie było wiadomo, co knuje ten tajemniczy człowiek, który wysłał listy z zaproszeniami, należało zatem przedsięwziąć wszelkie działania, by rzecz wyjaśnić, a nie martwić się czy bać na zapas.

– Może któryś z twoich domowników skrzywdził Komarnickiego!? – wykrzyknął nagle Zaremba i aż klepnął się w czoło. – Nie masz waćpan w swym domu nikogo, lub nie miałeś, z włochatą myszką pod okiem?

Ligęza cmoknął przez zęby i pokręcił po chwili głową.

– A z blizną? Może ów człek znamię sobie wyciął lub wypalił? Lecz po takim zabiegu zostałyby sporej wielkości blizna. Nie pamiętasz nikogo takiego? Może służył u waćpana kilka lat temu?

Stolnik znowu pokręcił głową.

– A sąsiedzi? – poddał jeszcze Zaremba. – Nie ma nikogo podobnego wśród twoich sąsiadów, waszmość panie?

– Niestety, panie Jacku. Jest Bogusławski, rządcą pani Rogalewskiej, któremu wielka i szpetna blizna od oka niemal po wąż sięga, lecz człek to leciwy, ową bliznę ma, odkąd pamiętam, a poza tym zawsze go można spotkać w okolicy.

Podstarości wzruszył ramionami.

– Tedy zagadka nie jest tak prosta, jak można by myśleć.

– Słusznie przypuszczałeś, że może to być ktoś mojej władzy poddany i dlatego poproszony zostanę, by pomstę na nim wyrzecz. Ale, jak widać, o co innego chodzi.

– Pomyślałem jeszcze, że może człowiek ten sądzi, iż panowie odpowiadają za czyny swych sług. I może na waćpanie chce pomstę wyrzecz.

Stolnik skinął poważnie głową.

– Z przyjemnością zauważam, że niczego nie można zarzucić waćcinemu sposobowi rozumowania.

– Poza tym, iż prowadzi nas na manowce. – Podstarości się zaśmiał.

Ligęza uśmiechnął się również.

– Stary jestem, ale pamięć mam dobrą, wierz mi, panie Jacku kochany. Nigdy nie miałem w służbie czy za przyjaciela człowieka, co odpowiadałby opisowi owego Jaworskiego podanemu przez Komarnickiego. Bo że Jaworski to nazwisko niczym przygodny łach na grzbiet zarzucone, to rzecz więcej niż pewna, nieprawdaż?

– Też tak uważam proszę waszmości, lecz przyznam również, że poznałem złoczyńców, którzy od własnego nazwiska nie chcieli nigdy odstąpić, mimo że nazwisko to powszechnie było znane i nienawidzone, i katowski miecz nad nimi wisiał. – Zaremba pokręcił głową. – Jakby ta resztką godności w nich została, która nie pozwalała skryć się pod przybranym mianem. I wyobraź sobie, waszmość panie, że podobna rzecz dotyczyła nie tylko szlachty, która przecież do rodu ma prawo być szczerze przywiązana, lecz nawet łyczków i najpodlejszego plebsu.

– A jeśli ów Komarnicki kłamie?

– W czym, proszę waszmości? Historię swego życia nam opowiadając czy jedynie opisując owego Jaworskiego? I dlaczego niby miałyby kłamać?

– Ot, nie wiem, panie Jacku – odparł rozdrażnionym tonem Ligęza. – Tak sobie rzucam myśl jak ziarno na wiatr, a ty je łap i patrz, czy może, Bóg da, wykiełkuje...

– Stanie się, jako waćpan sobie życzysz, i za każdą pomoc szczerze będę ci wdzięczny. – Jacek Zaremba uśmiechnął się i skinął głową.

Stolnik klepnął młodszego towarzysza w ramię.

– Za stary już jestem na takie zabawy i zagadki, powiadam waćpanu: za stary. Żeby ktoś pismo mi z sądu przysłał albo z szablą i ogniem w moje posiadłości wjechał! Wtedy, wierz mi, panie Jacku kochany, że stary Ligęza wiedziałby, co czynić! I w zależności od potrzeby albo wielu świadków stanęłoby przed sądem i przysięgłoby na wszystkie świętości, co bym im nakazał, albo w kilkaset szabli wrogich łbów byśmy naszatkowali, ile wlezie. Ale to? – Stolnik rozłożył bezradnie ramiona. – Co za lichy przeklęte ludzi tych posłało do mojego domu?

– Czy lichy, to jeszcze się obaczy – mruknął Zaremba. – Ów człowiek jakiś zamysł ma w swym działaniu, rzecz to pewna. Lecz niekoniecznie zamysł to wrogi wobec osoby waszmość pana.

– Prawda – Gospodarz skinął głową. – Może być tak, jak mówisz, panie Jacku, może tak być, zaprawdę może... Ale tak czy inaczej, płazem mu tego nie puszcę – Ligęza przymrużył oczy i machinalnie położył dłoń na rękojeści szabliska – bo ja jestem Hieronim Ligęza, herbu Półkozic, stolnik sieradzki, a ród mój rzymskich czasów sięga. Nie byle hetka-pętka! Nie pacynka, co można jej kijek w dupę wsadzić, a ona pobiegnie tam, gdzie lalkarz jej rozkaże!

Stary szlachcic zgrzytnął zębami, a pana Jacka tak potężnie za ramię ścisnął, że podstarości ledwo powstrzymał się, by dłoni sprawiającej mu

wścięły ból z ramienia nie zrzucić.

– Tak, panie Jacku kochany, tak właśnie – Ligęza zwolnił uścisk i sapnął – jeszcze nauczę ja tańczyć tego szaraczka i przez moją szablę skakać na rozkaz.

– I ja mniemam, że wszystko się wyjaśni, proszę waszmości – odparł pan Jacek uprzejmie.

*

Po połączonym z podwieczorkiem obiedzie Jacek Zaremba wyszedł do sadu, by zdążyć trochę odetchnąć przed zbliżającą się wielkimi krokami kolacją. I nie po to wyszedł, by posmakować pięknych jabłuszek, a czerwonych niczym zlane posoką lica (kto inny powiedziałby pewnie: zaróżowionych niczym spłoniona panna), rosnących na gałęziach tak gęsto i tak smakowicie wyglądających, że nawet ci, którzy widzieli ogród Hesperyd, musieliby uznać, że na całym świecie bardziej pońetnych nie znajdzie się jabłoni niż tutaj, w sadzie stolnika Ligęzy. Ale podstarości nie miał ochoty na owoce, gdyż czuł się tak, jakby ktoś za pas nasypał mu górę kamieni i kazał ją nosić ze sobą, i uczucie to w żaden sposób nie chciało zniknąć. Pan Jacek zamierzał rozważyć wszystko, czego się dowiedział i co usłyszał, i myślał, by uczynić to w ciszy oraz spokoju, w cieniu drzew, w wieczornym chłodzie, który leniwie, bo leniwie, ale jednak zganiał resztki popołudniowej spiekoty. Zadumany szedł wzdłuż szpaleru drzew, kiedy nagle dostrzegł, że nie tylko on postanowił wybrać zaciszną samotność. Oto kilkadziesiąt kroków od niego, opierając plecy o pień, odpoczywała jakaś dziewczyna, na której złotych włosach zachodzące słońce kładło różowawy poblask. Podstarości nie wiedział, któż to mógł być, choć po stroju od razu poznał, że na pewno nie jest to chłopka ani służka. „A więc Ewa, kochanka Ligęzy, lub Hanka, jego córka – pomyślał pan Jacek. – Chyba że jakaś sąsiadeczka przybyła z niespodziewaną wizytą i teraz oddaje się kontemplacji w słodkiej samotności”. Zaremba ową samotność postanowił przerwać, gdyż młoda samotna kobieta odpoczywająca w ogrodzie obudziła w nim zaciekawienie, jak zresztą obudziłaby w każdym, kto uroki niewieście przedkłada ponad obrzydłe sodomiczne zapędy. Podstarości zbliżył się cicho i kiedy stał już trzy kroki od dziewczyny, odezwał się półgłosem:

– Sługa uniżony waćpanny dobrodziejki.

Dziewczyna zerwała się na równe nogi i chciała odskoczyć, ale podeszwą buta zahaczyła o korzeń, zachwiała się mocno i byłaby się pewnie przewróciła, gdyby Jacek Zaremba nie przyskoczył do niej i nie wsparł silnym ramieniem.

– Waćpanna wybacz, że waćpannę przestraszyłem – rzekł szybko podstarości i kiedy tylko zobaczył, że panna stoi pewnie i żadna krzywda jej się nie stanie, ramię jej wypuścił. – Tatarzyn ze mnie prawdziwy, iż słodką zadumę ośmieliłem ci się przerwać i podziwianie dzieł, jakie Bóg ukazuje naszym oczom. – Pan Jacek uniósł wzrok i spojrzał w niebo, na którym zachód słońca malował purpurowe smugi. – Choć przyznam też – teraz przeniósł spojrzenie na dziewczynę – że przed jedną z najpiękniejszych jego kreacji mam zaszczyt stać właśnie w tejże chwili i wpatrywać się w nią prawdziwie oniemiały z zachwytem.

Wypowiadając te słowa, Jacek Zaremba skłonił się tak głęboko, jakby witał nie nieślubną córkę stolnika Ligęzy, bo ona to była ową wpatrzoną w zachód słońca dziewczyną, lecz co najmniej księżniczkę krwi.

– Żadna ze mnie waćpanna – odparła Hanna smutnym, choć dźwięcznym głosem. – Po prostu Hanka z Młyna.

Pan Jacek się wyprostował.

– Córka przyjaciela mego, patrona, mentora i dobrodzieja stolnika Ligęzy – rzekł uroczystym tonem. – Wiem, kim jesteś, waćpanno, gdyż miałem zaszczyt waćpannę już widzieć. Ja natomiast jestem Jacek Zaremba, podstarości łęczycki, i pokornie ścielę się do twoich stóp. I jeszcze raz błagam o wybaczenie, iż ośmieliłem się twoją zadumę przerwać. Odchodzę, by waćpannie nie przeszkadzać, lecz pozwól, że pod powiekami uniosę obraz twej niezwyklej urody, żałując, że to nie konterfekt, który mógłbym na wieczność przechować w sercu.

Znowu się skłonił i tym razem obracał się już na pięcie, by odejść, kiedy dziewczyna, zgodnie z oczekiwaniami i przewidywaniami pana Jacka, zawołała:

– Ależ, proszę... proszę zostać, jaśnie panie...! To ja odejdę...

– Nigdy, waćpanno, bym nie pozwolił, abyś z mojej winy ten uroczy sad opuściła, którego najpiękniejszą jesteś ozdobą! – zakrzyknął żywo Zaremba. – Lecz skoro mnie odejść zakazujesz, tedy pozwól, że zostanę, gotów ci usłużyć, w czym tylko zechcesz. Jeśli rozmową, to rozmową, jeśli milczeniem, to milczeniem... I żaden ze mnie jaśnie pan, waćpanno – dodał

pokornie – a po prostu Jacek Zaremba, zwyczajny chudopachołek, któremu słów w gębie brakuje, kiedy na twe oblicze ma zaszczyt spoglądać.

Dziewczyna uniosła głowę i Zaremba dopiero teraz zobaczył, że oczy ma jeszcze większe, jeszcze bardziej niebieskie i jeszcze bardziej błyszczące, niż wydawało się na początku. „Piękna – pomyślał. – Mój Boże, jakaż ona jest piękna”. Bo rzeczywiście Hanka była smukłą niczym trzcina, twarz miała tak jasną, że podobnego oblicza nie powstydziliby się kryjąca się przed słońcem księżniczka, a włosy otulały jej głowę i ramiona na kształt posypanego złotym pyłem welonu.

– Waćpan jesteś zbyt uprzejmy dla prostej dziewczyny – powiedziała i w jej głosie znowu zabrzmiał smutek.

– Gdyby tytuły i godności rozdawano za urodę, to waćpanna nie tylko byś stolnikówną była, jak jesteś, a miałabyś cesarzówny za dziewczki służebne.

– Stolnikówną... – powtórzyła cicho Hanka – stolnikówną...

Pan Jacek uśmiechnął się samym kącikiem ust, gdyż lubił wygrywać bitwy, a tu oto szykowałą się taka walka, w której a nuż będzie można zaznać słodkich fruktów wiktorii.

[109](#) *Nobile verbum* (łac.) – szlacheckie słowo.

[110](#) *Crimina* (łac.) – zbrodnie, występki.

[111](#) *Salvator* (łac.) – wybawca.

[112](#) *Nuntius* (łac.) – herold.

[113](#) *Et tu, Brute, contra me?* (łac.) – I ty, Brutusie, przeciwko mnie?

[114](#) *Liber Chamorum* – „Księga Chamów”. Potoczna nazwa dzieła Waleriana Nekandy Treпки (ok. 1583 – ok. 1640) *Liber generationis plebeorum* [„Księga rodowodowa plebejów”].

[115](#) *Milites gloriosi* (łac.) – chępliwych wojaków.

[116](#) *Per consensum* (łac.) – za zgodą, jednomyślnie.

[117](#) *Primo* (łac.) – po pierwsze.

[118](#) *Secundo* (łac.) – po drugie.

ROZDZIAŁ 3

Pułkownik Albrecht Sperling

Po mężczyźnie, który podjechał do bramy dworu pana Ligęzy, na pierwszy rzut oka znać było, że albo jest wielkim panem, albo przynajmniej uważa się za wielkiego pana, gdyż minę miał tak srogą, a oblicze tak nieprzyjemne i nieprzystępne, że zdawało się, iż samym spojrzeniem odpędza innych ludzi niczym kijem. Twarz to była dodatkowo szpetna, gdyż biała niczym śnieg, a na jednym policzku mocno zryta śladami po ospie. Nos przybysz miał krogulczy, a sięgające ramion włosy były koloru pierza utaplanego w smole. Spojrzeniu podstarościego nie umknęło jednak, iż szlachcic dosiadał karego dzianeta nadzwyczajnej urody (i zapewne nadzwyczajnej ceny), a rząd ozdabiający zwierzę mienił się w słońcu czerwienią rubinów. Jeździec nie był tak bogato wystrojony jak jego koń, zachował skromny umiar czerni oraz złota. Umiar tak przecież niezwykle dla polskiego szlachcica, gdyż panowie bracia uwielbiali się stroić i zwykle lśnili wszelkimi odcieniami palącej czerwieni, jaskrawej żółci, soczystej zieleni i głębokiego błękitu (rzecz jasna, najbardziej w cenie i modzie była czerwień). Za mężczyznę w czerni jechało dziewięciu konnych, a wszyscy uzbrojeni – wyglądali niczym wyszykowani na wojnę. Doświadczone oko pana Jacka poznało bez trudu, że to nie byle czeladź odziana w barwy, której w dłonie włożono oręż i kazano robić wrażenie na sąsiadach. To byli żołnierze. I to wyglądający na takich, co mogą odebrać ludzkie życie między jednym a drugim rzutem kośćmi.

– To dom Ligęzy, tutejszego szlachcica? – zagadnął ostro jeździec w czerni.

Głos ten był tak samo nieprzyjemny jak oblicze przybysza, a dodatkowo znamionował kogoś, kto do innych ludzi odnosi się z pogardą i lekce sobie waży dobre obyczaje oraz gładkość zachowania i wymowy. Podstarości pomyślał, że ten człowiek musiał mieć ciężką kiesę, ale za to lekką rękę do szabli, bo ktoś tak grubiański tylko w tym wypadku mógł pożyć na tyle długo, by jego włosy pokryły się siwizną.

– A kto ty jesteś, że ze zbrojną kompanią podjeżdżasz pod dom pana stolnika? – odpowiedział pytaniem na pytanie Zaremba, po czym podkręcił

wąsa i wydał usta, popatrując nieprzyjaźnie w stronę jeźdźców stojących za bramą.

– Waść otwieraj bramę, panie odźwierny – zakrzyknął jeden z ludzi bladego szlachcica – bo my na własnoręcznie na piśmie wystosowane zaproszenie pana Ligęzy jedziem! Więc pospieszaj, jeśli batów nie chcesz zarobić!

Jacek Zaremba poczuł, że krew napływa mu do policzków, a złość dławi pierś. Ale nic nie powiedział, nawet dłonią nie sięgnął do szabli, nie uniósł się ani honorem, ani gniewem.

– Panie Barański drogi, nagotuj nam tu wszystko, jak trzeba – szepnął do starego sługi, kładąc mu jednocześnie uspokajającym gestem dłoń na ramieniu.

Janowi Barańskiemu nie trzeba było dwa razy powtarzać takich poleceń. Wiedział, co ma robić, by przygotować dwór na okoliczność, gdyby goście okazali się nie gośćmi, lecz zajeźdźnikami lub gdyby chcieli nadużyć dobrej woli gospodarza. Tymczasem dwaj słudzy, również wiedzący, jak postępować w podobnym przypadku, biedzili się nad otwarciem potężnych wierzei, a narzekali i jęczeli, ile wlezie. Natomiast Jacek Zaremba, kiedy już zobaczył, że wszystko dzieje się zgodnie z jego wolą, po prostu obrócił się na pięcie i wolnym krokiem odszedł w stronę dworu, pokazując plecy przybyłym jeźdźcom.

Spieszył oczywiście do Ligęzy, który na pewno został już powiadomiony o przybyciu zbrojnych, lecz zapewne nie wiedział, iż błądy szlachcic przybywa na jego zaproszenie. Kiedy Zaremba wpadł do czeladnej, ujrzał zasiadającego tam już na ławie stolnika, któremu dwaj pacholki wkładali buty na nogi, a trzeci wciągał na tułów misternej roboty kolczą koszulkę.

– Co tam, panie Jacku, co tam? Szybciej, niecnoto! – krzyknął na służącego, który biedził się nad wcisnięciem cholew na potężne łydy jaśnie pana.

– Mają ponoć list od waćpana i założę się, że kiedy ów człowiek list ten okaże, to zobaczymy, iż podobnego jest on rodzaju jak te, które waszmość panu zaprezentowali Komarnicki i Broniewski.

Ligęza przeklął wściekle, niezręcznego pacholka odrzucił precz kopnięciem prawej, już obutej stopy, zerwał się i energicznym tupnięciem w posadzkę wbił lewy but do samego końca.

– Już idziemy, już idziemy, panie Jacku kochany.

Poczekał, aż słudzy narzucą mu na ramiona kontusz, zapną go, a brzuszysko przewiążą pasem, po czym przytroczył szablę.

– Idźmy powitać moich gości – rzekł.

Wyszedł z czeladnej ramię w ramię z Zarembą, a za nim pospieszyło pięciu służących. Były to chłopcy wąsate, pleczyste i z zaciętymi twarzami. Każdy z nich nosił czekan i dwa pistolety za pasem. Jacek Zaremba wiedział, że stolnik dba o to, by jego ludzie potrafili coś więcej, niż tylko groźnie wyglądać. Nie byli to, rzecz jasna, doświadczeni żołnierze, ale czasem kundel broniący własnej budy groźniejszy jest od wilka. A poza tym kundli tych było już całkiem sporo, bo i Baranuś zdążył pod wierzeje doprowadzić kilku pacholków, którzy pochwycili, co który miał pod ręką: a to widły, a to siekierę.

Przybysz musiał oczywiście widzieć, jakie poruszenie wywołał jego przyjazd, ale na jego jakby wyrzeźbionej z bryły lodu twarzy nie odbijały się żadne emocje. Ani nie był rozgniewany, ani rozdrażniony, ani też rozbawiony. Ot, siedział nieruchomo w siodle i chłodnym wzrokiem przypatrywał się krzątaniu. W końcu rozwarło wierzeje i szlachcic w czerni wolniutko wjechał na podwórze, a za nim równie wolno podążyło dziewięciu jeźdźców. Dziesięć kroków przed stolnikiem przybysz zatrzymał wierzchowca, wtedy też jeden z jego ludzi zeskoczył z siodła, kropnął się na czworaki przy karym rumaku, po czym grzbiet naprężył, by zadośćuczynić stopom dowódcy w drodze na ziemię. Bładolicy po plecach podwładnego zeskoczył na piach i zbliżył się do stolnika.

– Otrzymałem list asana – rzekł twardo i wyciągnął z zanadrza rulon papieru – i dostałem też twoje talary. – Drugą dłonią sięgnął po skórzaną nabitą kabzę, która zadźwięczała brzękiem metalu przy tym gwałtownym ruchu. – I rzeknę tak: ja, mospanie, twego złota nie potrzebuję, bo dość mam własnego. I złota, i żelaza – dodał twardo, po czym rzucił sakiewkę.

Może chciał cisnąć ją pod nogi Ligęzy, a może umyślnie nie w ziemię celował, lecz w osobę, tego Jacek Zaremba nie wiedział. Jednak tak się stało – czy ze złośliwego, dumnego zamiaru, czy z przypadku – że wypchana monetami kabza poleciała niczym pocisk w stronę stolnika. A ponieważ ten ani drgnął, by ją łapać, więc trafiła wprost w opasane jedwabiem brzuszysko Ligęzy i zajęczawszy złotym brzękiem, spadła na ziemię. Stolnik poczerwieniał, jakby zaraz miała go trafić apopleksja, po czym wpatrując się w twarz przybysza, postąpił krok do przodu, tak że

zmiażdżył sakiewkę podeszwą buta. Nie zważał nawet na to, że złoto pociekło strugą spod jego stopy.

I kiedy nie wiadomo już było, do czego przyjdzie, gdyż zdawało się, że ani czarno odziany nieznajomy nie ma zamiaru przeproszać, ani gospodarz nie ma chęci winy darować, wtedy Gideon Rokicki wyskoczył, jakby pchnięty sprężyną, i ze wzniesionymi do nieba rękoma stanął pomiędzy panem Hieronimem a nieznajomym.

– Panowie bracia najdrożsi, czyż Chrystus nie kazał nam się miłować, a nie wojować!? – zakrzyknął donośnie. – Mało to znanych wrogów macie, by z nieznajomego człeka nieprzyjaciela sobie czynić i szablę na niego wyciągać!? – Złożył dłonie niczym do modlitwy. – Na zbawienie duszy mojej przysięgam, że jedynie po mym trupie, trupie człowieka, co żałośnie woła: pokój, pokój między chrześcijany!, jedynie po moim trupie, powtarzam, szable skrzyżujecie.

Czarno odziany mężczyzna wpatrywał się w Rokickiego beznamiętnym spojrzeniem i widać było, że zмага się z myślami. Kto wie, czy w podjęciu decyzji nie pomogło mu, iż dojrzał sługę Jacka Zaremby, który stanął za plecami swego pana, a zważywszy na posturę Moskwiczana, wydawać się mogło, że to góra przesunęła się, by bronić pleców podstarościego. Kto wie, czy w podjęciu decyzji nie pomógł mu również widok nadbiegającej i nawołującej się służby pana Ligęzy (a zaroilo się na podwórzu od tych pacholków, oj, zaroilo). Kto wie wreszcie, czy nie pomógł mu widok łowczego pana stolnika, imć Pietraszewskiego, który szedł, wiodąc na poszóstnej smyczy sześć rwących się brytanów, które czując podenerwowanie i zaniepokojenie domowników, same warczały ze złością, a spojrzenie przekrwionych ślepi kierowały wprost na tych ludzi, których nie znały, a więc na mężczyznę w czerni oraz jego towarzyszy. I ludzie przybysza mogli być sobie prawdziwymi żołnierzami i weteranami wojen (nie takimi co jedynie na Mostkach, na Czwartku czy w Smoczej Jamie dzielnie stawali), a i tak tej przeważającej sile z całą pewnością nie daliby rady. Bładolicy rozejrzał się wokół i najwyraźniej uznał, że to niedobry pomysł własnych ludzi wygubić, tym bardziej że przeciwnik wcale nie rwie się do awantury.

– Szlacheckiej i gospodarskiej czei waszmości w niczym nie chciałem uchybić – rzekł pojednawczym tonem – ale zważ waćpan, że tego, byś wytłumaczył się ze swego listu i z tej tu sakiewki – niedbałym ruchem wskazał złoto, a jego głos znów stwardniał – którąś mi niczym jakimś

pachołkowi przesłał, właśnie tu i teraz od ciebie żądam, panie stolniku Ligęza!

Ligęza obrócił się w stronę Zaremby.

– Widzisz no, panie Jacku!?! – spytał z nietajoną pasją. – Widzisz no!?! Znowu! Jak mówiłeś! – Potem otrząsnął się i utopił spojrzenie w przybyszu. – Może raczysz waść opowiedzieć się, ktoś zacz, zanim za próg cię zaproszę – rzekł.

Mężczyzna w czerni zacisnął szczęki, potem wyraźnie chciał powiedzieć coś, co zapewne nikomu z przyjaciół Ligęzy ani jemu samemu by się nie spodobało, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili i odparł spokojnym tonem:

– Po treści twego listu mniemałem, waszmość panie, że znasz i mnie, i moje uczynki. Jeśli jednak omyliłem się, chętnie wytłumaczę, by nie uchybić obowiązkowi gościa. Jestem pułkownik Albrecht Sperling herbu Odwaga – mężczyzna dotknął palcami runda kapelusza – i przybyłem do ciebie, tak jak sobie tego życzyłeś, a teraz ufam, że wszystkich obietnic zawartych w liście dotrzymasz. – Sperling dobitnie wyrecytował ostatnie słowa.

– Gość w dom, Bóg w dom, panie pułkowniku – odparł poważnie stolnik. – Com własnym słowem obiecał lub własnym podpisem, tego, wierz mi, dotrzymam.

Zaremba oczywiście natychmiast pojął chytry zamysł, jaki zawarty był w tej odpowiedzi: zamiarem stolnika było uspokojenie gościa, lecz przecież nie obiecał mu w ten sposób niczego. Nie on przecie pisał listy i na pewno nie znał żadnego człeka o nazwisku Sperling, czy to herbu Odwaga, czy jakiegokolwiek innego.

– Zapraszam waści, z całego serca zapraszam. – Ligęza szeroko rozłożył ramiona, jakby całą przestrzeń wokół Sperlinga chciał zagarnąć i do swego domu wciągnąć. – Dla ludzi zaś waszmość pana zaraz każę stoły wynieść, już tam moi podejmą ich, jak trzeba.

– Johann, zostańcie tu. Jeść wam pozwalam, pić wara. I burd żadnych nie wszczynajcie, bo bat będzie w robocie – rozkazał i zakazał Sperling po niemiecku.

Pan Jacek znakomicie rozumiał ten język, ale w ustach pułkownika niemiecka mowa, z natury przecież przypominająca głuchy psi warkot lub krakanie kruków uczujących na ścierwie, zdała mu się jeszcze bardziej chropawa i nieprzyjemna.

– Tak jest, jaśnie panie pułkowniku – odszczeknął służbiście Johann.

– Waszmość zapewne jesteś zdrożony i okrutnie wymęczony podróżą – rzekł Ligęza, gdyż dostrzegł, że wierzchowce są brudne i spocone, a czarne odzienie Sperlinga przyprószone kurzem. – Może zechciałbyś skorzystać z łaźni?

– Jestem żołnierzem, proszę waszmości, i niewygodny mi nie nowina. Ale jeśli każesz dać mi wiadro czystej wody, to wystarczy.

Stolnik zaraz kiwnął dłonią na jednego ze służących i wydał dyspozycje, by Sperlingowi przygotowano gorącą kąpiel.

– Jak waszmość się odświeżysz, rad będę podjąć cię skromnym posiłkiem – rzekł.

– Bardziej mi zależy na rozmowie – rzekł Sperling – nie kłopotuj się więc waćpan posiłkiem.

– Gospodarz musi być powolny życzeniom gościa – odparł pan Hieronim – więc i ja waszmości nasamprzód podejmę rozmowę, skoro ją nad posiłek przedkładasz.

Pułkownik skinął jedynie głową, co Jacek Zaremba odebrał jako wielce nieuprzejme, lecz Ligęza nie dał znać po sobie, że nieuprzejmość ową w ogóle zauważył.

Stolnik i podstarości zasiedli w gabinecie i czekali, aż Sperling się wyszykuje. Przedtem Ligęza nakazał Barańskiemu, by pułkownika traktować z wszelkimi rewerencjami i grzecznie doprowadzić do gabinetu.

– Na ludzi jego tylko uważaj, Baranusiu – przykazał Ligęza. – Każ ich dobrze nakarmić, a potem niech idą spać do szopy. I niech ilu trzeba naszych całą noc czuwa, by do czego złego nie doszło.

Służących przybyłych gości zwykle wpuszczano się do izby czeladnej, by tam zostali napojeni i nakarmieni, ale Zaremba nie dziwił się panu Hieronimowi, że owych dziwnych podkomendnych Sperlinga, orężnych i z zachowania przypominających żołnierzy, nie chce za próg puszczać. Zwłaszcza iż nie do końca było wiadomo, jakie zamiary ma sam pułkownik.

Stolnik kluczykiem zawieszonym u pasa otworzył drzwi znajdujące się pomiędzy biblioteką a biurkiem, wszedł do ciemnego wnętrza i wrócił z dwoma omszałymi butlami. Uśmiechnął się, kiedy stawiał flasze na blacie.

– Nie miałem serca, panie Jacku, by w piwnicy zostawiać te małmazje, bo to omal najlepsze wina, jakie mam w domu, i żal by było, gdyby któryś

łajdus mi je wychłęptał. A tak przynajmniej bezpiecznie schowane. Wino prześwieczonego smaku, powiadam waszmości. Ostatnią skrzynię tego rocznika udało mi się kilka lat temu sprowadzić z Hiszpanii.

– Miejmy nadzieję, że pułkownik doceni zaszczyt, jaki waszmość dobrodziej wyświadczasz jemu i jego podniebieniu – powiedział pan Jacek. Ostrożnie uniósł jedną butelkę i spojrzał na nią pod światło. – Wiele jeszcze, waszmość dobrodziej, podobnych skarbów tam chowasz? – zagadnął żartobliwie.

– Za mało, panie Jacku, za mało. Coraz trudniej, wierz mi, o dobre wino. To, co do nas przez Ormian czy Żydów przychodzi, to wino podlejszego gatunku, a jeszcze i fałszowane przez samych kupców. Nie ma innego wyjścia, niż własnych ludzi na Węgry czy do Francji posłać, by tam odpowiednie poczynili zakupy. Ale to też, panie Jacku, kłopot, bo przecież człowieka musisz wysłać znającego się zarówno na trunkach, jak i na interesach, a przy tym uczciwego, żeby cię nie ocyganił. Poza tym wszyscy oszukują... – Machnął dłonią. – Na Węgrzech trudno o uczciwe greckie wina, we Francji fałszują hiszpańskie, a przecież człowiek nie roześle służących po całym świecie, żeby mu win szukali. No a przynajmniej nie taki chudopachołek jak ja...

– Chudopachołek? Ha! Gdybyś waszmość pan polityczną chciał robić karierę, a nie niczym Cincinnatus kontentował się urokiem domowego spokoju, to z pewnością w grono najpierwszych senatorów Rzeczypospolitej by cię liczono – rzekł uprzejmie Zaremba.

– Wielkiej polityki nie przeznaczono dla mnie. – Ligeza skrzywił się i pan Jacek pomyślał, że obrzydzenie malujące się na twarzy stolnika jest chyba prawdziwe. – Bo widzisz, panie Jacku, polityka jest jak gnojówka: cokolwiek byś robił, to będziesz śmierdział, kiedy do niej wejdiesz, a najgorsze, co cię może spotkać, to, że po pewnym czasie sam własny smród przestaniesz czuć, a może nawet minie kilka lat, a uwierzysz, że woniejesz niczym kwiatuszki w ogrodzie.

– Tylko powiedz waszmość stolniku dobrodziej: jeżeli nie orężnie, to jak inaczej trudzić się dla dobra Rzeczypospolitej, jeśli nie w polityce?

– Ba, panie Jacku, ba! Powiedz mi jednak, czy dobre gospodarzenie nie idzie na użytek wspólny? Przecież i ci byli ważni dla Rzeczypospolitej, którzy na dzikie, bezludne ukraińskie stepy ludzi prowadzili oraz wsie i miasta fundowali, jak i ci, którzy potem własną pierś naszą cywilizacji przed kozackim i tatarskim barbarzyństwem bronili. Ja przecież na politykę

wyrzekam, lecz jednak pana Denhoffa, o którego wizycie już ci mówiłem, będę przyjmował i w jego orkiestrze pewnie zgodzę się zagrać. Cóż robić... – Zafrasowany Ligęza pokręcił głową.

Pan Jacek pomyślał jednak, że przez usta stolnika przemawia zbyt wielkie zgorzknienie i zbyt wielka nieufność. A może Hieronim Ligęza jedynie się krygował? Może udawał niechętnego polityce, by tym więcej zadawano sobie wysiłku, chcąc go skaperować?

– Trzeba będzie pojeździć po sejmikach... – poddał Jacek Zaremba ze współczuciem w głosie, gdyż podejrzewał, że stolnikowi nie uśmiechają się pewnie takie podróże...

– O nie, panie Jacku kochany, o nie! – Stolnik pokręcił głową. – To już zajęcie nie dla mnie. Młodszym je pozostawię, którzy w moim imieniu będą ze szlachtą gadać, mając moje błogosławieństwo i moimi środkami dysponując. – Przy tych słowach Ligęza uśmiechnął się szeroko i serdecznie, więc Jacek Zaremba zrozumiał, że to o nim zapewne mowa i że to on właśnie zostanie poproszony, by być oczami, uszami i ustami stolnika Ligęzy na szlacheckich sejmikach.

*

Stolnik podjął pułkownika w gabinecie, w którym już wiele lat wcześniej, wykazując się przezornością, kazał zbudować nie tylko tęższe ściany niż w innych pomieszczeniach, ale i ściany te wyłożyć grubo plecionymi kobiercami. Ligęza bowiem, jak każdy człowiek bywały i doświadczony, doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, iż wiele nieszczęść nie miałoby miejsca, gdyby nie zbyt długie uszy służby lub znajomków, lub też rodziny. I nawet nie o złą wiarę chodziło, nie o straszne sekrety i budzące trwogę tajemnice, lecz o to, że ktoś niewinną z pozoru rozmowę powtórzył komuś, ów tamtemu, tamten jeszcze komu innemu, ten dalej rozgłosił, a wszyscy coś zmienili, coś dodali od siebie, coś przekręcili... i już nieszczęście było gotowe. A z takiego nieszczęścia to i pojedynki się brały, i zajazdy, i trupy, i trwające dziesiątkami lat rodowe wojny oraz wojenki. Jacek Zaremba również pochwalał podobną ostrożność, bowiem wiele napatrzył się już na karmazynów, którzy o tajemnicach niemal państwowej wagi rozprawiali przy służbie, pachółkach, mało znanych gościach i dziwili się potem, że ich zamierzenia czy intrygi spalały na panewce.

Stolnik postawił właśnie na biurku trzy kryształowe kielichy zdobione złotem i rubinami, kiedy rozległo się stukanie do drzwi (to też był wygodny dla gospodarza zwyczaj, którego przestrzeganie wymógł po wielu bojach na służbie oraz dworzanach) i Baranowski wprowadził do komnaty Sperlinga.

– Witam w moich skromnych progach, panie pułkowniku – rzekł serdecznie Ligęza. – Siadaj waść, proszę. Mam nadzieję, że nie odmówisz owego znamienitego... – stolnik uniósł butelkę.

– Niestety odmówię – przerwał oschle Sperling – bom ślubowałem pić jedynie wodę do czasu, kiedy pewnej przysięgi nie spełnię.

– Wodę... – powtórzył Ligęza tak, jakby pierwszy raz w życiu słyszał to słowo, jakby też nie do końca wiedział, czy jest ono przyzwoite, i odstawił butlę. – Ha, wodę, coś takiego! Srogie to warunki, proszę waszmości. – Przyjrzał się Sperlingowi i pokręcił głową. – Taaak, wielce srogie i dla wielu byłyby kompletnie i całkowicie nie do zniesienia. Prawdę mówię, panie Jacku?

– Temu nie zaprzeczę, że życie bez trunku jest cięższe, niż komukolwiek by się mogło zdawać. Choć wiemy też, że są ludzie, którzy ukontentowanie znajdują w umartwianiu duszy i ciała – odparł uprzejmie Zaremba.

– Nie o umartwienie tu chodzi – sprostował pułkownik z wyraźną niechęcią w głosie – lecz o przypomnienie. W każdej chwili, kiedy widzę pijących ludzi, mam o moim ślubie myśleć i tym silniej do wypełnienia go dążyć.

Wszyscy przez chwilę milczeli, wreszcie podstarość westchnął ciężko i spojrzał takim wzrokiem na butlę wina, jakby się zastanawiał, czy dałby radę z rozweselającym serce człowiecze napitkiem rozstać się raz a dobrze i raz na zawsze.

– Z czystego żelaza wykute musiał mieć serce kapłan, co waści tak nieludzką zadał pokutę. – Pan Hieronim się skrzywił.

Sperling spojrzał na stolnika wypranym z emocji wzrokiem.

– Sam sobie ją zadałem, proszę waszmości. Ale może do rzeczy przejdziemy... jeśli pozwolicie...

– Do rzeczy? Tak, tak, do rzeczy – powtórzył stolnik. – Mam jedynie nadzieję, iż waść ścierpisz, że w twoim towarzystwie będziemy się owym sekiem raczyć? A służbie zaraz rozkażę, by waści przyniesiono świeżej, zimnej wody.

– Będę wdzięczny – odparł krótko Sperling.

Kiedy już rozsiedli się wygodnie, kiedy do kielichów wiano, co wlać wypadało, a więc seka do kielichów Ligęzy i Zaremby, a wodę do kielicha Sperlinga, pan Hieronim odchrząknął.

– Na wstępie poproszę waszmości, panie pułkowniku, byś mi pokazał list moim opatrzony podpisem, który otrzymałeś i którego treścią powodowany zdecydowałeś się złożyć odwiedziny w mym domu.

Sperling bez słowa wyjął kopertę z wewnętrznej kieszeni kaftana, wstał z fotela i położył dokument na blacie, przed stolnikiem.

– Dziękuję waszmości – rzekł Ligęza. – Pozwól do mnie, panie Jacku – poprosił.

Podstarości posłusznie zbliżył się do biurka i przyglądał uważnie, jak pan Hieronim wyjmując list, rozkłada złożoną na czworo kartę i mrużąc oczy, wczytuje się w treść pisma. Ale wiele tam napisane nie było. List w uprzejmych słowach zapraszał pułkownika do odwiedzin, potem ryzykownie obiecywał, iż „tajemnice, które gnębią waszmości, wyjawione zostaną”, by jeszcze ryzykowniej zapewnić: „a ten, którego szukasz i który imię twe okrył niesławą, zostanie ujawniony i, daj Boże, ukarany”. Czytając zwrot „okryty niesławą”, Jacek Zaremba nieco mniej dziwił się już złemu humorowi pułkownika. Pod spodem na samym dole karty, nawet pod samym podpisem stolnika Hieronima Ligęzy, napisano jeszcze małymi literkami: „pamiętaj o kasztelanie”. Ligęza zastukał paznokciem w owo zdanie i spojrzał na Zarembę, lecz podstarości jedynie wzruszył ramionami, gdyż nie miał najmniejszego pojęcia, o co mogło chodzić człowiekowi piszącemu owe słowa.

Kiedy pan Jacek odszedł już od biurka i usiadł na swoim miejscu, Ligęza pieczołowicie złożył pismo, schował je z powrotem do koperty, a kopertę odsunął na skraj blatu. Odsapnął, odetchnął głęboko, pomilczał chwilę, zbierając myśli, aż wreszcie opowiedział pułkownikowi historię pozostałych zagadkowych listów i jeszcze dziwniejszych od nich odwiedzin panów Komarnickiego oraz Broniewskiego – starał się słowa dobierać jasno, rozumnie i jednoznacznie, by drażliwego Sperlinga przypadkiem czymś nie rozżłościć. Stolnik bowiem rozumiał przecież doskonale, że dla pułkownika to, co ten właśnie usłyszał, musiało być dużym rozczarowaniem i skoro samą wizytą u Ligęzy nie był zachwycony, to tym bardziej zadowolony nie był teraz, niczego się nie dowiedziawszy i nie otrzymawszy wyjaśnienia, którego się spodziewał i na które liczył.

Kiedy gospodarz zamilkł, uznając, że powiedział już wszystko, co było do powiedzenia, pułkownik długo jeszcze siedział głęboko zatopiony w myślach. Wreszcie uniósł głowę.

– Przyznam, że więcej się spodziewałem po opowieści waszmości, ale widać list, który w twoim napisano imieniu, nie tyle mówił prawdę, ile miał mnie niczym pszczołę do miodu ściągnąć.

– Waszmość wiesz, kto ten list napisał? Domyślasz się chociaż? – żywo zapytał Zaremba.

Sperling oszczędnie pokręcił głową.

– Ani nie wiem, ani się nie domyślam, przyznaję jednak, że ten, co list ów skreślił, więcej wie o mnie, niżbym sobie życzył, by ktokolwiek wiedział.

– „Pamiętaj o kasztelanie”, czyż nie? – domyślił się Jacek Zaremba.

Pułkownik skinął głową, zachowując kamienny wyraz twarzy.

– A w jakież sposób pan stolnik może pomóc waszmości, jak obiecuje autor listu?

Tym razem grymas zniecierpliwienia przebiegł przez twarz pułkownika.

– Nawet żadnego podejrzenia nie mam co do tego. Bo nie wiem, cóż waszmościów może obchodzić, co kilka lat temu wydarzyło się w przemyskim powiecie i jakież wy związki z tymi zdarzeniami możecie mieć.

– Ja waszmość pana do opowieści przymuszać nie będę – oznajmił Ligęza. – Teraz, kiedy już wiesz, że nie ja jestem autorem owych pism, masz wybór: albo do słów owego przyjaciela czy wroga się zastosujesz, albo o sprawie zapomnisz, a ja waści chętnie w moim domu ugoszczę, lecz do owych pism nigdy już w rozmowie nie powrócimy.

– Jestem trzeci, tak? – dopytał Sperling.

– Właśnie tak.

– I jednej historii waćpan, jak mówisz, już wysłuchałeś...

– Obaj z panem Zarembą wysłuchaliśmy.

– O czymże ta historia była? Owego pana Komarnickiego?

– O śmierci. O zdradzie. O fałszerstwie. O całkowitej zagładzie starego rodu.

Pułkownik spojrzał uważnie na Ligęzę.

– Powiedz no, waszmość, czy jedna ręka, jedna myśl stała za tymi zbrodniami, o których twój gość opowiadał?

– Tak właśnie było.

– Cóż, nie chcę kiedyś żałować, że nie zrobiłem wszystkiego, by rozwikłać tajemnicę, którą od lat ze sobą noszę – rzekł Sperling – i dlatego waszmościom opowiem o wszystkim, czego doświadczyłem, chociaż...

Jacek Zaremba zauważył, że białe palce pułkownika zacisnęły się mocniej na poręczy fotela.

– ... niełatwo mi będzie pogodzić się z tym, że te zdarzenia mam odsłonić przed zupełnie obcymi ludźmi.

– I ja niechętnie wsadzam nos w cudze sprawy – poważnie stwierdził stolnik – możesz mi waćpan całkowicie wierzyć w tej mierze.

– Powiedz nam jednak wcześniej, waszmość, panie pułkowniku, czy nazwisko pana Komarnickiego, podczaszycowicza brzeskiego, nic ci nie mówi? A Jaworskiego, podającego się za chorążego leszczyńskiego? Czy o tumulcie brzeskim, w którym Żydków rzezano i domy im grabiono, kiedykolwiek słyszałeś?

Sperling pomyślał chwilę i rzekł:

– O tumulcie brzeskim słyszałem. Tak, słyszałem. Szlachciców tam jakowychś potem poćcinano i uczniów szkoły jezuickiej chyba... Ale nic bliższego nie wiem ani w żaden sposób z owymi wydarzeniami nie byłem związany.

– Ta nitka z labiryntu zagadek więc nas nie wyprowadzi – westchnął zafrasowany Ligęza.

– A i pułkownik Sperling jako żywo powabnej Ariadny nie przypomina – zażartował Jacek Zaremba szybciej, niż zdążył pomyśleć.

Jednak białowolicy szlachcic nie zachnął się ani nie zgniewał, ba, nie obdarzył pana Jacka choćby spojrzeniem, jakby słowa podstarościego przepłynęły gdzieś obok niego, nawet go nie muskając.

– Teraz waszmościowie życzyście sobie wysłuchać mojej opowieści?

– Jeżeli tylko waćpan życzysz sobie ją wyjawić: tak.

– Dobrze więc. Nim zacznę, musicie jednak zaręczyć mi, że wszystko, co tu powiem, między nami trzema jedynie pozostanie...

Ligęza zastanawiał się przez chwilę.

– Z jednym zastrzeżeniem – odparł wreszcie – a mianowicie takim, iż swoją opowieść pozwolisz nam zdradzić, jeśli pomogłoby to w

doprowadzeniu nas do odkrycia tajemnicy owych listów i człowieka, który je rozsyłał.

Sperling przez pewien czas nie spuszczał wzroku z Ligęzy, a stolnik odpowiedział mu śmiałym, szczerym spojrzeniem.

– Waszmość cieszysz się dobrą sławą w okolicy – rzekł pułkownik – wiem to, gdyż zwykłem wypytywać o ludzi, z którymi w taki czy inny sposób ma mnie połączyć los. Mam więc nadzieję, że nie nadużyjesz mojego... – zawahał się przez moment – zaufania. I mam nadzieję, że weźmiesz odpowiedzialność za pana podstarościego, którego nie znam, o którym nigdy nie słyszałem i któremu nie mam powodu ufać.

Jacek Zaremba zacisnął zęby.

– Ani też nie masz powodów, by mu nie ufać, czyż nie? – zapytał niewinnym tonem Ligęza.

– Nie obraź się waćpan – Sperling obrócił obojętne spojrzenie na podstarościego – gdyż ja waści urazić nie zamierzam. Życie w surowy sposób nauczyło mnie, iż brak zaufania to dobry stan na początek każdej znajomości.

– Ja się z waścią zgadzam – odezwał się nieoczekiwanie dla Ligęzy Jacek Zaremba – gdyż również waszmości nie ufam, bo wszak nie wiem, kto naprawdę jest, poza tym, że podajesz się za oficera i szlachcica...

– Dość! – zakrzyknął Ligęza. – Dość! Zabraniam waści! – Twardym wzrokiem spojrzął na podstarościego. – Waszmościowie zrozumcie, że musimy poskromić podejrzenia, złość, a nawet gniew – ciągnął już łagodniejszym tonem – wspólny bowiem łączy nas sekret, wspólna zagadka i podejrzewam, że jedynie wspólnymi siłami zdołamy zagadkę tę rozwiązać, a ów sekret ujawnić. Nic nikomu z tego nie przyjdzie, jeśli do kłótni tu dojdzie czy, nie daj Panie Boże, do jakiej bitki. Dlatego jako gospodarz oraz jako człowiek, któremu z racji wieku, zasług i stanowiska pierwszeństwo tu przysługuje, uprzejmie waściów proszę, byście pamiętali, iż już przodkowie nasi, Rzymianie, mawiali, że *concordia civium murus urbium*¹⁹.

– Ja niezgody nie zamierzam wzniecać – oświadczył spokojnie Sperling – gdyż nie będzie żadną tajemnicą i z mej opowieści z całą pewnością waćpanowie to wyrozumiecie, kiedy powiem, że na wyjaśnieniu tej zagadki bardziej mi z całą pewnością zależy niż waszmościom.

– Słuchamy tedy waści pilnie, panie pułkowniku, a ja przyrzekam, Boga biorąc na świadka – stolnik uroczyście uniósł dłoń – iż wszystko, co

powiesz, pomiędzy nami trzema pozostanie, chyba że najwyższa konieczność zmusi mnie, by inaczej postąpić. Pan Zaremba zapewne także chętnie przysięgnie.

– Będę milczał jak grób – rzekł podstarość, również unosząc dłoń – słowo szlacheckie.

– To mi wystarczy – stwierdził Sperling – i w takim razie przechodzę do mojej opowieści.

– Zamieniamy się w słuch.

– Komu i czemu służyłem, w jakim celu nad granicę jechałem, to zaiste nieważne i ani waściów to nie zainteresuje, ani ja nie zamierzam się na ten temat rozwodzić – zaczął pułkownik takim tonem, jakby w ogóle nie chciał się dzielić nie tylko szczegółami opowieści, lecz historią swą w ogólności. – Grunt, że spotkałem tego dziada na drodze na Morawy, a z nim gromadkę parobczaków i dziewuch... – Sperling zamilkł na chwilę i popatrzył w otwarte okiennice. – Ot, słońce zachodziło tak samo krwawo jak teraz...

Słońce przypominało ogromne, wściekle czerwone koło, które zgmiotło kogoś i krew jego rozsmarowało brudnym szkarłatem po całym niebie. Pułkownik Sperling nie spoglądał jednak na słońce, lecz przypatrywał się wędrującej skrajem gościńca gromadzie. W gromadzie tej było ośmioro ludzi – stary siwy dziad o brudnej i skołtunionej brodzie, trzy dziewczuchy, z których żadna pewnie jeszcze nie skończyła szesnastu lat, oraz czterech barczystych chłopaków. Dziad szedł całkiem zwawo, choć w milczeniu i z opuszczoną głową, a młodzi coś tam do siebie pogadywali, śmieli się, przekomarzali, a jedna z dziewczyn nawet zaczęła jednego z chłopców nie na żarty okładać brzożową witką. Jednak Sperling zwrócił uwagę nie na te brewerie, właściwe dla młodości i plebejskiego pochodzenia, lecz na niezwykłą urodę wszystkich trzech dziewcząt i na zającą postawę parobczaków, z których każdy, dalibóg, mógłby nawet na magnackim dworze za lauffra czy forysia robić, tak byli barczyści, strzeliści i foremni.

Pułkownik ubódł konia piętą i podjechał niemal tak blisko, że już się wydawało, że koński pysk uderzy w maszerującego dziada, lecz dziad ten nagle uskoczył z drogi, zamierzył się kijem, ale zobaczywszy, że ma do czynienia ze szlachcicem, tylko pochylił głowę, a lagę wypuścił z rąk.

– Wybaczcie, jaśnie panie – zaskomlał przymilnie. – Ja stary, niedowidzę. Wybaczcie durnemu staruchowi, z łaski swojej, kasztelanie, a

Bóg wam prze...

– Milcz! – warknął Sperling i starzec ucichł tak nagle i w pół słowa, jakby nie tylko usłyszał polecenie, lecz jakby go ktoś pięścią zdzielił w zrytą szankrami mordę. – Co wy za ludzie? – Odwrócił się w stronę młodych, którzy zbili się w gromadkę, jak zauważył, i zestrachaną, i czujną, bo parobczacy schowali dziewczki za swoimi plecami.

– Łaski, jaśnie panie, darujcie – odezwał się urywanym z lęku głosem jasnowiąsy osilek i spojrzął na szlachcica błagalnym wzrokiem. – My wolni ludzie, jaśnie panie, niczyi poddani. Nie uciekamy od nikogo, proszę łaski jaśnie wielmożnego pana, ale idziemy z pielgrzymką, pomodlić się w świętych miejscach, dokąd ten bogobojny staruszek nas prowadzi. – Chłopak wskazał starca.

Pułkownik przyglądał się parobczakowi dłuższą chwilę, a ten stał ze zwieszoną głową, jakby czekając wyroku.

– Co za święte miejsca? – Obrócił się w stronę dziada. – Dokąd ich prowadzisz?

– Jaśnie panie wojewodo, opowiadałem tym dzieciaczkom o cudach Ziemi Świętej, o Golgocie, gdzie Pan nasz Jezus Chrystus cierpiał na krzyżu męki, o Grobie Pańskim, skąd Pana naszego wychodzącego w chwale ujrzała święta Magdalena...

– Ty mi tu, dziadu, nie opowiadaj o Piśmie Świętym, bo założę się, że znam je lepiej od ciebie – rzekł ze zniecierpliwieniem i złością Sperling. – Pytałem, dokąd ich prowadzisz?

– Gdzie indziej, jak nie do Jerozolimy, jaśnie panie. – Starzec otworzył szeroko oczy. – Do Jerozolimy, jaśnie panie, by wraz z innymi pielgrzymami zaznali łaski ujżenia cudów Ziemi Świętej.

– Och tak! – jęknęła jedna z dziewczuch.

Słyszac ten jęk, jeden z podwładnych Sperlinga prychnął śmiechem. Sam pułkownik nie uśmiechnął się, lecz leciutkie skrzywienie lewego kącika ust mogło świadczyć o tym, iż zachowanie dziewczyny rozbawiło go.

– A skąd ty możesz wiedzieć, jak iść do Jerozolimy? – zapytał.

– Trzy razy już byłem w najświętszym z miast, jaśnie wielmożny i oświecony kasztelanie! Trzy razy siwą głowę skłaniałem na ziemi, na której Pan nasz rodził się, nauczał, umęczon został i zmartwychwstał. A skoro trzy razy podróż tę odbywałem, to wiem doskonale, że trzeba nam dojść do Wenecji... Potem już ublagamy, by nas wzięto na pokład jakiej galery.

Pułkownik słuchał spokojnie, nie przerywając, i odezwał się dopiero, kiedy po słowie „galery” nastąpiła dłuższa przerwa.

– Do Wenecji powiadasz... – Zapatrzył się w dal. – Powiedziałbym, że dziwna to droga do Wenecji... – Obrócił zimne spojrzenie na starucha. – Ktoś mógłby rzec, że nie do Wenecji prowadzisz tych młodych, ale na multańską stronę...

– Jezus Maria!!! – Starzec przeżegnał się po trzykroć, a tak silnie walił się przy tym w pierś, aż echo szło. – Przecież tam Turcy siedzą, nieprzyjaciele chrześcijaństwa i wszelkiego rodzaju ludzkiego. Jakże ja bym mógł tam iść, wielmożny panie wojewodo? Jakże mógłbym prowadzić te niewinne dzieci w paszczę srogiego lwa?

Dziad poczerwieniał na całej gębie tak silnie, jakby krew miała mu się zaraz puścić wszystkimi porami.

– Dzieci kochane moje – obrócił się do młodych – powiedzcie sami, czy przed niebezpieczeństwem was nie przestrzegalem? Powiedzcie, czy czego od was chciałem? Pieniądzy albo i czego innego?

– Prawda, jaśnie panie. Prawdę gada. Zmiłujcie się, nic nie chciał – rzekł ten sam pachol co wcześniej.

– Darujcie, wielmożny panie – pisnęła jedna z dziewczyn. – Puśćcie nas wolno, pozwólcie, co byśmy Panu Jezusowi się pokłonili.

– My biedni ludzie, niczym nie zawiniliśmy. Nikomu nie czynimy krzywdy – odezwał się zduszonym głosem kolejny chłopak.

– Zlitujcie się! – najpiękniejsza z dziewcząt padła na kolana, a przy tym załzawionymi wielkimi oczami tak spojrzała Sperlingowi prosto w twarz, że gdyby pułkownik był człowiekiem miększego charakteru, to z pewnością zakłułoby go coś pod sercem.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Jeźdźcy – zadziwieni piękną dziewczyną, a pielgrzymująca gromada – w oczekiwaniu na wyrok z ust szlachcica.

– Panie pułkowniku, za pozwoleniem, ale zmierzcha się – odezwał się nagle wachmistrz.

Był to zaufany żołnierz Sperlinga, człowiek, któremu nadano przezwisko Szot, jako że opowiadał, iż jego ojciec był ubogim szkockim szlachcicem, który na polskiej ziemi znalazł schronienie przed prześladowcami. Żołnierze sądzili co prawda, że prędzej był to wędrowny kramarz, który matkę Szota ogłupił i zbałamucił wymyślonymi

opowieściami, lecz wachmistrzowi nikt w twarz by tego nie powiedział, gdyż był to człowiek posepny i nieznający się na krotoczwilach.

Pułkownik spojrział na niego i skinął głową.

– Ano zmierzcha się – przytaknął powoli – czas już na nas. Z Bogiem! – zawołał gromko w stronę gromady. – Pomódlcie się i za nasze dusze przy grobie Pana. – Obrócił spojrzenie w stronę starca. – A ty pilnuj ich dobrze, dziadu! – Pogroził staruchowi pięścią.

– Toż oni dla mnie jak wnuki rodzone! – zawołał stary. – Toż ja o nich jak o własnych zadbam, jasnie wielmożny wojewodo, jak o własnych!

Sperling nie słuchał już dalszych dziękczynnych lamentów, nie słuchał też radosnych okrzyków i błogosławieństw, jakimi żegnali go młodzi. Konia pognął ostrogą i ruszył w stronę zachodzącego słońca, a jego ludzie kopnęli się w ślad za nim. Wachmistrz zrównał się z pułkownikiem.

– Dobrześ zrobił – rzekł Sperling.

– Tak myślałem, że dobrze robię – zgodził się z nim Szot.

– Weźmiesz Chojeckiego i ruszycie ich śladem. Chcę wiedzieć, dokąd idą, bo stary sam tego nie wymyślił. To pewna rzecz.

– Czemuż pięć żeśmy mu nie przypiekli, panie pułkowniku, jeśli wolno zapytać? Wszystko by wyśpiewał! Nie takich ja już do śpiewu przymuszałem. – Wachmistrz obnażył w uśmiechu ciemnożółte, końskie zęby tak poszczerbione na końcach, jakby zamiast tabaki lubił żuć ołowiane kulki.

Sperling westchnął.

– Ech, Szot, Szot... Przyznam, że czasem bystryś nad pojęcie, ale czasem znowu szkoda gadać... – powiedział bez złości, raczej z rozbawieniem. – A jakby ci stary zdechł w czasie badania? Wskrzeszać trupów to ty jeszcze, Szot, nie potrafisz...

Wachmistrz rozłożył dłonie.

– Ja tylko tak, panie pułkowniku. Pokornie upraszam o wybaczenie.

– Dobrześ się spisał – powtórzył Sperling i widać było, iż jest naprawdę zadowolony z podkomendnego. – Daj Boże, że staruch uwierzył i że zaprowadzi nas do gniazdka ta... ptaszyna. – Pułkownik skrzywił usta w nieznacznym uśmiechu, a był to uśmiech tak złośliwy i okrutny, że nawet Szotowi dreszcz przebiegł po plecach. – No jedź już. Z Bogiem.

– Z Bogiem, panie pułkowniku. – Szot skręcił wodze, zawrócił i skinął dłonią na Chojeckiego, który bez zadawania zbędnych pytań oderwał się z

szyku i ruszył w ślad za wachmistrzem.

– Jakie sprawy miałem w okolicy, to, jak już waszmościom mówiłem, moja rzecz. Ważne, że zakończenie ich zajęło mi więcej czasu, niż sądziłem, że zajmie. Dwóch ludzi nieszczęśliwie straciłem, a sam ledwo z życiem uszedłem. Lecz za wstawiennictwem Pańskim kula wycelowana w moją głowę zaledwie po policzku mnie pogłaskała. – Sperling dotknął opuszkami palców różowej bruzdy, która przecinała mu twarz od nozdrza po koniuszek ucha. – Tak więc za staruchem i tymi młodymi nie mogliśmy jechać, ale Szot posyłał wciąż meldunki, co i jak się dzieje – kontynuował pułkownik. – Wreszcie uwiadomił mnie, że cała gromada zatrzymała się w majątku niejakiego Cholewy, szlachcica ziemi przemyskiej. Człeka, jak mi doniesiono, podłych obyczajów i podłego charakteru, kutwy, złodziejaszka i oszusta, co nawet jak pił, to nie za swoje, tylko za cudze. Zważcie też waszmość panowie, że dziad najwyraźniej kierował się na południowy wschód, nie na południowy zachód, co wypadaloby mu robić, jakby rzeczywiście do Wenecji chciał prowadzić tych chłopków.

Stolnik skinął głową.

– Z opowieści waćpana wnioskuje, że łotr chciał niewinnych chrześcijan oszukać i sprzedać w pogański jasyr.

– O takich sprawkach i ja słyszałem, choć z Wielkopolski przecież daleko do Turcji – odezwał się Zaremba. – U nas oficerowie czyniący wojskowy werbunek mają chłopków wesołym żołnierskim życiem.

– Pół biedy, jeśli Rzeczpospolitej przyjdzie im służyć – wtrącił Ligęza – gorzej jednak, że niemieccy werbownicy do cesarskiego wojska naszych chamów porywają i nijakiej na nich rady nie ma, bo chytrze i cichcem to czynią.

– Waszmość panowie pomyślunek macie tak bystry, że tej bystrości górskie potoki mogłyby wam pozazdrościć – rzekł Sperling bez złośliwości i bez uśmiechu. – Rzecz jasna, że stary wiódł tych chłopków w matnię. Przypuszczałem, że na Węgry, by tam oddać w ręce któregoś z kupców, który dalej by ich zaprowadził już do Turcji. A słyszałem o jednym tamtejszym nikczemniku, sprzedającym dobrych chrześcijan w pohański jasyr. Szechter się zwał, a zwali go Szacher, niby od szachrowania, bo łgarstwo z jego gęby prędzej wyskakiwało niż pchły z topionego lisa.

– Wybacz, mości pułkowniku, pytanie – rzekł z łagodną ostrożnością w głosie Hieronim Ligęza – lecz cóż waści obchodził los kilku luźnych

ludzi? Ja wiem, ja wiem, że rzecz to straszna dobrego chrześcijanina wydać w pohańskie ręce, niemniej zastanawiam się, co człek taki jak waść...

– Taki jak ja? – przerwał mu ostro Sperling. – A co waszmość wiesz o mnie, skoro słów „taki jak waść” zechciałeś użyć?

Ligęza poczerwieniał i pan Jacek wyraźnie poznawał, że hamuje pasję, by nie wybuchnąć. Zapewne jednak miał w pamięci, iż jest gospodarzem, a powinnością gospodarza była wszak grzeczność w stosunku do gościa, a przynajmniej utrzymywanie jej tak długo, póki utrzymać ją można. Poza tym stolnik sam przecież wzywał do zgody, pokoju i hamowania gniewu. Zapewne miał również w pamięci, że Sperling może być jednym z kluczy, które otworzą szkatułkę z sekretem, i zrażanie go sobie lub, nie daj Boże, zabicie nie przyniosłoby nikomu niczego dobrego.

– Sześćdziesiąt i dziewięć lat już żyję na tym nie najlepszym ze światów, pułkowniku Sperling – rzekł stolnik bardzo poważnym tonem – nie dość to może, by w ludzkich sercach niczym w otwartych księgach czytać, lecz dość, by niejaki mniemanie móc o nich podjąć. I powiem waszmość panu, co myślałem, mówiąc: taki jak waść...

Pułkownik przyglądał się Ligęzie chłodno, lecz skinął zdawkowo głową, słysząc tę zapowiedź.

– Uważam waćpana za człowieka mocnej konstrukcji – ciągnął pan Hieronim – za kogoś, w kim lepiej mieć przyjaciela niżli wroga, i za kogoś, kto na bliźnich spogląda okiem raczej srogim niżli łagodnym. Uważam również waszmości za człowieka, który wiele widział oraz wiele przeżył i którego niewiele jest w stanie wzruszyć. Wyjaw mi więc, waszmość, z łaski swojej, czemu tknął cię los kilkorga chamów?

Sperling milczał przez chwilę, aż wreszcie jego twarz rozluźniła się nieco. Odetchnął.

– Trafnie odgadłeś, panie stolniku, że nie o garstkę chamów tu szło, bo gdyby tak było, to starca kazałbym wziąć na męki, a te dziewczuchy i tych parobczaków oddałbym któremuś z moich znajomków na służbę, co by pożytek z nich miał. Ale zważ też, waszmość panie, że jakieś poczciwe to były stworzenia, chociaż z urodzenia chamy, na grób Pana naszego chcieli się bowiem udać, pokonując wszelkie trudności i niebezpieczeństwa, jakie mogły ich spotkać po drodze.

Jacek Zaremba skinął głową z powagą.

– Pozwól waszmość panie stolniku dobrodzieju, że i ja przychylę się do zdania pana pułkownika. Zaczne to jakieś chamy były, skoro dla ujrzenia

Ziemi Świątej zdecydowały się cierpieć niewygody i niebezpieczeństwa.

– Ale nie o chłopków jednak szło, choć zgadzamy się wszyscy, że bogobojne to były stworzenia – zauważył Ligęza. – Czemu więc tak naprawdę chciałeś pochwycić złoczyńców, mości pułkowniku?

Sperling chwilę milczał, potem skinął głową, jakby właśnie odpowiedział sobie na pytanie, które zadał przed momentem w myślach.

– Waćpanowie o sprawach, o których opowiem, zapewne niewiele słyszeliście lub wcale, bo kto w Wielkopolsce, na Mazowszu czy Kujawach żyje, ten mało poznał niebezpieczeństw. Chyba tych jedynie, które zła ręka sąsiada do domu mu przyniesie.

Podstarości Zaremba, który nieraz z łamaniem prawa miewał do czynienia i który dbał przecież o to, by zasady były przestrzegane, nie mógł się z podobnym zdaniem nie zgodzić. Istotnie bowiem Mazowsze, Kujawy, Wielkopolska czy województwo krakowskie nie zaznały strasznych losów Litwy i Rusi. Nie trzeba było się tu lękać najazdów tatarskich, nie grozili Moskwiczanie, nie grasowały bandy wołoskie ani kozackie, nie roilo się od maruderów. Tu nie było bezkarnych, a przy tym i mocarnych książątek i paniątek, którzy zarówno szlachtę, jak i mieszczan czy chłopów mieli sobie za nic. Tu życie płynęło spokojnie – przynajmniej tym, którzy mieli szczęście cieszyć się zacnym sąsiedztwem. Ale że na Mazowszu i na Kujawach głowy były gorące, a ręce szybkie, więc i o dobre sąsiedztwo nie każdemu było łatwo. Jednak zwada z sąsiadem i tak była lepsza niż lęk przed magnatami, kozackim buntem czy tatarskim lub wołoskim najazdem, czego pod dostatkiem mieli mieszkańcy województwa ruskiego, nie mówiąc już o województwach kijowskim, braclawskim czy podolskim.

– Zanim jednak przejdę do sedna i cofnę się w mej opowieści o rok, by pokazać waćpanom, czemu tak zaniepokoiła mnie sprawa owych chłopków i owego dziada muszę waściom przypomnieć, że na wschodzie Rzeczypospolitej szlachcie ciężko czasem chamów upilnować. Bo a to na Ukrainę chce im się uciekać, gdzie ich jedni kuszą wolniznami i ziemią, a drudzy swobodą i łupami, a to myślą, że na Mołdawii znajdą swoje szczęście. Grunt, że chłopstwa pilnować trzeba, by nie uciekało, a i tak czasami uchodzą, narażając na szkodę swych właścicieli. Waćpanowie wiecie na pewno, że im dalej na wschód naszej Rzeczypospolitej, tym twardsze ludzie mają serca i zamiast wybaczenia szafują pomstą, toteż złapany cham zawsze ciężko pożałuje, iż pana swego opuścił: kara musi

być tak przykładowa, by resztę gromady napełnić strachem i odwieść od podobnie nierozważnych postępów.

– Cham mores znać musi! – zgodził się pan Hieronim i na znak zgody stuknął podstawą kielicha w blat.

Sperling spojrzął na Ligęzę, a podstarości wyczytał w tym wzroku niechęć. Najwyraźniej pułkownik nie był przyzwyczajony, by mu przerywano, nawet jeśli to przerywanie miało być poparciem dla słów przez niego wypowiedzianych.

– Zdarzało się jednak coraz częściej, że okolicznej szlachcie chłopię ginęli – kontynuował Sperling – ot, przepadali nie wiadomo gdzie, jakby się pod ziemię zapadli. Zwykle były to młode i silne parobczaki oraz zdrowe i kraśne dziewczuchy. I z czasem zaczęły nas dochodzić słuchy, że pośród chłopstwa krążą opowieści, jakoby ci, co uciekli, mieli teraz u wielkich i możnych panów służyć i opływać we wszelkie dostatki. A czasami znowuż powiadano, że do Rzymu albo i do Ziemi Świętej doszli, gdzie ogromną się okryli sławą jako świątobliwi pielgrzymi, albo że na dworze u samego rzymskiego papieża służą.

– Nie takie rzeczy chłopstwo baje. – Ligęza wzruszył ramionami i prychnął. – Myślisz waszmość, że mało podobnych historyjek słyszałem? Ha! – Machnął ręką lekceważąco. – Zaraz ci tu każę, mości pułkowniku, przyprowadzić paru moich chłopków, dam im po szklanicy gorzałki i sam obaczysz, jakie gawędy usłyszysz! – Stolnik roześmiał się wielce zadowolony z własnego wyводу.

Sperling zacisnął dłoń, aż pobieleły mu knykcie. Zaremba, który uważnie śledził jego ruchy i równie uważnie spoglądał na jego oblicze, przygotował się, by w razie czego stanąć pomiędzy nim a stolnikiem. I wtedy oficer obrócił się w jego stronę.

– Waść, panie podstarości, nie turbuj się nadto, bo ja zamierzam moją historię opowiedzieć do samego końca i na pewno z błahaego powodu jej nie przerwę, a owa *concordia*¹²⁰ przez pana stolnika zachwalana przeze mnie zakłócona nie zostanie.

Jacek Zaremba skinął głową.

– Ufam słowom waćpana – rzekł niezadowolony, iż jego zamiary zostały tak szybko odkryte.

– I co tam, proszę waści? – Ligęza rozlał właśnie wszystkim wino i teraz spoglądał w stronę Sperlinga. – Mam tych chłopów przywołać?

– Obejdzie się – warknął pułkownik, potem odchrząknął, chwycił napełniony wodą kielich, opróżnił go do połowy, nawet się nie krzywiąc, i odstawił naczynie na blat. – Waszmość mi wybaczyć – odezwał się wreszcie pojednawczym tonem – bom nienawykły, by mi przerywano, a zwłaszcza żartowano sobie ze mnie. Rozumiem jednak, że w waści domu nie ze złej woli tak się czyni, lecz by... – urwał i zacisnął usta, najwyraźniej zły, że nie umie znaleźć właściwego tłumaczenia.

– By gawędzić w swobodnej, przyjacielskiej komitywie – dokończył z uśmiechem Jacek Zaremba.

– Ano... – Sperling położył dłonie na stole – ano właśnie tak.

– Na czym to my...? – Ligęza podrapał się po czuprynie.

– Pan pułkownik opowiadał o historiach, które chłopstwo sobie powtarzało – poddał podstarość.

– Tak, tak, gadajże waszmość. I co się okazało? Bo ja ci już mówiłem przecież, że chamom wierzyć nie wolno. Kłamstwo mają oni wpisane w swą na poły bydlęcą naturę. – Stolnik westchnął. – Tak już jest, choć chciałoby się, żeby było inaczej...

– Waszmość pan możesz wierzyć, że nie wymyślali tych bajeczek, by mnie uradować – odparł uprzejmie Sperling – i zapewniam też pana, panie stolniku dobrodzieju, że miałem, a i teraz mam, pośród swych ludzi takich, co nie tylko niemowę zmuszą do gadania, lecz i sprawiają, że z jego ust wychodzić będzie prawda, tylko prawda, sama prawda i jedynie prawda.

– Taaa... Hmmm... – Ligęza zagryzł wąsa. – Niby tak... kto wie...

– Jednak pozwólcie, waszmościowie, że teraz cofnę się z moją opowieścią o jedno lato, tak jak obiecałem, bo utknęliśmy na tych chłopach, jakby to warte było waćpanów i mojego czasu. Otóż imaginujcie sobie, że w maju roku Pańskiego 1682 zaginęła pewna można panna, jedynaczka i spadkobierczyni pana Czapskiego, cześnika przeworskiego, słynna nie tylko z niezwyklej urody, lecz i z mądrości bardziej należnej uczonemu biskupowi niżli białogłowie.

– Czapski, Czapski... – Ligęza uszczypnął się w dolną wargę, by wspomóc szwankującą pamięć. – Czyż nie o pannie Elżbiecie Czapskiej waszmość mówisz, panie pułkowniku?

– Tak – odparł Sperling, z trudem ukrywając zdziwienie.

– I do nas docierają wieści z odległych stron. Zresztą człowiek zawsze wiedział, co tam się działo i nie działo na samych granicach

Rzeczpospolitej: w Kijowie, Wilnie czy Rydze, a co dopiero w Przeworsku!

– Tam rapt był! – przypomniał sobie nagle pan Jacek. – Pannę porwał jakiś młodzieniec gorączka, czyż nie? Zabił ją, bo pohańbić mu się nie pozwoliła, potem wreszcie sam dał gardła, czyż nie? Nie tak było? Wiem! – Zaremba klasnął. – On Czort miał na nazwisko. Zapamiętałem dobrze, bo iście diabelska w nim wrzała krew, by pannie z dobrej rodziny taką rzecz uczynić. I był tak jak waćpan pułkownikiem.

Sperling obrzucił pana Jacka ponurym wzrokiem.

– Taki był z niego pułkownik jak z waści hetman kozacki – burknął – choć prawda, że lubił, jak ludzie nazywali go pułkownikiem. Ale więcej on się wińska niż prochu nawąchał i częściej obozował na podłodze w karczmie niż w stepie.

– Stary Czapski go nie polubił, to obwieś postanowił pannę porwać...
– mruknął Ligęza.

– Stary Czapski to go nawet i lubił – nie zgodził się pułkownik – jeno jako wytrawnego kompaniona do pijatyk i bijatyk, nie jako zięcia i spadkobiercę. Czort wiele spraw dla starego załatwiał po jego myśli, a niektóre takie, że mógłby za nie dać głowę, gdyby go zaciągnięto przed trybunał. Bo wiedzcie, waszmościowie, że był to człowiek wielkiej fantazji, tyle że owa fantazja zwykle prowadziła go na manowce.

– Znamy takich – zgodził się podstarość.

– I co? Tak się poufalił ten pan Czort, aż się spoufalił? Hmmm? – poddał stolnik.

– Kiedy Czort buchnął na kolana i o pannę grzecznie poprosił, czołem u stóp cześnika bijąc, stary na pozór przyjął to radośnie, ale Czortowi kazał czekać tydzień na decyzję dziewczyny. „Tydzień, by Elżbieta miała czas pomodlić się i rzecz całą gruntownie przemyśleć”, powiedział.

– A tak naprawdę potrzebował tygodnia, bo...?

– Bo po mnie chciał posłać, bym sprawę pana Czorta po bożemu załatwił ku zadowoleniu wszystkich – rzekł zimniejszym nawet niż zwykle tonem Sperling.

– Wać miałeś... tego całego Czorta? – Pan Hieronim przejechał dłonią po gardle. – A właśnie: jakże mu było na imię?

– Serafin. Serafin Czort – odparł bez uśmiechu Sperling. Potem kontynuował opowieść: – Miałem o pannę się upomnieć, tym postępkim Czorta zbiesić i potem, po bożemu i uczciwie, na uklepanej ziemi, do

kamratów w piekle go wysłać. Byłem winien wielką przysługę panu Czapskiemu, więc wiedział, że mu owej grzeczności nie odmówię. Sam Czorta się bał, bo tak to już bywa, że sługa czasem nad swym panem zaczyna mieć władzę, a to wtedy, kiedy ów sługa wiele sprawek zna, których pan przed ludźmi nie chciałby ujawnić, a zwłaszcza – pułkownik spojrzał na Jacka Zarembę – przed egzekutorami prawa.

„A więc takie to misje pełnił pułkownik Sperling”, pomyślał Zaremba. Znał podobnych ludzi. Pozbawionych skrupułów zawadiaków, którzy umiejętności, często niemałe, i siły oddawali temu, kto lepiej płacił. A to dowodzili sąsiedzkimi zajazdami, a to zaciągali się na prywatne wojny, a to najzwyczajniej zabijali kogoś, kto był niewygodny dla zleceniodawcy i czyje życie tenże zleceniodawca uznawał za zbyt już długie i nadmiernie kłopotliwe. Czasem starczało, że tacy ludzie pojawili się tylko w okolicy – ledwie rozeszła się wiadomość, kto ich wynajął, a od razu cichły sąsiedzkie spory i panu bratu, który najął takich rębajłów, starano się zadośćuczynić we wszystkim. Pan Jacek nie wiedział i nie miał zapewne nigdy się dowiedzieć, czy pułkownik Sperling rzeczywiście zamierzał sprowokować pana Czorta i wyzwać go na ubitą ziemię. Może tak, może nie. Może uważał, że wygodniejszym rozwiązaniem będzie zaskoczenie przeciwnika gdzieś w lesie i zasiekanie go tam lub powieszenie albo ustrzelenie z za węgla z muszkietu. Do tego jednak pułkownik Sperling na pewno nikomu by się nie przyznał. Bo jednak między rębajłą do wynajęcia, wyzywającym wroga na pojedynek, a skrytobójcą mordującym z za pleców istniała zasadnicza różnica. Różnica, którą szlachta świetnie rozpoznawała i z której potrafiła rozliczyć.

– Prawo u nas takie, że hyc, hyc i na lewo się zaraz obraca – prychnął pogardliwie stolnik – a że pokój gdzieniegdzie panuje i że czasem zatriumfuje sprawiedliwość, to już zawdzięczamy tylko takim chwatom jak pan Zaremba.

– I łasce bożej – wtrącił podstarość.

– Albo takim, co pozór szerzenia sprawiedliwości biorą sobie za pretekst, by pognać wroga i w majestacie prawa go zniszczyć – rzekł Sperling. – I tego właśnie bał się Czapski. Że kiedy sąsiedzi o sprawach jego się dowiedzą, to zechcą przy okazji i własne spraweczki załatwić.

– Ano tak to już jest z sąsiadami. – Ligęza pokiwał głową. – Jeśli dużo rachunków sobie, człeku, narobiłeś, prędzej czy później wyślą ci biegłych rachmistrzów, by dom twój i życie twoje porachowali...

Zaremba uśmiechnął się pod wąsem, bo sam takich rachmistrzów dobrze znał i nie raz, i nie dwa miał z nimi styczność, jako że bez jego wiedzy i zgody pragnęli rachować, a pan Jacek nie lubił, by na jego terenie cokolwiek bez jego wiedzy i zgody się działo.

– I waść walczyłeś z tym całym Czortem?

– Bóg wtedy nie dał – odparł Sperling – bo i Czort, i panna zniknęli, zanim zdążyłem zajechać do domu pana Czapskiego.

– A jak zajechałeś, ojciec Elżbiety szybko wysłał cię na poszukiwania...

– Złamany ojcowskim bólem usilnie błagał, bym podjął się tego zadania – sprostował lodowatym tonem Sperling.

– Tylko córki mu było żal? Tylko jej? – zagadnął bystro pan Jacek.

– Ano nie – lewy kącik ust pułkownika uniósł się nieco w górę, co świadczyło o tym, że Sperling jest rozbawiony – stary Czapski stracił bowiem nie tylko jedynaczkę, lecz, a przynajmniej tak mówił, jeszcze skrzynię talarów i drugą skrzynkę rodowych klejnocików na dokładkę.

– Stracić córkę: zła rzecz; dać się okraść zalotnikowi: kto wie, czy nie gorsza – westchnął Hieronim Ligęza tak szczerze, jakby jego samego spotkała podobna przykrość, choć stolnik jako ojciec trzech synów nie miał się akurat czego obawiać.

Jacek Zaremba pokiwał głową, gdyż ze swej starościńskiej służby niejeden znał przypadek porwania dziewczki przez gorącogłowego lub zrozpaczonego odmową zalotnika. Zresztą różnie bywało w tych sprawach – nierzadko panny wcale nie były przeciwne porwaniu i na wybranka czekały nie tylko przygotowane, odziane i ze służkami gotowymi do drogi, lecz także suto zaopatrzone w wykradzioną ojcowską gotowiznę, która miała młodemu ucieczkę zarówno ułatwić, jak i osłodzić. Bogiem a prawdą pan Jacek znał również takie przypadki, kiedy zalotnik porywał dziewczynę nie tylko za jej zgodą, lecz również za zgodą rodziców. A wszystko po to, by uniknąć ogromnych kosztów na weselisko. Bo przecież na wesele wypadało sprosić rodziny, sąsiadów, znajomków (a sąsiedzi mieli swoich sąsiadów i swoich znajomków), a wszystkim pokazać, przed wszystkimi się wykazać i wszystkich zadziwić a to gościnnością, a to wystawnością, a to potraw i trunków różnorodnością. No i nie raz, i nie dwa bywało, że nieszczęsny ojciec po ślubie i weselisku był już goły niczym ten święty turecki albo i gorzej niż goły, bo w długach, a to u Żydów, a to u Ormian, a to u panów braci i sąsiadów, którzy najpierw pieniądze pożyczili, potem na

weselu bawili się tydzień lub lepiej, a kiedy przyszło do rozliczeń, bynajmniej nie zamierzali dłużnikowi folgować. Tymczasem rapt odmieniał wszystko. Bo ani bogatego ślubu, ani hucznego weseliska nie trzeba już było wyprawiać. Tak więc panu Jackowi kilka razy się zdarzyło, iż zapłakany szlachciura, na przemian przeklinający i wzywający na pomoc Pana Boga, aniołów oraz świętych, przybiegał do niego z sąsiadami, służbą i rodziną błagać o pomoc w schwytaniu raptownika, a kiedy przyszło co do czego i kiedy zostawali z Zarembą sami, to owemu szlachciurze szybko łyzy wysychały na policzkach i pana Jacka w bok trącał i mrugając zawzięcie, przekonywał: „Panie starosto, dobrodzieju mój kochany i łaskawco, już ty tak mocno na tego pana – i tu padało nazwisko gwałtownika – nie nastawaj, bo ja coś czuję, że w imię słodkiego boskiego miłosierdzia niedługo mu wszelkie winy wybaczę...”, i z tymi słowy sakiewkę wciskał w dłoń pana Jacka, a i tak przecież ta sakiewka była zaledwie kropelką w morzu wydatków, jakie poniósłby, gdyby nie zaplanował porwania własnej córki.

– Słusznie waszmość uczyniłeś. Słusznie, powiadam. Czyż nie, panie Jacku? – zapytał Ligęza.

Podstarości, wyrwany z zamyślenia, zamrugął oczami.

– Zgadzam się z waszmością dobrodziejem bez żadnych wątpliwości – odparł.

– Ludzi miałem wtedy więcej niż trzydziestu, gdyż stary Czapski posłał ze mną również swoich domowników – mówił dalej Sperling. – Sił Czorta nie znałem, bo co prawda chłopci, którzy go widzieli, gadali, że samoczwór tylko jechał, ale przecież sądziłem, iż gdzieś w lesie większa na niego czeka kompania.

– Tak pewnie było – zgodził się stolnik.

– Jak było naprawdę, miałem się przekonać niedługo później...

Pułkownik Sperling zdobył doświadczenie w wielu sprawach, a śledzenie ludzi było jedną z nich. Nie raz i nie dwa już mu się zdarzyło, że musiał podążać tropem uciekającego szlachcica, który zmykał czy to przed czyjąś zemstą, czy to z powodu przestępstwa, które popełnił. Sperling przede wszystkim rozesłał ludzi w kierunkach, w których mógł uciekać Serafin Czort wraz z dziewczyną. Od ojca panny zyskał informację, że Elżbieta nie należała do dziewcząt, które spędzają cały wolny czas na końskim grzbiecie, uganiając się po polach i lasach, lub lubują się w polowaniach. Elżbieta, jak każda szlachcianka, jeździła konno, lecz

Sperling wiedział, że w przypadku niedoświadczonej panny szybko odezwie się zmęczenie i Czort będzie musiał uciekać wolniej, niż gdyby był sam lub tylko z zaprawionymi żołnierzami. A poza tym chociaż cześnikówna uciekała w męskim stroju, to i tak chłopci poznawali, że jest kobietą.

– Liczko miała ta panienka jak aniołek z nieba, jaśnie panie – powiedział jeden z nich – a włosy takie, jaśnie panie, jakby uplecione ze złota, jak szatkami ją otulały...

Sperling rzucił chłopu groszaka i wraz z kompanią podążyli w kierunku przez niego wskazanym.

– Do zajazdu Na Rozstajach jadą, panie pułkowniku – rzekł dworzanin Czapskiego, szlachcic o nazwisku Grabowski. – Głowę dam, że do zajazdu. W pobliżu poza tym nie ma gdzie zanoć.

– Mało to pól i lasów... – Augustyn Borkowski, podkomendny i zastępca Sperlinga, wzruszył ramionami.

– A to naszej panienki waćpan nie znasz. – Grabowski obnażył zęby w szerokim uśmiechu. – Już ja widzę, jak ona po chaszczach się wyciera...

– Co takiego!? A co wasza panienka ma do gadania, skoro ją porwano?

– Tak ją pan Serafin porwał, jak i waćpana, za przeproszeniem, mości pułkowniku.

– Co waść gadasz, do diabła!? – Borkowski potrząsnął ramieniem szlachcica.

Ten zębami zgrzytnął, już porywał się do szabli, lecz Sperling podjechał tak blisko do niego, że zetknęli się niemal nosami.

– Waćpan na pytania odpowiadaj, skoro grzecznie pytamy – rzekł takim głosem, że dworzaninowi cześnika opadła ręka.

– Przecież panienka za tym Czortem zawsze oczy wyplakiwała, że ku złemu zmierza, zgodnie ze swym nazwiskiem – wyjaśnił – a śmiałek taki jak on tyle dobra mógłby przecież czynić. Tak panienka mówiła... – zastrzegł od razu.

– Więc waszeć myślisz, że jej wcale nie porwano?

– Może i porwano, ale raczej z wolą niż bez niej – odparł szlachcic. – A czy tak było, czy siak, czy jeszcze inaczej, to pewne jest jedno: Czort już naszej panience nieba przychyli i prędzej skórę sobie z grzbietu zedrze i panienkę nią okryje, niż da jej zmarznąć. – Grabowski roześmiał się

chrapliwie, po czym zakaszłał i machnął ręką. – Tak właśnie jest, powiadam waszmościom.

– A wasza panna jest pobożna? – zapytał Sperling.

– My wszyscy Boga godnie chwalimy – opryskliwym tonem odburknął szlachcic.

– Skoro pobożna, to do kościoła pojedą – zgadywał Borkowski. – Czy nie tak, panie pułkowniku? Księżdz już mają na pewno ugadanego.

– Nie rozumiem, dlaczego ten cały Czort nie jedzie do swoich dóbr – rzekł Sperling. – Cześnik mówił mi, że ma dwie zacne wioseczki kilka dni drogi stąd, warowny dworek i wielu przyjaciół oraz popleczników. Czemu tam się nie zaszyje? Czemu na południe zmierza zamiast do siebie, na wschód?

Dworzanin cześnika wzruszył ramionami.

– A diabli z tym całym panem Czortem wiedzą, co on zrobi albo i nie zrobi – powiedział. – Z nim, waszmość panie pułkowniku, nie trafisz. To taki człowiek, co wino z tobą pije i braterstwo przysięga, a za chwilę już do obuszka się rwie, bo twierdzi, żeś go uraził.

Sperling domyślił się, że przykład nie wziął się znikąd, zapewne Grabowski miał właśnie taką przykrą przygodę z panem Serafinem.

– Czy ten Czort jest aż taki głupi, żeby w zajeździe stanąć? – warknął Sperling. – Powiedz no waść, bo ja nie wiem – zwrócił się do Grabowskiego. – Głupi? Mądry? Jaki?

– Jak nie robi nic głupiego, to mądry – odparł szlachcic po chwili namysłu.

– Taki to każdy jeden jest. – Borkowski się zaśmiał.

– Waść gadaj prosto z mostu – pułkownik spojrzał kosym okiem na cześnikowego dworzanina – a nie pływaj mi tu po piasku. Powiedz no: byłby tak głupi, żeby jechać do zajazdu, kiedy wie, że go ścigają?

– To człek zuchwały i pewny swego – odparł Grabowski. – Sam widziałem, jak trzech zbójeckiej szlachty kiedyś posiekał, a nam pod gardłem zabronił stanąć w swojej obronie...

– We trzech się na niego rzucili?

– Nawet we czterech... Ale pierwszego pan Serafin zastrzelił, a trzech posiekał. I nie na śmierć, ale tak, żeby żywych odprowadzić do grodu i nagrodę odebrać.

– Harda sztuka ten pan Czort – zauważył Borkowski.

– Pytałem cześnika, spytam też waćpana: Ilu ludzi może mieć pod sobą? W jakiej kompanii zwykle jeździł?

– A jaśnie pan co odpowiedział waćpanu?

– Waść pytaniem na pytanie nie odpowiadaj – skarcił go Sperling złym głosem.

Grabowski podrapał się po głowie.

– Z nim Bóg jeden wie – odparł – może mieć czterech towarzyszy i koniec, jak ci chłopci mówią, a może i pięćdziesięciu gdzieś na niego czekać.

– No tyle to i od cześnika się dowiedziałem – burknął niezadowolony pułkownik. Przez chwilę się zastanawiał. – Dobrze – rzekł w końcu – pojedziemy do zajazdu i obaczymy, czy łotr się tam zatrzymał.

– Imaginujcie sobie, waszmościowie, że taki właśnie błąd porywacze popełniają nader często – podstarość uśmiechnął się do własnych myśli – zamiast uciekać bocznymi drogami, a spać w lesie, maszerują gościńcem, a wieczorem zajeżdżają do karczmy. – Pan Jacek machnął dłonią. – Szkoda słów na ludzką głupotę, powiadam waćpanom.

– Może to nie tyle głupota, panie Jacku kochany, ile dbałość o porwaną niewiastę? I dwa powody owej dbałości możemy podejrzewać: jeden, że jeśli pannę się miłuje, to nieba by się jej przecież przychyliło, a drugi, że kiedy panny się nie kocha, to uważać na nią i tak trzeba. Bo jeśli przyjdzie co do czego i rodzinie oddasz dziewczkę nieruszoną i zdrową, i żywą, to może jakoś jeszcze rozejm wyłagasz i od kary, a nawet od zemsty się wyłagasz. Ale trudno się pokoju spodziewać, jeśli rodzinie zanieziesz trupa w darze.

– Racja, panie stolniku dobrodzieju, racja. – Zaremba skinął głową. – Choć nasze szlachcianki przecież nie są z soli i byle deszczyk ich nie rozpuści.

Ligeza uśmiechnął się i podkręcił wąsa.

– O tak, kobiety w naszej Rzeczypospolitej jedynie do starożytnych Rzymianek mogłyby być porównane, tyle w nich godności, gospodarności i obywatelskiego rozumu.

– I piękna, i uroku, i wdzięku – podstarość uniósł dłoń – nie zapominaj o pięknie, panie stolniku dobrodzieju. Bo przecież ja sam widziałem wiele kobiet w wielu krajach, do których to krajów zły czy dobry los mnie zagnał, lecz piękniejszego, wdzięczniejszego i urokliwszego stworzenia niż polska szlachcianka nigdzie nie widziałem.

– A jaka dzielność w ich sercach płonie! – zachwycił się z kolei stolnik. – Głowę dam, że wiele znalazłoby się takich, które samego Mucjusza Scewolę zawstydziłyby odwagą.

Ligęza i Zaremba wzniesli kielichy, by wypić zdrowie Polek, potem napelnili i opróżnili kielichy znowu, gdyż wydawało im się, że jeden toast to zbyt mało z takiej okazji.

– Gdzieżeśmy byli? – Stolnik otarł wąsy. – Hę, panie pułkowniku? Gdzie?

– Zanim waćpanowie peany na cześć białogłów zaczęliście wyśpiewywać? Skończyłem opowieść na tym, że postanowiłem, iż ruszymy do zajazdu, by sprawdzić, czy Czort oraz panna tam się zatrzymali.

– Właśnie! – Ligęza klasnął. – Mówże więc waszmość dalej, mów. Dalibóg, nie pozwalajże nam czekać!

Pułkownik wcześniej rozesłał już część ludzi na cztery strony świata, by za Czortem i Czapską wypatrywali oczy, więc teraz z trzydziestu zbrojnych, z którymi rozpoczął pościg, zostało mu osiemnastu, ale liczył, że i to będą wystarczające siły. No chyba że istotnie liczna kompania gdzieś czekała na raptownika i porwaną pannę. Ale pułkownik wiedział, że nawet wtedy nie jest bez szans, zatrzymał bowiem przy sobie głównie swoich ludzi, a więc doświadczonych rębaczy, co ważne: posłusznych i takich, którym mógł zaufać, że nie cofną się w potrzebie. A poza tym zwykle też tak bywało, że szlachcic idący z pogonią za porywaczem mógł liczyć na wsparcie przypadkowo spotkanych panów braci. Moźni pomagali, kiedy się dowiadywali, że sprawa dotyczy miejscowego posesjonata, a mniej moźni, kiedy im obiecano nagrodę. Dlatego Sperling był niemal pewien, że dziewczynę przyprowdzi z powrotem do domu, miał tylko nadzieję, że zdąży, zanim Czort zawiedzie ją przed ołtarz. Zresztą wtedy panna zostanie wdową i następnym razem za mąż zostanie wydana, tym razem za ojcową zgodą, właśnie jako wdowa, a nie panna. A Serafin Czort będzie mógł co najwyżej z tego powodu biesić się w piekle...

Kiedy zbliżyli się na kilka mil do zajazdu, pułkownik rozkazał swym ludziom zjechać z gościńca i zatrzymać się na popas w lesie, a do Na Rozstajach postanowił wysłać tylko Borkowskiego z jednym z towarzyszy.

– Zaczekamy na was – rzekł – a wy uważajcie, żeby nie wpaść w oczy, komu nie trzeba.

– *A bo mi to pierwszozna, panie pułkowniku? – Borkowski niemal się obraził. – Jeśli Czort będzie w zajeździe, to ja Kubaszewskiego tam za pańskim pozwoleniem zostawię, a sam wrócę z wiadomością.*

Sperling skinął tylko głową, gdyż także uznał, że szybki odwrót z zajazdu dwóch szlachciców byłby podejrzany. A w każdym razie bardziej podejrzany niż odjazd jednego.

– Czort nie wystawił żadnych wart, nawet nie kazał nikomu spoglądać przez okno – powiedział Sperling tonem, który znamionował jednocześnie lekceważenie i niezrozumienie dla podobnego braku ostrożności. – Bóg jednak najwyraźniej nie chciał, byśmy wtedy weszli do zajazdu. Bo kiedy moi ludzie przyczaili się już przy drzwiach, kiedy gotowi byli wtargnąć do środka i Czorta oraz jego kompanów wziąć w niewolę, to wtedy właśnie huknął taki piorun i taka błyskawica przecięła niebo, że jeden z Czortowych kompanionów, zaciekawiony czy przestraszony bliskością gromu, wyjrzał przez okno i zamiast tego, co ujrzyć się spodziewał, zobaczył nas... – Pułkownik zamilkł na chwilę. – Drzwi i okiennice zdążyli zawrzeć, a cały nasz plan, by wziąć ich z zaskoczenia, spalił na panewce. Jedynym pocieszeniem było to, że mieliśmy w środku Kubaszewskiego, który w razie czego mógł się przydać, by na tyłach wroga jakąś dywersję uczynić w chwili, kiedy owa dywersja będzie konieczna i potrzebna.

– Ot, diabli czuwali nad tym panem Czortem – mruknął Zaremba.

– Kto czuwał, nie wiem, grunt, że straszna się rozpętała burza, deszcz lunął taki, że na kilka stóp nie było nic widać, przed oczami mieliśmy ścianę wody. Ale zajazd tak obstawiliśmy, iż niemożnością było, by ktokolwiek się przemknął. I jakby mieli umykać bez koni? Przecież przy drzwiach stajni od razu postawiłem wartowników. Pomyślałem więc, że skoro do kurnika nie zdołałem wtargnąć, to może kogucik sam wyjdzie do mnie na pole, kiedy mocno go poproszę...

– *Waszmość mnie bardzo rozczarowałaś, panie Czort – powiedział pułkownik. – Cześnik twierdził, żeś dobry żołnierz i człowiek doświadczony, a ty dałeś się wziąć niczym śnięta ryba w sak.*

Serafin Czort nie odpowiedział na zarzut, a jedynie zaklął dość paskudnie i wściekle. Najwyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, że człowiek, który go napadł, ma wiele racji w tym, co mówi, choć mowa ta jest wielce

obelżywa, zwłaszcza dla takiego człowieka, który – jak pan Serafin – uważał siebie za lepszego od innych.

– Bieś się, bieś, panie Czorcie – rzekł Sperling wesoło, a to w tym celu, by jeszcze bardziej rozsierdzić porywacza, zwłaszcza że podejrzewał, iż ten nie przepada za przytykami do własnego nazwiska. Kto przepadał? Przecież czasem nie tyle za żart z rodowego nazwiska czy z herbu, czy z jego wizerunku, a za samo podejrzenie żartu lub krzywy uśmieszek można było od polskiego szlachcica oberwać stalą po głowie.

– Waćpan inaczej byś śpiewał, gdybym miał cię na wyciągnięcie szabli...

– A to wychodź... Kto ci broni?

– Już lecę – burknął pan Serafin – a wtedy ta zgraja, coś ją tu przywiódł, zaraz mnie na plasterki posieka.

– O siekaniu mowy nawet nie ma – odpowiedział pułkownik. – Zresztą oddaj mi dziewczynę i ruszaj, dokąd sobie chcesz, choćby i do piekła. Mnie panny trzeba, nie twojej skóry.

Grabowski syknął i spojrzął w stronę Sperlinga, lecz ten tylko skrzywił gniewnie brwi i zausznik cześnika nie ośmielił się odezwać.

– Jak ci panny potrzeba, waćpanie, to ja waćpanu mogę pokazać właściwy dom czy to w Przemyślu, czy kilka znacznie lepszych we Lwowie – kpiąco odezwał się Czort – ale nie wiem, czemu kobiety szukasz właśnie tutaj. Hę?

Sperling dostrzegł, że Grabowski uśmiechnął się ze znaczną satysfakcją. Jak widać, dworzanin cześnika co prawda pana Serafina ścigał, ale raczej go lubił, niż nie lubił. A w każdym razie bardziej lubił Czorta niż Sperlinga.

– Waszmość decyduj: oddajesz córkę cześnika po dobrej woli albo razem z własnym gardłem. Wybieraj, byle szybko!

– Abo mnie się gdzieś spieszy? – leniwie spytał pan Serafin. – Mnie tu dobrze i ciepło, deszcz na głowę się nie leje jak, nie przymierzając, waćpanu. Chcesz waść, to karczmę dobywaj zbrojnie, tylko tych niewinnych ludzi, którzy tu są ze mną zamknięci, weź na swoje, nie moje sumienie. – Głos Czorta zadrżał z żalu.

Pułkownik zerknął w stronę Borkowskiego, a ten skinął głową.

– Jest tam kilku podróźnej szlachty i karczmarz z rodziną. Nikogo szczególnego.

– Mnie nic do twoich więźniów – rzekł Sperling – zginą czy nie zginą, wszystko mi jedno. Ja chcę ojcu odwieźć córkę i uczynię to, choćbym miał brodzić po kolana we krwi. A czy ona, ta krew, winnych będzie czy niewinnych, to już niech Bóg w niebie decyduje...

Przez chwilę za drzwiami panowała cisza.

– Nie ma co, harda sztuka z waszmości – orzekł wreszcie pan Serafin.

– Szkoda, że podobnym komplementem nie mogę się waści odwdzięczyć, bo się boisz nosa zza drzwi wyściubić.

– A mam się nie bać, jakżeście w kilkunastu, a ja sam wyjdę? – zapytał wcale nie obrażony Czort. – Dureń tylko by się nie lękał.

– Waszmość jedynie ze mną będziesz miał do czynienia. Pokonasz mnie, to bierz pannę i jedź, gdzie oczy poniosą.

Grabowski znowu syknął, słysząc te słowa, a pułkownik znowu zgromił go spojrzeniem.

– A jeśli mi Pan Bóg poszczęści, to i cześnikównę będę miał, i ciebie.

– Widziałem dobrze, że waszmość przyjechałeś z ludźmi cześnika. Już ja widzę, jak ci dadzą mnie puścić wolno.

– Tutaj ja decyduję, nie cześnik.

– Gadaaaaaanie...

– Słowo szlacheckie, że jeśli mnie pokonasz, to moi ludzie pozwolą ci odjechać. I do wieczora nikt nie ruszy w pościg. Co ty na to?

– Ze złamania przysięgi każdy klecha rozgrzeszy, jak mu w oczy złotem albo stalą poświecić – powiedział Czort. – Waścine słowa zdadzą się psu na budę, bo nie wiem, ani kto jesteś, ani coś wart, ani tym bardziej co warte są twoje przyrzeczenia. Niechże już lepiej po staremu zostanie: ja tutaj, ty tam, i zobaczymy, co się zdarzy dalej...

Sperling spostrzegł, że Grabowski znowu krzywi usta w uśmiechu. Najwyraźniej cała sytuacja coraz bardziej go bawiła i najwyraźniej rad był z faktu, iż pan Serafin szydzi sobie z pułkownika i upokarza go przed jego ludźmi.

– Waszmość od razu powiedz, że się boisz wyjść na szable, a nie szukasz wymówki – rzekł Sperling. – Coś mi się widzi, że ojciec twój może był i Czort, ale matka chyba z domu Kocica, skoroś ty podszyty taką zajęczą skórką.

Czort roześmiał się wesoło.

– Co ty, mospanku, myślisz? Że teraz gniewem wybuchnę i wylecę do ciebie z szablą w garści i pianą na pysku? Myślisz, żeś trafił na zupełnego durnia? Gadaj sobie, co chcesz, ja mam twardą skórę i byle czyje słowa jej nie nakłują.

Pułkownik przymknął na moment oczy. Poczul, że palce zaciskają mu się w pięści, więc zaraz je poluzował, żeby nie pokazywać przed ludźmi złości, która w tym wypadku byłaby jedynie oznaką niemocy.

– Dam ci zakładników – rzekł wreszcie – oni wejdą, ty wyjdiesz. A jak dane ci słowo nie zostanie dotrzymane, to niech już sobie twoi ludzie z owymi zakładnikami pofolgują.

– Zakładników mówisz... – odezwał się po chwili namysłu Czort. – No może i coś w tym jest, co mówisz... może i tak... Ale kogo mi dasz jako zakładnika?

– A na przykład pana Grabowskiego, dworzanina cześnika – rzekł Sperling i tym razem to on mógłby uśmiechać się z satysfakcją, widząc wyraz oburzonego zdumienia, który zagościł na twarzy Grabowskiego.

– Za mnie to i pięciu takich Grabowskich by nie przeważyło – lekceważącym tonem skwitował propozycję pan Serafin, a pułkownik ze złośliwym zadowoleniem spostrzegł, że tym razem oblicze cześnikowego sługi pokrywa się rumieńcem tak silnym i tak obfitym, jakby go ktoś przed chwilą bez pardonu wypoliczkował.

– Oj, widzę, że waść tylko wymówek szukasz, żeby ze mną nie wyjść na szable. No trudno, skoroś tchórzem się zrodził, to i tchórzem pewnie zemrzesz. Tylko co to za życie, powiedz no mi, panie Czorcie, kiedy trzeba żyć w wiecznym strachu przed zwałą i szablą zacniejszych od siebie?

– Ten zacniejszy to niby ty? – Pan Serafin się zaśmiał, nie dając po sobie poznać ani złości, ani urazy za nazwanie go tchórzem.

Była to godna uwagi wstrzemięźliwość, gdyż przecież na taką prowokację wielu szlachciców wybuchłoby gniewem wzmocnianym przekleństwami czy obelgami. Pan Serafin, jak widać, słusznie jednak uważał, że gniew nic nie da, kiedy on jest tu, gdzie jest, a jego przeciwnik jest tam, gdzie jest, czyli że dzielą ich solidne dębowe drzwi wzmocnione żelazem. Sperlingowi owa powściągliwość się spodobała, ale też dała mu do myślenia, bo z rozmowy zdążył wywnioskować, że będzie miał do czynienia z kimś lepszym, niż sądził na początku. Lepszym, czyli niebezpieczniejszym...

– Grabowski to mało – powiedział Czort kapryśnym tonem. – Zresztą co mi przyjdzie z jego skóry, kiedy moją wygarbujecie?

– Mój przyjaciel i sługa, pan Borkowski, też chętnie pójdzie jako zastaw mojej uczciwości – zaproponował pułkownik. – Nie sądzisz chyba, że własnego człowieka narażę, żeby tobie parol złamać?

– Wszystko zależy od tego, jak bardzo chcesz mnie złapać, jak bardzo lękaś się Czapskiego albo jak wiele Czapski ci obiecał. Kto wie, może cześnikowe złoto osłodzi ci ból po stracie kompaniona? – Pan Serafin zaśmiał się złośliwie. – Tak czy siak, widzę raczej, że posiedzę tu sobie przy winku i przy miodzie – Czort ziewnął nad wyraz głośno i nad miarę ostentacyjnie – a ty karczmę sobie atakuj, jeśli ludzi ci nie żal.

Sperling skinął na Borkowskiego i odeszli kilka kroków na bok, by znaleźć się z dala od ciekawych uszu, a przede wszystkim z dala od uszu Czorta i jego ludzi.

– Obejrzałeś?

– Dokładnie, panie pułkowniku. I widzę, że nie jest dobrze... Wszystko tak ciosane, jakby w tej karczmie miano szturmy odpierać. Grube belki, grube deski, żelazne sztaby. Gorzej, panie pułkowniku: mają tu otwory strzelnicze zasłaniane żelaznymi płytami. Zaczniemy atak, to ludzi nam postrzelają...

– Zupełnie powariował ten karczmarz czy dziedzic kazał mu to zrobić, czy co? – Sperling poczuł, że zaczyna już go złościć cała sytuacja.

– Najlepiej byłoby z dachu przypuścić atak, ale co będzie, jak pannę wtedy uszkodzimy?

– Musi mi ten pan Czort na szable wyjść – syknął pułkownik. – Widzę, że naprawdę nie ma innej rady... Bo przecież ognia tu nie podłożymy...

– Głowę dam, że ten pan Czort grał na zyskanie czasu. – Jacek Zaremba przerwał opowieść Sperlinga. – Ciekawi mnie, co chciał w ten sposób ugrać?

Pułkownik spojrział na podstarościego bez złości, a może nawet z większym szacunkiem niż uprzednio.

– Waszmość, zakładając się pod taką kondycją, głowy byś wcale nie stracił – rzekł – co zresztą jeszcze dokładnie wyniknie z mojej opowieści.

– Ha! – Ligęza klasnął. – Łajdak na pewno czekał odsieczy!

– To również wchodziło w grę – zgodził się Sperling – jednak drugi powód owego przeciągania rozstrzygnięcia spraw pomiędzy nami brał się,

niestety, z innej przyczyny.

– No to mówże waszmość, mów! Nie zostawiaj nas w niezaspokojonej ciekawości! – żywo zakrzyknął stolnik.

– Cóż... w końcu Czort uznał widać, że sprawę przeciągnął, ile miał przeciągnąć, a może pomyślał, że łatwo się ze mną upora i do kresek na pochwie dopisze sobie kolejną, w każdym razie zdecydował się opuścić schronienie i stanąć do walki.

– Chwat – rzekł stolnik.

– Dałem mu trzech zakładników – wyjaśnił Sperling – ale tak myślę, że jakbym żadnego nie dał, to kto wie, czy i tak by nie wyszedł, bo człek to był, jak już mówiłem, dumny i hardy.

– Jakby nazwisko waćpana dopisał sobie do triumfów, pewnie by go to dodatkową chwałą okryło w sąsiedztwie – powiedział uprzejmie stolnik.

– Tak właśnie by było – zgodził się pułkownik, nie siląc się bynajmniej na skromność. – Powiem jeszcze waściom, że o Czorcie mówili, że jakby diabeł miał złote zęby, to Czort by mu paszczę rozwarł i te zęby gołymi palcami powyrywał. Taki to był człowiek... Nic dziwnego, że mnie się nie bał, skoro samego diabła się nie lękał.

– Zuch – odezwał się znowu stolnik.

– Musiałem obiecać, że jego ludzi puszczyć wolno, gdyby jemu samemu coś się przydarzyło, i złożyłem taką obietnicę, chociaż ludzie cześnika na nią cichcem sarkali. Ufam, że cześnik by ich nagroził, gdyby mu przywiedli do ukarania popleczników pana Serafina.

– Nie po bożemu to mścić się na bezbronnych. – Ligęza zmarszczył brwi.

– Ale skoro cześć córki Czapskiego wchodziła w grę, to czy można się dziwić, że cześnik chciał wyrzucić pomstę na tych, co w rapcie pomagali? – nie zgodził się pan Jacek.

– Niby tak, panie Jacku... niby tak... Ale dajmy mówić panu pułkownikowi. Proszę dalej, proszę, mości panie.

– Burza już nieco ucichła, ale deszcz padał gęsty, a na dziedzińcu było pełno błocka, więc kazałem ludziom przyszykować miejsce w stajni i tam miałem zamiar rozprawić się z panem Serafinem – kontynuował pułkownik.

– Zgodził się? – spytał Zaremba, który wiedział, że niektórym szermierzom nawet bardziej odpowiadało, kiedy ziemia była śliska, a w

oczy tłukł deszcz czy śnieg, gdyż liczyli, że przeciwnik w takich podłych warunkach więcej uczyni błędów niż oni sami.

– Czort jedynie prychnął i powiedział, że może walczyć nawet na dachu, jeśli tylko mi to dogadza – odparł Sperling.

– Śmiałek – podsumował stolnik.

– Przyznam, waćpanowie, że pan Serafin szermierzem był wprawnym i sztuczki wszelkie znał, nie tylko te rodzimym naszym szermierzom znane, lecz kilka sztychów, po których wyrozumiałem, iż miał również niemieckich lub francuskich preceptorów, co zresztą oczywiste, gdyż Francuzi i Niemcy chętniej przecież korzystają z rapierów i szpad niż my. Muszę zresztą waćpanom powiedzieć, iż mocno mnie zdziwiło, że Czort wolał fechtować rapierem niż szablą. „Ale czort z nim”, pomyślałem wtedy, gdyż mnie samemu za jedno, czy trzymam w garści szablę czy szpadę, czy rapier.

Stolnik pokiwał głową z uznaniem, bo chociaż wśród polskiej szlachty zdarzali się szermierze, którzy równych sobie nie spotkaliby na całym szerokim świecie, to jednak panowie bracia woleli walkę na szable, a szpady i rapiery zostawiali raczej cudzoziemskim oficerom bądź rodakom całkiem już przesiąkniętym zagranicznym obyczajem. A człowiek, który z równą łatwością posługiwał się rapierem, szablą i szpadą, naprawdę należał do nieczęstych przypadków. Toteż jeśli Sperling mówił prawdę, to jego i Czorta umiejętności zasługiwały na prawdziwy szacunek.

– Z bożą pomocą coś niecoś ze sztuki szermierczej liznałem, toteż walka nasza całkiem pięknie się zapowiadała – kontynuował pułkownik. – Ponieważ obaj fechtowaliśmy rapierami, więc i podejrzewano, że najpewniej tylko jeden z nas wyjdzie z tej wojny żywy. Ja jednak pana Czorta chciałem pokonać i w dobrej kondycji zachować, by Czapskiemu prezent uczynić z jego skóry.

– I rozumiem, że waćpan zwyciężyłeś, panie pułkowniku.

– Nie bez trudności...

Jacek Zaremba zauważył, że Sperling mimowolnym gestem dotknął ramienia, i domyślił się, że zapewne właśnie tam musiało go pogłaskać ostrze pana Czorta, a teraz miejsce to się odezwało, zapewne nie bólem, jednak chociaż przypomnieniem bólu.

– Człek to był, jak wspominałem, doskonale wyszkolony, i ku mojemu zdumieniu, choć serce miał gorące, a rozum raczej płochy, kiedy chwycił za szablę, rzekłbyś, zamieniał się w innego człowieka. W zimnego gracza,

który na żadne brewerie sobie nie pozwalał, w żadnych też gadkach, dowcipach i złośliwościach nie gustował.

Podstarości uśmiechnął się tylko, bo w czasie swej wojskowej i starościńskiej służby poznał wielu takich, którzy w czasie pojedynku lubili a to przemawiać, a to przeciwnikowi dogadywać, a to sadzić mu złośliwości, a to ordynarnie go przeklinać, najgorszych używając słów. Pół biedy, jeśli postępował tak wytrawny szermierz, który widział cel w rozzłoszczeniu wroga, gorzej jednak, że wielu szlachciców postępowało podobnie z płoczej bezmyślności, sądząc, że podobne pogaduszki nie przeszkadzają w robieniu szabłą. Ale przeszkadzały... I o tym wielu się przekonało. Wielu takich, którzy trafili na chłodnego, opanowanego fechtmistrza, co zabijał lub ranił w milczeniu, a po pojedynku obojętnie odchodził, tak jakby dopiero co zjadł posiłek, a nie zabił człowieka.

– Kiedy panu Serafinowi wytrąciłem z rąk oręż i kiedy sztych mu do gardła przyłożyłem, zaraz jego ludzie otworzyli drzwi karczmy. Kazałem ich powiązać, by po pomoc nie pobiegli, ale zgodnie z przyrzeczeniem zamierzałem ich później puścić wolno, a raczej zostawić w zajeździe, by już ich tam karczmarz rozwiązał. A za karę miałem im jedynie zabrać konie oraz oręż.

– Panna cieszyła się z wybawienia czy nie bardzo? – zagadnął Ligęza.

– Panny w karczmie nie było – mruknął Zaremba.

Sperling obrócił się szybko w jego stronę.

– Waszmość więcej o tej sprawie wiesz, niż rzekłeś!

Podstarości uśmiechnął się pod wąsem.

– Jednego z Czortowych ludzi, pewnie jakiegoś młodego pachotka, przebrano za dziewczynę i długie mu przyczepiono włosy, by chłopci, o których Czort wiedział, że pościg będzie ich wypytywać, zaraz gadali, że to panna jechała...

Obaj towarzysze Zaremby, zdumieni, milczeli przez chwilę.

– Panie Jacku kochany – odezwał się wreszcie stolnik – rozumiem, że eksperiencja podobną myśl ci podpowiada, ale skąd, na Boga, wiesz, że ów fortel zastosowano w tym właśnie wypadku?

– Pan pułkownik rzekł, iż chłopci zeznali, że dziewczynę otulały włosy, czyż nie? Która niewiasta udałaby się w forsowną konną podróż, wcześniej włosów nie spiąwszy lub nie założywszy czapki czy choćby otoka? I to nie

tylko dla wygody, lecz i po to, by później w tych pięknych włosach nie mieć piachu, liści i kawałków gałęzi.

Rozochocony Ligęza roześmiał się głośno.

– Ach, panie Jacku, będę miał z waszmości pożytek, już to widzę!

– Kiedy usłyszałem o tych cudnych długich włosach, miałem już pewność, iż uciekający chcieli, by je łatwo dostrzeżono – kontynuował Zaremba – a skoro tak, to znaczy, że panna musiała znajdować się całkiem gdzie indziej.

Sperling oszczędnie skinął głową.

– Masz waszmość rację, panie podstarości. Czort przebrał jednego ze swych ludzi, a kiedy żeśmy owego pachółka znaleźli na piętrze w karczmie, to zaśmiewał się tak, że mało mu brzuch nie pękło.

Jacek Zaremba domyślał się, iż sam pułkownik niewiele w podobnym fortelu znalazł powodów do wesołości.

– Rzecz jasna musiałem się wywieźć, co się stało z Czapską – kontynuował pułkownik – i musiałem poznać prawdę jak najszybciej, gdyż każda godzina działała na korzyść Czorta.

Ligęza skinął głową.

– Moi ludzie podwiesili pana Serafina w stodole, by przygotować go na przesłuchanie, bo, jak sami waćpanowie rozumiecie, nie było czasu na grzeczności, a zresztą wcale ów hultaj na takowe nie zasłużył.

Zaremba skrzywił się lekko. Nie pochwalał podobnego traktowania szlachciców, jednak dobrze wiedział, że często nie ma lepszego sposobu na szybkie uzyskanie zeznań, niż sprawienie komuś wielkiego bólu. Nie raz i nie dwa w czasie trwania publicznej służby pan Jacek miał okazję a to grozić śmiercią podejrzanym, a to kazać ich nieco szturchnąć tu i ówdzie. I kiedy była sprawa z mieszczaninem, chłopem czy luźnym człowiekiem, to podstarości nie miał żadnych wyrzutów sumienia, ale kiedy przychodziło do podobnego przekonywania szlachcica, to już panu Jackowi robiło się trochę ciężiej na sercu.

Sperling wszedł do stodoły, gdzie przez krokiew przerzucono linę, a na tej linie podwieszono za ręce Serafina Czorta. Rozebrany do połowy młodzieniec wisiał na wysokości dwóch łokci od klepiska.

– *Ano, panie bracie, tak to się już stało, że Bóg mnie dzisiaj poszczęścił, a tobie nie...*

Czort splunął jedynie w odpowiedzi, lecz że usta miał wyschnięte, to ślina nawet nie doleciała do butów pułkownika. Ten udał, że nie zauważył, co się stało, i ciągnął dalej spokojnym tonem:

– Waść niedługo powędrujesz pewnie przed najświętszy Sąd Boży, gdzie zdasz Panu naszemu relację ze swych uczynków. – Przeżegnał się przy słowach „Panu naszemu”. – Taaak, to, że przed oblicze Pańskie rychło trafisz, to rzecz pewna – dodał w zamyśleniu – ale staniesz tam w jednym kawałku albo pocięty na plasterki, to już twój wybór. Możesz dotrzeć tam, wiedząc, żeś umarł jak prawy szlachcic, a możesz zjawić się w takim bólu i poniżeniu, że piekielne kotły wydadzą ci się wybawieniem od męki, którą ci zgotowałem...

– Waść zawsze tak dużo gadasz czy jeno przed swoimi pacholami teatrum wyczyniasz niczym jaki komediant? – zagadnął Czort z ciekawością w głosie.

Pułkownik westchnął z żalem i pokręcił głową, trochę niezadowolony, a trochę rozczarowany.

– Podwieście go wyżej – rozkazał – i dajcie na razie dwadzieścia batów, co by rozgrzać jaśnie pana Serafina i tą zakąseczką dać mu przedsmak kolejnych dań.

Wachmistrz Kubaszewski był najpotężniej zbudowanym z ludzi pułkownika, a i jego dłoni bat najlepiej się słuchał, więc to właśnie on stanął za plecami Czorta. Przy pierwszych pięciu uderzeniach pan Serafin wesóło zagadywał Sperlinga i wyrzekał, że jego człowiek ma tak słabą rękę, iż Czortowych pleców nawet nie potrafi dobrze rozgrzać.

– Toż już przemyskie murwy lepiej potrafią w łaźni człowieka schłostać niż ten waściny chłopina. Dawaj mu więcej żreć, panie pułkowniku, bo siły w rękach nie ma!

Po piątym uderzeniu Czort milczał aż do ósmego, lecz po ósmym zaczął wesóło pogwizdywać. Pogwizdywanie przerwał po piętnastym ciosie.

– Więc Sperling się nazywasz, mości panie? – zagadnął takim tonem, jakby chciał nawiązać towarzyską pogawędkę. – Czyli po niemiecku będzie „wróbel”? No patrz waść, a bardziej mi na jakiego ścierwojada wyglądasz... – Roześmiał się chrapliwie, równo z siedemnastym uderzeniem. – A kiedyż to indygenat dostałeś, asanku? Za jakież to zasługi? Może matka twa dobrze obsługiwała jaśnie panów w zamtuzie? – Znowu zarechotał, głośniejsze, bo zobaczył skurcz gniewu, który przebiegł przez twarz pułkownika. – A może ojczulek wiedział, na czyj rozkaz i komu sztylet pod

żebra wsadzić, żeby do herbowej braci dołączyć? No powiedz, mospanku – młodzieniec sapnął wściekle, kiedy dziewiętnasty cios rozorał mu skatowane już, zryte i złane posoką plecy – jak było?

Kubaszewski smagnął po raz dwudziesty i odetchnął głęboko. Opuścił bat wzdłuż cholewy, czekając dalszych rozkazów pułkownika.

– To już? – zdziwił się Czort. – Patrz no waszeć, a ja dopiero zaczynałem się rozgrzewać. Zmęczył się ten waściny oprawca? Dajże mu chociaż łyk gorzałki na wzmocnienie. Ja bym mu ze sto czerwońców dał, gdyby na służbę do mnie się zaciągnął – uśmiechnął się złośliwie – albo i dwieście czerwońców, a po sto wszystkim innym, co tego tu łotra Sperlinga pochwyć i w moje ręce oddadzą! – zawołał z taką mocą, że jego głos na pewno słyhać było w całej szopie. – Nuże waszmościowie, jednego Niemczyny się obawiacie? Komu chcecie służyć? Niemieckiemu oprawcy czy polskiemu szlachcicowi, co złotem sypnie i na zacząć służbę was weźmie?

– Jestem Albrecht Sperling, tak samo dobry szlachcic jak waćpan, a może i lepszy, bo krajowi memu służę, nie prywacie – rzekł pułkownik spokojnie i bez gniewu. – Dziad mój Albert Sperling był pułkownikiem artylerii w wojskach jaśnie oświeconego wojewody ruskiego, a stryj miał honor zostać starostą halickim.

– A pal diabli twego stryja i dziada, asanku! – warknął pan Serafin.

– Moich ludzi nie przekupisz, bo zbyt wiele razem przeszliśmy i nie są tacy głupi, by znaną służbę na nieznany los odmieniać. A jeśli gotowiznę masz jakąś, dobrze, iż to przyznałeś, bo teraz powiesz nam, gdzie jest złoto, a już ja sam między moich ludzi je rozdzielę, jak wypada.

– Bodaj waści diabli wzięli! – Czort roześmiał się i sprawiał wrażenie prawdziwie rozbawionego. – Już daruj mi te obietnice złota i te męki, którym chcesz mnie poddać, też daruj, bo przecież dobrze wiesz, że tyle mam czerwońców, co w kabzie... – Młodzieniec usiłował ruszyć ramionami i syknął z bólu. Ale zaraz znów się uśmiechnął. – Gdyby było inaczej, to ani Czapskiemu bym nie służył, ani o jego dziewczkę się nie upominał.

Sperling skinął głową, co miało oznaczać zarówno to, że słowa swego więźnia przyjmuje do wiadomości, jak i to, że słowom tym wierzy, jak i to, że zgadza się nie torturować pana Serafina, by wydobyć od niego, gdzie schował złoto.

– Waćpan opowiesz mi o pannie Elżbiecie? – spytał grzecznie. – Wyznasz, co z nią uczyniłeś i gdzie ją znajdę?

Czort wyszczerzył zęby.

– Nieglupim. Tyle z życia jeszcze urwę, co znajdzie się przed moim wyznaniem, więc wolę żyć. – Zerknął w stronę szpar pomiędzy deskami stodoły, gdzie przeblyskiwał szkarłat zachodzącego słońca. – Daj Boże, coś się odmieni.

Sperling również zerknął w stronę drewnianej, dziurawej ściany.

– Twoich ludzi złapałem i kazałem powiązać, a wypuszczę ich dopiero, kiedy z tobą załatwię sprawy. Kto ci w takim razie przyjdzie z pomocą?

– A wszystkich złapałeś i związałeś? – zagadnął Czort i mrugnął wesoło. – Żaden nie umknął?

Kubaszewski poruszył się niespokojnie, a pan Serafin, który to dostrzegł, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Twój oprawca widział nas w karczmie i wie, ilu nas było. Wie też, ilu zostało. I coś tak, asanku, zdaje mi się, że te dwie liczby różnią się od siebie.

Sperling odwrócił się w stronę wachmistrza.

– Jak było?

– Głowy nie dam, jaśnie panie pułkowniku. W izbie było ciemno, a ja siedziałem w kącie, jak waszmość pan Borkowski rozkazał. Trudno powiedzieć, jaśnie panie... – wachmistrz pokręcił kudłatą głową – ale niby jak by który umknął?

– A drzwiczkami przez spichlerzyk. – Serafin Czort się roześmiał. – Oj, to widzę, że prędzej czy później, ale pewnikiem będzie tu bitwa – zawyrokował radośnie. – Nie da mi umrzeć okoliczna szlachta, uwierz, asanku.

– Bzdury – rzekł Sperling – a waszmość, co życie tak sobie cenisz, nie wiem, czy niedługo nie zaczniesz żałować, że zbyt długo już żyjesz. I wierz mi na słowo – zbliżył się tak, że gdyby Czort miał wolne dłonie, to z pewnością dosięgnąłby jego twarzy końcami palców – sam błagać będziesz, bym twojej doli ulżył. Sam niedługo już śmierć mateczkę grzecznie poprosisz, by cię do serca przytulila.

Czort ziewnął rozdzierająco.

– Twa mowa, mospanku, lepsza od koca i poduszki. W mig usypia.

Pułkownik się odwrócił.

– Nagrzej żelaza i rób, co trzeba – rozkazał podwładnemu. – Zabaw pana Czorta, może nam jednak dziś pośpiewa, skoro pięknie prosimy...

– *Kiepski mam głos – zapowiedział młodzieniec. – A możesz no, mospanku, ludziom kazać, by drzwi otworzyli? Zawsze miło będzie na słoneczko popatrzeć, skoro już zza chmur wychynęło...*

Pułkownik dał znak, by uchylili drzwi, a kiedy wierzeje się rozwarły, pokazała się wielka, czerwona kula słońca. Czort potrząsnął głową.

– *Szkoda umierać, kiedy tak wiele jeszcze człowiekowi zostało do zrobienia – powiedział bez żalu, po prostu stwierdzając fakt, po czym obrócił spojrzenie na Sperlinga. – Nic waszmość nie możesz uczynić, byśmy obaj wyszli stąd zadowoleni? Powiedz no waćpan, boś przecież, poznałem od razu, człek rozumny. Nie widzisz sposobu, byśmy w przyjaznej komitywie opuścili tę stodołę?*

– *A gdzież to się podzieli mospanek i asanek? – zapytał złośliwie Sperling. – Oj, widzę, że coś inaczej zaczęłeś śpiewać, panie Czort. Powiedz, gdzie jest panna Czapska, a rzecz całą załatwimy i będzie po sprawie.*

– *Co mi po takim załatwianiu, skoro i tak chcesz mnie potem zabić, a mówiąc „po sprawie”, w rzeczywistości powiadasz „po tobie”...*

– *Czapskiemu w drogę wszedłeś, więc musisz za to zapłacić – odparł spokojnie pułkownik. – Za twoją skórę sowicie mi zapłacono, poza tym za rapt na dziewce i tak głowę dałbyś katu zgodnie z prawem oraz obyczajem. A zabić cię wcale nie zamierzam, tylko cześnikowi odwiozę w podarunku...*

– *No to już nie wiem, co lepsze. – Pan Serafin roześmiał się dźwięcznie. Potem spoważniał, pomilczał chwilę, aż wreszcie powiedział: – Panie pułkowniku, i waćpan wiesz, i ja, jak to w naszej Rzeczpospolitej za rapt ścigają. Kto ma szablę i pełną kiesę, ten może sobie wyrokami w kominku palić...*

– *Ale waść nie masz już szabel, a i pełnej kiesy też nie – przerwał mu Sperling – cóż więc mógłbyś mi zaoferować, bym cię wolno puścił i słowo dane Czapskiemu w ten sposób złamał?*

– *Ech! – westchnął Sperling. – Nie ma co, dzielny był człowiek z tego pana Czorta. Łotr i szubrawiec, który z pewnością w piekle na Sąd Ostateczny poczeka, ale jednak dzielny.*

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– *Powiedział? – spytał wreszcie Jacek Zaremba, choć znał przecież odpowiedź.*

– Ano powiedział – z wyraźnym smutkiem odparł pułkownik. – A jak już powiedział, to tak wtedy płakał jak dręczone dziecko. Toteż jak tylko przekonałem się, że nic więcej nie rzeknie, bo nie wie, pozwoliłem mu umrzeć, bo nie chciałem przecież, by Czapski jedynie dla własnej przyjemności, a nie tak jak ja z musu oraz konieczności, go dręczył.

Znowu milczeli długą chwilę.

– Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie – rzekł wreszcie z powagą Ligęza.

– Ano racz – zgodził się Sperling.

– Amen – dodał podstarości.

– Czego się waszmość dowiedziałeś?

– Nie uwierzyłbym pewnie temu Czortowi, gdyby nie to, że jego opowieść stokroć była gorsza od tego, co mógł wymyślić. Może czując bliski koniec i boskich spodziewając się wyroków, postanowił wyznać prawdę, by chociaż tak poszukać namiastki rozgrzeszenia?

Zaremba zastukał niecierpliwie knykциями w blat, a Sperling szybko obrócił na niego spojrzenie.

– Waćpan, widzę, gorączka – rzucił nieprzyjemnym tonem. – Spokojnie, zaraz się wszystkiego dowiesz...

Podstarości skinął jedynie głową.

– Od Czorta wydusiliśmy wreszcie, że nie dla siebie pannę porwał...

– O! – nie mógł powstrzymać się pan Jacek, a i Ligęza sprawiał wrażenie zdziwionego.

– Wiedział, że Czapski nigdy go do rodu nie przyjmie i porwania nie wybaczy, i będzie go ścigać do końca świata. A panna, jak to panna. Rozum u tych białogłów zawsze za sercem idzie, nie odwrotnie. I nawet gdyby się z losem pogodziła, to prędzej czy później ojcu chciałaby paść do kolan i o błogosławieństwo poprosić, więc jej śladem Czapski Czorta by doszedł i pomstę wywarł.

– Tak by właśnie było – zgodził się Jacek Zaremba.

– Czort to wszystko pojął, kiedy Czapski kazał mu czekać tydzień. Głupi Czapski nie wiedział, że Czort listy jego do mnie przejął...

– Zaraz, zaraz...

– ... przeczytał i swojego człowieka z tymi listami wysłał do mnie. A ja temu obwiesiowi nawet dałem dukata, myśląc, że to sługa cześnika. – Sperling znowu uniósł kącik ust.

Pan Jacek aż plasnął dłonią o udo.

– Ot, ten pan Czort coraz bardziej mi się podoba! – zakrzyknął.

– Krew nie woda – pochwalił go również Ligęza.

– Posłuchajcie, waszmościowie, dalej, a wtedy może peany na cześć pana Czorta przestaniecie wyśpiewywać – odparł pułkownik, cedząc słowa, wyraźnie niezadowolony z efektu, jaki wywoływała jego opowieść.

– Ano mówże, waszmość panie pułkowniku, mów! Prosimy!

– Jak widzicie, waszmość panowie, wielce pewien siebie był ten pan Czort i ufam, że samemu diabłu żelazem by w oczy zaświecił, gdyby się na jakiego natknął. No ale pewnie waszmościowie zadajecie sobie pytanie, dla kogóż to on pannę porwał.

– Dla paniątka jakowegoś – burknął Ligęza. – Już my znamy tych ruskich panków, co wierzą, że wszystko im wolno i że prawa na nich nie masz.

Miał rację pan Hieronim, wypowiadając te słowa, bo nie od wczoraj wszystkim w Rzeczypospolitej było jawne, że im kto majątniejszy i im więcej może zebrać szabel w swej obronie, tym silniej zwykł plwać na wyroki trybunałów. Mało to było szlachciców, którzy ufni w swą zbrojną moc woźnym trybunalskim kazali pozwy pożerać, często nie dając niebożątkom nawet wody do popicia? Mało to było szlachciców, którzy z królewskich nawet wyroków sobie kpili, a królewskim rozjemcom w twarz się śmiali? Mało to było szlachciców, którzy wyrokami skazującymi na banicję i infamię mogli delie sobie podszyć, a i tak wiele wyroków jeszcze by im zostało? I skoro możniejsza szlachta mogła tak się zachowywać, to co tu mówić o wielkich magnatach, o tych książętach i wojewodach, którzy własne wojska prowadzali po kilkanaście tysięcy żołnierzy liczące, których majątki pomiędzy najpierwszymi władcami chrześcijaństwa ich stawiały, a niemieccy elektorzy, hiszpańscy grandowie, włoscy książęta czy angielscy earlowie mogliby u nich za świniopasów służyć. Dla takich ludzi za nic były prawa i za nic wyroki, bo ich słowo i prawem było, i wyrokiem. Na własnych włościach każdy z nich nie tylko za króla się miał, ale i za Boga o życiu, śmierci i zbawieniu każdego człowieka decydującego.

– Może staremu sąsiadowi młoda krew zagrała? – poddał pan Jacek.

– Tak myślicie waszmościowie, jako i ja bym pomyślał – wyrozumiale zgodził się Sperling. – Okazało się jednak, że Czort oddał pannę zbójnikom, którzy powieźli ją dalej, do swego zamczku niedaleko

Kiełczawy. Od wielu lat żyła tam rozbójnicza szlachta, obyczajami niewiele lepsza od Wołochów czy beskidników.

– Pewnikiem okupu chcieli! – znowu próbował zgadnąć podstarość.

Sperling nie zgniewał się na to kolejne przerwanie snutej przez siebie opowieści, nawet jakby był rad, że obaj szlachcice nie mogą wykoncypować, co się przytrafiło panie Czapskiej.

– Czego chcieli, tego waćpanowie z dalszej mojej opowieści łącznie się dowiedziecie. Pan Czort sprzedał pannę Czapską tym ludziom i wprawdzie zarzekał się, iż nie wiedział na co im ona, bo podejrzewał, iż rzecz jest jasna: zażądają wykupu, a jak go nie dostaną, to dziewczkę pohańbią.

– Albo z jednym ze swoich wyswatają i w imieniu młodego oraz panny upomną się o włości i majątek cześnika – rzekł Zaremba.

– O! – Pułkownik uniósł palec. – Wać widać, żeś człek bywały i obeznany, bo tak być mogło, a ja więcej niż pewien byłem, że tak właśnie jest.

– Być mogło, więc nie było – zauważył z zadumą Ligęza. – No to prawdziwie ciekaw jestem, jak było naprawdę.

– Powiedziałeś waszmość: „wprawdzie” – odezwał się podstarość. – Wprawdzie Czort zarzekał się, że nie wie, po co tym rozbójnikom dziewczyna. Czyli potem okazało się, że jednak wiedział.

– Potem okazało się, że wiedział – przyznał Sperling. – A co wiedział, wyjawię w stosownym momencie. Na razie było tak, że postanowiłem wracać na dwór cześnika, by zdać mu relację z tego, czego się dowiedziałem, i by dopytać o dalsze instrukcje, gdyż, tak jak waćpanom mówiłem, dług zobowiązywał mnie, by sprawę doprowadzić do końca. A poza tym rzecz się zrobiła poważniejsza, niż sądziłem.

– Bo już na prawdziwą wojnę trzeba było iść – wtrącił Zaremba.

– Tak właśnie było. A jak waszmościowie zapewne zdajecie sobie sprawę, niechętnie szedłbym do owej warowni w Kiełczawie, mając pod sobą ledwo kilkunastu ludzi. Tak więc sądziłem, że od cześnika otrzymam stosowne wsparcie. Zwołamy okoliczną szlachtę, Czapski zapłaci, co trzeba i komu trzeba, i w dwie niedziele staniemy pod Kiełczawą ze stosownym oddziałem. Ufać tylko trzeba było, że przez te dwie niedziele łotrzykowie za bardzo panny nie nadwerężą lub nie przeprowadzą innych planów.

Ligęza machnął ręką.

– Jak mądrzy byli, to dmuchali i chuchali, by pannie krzywda się nie stała – powiedział – bo lśniący nowością diament w lepszej jest cenie niż pokruszony.

Zaremba parsknął, rozbawiony słowami stolnika, i skinął głową.

– W pełni się z waszmością zgadzam, panie stolniku dobrodzieju. Gdyby dziewczę pohańbili albo zabili, głupi by musieli być. Chociaż z taką hołotą nigdy nic nie wiadomo. Starczy, że popiją, trunek im rozum zaćmi i już nieszczęście gotowe. A potem to nawet i żałować mogą, ale co się rozedrze, to się już nie zszyje...

– Chyba że panna dla jednego z nich była szykowana – odezwał się stolnik. – W takim razie pewnie i księżdz mieli na podorędziu, noc poślubna też w takowym wypadku raz-dwa się odbywa i ani panny spytają, czy pokładać się chce z gwałtownikiem. Ale nie zgadujmy, panie Jacku kochany, co tam było czy nie było, tylko niech pan pułkownik z łaski swojej opowiada dalej, bo jakoś nam umilkł...

Sperling, który cierpliwie czekał, aż Zaremba i Ligęza skończą deliberować, skinął jedynie głową.

Pułkownik i jego ludzie spiesznym marszem wrócili na dwór Czapskiego. Sperling tylko ledwo co dawał koniom odetchnąć, gdyż jak najszybciej chciał donieść cześnikowi o tym, czego się dowiedział. Chociaż nikt nie lubi być heroldem żałobnych wieści, to pułkownik przyzwyczał się już do nieszczęść, dramatów i tragedii, jakie spotykają ludzi, a poza tym domniemywał i miał nadzieję, iż sprawa dziewczyny nie jest jeszcze zupełnie beznadziejna, a kto wie, czy nie uda się wszystkiego doprowadzić do szczęśliwego finału. Rzecz jednak wymagała zarówno pośpiechu, jak i zdecydowania. Tu jednak Sperling był w na tyle szczęśliwej sytuacji, iż kto inny miał podejmować decyzje i borykać się z kłopotami, bo w końcu porwano córkę Czapskiego, nie Sperlinga (pułkownik córki nie miał i mieć nie zamierzał).

Cześnik powitał Sperlinga z miną pochmurną i twarzą zaczerwienioną od opilstwa.

– Gdzież moja Elżunia!? – zakrzyknął. – Powiedz waść, że dziewczka w jakim zajeździe odpoczywa, a ty pognałeś przed nią co sił... No powiedźże!

Pułkownik nie zamierzał rozprawiać o tym, co się wydarzyło, na dziedzińcu pełnym ciekawskiej służby, gdzie kto jeno miał uszy, to ich nadstawiał niczym zajęc, aby tylko poznać ostatnie nowiny.

– *Panie cześniku, chodźmy do komnaty.* – Sperling zdecydowanym krokiem podszedł do Czapskiego i równie zdecydowanie ujął go pod ramię. Nachylił się do ucha gospodarza. – *Chcesz waszmość, bym na oczach całej służby zdawał waści raport?* – zasyczał złym głosem, gdyż naprawdę zgniewały go głupota i beztroska cześnika.

Ale może wynikały one z tego, że Czapski tak naprawdę spodziewał się dobrych wiadomości i ani myślał, iż mogło się wydarzyć coś złego. Pewnie w swojej imaginacji już nie tylko brał pomstę na raptowniku, lecz wręcz opowiadał sąsiadom i znajomkom o porwaniu jako o anegdocie. I Sperling mógł się założyć, że jego samego pewnie w owej opowieści by nie było.

Cześnik poczerwieniał jeszcze mocniej, tym razem chyba z pasji, bo nie zwykł, by w ten sposób do niego przemawiano. Szybko jednak zrozumiał, że pułkownik ma rację, pojął też, iż wydarzyło się coś złego, o czym rzeczywiście nie warto rozprawiać na podwórku pełnym służby.

– *Pozwól, waszmość panie pułkowniku, na komnaty* – rzekł Czapski dobitnie, tak aby wszędzie go usłyszano – *wszystko mi w spokoju wyłuszcysz przy winie i wieczerzy.*

Sperling szczerze wątpił, by cześnik miał ochotę na wino lub jedzenie, kiedy dowie się tego, czego dowiedzieć się powinien, ale skinął głową i rzekł równie głośno i niezwykle uprzejmie:

– *Sługa uniżony pana cześnika dobrodzieja.*

Kiedy tylko znaleźli się sami w komnacie, cześnik uchwycił w obie garści kaftan Sperlinga.

– *Gadajże, na miły Bóg, gadaj!*

Pułkownik nie zwykł, by szarpano nim niczym byle chłystkiem, więc strzepnął z siebie dłonie cześnika. Szlachcic, choć pokaźnej tuszy, zatoczył się kilka kroków w tył.

– *Waszmość grzeczności mej nadużywasz* – oznajmił zimnym tonem.

Czapski jeszcze bardziej spotniał i poczerwieniał, dłonie w pięści zacisnął, po czym błyskiem złości w oczach spiorunował Sperlinga. Ale Sperling nie z takimi spojrzeniami się mierzył i nie tacy ludzie wpatrywali się w niego z gniewem lub nienawiścią. Dlatego też spokojnie wytrzymał wzrok gospodarza i odpowiedział wejrzeniem równie chłodnym, co obojętnym.

– *Tak... tak... Wybacz waszmość...* – rzekł wreszcie cześnik i przetarł twarz dłońmi. – *Siadaj, siadaj. Wybacz, lecz ojcowski niepokój w gniew zbyt*

łatwo się przeradza.

– *Nie przynoszę dobrych wieści – powiedział pułkownik. – Pana Czorta co prawda pochwyliłem i teraz on już przed Panem Bogiem Wszechmogącym ze wszystkich swych grzechów się spowiada, ale córki waszmości nie odzyskałem, bo Czort jej nie miał.*

– *Jakżeż to... Jakżeż to nie miał? – wydukał cześnik.*

– *Nie dla siebie ją porwał, lecz dla zbójników, którzy chcą dziewczynę sprzedać w pohański jasyr...*

Czapski oczy szeroko otworzył, jakby piorun go wprost w serce trafił, potem zaryczał potężnym głosem, aż wreszcie zaczął włosy całymi garściami wrywać sobie z głowy.

– *Elżunia! Elżunia, córuś moja najmilsza! – zawył.*

– *To być nie może! – zakrzyknął Ligęza.*

– *Cóż takiego, proszę waszmości?*

– *Waśc mówileś, iż ten Czort to zuchwalec i gorączka, ale z twej opowieści wychodzi, iż to kanalia, łotr i szubrawiec! Jakiż szlachcic chrześcijanina Turkom przeda!?*

– *Nie takie rzeczy widywałem – odparł Sperling z obojętnością. – A w panu Czorcie, cóż... tak myślałem, że dobra w nim było tyle, co płomieni z mokrych desek, za to zła tyle, co dymu z nich. Dzielny był to człek i zuchwały, tego nikt mu nie odmówi, lecz losami bliźnich niewiele się przejmował. Zwłaszcza jeśli w szczęśliwym ułożeniu jego własnego losu przeszkadzały.*

– *Ale żeby szlachciankę oddać w pohańskie ręce... – Czerwony z pasji stolnik pokręcił głową. – A niech tego Czorta diabli w siarce gotują, bo na nic więcej, jak Bóg na niebie, nie zasłużył!*

– *Amen – dodał szczerze pan Jacek.*

– *Ale opowiadaj waśc, panie pułkowniku, prosimy, opowiadaj, boś nie tylko gniew w nas wzbudził, ale i rozbudził wielką ciekawość.*

Sperling spokojnie odczekał, aż cześnik wykrzyczy się i wyplacze, potem do pucharu wlał niemal całą flaszkę wina i puchar wcisnął w dłoń Czapskiego.

– *Pij waszmość! – rozkazał. – Ból zagłuszysz.*

Cześnik posłusznie puchar przechylił do ust i opróżnił, głośno gulgotząc. A nawet szybciej to uczynił, niżby ktokolwiek zdołał w Ave

Maria *dojść do słów fructus ventris tui*¹²¹. *Potem sapnął, zatoczył się do tyłu i opadł na fotel.*

– *Mów wszystko, panie pułkowniku. Mów, nie oszczędzaj starego...*

– Jak chciał, tak wszystko opowiedziałem. Zresztą, jakby nie chciał, i tak bym opowiedział, bo mój to był dług i moja powinność. Od Czorta wydobyłem, co tylko tenże wiedział o Kiełczawie, a że był tam nieraz, więc widział i zameczek, i jego załogę. No i przyznam waćpanom, że nie były to dobre wieści, bo ze słów pana Serafina wynikało, iż Kiełczawa, zajęta przez rodzinę Dobrzańskich, jest silnym zbójckim gniazdem. Może nie orlim, ale na pewno też nie wronim lub wróblim.

– Można było pannę odbić, a można też było negocjować i zbójom zapłacić lepiej od Turków...

– To prawda – zgodził się Sperling. – Okup kazaliby pewnie złożyć ogromny, to obaj dobrze wiedzieliśmy. Ale odbić pannę? – Pokręcił głową. – Kto wie, czy koszta nie byłyby nawet większe? A wynik takiej wojny niepewny. Bo Dobrzańscy wzniesli potężne grodziszczce i tam zbójami się otoczyli, mniejszą szlachtą, taką jak oni, zbiegłym chłopstwem, Wołochami, luźnymi ludźmi, co przybyli, by majątku w rozboju szukać...

– Dużo tego tałatajstwa zebrali?

– Z takimi zbójami ciężko rzec, proszę waszmościów. Raz ich będzie na straży ledwie dziesięciu, innym razem i setka się zbierze. Wszystko zależy od tego, ilu ludzi właśnie na gościńce posłali czy ilu nowych do nich przybyło. O Dobrzańskich od Czorta się dowiedziałem, że ten swój motłoch twardą ręką trzymają, a nawet starają się z niego uczynić coś na kształt wojska. – Kącik ust Sperlinga uniósł się w górę.

– Cześnik znany był pośród szlachty. Nie mógł skrzyknąć rodziny czy znajomych?

– Znany, ale nie lubiany – wyjaśnił Sperling. – Bali się go? To najszczerza prawda. Szanowali? Może i tak, bo człek to był dużej dzielności, a i potrafił sypanąć złotem, kiedy trzeba. Lecz na ziemi ruskiej, waszmość panowie, najlepiej się mają bogaci, szanowani i lubiani. Tacy, co na byle szaraczka i chodaczka nie patrzą z góry, a do serca przytulają, po kielichu wypijają, razem zaśpiewają, wypytają o matkę, ojca i dzieciaki...

– Brat łata – mruknął Ligęza.

– Brat łata – zgodził się Sperling. – A Czapski był to człowiek dumny i wyniosły, w dodatku z dumą i wyniosłością swoją ochoczo się obnosił i

chętnie na innych panów braci z góry spoglądał.

– Wierzę, że w przemyskim czy sanockim takich nie lubią, bo i my takich nie lubimy, co sądzą, że jest mniejsza i większa szlachta – stwierdził Ligęza. – Szlachta, waszmość panowie, jest jedna, i szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie!

– A królem każdy z nas może zostać i cnota się liczy, nie złoto – dodał Sperling, a Jacek Zaremba popatrzył szybko w jego stronę, gdyż był pewien, że dosłyszał drwinę w głosie pułkownika.

– Właśnie tak jest – rzekł z mocą Ligęza i nie wiadomo było, czy słowa swojego gościa wziął naprawdę za dobrą monetę, czy też udał, iż za takową je bierze.

– I co wreszcie postanowił cześnik? – chciał wiedzieć pan Jacek.

– Uznał, że nie zdobędzie siłą gniazda Dobrzańskich, bo wielką wyprawę musiałby powieść, pewnie i w kilka setek szabel pójść pod Kiełczawę, a i to nie wiadomo, czy nie byłoby mało. Poza tym zbójce mogli umknąć albo panny się pozbyć, a wtedy wszystkie przygotowania i poniesione koszta na nic by się zdały.

– Tedy o achillesowym dumał jeno rozwiązaniu, nie o odysowym, które łatwiej i mniejszym kosztem dałoby się przecież przeprowadzić?

– To raczej ja o fortelu myślałem, niżli on – odparł Sperling. – Kiedy napomknąłem, iż można spróbować zdobyć zameczek podstępem i pannę odbić bez wielkiej wojny i oblężenia, a tylko śmiałym szturmem, to jeno machnął ręką i powiedział, że jeśli chcę, sam mogę rzyć po beskidzkich krzakach wycierać i czekać, aż zbójnicy ze swego dworu wyjdą.

Pułkownik zacytował słowa cześnika tonem beznamietnym i chłodnym, lecz Jacek Zaremba był pewien, że Sperling nie zachwycił się tym, co usłyszał od cześnika.

– Co więc postanowił wreszcie Czapski? – zapytał tym razem Ligęza.

– Postanowił, że powiemy, iż panna, nie chcąc oddać swej cnoty gwałtownikowi, nożem się śmiertelnie pchnęła, a nikczemnik Czort nawet zwłok jej nie uszanował i ciało dziewczki wrzucił do rzeki, ale gdzie, tego już się nie wywieźliśmy, bo Czort szezł od ran moją szablą zadanych...

Zaremba i Ligęza spojrzeli w osłupieniu najpierw na pułkownika, potem na siebie nawzajem.

– I waćpan na ten podły pakt przystałeś!?! – spytał wreszcie stolnik z gniewem i oburzeniem.

Wydawało się, że biała skóra pułkownika zblednąć bardziej nie może, a jednak okazało się, że owszem: Sperling pobladł tak, jakby szron osiadł mu na gębie.

– Tak jak waćpanom mówiłem, byłem winien przysługę Czapskiemu – wycedził – a nim waszmość mnie osądzisz czy potępisz, wpierw wysłuchaj, jeśli łaska, historii do samego końca.

Ligęza skinął poważnie głową.

– Jak sobie waszmość życzysz. Słucham.

– Znałem różnych ludzi, proszę waszmościów: łotrów, szubrawców i nikczemników, co własną matkę, siostrę i córkę sprzedaliby do zamtuza, aby tylko mieć złoto na pijatyki i murwy. Ja, waćpanowie, nie chwając się, z niejednego pieca chleb jadłem i niejedno w życiu widziałem, a tak się zdarzyło z woli bożej, że więcej złego niż dobrego. Ale przyznam waszmościom, że po cześniku Czapskim, posesjonacie, co majątkiem i wykształceniem niemal z senatorami mógł się równać, nie takiego responsu się spodziewałem...

Sperling pokręcił lekko głową, jakby cały czas nie mógł uwierzyć, że ojciec postanowił narazić córkę na śmierć i hańbę, aby tylko nie utracić części majątku przez wypłacenie okupu. Jacek Zaremba też niejedno już w życiu widział i wiedział, iż szlachetność postępów niewiele ma wspólnego ze szlachetnością rodu, bo czasem wśród zwykłych szaraczków zdarzali się tacy, którzy poczciwością czynów i myśli przewyższali niejednego karmazyna. A złoto potrafiło uczynić z ludzi niewolników. Bo oto wydawało się człowiekowi, że to on ma majątek, a tak naprawdę majątek miał jego i twardymi pazurami trzymał za gardło, i nie wypuszczał już czasem do końca życia. I sądził taki człowiek, że to własne myśli i sądy nim kierują, a to złoto prowadziło go od jednej grząskiej ścieżki do drugiej...

Sperling pewnie nieco, a może nawet sporo, przesadzał, porównując Czapskiego do senatorów Rzeczypospolitej, ale też prawda to była, iż w województwie ruskim, a potem dalej na wschód: w podolskim, braclawskim i kijowskim, wielkie majątki rosły niczym dobrze wypieczony chleb. I szlachcic średniego majątku i średniego urzędu mógłby sobie takie włoskie książątka najmować do czyszczenia butów albo psiarczyków z nich zrobić, gdyby miał takową fantazję. „Aż dziw – myślał czasem Jacek Zaremba – iż przy takim bogactwie narodu szlacheckiego, bogactwie niemającym sobie równych w całym chrześcijańskim świecie,

Rzeczpospolita wciąż musi borykać się z pieniężnymi kłopotami: a to, by opłacić wojska najemne, a to, by żołd wypłacić własnym oddziałom, nie mówiąc już o funduszach na wznoszenie zamków i twierdz, na wytapianie dział czy na utrzymanie obcych i własnych dyplomatów oraz agentów”.

– Widzicie waszmościowie, stary cześnik córkę kochał mocno, bo przecież wyedukował ją tak dobrze, jakby nie dziewczką była, która przyrodzone ma prawo jeno do rodzenia i hodowania dzieci, ale jakimś księżątkiem, albo jakby na biskupa miała iść.

Jacek Zaremba oderwał się od własnych myśli i znowu skupił na słuchaniu Sperlinga.

– Tyle że Czapski złoto również kochał i wiedziałem, która miłość w sercu jego przeważała.

Ligęza prychnął.

– To mała jedna!

– Ciężko rozstać się ze złotem, gdy się je już w dłoniach popieściło i gdy się człowiek przyzwyczaił, że jego – westchnął Zaremba.

– Panie Jacku kochany, ale krew to wszak krew! – gwałtownie zaoponował stolnik.

– Toteż ja, Boże broń, nie mówię, proszę waćpana, iż słusznie ów Czapski czynił, a jedynie z doświadczenia wiem, jak ciężko ze złotem się pożegnać, bo i mnie przecież zdarzyło się podobnych poznać ludzi.

– Prawda to, że źle być biednym – pokiwał głową stolnik – ale zbyt bogatym być też niedobrze.

Podstarości szeroko otworzył oczy.

– Ależ, panie stolniku dobrodzieju, jak można być zbyt bogatym? – Słowo „zbyt” wymówił z takim naciskiem, a jednocześnie z taką szczerą odrazą, jakby opisywało ono wyjątkowo paskudną rzecz lub czynność. – Ja na ten przykład czuję, że całe złoto Sapiehów, Paców i Radziwiłłów połknąłbym i prosił o jeszcze!

– Młodość! – westchnął stolnik. – Młodość przez ciebie przemawia, panie Jacku, i brak doświadczenia. Wierz mi, że nadmierne bogactwo jest ciężarem, który jedynie niewielu potrafi godnie udźwignąć. Nawet nie zawsze ci, którzy do niesienia go są przyzwyczajeni od pokoleń. A co dopiero mówić o takich, którzy bogaczami stali się w pierwszym pokoleniu!

Zaremba rozłożył dłonie.

– Cóż mi pozostaje, jak nie zgodzić się z waćpanem? Ja przecież fruktów nadmiernego bogactwa nigdy nie posmakowałem ani nie widziałem takiego człowieka, co rzekłby: „dość, więcej mi już nie trzeba”. Cóż więc ja, mizerny chudopacholek, mogę wiedzieć o tym, jak bardzo nieszczęśliwi i dotknięci przez los są wielcy bogacze?

Ligęza prychnął trochę zirytowany, a trochę rozbawiony przewrotnym postawieniem sprawy.

– Z tobą to tak zawsze, panie Jacku, że żartem się wywiniesz – powiedział. – Ale wierz mi, złoto potrafi bardziej zaciążyć niż kamienie.

– Ja z waszmość panem zgadzam się co do joty – odezwał się niespodziewanie Sperling.

– A ja, pozwólcie waszmościowie, ostanę przy swoim – oznajmił podstarości – i powiem wam, że chętnie ciężar niezmiernego bogactwa wziąłbym na ramiona. A jakby mi naprawdę bardzo już ów złoty pakunek zaciążył, to wtedy mógłbym wszystko biednym rozdać i z dobrowoli powrócić do tak zachwalanej przez waćpanów biedy.

Kąciki ust Sperlinga drgnęły i przy odrobinie dobrej woli można byłoby owo drgnięcie uznać za uśmieszek. Ale Ligęza się zachnął.

– W żadnej mierze nie chwałę biedy i tego ode mnie, panie Jacku, nie usłyszysz – rzekł nachmurzony – bo z biedy tyle nieszczęść się bierze, ile, nie przymierzając, z Pandorowej puszkki.

– A największe nieszczęście wtedy, kiedy biedny za wszelką cenę pragnie zostać bogatym – dopowiedział pułkownik ponuro.

– Ot, coś w tym jest, co waćpan powiadasz – Ligęza uniósł wskazujący palec – niewątpliwie coś w tym jest.

– To akurat prawda, wielu widziałem takich, którzy z biedy do bogactwa postanowili dojść nieprawą ścieżką – zgodził się podstarości. – Ale są i tacy, którzy poprzez *crimen*¹²² próbują dojść do małżeństwa, a patrząc na takie przypadki, nie potępicie przecież, waszmościowie, w czambuł całej świętej instytucji i sakramentu?

– Ot, znalazł się obrońca świętej instytucji małżeństwa! – parsknął stolnik. – Daj waść pokój, panie Jacku, gdyż w twoich ustach obrona małżeństwa zaprawdę dziwnie brzmi.

– Toteż ja tylko teorii bronię, nie praktyki, tak jak teoretycznie broniłbym prawa każdego człowieka do chleptania wody, och, za przeproszeniem waszmości, panie pułkowniku, podczas kiedy sam, za

pozwoleniem bożym, wolę się delektować przednim winem, którego waćpan gościom nie skąpisz, a które bez ujmy dla królewskiej godności i królewskiego stołu mogłoby i przed królem Janem stanąć. – Po tych słowach Zaremba kielich podniósł do ust, rzekł żywo: – Zdrowie pana stolnika dobrodzieja, gospodarza naszego i łaskawcy – i do dna wypił.

– A dziękuję ci, panie Jacku kochany, dziękuję – powiedział szczerze już rozpogodzony stolnik.

Zaraz potem wypili zdrowie kochanych gości, potem zdrowie pułkownika Sperlinga, by długo już nie musiał wegetować w ponurej abstynencji, później zdrowie pana Zaremby, aby się ustatkował (sam pan Jacek, słysząc słowo „ustatkował”, skrzywił się lekko), i znowu zdrowie stolnika dobrodzieja, gdyż dawno już nie było pite, a to niegrzeczność w stosunku do gospodarza, i jeszcze dwa razy zdrowie pułkownika, bo i panu Jackowi, i panu Hieronimowi coraz bardziej robiło się żal Sperlinga katującego podniebienie wodą, potem zdrowie pana Jacka, bo raz tylko je pito, a to niepolitycznie, by jednego z gości takim brakiem należytej uwagi postponować, później znowu zdrowie Ligęzy, i to czterokrotnie, bo i za niego, i za jego trzech nieobecnych w domu synów, a potem jeszcze zdrowie drogich gości, o których przecież nie można zapomnieć. Wreszcie za pamięć duszy nieboszczki Ligęzowej i za wieczne odpoczywanie ojca pana Jacka, i za wszystkich towarzyszy, którzy za wolność Rzeczypospolitej oddali życie na wojnach. Potem Zaremba i Ligęza o mało ze wstydu się nie spalili, iż zapomnieli o wychyleniu zdrowia króla jegomości, więc zdrowie to kilkakroć pito i mozolnie celebrowano stosowne życzenia zdrowia oraz długiego i szczęśliwego panowania. Później jeszcze wypito na pohybel królowej Marii, francuskiej murwie niezgodę siejającej wśród synów monarchy, a potem od początku zdrowie gospodarza i kochanych gości. Wreszcie stolnik oraz podstarości zdecydowali, że trza rozpalone głowy ostudzić konną jazdą, a Sperling postanowił im nie towarzyszyć, tylko odpocząć po trudach podróży. I w ten sposób na razie zakończyła się opowieść pułkownika, lecz ten najwyraźniej nie miał za złe, iż jej kontynuacja przeciągnie się na dzień następny, gdyż doskonale przecież rozumiał, że wszystko pod bożym niebem ma swój – właściwy i odpowiedni dla siebie – czas. A coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się nagannym opóźnieniem, może być błogosławioną zwłoką, przedsięwziętą ku temu, by człowiek nabrał podczas jej trwania owej niezbędnej jasności

oraz precyzji rozumowania, cechującej jedynie najwybitniejsze i najświatlejsze umysły.

*

Następnego dnia Ligęza i Zaremba oczekiwali pułkownika w gabinecie.

– Pamiętaj, panie Jacku kochany, że tym razem masz pozwolić skończyć Sperlingowi, tak by opowiedział swoją historię do samego finału, nieszczęśliwego, jak miemam. – Stolnik westchnął. – Wczoraj takeś nas obu tymi toastami, jednym za drugim, zmylił, że czas nam uciekł nie wiadomo gdzie.

– Pokornie upraszam o wybaczenie, stolniku dobrodzieju. Postaram się dziś zachować chwalebłą wstrzeźliwość.

– Jakże ci się widziało wczorajsza opowieść?

– Interesująca – odparł podstarość – ale ponieważ o żadnym „kasztelanie” nie było na razie mowy, więc zdaje się, że to, co najbardziej boli pułkownika, jeszcze przed nami.

– Masz rację, panie Jacku, masz rację. Przyznam ci, że żał mi tego pana Czorta było, kiedy słuchałem wspomnień Sperlinga. Zły to był człowiek, ale jednak kawaler z fantazją... Jak dzielnie zachował się w niewoli.

– Boże nas broń od ludzi z takową fantazją, panie stolniku dobrodzieju.

– Ja w żaden sposób jego złych uczynków oraz postępów nie pochwalam! – zastrzegł Ligęza, wznosząc dłonie. – Bóże się Boga, panie Jacku, nigdy podobnej herezji bym nie wyrzekł. Jeno żał, że tacy ludzie wybierają służbę dla własnej, a nie publicznej korzyści.

– I że do tej własnej korzyści idą po trupach – dodał podstarość.

– Właśnie tak, właśnie tak...

– Kiedy wysłucham opowieści Sperlinga, rad będę, mogąc się z waszmością podzielić swoimi spostrzeżeniami, teraz przyznam tylko, że jedna rzecz mnie nieco zdziwiła...

– Tylko jedna? – prychnął Ligęza. – Skoro tylko jedna, to niełatwo cię zadziwić, panie Jacku kochany.

– Zastanowiło mnie, czemu pułkownik powiedział: „kiedy chwycił za szablę, rzekłbyś: jakby zamieniał się w innego człowieka”, myśląc o

Serafinie Czorcie.

Hieronim Ligęza popatrywał na podstarościego przez chwilę. Wreszcie ruszył niecierpliwie głową.

– O czym ty mówisz, panie Jacku?

– Nie powiedział „chwycił”, ale „chwycił”, tak jakby widział Czorta przy robocie nie tylko wtedy, kiedy się pojedynkowali – wyjaśnił spokojnie podstarości.

Stolnik spojrział na niego krzywo, potem wzruszył ramionami.

– Może widział go wcześniej, może po prostu o nim słyszał. Przecież ponoć ten Czort to głośna była w okolicy postać.

– A czemu rzekł: „za szablę”, skoro sam opowiadał, że w pojedynku fechtowali rapierami? Czyż nie świadczy to o tym, że wcześniej widział, jak Czort walczy szablą?

– Z igły robisz widły, panie Jacku kochany.

– Nie, nie, panie stolniku. Ja głowę dam, że kiedy Sperling wypowiadał owe słowa, to przypomniał sobie więcej niż jedno zdarzenie, którego był świadkiem.

– Ty, panie Zarembo kochany, głową swoją tak łatwo nie szafuj – napomniał go Ligęza tonem pobłażliwym i dobrodusznym – bo po pierwsze: masz jedną i jak ją stracisz, to druga ci nie wyrośnie, a po drugie: zależy mi i na tobie, i na twoim rozumie.

– A jednak coś w tym jest – nie dał się zbyć Jacek Zarembo. – Oni musieli się znać wcześniej, bo później przecież nie mogli...

– Sperlingowi trzeba się pilnie przyglądać – nieoczekiwanie zgodził się stolnik – bo sędzę, że człek to do wielu rzeczy zdolny, i podejrzewam, że niektóre z nich wcale by się nam nie spodobały...

– I ja tak uważam.

– Ale zachowaj umiar, panie Jacku, i uważaj, bo to człowiek wielce czuły na punkcie własnej godności, więc żeby tu nam do jakichś niesnasek nie przyszło.

– Będę jak miód, panie stolniku dobrodzieju. Jak pierniczek lukrowany... – obiecał podstarości.

– Aha, już to widzę... – Ligęza pogroził Zarembie palcem. – Pamiętaj: uważaj.

Sperling zjawił się w gabinecie równo z południem, ubrany tak jak poprzedniego dnia w czerń, ale widać było, że tym razem odzież ma czystą

i wyprasowaną.

– Witam waszmość panów – rzekł od progu i nieznacznie pochylił głowę, co przy dużej dozie dobrej woli można było wziąć za uprzejme powitanie.

– Siadaj, waszmość panie pułkowniku, siadaj – powiedział serdecznie stolnik. – Wielce jestem rad, mogąc cię znowu gościć, i wielceśmy ciekawi dalszego ciągu historii, którą wczoraj zacząłeś nam opowiadać.

– A którą zakończyłeś w chwili, kiedy cześnik Czapski zdecydował, iż córki nie będzie ratować, gdyż od jej życia woli złoto – dopowiedział pan Jacek.

– Tak jest. Dziękuję, że mi waszmość przypomniałeś o czymś, o czym od wczoraj mogłem przecież łatwo zapomnieć – rzekł chłodnym tonem pułkownik.

Ligęza się zaśmiał.

– Nie złość się waćpan, nie złość. Sądzę, że pan Zaremba tak naprawdę nie tobie, ale mnie przypomina, gdzieżeśmy to wczoraj byli, bo wie, że mój stary i pamięć już nie ta co dawniej... Niestety... – westchnął i pokręcił głową.

– W takim razie słusznie pan podstarości zauważył, że skończyłem na tym, jak Czapski odmówił udziału w ratowaniu córki. Cóż więc było robić? Postanowiłem sprawy wziąć we własne ręce i spróbować ocalić pannę, zanim się jej jeszcze większa krzywda...

– Zacnieś waćpan postąpił!

Jacek Zaremba zobaczył, jak Ligęza żywo zrywa się z fotela, a potem przyskakuje do Sperlinga i z impetem klepie go w ramię potężną dłonią.

– Zacnie, zacnie! – powtórzył stolnik rozradowanym głosem.

– Na razie, proszę waszmości, jedynie „zacnie”, gdyż raczyłeś użyć tego słowa, pomyślałem – odezwał się pułkownik, wstając z miejsca. Na jego twarzy pojawił się tym razem lekki rumieniec, co wyglądało, jakby śnieżnobiałe policzki spryskano mu kropelkami krwi.

– Tak czy inaczej: zacnie!

Jacek Zaremba syknął.

– A ty, czego jak wąż syczysz, panie Jacku? – zainteresował się pan Hieronim.

Zaremba ruszył ramionami.

– Bo tak sobie myślę, że na arkan bym takiego ojca wziął i przewiózł kilka mil po chaszczach i wertepach – burknął.

– Dzieci nie masz, więc jeszcze nie wiesz, co to ojcowska miłość. – Ligęza znowu rozsiadł się wygodnie w fotelu i wyciągnął nogi przed siebie.

– Ale przecucie mam, dobrodzieju stolniku, że moje latorośle będą miłować co sił.

– Ty się o te dziatki lepiej postaraj, panie Jacku kochany, a nie w teorii je sobie miłujesz zamiast w praktyce.

Jacek Zaremba machnął tylko dłonią, zrezygnowany, bo wiedział już, że przynajmniej w tej materii najwyraźniej nie przegada pana Hieronima.

– Może lepiej, za permisją waszmości, pozwolimy pułkownikowi opowiadać dalej... – zaproponował.

– No tak, tak! – Ligęza obrócił się w stronę Sperlinga. – Waść opowiadaj, bo historia robi się coraz bardziej zajmująca i wielce ciekaw jestem jej finału, choć nie tak ciekaw, bym miał cię o ten finał wypytać, zanim całej nie opowiesz, jako że sama droga, którą nas wiedziesz w przeszłość, wielce jest, przyznam to, malownicza.

Sperling przez chwilę milczał, a podstarości był pewien, że stara się dojść sensu zdania wypowiedzianego przez Ligęzę. Wreszcie pułkownik powiedział:

– Uprzejmie dziękuję waszmość panu i już spieszę na powrót zabrać cię w podróż, którą raczyłeś nazwać malowniczą, choć, jak waćpanowie się niedługo przekonacie, droga, którą przemierzyłem, raczej krwią niż farbą była malowana.

– Zakończyłeś waćpan na tym, jak zdecydowałeś na własną rękę i bez wiedzy ojca cześnikównę ratować – poddał pan Hieronim.

W podstarościm deklaracja Sperlinga nie wyzwoliła tak wielkiego entuzjazmu jak w stolniku (który nie zawahał się poklepać po ramieniu pułkownika, sztywnego niczym wycior od muszkietu i ku poklepywaniu bynajmniej się nie skłaniającego ani o nie proszącego). Zaremba musiał jednak przyznać, że zamiar był zacny, chociaż ciekawiło go również, jakież były intencje tego zacnego zamiaru. Czy pułkownik Sperling zamierzał bronić panny Czapskiej, ot tak, z dobrej woli i kawalerskiej fantazji? A może sam kochał się w dziewczynie? Albo też liczył na to, że jako *salvator* nieszczęsnej zyska jej szczególne względy, któreż to względy przekuje, za wolą panny, na ołtarzowe śluby, a potem jako mąż upomni się o majątek

czegoś? Kto wie, co roilo się wtedy w głowie Sperlinga? Pan Jacek świadom był, że nigdy się tego nie dowie. Albo to pewność mieć kto może, że jeśli nawet pułkownikowi chodziło jedynie o majątek, nie zdążył już on wmówić sobie (i we wmówienie owo uwierzyć!), iż nie złoto oraz włości miał na uwadze, ale ratowanie cnoty uciemężonej i uwolnienie uciśnionej niewinności? Tak, tak, nie takie rzeczy podstarości widział i nieobcy był mu widok zbrodniarzy nawet, którzy zaklinali się na wszystkie świętości, iż popełniając bezceństwa, starali się jedynie szerzyć dobro, i przekonywali o tym głosem przepojonym łagodnością. Kto wie zresztą, czy tak usilnie nie starali się przekonać sędziów, iż sami zaczynali wierzyć w szczerość wypowiedzianych słów i w to, że mordowali, gwałcili, palili i rabowali, mając zacne intencje.

– Ruszyliśmy o zmroku z moimi ludźmi oraz z owym szlachcicem, sąsiadem pana Czapskiego, którego nazwisko, jak już mówiłem, pozwolę sobie zachować jedynie w mej wdzięcznej pamięci i nie ujawnię go, gdyż i dla samej opowieści niewielkie, jak sądzę, ma ono znaczenie.

Hieronim Ligęza skinął głową, zgadzając się tym samym, że jeśli Sperlinga proszono o dyskrecję i jeżeli ową dyskrecję obiecał, to słowa powinien dotrzymać.

– Ilu waść miałeś ludzi pod komendą? – zapytał.

– Z dwoma podręcznymi owego szlachcica było nas siedemnastu – wyjaśnił pułkownik – i chociaż moi żołnierze byli wyćwiczeni w walce, to jednak nie mogłem się spodziewać, że weźmiemy szturmem gródek z kilkoma dziesiątkami obrońców.

– Pewnie, że nie. Choć kiedy takie hultajstwo się popije...

– I ja na to liczyłem, panie stolniku – skinął głową Sperling – a że się przeliczyłem, to sami usłyszycie z mojej opowieści.

Jacek Zaremba, słysząc słowo „przeliczyłem”, skrzywił się niechętnie, bo smutny ton pułkownika zapowiadał, że wyprawa nie miała szczęśliwego finału, a to źle przecież wróżyło niewinnej pannie, którą na pastwę losu wydała zła ludzka wola i ojcowskie skąpstwo.

– Końmi takiego włóczyć... – mruknął raz jeszcze, w myślach skazując Czapskiego na hańbiącą i okrutną śmierć.

Sperling spojrział na pana Jacka z ukrywanym zdziwieniem, ale po chwili zrozumiał widać, co podstarości miał na myśli, gdyż skinął poważnie głową.

– I ja pomyślałem, że kiedy, da Bóg, szczęśliwie powrócę, to panu cześnikowi odplacę w podobnej monecie, w której on swojej córce posag chciał wypłacić – powiedział z namaszczeniem. – No ale do tego trzeba było pannę Elżbietę żywą wydostać z rąk zbójów, które to zadanie wcale nie zapowiadało się na łatwe. – Pułkownik zapatrzył się w sufit z taką powagą i uwagą, jakby w malowanych belkach chciał wyczytać zapisy z przeszłości. – Cóż będę waćpanów zanudzał opowieścią o podróży w góry, coż będę opowiadał o tym, co znalazło się pomiędzy moją decyzją o ratowaniu cześnikówny a dniem, kiedy związanego jak połec słońiny rzucono mnie pod nogi herszta kielczawskich zbójników?

– Nie, panie pułkowniku, tak nie wolno! – zakrzyknął oburzony Ligęza. – To tak, jakby pan Zaremba opowiadał o bitwie pod Parkanami w ten sposób, że po słowach „zobaczyliśmy na horyzoncie tureckie sztandary” oświadczyłby: „a po wiktorii dobrze sobie popiliśmy”!

– Jeno tu nie było wiktorii ani cienia żadnej chwały, ani nawet bitwy – wyjaśnił spokojnie Sperling. – Ot, wzięli nas jak ryby do saka. Jakby wiedzieli, kim jesteśmy i co zamierzamy...

– Może ktoś z kompanionów waszmości wydał?

– I ja tak podejrzewałem – odparł Sperling – ale się omyliłem. Nikt z moich ludzi ani z ludzi tegoż szlachcica, o którym wspominałem, ani on sam, nie zhańbił się konszachtami ze zbójcami.

– Czy to człowiek, choćby najbystrzejszy, będzie wiedział, co drugi ma w głowie? – odezwał się podstarość z powątpiewaniem w głosie.

– Waszmość sam ocenisz, kiedy wysłuchasz opowieści do końca – odpowiedział pułkownik, tym razem oschle.

– Tak, tak – poparł go Ligęza. – Nie bądź, panie Jacku, taki w gorącej wodzie kąpany, bo skoro wszystkich nie znasz faktów, nie powinienes wyciągać pochopnych wniosków.

– Co prawda, to prawda – przyznał ze skrucą Jacek Zaremba. – Obaj waszmościowie macie słuszność, a ja usta już sznuruję.

– O, z całą pewnością... – sapnął rozbawiony stolnik. Potem odwrócił się w stronę Sperlinga. – Proszę, pułkowniku, słuchamy waszmości...

Sperling musiał przyznać, że ani jego samego, ani jego żołnierzy nawet bardzo nie bito. Ot, niezczędzono im szturchańców, jakich zwykle pijana zwycięstwem hołota nie skąpi godniejszym, a pokonanym wrogom, ale nikogo szczególnie nie dręczono. Pułkownik miał związane i ręce, i nogi, a

ponieważ zbóje ciągnęli go za stopy, więc z początku nawet nie widział, gdzie i po co go ciągną. Wiedział tylko, że znajduje się na zamkowym dziedzińcu, Bogu dziękować, pełnym blocka, bo gdyby dziedziniec ten wybrukowano, to niewiele by zostało ze Sperlingowej głowy.

Ale potem któryś ze zbójów chwycił pułkownika za włosy i pociągnął tak, żeby więzień mógł usiąść. Długo jednak nie posiedział, gdyż zaraz rzucono go na kolana i szarpnięto, by głowę zadarł. Sperling myślał przez chwilę, że zrobiono to, by mu łatwo gardło podciąć, ale okazało się, że na razie nikt nie zamierza robić mu krzywdy. Pułkownik zamrugał, by pozbyć się błotnistej mazi, która zaklejała mu oczy, i wtedy zobaczył barczystego mężczyznę siedzącego na beczce ustawionej na wozie. Mężczyzna był ubrany jedynie w koszulę oraz hajdawery i dłubał sobie w zębach długim i cienkim jak igła sztyletem.

– Waszeć poznałbyś tego człeka? – wtrącił stolnik.

Sperling syknął tylko, jednak nie ze złości, że opowiadanie mu przerwano, lecz najwidoczniej na wspomnienie fizys łotra, który go tak okrutnie pogiębił.

– Czy bym go poznał, waszmość panie? Ja bym matki rodzonej nie poznał, a jego bym poznał. Ja bym słońca na niebie nie poznał, a jego bym poznał. Zresztą... powiem waszmościom, że nietrudne by to było zadanie, gdyż ów samozwańczy kasztelan miał brodę czarną jak smoła, gęstą, szeroką, długą i tak splątaną, że nawet u pątników podobnej nie widziałem, choć wiadomo, że świętość swą ci ludzie okazują, nie myjąc się i nie czesząc...

– ... by nie marnotrawić czasu, który można spędzić na pobożnej modlitwie – dopowiedział Zaremba na pozór poważnym tonem.

– A niech i tak będzie – zgodził się pułkownik. – W każdym razie wszędzie bym tego łotra rozpoznał, to rzecz więcej niż pewna. I po brodzie, i po brwiach grubych i krzaczastych niczym u niedźwiedzia, i po czarnej szmacie, którą jedno oko przewiązywał. Ach, i jeszcze coś: głos miał paskudnie ochrypnięty, choć ciężko przecież mi rzec, czy zazwyczaj tak mówił, czy też właśnie ochrypnął z choroby lub pijaństwa. Zresztą, nie powiem, pasował ten głos do jego postaci...

– *Nazywasz się Sperling, co? – zagadnął czarnobrody mężczyzna i tylną nieprzychylnie na klęczącego w błocie pułkownika. – Naprawdę*

jesteś pułkownikiem czy to tylko przechwałka lub przezwisko, którym małpy wołają cię po zamtuzach?

Więzień zmilczał, bo wiedział, iż w sytuacji, w jakiej się właśnie znalazł, pogrożki lub przekleństwa mogłyby tylko rozbawić wrogów. Zresztą nie miał zwyczaju nikomu grozić, zwłaszcza kiedy żadnych gróźb nie był w stanie wprowadzić w życie, choćby się najusilniej starał. Równie dobrze złapana w sieć rybka mogłaby się odgrażać, że zaraz się wyrwie z niewoli i rybaka pożre ze wszystkimi kosteczkami.

– Mądryś – stwierdził po chwili milczenia kasztelan – śliny i tchu nie lubisz marnować bez potrzeby. Aleś nie na tyle mądry, by w moje ręce nie wpaść. Czegóż ty ode mnie chcesz, pułkowniku Sperling, że niczym zbójca zakradasz się do mojego zamku? Że ludzi moich napadasz? Że wojnę mi wywołujesz, choć ani cię nie znam, ani rankoru żadnego do ciebie nie mam, ani ci nikogo nie ukrzywdziłem... Chyba że ukrzywdziłem, co? – Watażka bystro zerknął Sperlingowi w twarz. – Powiedz: ukrzywdziłem? – Zamyślił się. – Może krewniaka ci zabiłem albo narzeczonej pokazałem, jak to robi prawdziwy mężczyzna... Co? Powiedz no...

Zbóje słuchający słów przywódcy wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Masz gdzieś narzeczoną, to nam ją dawaj! Jak nas dobrze oporządzi, wtedy ciebie wolno puścimy! – wrzasnął jeden z nich.

Czarnobrody odwrócił wolno głowę i spojrzał na krzykliwego podkomendnego. Pod wpływem tego spojrzenia ów człowiek, łotr o łotrowskiej mordzie, tak zbladł, jakby ktoś mu policzki osuszył z całej krwi.

– Wybacz, mości kasztelanie – wyjąkał. – Błagam o... – przelknął ślinę – o wybaczenie.

Czarnobrody dłuższą jeszcze chwilę wpatrywał się w zbójcę i pułkownik ze zdziwieniem zauważył, iż ten krzykacz nie tylko zsiniał, ale że ramiona zaczęły mu drżeć, zupełnie jakby wyszedł z lodowatej kąpieli. Wreszcie kasztelan z powrotem spojrzał w stronę Sperlinga.

– A możesz ty po prostu pachol do wynajęcia, co? Zabójca na zlecenie? Jeśli tak, to kto cię wynajął?

Pułkownik uniósł głowę, tak by spojrzeć wodzowi bandytów prosto w oczy.

– Zbójnikujesz, twoja sprawa, Boga i sądów. Ale że szlachecką córkę znakomitego rodu chcesz poganom sprzedać, toś kanalia, małpa i kurwisyn.

Wśród czeredy wszczął się zamęt, już ktoś chwycił za czekan, najpewniej po to, by Sperlinga zajechać nim w łeb, ale kasztelan uniósł dłoń władczy gestem. I taki miał posłuch wśród swoich ludzi, że żadna już ręka ani żaden głos nie podniósł się przeciw pułkownikowi.

– Turkom ludzi sprzedajemy, to prawda. Oni zawsze potrzebują jasyru, my zawsze potrzebujemy pieniędzy, więc potrzeby nasze w pół drogi się spotykają, ale o żadnej szlachetnie urodzonej pannie nie słyszałem. – Wpatrzył się bacznie w Sperlinga. – Zresztą nie na szlachetność urodzenia patrzę Turkowie, lecz na włosy, zęby, skórę, biodra i piersi. Cóż im po indygenacie w haremowej sypialni?

– Kłamiesz – powiedział na to Sperling.

– A niby czemu miałbym kłamać? – spytał spokojnie zdziwiony kasztelan. – Co by mi przyszło z kłamstwa? Miałbym dziewczkę, na której ci zależy, to bym ci ją chętnie sprzedał. Ale żadnej szlachcianki znakomitego rodu tu nie mamy. Kto ci naopowiadał takich łgarstw?

Pułkownik nie wiedział, czy brać wyjaśnienia zbójnika za dobrą monetę, lecz nie widział też powodu, by ukrywać, skąd pochodzą jego informacje, bo to ani pomóc, ani zaszkodzić nikomu już nie mogło.

– Wyznał mi to Serafin Czort, który w zbójckim procederze cię wspomagał – rzekł.

– No to już ja się porachuję z panem Czortem, kiedy się zobaczymy następnym razem – mruknął kasztelan.

– Za późno – oznajmił Sperling. – Już z kim innym się on teraz rachuje i przed innym, potężniejszym niż twój, sądem stoi.

Czarnobrody prychnął.

– I dobrze mu tak! – zakrzyknął szczerze ukontentowany. – Dawno ja dość tego pana Czorta miałem i jego wyrzutów sumienia, które go oblażyły niczym bąki krowę. Podejrzewam, że zbyt wielką przyjaźnią cię nie darzył, skoro mnie wskazał jako winowajcę. – Roześmiał się i klasnął. – Tak sobie myślę, że pan Serafin uznał, iż którykolwiek z nas drugiemu da radę, to jego, panaczortowe, i tak będzie na wierzchu!

Pułkownik z goryczą pomyślał, że zapewne w tych słowach kryje się prawda i że Serafin Czort do samego końca zachował kawalerską fantazję, która nawet w obliczu śmierci kazała mu tak sprawami pokierować, by jednego wroga skierować przeciw drugiemu. I rzeczywiście, cokolwiek by się wydarzyło, to na jego by wyszło.

– No znowu mi się ten pan Czort bardzo podoba – stwierdził stolnik z takim zadowoleniem, jakby Serafin Czort przemianę zawdzięczał jemu samemu.

– To, że dziewczki nie sprzedał, chwali mu się – przyznał Zaremba – zważ jednak, panie stolniku dobrodzieju, iż rapt to rapt i raptownik gardła dać powinien.

– Ech, panie Jacku kochany... Żeby w naszej Rzeczpospolitej każdy raptownik głowę kładł przed katem, to rok, dwa, a rycerstwo setnie by nam się przetrzebiło. Bo to wszak kawalerska fantazja, by brać samemu, jeśli po dobrej woli nie dają.

– Mniemam, że waszmość pan nie masz córek – rzekł Sperling – gdyż podejrzewam, iż wtedy nieco inaczej byś na sprawę się zapatrywał.

Ligęza nagle spochmurniał i zmarszczył brwi, a Jacek Zaremba był pewien, iż w owej chwili stolnik przypomniał sobie o Hance, którą odhodowano mu we wsi i która teraz trafiła na jego dwór.

– Kłócić się z wami, waszmość panowie, nie będę, bo ja prawo wielce poważam – powiedział pan Hieronim pojednawczym tonem. – Jeno przyznacie sami, że czasem tak się może zdarzyć, iż krew w człowieku tak zawrze, iż chłodna materia prawa w żaden sposób nie potrafi jej przestudzić.

– Częściej bywa, jak waćpan mówisz, niż my, stróże prawa, byśmy sobie życzyli – westchnął Jacek Zaremba.

– A gdzież nam się podziała panna Czapska!? – zakrzyknął nagle stolnik. – Skoro Czort jej nie miał i w ręce owego kasztelana również, dziękować Bogu, nie wpadła, to co się z nią stało?

– I do tego dojdziemy, proszę waszmościów. Na razie pozwólcie, iż wrócimy do Kiełczawy.

Ligęza i Zaremba pokiwali głowami na znak zgody, chociaż wcale nie była ona potrzebna, gdyż pułkownik sprawiał wrażenie człowieka, który opowiadać będzie tak, jak sam chce, a nie tak, jak mu kto rozkaże.

Wśród śmiechu, drwin i naigrawania się zdarto ze Sperlinga odzienie i buty, zostawiając go ledwo w hajdawerach. Nie raz też i nie dwa jakaś pięść lądowała na jego twarzy, a czub buta uderzał boleśnie, czy to pod żebra, czy w łokcie i kolana. Pułkownik jednak nie syknął ani nie jęknął. Zacisnął jedynie zęby i nie stawiał oporu, kiedy go bito i rozbierano, gdyż wiedział, że opór może jedynie rozjuszyć napastników. „Choć może i lepiej by było –

pomyślał – by wybuchnęli złością i gniewem? I by w tej złości lub w tym gniewie uderzyli tak mocno, że aż zabili?” Bo Sperling był pewien, iż ów samozwańczy kasztelan szykuje dla niego coś wyjątkowego i nie da mu tak łatwo umrzeć. Wreszcie pułkownika przeciągnięto pod ścianę i tam wrzucono na stary drabiniasty wóz. Jego ręce i nogi przywiązano do prętów, a jeden ze zbirów usiadł tuż obok niego. Uśmiechnął się, pokazując pokruszone, szerniałe zęby.

– Patrzajcie no uważnie, jasnie panie – przykazał z wyraźną drwiną w głosie – bo to dla was nasz zacny kasztelan wyszykował wielkie teatrum. By was rozweselić i zabawić.

Pułkownik nic nie odpowiedział, tylko przypatrywał się, jak kilku ludzi kasztelana wciąga na środek dziedzińca długi, gruby pień. Sam kasztelan cały czas siedział na beczce i nieustannie dłuwał sobie sztyletem w zębach.

– Oj, polecą główeczki waćpanowych żołnierzyków, oj, polecą. – Drab siedzący obok Sperlinga się zaśmiał. – Naszatkuje ich tam nasz Dziadko niczym łbów kapuścianych.

Pułkownik znów ani się nie odezwał, ani nie drgnął. Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w środek dziedzińca i w wielkiego zbira z toporem. Dziadko, szeroko się uśmiechając, stanął obok pnia. Wcześniej wchodzącego na podworec oprawcę przywitały serdeczne nawoływania i oklaski obwiesiów.

– Hu, ha, machnijże! – zawołał ktoś z tłumu.

– Machnij, machnij! – poparły go zaraz inne głosy.

Olbrzym uśmiechnął się jeszcze szerzej, oparł topór o udo, popluł w dłonie, znowu ujął broń, ale tylko do prawej ręki, chwytając za najbardziej oddalony od ostrza koniec styliska, po czym uniósł topór nad głowę i bez wysiłku zatoczył w powietrzu kilka szybkich młyńców. Sperling nie mógł się powstrzymać i aż cmoknął z podziwu, bo też dawno nie widział podobnego popisu siły.

– Mocny nasz Dziadko, co? – Siedzący obok bandyta zaklaskał i spojrzał na pułkownika przychylniejszym wzrokiem, tak jakby uznanie dla siły oprawcy połączyło ich jakimiś niewidzialnymi więzami porozumienia.

Albrecht Sperling nic nie odpowiedział, gdyż nie widział powodu, by w obliczu nadchodzącej śmierci pospolitować się z byle kanalią. A ten też nie oczekiwał chyba żadnego responsu, bo tylko uśmiechał się do własnych myśli.

– Cóż tu gadać dalej... – pułkownik wzruszył ramionami – ci hultaje wyprowadzili moich ludzi, związanych i pobitych, a potem jednego po drugim ów Dziadko ścinał na pniu, aż dziw brał, iż ani się nie zmęczył, ani ręka mu nie drgnęła, bo ciął czysto, porządnie, lepiej nawet niż dobrze wyszkolony kat.

– Może to i był kat, kto ich tam wie... – mruknął Jacek Zaremba.

– Może i był – zgodził się Sperling. – Moi żołnierze, nie powiem, nie dali chamom satysfakcji, by ich strach oglądano czy cieszone się z próśb o litość. Dali głowy jeden po drugim, a do pnia podchodzili krokiem takim, jakby na paradzie przed hetmanem się pokazywali, a nie szli na Sąd Ostateczny. No i tak nie minęły dwie godziny, a wszystkich ścięto.

– Wszystkich żołnierzy waszmość panu wybili? – zapytał z niedowierzaniem Ligęza. – Na Boga, wszystkich!?

Sperling zacisnął usta.

– Ile razy będziesz waść żądał, bym powtórzył, że wszystkich? – odezwał się w końcu. – To byli moi ludzie, ale również towarzysze walki i bracia w żołnierskiej niedoli. Wszystkich znałem jak zły szeląg. Jak psy ich sobie wytresowałem...

Pan Jacek pomyślał, że to chyba był powód złości pułkownika: nie myśl, iż żołnierzy mu wybito, lecz że wybito tych, których sam wyszkolił. Wróg ugodził nie tylko w nich, lecz pośrednio w samego Sperlinga. Bo skoro pułkownik tych ludzi tresował, a oni zginęli, to znak to był, iż szkolenie owo nie takie było, jak trzeba, a i umiejętności preceptora pozostawiały wiele do życzenia. Podstarości ciekaw był, czy Sperling w ogóle sam przed sobą przyznaje się do podobnej myśli, ale przypuszczał, że raczej nie. Zapewne sam już uwierzył, iż mścić się chce za ludzi, a nie za urażoną ambicję.

– A na moich to wszystko uczynił oczach tylko w tym celu, by mnie pognać. Sądziłem, że kiedy wszystkich moich żołnierzy wysiecze, wtedy wreszcie mnie się dobierze do skóry, i mogłem przypuszczać, iż ostatnie moje chwile nie będą należały do lekkich. Okazało się jednak, że ów kasztelan – pułkownik, wypowiadając samozwańcze miano, nie zdradził nawet tonem głosu, jak bardzo gardzi zarówno człowiekiem, jak i jego tytułem – co innego dla mnie przeznaczył.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, gdyż i stolnik, i podstarości nie chcieli poganiać Sperlinga.

– Umyślił mianowicie, że sprzeda mnie w turecki jasyr, a więc taką przyszykuje mi dołę, od jakiej ja sam innych ludzi chciałem ratować. – Skrzywił usta. – Nie skłamię, gdy powiem, iż wolałem taki los, niż gdyby zamęczył mnie na dziedzińcu tego zbójeckiego zamku dla zabawy i na widowisko swych ludzi. Bo póki serce bije w piersi, póty jest nadzieja.

Ligęza skinął poważnie głową, słysząc te słowa, ale nie przerywał pułkownikowi.

– O wielu słyszeliśmy takich, co z tureckiej czy tatarskiej niewoli z życiem uchodzili, więc i ja miałem nadzieję, że prędzej czy później drogę na wolność znajdę. Okazało się jednak – tym razem pułkownik pozwolił sobie na uśmiech – że wcale nie będę musiał długo czekać. Wybawienie przyszło z niespodziewanej strony... – Sperling zawiesił głos po to, by zyskać chwilę na upicie łyka wody z kielicha.

– A toś mnie waćpan wielce zaciekawił – odezwał się stolnik i również sięgnął po kielich, ale swego podniebienia nie plugawił wodą, lecz błogosławił przednim maślaczem. – Na pewno waść, panie pułkowniku, przy wodzie pozostaniesz? – spytał, kiedy oderwał już kielich od ust. – Nie chcę cię od ślubów odwodzić, ale przyznam szczerze, żal patrzeć na taką mękę człowieka...

Pułkownik nieznacznie pokręcił głową.

– Uprzejmie dziękuję waszej mości, ale jak powiedziałem, pozostanę przy wodzie. Choć mam nadzieję, że jeszcze kiedyś lepszego napitku zasmakuję. Ale to dopiero wtedy, kiedy owego łotra żywcem obłupię ze skóry albo chociaż dowiem się, że z innej zginał ręki.

– Bóg da, a u mnie, waszmość panie pułkowniku, wyjaśnisz tajemnicę lub chociaż zbliżysz się do jej wyjaśnienia.

Sperling uprzejmie pochylił głowę, lecz Jacek Zaremba nie dostrzegł, by słowa stolnika tak naprawdę wywarły na pułkowniku jakiegokolwiek wrażenie. Bo też rzeczywiście było to jedynie obiecywanie gruszek na wierzbie i na razie ich wszystkich na smyczy wodziła jakaś obca, nieznana i najpewniej nieprzychylna dłoń.

– Bóg jednak waszmości dopomógł i, jak już nam powiedziałeś, do niewoli Turków nie trafiłeś. Cóż takiego się stało? Cóż za cud spowodował, że z owej strasznej opresji zdołałeś się waść wyrwać?

– Nie tyle zdołałem się wyrwać, ile mnie wyrwano – sprostował Sperling, nie wstydząc się bynajmniej owej szczerości. – Oto kiedy wieziono mnie wraz z innymi więźniami na południe, Bóg chciał, byśmy

napotkali poczet możnego szlachcica. I Bóg chciał, że ów szlachcic okazał się człowiekiem zarówno mężnym, jak i nieobojętnym na krzywdę innych. Krótko mówiąc, uratował nas, jednych zbójów wybił, a innych przegnał. Szczęście wielkie mieli, że żadnego żywcem nie pochwycił.

– Ów kasztelan był między nimi?

– Nie, proszę waszmościów, on się pospolitymi sprawami nie zajmował. Siedział w Kiełczawie niczym jaki władca i tylko rozsyłał oddziały z nikczemnymi misjami to tu, to tam.

– I co się dalej zdarzyło?

– Wróciłem, przysięgając sobie, że pomszczę śmierć moich ludzi i moją hańbę. – Sperling zapatrzył się w ścianę martwym wzrokiem. – Poruszyłem kilka strun, które poruszyć potrafiłem, a że znałem niezgorzej pana starostę przemyskiego, więc przekonałem go, by ludzi mi dał i pozwolił pójść z wyprawą na ową Kiełczawę. Powiem waszmość panom, że nadziei sobie szczególnej nie robiłem, gdyż byłem przekonany, że mam do czynienia z lisem, który norę zaraz opuści, kiedy tylko usłyszy psie szczekanie. A samozwańczy kasztelan wiedział na pewno, że w województwie zrobiło się głośno o jego sprawkach i prędzej czy później trzeba będzie z nich zdać rachunek.

– Uciekł... – nawet nie zapytał, a stwierdził stolnik.

– Ano uciekł – przyznał ze smutkiem pułkownik. – Bóg nie pozwolił, by moja ręka go ukarała za wszelkie zbrodnie, jakich dokonał. Pewnie by nie uciekał, gdyby chodziło o zwykłe zbójowanie, ale sprzedawać dobrych chrześcijan Turkom – pokręcił głową – to jednak вина wielka i niezmarywalna. Wiele szlachta jest w stanie wybaczyć, lecz takich rzeczy nie wybacza. Poza tym – Sperling skrzywił usta – rozpuściłem wieści, że to nie żaden szlachcic, ale zbuntowany chłop, który powstanie wzniecił, dziedzica swego ubił i z Wołochami się kuma oraz chłopów namawia do zbiegostwa i by powstałi przeciw dziedzicom.

Ligęza się roześmiał.

– Toś waćpan, panie pułkowniku, utrafił brać szlachecką w słabiznę, nie ma co...

– Ba, kazałem też rozpowiadać, iż ów czarnobrody kasztelan rozsyła szpiegów po dworach, by donosili mu, gdzie mieszkają co piękniejsze szlachcianki, gdyż zamierza je porywać i przedawać do tureckich haremów.

Tym razem roześmiał się Zaremba.

– Kilku takich pewnie by się znalazło, co żony lub siostry chętnie by wystawili na gościniec, aby tylko ktoś je zechciał zabrać. Wierzę jednak, że akurat tych panien i pań to w tureckich haremach by nie chciano.

– Panie Jacku kochany – Ligęza się skrzywił – toż nie wypada kpić w tak poważnej materii. I co – z ciekawością spojrzął na Sperlinga – mocno uchwyciła nasza szlachta ten haczyk, który waszmość z taką znajomością ludzkiej natury jej rzuciłeś?

– Chwyciła dobrze – przyznał z zadowoleniem pułkownik – zwłaszcza że półgębkiem również wspominałem o wielkich bogactwach po brzegi wypełniających piwnice kielczawskiego zamczyska. Tak więc szlachta rzeczywiście się na haczyk złapała, choć jak to zwykle u nas, trochę trwało, zanim panowie bracia zebrali się wreszcie w kupę.

Pan Hieronim pokiwał smutno głową.

– Tak to już jest z naszą szlachtą, że wyrwać ją na dłużej z rodzinnych pieleszy, to jakbyś drzewo z korzeniami wyrywał.

– No i kiedy w końcu ze szlachecką gromadą oraz chorągwią, którą pan starosta przemyski wielkodusznie oddał pod moją komendę, dotarliśmy do Kielczawy, to w zamku jeno puste ściany straszyły. I mówię to nie w przenośni, lecz literalnie, ci zbójnicy wywieźli bowiem wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

– Niedobrze, niedobrze... – Ligęza pokręcił głową. – Panowie bracia, jak mniemam, nie byli zachwyceni?

Sperling lekko wzruszył ramionami.

– Ja się kapryсами i humorami innych ludzi nie zwykłem przejmować, fakt jednak faktem, że w obronie własnej godności musiałem dwóch szaraków tego opłazować, a jednego ze znamienitszych szlachciców przemyskiego powiatu mocno poszczerbiłem, kiedy był tak nieuprzejmy, że czynił przytyki do sensowności naszej wyprawy i mojego nad nią dowództwa.

– Rozbójnik uciekł, więc pewien sukces waszmość odniosłeś – wielkodusznie stwierdził podstarość.

– I tak, i nie – powiedział Sperling. – To prawda, że wygodnego gniazdko go pozbawiłem, lecz wiedziałem również, iż niebawem łotrzyk znajdzie sobie nową kryjówkę.

– Tak to z rozbójnikami jest jak, nie przymierzając, z pluskwami. Z materaca wytrzepiesz, zaraz w poduszkę wejdą... A żrą, a szkodzą...

– Waćpanowie nawet pojęcia o tym, za waszym przeproszeniem, nie macie – przerwał Zarembie Sperling. – W Wielkopolsce, na Kujawach czy Mazowszu szlachta do szabli ma prędką rękę, to wiemy. Ale nie ma tu u was zbójceckich gniazd, fortalicji ukrytych wśród gór i nieprzebytych lasów, z których rozbójnicy nękają podróżnych, okolicznych chłopów, a nawet napadają na miasta i miasteczka. Nie ma u was band, które zza granic przychodzą, a potem w razie niebezpieczeństwa zapadają gdzieś na Wołoszy, Bukowinie lub Dzikich Polach, gdzie ich znaleźć niepodobna, bo to jakoby szukać ziarenka piasku na brzegu rzeki. A nasi panowie bracia? Toż oni czasem bardziej zbójów przypominają niż szlachetnie urodzonych, a rabują i mordują na zlecenie tych, którzy więcej im zapłacą.

„Coś mi się zdaje, ptaszku, żeś ty bardzo podobny do tych, na których tak brzydko kraczesz”, pomyślał Jacek Zaremba, ale zachował kamienną twarz, słuchając słów pułkownika.

– Im dalej na wschód Rzeczypospolitej, tym surowsze można napotkać charaktery – zgodził się z pułkownikiem Ligęza.

– Surowsze... – powtórzył Sperling i kącik jego ust uniósł się do góry. – Niech waćpanu będzie, że surowsze, skoro tak to raczyłeś nazwać.

– Twarda ziemia wymaga twardego serca – stwierdził stolnik. – Nie sądzę waćpan, że ja tego nie wiem. Waść, panie pułkowniku, nie myśl, że zawsze na gospodarce spokojnie siedziałem, bo bardzo byś się omylił.

– Boże broń, jeśli uraził waszmości – odparł po chwili Sperling, choć widać było, że słowa nawet zdawkowej skruchy ciężko przechodzą mu przez gardło.

– Na Dzikich Polach i ja wojowałem – pan Hieronim zapatrzył się w przestrzeń – i pod Zbarażem się biłem, i pod Zborowem, i pod Beresteczkiem, gdzie zdrajcę Chmielnickiego pognaliśmy tak, że nie tylko wszystkie zagrabione bogactwa pogubił, ale mir, który jeszcze miał u Kozaków, do szczętu stracił.

– Wielka bitwa – powiedział zamyślony Sperling, a w jego głosie dało się usłyszeć coś w rodzaju żalu, iż nie mógł w tym wydarzeniu uczestniczyć.

– Największa w świecie. Tam krewniak mój, miecznik przemyski, położył głowę na chwałę Rzeczypospolitej. I wielu innych wojowników zginęło z rąk kozackich i tatarskich. Ale buntowników ubiliśmy ze sto tysięcy, jak nie lepiej – stolnik uśmiechnął się z satysfakcją, a dłonie zacisnął w pięści – i wszystkie odzyskaliśmy zagrabione bogactwa. Cały

skarbiec chana, cały skarbiec Chmielnickiego. Ba!, Chmielnicki tak szybko dyla przed naszą szlachtą dawał, że zostawił wszystkie dokumenty, listy, pieczęcie, tajne umowy... – Ligeza się roześmiał. – Tchórz to był zawsze, tym razem jednak w tchórzostwie wszystkich przegonił.

– Potem zapił się na śmierć z rozpaczy i szczył tak podle, jak podle żył – dokończył podstarość.

– A Kara Mustafa, który dowodził Turkami, również, jak pan Jacek nam opowiadał i jak od innych słyszeliśmy, podle dokonał żywota. Prawda, panie Zarembo?

– Tak jest, panie stolniku dobrodzieju. Po dwóch klęskach, pierwszej pod Wiedniem i drugiej pod Parkanami, która *nota bene*¹²³ była największym triumfem chrześcijańskiego rycerstwa nad poganami w dziejach świata, sułtan wysłał posłów do wezyra Mustafy. Owi posłowie przywieźli mu w darze trzy jedwabne sznury. Toteż i Kara Mustafa na tych właśnie sznurach się powiesił.

Stolnik i podstarość roześmieli się z zadowoleniem.

– Taki to obyczaj w owym bisurmańskim narodzie, że przegrany wódz nie tylko stanowisko oddaje, ale i głowę – rzekł Ligeza. – Ale zważcie waćpanowie, że ta praktyka wcale jakowegoś geniuszu militarnego w tureckich dowódcach nie wyzwala, bo Turków biliśmy przecież nawet wtedy, kiedy mieli przewagę pięć do jednego.

– Podobnie było pod Parkanami – zauważył Jacek Zarembo – sześćdziesiąt tysięcy tureckich trupów naliczono po bitwie, a naszych żołnierzy poległa zaledwie garstka. Chociaż po pierwszym dniu batalii wcale nie wyglądało na to, że nasz król tak bezprzykładny odniesie triumf.

– Wielka bitwa – powtórzył Sperling.

– Waćpan się nie frasuj, bo młody jeszcze jesteś. – Ligeza usłyszał smutek w głosie pułkownika, więc postanowił go pocieszyć. – Zanim się zestarzejesz, na pewno niejedną jeszcze wielką bitwę stoczymy i niejedną odniesiemy znamienitą wiktoryę. Zdążysz jeszcze pogańskich łbów napłatać.

– Pogańskich czy heretyckich, wszystko jedno. – Pan Jacek machnął dłonią. – Powiem waćpanom, że Pan Bóg chyba nawet woli, kiedy heretyków szatkujemy, bo herezja dla naszego katolickiego narodu gorsza jest nawet niżli pogaństwo.

– A jak tę tezę uzasadnisz, panie Jacku?

– Ano tak, że przecież katolik na muzułmańską, psią wiarę nie przejdzie, a kalwińskich czy luterzańskich ministrów często gęsto wysłucha i wyrzeknie się świętych nauk Kościoła, by w owym przeklętym zabobonie uczestniczyć. Tedy herezja bardziej nam zagraża niż pogaństwo, tak przynajmniej sędzę.

– Ja jestem kalwinem – stwierdził Sperling obojętnym tonem.

Podstarości setnie się zmieszał i w tym pomieszaniu wąs szarpnął, dłonie zatarł, cmoknął ze zdenerwowaniem.

– Waść wybacz, pułkowniku Sperling – odezwał się wreszcie – w żadnym wypadku nie chciałem uchybić godności waćpana...

– Czyli moją wiarę nazwałeś przeklętym zabobonem z szacunku dla mnie? – zainteresował się Sperling.

– Ja przyjaciół miałem i mam wśród luteranów, kalwinów oraz prawosławnych, a przed szwedzką wojną i arianin się w kompanii trafił – rzekł z mocą Ligęza, przerywając tę wymianę zdań, która do niczego dobrego nie mogła zaprowadzić – i powiem wam obu, waćpanowie, panu, panie Zarembo, i panu, pułkowniku Sperling, że nie głoszona wiara świadczy o człowieku, lecz dokonywane uczynki. Nie to jest ważne, z jakich książeczek człowiek czyta modlitwy, ale to, czy stosuje się do zawartych w owych książeczkach zasad i do boskich przykazań. Bo wołę prawego heretyka od nikczemnego katolika. – Stolnik utopił surowe spojrzenie w twarzy pana Jacka. – Przyznasz mi chyba waćpan rację, panie podstarości?

– I ja przecież miałem przyjaciół, którzy paskudnemu... znaczy: którzy inną wyznawali wiarę – poprawił się szybko Zarembo. – Aby tylko człowiekowi w oczy nie świecili onym pluga... odmiennym obyczajem, chciałem rzec.

Ligęza przymknął tylko oczy i odetchnął głęboko. Chciał się odezwać, jednak nie pozwolił mu na to pułkownik.

– Ja mojego Boga nie mam zamiaru bronić, bo jeśli silny, łącznie obroni się sam – oznajmił – więc domowemu mirowi waćpana w żadnym wypadku i w niczym nie uchybię. Znam bowiem ważniejsze powody do bitki niż to, w jakim kościele się modłę. Pan podstarości ma swoje zdanie o heretykach i nie ja będę go nawracać. Ani księgą, ani... – skrzywił usta – mieczem.

– Chwali się waćpanu podobna cierpliwość – powiedział serdecznie gospodarz.

Jacek Zaremba, mimo iż sam był mocno skonfundowany, gdyż w żadnym wypadku nie pragnął zwady ze Sperlingiem, zauważył, że stolnika potężnie zdziwiły słowa wypowiedziane przez gościa. Bo też podobna tolerancja nie była częsta w Rzeczypospolitej, gdzie katolicka szlachta wadziła się z luterańską i kalwińską, a każdy każdego wyzywał od odstępców i kłamców. Inna rzecz, że nie znała przecież Rzeczpospolita tych wielkich religijnych wojen, które spustoszyły Niemcy i Czechy, których zaznały i Szwecja, i Francja, i Hiszpania. Szlachta mogła się wadzić, za szable chwytać, gorące łby (zwłaszcza podlane trunkiem) świeżą krwią studzić, ale do toczenia wojen miała ważniejsze powody, niż kto w jakiej się modli świątyni. Toteż sprawy, dla których we Francji czy w Niemczech wymordowano dziesiątki tysięcy szlachty oraz mieszczan, w Polsce co najwyżej były powodem do miejskiego tumultu, który najczęściej kończył się tym, że rozgorączkowanych panów braci zamykano w wieży, a felczerzy musieli okładać poranione łby chlebem i pajęczyną. Nigdy w Polsce nie było podobnego wydarzenia jak rzeź protestantów we Francji nazwana nocą świętego Bartłomieja, nigdy w Polsce królowie nie skazywali poddanych odmiennej wiary za to tylko, że w inny sposób modlą się do Boga, jak to się działo w Anglii, nigdy nie pustoszo kraj w czasie religijnej wojny, jak to bywało w Niemczech, i nigdy wreszcie nie prześladowano obywateli i ich rodzin tylko dlatego, że podejrzewano, iż nie są dobrymi katolikami, jak miało to miejsce w Hiszpanii. To Polska w świecie okrutnego fanatyzmu i religijnej nietolerancji była ostoją wolności. Również, a może przede wszystkim, wolności myśli, gdyż szlachta tak wysoko ceniła każdy rodzaj wolności, iż nie wyobrażała sobie, by nie mogła również wybierać swobody modlenia się w jakiej jej się spodoba świątyni.

– Czy nie tak, panie Jacku?

Wyrwany z zamyślenia podstarość dostrzegł, że pan Hieronim spogląda na niego uważnym wzrokiem.

– Oczywiście, panie stolniku dobrodzieju, jak waszmość rozkażesz – odezwał się pospiesznie, nie wiedząc co prawda, na co się tak właściwie zgadza, lecz podejrzewał, że na to, iż kwestie religijne zostaną wykluczone z tematów dyskusji z pułkownikiem.

– Skoro tak, poprosimy, waszmość panie pułkowniku, byś opowiadał nam dalej – grzecznie rzekł Ligęza.

– Skończyłeś waszmość na tym, że szlachta do pustego zajechała zamku... – uprzejmie podpowiedział podstarość.

Sperling obrzucił go przeciągłym, nad wyraz zimnym spojrzeniem, lecz nic nie odparł. Po chwili odwrócił wzrok, wziął kielich ze stołu, spojrzał w jego głąb i przekręcił naczynie w dłoniach.

– Zbóje, odjeżdżając, zatruli nawet studnię – rzekł – ale że ludziom nie pozwoliłem z niej czerpać wody ani dla nich samych, ani dla koni, toteż obyło się niemal bez ofiar.

– Niemal? Czyli ktoś nie usłyszał...

– Zawsze znajdzie się ktoś, kto nie usłysza – stwierdził obojętnie pułkownik.

Pan Jacek pokiwał głową. To prawda. Zawsze i w każdym towarzystwie trafiał się ciekawski, który pragnął zobaczyć, co tak głośno warczy w ciemnym, zamkniętym pokoju. Zawsze i w każdym towarzystwie trafiał się głupiec, który musiał skrzesać ogień akurat obok beczki z prochem. No i, jak widać, zawsze i w każdym towarzystwie trafiał się człek tak bardzo spragniony, że nie powstrzymywało go nawet ostrzeżenie, iż studnia, z której czerpie wodę, została zatruta.

– Tak się owa sprawa zakończyła. Niczym, rzec by można. Straciłem żołnierzy, straciłem sławę i dobre imię, jeśli nie w ludzkich oczach, to na pewno we własnych...

– Zaraz, zaraz... – Zaremba uniósł palec. – To dlatego waści zainteresował los tych chłopów, od których zaczęłaś opowieść, czyż nie? I tego dziada, który ich prowadził? Sądziłeś, że za owym niecznym handlem stoi ten sam człowiek, który wybił żołnierzy waszmości, a ciebie samego omal w niewolę nie sprzedał?

– Miałem taką nadzieję – skinął głową Sperling – i zamierzałem to sprawdzić. Jak mówią: tonący brzytwy się chwyta. A powiem waszmościom, że wiele już przez rok uczyniłem, by wpaść na trop tego niby-kasztelana. Nawet wysłałem szpiegów na Węgry, aby pokręcili się tam, kogo trzeba pociągnęli za język, rozpytali tu i ówdzie, ale albo nikt nigdy o czarnobrodym kasztelanie nie słyszał i go nie widział, albo ci, co słyszeli, opowiadali jakieś bajędy...

– Nie spotkałeś waśc nikogo z owej bandy, która w Kiełczawie mu służyła? – zapytał podstarości.

Sperling tylko nieznacznym grymasem dał poznać, że denerwuje go podobne ingerowanie w opowieść.

– W końcu spotkałem – odparł spokojnie – i klnę się, że prawdę mi powiedzieli, gdyż chwila była to taka, że w równym stopniu pragnęli śmierci, co tego, bym im uwierzył... – Pułkownik zawiesił na chwilę głos. – Zdaje się więc, że wódz zbójników całą bandę rozpuścił na cztery wiatry, zrabowane dobra dzieląc sprawiedliwie pomiędzy wszystkich, a sam jedynie z kilkoma ludźmi odjechał, po czym zniknął, zupełnie jakby zamienił się w kamień ciśnięty do stawu.

– Może i tak właśnie było – znowu odezwał się Jacek Zaremba. – Powiem waćpanom, że wiele towarzystw widziałem, w których przyjaźń trwała tylko tak długo, póki nie przychodziło do podziału łupów.

– Mówili, że podział był sprawiedliwy – powtórzył Sperling. – Ale kto wie, co takim zbójom w głowach siedziało? Może rzeczywiście trafili się wśród nich tacy, którzy uznali, że wódz wziął za dużo? Wiem jednak, że bali się go gorzej niż śmierci, więc czy ośmieliliby się go napaść?

– Skoro odjechał tylko z kilkoma ludźmi, może chciwość zwyciężyła obawę...

Pułkownik pozwolił sobie na westchnięcie.

– I mnie takie myśli po głowie chodziły nie raz i nie dwa, i nie sto – przyznał – że jeśli jego ludzie go zarżnęli i ścierwo porzucili gdzieś na bagnach, to ten człowiek już nigdy nie wpadnie w moje ręce ani nigdy o jego losie niczego się nie dowiem. Bóg świadkiem, waćpanowie, że nieraz się modliłem o życie i zdrowie dla owego czarnobrodego kasztelana, Bóg mi świadkiem... Za zdrowie brata rodzzonego bym się tak nie modlił, jak za jego się modliłem...

Zaremba poczuł mimowolny dreszcz przebiegający mu wzdłuż kręgosłupa, bo w głosie pułkownika było tyle żarliwej szczerości, tyle szczerzej żarliwości i tyle nadziei... A wiadomo przecież, czemu Sperling potrzebował swego wroga zdrowego i żywego.

– A cóż się stało z Czapskim i jego córką? – zagadnął podstarość.

– Nigdy nie odnalazłem dziewczyny ani nigdy nikt nic o niej nie słyszał – powiedział Sperling. – Przyznam, że sam chciałbym wiedzieć, co Czortowi ludzie z nią uczynili. Bo przecież wraz z nią zaginęły również skarby cześnika.

– Skoro się nie odnalazła, to pewnie ją zabili.

– Albo dziewczka sama pchnęła się nożem, a towarzysze Czorta tylko ukryli zwłoki – zauważył Zaremba.

– Tak czy inaczej, on, nikt inny, jest winien śmierci niewinnej dziewczyny – podsumował stolnik. – A Czapski? Cóż z Czapskim?

– Żyje sobie dalej, jak żył – odparł pułkownik.

– Waszmość nic nie...

– A kto by mi uwierzył? Jakiż miałem dowód?

Ligęza ponuro skinął głową.

– Niby prawda – rzekł – tylko smutno słyszeć, że taki nikczemnik uszedł bez najmniejszej kary.

– Nie on jeden. Nie on pierwszy i nie ostatni. Dawno przestałem się troskać podobnymi sprawami. Tak już świat jest zbudowany.

– Tak już świat jest zbudowany – powtórzył pan Hieronim beznamiętnie, a Zaremba dostrzegł, iż Sperling zacisnął usta, jakby słowa stolnika nieoczekiwanie go zabolowały.

– Wiemy już, czemu byłeś waszmość, panie pułkowniku, taki wyczulony na handlowanie ludźmi, wyjaw nam więc z łaski swojej, w jaki sposób zakończyła się owa historia z dziadem prowadzącym chłopków na zatracenie – poprosił podstarości.

– I dobrze, i źle – odparł Sperling. – Dobrze, bo z moimi ludźmi trafiliśmy wprost do owego łajdaka Cholewy, oszusta i łotra zajmującego się najpodlejszymi sprawkami, i ludzi nie tracąc, uwięziłem i jego, i jego służalców. Dobrze, bo poznanego wcześniej na gościńcu dziada złapałem w swoje ręce. I dobrze wreszcie, gdyż nieszczęsnych chamków uwolniłem i już moi ludzie im wytłumaczyli, jaka czekała ich przyszłość i że ani świętości, ani bogactwa by nie zakosztowali.

– Uwierzyli?

– Imaginujcie sobie waćpanowie, że nie wszyscy. Tak im dziad w głowach namotał i namieszał, a przy tym wszystkim na taki, widać, podatny trafił grunt, że jeden z chłopaków do końca błagał mnie, bym dziada wypuścił i pozwolił im wszystkim dalej podróżować do Jerozolimy. Dziwne to, przyznam, lecz dziewczuchy okazały się dużo roztropniejsze i szybko uwierzyły, że szykowano by je do haremów, nie do czego innego. A jak już uwierzyły, chciały dziadowi oczy wydrapać. Może i trzeba było im pozwolić?

Na chwilę zapadła cisza, którą zdecydował się przerwać Zaremba.

– Słyszałem takie, co mówiły: „szkoda, że mnie Tatarzy nie porwali, bo bym teraz sobie żyła na Krymie albo w Bakczysaraju niczym wielka

pani, a nie tu, w Polsce, musiała dawać dupy byle komu”.

Ligęza roześmiał się głośno, lecz zaraz potem spoważniał.

– Gadasz byle co, panie Jacku kochany.

– Kiedy słowem ręczę, że słyszałem dziewczki tak właśnie mówiące...

– Ja panu podstarościeму wierzę – niespodziewanie powiedział pułkownik – i sędzę, że nie dla jednej i nie dla dziesięciu dziewczek, czy to luźnych, czy to wiejskich, lepszy los jakiemuś staremu Turkowi czy Tatarowi grzać łoże, niż tutaj zdychać z głodu na przednówku albo rozkładać nogi za byle ochłapy czy kubek gorzałki.

– U mnie chłopci nie zdychają z głodu. – Zagniewany stolnik zmarszczył brwi.

– Ale sam waszmość przyznasz, że są takie miejsca, gdzie ciężko chamom wyżyć, zwłaszcza kiedy sroga zima ściśnie albo kiedy przez wieś przejdzie bunt czy maruderzy...

– A bo to dawno chorągwie kurwisyna Sapiehy spustoszyły całą Małopolskę, zamiast bić się z Turkami!? – zakrzyknął Ligęza.

– No sam waszmość widzisz, że różnie bywa...

– Ano różnie... – westchnął stolnik. – Ja nie przeczę, że chłopstwo w Polsce, jak i na całym świecie, nie ma lekko. Bo kiedy wojna przyjdzie, to komu palą chałupy i zbiory? Przecież że chłopom...

– Nam – zmarszczył brwi Jacek Zaremba.

– Tak, panie Jacku, nam – zgodził się Ligęza. – Ale ty, panie Zarembo drogi, oprócz wiosek szablę masz w garści i pewnie jakieś skrzynki ze złotem to tu, to tam zakopane – stolnik zmrużył oczy, a podstarośći odpowiedział uśmiechem – i przyjaciół, którzy nie dadzą zginąć w biedzie. A co taki cham ma? Ot, spłachetek ziemi i może jakie mizerne bydełko. Cały to jego majątek na szerokim świecie. Kiedy mu to spalą czy zarzną, to tyle mu zostanie, co powiesić się.

– Tak to już jest. Jednym ciężka dola pisana, innym lżejsza. Boża to wola – rzekł Zaremba.

– Ano tak. Gdyby Bóg nas równymi chciał uczynić, to każdemu by dał i wzrost, i wygląd jednaki, a skoro różnimy się między sobą, to i widać równi nie jesteśmy. I równe prawa nam nie przysługują ani równych obowiązków nie musimy dźwigać.

– Zgoda, panie stolniku – wtrącił Sperling – ale przyznasz sam, że przecież trafiają się tacy wśród szlachty, którzy z chamami się pospolitują i

twierdzą, że cham to taki sam człowiek jak szlachcic i takie same ma prawa...

– To może i króla nam będą obierać? – prychnął rozbawiony Zaremba.

– Jak będą... Jeśli będą – poprawił się stolnik – to największa szansa, że chamowie obiorą takiego samego chama jak oni sami. A jeśli dumny naród to zniesie, znaczyć to będzie, że nie jest już dumnym narodem, ale takim, co właśnie na króla chama zasługuje.

– Już w historii Rzymu były podobnie smutne przykłady – pan Jacek pokiwał głową z zafrasowanym wyrazem twarzy – kiedy na cesarskim tronie zasiadał niepiśmienny chłop.

– I nikomu to na dobre nie wyszło – podsumował Ligęza. – Ale dość o tym! Nie o ustroju i przypadkach Rzymu wypada nam teraz rozmawiać. I serdecznie upraszam was, waszmościowie, byście mnie w tym czy innym temacie więcej nie zagadywali. Panie pułkowniku Sperling, proszę dalej, jeśli waszmość tak łaskaw...

– Służę waszmości.

– Za opowieścią waćpana dotarliśmy do majątku owego Cholewy – przypomniał Zaremba.

– Tak jest. Dziękuję waszmości za przypomnienie... Dziada na razie oszczędziłem i wzięłem po kolei wszystkich na spytki, zwłaszcza tegoż właśnie Cholewę, który ze strachu przed batem i cęgami ryczał niczym osioł na pastwisku, ale opowiadał o wszystkim, co chciałem usłyszeć. A korzył się, jęczał i błagał o przebaczenie... – Pułkownik wzruszył ramionami. – Obrzydliwa kreatura, powiadam waćpanom. Szkopuł jednak w tym – kontynuował – że chociaż łajdak chciał mi wiele powiedzieć, to niestety niewiele wiedział. Łatwo uwierzyłem, że nie wtajemniczono go w najściślejsze sekrety, bo też zawsze to ryzyko wziąć do kompanii takie tchórzliwe i sprzedajne indywiduum, więc pewnie korzystano z jego usług, uważając jednocześnie, by za wiele nie wiedział.

– Dziad za to musiał znać detale tego podłego procederu – wtrącił Zaremba.

– Znał, na ile znał – zgodził się Sperling – ale nie tyle, ile ja bym chciał, żeby znał.

*

– Dziwne mi się zdają niektóre fragmenty opowieści tegoż pułkownika, jeśli naprawdę jest on pułkownikiem – powiedział Jacek Zaremba. – O wątpliwościach dotyczących Czorta już waszmości wspominałem...

Ligęza skinął głową na znak, że dobrze pamięta, a potem lekko nią potrząsnął – to z kolei na znak, że nie został przez podstarościego przekonany do owych wątpliwości.

– ... teraz tak się zastanawiam, że dziwnie dużo szczęścia miał ten pan Sperling. Ślali go na multańską stronę, a tu, patrzcie państwo!, akurat poczet jakiegoś szlachcica się napatoczył. Na tyle silny, by rozbójnikom odbić jasyr, a szlachcic w dodatku na tyle zacny, iż chciało mu się stanąć do walki.

– Opatrzność boża.

– Opatrznością bożą najłatwiej wszystko tłumaczyć...

– Nie bluźnij, panie Zaremba...

– Ja jestem ostatni, panie stolniku dobrodzieju, który by pragnął podawać w wątpliwość wielką siłę sprawczą bożej woli – rzekł poważnie pan Jacek – ale też lubię wśród przypadków szukać czegoś, co mogłoby mi wytłumaczyć ich przypadkowość lub też rozwiązać wszelkie wątpliwości i udowodnić, że owe przypadki nie były takie znowu przypadkowe, jak mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka...

Ligęza machnął dłonią.

– Nie będę się z waścią spierał – stwierdził. – Dobrze, że jeden z nas jest podejrzliwy, nawet jakby ta podejrzliwość za daleko prowadziła. Bo w końcu lepiej być zbyt ostrożnym niż nie nazbyt ostrożnym.

– Święte słowa, stolniku dobrodzieju.

– Coś jeszcze, panie Jacku?

– Nie sądzisz waszmość, że w swej opowieści pułkownik dziwnie szybko przemknął nad zniknięciem panny Czapskiej?

Ligęza wyjął usta.

– Czy ja wiem? – odparł po chwili. – Skoro zaginęła, skoro wpadła jak kamień w jezioro, to co tu więcej gadać?

– Człowiek to nie igła pod sosną, żeby zaginać raz a dobrze – rzekł Zaremba. – Jeśli bardzo chcesz, zawsze człowieka znajdziesz, tak jak do jeziora można po kamień zanurkować...

– Iii tam... – mruknął nieprzekonany stolnik.

– Zwłaszcza jeśli chodzi o pannę z dobrego domu, która przecież ma i prezencję, i potrzeby godnego życia...

– Panie Jacku kochany, odpowiedź na twoje pytanie jest prosta: towarzysze Czorta, kiedy tylko dowiedzieli się o śmierci dowódcy, to pannę zabili lub najpierw pohańbili, a potem zabili, a skarb zabrali.

– I nikt nigdy już o żadnym z nich nie słyszał? Pułkownik Sperling, taki doświadczony w podążaniu ludzkim tropem, nagle zupełnie węch utracił i na żadnego z Czortowych towarzyszy nigdy się już nie natknął? Przecież ci ludzie mieli nazwiska, rodziny, przyjaciół, może nawet mająteczki albo i majątki. I co? Wszyscy jak kamień w wodę?

Stolnik się naburmuszył.

– A to czemu, panie Zarembo, tych podejrzeń nie wyartykułowałeś w obecności Sperlinga? Pewnie by ci odpowiedział lepiej ode mnie.

– Bo ja tej rybki nie chcę spłoszyć, proszę waszmości. Ale że po piasku, a nie w wodzie ona pływa, tego jestem więcej niż pewien.

Ligęza po namyśle skinął głową.

– Może i tak, panie Jacku, może i masz rację. W każdym razie bądź ostrożny, bo ten Sperling to, wedle mego mniemania, szczupak prawdziwy, nie byle rybka. I załóż się, że mocno i boleśnie potrafi uzreć, kiedy go rozzłościć.

¹¹⁹ *Concordia civium murus urbi* (łac.) – zgoda mieszkańców murem dla grodu.

¹²⁰ *Concordia* (łac.) – zgoda.

¹²¹ *Fructus ventris tui* (łac.) – owoc żywota twojego.

¹²² *Crimen* (łac.) – występki.

¹²³ *Nota bene* (łac.) – tu: nawiasem mówiąc.

ROZDZIAŁ 4

Miecznikowic Paweł Broniewski

Stolnik Ligęza spokojnie i zrozumiale wytłumaczył panu Pawłowi, cóż stoi za zaproszeniem go, i nie skrywał, iż sam znalazł się w wielce niekomfortowej sytuacji, bo oto jakiś nieznany człowiek wodzi go za nos niczym Cygan niedźwiedzia. Tym łatwiej opowiadało się Ligęzie, iż Broniewski nie przerywał: ani słowem, ani gestem, ani chrząknięciem, ani cmoknięciem, ani mrugnięciem, ani pełnym zdumienia okrzykiem. Ot, siedział nieruchomo z twarzą dziwnie spoważniałą oraz zaciętą i przysłuchiwał się wszystkiemu z niezwykłą uwagą. Wreszcie stolnik skończył opowieść, odsapnął z wysiłkiem i zapatrzył się na Broniewskiego.

– I co waszmość pan o tym sądzisz? – zapytał Jacek Zaremba, kiedy cisza się przedłużała.

Broniewski drgnął.

– Wybaczcie, waćpanowie dobrodzieje. Panie stolniku dobrodzieju, panie starosto... musiałem zebrać myśli, gdyż cała ta sprawa i mnie wydaje się wielce zagadkowa. Ale cóż tu gadać? Wyznam, że mnie, czy raczej mego ojca, oszukano i skrzywdzono, a to oszustwo i tę krzywdę ojciec mój i dobrodziej przypłacił życiem. A i ja, zamiast żyć w dostatku, otoczony sąsiedzkim poważaniem i z panną, którą sobie upodobałem, muszę się tułać po świecie. I choć, z pomocą bożą, stanąłem na nogi, a z szablą na postronku i w łapciach nie muszę dzisiaj chadzać, jednak nie mogę zapomnieć, iż cała ojcowizna z kretesem przepadła, a ojciec mój dobrodziej ze zgryzoty na proszalnym chlebie u krewnych ducha wyzionął.

– Dawnoż owa tragedia przytrafiła się waćpana rodzinie? – ze współczuciem w głosie zapytał Ligęza.

Pan Paweł uśmiechnął się blado.

– Jak dawno by to było, moje wspomnienia pozostaną żywe niczym pochodzące z wczorajszego dnia – odparł – bo powiadam waćpanom dobrodziejom, że nigdy owego czasu i owych wydarzeń nie zapomnę. I zresztą tak mi dopomóż Bóg, bo ojciec mój dobrodziej zawsze przykazywał, z czym bez dyskusji się zgadzałem i zgadzam, iż człowiek

zarówno o dobrym, jak i o złym powinien zawsze pamiętać, aby i za czyją dobroć, i za czyją niegodziwość stosowną walutą odpłacić.

– I ja się z waćpana ojcem zgadzam, jako i waćpan – zapewnił szczerze podstarości.

– Zechcesz waść podzielić się z nami ową smutną pamięcią? – spytał Ligęza.

– Uczynię co do joty tak, jak mi przykazano uczynić w liście, choć szczerze przyznam waćpanom dobrodziejom, że spodziewałem się znaleźć wyjaśnienie trapiącej mnie zagadki, a widzę, że odnalazłem tajemnicę w zagadce pośrodku sekretu... – Pan Paweł westchnął ze smutkiem.

– Wierz mi waćpan, że chętnie poznałbym rozwiązanie – rzekł stolnik.
– Możesz mi zaufać, iż wiedząc cokolwiek więcej, niż wiem, nie zawahałbym się powiadomić o mej wiedzy wszystkich tych, co powiadomieni zostać powinni.

Paweł Broniewski znowu uśmiechnął się blado, a pan Jacek mógłby przysiąc, iż zrozumiał dwuznaczność tkwiącą w ostrożnych słowach stolnika. „Wygląda ten młodzik tak, że dwóch groszy byś za niego nie dał – pomyślał podstarości – ale kto wie, czy pierwsze wrażenie nie jest tak samo mylące jak w przypadku Gideona Rokickiego?” Tyle że Broniewski zdawał się podstarościemu postacią znacznie sympatyczniejszą niż złośliwy i wygadany podsędek.

– Wypadki, o których waszmość panom dobrodziejom opowiem, zdarzyły się latem roku Pańskiego 1679 – zaczął pan Paweł. – Piękne to było lato, waćpanowie dobrodzieje, piękne... – Uśmiechnął się razem z rozmarzeniem, jakby sięgał pamięcią do cudownych chwil zatopionych w przeszłości, która nigdy nie wróci inaczej niż jedynie w rzewnych wspomnieniach...

We dworze miecznika Broniewskiego wrzało, gotowało się i kłębiło. Trwały gorączkowe przygotowania do wielkiej uczy, jaką Protazy Broniewski wydawał dla krewnych, gości, sąsiadów i znajomków. Oto bowiem dwadzieścia pięć lat przyszło mu już mieszkać pod jednym dachem z żoną Anną, matką ukochanego i jedyne go syna. Z Anną, która była kobietą godną miłości i podziwu – i którą miecznik Broniewski podziwiał i miłował ile sił. I chociaż była przecież matroną niemłodą, gdyż szło jej na czterdziestą piątą wiosnę życia, to pan Protazy ani myślał za młodszymi czy gładszymi się oglądać i nawet jak gdzie na dłużej wyjeżdżał, to małżeńską

cnotliwość zachowywał. I to bynajmniej nie z uwagi na boskie przykazania, gdyż przecież wiadomo, że Bóg jest miłosierny, więc winę wybaczy, ale z takiego powodu, że po prostu nie miał ochoty na umizgi do żadnej kobiety poza własną żoną.

– I ja żonę moją miłowałem jako słoneczko na niebie – westchnął stolnik – a kiedy nieboga umarła, to czułem, jakby mi kto powietrze z piersi wydarł. I tylko ta myśl mnie pocieszała, że jeśli litościwy Pan powołał ją do swej światłości, to oznacza, iż miał w tym cel, którego my, maluczcy, nie możemy pojąć, lecz musimy wierzyć, że na dobre dla nas został wyznaczony.

Pan Jacek zerknął na Ligęzę, gdyż dawno nie widział go tak szczerze rozrzewnionego. Pan Hieronim tymczasem zapatrzył się na wiszący na ścianie portret.

– W sile wieku odeszła ode mnie i od naszych synaczków – rzekł smutnym głosem. – I patrzcie, waszmościowie: nie ja pierwszy do boskich zapukałem bram, nie ja, którym na wojaczce wiele lat spędził, gdzie i wrogowie, i choroby, i złe przypadki chadzają po ludziach. Nie ja, ale ona, która spokojnie tu żyła, otoczona służbą i wszelkimi wygodami, jakie pieniąż i ludzka opieka dać mogą... Moi towarzysze od szabli i kul umierali na polach bitew, a mnie zawsze z pomocą Bożą i stal, i ołów omijały. A ona nieboga po prostu pewnego dnia umarła... – Stolnik otarł twarz rękawem. – Kto wie czemu, za co i po co...?

– Nikt nie zna wyroków bożych – stwierdził podstarość. – Czasem wszak nawet włóczęga zzarty chorobami i głodem dłużej pożyje niż król lub kardynał, którym tylko ptasiego mleka brak.

– I jakież z tego morał wysnuwasz, panie Jacku? – Ligęza spojrział w stronę Zaremby załzawionymi oczami.

– Taki, panie stolniku dobrodzieju, iż nie w naszej ludzkiej mocy prorokować o tym, kto żyć będzie, a kto umrze. Bo czasem zdrowy niczym dębczak młodzieniec zejdzie ze świata w jeden dzień, a starzec zgniły niczym kłoda na bagnisku trzymać się będzie życia całymi latami, choć każdego dzionka uskarża się, iż śmierć już nad nim stoi. Bóg jeden zna przyszłość i w Jego jedynie woli pozostaje, czy nasze plany, zamierzenia i marzenia się ziszczą...

– Sądzę, waćpanowie dobrodzieje, jeśli wolno mi do waszej dyskusji mój skromny głos dołączyć – odezwał się miecznikowic – iż Bóg nasz i

Ojciec chętnie pomaga tym, co sami sobie pomóc umieją. I chętnie doda temu, co pomnaża, a nie temu, co trwoni. A nie mówię tu, waćpanowie dobrodzieje, jedynie o złocie, bo cóż ono warte, kiedy myśłą sięgniemy ku splendorom wieczności, lecz o talentach i zaletach ciała oraz ducha.

Pan Hieronim spojrzął na Broniewskiego, jakby zobaczył go po raz pierwszy w życiu.

– Zgadzam się z waszmością zupełnie – rzekł wreszcie – i wybacź moją konsternację, lecz po takim młodzieniaszku jak ty nie spodziewałem się podobnie rozsądnych myśli tak kunsztowną, zwięzłą i zrozumiałą wyrażonych frazą.

– Waszmość pan dobrodziej zawstydzasz mnie swą łaskawością...

Jacek Zaremba z rozbawieniem zauważył, że pan Paweł szczerze się spleśnił, niczym panna nieprzywykła do komplementów. A że miecznikowic twarz miał dziecinną i pozbawioną zarówno męskiego zarostu, jak i męskich blizn, to i podobieństwo do skonfundowanej panny było tym większe. Broniewski szybko jednak zebrał się w sobie i kontynuował opowieść:

– Mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, była nie tylko żoną, której ojciec dobrodziej nie mógł się nachwalić, lecz również znakomitą gospodynią, a majątkiem zarządzała z istic kawalerską fantazją.

– Cóż waćpan masz na myśli?

Miecznikowic się uśmiechnął.

– Ano to, że mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, potrafiła lewem zdobyć to, co prawem już jej przyznano. Gdybyście waszmość panowie dobrodzieje widzieli mateczkę moją, świeć Panie nad jej duszą, jak kilkaset szabel w zajazd na złych sąsiadów prowadziła... Ach! – Rozanielony Broniewski pokręcił głową w podziw i zachwycie.

– Często matka dobrodziejka waszmości w taki sposób troszczyła się o majątek? – zapytał ostrożnie Zaremba.

– Panie starosto dobrodzieju, waćpan na pewno dobrze wiesz, że uzyskanie przed sądem przychylnego wyroku to za ledwie pierwszy maleńki kroczek postawiony na drodze ku świętej sprawiedliwości. Ale jak ową sprawiedliwość wyegzekwować? – Pan Paweł rozłożył dłonie i wznosił oczy ku sufitowi.

– Prawo lewem trzeba sobie wyrąbać – mruknął Ligęza. – Prawda to dobrze w naszej ojczyźnie znana.

Podstarości skinął głową, lecz widać było, że nie do końca chętnie zgadza się z tymi słowami. Jackowi Zarembie jako obrońcy prawa serce bowiem mówiło, że człowiek uczciwy powinien czekać na oficjalny werdykt sprawiedliwości i na uznanie jego roszczeń w majestacie przepisów. Natomiast rozum oraz doświadczenie podpowiadały panu Jackowi, że w Rzeczypospolitej prędzej człowiek doczeka się siwych włosów niżli egzekucji sprawiedliwego wyroku, chyba że sam go szabłą na grzbiecie przeciwnika wypisze. Co, jak widać było po opowieści miecznikowica, czyniła pani Broniewska.

– Owego lata, lata, o którym będzie mowa – ciągnął miecznikowic – mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, bardzo ciężko zachorowała. Tak ciężko, iż ojciec mój dobrodziej przemyślał nawet, by wszystkie przygotowania zarzucić, a sąsiedzkie i rodzinne zaproszenia odwołać. Ale nasz ksiądz podpowiedział, że może mateczce mojej, świeć Panie nad jej duszą, polepszy się, skoro takie starania i taki afekt u małżonka dostrzeże. – Broniewski westchnął żałośnie. – Oby nigdy tych słów nie wyrzekł! – Przechylił kielich i upił mały łyżeczek. – Nie obwiniam go, bo dobre miał intencje, a zresztą któż wie, gdzie i kiedy nasze nieszczęście się rozpoczęło. Przecież, gdyby mateczka moja...

– ... świeć Panie nad jej duszą – niemal bezszelestnie poruszył ustami Zaremba.

– Waćpan coś mówisz? – Paweł Broniewski odwrócił się tak szybko, że pan Jacek ledwo zdołał zacisnąć wargi.

– Nic, nic, pilnie słucham waszmości – odparł niewinnym tonem.

Broniewski przez chwilę podejrzliwie przyglądał się podstaroścemu, po czym wreszcie odwrócił od niego wzrok.

– Tak więc, jak mówiłem, któż wie, gdzie i kiedy nieszczęście się rozpoczęło. Przecież gdyby mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, nie zachorowała, nigdy by nie dopuściła do tego, co się stało. – Pan Paweł pokręcił głową z wielką pasją. – Nigdy, powiadam waćpanom dobrodziejom, nigdy!

– Znacznie łatwiej będzie nam zgodzić się z waćpanem, kiedy przejdiesz do tego, na czym owe nieszczęście polegało – powiedział łagodnym tonem Ligęza.

– Ojciec mój dobrodziej był człowiekiem wielkiego serca i wielkiego rozumu – odezwał się po chwili Broniewski. – On nauczył mnie, by w księgach się kochać, on korespondował z wielkimi uczonymi, nawet,

imaginujcie sobie, waćpanowie dobrodzieje, że spotkał nikogo innego jak wielkiego Kartezjusza, kiedy ten gościł na dworze szwedzkiej królowej Krystyny. Ojciec mój zawsze czule o tym wydarzeniu opowiadał, choć był przecież wtedy młokosem, a wielki Kartezjusz, starzec dostojny, stał już nad grobem. Imaginujcie sobie też, waćpanowie dobrodzieje, że słynne *Prowincjałki* sławnego w całym świecie pana Pascala to nic innego jak ubogacone nieco listy, które ów słynny filozof słał do mojego ojca dobrodzieja w odpowiedzi na jego korespondencję. A i pan podskarbi Morsztyn raczył mojemu ojcu dobrodziejowi ten zaszczyt wyświadczyć i dyskutował z nim o poezji. Choć powiem również waszmościom dobrodziejom, że kiedy pan Morsztyn uciekł do Francji, łamiąc święte przysięgi przed majestatem królewskim złożone, to ojciec mój dobrodziej zerwał z nim wszystkie kontakty, mówiąc, iż ze zdrajcą nawet o poezji nie zamierza rozprawiać.

– Wielce się takie postępowanie waćcinemu ojcu chwali – rzekł poważnie stolnik – jako że Morsztyn, choć nikt przecież nie odmówi, że wielki pan, to obok tego zdrajca, małpa i kurwisyn.

Paweł Broniewski potarł miejsce nad górną wargą, gdzie powinny zacząć mu kiełkować wąsy.

– Ojciec mój dobrodziej również łagodnością mowy nie grzeszył, kiedy o panu podskarbinie wspominał – przyznał – ale o co innego się tu rozchodzi, proszę waćpanów dobrodziejów. Chciałem jedynie wykazać, iż ojciec mój dobrodziej żył w świecie wielkich idei, w świecie opisywanym w księgach filozofów, matematyków, a nawet alchemików. Chętnie czytał poezję, a to i w naszym języku, i po łacinie, i nawet w grece, którą posługiwał się tak zręcznie, jakby w homerowych Atenach, a nie na Kujawach się urodził. Znał również francuski w mowie i piśmie, choć wiele razy wspominał, że przed panem Pascalem wstydzi się swej ortografii, gdyż nijak pojąć nie mógł, jak słowa w mowie mogą wyglądać całkiem inaczej niż w piśmie i czemuż to Francuzi ze swego języka stworzyli ową dziwną łamigłówkę. – Broniewski uśmiechnął się z rozrzewnieniem, gdyż zapewne przypomniał sobie ojca ubolewającego nad zdumiewającymi zasadami francuskiej pisowni. – Mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, zdecydowanie przedkładała świst szabli nad skrzywienie pióra i niezbyt chętnym wzrokiem patrzyła na to, iż najmilszy dla mnie jest ten czas, kiedy mogę nos zatopić w księgach, i chętniej rozprawiam o filozofii i sztuce niż o koniach i fechtunku, nie mówiąc już o... płci nadobnej – przy tych

słowach pan Paweł znowu się splotił – gdyż w samej obecności panien, a wiele sąsiadek u nas przecież bywało, język zamierał mi w gębie niczym mucha złapana w bursztynową kroplę.

Jacek Zaremba roześmiał się gromko.

– Wierz mi waćpan, że i u mnie tak bywało. Do czasu, proszę waszmości, do czasu. A do tego czasu, kiedy przekonałem się, iż białogłowy to tak jak i my istoty z krwi i kości, nie żadne niewinne anielice z nieba posłane w karecie z lilii. I że amorów oraz miłosnych figli pragną one tak samo mocno, jako i my pragniemy, jeno inaczej niż my chęć tę wyrażają, czego czasem prostsze natury nie są w stanie pojąć. I stąd właśnie przychodzi do owego srogiego konfliktu między Marsem a Wenerą, który to konflikt dla tych, co nie umieją go zażegnać, ogromnym może okazać się nieszczęściem.

– Z waszmość pana, jak widzę, wybitny strateg w miłosnych wojnach – powiedział Broniewski bez złośliwości.

– A i taktyk wyśmienity, wierz mi, panie Pawle. – Ligęza się roześmiał. – Przynajmniej z tego co słyszałem, choć i widziałem co nieco, kiedy pan Jacek gościł u mnie trzy lata temu.

– Och, panie stolniku dobrodzieju, zbyt mi waćpan pochlebiasz, zbyt – podstarości pochylił się w teatralnie komicznym ukłonie – ja jeno do wiedzy na temat teorii się przyznaję, z którąż to teorią zaznajomiłem się, choćby czytając dzieła Rzymianina Petroniusza. Natomiast zezwól, bym o znajomości praktyki nic nie mówił, gdyż Amor, kiedy serce moje otwiera ku jakowejś damie, to jednocześnie na zawsze zamyka me usta świętą pieczęcią miłości.

– Dobrze powiedziane, panie Zarembo kochany! W miłości jak na wojnie: tajemnica rzecz święta! No ale, waćpanowie, nie odbiegajmy od tematu, gdyż zbaczając z bitego traktu w ścieżyny, ścieżki i dróżki, nigdy do wyznaczonego celu nie dojdziemy. Już nie mówiąc o tym, iż niegrzeczne to wielce pana Broniewskiego zbijać z tropu dygresjami. – Ligęza zwrócił się w stronę pana Pawła i uśmiechnął się serdecznie.

– Mości stolniku dobrodzieju, ależ ja z miłą chęcią od doświadczonych ode mnie mężów czegoś się nauczę – rzekł Broniewski. – Opowieść moja nie będzie zbyt długa, więc i dygresje bynajmniej jej nie przeszkodzą. A i też pokornie dziękować będę waćpanom dobrodziejom, jeśli owymi dygresjami rozpędzicie smutek opowiadanej przeze mnie historii.

Jacek Zaremba pomyślał, iż miecznikowic jest niezmiernie układnym człowiekiem, i tylko zastanawiał się, czy to prawdziwy charakter przez Broniewskiego przemawia, czy też cała grzeczność i układność jest jedynie pozorem i stanowi teatrum mające zyskać sympatię oraz zaufanie widzów. Podstarości zawsze uważał, że warto brać pod uwagę najgorsze, a to w tym celu, by potem nie żałować, iż było się zbyt łatwowiernym i że zamiast pasować się z siermiężną materią, łatwowiernie spoglądało się w świat idealny. Zresztą ludzie, którzy byli układni jedynie z pozoru, nie zawsze czynili tak przecież w złej intencji, a po prostu dlatego, iż nie lubili konfliktów, sporów oraz zadrażnień i sądzili, że więcej w świecie można zyskać, ukazując pocziwą twarz niż srogie oblicze. Ale najniebezpieczniejsi byli tacy, którzy pod grzecznością mowy i łagodnością obyczajów skrywali chłodny pomysłunek i stalowe serce. Czy Paweł Broniewski należał do podobnego gatunku ludzi? Kto wie? Podstarości wielu już widział takich, za których złamanego byś nie dał klepańca, a kiedy przychodziło co do czego, okazywali się wielce śmiałymi kawalerami i pierwszorzędnymi rębajłami. I odwrotnie. Nie raz i nie dwa podstarości natknął się na ludzi o srogim wejrzeniu, tubalnym głosem i grubej mowie. Na takich, co chętnie dłoń na rękojeści szabli kładli i z oczu iskry krzesali, a zębami zgrzytali, a plwali, a klęli, a pięściami wymachiwali. Tylko kiedy przyszło co do czego i kiedy trafili na takiego, co zimną stałą im poświecił w źrenice, zaraz tracili rezon, a odwaga tak prędko czmychała z ich serc i gęby jak szarak z psiarni.

– Wielce z waćpana grzeczny kawaler, wielce – pochwalił stolnik – jednak postaramy się nie nadweręzać waścinej cierpliwości, więc racz opowiadać dalej.

– Ojciec mój był człowiekiem nadzwyczajnie ciekawym świata. Zajmowały go nie tylko matematyka, filozofia i poezja, ale również starał się dowiedzieć, ile tylko można, o dalekich stronach: Afryce, Chinach, Indiach...

– Poznałem niegdyś człowieka, który pielgrzymował po Ziemi Świętej i powiadał, że kiedy stanąć na szczycie góry, na której Pana naszego ukrzyżowano, to piramidy egipskie widać jak na dłoni – przerwał Broniewskiemu Zaremba.

– To być nie może, panie Jacku – nie zgodził się Ligęza. – Od Palestyny do Egiptu z tysiąc staj będzie, jak nie więcej. Chyba że ten przyjaciel waćpana był orłem albo innym sokołem...

Podstarości nie obraził się bynajmniej, że jego słowa wzbudzają wątpliwości, a nawet sam pokiwał głową.

– Oj, pływać po piasku ten człowiek umiał jak mało kto, więc może i całą podróż do Ziemi Świętej sobie zmyślił, by towarzystwo opowieściami zabawić i znaleźć fundatorów biesiady.

– Panie Pawle, wybacz waćpan i kontynuuj, jeśli łaska. – Gospodarz spojrział w stronę młodego szlachcica.

Broniewski nie był najwyraźniej ani stropiony, ani zezłoszczony tym, że mu przerywano. Uśmiechnął się uprzejmie.

– Jak waćpanowie dobrodzieje rozkażecie – rzekł. – Ale zanim przejdę do mej opowieści, powiem też, że mój ojciec wierzył zarówno w alchemię, a mianowicie w to, że biegli w swej sztuce mistrzowie potrafią stworzyć kamień filozoficzny i tynkturę czerwoną, jak i w astrologię, gdyż czytał dzieła znanych astrologów i uwielbiał nocą wpatrywać się w gwiazdy oraz planety, a nawet wierzył... – tu pan Paweł westchnął ciężko – w magię.

– Jedyna magia, jaka istnieje, to ta, która chleb zamienia w ciało Chrystusa w czasie mszy świętej – stwierdził niemal opryskliwie Jacek Zaremba.

– A ja tam w magię wierzę! – odparował gwałtownie Ligęza. – I rób mi, waszmość, co chcesz, a zdania nie zmienię! Mało to na Rusi napatrzyłem się na wiedźmy i czarownice? I przyszłość potrafiły wywróżyć, i klątwę rzucić... Taaak, spaliliśmy nawet jedną, co zło wielkie pocziwym chłopkom czyniła. Ba!, waćpanowie, a mało to upiorów słyszałem, jak wyły nad ciałami pomordowanych? Cóż innego kazało im wstać z grobów jak nie diabelskie czary!? A co powiecie, waćpanowie, o zmorach, co zamieniały się w czarne koty i moich żołnierzy w Mołdawii dusiły?

– Upiory również słyszałem – przyznał podstarości. – Zawodziły tak, że w człowieku cała krew w lód się ścinała. – Pan Jacek wzdrygnął się, jakby w tej właśnie chwili usłyszał wycie jakiejś strzygi.

– Wiara mojego ojca dobrodzieja w magię bardziej przypominała dziecięcą wiarę w baśnie... – wyjaśnił, ostrożnie dobierając słowa, Broniewski.

– W zaklęte księżniczki? – Pan Hieronim się uśmiechnął.

Pan Paweł znowu westchnął.

– Niestety, bardziej w zaklęte skarby, proszę waćpanów dobrodziejów, gdyż ojciec mój dobrodziej księżniczkę widział w mojej matce dobrodziejce, świeć Panie nad jej duszą, więc żadna inna nie była mu potrzebna. O co innego szło, proszę waszmościów dobrodziejów. Otóż ojciec mój dobrodziej święcie wierzył, że duchy oraz demony, od których, jak przypuszczał, aż się roi w niewidzialnym świecie, są opiekunami niezmiernych skarbów. A skarby te człowiek pobożny i wiedzący, jak zabezpieczyć się przed diabelską siłą, potrafi wyrwać im wprost z gardła lub nawet potrafi zmusić owe duchy i demony, by mu te skarby ofiarowały i jeszcze na posługi mu się oddały...

– A po cóż ojciec waszmość pana chciał mieć duchy i demony na zawołanie? Żeby za laufrów, pajuków czy hajduków mu służyły?

– Z ciekawości, waćpanowie dobrodziejce. Klnę się, że nie ze złej woli, lecz jedynie z płochy ciekawości. Sądził, że owe duchy zdradzą mu odpowiedzi na wiele pytań, nad którymi bezowocnie się głowił. Myślę również, że chciał zadziwić pana Pascala... – Broniewski westchnął po raz trzeci, tym razem jeszcze ciężiej.

– A skarby?

– Na niczym nam nie zbywało, proszę waszmościów dobrodziejów. Dzięki matce mojej...

Stolnik spojrzał tak surowym wzrokiem na Jacka Zarembe, że nawet gdyby ten chciał dopowiedzieć „świeć Panie nad jej duszą”, to na pewno słowa zamarłyby mu na wargach.

– ... świeć Panie nad jej duszą, gospodarka szła nam jak z płatka. Kto z sąsiadów nie był nam przyjazny, przed tym mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, procesami się broniła, a potem, jak już wspominałem, wyrok sądowy sama szablą ogłaszała.

– I wszystkie procesy matka waszmość pana zawsze wygrywała? – zagadnął zaciekawiony Zarembe.

– Słuszność zawsze po naszej była stronie – wyjaśnił stanowczo pan Paweł – a kiedy źle wyedukowani lub niechętni nam sędziowie słuszności tej nie dostrzegali, to już mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, potrafiła tak sprawami pokierować, że w końcu się jej dopatrzili.

Miecznikowic czekał chwilę, jakby się spodziewał, że ktoś zechce jego słowa skomentować, lecz kiedy Zarembe i Ligęza uprzejmie milczeli, odezwał się znowu.

– Tak więc, jak już rzekłem, na niczym nam nie zbywało. Myślę, że ojciec mój dobrodziej pragnął zdobyć majątek, by sąsiadom gęby pozamykać. Sąsiadom, którzy wprost, co prawda, z jego upodobań się nie naigrawali, lecz jednak, co tu dużo gadać, uważali je za dziwactwa. A gdyby ojciec mój dobrodziej dzięki owym dziwactwom zyskał wielki majątek, to w sąsiedzkich oczach owe dziwactwa zamieniłyby się przecież w wielkie i godne naśladowania cnoty...

– Tak właśnie by było. – Ligęza pokiwał głową.

– I przyznam też waszmościom dobrodziejom, że ojciec mój dobrodziej, tak mi się przynajmniej zdaje... – tym razem pan Paweł był wyraźnie zakłopotany – chyba pragnął...

– Na świętej pamięci matce waćpana uczynić wielkie wrażenie – dokończył Jacek Zaremba.

– Właśnie tak! – Zdumiony Broniewski spojrzał na podstarościego. – Skąd waszmość pan dobrodziej to wiedziałeś?

– Ot, widzisz waćpan, to akurat nazywamy znajomością ludzkiej natury – zamiast pana Jacka odpowiedział stolnik. – A ktoś, kto sprawiedliwości służy, właśnie naturę ludzką obok materii prawnej powinien znać najlepiej.

– No i waćpan dobrodziej się nie pomyliłeś – przyświadczył Broniewski, z uznaniem spoglądając na podstarościego. – Ojciec mój dobrodziej mateczkę moją, świeć Panie nad jej duszą, kochał ile sił, lecz bał się, że ona... że ona... Może waćpan? – Pan Paweł zerknął z zakłopotaniem na podstarościego.

– Choć również darzy go miłością, to jednak nie szanuje w taki sposób, w jaki głowę rodu powinno się szanować, gdyż bardziej musi się nim opiekować jako człowiekiem chętniej beztrosko bujającym w obłokach niż twardo stąpającym po ziemi.

Miecznikowic westchnął po raz kolejny. Trochę z podziwu nad biegłością, z jaką pan Jacek dobrał słowa, a trochę ze smutkiem, gdyż tym mocniej przypomniał sobie rodzinne nieszczęścia.

– Lepiej bym tego nie wyraził, waszmość panowie dobrodzieje, gdyż, co tu ukrywać, tak właśnie rzeczy się miały... Ojciec mój dobrodziej miał nadzieję, że mateczce mojej, świeć Panie nad jej duszą, rzuci pod stopy wielkie bogactwa, a wtenczas uzna ona, iż wiedza, którą ojciec mój dobrodziej zgłębiał, nie była całkowitym marnotrawieniem czasu i lada jakim kaprysem.

- Słuchaj i ucz się, panie Jacku – przykazał z naciskiem Ligęza.
- Za przeproszeniem waszmości: słuchać, to słucham, ale czegoż mam się uczyć, jeśli wolno wiedzieć?
- Ano tego, panie Jacku kochany, że wielkie porywy serca nie wynikają jedynie z uroku nowości i niezaspokojonej jeszcze żądzy, lecz mogą również stać się udziałem człowieka, co od wielu lat żyje w stadle małżeńskim.
- Tyle że żona o tych wielkich porywach serca najczęściej nic nie wie... – złośliwie skomentował Zaremba.
- A ten znowu swoje! – Stolnik załamał dłonie. – Wytłumaczże mi, panie Pawle, iż szczerze się miłować można jeszcze dwadzieścia lat po ślubie.
- Sądząc po moich rodzicach dobrodziejach, jak najbardziej przyjdzie mi waszmość panu dobrodziejowi rację oddać. Niestety jednak z własnego doświadczenia nic powiedzieć nie potrafię, ani się zgodzić z waćpanem, ani nie zgodzić, gdyż w tej materii brak mi stosownej eksperyencji.
- Ja takową eksperyencję mam i wy, młokosy, możecie mi wierzyć. – Ligęza wznosił wskazujący palec. – No i nie patrzcie się na mnie z takim rozbawieniem, panie Jacku kochany – obrzucił podstarościego karcącym spojrzeniem – bo zaręczam ci, że trafi jeszcze kosa na kamień i również ty Amorową strzałą zostaniesz ugodzony!
- Mości panie stolniku, toż do mnie zawsze Amor niczym do tarczy strzelał! – zawołał rozbawiony Zaremba. – I za każdym razem szelma niechybnie trafiał. Jeno szkopuł w tym, iż te jego strzały jakoś krótko po trafieniu odpadały i Amor następny pocisk musiał wysyłać z imieniem innej damy przytroczonym do brzechwy, by popróbować, czy ten nowy lepiej się utrzyma.
- Eee tam, czyste utrapienie z tym szlachcicem. – Pan Hieronim machnął dłonią i spojrzał na Broniewskiego. – Mam nadzieję, że waszec bardziej jesteście stateczny niż pan Zaremba.
- Pan Jacek znowu się roześmiał.
- Ode mnie każdy bardziej jest stateczny! – przyznał z rozbijającą szczerością i rozłożył dłonie. – Taki już mój los, panie stolniku kochany, że w miłowaniu jestem gorączka, a jak się odmiłować trzeba, też mi jakoś szybko idzie...

– Waćpan wiedz, że psu na budę zda się takie miłowanie, o którym gadasz – oświadczył Ligęza z naganą w głosie. – Zresztą to tyle z miłowaniem ma wspólnego co machanie cepem z fechtunkiem.

– A i trudno! Ja sobie jeszcze trochę pomacham, jeśli waszmość uprzejmie pozwolisz. – Zaremba nie dopuścił, by ostatnie słowo w tej kwestii do stolnika należało.

– Iii tam, nie gadam z waszmością, panie Jacku – stolnik zmarszczył brwi – bo to tak, jak ze ślepym rozprawiać o kolorach. Panie Pawle, mów, co się dalej działo? Odbyła się owa wielka uczta, na którą zaproszono tylu gości? Czy jakoweś nieszczęście się na niej zdarzyło?

– Uczta się odbyła, i owszem – odparł Broniewski – a nieszczęście żadne się nie zdarzyło, a przynajmniej nic takiego, co wówczas można by uznać za nieszczęście. U nas w domu, proszę waszmościów dobrodziejów, mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, stalową dłonią pokój utrzymywała. Chcieli się panowie bracia za łby wziąć, proszę bardzo, ale na podwórku. Przy świetle, w towarzystwie, z medykiem na podorędziu. Biada temu, co by zwadę zaczął w środku domu i mir nasz w ten sposób pogwałcił. Oj, mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, potrafiła już dopiec takiemu, co jej uprzejmych próśb nie chciał słuchać! Zapewniam waszmość panów dobrodziejów: potrafiła!

Ligęza uśmiechnął się szeroko.

– Coraz bardziej mi się świętej pamięci matka waszmości podoba! – zawołał. – I ja podobnym zwyczajom u mnie w domu hołduję. Chcą się panowie bracia koniecznie za łby brać, niech się biorą, skoro już innej rady nie ma. Ale czemu mają mi naczynia i meble przy tym rozbijać albo, nie daj Boże, w gniewie, zacierzewieniu czy przez pomyłkę pacholków moich poszczerbić?

– Święte słowa, panie stolniku dobrodziejku, święte słowa. Mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, w pełnej rozciągłości by się z waszmość panem zgodziła.

Stolnik podkręcił węża z wyraźnym zadowoleniem.

– Nie ma co, dogadalibyśmy się z waszmość pana świętej pamięci matką, gdyż widzę, że ta dostojna matrona spojrzenie na świat miała iście bliźniacze do mojego.

Tym razem pan Paweł uśmiechnął się szeroko, obnażając zęby aż po dziąsła.

– Ech, panie stolniku dobrodzieju, gdybyś waszmość pan widział moją mateczkę, świeć Panie nad jej duszą, nie pomyślałbyś wcale, że, jak to raczyłeś określić, masz przed sobą matronę... Zresztą, jeśli waszmość pan dobrodziej zechcesz zerknąć... – Tu młodzieniec sięgnął pod żupan i zdjął z szyi medalion. Wstał z krzesła, zbliżył się do Ligęzy i wręczył mu klejnot na otwartej dłoni. – Waszmość pan dobrodziej racz spojrzeć, bo oto właśnie mateczka moja na konterfekcie wymalowana, który to portret zawsze noszę na sercu.

Pan Hieronim medalion otworzył, spojrział na miniaturę i aż cmoknął.

– Przyznam, że Pan Bóg świętej pamięci matce waszmości ani urody nie poskąpił, ani bystrego wejrzenia, świadczącego o wielce żywym rozumie. Waszmość wybac, że z taką konfidencją o waścinej matce mówię, ale ja stary, mnie wolno...

Pan Paweł bynajmniej nie sprawiał wrażenia urażonego, a wręcz przeciwnie: zdawał się całkiem zadowolony z usłyszanego komplementu.

– Jeśli waszmość pan pozwolisz zerknąć... – Zaciekawiony pan Jacek podniósł się z krzesła.

– Ależ z przyjemnością – grzecznie odparł miecznikowic.

Zaremba zbliżył się do niego i zerknął na konterfekt. Później westchnął.

– No to ja już się ojcu waszmość pana dziwować nie mogę, że chciał w oczach łaskawej matki waćpana wydać się godnym. Waść wybac szczerłość, ale nie wiem, czy nawet na obrazach wielkich włoskich mistrzów podobnie piękną białogłową zdarzyło mi się oglądać.

Broniewski uśmiechnął się z dumą, zupełnie jakby to jego zasługą było, iż miał tak powabną matkę.

– Powiem waszmościom, iż zawsze mi się zdawało, że mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, niekorzystnie wypadła na tym obrazku, kiedy porównać go z rzeczywistością, no ale może to synowskie serce przemawia, a dla dziecka wszak zawsze ważne, by ojciec był najdzielniejszym z rycerzy, a mateczka najpiękniejszą z niewiast.

– I cnotliwą – dodał z naciskiem Ligęza – bo uroda bez cnoty, waćpanowie, to jak pierścień bez kamyczka albo szabla bez głowni...

Broniewski tak strasznie poczerwieniał, iż wydawało się, że krew zaraz tryśnie mu wszystkimi porami na twarzy.

– Waćpan nie chcesz... chyba... przez te słowa... skłonić się ku... supozycji... jakoby...

Stolnik wpierw patrzył ze zdziwieniem na zaczerwienionego i dukającego pana Pawła, lecz kiedy zrozumiał, o co chodzi, aż sapnął ze złością.

– Jak asan śmiesz podejrzewać mnie o podobną niegrzeczność!? – zawołał. – Uwłaczać miałbym nie dość, że matce mego gościa, to jeszcze kobiecie, której nie miałem szczęścia nigdy poznać!?

Młodzieniec przetarł oczy wierzchem dłoni, jakby pozbywał się jakiegoś niemiłego obrazu, który pojawił mu się pod powiekami. Potem otrząsnął się i opuścił głowę.

– Wybacz, waszmość panie stolniku dobrodzieju, mnie niełatwo ostrym słowem zadrasnąć, jeno kiedy do mateczki mojej przychodzi, to jakby... inaczej.

– Chwali się waści tak silny synowski afekt – stwierdził Ligęza już bez gniewu, a wręcz wyrozumiale.

Jacek Zaremba całej tej scenie przyglądał się uważnie, ale z zainteresowaniem niepozbawionym pewnego rozbawienia, choć tegoż rozbawienia, rzecz jasna, nie zamierzał ujawniać, bo to przecież pana Pawła mogłoby rozdrażnić, a nawet rozgniewać. Podstarości nie należał co prawda do tych, którzy czyjegoś rozdrażnienia lub gniewu się obawiają, lecz do tych, co uważają, że jedynie głupcy bezsensownie prowokują innych. Zwłaszcza tych, którzy mogliby się im jeszcze do czegoś przydać i których nie należy sobie zrażać... Zresztą pan Jacek wychodził z założenia, że w tak niebezpiecznym świecie i w tak niebezpiecznych czasach nie ma co sobie mnożyć wrogów bez potrzeby, gdyż człowiek, który tak czyni, może się nagle w potrzebie zorientować, że pozostał sam, a wszystkich, co mogliby go wspomóc, diabli gdzieś wzięli albo, co gorsza, jeszcze go ku otchłani złośliwie popychają. Zaremba był dzielnym żołnierzem i prawym szlachcicem. Takim, o którym mówią, że gdyby diabła zobaczył, to kazałby mu pyskiem z ognia zionąć, by od płomienia lulkę sobie odpalić. Ale pomimo wielkiej fantazji zachował na tyle przezornej mądrości, by roztropnie mniemać, że wokół siebie lepiej mieć ludzi życzliwych lub przynajmniej nie nieżyczliwych niż takich, co wepchną ci nóż pod żebro, kiedy zaśniesz.

– I ja matkę moją wielce szanuję, a raczej pamięć o niej – stwierdził – gdyż w przeciwieństwie do waćpana, panie Pawle, nigdy nie miałem

szczęścia, by rodzicielkę moją ujrzeć.

Broniewski spojrział na podstarościego z prawdziwą kompasją.

– Serdecznie waćpanowi współczuję – odezwał się wielce życzliwym tonem. – Odumarła waści tak młodo? Wielka to szkoda, wielka...

„Nie odumarła, ale z synem sąsiada na Ukrainę uciekła, by z mężem tyranem dłużej łoża i stołu nie dzielić”, pomyślał pan Jacek.

– Ano utraciłem ją, niemowlęciem jeszcze będąc – rzekł, czując na sobie badawcze spojrzenie Ligęzy, który wstydlivy sekret rodziny Zarembów dobrze znał – i ciotka matkę mi zastępowała. Zaczyna zresztą była to – spojrział w stronę stolnika – jak sam waść znakomicie wiesz, niewiasta.

– To prawda. – Pan Hieronim skinął głową. – I tego huncwota prawdziwie kochała. – Uśmiechnął się, ruchem głowy wskazując na pana Jacka. – A ile razy przed ojcowskim gniewem i batem go uchroniła... Ha!

– Tyle razy, ile mogła, i tyle razy, ile potrafiła – dopowiedział pan Jacek i sam usłyszał smutek w swoim głosie.

– Czekajcie no, waćpanowie, czekajcie... – Stolnik w konsternacji skubnął dolną wargę. – Tak mnie tu zagadujecie, że sam już nie wiem, gdzieżeśmy to z panem Pawłem w jego opowieści dotarli...

– Do uczty – odpowiedział szybko podstarości – na której świętej pamięci matka pana Broniewskiego nie mogła się pojawić, gdyż boleść ją zmogła.

– Tak było, tak było – smętnie przytaknął Broniewski. – Aż dziw, waćpanowie dobrodzieje, brał człowieka, gdy widział ją leżącą bez sił w pościeli, bo mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, zawsze była... – urwał na chwilę, szukając właściwych słów – nie tylko duchem mocna, lecz pełna sił witalnych – dokończył wreszcie. – Wszystkim rządziła i nad wszystkim panowała. Nad dobytkiem, nad czeladzią, nad naszymi sprawami w sądach i dokumentami. Wszystko wiedziała, wszędzie była, wszystko w garści trzymała... – Pan Paweł ścisnął pięść tak, aż mu knykcie pobiegały. Potem uścisk rozluźnił i rozłożył dłonie w geście bezradności. – A potem... a potem... jakbyś słońce i wodę odebrał pięknemu kwiatu. – Miecznikowic odwrócił głowę i rękawem otarł łzy. Po chwili rzekł mocnym już głosem: – Tak się właśnie rzeczy miały, waszmość panowie dobrodzieje, a opowiadam o tym, byście wiedzieli, że gdyby mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, była w pełni sił, to nigdy by do podobnej tragedii nie dopuściła. Do tragedii, która dom Broniewskich nie tylko zrujnowała, lecz na wieki pogrzyżyła go w hańbie oraz śmieszności.

– Mocne słowa, panie bracie – zauważył Zaremba.

– Ano mocne – zgodził się Broniewski – sam jednak obaczysz, panie starosto dobrodzieju, śledząc dalszy bieg wypadków, że więcej niż w sedno utrafione. Goście, jak to goście, kiedy tak wielka szykuje się okazja, zaczęli przybywać do nas już nawet i miesiąc wcześniej, gdyż przyjaciele i rodzina ojca mojego dobrodzieja oraz mateczki mojej, świeć Panie nad jej duszą, czasami mieszkali w odleglejszych prowincjach Rzeczypospolitej, więc wiadomo było, że nie jak po sól czy ogień do nas się wybiorą...

– Gość w dom, Bóg w dom – rzekł z namaszczeniem Ligęza. – Oto jedno z tych przykazań, które nas szlachcicami czynią, i to nie tylko takimi z nazwy, lecz takimi z ducha.

– Przyznasz jednak, panie stolniku dobrodzieju, że gość nie w porę gorszy od Tatarzyna...

– Panie Jacku, zawsze jest pora, by głodnego nakarmić, spragnionego napoić, a znużonemu podróżą dać odpocząć – przerwał z mocą gospodarz – i jedynie ekstraordynaryjne przyczyny mogą zaowocować tym, że z owej świętej zasady gościnności rezygnujemy.

– Czyż jednak niektórzy ludzie nie nadużywają praw gościa? – spytał podstarości.

Dobrze przecież wiedział z doświadczenia, że wielu zdarza się takich gości, którzy wizyty swej nie zakończą, aż nie przetrząsną i do cna nie oczyszczą gospodarzowi spiżarni oraz piwniczki. Pół biedy jeszcze, jeśli tylko żarli i pili. Gorzej, że niektórzy meble i sprzęty siekali szablami, do obrazów palili z pistoletów, służbę tumanili i inne wyrządzali w gospodarstwie szkody. W przysłowie przecież już poszła historia jednego szlachcica, który widząc, jak goście drugi już tydzień niemiłosiernie grabią mu dom z zapasów, zaczął się szykować do drogi, a na pytanie, dokąd się wybiera, odparł: „skoro wy nie chcecie ode mnie, ja muszę od was”. Anegdota twierdziła, że panowie bracia serdecznie go pożegnali i dalej ucztowali...

Ligęza wzruszył ramionami i sapnął.

– Oczywiście, że nadużywają, panie Zarembo drogi, oczywiście, że nadużywają – powiedział wyrozumiale. – Ludzkość nie byłaby ludzkością, gdyby wielu jej przedstawicieli nie korzystało ponad miarę ze swych praw i niedobry z nich robiło użytek. Ale czy mamy całkiem rezygnować z dobrych rzeczy, gdyż paru ludzi złej woli potrafi je obrócić w zło lub co najmniej w nieprzyjemność? Nie, waszmościowie. Po stokroć nie! My

jesteśmy polska szlachta, a nie jakie niemieckie czy francuskie gołdupce, które nad każdą kromką chleba wylewają łzy, zanim ją komukolwiek podarują.

– Za naród nasz szlachecki i najdostojniejszego jego przedstawiciela, a gospodarza naszego i dobrodzieja! – Pan Jacek zerwał się z kielichem w dłoni.

Rzecz prosta na tym jednym toaście nie mogło się zakończyć, gdyż wielce byłoby to przecież niepolityczne, ale po kilku następnych Paweł Broniewski mógł już spokojnie kontynuować opowieść.

– Waszmościowie dobrodzieje wiecie zapewne doskonale, jak to bywa w podobnych wypadkach. Ot, zaprosiłeś stryja z rodziną, a tu okazało się, że stryj nie tylko z tąże przyjechał rodziną, lecz także z gośćmi, którzy akurat u niego bawili, kiedy nadeszło zaproszenie. Owi goście koniecznie musieli zabrać jakiegoś znajomka, po drodze doproszono jeszcze sąsiada, no i tak się działo, że zaprosiłeś cztery osoby, a nieoczekiwanie przybyło piętnaście...

Stolnik uśmiechnął się pod wąsem, bo nie raz i nie dwa podobne przypadki widział, i to z dwóch stron: zarówno gościa, jak i gospodarza.

– Krótko mówiąc: zaprosiliśmy setkę okolicznej szlachty i bliższej rodziny, a w finale ze dwie setki gości do nas zjechały. Ojciec mój dobrodziej znał dobrze nasz szlachecki obyczaj, więc przygotował się na podobną inwazję, by goście mieli co jeść i co pić, ale też by mieli gdzie spać. Choć najchętniej spali przy stołach – Broniewski uśmiechnął się nieznacznie – by zaraz po obudzeniu mieć jadło i napitek na podorędziu.

– Naprawdę z zacnej i bogatej pochodzisz waszmość familii, jeśli wolno mi to powiedzieć – rzekł Ligęza, który wiedział, jak wielkiej uwagi i jak wielkich nakładów wymaga ugoszczenie dwustu osób, zwłaszcza że goście jak to goście: wiadomo, że przyjechali powozami lub konno (więc zadbałże gospodarzu o ich wierzchowce) oraz ze służbą (więc dajże im gospodarzu jeść oraz pić). Służby tej trzeba było w dodatku pilnować, by nie wszczynała burd, bo przecież często bywało i tak, że najpierw pacholkiwie brali się za łby, a potem panowie, obrażeni jeden na drugiego, zaraz stawali w obronie swoich. Zaczynało się od tego, iż Maciek Jaśkowi dał pięścią w ucho, a kończyło zajazdami w kilkadziesiąt szabel i rodowymi wojnami.

– Pochodziłem z bogatej familii – sprostował smutno miecznikowic, mocniej akcentując pierwsze słowo – a czemu użyłem czasu przeszłego, nie

teraźniejszego, waćpanowie dobrodzieje zrozumiecie, kiedy zakończę opowieść.

– Słuchamy pilnie waszmość pana.

– Tak jak mówiłem, przyjechało do nas wielu gości, a wszystkich ojciec mój dobrodziej witał radośnie i chętnie, chociaż niektórych znał słabo, a niektórych nawet wcale. Wśród tych, których wcześniej nie miał okazji poznać, był pewien stary szlachcic, którego postępowanie, jak czas pokazał, okazało się zgubne dla mojego rodu... – Pan Paweł westchnął i zamyślił się na moment. Po chwili kontynuował: – Człowiek ten nazywał się Aleksander Małachowski i ośmielam się sądzić, iż waćpanowie dobrodzieje, podobnie jak ja sam to uczyniłem, ocenilibyście go jako jawny przykład *miles gloriosus*¹²⁴. Gdzież to on nie był! Czego to nie widział! Jakich czynów nie dokonał! I z tatarskiej niewoli uciekł, i Turków na plasterki siekał, i do Moskwy peregrynował z tajną misją!

– Z królem francuskim w karty grywał i do Chin niczym Marco Polo wędrował – dodał Ligęza z uśmiechem. – Znamy takich frantów, oj, dobrze znamy.

– Zawsze był najmądrzejszy, jego zdanie najtrafniejsze, dowcipy najbardziej błyskotliwe, a kiedy ktoś w końcu nie strzymał i ostrzejszym rzucił słowem albo żartem, albo kąśliwą uwagą, to Małachowski siwą brodą wtedy potrzasał i ronił łzy nad tym, jak to w dzisiejszych czasach starców już się nie szanuje.

Jacek Zaremba roześmiał się głośno i szczerze.

– Taki właśnie dziadyga to najzłośliwsze ze wszystkich stworzeń – zauważył – ale powiem waćpanom, iż odpowiednio mocny kopniak w zadek świetnie leczy z przypadku wymienianych przez pana Broniewskiego.

– Wielu jest takich, którzy starość mylą z mądrością – stwierdził stolnik – a przecież głupiec głupcem pozostaje i wiek owej głupoty nie nobilituje, nie wyłącza i nie oświeca. Wręcz przeciwnie: żałować tylko wypada człowieka, który z biegiem czasu nie nauczył się jeszcze błędów swych naprawiać, lecz tkwi w nich pomimo upływu lat.

– Z całego serca zgadzam się z waszmość panem dobrodziejem – zapewnił Broniewski.

– I cóż z tego, że taki człowiek przeżył wiele zim i wiosen, cóż z tego nawet, że kawał świata zwiedził, jeśli naprawdę zwiedził, a nie jedynie baja

o tym, skoro żadnych wniosków nie potrafi wyciągnąć z doświadczeń, które stały się jego udziałem?

– O takich powiadamy: „w rzydzi byłeś, gównu zobaczyłeś” – skwitował Jacek Zaremba.

– No to waćpanowie już doskonale wiecie, jaka to była postać – pan Paweł się uśmiechnął – i rozumiecie również, że niełatwo sobie z podobnym człowiekiem poradzić, bo po pierwsze: mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, mir domowy, jak już wzmiankowałem, żelazną utrzymywała dłonią, a po drugie: niby co można uczynić, takowego starca na szable poprosić? Toż to żadna chwala oręż wytrącić z trzęsącej się dłoni...

Podstarości pokiwał głową i westchnął, gdyż jak widać, miał podobne doświadczenia z przeszłości, w których złość walczyła o lepsze z litością.

– Szczególnie ów niecnota Małachowski zawziął się na jednego szlachcica. Nazywał się on Strzeżymir Dobrowolski...

Jacek Zaremba roześmiał się, słysząc to miano. Personalia owego człowieka poznał już wcześniej z listu okazanego przez Ligęzę, ale teraz słowa te, głośno wymówione, wydawały się zabawniejsze niż przeczytane. Pan Hieronim jedynie pogroził podstaroścemu palcem na pół poważnie, na pół żartobliwie. Poważnie, gdyż ze szlacheckich imion lub nazwisk niebezpiecznie było żartować, a żartobliwie, gdyż rzeczywiście połączone z nazwiskiem imię tego człowieka nie tylko zdawało się pochodzić z poprzedniej epoki, ale robiło mimowolnie komiczne wrażenie.

– ... i zgodnie ze swym imieniem oraz nazwiskiem naprawdę był człowiekiem dobrej woli, przyjaźnie nastawionym do innych ludzi. Nigdy nie szukał zwady ani nie dawał do niej powodu. Inny dawno by już nie zdzierzył tych wszystkich impertynencji, jakich ów paskudny starzec mu nie szczędził, ale Dobrowolski, ku podziwowi wszystkich, wytrzymał je bez skargi.

– Są tacy ludzie, powiadam waćpanom, są – westchnął Ligęza. – Rzekłbyś: chodzący święci.

– Wiedzieliśmy jednak, że niebezpiecznie byłoby mylić dobroduszość i uprzejmość Dobrowolskiego ze słabością – kontynuował Broniewski – był to bowiem mąż niezwykle biegły w sztuce szermierczej, co nie raz i nie dwa udowodnił, kiedy na podwórku zabawialiśmy się szabelkami, a i doskonale radził sobie z pistoletami, bo na dwadzieścia

kroków potrafił strzałem zgasić płomień świecy, i to nawet szczególnie nie celując.

Stolnik pokiwał głową z uznaniem.

– Jak więc waszmościowie dobrodzieje rozumiecie, im bardziej Małachowski postponował i wyśmiewał Dobrowolskiego, im bardziej mu dogryzał, im więcej wygłaszał złośliwych przytyków oraz impertynencji, tym bardziej wszyscy pana Strzeżymira szanowali i podziwiali za wielką uprzejmość, takt oraz cierpliwość wynikające, jak już wspominałem, nie ze słabości, lenistwa czy nagannego braku odwagi, ale po prostu z niespotykanej dobroci charakteru.

– Powiadam waćpanom, że kiedy to słyszę, myślę sobie: oto prawdziwy święty. – Stolnik znowu westchnął. – Gdzież się tacy ludzie rodzą, powiedzcie waszmościowie? Przecież aż strach, że aniołowie żywcem do nieba zabiorą podobnego człowieka...

– Trzeba mieć wielką siłę, by złym ludziom nie dać się powieść na pokuszenie i nie zbrukać dłoni ich krwią z ich oczywistej winy, łamiąc przy tym piąte przykazanie, co zawsze kończy się jakąś nieprzyjemną pokutą – powiedział Zaremba.

– Albo wszczęciem rodowych zwad, procesów sądowych i, nie daj Boże, nawet wyrokami – podsumował Ligęza.

– Mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, też sądziła, że kiedy nad głową człowieka uzbiera się zbyt wiele wyroków, to jest to zdarzenie niezwykle niefortunne. Cóż jednak robić, waćpanowie dobrodzieje, kiedy czasem sprawiedliwość z prawem rozmijają się tak bardzo, że tylko szablą można zagonić jedno ku drugiemu.

– Święte słowa, panie Pawle, święte słowa – przyznał stolnik.

– Każdy chciałby być sędzią we własnej sprawie – mruknął podstarości – i wyrokować, co jest sprawiedliwe, a co nie.

– Czasami, po czyjej stronie znajduje się racja, jest jasne niczym słońce – stwierdził zdecydowanie Broniewski.

– O, tak, rzecz prosta – odrzekł nadzwyczaj poważnie Jacek Zaremba, a miecznikowic łypnął na niego podejrzliwie, spodziewając się uśmiešku na ustach podstarościego, lecz oczywiście go nie odnalazł.

– Waćpanowie, waćpanowie, wy tu w dyskusjach się zapamiętujecie, a ja bardzo bym chciał pana Pawła dalej słuchać i dowiedzieć się, co zaszło w majątku jego ojca. Panie Pawle, proszę waćpan: opowiadaj...

– Słucham pilnie waszmość pana dobrodzieja – odparł grzecznie Broniewski.

– *Waść trzymaj język na wodzy, bo tak się wreszcie zdarzy, że ktoś ci go przytnie – ostrzegł ze złością w głosie Wojciech Liberadzki i spojrzął wściekle na Małachowskiego, po czym kubkiem huknął w blat stołu, by podkreślić wagę swych słów.*

– *Waść mnie wyzywasz!?* – zapytał Małachowski tak głośno, że chociaż w komnacie panował hałas, wszyscy wkoło spojrzeli na niego. – *Dobrze, proszę waszmości, dobrze. Ja się zgadzam!* – *Siwa broda zatrzęsała się niczym na wietrze. – Jam wprawdzie starzec życiem i wojnami znękany, prawą ręką już nie władnę i szabli w niej nie utrzymam, bo Kozacy okrutnie mnie pocięli, kiedy pod panem Czarnieckim w obronie Rzeczypospolitej walczyłem i kiedy krew na chwałę ojczyzny milej przelewałem, czego waść pewnie nigdy nie uczyniłeś, ale i lewą poprobuję się z tobą, bo, jak widać, wolisz wyzywać starców, którzy w rozlicznych wojnach siły oraz zdrowie potracili, a nie dziarskich młodzieńców, co skórę takiemu paskudnikowi jak ty mogliby bez trudu przetrzepać.*

– *Waćpan daj pokój* – szepnął Dobrowolski i położył Liberadzkiemu rękę na ramieniu. – *Odpuść z serca...*

– *Mnie nie ma co odpuszczać!* – zaryczał Małachowski wściekle niczym lew, którego pociągnięto za ogon. – *Ja na plac wyjdę i temu szlachcicowi stawię czoła, choć Bóg w niebiesiech najmiłościwszy niech mi będzie świadkiem, że młodszego ten niecnotnik mógłby sobie wybrać przeciwnika, a nie takiego jak ja starca i kalekę, który zdrowie w służbie Rzeczypospolitej poświęcił i który krew chętnie na polach wojen wylewał od Inflant po Mołdawię i Dzikie Pola, królowi i ojczyźnie milej wiernie służąc, czego pewnie o niejednym z tu obecnych powiedzieć by się wcale nie dało, choćby ich życiu i uczynkom przyglądać się więcej niż wnikliwie.*

– *Jużże daj pokój, panie Wojciechu* – poprosił inny szlachcic.

– *Daj pokój, daj pokój* – odezwali się kolejni.

– *Staaawaj waść!* – rozkazał Małachowski i poderwał się, szurając krzesłem.

– *Waszmościowie wiecie, że mateczka moja jest właśnie teraz na dziedzińcu?* – grzecznie zapytał Paweł Broniewski, co było zresztą zgodne z prawdą, gdyż chorą panią Broniewską słudzy wynieśli na fotelu, by odetchnęła świeżym powietrzem.

Wojciech Liberadzki, który rozzłoszczony słowami i zachowaniem Małachowskiego zrywał się już z krzesła, opadł z powrotem na siedzenie. Z jego twarzy zniknął gniew i szlachcic wreszcie wzruszył ramionami.

– Gospodarskiej czci matki waćpana, panie Pawle, nigdy nie śmiałybym uchybić – powiedział grzecznie, uroczystym tonem. – O tym możesz waść zawsze panią Annę zapewniać, że ma we mnie dobrego sąsiada. I Boże dopomóż, że tak jak sprawy się teraz mają, tak mieć się będą w przyszłości.

– Waść kapotę, widzę to jak najwyraźniej, zajączkiem masz podszytą – zadrwił Małachowski. – Idźże więc do czeladnej, asanku, może dziewczki kąpiel ci dadzą do zabawy, bo szabla wcale ci niepotrzebna, choć przecież nie z wojownikiem byś miał do czynienia, ale ze starcem i kaleką, który wszystkie siły na licznych wojnach ojczyźnie milej oddał, a nie dla żołdu i dla geldu, a jedynie ze słodkiej powinności wynikającej z potrzeby serca...

Paweł Broniewski już od początku tej przemowy obejmował Liberadzkiego i zduszał go w przyjacielskim, choć mocnym uścisku.

– Pozwól no waćpan ze mną do gabinetu – tchnął wreszcie w ucho szarpiącemu się szlachcicowi – wypijemy po kubeczku muszkatelu, ochłoniesz ździebko... Potem mateczkę moją poprosimy, byś mógł ją odwiedzić i uszanowanie złożyć... Hmmm... Co ty na to, proszę waćpana?

Liberadzki uspokoił się i zasapał jedynie.

– Skoro pani Anna zechce mnie zaszczyścić swym towarzystwem i łaskawie poświęcić mi chwilę – rzekł – to powiem waszmości, panie Pawle najdroższy, że i mogą mnie tu gnojem obrzucić. A co mi tam!

– Bo musicie wiedzieć, waszmościowie dobrodzieje, że tak już się ułożyło, iż towarzystwo mojej mateczki, świeć Panie nad jej duszą, i rozmowa w zaufanym, niewielkim gronie, były dla okolicznych szlachciców wielkim wyróżnieniem, a tym, iż mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, dopuszcza ich do konfidencji i radzi się w różnorakich sprawach, potem publicznie się często chwalili. – Pan Paweł uśmiechnął się do wspomnień. – Wierzcie mi, waćpanowie, że mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, miała nie tylko wielkie poważanie u okolicznej szlachty, lecz też prawdziwa otaczała ją w okolicy amicyja. Bo też tak jakoś sprawy się ułożyły w okolicy, że kto nas, Broniewskich, nie lubił, to już dawno przepadł z kretesem, zostali jedynie ci, którzy cieszyli się naszą przyjaźnią i w zamian swoją przyjaźń chętnie ofiarowywali.

Jacek Zaremba i Hieronim Ligęza wymienili się szybkimi, znaczącymi spojrzeniami.

– Jednak z bólem muszę przyznać, waćpanowie dobrodzieje – kontynuował zafrasowany Broniewski, który tych spojrzeń nie zauważył – że nie wszystkie przyjaźnie przetrwały chwilę próby, a nawet mniej, niżby się ktokolwiek spodziewał. Choć zważywszy na okoliczności, to może i nic dziwnego... – Pan Paweł zamyślił się, najwyraźniej w duchu rozważając wszystkie za i przeciw w sprawie dawnych sąsiadów.

– Na razie jednak waszmość owego pana Liberadzkiego skutecznie odwiodłeś od pojedynku, czyż nie?

– Tak jest, panie stolniku dobrodzieju. Nietrudno mi to zresztą przyszło, bo pan Wojciech rozumiał przecież dobrze, iż podobna zwada żadnej mu nie przyniesie chwały, a jedynie może go narazić na niechęć mojej mateczki, świeć Panie nad jej duszą. A i złośliwi sąsiedzi daliby mu pewnie poznać, co myślą o człowieku, który pociął od siebie starca, co to by mógł jego wnukiem być, w dodatku kalekiego dawnego żołnierza...

– ... choćby to i nieprawda była z tą służbą u hetmana Czarnieckiego – przerwał Ligęza.

– Choćby to i nieprawda była – zgodził się miecznikowic. – Bo ci, którzy chcieliby dociąć panu Wojciechowi, udawaliby, że wzięli słowa Małachowskiego za świętą prawdę i rzeczywiście widzieli w nim weterana, który zdrowie i życie narażał na chwałę Rzeczypospolitej.

– No tak... – Broniewski podrapał się po głowie. – Co to ja chciałem...? Aha, już wiem! Po tej scysji Małachowskiego do reszty zniechęciano, gdyż doniesiono mi, że kiedy pan Liberadzki ze mną wyszedł, to Małachowski jeszcze długo grubymi słowami go lżył. Lżył również pana Dobrowolskiego...

– Strzeżymira, jeśli dobrze pomnę...

– Tak jest, panie stolniku dobrodzieju, jak najlepiej waszmość pamiętasz. Lżył Strzeżymira Dobrowolskiego, który w najłagodniejszy sposób próbował go uspokoić i krotochwilami rozweselić. – Broniewski westchnął. – Dziwno nam wszystkim było, że Dobrowolski tego podłego człeka, pieniacza i pasjonata, traktuje niczym rodzzonego ojca, a Małachowski odpłaca mu tak podłą monetą, że aż żal brał, iż pan Strzeżymir tak fatalnie swój afekt ulokował.

– To niewdzięczność, a niewdzięczność jest cechą nam przyrodzoną jako rodzajowi ludzkiemu – stwierdził ze smutkiem stolnik.

- Choć chciałoby się, by było inaczej – dodał podstarość.
- Ano chciałoby się, panie Jacku kochany, chciało... Cóż jednak zrobić, skoro Pan Bóg obdarzył nas wolną wolą, która wszak wielu ludziom służy nie po to, by bliźniemu ulżyć, lecz by go głębiej w ziemię wdeptać.
- A wdeptanego jeszcze opluć, wyszydzić i przed światem zniesławić – dopowiedział Jacek Zaremba.
- Żebyście waszmościowie dobrodzieje wiedzieli! – z pasją zgodził się Paweł Broniewski. – A że niechybną rację macie w tej mierze, zaraz wyniknie z dalszej mojej opowieści.
- Skoro smutna to będzie opowieść, jak waszmość zapowiadałeś i jak zapowiadasz nam teraz, pokrępcmy się chociaż tym oto skromnym winkiem, zanim jej do końca wysłuchamy – zaproponował Ligęza, wyciągając z sekretery nową butelkę.
- A jest to, jak dobrze widzę i poznaję, prześwietny maślaczyk, którym nas pan stolnik dobrodziej częstował, kiedy gawędziliśmy z pułkownikiem Sperlingiem... – Pan Jacek się ucieszył.
- To pułkownik swoje śluby złamał!?! – Broniewski szeroko otworzył oczy.
- Nie, nie, proszę waszmości. – Zaremba zamachał dłonią. – Chciałem rzec, że my z panem stolnikiem piliśmy maślacza, a Sperling asystował nam, pokrępiając się jedynie wodą, tak jak mu nakazuje przysięga, o której waszmość wspomniałeś.
- Biedaczyna. – Ligęza pokręcił głową, przybierając bolesny wyraz twarzy. – Zaiste nieludzkie cierpienie ten człowiek samemu sobie zadał. Powiadam waszmościom: nieludzkie, i powiadam wam jeszcze, że nikt na tak straszny los nie zasłużył.
- Daj Boże, wszystko się odmieni – powiedział podstarość z nadzieją – bo przecież kiedy pułkownik wypełni śluby, to i owego okrutnego postu nie będzie już musiał dłużej przestrzegać.
- Ale my tu gadu-gadu o trunkach i o ślubach, a pan Broniewski czeka z opowieścią... Mówże, panie Pawle, co było dalej...
- Pewnego ranka siedziałem z moim ojcem dobrodziejem w bibliotece, kiedy usłyszeliśmy stukanie do drzwi...
- *Muszę z waćpanami pogadać – rzekł Dobrowolski poważnym tonem, a po jego twarzy widać było, że jest zmęczony i zafrasowany i że jakieś niedobre myśli musiały potężnie go dręczyć.*

– Służę waszmości – odparł pan Protazy, zdziwiony. – Zawsze znajdziesz we mnie przyjaciela, który chętnie cię wysłucha. Bo widzę wyraźnie – zatrzymał uważny wzrok na twarzy pana Strzeżymira – że waszmości jakoweś troski gnębią.

– Właśnie tak, panie mieczniku – Dobrowolski skinął głową – właśnie tak jest, jak waćpan mówisz, i ponieważ wiem, żeś człek uczony, chętnie zasięgnę twej rady. A i pan Paweł – przeniósł spojrzenie na młodego Broniewskiego – niechże posłucha, co mam do powiedzenia, jeśli zechce mi wyświadczyć tę grzeczność.

Miecznikowic rozłożył dłonie.

– Ależ z wielką chęcią usłużę waćpanowi w tej mierze – zgodził się uprzejmie.

– Proszę waści do mnie, pięknie proszę do gabinetu – rzekł pan Protazy – pogadamy, wychylimy kieliszeczek wina, a zaraz waść obaczysz, że robi ci się lżej na sercu.

Pan Strzeżymir położył dłonie na ramionach miecznika.

– Pięknie waści dziękuję za przyjazne słowa – rzekł. – Da Bóg, odwdzięczę się kiedyś za łaskę, którą mi wyświadczasz.

– Ależ ja waści żadnej łaski nie wyświadczam! – Miecznik się roześmiał i szczerzy uścisk równie szczerze odwzajemnił. – To prawdziwy zaszczyt dla mnie, że waszmość w chwili strapienia mojej rady szukasz i jedyne, co mnie martwi, to to, że mogę zawieść pokładane we mnie nadzieje.

Dobrowolski pokręcił głową.

– O, tak na pewno się nie stanie. Wszak waćpan jesteś znany w okolicy nie tylko z bystrego umysłu, ale i z tego, że więcej przeczytałeś książek niż ktokolwiek inny, a niektóre, jak słyszałem, tak mądre, iż prosty człowiek nawet ich tytułu ani przeczytać nie potrafi, ani tym bardziej zapamiętać.

Protazy Broniewski uśmiechnął się dobrodusznie.

– To prawda, iż mam w bibliotece książki zarówno greckie, jak i francuskie, lecz powiem waćpanu, że prawdziwa mądrość nie tyle z książek pochodzi, ile z życiowego doświadczenia.

– Ale książki pozwalają nam poznać prawdę o sprawach, których nigdy nie doświadczymy lub doświadczenia ich się nie spodziewamy, czyż nie?

Zdziwiony tymi słowami miecznik aż zmarszczył brwi, gdyż nie spodziewał się po pocziwym panu Strzeżymirze tak bystrego responsu.

– Masz waćpan słuszność – powiedział. – Wiedza czerpana z ksiąg na pewno pozwala nam się lepiej przygotować na możliwe odmiany losu i ustrzec nas przed niemiłym zaskoczeniem.

Wszyscy trzej przeszli z biblioteki do gabinetu, gdzie miecznik wygodnie, na honorowym miejscu, usadził pana Strzeżymira i zaraz podał mu kielich napelniony znamienitym sekiem.

– W czym mogę waszmość panu pomóc? – zapytał serdecznie. – Wiedz, że możesz moją osobą do woli rozporządzać.

– Pokornie waćpanu dziękuję i nie omieszkać z twej pomocy skorzystać – odparł Dobrowolski.

Chwilę dumął wpatrzony w kąt gabinetu, a Broniewscy nie przeszkadzali mu, widząc, że zbiera myśli i tak układa je w głowie, by wychodząc z ust jako słowa, ułożyły się w odpowiednim i zrozumiałym dla słuchaczy porządku.

– Powiem waszmość panom szczerze, że prosty ze mnie szlachcic i człowiek twardo stąpający po ziemi – zaczął wreszcie. – W czary, rzecz jasna, wierzę, bo tylko kiep by nie wierzył, że Zły próbuje nas omotać na wszelkie sposoby, jakie ma do dyspozycji, a więc i za pomocą czarów. Ale wróżenie z gwiazd, dłoni czy snów? – Pokręcił głową. – O, nie... Takimi rzeczami niech się zabawia pospólstwo czy jacy Cyganie...

– Ależ waćpan nie masz racji! – wykrzyknął gwałtownie pan Protazy. – Wybacz, drogi panie Strzeżymirze – dodał łagodniej, gdyż Dobrowolski urwał, zdumiony tym wybuchem – iż tak gwałtownie zaprzeczam twym słowom, ale wierz mi, że mówiąc o snach, mówimy o potężnej acz niezwyklej nauce...

– Hmm... – mruknął Dobrowolski.

– Ależ tak, dobrodzieju, ależ tak! – zapalił się miecznik. – Wszak już starożytni Grecy, którym nikt nie odmówi biegłości w opisywaniu świata, mówili o onejromancji, które to słowo z dwóch greckich słów się wzięło, a mianowicie óneiros oznaczającego sny i monteo oznaczającego wróżenie. Wszak o proroczych snach pisali i Cyceron, i Plutarch, i Arystoteles, a nade wszystko Artemidor z Efezu, mędrzec, który w onejromancji upatrywał jednej z najgodniejszych sztuk!

– *Waść wybacz, lecz to wszystko chyba poganie, ci, których imiona wymieniasz – powiedział pan Strzeżymir ostrożnie. – Ja wiem, że doktorowie Kościoła czasem Arystotelesa biorą za przykład, czyż nie mam racji? Ale ci inni? Cóż zaciekły poganin może wiedzieć o świecie, który wszak jedynie dobry chrześcijanin potrafi opisać i zrozumieć, a to dzięki bożemu błogosławieństwu, które wzrok i rozum mu wyostrza w sposób całkowicie niedostępny dla pogan?*

– *Cóż, nie powiem, by waści punkt widzenia był mi obcy – przyznał nieco zmieszany pan Protazy i skubnął wąs – lecz ja uważam, że w dziełach pogan wiele możemy odnaleźć prawdy, bo czyż Bóg inaczej pozostawiłby ich dzieła, gdyby nie chciał, abyśmy je poznali?*

– *Jabłko na jabłoni w rajskim ogrodzie również pozostawił, a jednak nie chciał, by rodziciele nasi zerwali je i zjedli... – nie zgodził się Dobrowolski.*

– *Może waćpan dobrodziej raczysz nam powiedzieć, czemu rozmawiamy o snach? – wtrącił uprzejmie pan Paweł, zarówno dlatego, że chciał przejść do sedna problemu, jak i dlatego, by ojca wybawić od kontynuowania dyskusji, która prowadziła donikąd.*

– *Tak, tak, wybaczcie waszmościowie, wybaczcie... – Pan Strzeżymir przeciągnął dłonią po twarzy, jakby chciał odpędzić koszmar lęgnący się pod powiekami. – Tak jak mówiłem, w sny nie wierzę – obrócił wzrok na pana Protazego – i wybacz, waszmość, ale obawiam się, że do takowej wiary wcale mnie nie przekonasz...*

– *A proroczy sen Józefa? A profetyczne sny świętego Wojciecha, który poniósł męczeńską śmierć? – Miecznik nie wytrzymał.*

– *Panie mieczniku, a kimże ja jestem, by ze świętymi się równać? – odparował Dobrowolski.*

– *Pozwól ojcze, niech pan Dobrowolski opowiada, a zaraz, jak wierzę, usłyszymy, czy w jego snach, bo jak podejrzewam, o to tu chodzi, kryją się dobre, czy złe rzeczy.*

Pan Protazy skinął głową na znak zgody.

– *Słusznie waćpan, panie Pawle, przypuszczasz, iż zacząłem od wyznania swego braku wiary w sny, by przejść do opisu owych snów, które tak wielkie zrobiły na mnie wrażenie, iż obawiam się, że mur mojej niewiary może runąć pod młotami przypuszczeń lub podejrzeń. – Dobrowolski westchnął tak ciężko i tak żałośnie, jakby owym westchnieniem próbował zdmuchnąć jakowyś straszny ciężar leżący mu na piersiach.*

– *Nalej no nam jeszcze, Pawełku, serdeńko – przykazał miecznik, patrząc ze współczuciem na posmutniałego gościa. – Nalej nam, a hojnie.*

– *Nie śmiałybym inaczej. – Miecznikowic się uśmiechnął i naprawdę polał więcej niż hojnie, bo tak, iż wydawało się, że wystarczy tylko drgnięcie dłoni, by uronić trunek, który szkarłatną strugą wycieknie za krawędzie szklanicy.*

Ale i pan Protazy, i pan Strzeżymir mieli ręce doświadczone i spokojne. Rzekłbyś, że gdyby byli medykami zmuszonymi do użycia lancetu, to bez trudu znaleźliby dla ostrza bezpieczną drogę pomiędzy wątrobą a sercem, tak pewne były ich dłonie! Wypili do dna, przetarli wąsy, a pan Strzeżymir zamlaskał ze smakiem.

– *Małmazja, prawdziwa małmazja, powiadam waćpanu. – Przymknął oczy i uśmiechnął się z rozmarzeniem. – Człowiek jedną wypił szklanice, a już za drugą zaczyna tęsknić.*

– *Należę no, serdeńko... – zaczął miecznik.*

Jednak pan Strzeżymir uniósł dłoń.

– *Nie, nie! – zaprotestował, powstrzymując Pawła Broniewskiego. – Dajcie mi, waszmościowie, jeszcze trochę potęsknić za tym specjałem, gdyż mniemam, iż zaspokojenie owej tęsknoty będzie tym słodsze, im sama tęsknota potężniejsza.*

– *No, jeśli to prawda, co ów Dobrowolski mówił, to pułkownik Sperling może nam z nadmiernej słodyczy zemrzeć, kiedy już wypije pierwszy po latach kielich wina – zażartował Zaremba.*

– *Panie Jacku kochany, nie przerywaj, waszmość, bardzo proszę, bo przyznam, że materia, o której pan Paweł mówi, i mnie samego niegdyś zajmowała, choć ja w przeciwieństwie do owego pana Dobrowolskiego, a zgodnie z mniemaniem ojca waszmości – stolnik spojrzął na Broniewskiego – w prorocze sny święcie wierzę i wcale się tej wiary nie wstydzę.*

– *A jeśli sny nie są prorocze, lecz zwodnicze? – zapytał oschle podstarości. – A jeśli nie pochodzą od Boga lub jego aniołów, ale od diabła i jego sług? Hm? Co waszmość na to? Jak to rozpoznać? Jak połapać się w materii tak odległej od codziennych naszych doświadczeń?*

– *Wierz mi waćpan, że istnieją liczne a niechybne sposoby, by sztuczki Złego od woli bożej odróżnić – rzekł Ligęza, obdarzając pana Jacka surowym spojrzeniem spod zmarszczonych brwi – i jak będziesz starszy*

oraz stateczniejszy, to ufam, że niechybnie ową różnicę pojdziesz, a może i zastosujesz w praktyce.

– Sługa waszmości uniżony – mruknął jedynie Zaremba.

– Panie Pawle – Ligęza znów obrócił wzrok na miecznikowica – proszę, opowiadaj waszec dalej, bo przyznam, że ciekaw jestem, jakież to straszne sny mogły tak wielkie uczynić wrażenie na owym szlachcicu.

– Już spieszę zaspokoić ciekawość waszmość pana dobrodzieja – uprzejmie odrzekł Broniewski.

Panowie Broniewscy spokojnie czekali, aż Dobrowolski powróci do swojej opowieści, a ten przez chwilę zbierał się w sobie, aż wreszcie zaczął mówić:

– Od pierwszej nocy spędzonej w miłej gościnie waszmość pana – z tymi słowami skłonił uprzejmie głowę przed miecznikiem, a miecznik podziękował mu uśmiechem – pojawiał się przed moimi oczami jeden i ten sam sen... Taaak, zawsze niemal identyczny, a mówię: zawsze, bo i drugiej, i trzeciej nocy sen ów powracał ku coraz większemu mojemu utrapieniu. – Przerwał na chwilę, zbolalym gestem poprosił pana Pawła, by ten jednak dolał mu wina, po czym posmakował trunku i rozchmurzył się nieco. – W moim śnie, proszę waszmościów, widziałem wciąż to samo. Oto pojawiała się w nim jezioro zatopione wśród zieleni i zarośnięte zielonymi liśćmi tak szerokimi i tak błyszczącymi, że zdawały się być talerzami turkusowej barwy wypolerowanymi na wielki połysk. Tak dużo było tych liści, iż przykrywały całą taflę, i to, że pod nimi jest w ogóle woda, mogliście waćpanowie wyrozumieć jedynie wtedy, kiedy polująca na ważki ryba wychynęła na powietrze w skoku lub kiedy żaby przeskakując z liścia na liść tak obruszały któryś, że uchylał się lub odpływał...

– Waszmość niezwykle wyraźnie wszystko widziałeś – stwierdził zdziwiony miecznik.

– Jako bym stał na brzegu tego jeziora – zgodził się pan Strzeżymir. – Nawet słyszałem pluśnięcia wody, rechotanie żab i bzyczenie owadów tak bliskie, że się gotów bym przysiąc, że przelatowały tuż koło mojego ucha, a czasem wydawało mi się, że na policzkach czuję muśnięcia muszych skrzydełek.

– Coś takiego – stary Broniewski pokręcił głową – no coś takiego, proszę waćpana... Ale przyznam, że poza niezwykle dokładnością i

barwnością waćpanowej wizji nic więcej niezwykłego w owym śnie nie spostrzegam...

– Zaczekaj waćpan, a niestety spostrzeżesz – zapowiedział Dobrowolski. – Przez pierwsze dwa dni jedynie owo jezioro widziałem, tak jakbym stał lub, może lepiej powiedzieć, siedział na jego brzegu. Przysiągłbym, że dobiegał mnie nawet zapach mokrej ziemi nagrzanego słońcem i zmieszany z odorem gnijącej w wodzie zieleni, choć przyznam, że odór ten jedynie wtedy dawał się odczuć, kiedy od strony jeziora powiał silniejszy podmuch wiatru.

– Cóż za ekstraordynaryjna precyzja wizji! – Pan Protazy znowu się zachwycił.

– Trzeciego dnia sen zaczął się tak samo jak zwykle, ale potoczył się już całkiem inaczej... – Dobrowolski zapatrzył się w kąt pokoju.

– Pawelku, serdeńko... – Miecznik znaczącym ruchem głowy wskazał szklanicę pana Strzeżymira.

– Dziękuję waszmościom, serdecznie dziękuję – gość ocknął się z zadumy, kiedy zobaczył nachylającego się nad nim pana Pawła. – Taaak... – przeciągnął, kiedy już upił łyczek wina – inaczej się ten sen potoczył, inaczej... Aby dłużej nie trzymać waćpanów w niepewności, powiem tyle, że trzeciej nocy, czy raczej trzeciego dnia, bo zależy jak liczyć, skoro spałem nocą, lecz w czasie snu wyraźnie widziałem słońce przysłonięte zaledwie mgiełką rzadkich chmur...

– Mówmy: dzień – wtrącił pan Protazy.

– Tak, dobrze. Jak tylko waćpan sobie życzysz. A więc trzeciego dnia nagle zobaczyłem, że spod owego kozucha zieleni zarastającego tafłę jeziora coś się wyraźnie wynurza. Coś dużo, dużo większego niż ryba czy żaba, czy nawet wydra lub bóbr. I przyznam waćpanom, że w trakcie owego snu odczuwałem zarówno wielkie zaciekawienie, jak i, co tu ukrywać, pewien strach, który przecież, czego nie trzeba się wstydzić, tak często towarzyszy nam w trakcie trwania sennych koszmarów.

– Zwłaszcza takich koszmarów, które zsyłają na człowieka więdźmy – zauważył stary Broniewski, unosząc palec – gdyż im właśnie o to chodzi, by nieszczęsną ofiarę sparaliżować lękiem.

– A waćpan wiesz o jakichś więdźmach w okolicy? – Pan Strzeżymir przymrużył oczy.

– *Niestety nic o żadnych nie wiem – odparł z wyraźnym smutkiem miecznik.*

– No muszę waści o to zapytać! – Jacek Zaremba nie wytrzymał. – Czemuż ojciec waćpana odpowiedział „niestety” i w dodatku z „wyraźnym smutkiem”, jak twierdzisz?

Broniewski uśmiechnął się wyrozumiale.

– Nie dziwi mnie waścina ciekawość, gdyż i ja byłbym zdziwiony, słysząc podobne słowa, gdyby nie fakt, że ojca mego dobrodzieja świetnie znałem i wiedziałem też o jego różnorodnych marzeniach czy zamierzeniach.

– A jakież one były, jeśli wolno spytać? – wtrącił tym razem Ligęza.

– Ojciec mój dobrodziej pragnął spotkać prawdziwą czarownicę, prawdziwą wiedźmę, prawdziwego potwora w ludzkiej skórze parającego się, na ludzkie nieszczęście, mroczną sztuką...

– Jezus Maria! a skądże takie marzenia?

– Ojciec mój dobrodziej pragnął teorię, którą znał doskonale, choćby z dzieł świątobliwych mnichów Kramera i Sprengera, którzy, jak waćpanowie świetnie zapewne wiecie, przygotowali dla nas, ludu Bożego, tom wyjaśniający, czym są czarownice, jakie zło wyrządzają i w jakim sposobie je zwalczają na chwałę bożą...

– *Malleus Maleficarum*¹²⁵ – mruknął stolnik, a po jego minie i tonie głosu widać było, że nie darzy szczególną estymą czy to obu autorów, czy ich dzieła, czy też i jedno, i drugie ma w pogardzie.

– ... skonfrontować z praktyką i na własne oczy przekonać się, jak postępują czarownice. W jaki sposób ludzi mają, jakie stosują magiczne metody i czarnoksiężskie sposoby, by ich udręczyć. Tak właśnie było, proszę waszmościów dobrodziejów, gdyż mojemu ojcu dobrodziejowi marzyło się, by na podstawie onych doświadczeń i eksperymentów napisać potem podręcznik obrony przed czarami, który dzieło owych sławetnych dominikanów przewyższyłby nie tylko w opisie złowieszczych wiedźmich praktyk, lecz również skutecznością podanych sposobów na to, jak wiedźmy odnaleźć i po odnalezieniu bądź zniszczyć, bądź, ku czemu mój ojciec dobrodziej się skłaniał, przywrócić na łono Świętej Matki Kościoła.

– Przed czarami najlepsza obrona: modlitwa – burknął Jacek Zaremba.

– Ale też warto byłoby poznać, jakich modlitw wiedźmy najbardziej się boją, prawda? – zapalił się Broniewski. – Jakich świętych lękają się

najwięcej. Jakie czynione symbole i jakie odprawiane obrzędy budzą w nich trwogę i tak dalej, i tak dalej.

– Niby coś w tym jest – przyznał stolnik – choć myśmy wiedźmy po prostu palili, jak już panu, panie Jacku, wspominałem, w Mołdawii, gdzie tych złych kobiet tak wiele mieszka jak żab na bagnisku, tyle że dużo bardziej od żab są szkodliwe, gdyż nie tylko biednych kmiotków wciąż dręczą, lecz i miejscową szlachtę. A bywa nawet, powiem waszmościom, że niektórzy bojarowie biorą sobie za żony takie czarownice, sądząc, że pomogą im one w sporach z sąsiadami. A że dzięki sztuce magicznej kobiety te potrafią niezwykłą zachować urodę, więc liczą owi szlachcice, że wielki z nich pożytek będą mieli i w tym, i w tamtym.

– Ja jeszcze urodziwej czarownicy, jak żyję, nie widziałem – stwierdził pan Jacek. – W Poznaniu na rynku, kiedy dwie takie palono, co na pocziwe mieszczki rzucały straszne klątwy, zsyłając choroby oraz wszelakie nieszczęścia, to aż przykro było patrzeć, takie to stare było, pomarszczone i wychudzone...

– Widać jeszcze nie skończyły gotować eliksiru piękności – zauważył Ligęza – albo do jakiego podlejszego należały wiedźmiego gatunku, który na przyrządzaniu tychże eliksirów wcale się nie wyznawał.

– Tak właśnie musiało być, jak waszmość pan mówisz – zgodził się podstarość – na wolnym ogniu je pieczono i w męce szczerze spowiadały się ze swych win, ale jakie dokładnie czary odprawiały, to tego już nie powiedziały. No chyba że wyznały to tym, co je przesłuchiwali, lecz trudno mi coś powiedzieć, gdyż w Poznaniu bawiłem wtedy prywatnie, nie urzędowo.

– Ale waszmość pan na wiedźmy się kiedyś natknął? – zapytał Broniewski.

Zaremba rozłożył ręce i uśmiechnął się szeroko.

– No może kilka białogłów, z którymi bliżej się zaznajomiłem, znało się nieco na czarach, gdyż potrafiły całkiem mnie do siebie przywiązać. Ale chyba nie mogły być w owej magicznej sztuce zbyt biegłe, gdyż prędko się z więzów przez nie nałożonych wyplątywałem...

– Eee tam! – Pan Hieronim machnął dłonią.

– A tak zupełnie poważnie mówiąc, proszę waszmościów, to nie, nigdy czarownicy nie przesłuchiwałem. Morderców, raptowników, koniokradów, złodziejasków i innych złoczyńców owszem, lecz czarownicy nigdy. Może to i zresztą lepiej...

– Panie Jacku kochany, ty tutaj się, proszę waszmości, rozgadałeś na temat czarownic, a to przecież pan Paweł ma raczyć nas opowieścią! Pozwólmy więc mu wreszcie mówić, jeśli waść zezwolisz...

– Sługa pokorny waszmości stolnika dobrodzieja. – Podstarości jedynie uśmiechnął się pod wąsem. – Wierz mi waćpan, że z opowieści pana Broniewskiego ani słóweczka nie uronię.

– Tak trzymać – rzekł stolnik i obrócił się w stronę miecznikowica. – Prosimy, panie Pawle, prosimy.

– Jeśli pamiętam, zakończyłem na tym, że pan Dobrowolski opowiadał mojemu ojcu dobrodziejowi oraz mnie, iż we śnie ujrzał coś wielkiego wyłaniającego się spod wody.

– Imaginujcie sobie, waćpanowie, że ujrzałem tak wyraźnie, jak i was teraz widzę – ciągnął opowieść ze snu Strzeżymir Dobrowolski – iż z tej zielonej toni wynurza się dziewica wielkiej urody. Wpierw ujrzałem tylko włosy koloru dojrzałej pszenicy, potem resztę postaci obleczonej w suknię...

Ojciec Pawła Broniewskiego aż westchnął i pokręcił głową.

– Nie może to być...

– Ba, jak nie może, kiedy, jak mi Bóg miły na niebie, było!? – zakrzyknął pan Strzeżymir.

– Opowiadaj waść dalej – poprosił niecierpliwie miecznikowic.

– Ano dalej. Taaak... Serce biło mi tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi, łamiąc mi przy okazji zebra. I stałem nieruchomo, gdyż drgnąć nie mogłem. Wiecie waćpanowie, jak to we śnie bywa, kiedy się do czegoś wysilacie, napinacie, z czymś zmagacie, czy to z własną słabością, czy to z jakim ciężarem, a tu ani nic nie drgnie, ani się nie ruszy i widzicie, że na próżno idzie cały wasz wysiłek.

– Racja. Tak bywa, jak waść powiadasz – zgodził się pan Protazy, a jego syn skinął głową.

– Widziałem jedynie, że panna wygląda, jakby nie tknęła jej ani woda, ani wodorosty, ani zgnile liście. Rzekłbyś, że nie wynurzyła się spod pokrytej zieloną rzęsą tafli jeziora, lecz wysiadła właśnie z kolaski. Zresztą była ubrana w strój podróżny i zobaczyłem na pierwszy rzut oka, że bogata to musiała być białogłowa, bo przy ubraniu z przedniego aksamitu miała i złote zapineczki, i perłowe guziczki, a na palcach dwa pierścienie takiej urody, że nawet wojewoda by się nie powstydział ich nosić.

– A piękna była czy nie bardzo? – zapytał ciekawie pan Paweł.

– *Waść jako młodzieniec pewnie więcej ode mnie możesz powiedzieć o niewieściej urodzie i lepiej byś ją umiał ocenić oraz docenić.* – Dobrowolski się uśmiechnął. – *Rzeknę jedynie, że mnie owa panna zdawała się tak powabna, jakby sami aniołowie przysłali ją z nieba...* – Pan Strzeżymir westchnął głęboko i aż przymrużył oczy na wspomnienie dziewczyny ze snu. – *Włosy miała złote, pleć białą niczym śnieg, a oczy tak fiołkowe, jakby wymalowane, nawet nie z kwiatnych płatków, ale z czystej esencji tegoż kwiecia.*

– *Pięknie powiedziane – zachwycił się miecznik.*

– *Bo i piękna była, jak piękna może być tylko kobieta pochodząca ze snu, nie z życia.* – Dobrowolski pokręcił głową. – *Gdzież na jawie szukać takich białogłów!?* Toż ona jawiła się przed moimi oczami niczym diament czystej wody...

– *Już waści tego snu zazdroścę i tego, żeś miał szczęście zobaczyć na własne oczy tak piękną damę – powiedział pan Paweł.*

– *Nie tylko zobaczyć, proszę waszmościów, nie tylko zobaczyć – rzekł Dobrowolski – gdyż wyobraźcie sobie, że owa cudna panna obróciła na mnie spojrzenie, i przysięgam wam, że tak było ono smutne, iż wolałbym, aby mi wrogowie stalowym dłutem wierceili w sercu, niż widzieć tę żalność w jej źrenicach!* – Pan Strzeżymir wierzchem dłoni przetarł czoło, otrząsnął się, po czym ciągnął dalej opowieść: – *I nie tylko spojrzała na mnie, lecz również przemówiła.*

– *Mój Boże!*

– *Tak, tak, przemówiła. Głosem tak słodkim i tak smutnym jednocześnie, że czułem się, jakby mi serce rwano cęgami na kawałki, a łzy same napłynęły mi do oczu.*

– *I cóż powiedziała? Mów waćpan!*

– *Opowiedziała mi historię swojego życia – odparł cicho Dobrowolski.* – *Opowiedziała mi, jak żyła i jak zginęła, i czemu jej duch nie może zaznać spokoju, lecz snuje się pomiędzy jawą a snem, ustawicznie, a na próżno szukając pomocy dobrego chrześcijanina.*

– *Zaraz, zaraz – miecznik uniósł gwałtownie rękę – chcesz waćpan powiedzieć, że to nie był sen, lecz odwiedziny ducha? Że owa panna istniała niegdyś naprawdę? Że to nie zaledwie wytwór sennej fantazji?*

– *Tego nie wiem, jak mi Bóg miły.* – Pan Strzeżymir pokręcił głową. – *I nie tylko na to pytanie wam nie odpowiem, lecz więcej rzeknę: to ja z tym*

właśnie pytaniem do was przychodzę, jako do ludzi światłych, obytych i znających księgi. – Zatoczył krąg dłonią, pokazując półki pełne tomów w skórzanych oprawach.

– Z ogromną chęcią, proszę waszmości, ze szczerą chęcią, wierz mi, pomożemy ci, w czym zechcesz – odparł pospiesznie miecznik – lecz opowiadaj w takim razie dalej. Cóż za tajemnicę skrywała owa bogata panna?

– Historia ta zaczęła się jak jedna z wielu – odparł Dobrowolski – i podobne pewnie waszmość pan i syn waszmości słyszeliście nie raz i nie dwa. Ot, była sobie powabna, majątna panna, ot, był sobie srogi ojciec, który dla jedynaczki widział jako partię przynajmniej wielkiego posesjonata: wojewodę lub kasztelana, jeśli nie księcia krwi...

Pan Protazy z uśmiechem pokiwał głową.

– Wielu takich ojców znamy, którym dobry herb to za mało, bo mitry im się zachciewa dla córeczki.

– I tak dobrze, że mitry, nie korony. – Pan Paweł się roześmiał.

– Waszmościowie sami dobrze wiecie, że mieliśmy już władców, co ze szlachciankami się żenili – rzekł pan Strzeżymir. – Król Łokietek dajmy na to czy choćby nasz król Jan, daj mu Boże zdrowie, przecież Marię Kazimierę pojął za żonę, choć jej ród takim Radziwiłłom, Sapiehom czy Zamojskim mógłby za koniuchów usługiwać.

– Była panna, był ojciec, musiał się trafić i kawaler – poddał miecznik.

– Wielkiej fantazji, lecz zapewne małego majątku – dorzucił miecznikowic.

– Trafnieście waćpanowie odgadli. Istotnie, serce panny zdobył taki właśnie człowiek, tyle że oprócz wielkiej fantazji i niewielkiego majątku miał podłą duszę i prawdziwie złe zamiary.

Stary Broniewski zmarszczył brwi.

– Nie na sercu i nie na łożu, jak mniemam, mu zależało...

– Ano nie, panie mieczniku, ano nie. Jedyne, co ów młodzieniec chciał widzieć i co widział, to wielki majątek ojca tej, która go kochała szczerą, pierwszą miłością. Toteż namówił pannę, by wywiedziała się, gdzie stary trzyma kosztowności i złoto, a kiedy już poznał tajemnice domu, to zabrał dziewczkę razem ze skrzynkami pełnymi bogactw. Pannie obiecał ślub i wziął na kredyt to, z czym powinien poczekać do sakramentu małżeństwa. A potem porzucił ją śpiącą w pokoju, w przydrożnym zajeździe, i zostawił

liścik, w którym pisał, iż zrozumiał, że kawalerska wolność najbardziej jest droga jego sercu. Tyle że skrzynki ze złotem, rzecz jasna, sobie zatrzymał...

– A to podlec! – warknął miecznikowic.

Pan Protazy pokiwał głową, przyznając rację synowi.

– Dziewkę wyrwać spod kurateli ojca to rzecz może nie zwyczajna, ale zdarzająca się, kto wie, czy nie częściej, niżby ojcowie córek tego pragnęli. Ośłodzić sobie ucieczkę ojcowym majątkiem... ooo, to młodzi również umieją... Ale porzucić pannę, która w zaufaniu serce i cześć oddała – miecznik zgrzytnął zębami – to się nie godzi i takiego łotra sam bym obwiesił! Ani by mi ręka drgnęła!

– Smutne to jak każda historia zdradzonej miłości i zdradzonego zaufania – przyznał Dobrowolski. – Tym smutniejsza, że panna, straciwszy kochanka, a wstydząc się i bojąc wracać do ojca, nie znalazła innego wyjścia, jak szukać ukojenia sposobem, który łamie boskie przykazania. Poleciwszy duszę Panu, znalazła najbliższe jezioro i skoczyła w jego toń.

– Zadziwiające – przerwał Jacek Zaremba.

– Czy ja wiem, panie Jacku kochany? Smutna historia, trzeba to przyznać. Ale zadziwiająca? Przecież nie o takich sprawkach się słyszało.

– Zadziwiające, że panna tyle sobie zadała trudu, by znaleźć jezioro i do niego wskoczyć – wyjaśnił podstarość. – Nie lepiej to powiesić się na pasku?

– Bójże się Boga, panie Zarembo! – wybuchnął stolnik, gdyż najwyraźniej zgorszyły go słowa pana Jacka. – Mieję odrobinę współczucia dla biednego stworzenia!

– Chciałem waści przypomnieć, stolniku dobrodzieju, że mówimy o postaci ze snu.

– E tam! – pan Hieronim machnął ręką. – Snu nie snu, obojętne. Podobnie chłodne podejście zostaw lepiej waszmość cynikom.

– Jestem sługą prawa, stolniku dobrodzieju – rzekł Zaremba, rozkładając dłonie – a my musimy być po trosze stoikami i po trosze cynikami. Nie wydaje się waszmościom dziwne, że zdradzona i porzucona panna biegnie szukać jeziora, zamiast choćby nożem dźgnąć się w serce? Ale już milknę – dodał szybko, widząc gniewne spojrzenie Ligęzy – i posłusznie słucham opowieści pana Pawła. Racz waćpan wybaczyć, że ci przerwałem.

– Rozumiem waszmości zdziwienie – Broniewski skinął głową – wtedy jednak historia opowiadana przez pannę ze snu ani trochę nas nie zaskoczyła. Może dlatego, że była to właśnie panna ze snu, a we śnie wszystko przecież może się zdarzyć i rzeczy, które na jawie wydałyby się nam zdumiewające, w sennym marzeniu zdają się całkiem zwyczajne.

– Tak właśnie jest – zgodził się stolnik. – Wracaj do swej historii, panie Pawle, a ciebie panie Jacku serdecznie upraszam i napominam, byś tak często panu Broniewskiemu nie przerywał.

– Sługa uniżony – mruknął, bynajmniej nieskruszony, podstarości.

– *Taką właśnie historię opowiedziała mi dziewczyna, która wyłoniła się z jeziora, a kiedy wspominała miłość, zdradę i śmierć, to łzy płynęły po jej policzkach. I ja waćpanowie, choć przecież stary jestem i wiele zła widziałem, i wiele zła przeżyłem, to kiedy słuchałem jej żalów, płakałem niczym bóbr. – Pan Strzeżymir, dopowiadając to zdanie, zwiesił głowę.*

– *Trudno waćpana za taką słabość winić, gdyż sen miałeś tak rzeczywisty i w owej rzeczywistości jednocześnie tak smutny, iż nie ma się co dziwić, że uznawałeś go za tragedię doświadczaną na jawie – powiedział wyrozumiale miecznik. – Ale mów dalej: czy owa panna ujawniła cel, w którym objawiła ci się we śnie?*

– *Tak, proszę waćpanów, gdyż sam, wysłuchawszy historii jej życia, spytałem, tak jak spytałby każdy uczciwy chrześcijanin, czy mogę jej w jakiś sposób pomóc. Czy modlitwą, czy powiadomieniem rodziny o jej losie, czy mszą świętą, czy nawet jakowąś fundacyjką. Bo chociaż chudopachotek ze mnie, to przecież szabli na postronku nie noszę i piechotą nie chadzam, więc kapliczkę, ba!, nawet oltarz w kościele mógłbym ufundować, gdyby spokój duszy tej dziewczyny właśnie od tego zależał i gdyby miało jej to pomóc w osiągnięciu zbawienia.*

– *Wiemy doskonale, że są na świecie biedne duszyczki, które blakają się pomiędzy ziemią a niebem, same nie wiedząc, gdzie należą i jak zakończyć ową nieszczęsną peregrynację. W takim wypadku nie masz nic lepszego jak msza, modlitwa i dobre słowo – rzekł pan Protazy. – A co owa nieszczęsna istota odpowiedziała na pytanie waszmości dobrodzieja?*

– *Odpowiedziała, proszę waćpanów, odpowiedziała, a jakże. Tyle że...*
– *Dobrowolski pokręcił głową – tyle że tak samo dobra była ta odpowiedź jak kolejne pytanie...*

– *Czyli?*

– Panna powiedziała, iż pierwszym krokiem, by osiągnęła zbawienie, jest odnalezienie jej nieszczęsnych szczątków i pochowanie ich zgodnie z chrześcijańskim obyczajem i w świętej ziemi...

– To przecież samobójczyni – odezwał się z wahaniem pan Paweł.

– Daj pokój, Pawełku, daj pokój – Stary Broniewski machnął ręką – już ksiądz Zdrojewski pochowa ją tam, gdzie ja rozkażę.

– Waćpanowie myślicie, że to prawda? – Dobrowolski szeroko otworzył oczy. – Że owa panna naprawdę gdzieś tu w okolicy wyzionęła ducha? Że to, czego doświadczyłem, to nie tylko sen mara?

Panowie Broniewscy spojrzeli po sobie, jakby dopiero teraz zostali przyłapani i jednocześnie sami siebie przyłapali na myśli, iż w dziwnej opowieści pana Strzeżymira może być coś więcej niż zaledwie senne majaczenia.

– Kto wie, kto wie... – odezwał się wreszcie miecznik. – Ale mów waść dalej: jaka tajemnica kryła się w odpowiedzi dziewczyny?

– Ano taka, że nieszczęsna nie wie, ani w jakim zajeździe spała, ani gdzie jest czy gdzie było jezioro, w którym utonęła.

– A nazwisko? Nie wyjawiała waćpanu, z jakiej rodziny pochodzi? Gdzie leży jej majątek?

– Ot, kur na podwórzu zapiał, wieszcząc ranek, i sen wtedy prysnął – westchnął pan Strzeżymir. – Nic więcej nie wiem.

– Może ojciec dobrodziej słyszał o podobnym dramacie w okolicy? – Młody Broniewski obrócił spojrzenie na pana Protazego.

Miecznik jednak tylko pokręcił głową.

– Nie zapomniałbym takiej historii – odparł.

– Zapewne ukryto by prawdę, gdyż ojciec wszak niechętnie chlubiłby się hańbą, zdradą oraz utratą majątku – podpowiedział Dobrowolski. – Łatwo mógł ogłosić, że córka zmarła albo wyjechała do rodziny, albo choćby na dwór do Warszawy.

– A służba? Poodcinałby im języki czy co?

– Jeśli miał wiernych pacholków, a sam był człekiem srogim, to może nie pisnęli słówka?

– Ooo, tak, zapewne – z ironią przytaknął miecznik.

– Nic bardziej nie świerzbi sługi niż język, kiedy pilnie trzeba dochować tajemnicy – poparł ojca pan Paweł.

– *A im niższe pochodzenie i im mniejsze przywiązanie do pana, tym swędzenie większe – dokończył Protazy Broniewski.*

– *Tak czy inaczej, przyszedłem zasięgnąć waćpanów rady, gdyż jako ludzie uczeni może słyszeliście o podobnych do mojego przypadkach i wiecie, co wypada czynić dalej.*

Stary Broniewski w zamyśleniu pogładził się po wąsach.

– *Rzecz jasna, proszę waszmości, że wieszczce sny czy odwiedziny duchów we śnie to rzecz opisywana przez wielu, poczynając od starożytnych Greków i Rzymian, a byli wśród nich i najpierwsi senatorowie, i nawet sami cesarze.*

– *A królowi Zygmuntowi ukazywała się w snach nieboszczka królowa Barbara – wtrącił pan Paweł.*

– *Ale jakąż radę możemy mieć dla waćpana? – Zafrasowany miecznik pokręcił głową. – Otóż jedną tylko, choć nie wiem, czy moja odpowiedź waćpana usatysfakcjonuje: czekać.*

– *Czekać... – powtórzył niepewnie Dobrowolski.*

– *Jeśli to nie sen, ale odwiedziny znękaney duszy, to pojawi się ona znowu, by prosić waćpana o pomoc – wyjaśnił pan Protazy – wtedy zadasz waszmość wszystkie pytania, jakie trzeba, by dojść do tego, gdzie leżą szczątki owej nieszczęsnej dziewczki. I wtedy z całych sił wspomozemy cię, by owe szczątki odnaleźć i by sprawić im godny pochówek, tak jak przystało na dobrych chrześcijan.*

Pan Strzeżymir dumał dłuższą chwilę, potem pokiwał głową.

– *Choćbym i rok się głowił, mądrzejszej rady bym nie wymyślił niż waćpanowa. – Uśmiechnął się. – Masz waszmość rację – dodał już żywym tonem – jeśli dziewczyna się nie zjawi, to znaczy, że tylko sen mara i furda! Jeżeli natomiast znów do mnie przemówi, wtedy wiedzieć będę, iż mam do czynienia z nieszczęsną duszyczką pragnącą pojednania z Bogiem. Dobrze! – Zadowolony Dobrowolski zatarł dłonie. – Wielki kamień spadł mi z serca dzięki waszmościom. Doprawdy wielki, powiadam, i pokornie wam za zdjęcie tegoż ciężaru dziękuję.*

– *Ależ nie ma za co, proszę waszmości. – Miecznik się zakłopotał. – Wstyd mi tylko, że tak niewiele mogliśmy ci pomóc. Daj Boże, a w przyszłości pomozemy więcej...*

– *Tak jest, daj Boże – gorąco przytaknął pan Paweł.*

– I sen powrócił? – Stolnik nie wytrzymał. – Powiedzże waćpan: powrócił?

Broniewski skinął głową.

– Tak jest, panie stolniku dobrodzieju. Dobrowolski przyszedł do nas następnego ranka, a przyznam, że obaj z ojcem dobrodziejem niecierpliwie wyczekiwaliśmy jego odwiedzin i jego relacji. Okazało się, iż sen powrócił i panna, która tak żalosną zginęła śmiercią, opowiedziała więcej o sobie.

– A nazwisko? Zdradziła, z jakiego pochodzi rodu?

Tym razem pan Paweł głową pokręcił.

– Niestety nie, proszę waszmościów dobrodziejów. Dobrowolski twierdził, iż za nic w świecie tego nie chciała ujawnić, że może nawet po śmierci wstydziała się, by jej postępek nie zhańbił rodziny.

– Bo ucieczka z gachem i kradzież ojcowizny wydała jej się, jak można domniemywać, moralnie znośna... – ironicznie mruknął podstarości.

Ligeża wciągnął powietrze z sykiem.

– Panie Zarembo, oj, panie Zarembo...

– Ojciec mój dobrodziej mawiał, że meandrów kobiecego rozumowania nie wymierzysz, choćbyś nawet bardzo się natężył – stwierdził miecznikowic. – A tu nie dość, że o kobiecie rozmawiamy, to jeszcze w zasadzie o jej duchu...

– ... który przecież niekoniecznie musi postępować zgodnie z naszą, ziemską logiką – dokończył za niego stolnik. – Choćby wszyscy słudzy prawa na świecie bardzo sobie tego życzyli – spojrział trochę karcącym, a trochę kpiącym wzrokiem na Jacka Zarembe – i choćby mieli zamiar przywoływać na pomoc stoików oraz cyników.

Podstarości odpowiedział uśmiechem.

– Proszę, panie Pawle, proszę...

– Po rozmowie z Dobrowolskim doszliśmy do przekonania, iż jezioro, o którym opowiadał ów duch, musi się znajdować w naszym lesie. Bo my, Broniewscy, mieliśmy spory kawał lasu, a w nim kilka większych i mniejszych jezior, od takich byle kałuż zarośniętych zielenią aż po dwa duże, zarybione jeziora. I doszliśmy do wniosku, że mowa jest o takim niepozornym, zamulonym stawiku, którego jeden z brzegów stanowi dość strome, błotniste urwisko. Sądziliśmy, że tam panna targnęła się na własne życie.

– Jak mniemam, ów staw znajdował się niedaleko traktu? – zagadnął Zaremba.

– Nie – odparł zdziwiony Broniewski – do traktu to akurat będą stamtąd ze trzy mile z okładem. A czemu tak, waszmość, sądziłeś?

– Nie nic, nic... Tyle że, jak widzę, dziewczyna dość długo wędrowała po lesie, zanim znalazła tę, jak waćpan powiedziałeś, kałużę.

– Tak to już jest, panie Jacku, że wrażliwe natury najpierw błakają się, rozpaczając i tracąc z tej rozpaczki zmysły, aż w końcu, doprowadzone do ostateczności i przepelnione niedającą się ukoić żalnością, popełniają samobójstwo – rzekł Ligęza, marszcząc brwi.

– Teraz już rozumiem, proszę waszmości – odparł pokornie pan Jacek – i uprzejmie dziękuję za objaśnienia.

Stolnik zerknął badawczo i podejrzliwie na podstarościego, by zobaczyć i przekonać się, czy ten czasem nie kpi, ale pan Jacek odpowiedział mu wejrzeniem szczerym, niewinnym i pełnym wdzięczności, więc Ligęza rozchmurzył się i uspokoił.

– Jak mniemam, zdecydowaliście, by szczytków nieszczęsnej poszukać w owym stawie – stolnik tym razem spojrzął na Broniewskiego – i w ten sposób przekonać się, czy sen owego Dobrowolskiego był właśnie jeno snem, czy też przekazywał wieści ze świata poza naszym światem.

– Waszmość pan dobrodziej odgadujesz tak łatwo i wnikasz w sedno sprawy tak lekko, jakbyś sam był na miejscu – uprzejmie stwierdził miecznikowic.

Pan Hieronim uśmiechnął się i mimowolnie pogładził wąsa, bo chociaż stary był z niego wyga i łatwo się nie dawał złapać na lep komplementów, to jednak zawsze miło mu było wiedzieć, że młódź szanuje starszych wiekiem oraz doświadczeńszych od siebie.

– Ale niestety, proszę waszmościów, sekret Dobrowolskiego wypłynął. Bóg mi świadkiem, że ja pary z gęby nie puściłem, a przysięgnę również, że ojciec mój dobrodziej z nikim nie podzielił się ową tajemnicą. Jednak dzień po tej rozmowie wszyscy we dworze o niej wiedzieli.

– W takim razie Dobrowolski – poddał Ligęza.

– Bał się i wstydził owych wizji, więc raczej nie on – odparł pan Paweł.

– W takim razie któryś sługa miał za długie ucho, zbyt dobry słuch i zbyt swędzący język – znowu starał się zgadnąć stolnik.

– I my tak sądziliśmy, waszmościowie dobrodzieje, i my tak sądziliśmy – powiedział miecznikowic. – Zresztą do dzisiaj tak właśnie myślę, gdyż nikt inny poza nad miarę gadatliwym sługą nie miałby przecież żadnego interesu w tym, aby ową historię powtarzać. Za siebie i ojca dobrodzieja mogę ręczyć, a Dobrowolski, jak już mówiłem, nie miał czym się chlubić.

– Zostawmy za pozwoleniem, panie miecznikowicu, odpowiedź na pytanie kto – powiedział Jacek Zaremba – gdyż rozumiem, że nie poznamy na razie odpowiedzi, i przejdźmy do pytania, jakież to skutki wywołała powszechna znajomość owej opowieści. Bo rozumiem, że jakież wywołała na pewno.

– O, tak – przytaknął gorzko Broniewski. – Powiedziałbym: niczym trzęsienie ziemi.

– No coś takiego! – Stolnik się zdumiał.

– Małachowski, który przedtem był już nie do zniesienia, teraz całkiem się zbisurmanił i z Dobrowolskiego tak szydził, tak go wyśmiewał i tak upokarzał, że wszystkich aż żałość brała.

– W związku z czym, jak podejrzewam, reszta szlachty stanęła po stronie pana Strzeżymira oraz jego snów – domyślił się pan Jacek.

– Tak właśnie było – odparł niezdziwiony miecznikowic, który najwidoczniej już się przyzwyczyił, że podstarości celnie odgaduje dalszy ciąg opowieści.

– Ośmielam się nawet przypuszczać, że nie tak prędko szlachta by uwierzyła w te sny, gdyby nie fakt, iż wierzącego w nie powszechnie lubiano, a szydzącego z nich powszechnie nienawidzono...

– Tak właśnie było, panie starosto dobrodzieju – powtórzył młodzian – i dlatego też o tym Małachowskim waćpanom dobrodziejom opowiadałem, byście wiedzieli, że nie taka znowu łatwowierna była nasza szlachta, lecz że wiara w historię zdradzonej panny stała się, jak by to rzec, wyrazem buntu przeciw owemu nieznośnemu Małachowskiemu.

– Skoro mu w łeb nie można było dać...

– Istotnie.

– Cóż dalej, panie Pawle? Opowiadaj waszcć! – niecierpliwie rozkazał Ligęza.

– Sny Dobrowolskiego potwierdziły się w najmniejszym detalu – oznajmił Broniewski. – Kiedy osusziliśmy staw, znaleźliśmy w nim

szczątki nieszczęsnego dziewczęcia i ojciec mój dobrodziej kazał je pochować z całym chrześcijańskim ceremoniałem...

– Ksiądz nie burzył się, że samobójczynię chowa w poświęconej ziemi?

– Ksiądz wiedział, czyja ręka go karmi – odpowiedział wyniosłym tonem pan Paweł – a my, Broniewscy, zawsze potrafiliśmy zachować we wdzięcznej pamięci ludzi postępujących zgodnie z naszą wolą, jak i dobrze zapamiętać tych, którzy się tej woli sprzeciwiali.

Stolnik uśmiechnął się półgębkiem, bo to mocne zdanie trochę nie pasowało do łagodnej fizys miecznikowica, ale nie miał najmniejszego powodu, by w wypowiedziane słowa powątpiewać.

– I cóż stało się dalej, panie Pawle? Bo przecież coś się stać musiało, choć wielu mogłoby pomyśleć, że oto nastąpił szczęśliwy koniec tragicznej historii...

– Dziewczyna znowu objawiła się Dobrowolskiemu we śnie – rzekł Broniewski – i, jak zapewniał, serdecznie dziękowała nam wszystkim, którzy przyczyniliśmy się do godnego pochowania jej zwłok.

– Bardzo uprzejma panna, choć martwa – stwierdził poważnie Zaremba, a kiedy stolnik i miecznikowic spojrzeli na niego podejrzliwie, tylko uśmiechnął się nieznacznie.

– Powiedziała jednak, że musi raz jeszcze skorzystać z naszej uprzejmości...

– Jakżeby inaczej – mruknął pod nosem podstarość.

– ... gdyż jej dusza nie zazna niebiańskiego ukojenia, dopóki w jej imieniu i na jej intencję...

– ... nie odprawicie szeregu uroczystych mszy – dokończył zadowolony z rozwiązania Ligęza.

– Obawiam się, że niestety nie o to chodziło, proszę waszmości dobrodzieja – łagodnie zaprzeczył pan Paweł – owa panna błagała nas bowiem ustami Dobrowolskiego, byśmy wybudowali...

– ... kapliczkę – znowu wtrącił Ligęza.

– ... kościół – dokończył w tej samej chwili Broniewski.

– Kościół – powtórzył z namysłem stolnik. – Kościół to już poważniejsza sprawa.

– Ośmielam się domniemywać, mości panie miecznikowicu, że panna wyjawiała nawet, jaki ma być ten kościół – powiedział pan Jacek.

Broniewski tym razem był wyraźnie zaskoczony domyślnością Zaremby i pokiwał głową z nieukrywanym uznaniem.

– Waszmość pan dobrodziej, panie starosto, zupełnie jakbyś w myślach moich czytał albo jakby ci ową historię już opowiadano. Tak, tak, masz waćpan dobrodziej rację. Panna dokładnie opisała, jak kościół ma wyglądać, i wyznam waćpanom, że jeśli miał być proporcjonalny do jej grzechów, to grzechy te były większe niż ktokolwiek sądził...

Jacek Zaremba roześmiał się, jednak zaraz spoważniał, skarcony napominającym spojrzeniem pana Hieronima.

– Biedna istota! – westchnął Ligęza. – Jak to łaski bożej szukała nawet po śmierci.

– Waszmość panowie, waszmość pan i waszmości ojciec, nie dalibyście rady udźwignąć podobnego wydatku – raczej stwierdził niż zapytał Zaremba.

– Mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, chyba by nas obu przegnała, gdybyśmy taki kościół zaczęli budować. Bowiem mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, choć była niewiastą wielce bogobojną, twierdziła, że do Boga wcale nie trzeba modlić się w marmurowych kościołach czy innych alabastrowych kaplicach, a ksiądz równie dobrze może chodzić w wełnie, nie w jedwabiach oraz aksamitach.

– I słusznie! – z pasją przytaknął stolnik. – Kościół powinien świecić przykładem w bogobojności, miłosierdziu i łaskawości, nie w bogactwie. Za wielu mamy księży i biskupów, co stroją się niczym murwy w zamtuzie, a zamiast do Boga dużo chętniej modlą się do piczy, talarów albo tyłka młodego wikarego!

– Kto jest biedny, tego nikt nie szanuje – zauważył Jacek Zaremba, który najwyraźniej nie zgadzał się z radykalnym poglądem gospodarza na ubóstwo Kościoła.

Ligęza jednak tylko wzruszył ramionami.

– We wszystkim należy zachować umiar, panie Jacku. Gdy kraj biedny i obywatele biedni, gdy Rzeczypospolitej brak pieniędzy na żołnierza, na broń i na fortyfikacje, to aż wstyd, że jedynymi, którzy opływają we wszelkie dostatki, są właśnie księża. Nie raz i nie dwa mówiłem, że angielski król Henryk, choć może niesłusznie Watykanowi wypowiedział przyjaźń, to już na pewno słusznie zakonom i Kościołowi pozabierał zamki, pałace oraz włości, które potem sprawiedliwie dobrej szlachcie rozdał. Tak i w Polsce powinno się stać i daj Boże, kiedyś się stanie. No, ale, ale –

stolnik skierował spojrzenie na miecznikowica – dość o polityce. Co się dalej działo, panie Pawle? W jaki sposób poradziście sobie z kłopotem?

– Zdziwicie się, waszmościowie dobrodzieje, kiedy powiem wam, że panna podobny obrót rzeczy przewidziała, gdyż obiecała, że obdarzy nas wielkim skarbem, który z naddatkiem pokryje wszystkie koszty budowy...

– Coś takiego! – Jacek Zaremba był prawdziwie zdumiony i z tego zdumienia aż pokręcił głową.

– Kazała nam jedynie przysiąc na Biblię, że co najmniej połowy majątku, który otrzymamy, użyjemy w owej świątobliwej intencji, a jeżeli co zostanie, to już nasza sprawa będzie, czy tę resztę rozdamy ubogim, czy też zatrzymamy w innym celu. Oczywiście chętnie złożyliśmy obietnicę...

– Ha! – wykrzyknął Ligęza. – A zatem marzenia ojca waszmości o wielkich skarbach, utajonych przed ludzkimi oczami, miały się ziścić?

Broniewski uśmiechnął się smutno.

– Dojdę i do tego, lecz zapewniam waćpana, że inaczej ojciec mój dobrodziej wyobrażał sobie finalizację owych niewinnych marzeń.

– Bardzo jestem ciekaw, w jaki sposób skarb, o którym opowiadał ów duch, miał trafić w waszmościów ręce – rzekł podstarość.

– Niektórzy twierdzą, a są wśród nich ludzie uczeni, że duchy znają miejsce ukrycia podziemnych bogactw, ba!, nawet potrafią wysledzić żyły złota i srebra biegnące poprzez skały – powiedział pan Hieronim. – Tak ponoć przed wiekami odkryto srebro, które do tej pory górnicy wydobywają w Olkuszu.

– I ja o tym słyszałem – zgodził się miecznikowic – jednak duch dziewczyny inny znalazł sposób, by obdarować nas majątkiem.

– Czy możesz mi waść odpowiedzieć na jedno pytanie? – przerwał miecznikowicowi Zaremba.

– Ależ proszę uprzejmie...

– Czy staw, o którym waszmość opowiadałeś, a z którego wydobyto zwłoki dziewczyny, był bardzo mulisty?

– Niezwykle – odparł pan Paweł. – Człowiek grzął po ramiona, zanim całe błoto nie zostało wywiezione albo nie wyschło na słońcu. Nawet jeden chłop by nam się w tym szlamie utopił.

– A szkielet nieszczęsnej leżał gdzie? – Pan Jacek zobaczył, że Broniewski nie rozumie sensu pytania, więc doprecyzował: – Może pod grubą warstwą mułu? A może niemal na wierzchu?

– Ach tak... Na wierzchu, panie starosto dobrodzieju. Znaczy: na dnie, lecz na tego dna wierzchu, o to mi chodzi...

Ligęza i Zaremba skinęli głowami na znak, że doskonale rozumieją, co Broniewski ma na myśli.

– Chociaż mój ojciec dobrodziej kazał chłopom jeszcze to całe błoto wyciągnąć, by sprawdzić, czy głębiej nie kryje się również jakaś niespodzianka.

– Ale nie znaleźliście nic ciekawego? – drażył podstarości.

Broniewski potrząsnął głową.

– Nie, proszę waszmościów. Jedyne kości tej dziewczeczki, a poza tym... cóż... tyle, co można znaleźć w osuszonym leśnym jeziorze: zbutwiałe kłody, zgniłe szczątki starej łódki, nic ekstraordynaryjnego... Aaa, prawda!, chłopci znaleźli szkielet krowy, która zginęła kilka lat wcześniej. Pewnie wilki ją wpędziły w toń, a potem błoto wciągnęło i udusiło... No ale to chyba – pan Paweł spojrzał na Zarembę i Ligęzę – w niczym waćpanom nie pomoże.

– Mnie na pewno nie. – Stolnik się zaśmiał.

– A krowie kości leżały na powierzchni szlamu zalegającego dno? – chciał wiedzieć Zaremba.

– Panie Jacku kochany, cóż cię obchodzić może jakaś głupia krowa?

– Nie, proszę waszmości – odparł miecznikowic. – Z tego, co pamiętam, krowi szkielet był głęboko zagrzebany w błocie.

Ligęza ostentacyjnie westchnął.

– Może już dość tego błota i jeziora, co, Panie Jacku?

– Sługa pokorny stolnika dobrodzieja. Pilnie dalej słucham pana Broniewskiego.

– Tak, tak, bo ja koniecznie chcę się dowiedzieć, jakiż to sposób pozyskania funduszy ów duch dla waćpanów znalazł.

– Zaraz wszystko waszmościom wyłuszcę, panie stolniku dobrodzieju, panie starosto dobrodzieju, bo sposób wydawał się więcej niż prosty. Oto duch zabrał we śnie pana Strzeżymira do jaskini, którą, jak waszmościowie dobrodzieje się domyślacie, odnaleźliśmy niedługo potem w rzeczywistym świecie, i przykazał, by na jedną noc w jaskini tej zostawiono złoto, a duch, z boskiej korzystając łaski, owo złoto w dwójnasób pomnoży.

– Baaardzo zacnie z jego, czy raczej jej, strony – skwitował Zaremba – pomocny duch, nie ma co! Czy pan Małachowski, ów starzec o niewyparzonej gębie, nawrócił się na wiarę w ducha?

– Z tonu, jakim waszmość pan dobrodziej zadałeś to pytanie, domyślałam się, że znasz odpowiedź. Rzecz jasna nie: nie tylko się nie nawrócił, ale wręcz ataki spotęgował i gadał, czy go kto chciał słuchać, czy nie, a raczej nikt nie chciał, że nawet złamanego grosza nie da.

– Tym chętniej inni dawali...

– Tym chętniej – powtórzył jak echo Paweł Broniewski.

– I co dalej? Co dalej, panie Pawle? – niecierpliwił się stolnik.

– Wieść rozeszła się szeroko po okolicy, ubarwiona przez plotki i powtórzenia. Niektórzy już powiadali wręcz, że to nie duch jakiejś samobójczyni, lecz sama Matka Boska się objawiła, by wspomóc szlachtę naszego powiatu znaną z pobożności i zacności.

Pan Jacek aż pokręcił głową i zacmokał.

– Cóż to, panie Zarembo kochany?

– Nic, nic proszę waszmości. Wyobrażam sobie jedynie, ile w związku z tym dobra złożono w owej jaskini wskazanej przez pana Strzeżymira.

– Jeśli rzekłbyś waćpan: dużo, to o wiele byś się pomylił – rzekł posepnym tonem Broniewski – bo tego było takie mnóstwo, że rzec mogę, iż nigdy się nie spodziewałem na własne oczy oglądać podobnej sumy. Złotem, które w jaskini zgromadzono niczym w jakim baśniowym Sezamie, to ufam, że i najpierwszy z naszych magnatów by nie pogardził. Wszystko odbyło się w należyтым porządku. Każdą sumę przeliczono i zaprotokołowano, tu sędzia, a nasz przyjaciel pan Tucholski wraz z pomocnikami wiele pracy włożyli, bo przecież wszystko musiało zostać stosownie opisane, by potem wiadomo było, co, komu i ile z owej nagrody obiecanej przez ducha się należy.

– Słusznie, słusznie. Widzę, że waćpanowie chłodno podeszliście do sprawy.

Paweł Broniewski pokręcił głową ze smętnym uśmiechem.

– Gdybyś waszmość, stolniku dobrodzieju, widział te tłumy szlachty kłębiące się przed stołem sędziego, szlachty objuczonej złotem i precjozami, to ufam, za pozwoleniem, że słowa „chłodno” byś nie użył w tym wypadku.

– Ha! – rzekł jedynie Ligęza, gdyż najwyraźniej wyobraził sobie, co w praktyce oznaczały słowa miecznikowica.

Przez długą chwilę wszyscy w gabinecie milczeli. Pan Hieronim i pan Jacek czekali na dalszą część historii, a Broniewski najwyraźniej zbierał się, by tę część im wyjawić.

– Domyślcie się, waszmościowie, co się wydarzyło rankiem następnego dnia po odpieczętowaniu jaskini, prawda? – zapytał w końcu przygaszonym głosem, a wzrok opuścił ku podłodze, bo przecież nie spodziewał się żadnego responsu. – Oczywiście nie znaleźliśmy żadnych bogactw, a jedynie kałużę zastygłej smoły i rozrzuconą wokół niej siarkę. Najpewniejszy to był znak, iż sny, które nawiedziły Dobrowolskiego, nie pochodziły od nieszczęsnej białogłowy szukającej pomocy wśród żywych, lecz od samych piekielnych władców, którzy niechybnie pragnęli nas, dobrą i pobożną katolicką szlachtę, sromotnie pognać. Tak, tak... I pognębili... – Pan Paweł zwiesił głowę jeszcze niżej.

Ligęza i Zaremba milczeli dłuższą chwilę, wreszcie stolnik powstał z przeciągłym sapnięciem, zbliżył się do miecznikowica i przyjaźnie poklepał go po ramieniu.

– Wśród przyjaciół jesteś teraz, waszmość panie. Pomożemy ci, jeśli tylko pomóc zdołamy.

– Pokornie dziękuję waszmości dobrodziejowi. – Młodzieniec podniósł głowę i łatwo było dostrzec, iż ma czerwone, zażawione oczy. – To wspomnienie dalej boli, dalej... ech... – potrząsnął głową.

Jacek Zaremba zbliżył się z flaszą, nalał z niej hojnie do kielicha Broniewskiego i podsunął panu Pawłowi napitek. Ten przyjął naczynie z wdzięcznym, choć słabym uśmiechem, potem przechylił głębooko głowę i w jednej chwili cały kielich wlał sobie do gardła, po czym otrząsnął się niczym pies po kąpieli.

– Już mi lepiej – zapewnił – jeno widzicie waszmościowie, aż słabo mi się robi na wspomnienie tamtych chwil. Na wspomnienie tego, jak z ojcem dobrodziejem, prowadząc co znamienitszych z sąsiedzkiej szlachty, bo reszta tłoczyła się na progu, weszliśmy do jaskini... jak nic nie ujrzeliśmy prócz smoły oraz siarki, o których już waszmościom wzmiankowałem. Nie tylko żadnych pomnożonych bogactw, ale nawet tego, co wcześniej zostawiliśmy... Jakby nam powietrza w płucach zabrakło, kiedy zrozumieliśmy, co się naprawdę stało. Ojciec mój dobrodziej mało przytomności nie stracił z alteracji, a ja, wstyd powiedzieć, po prostu

siadłem na ziemi i wpatrywałem się niczym sroka w gnat w ślady zostawione przez diabły i ani słowa, ani nawet myśli jakiegś nie mogłem z siebie wydobyć i tylko po głowie mi chodziło: „Boże, mój Boże!”, i nic poza tym...

– Ja to sobie potrafię wyobrazić – westchnął stolnik i ojcowskim gestem położył dłoń na głowie pana Pawła. – Wieleś waśc wycierpiał, wiele...

– Wtedy to jeszcze tyle co nic – odparł miecznikowic – złe czasy nadeszły niedługo potem.

– Kiedy sąsiedzi otrząsnęli się z konfuzji i zaczęli się zastanawiać, kto zawinił i kto za ich straty zapłaci – domyślnie podpowiedział Jacek Zaremba.

– Tak właśnie było, panie starosto dobrodzieju, właśnie tak, jak waszmość mówisz.

– A cóż się stało z panem Dobrowolskim, którego sen do wszystkiego doprowadził.

– Zabito go – wyjaśnił Broniewski, a pan Jacek uniósł brwi. – Nie, nie, waszmość panie dobrodzieju, nie nasza szlachta to uczyniła, Boże broń, choć pewnie wielu by się znalazło chętnych, tyle że było już za późno, by pomstę wyrzucić na kimś, kto leży martwy.

– Któż w takim razie zabił pana Strzeżymira?

Pan Paweł rozłożył dłonie.

– Diabły, jak sędzę. Ani jednego śladu przemocy nie znaleźliśmy na ciele pana Dobrowolskiego. Był tylko trup, a wokoło znowu rozsypana siarka i kałuża zastygłej smoły.

– Mój Boże! – Stolnik przeżegnał się uroczyście.

– Zacny był człowiek z tego pana Strzeżymira Dobrowolskiego – powiedział Broniewski smutno – zacny, lecz nieszczęsny. Pomimo iż sami byliśmy pogrążeni w kłopotach i troskach, to znaleźliśmy siły, by sprawić mu godny pochówek i piękny grób na miejscowym cmentarzu. Bo dobry to był człowiek i dobry szlachcic...

– Ooo, tak – przytaknął dziwnie nieprzyjemnym tonem podstarość.

– Dziwne to „ooo, tak”, panie Jacku. – Ligęza uważnie spojrział na Zarembę.

– Istotnie, i ja sędzę, jeśli wolno mi powiedzieć, proszę waszmości, że nieco zdumiewającego tonu waszmość dobrodzieju użyłeś, by przytaknąć

mym słowom.

– Nic mi więc nie pozostaje innego, jak wytłumaczyć waćpanom, za waszym łaskawym pozwoleniem, czemu tak, a nie inaczej zabrzmiał mój głos. A wy sami osądzicie, czy miałem rację, czy też nie.

– Ależ proszę bardzo – zgodził się stolnik. – Ciekaw jestem, co masz do powiedzenia, panie Jacku kochany, bo ufam, iż jest to coś takiego, co mnie i panu Broniewskiemu umknęło i co dla nas może okazać się całkowitą niespodzianką.

– Dla pana Pawła bardzo niemiłą niespodzianką, jak sędzę – powiedział Jacek Zaremba. – Mam nadzieję, że waszmość – zwrócił się do miecznikowica – z góry mi wybaczysz, jeśli w jakimkolwiek stopniu moje słowa mogłyby cię urazić.

– Jeśli tylko waszmość owe diabelskie knowania spróbujesz wyjaśnić i ów mroczny spisek oświetlisz, z całą pewnością znajdziesz we mnie uważnego słuchacza – obiecał Broniewski – a jeśli mowa o wybaczeniu, to przecież wiem, że jeśli cokolwiek miałyby mnie w waszmości wywodzie urazić, nie ze złej woli to uczynisz, ale z pasji wyjaśniania owego strasznego sekretu, który familię moją kosztował utratę czci oraz majątku.

– Drogi panie miecznikowicu – zaczął pan Jacek serdecznym tonem – zapewniam waszmości, iż nie diabelskie, szatańskie czy inne nadprzyrodzone spiski oraz zdarzenia spowodowały nieszczęście, o którym nam opowiadałeś, lecz, jak ośmielam się sądzić, nadzwyczajna ludzka przebiegłość połączona z całkowitym brakiem skrupułów. I nie podziemne siły ani królestwo duchów sprzymierzyły się przeciw rodzinie waszmości, lecz dwóch kutech na cztery nogi frantów, którzy wszystkich okpili i wystrychnęli na dudków.

Pan Paweł zaczerwienił się tak, jakby skórę spiekło mu lipcowe słońce, i mimowolnie zacisnął dłonie w pięści.

– Ccco wwwaść powiadasz?

– Panie miecznikowicu, ja wiem, że jeśli spotyka nas nieszczęście, to chcielibyśmy, aby chociaż ten, który nam je zadał, stał wyżej od nas – kontynuował podstarości równie łagodnym tonem co poprzednio – niechże to będzie, jeśli nie Bóg, to choćby diabeł albo niechby nawet wojewoda. Bo jeśli już bity dostajemy, to przecież od księcia łatwiej je znieść niż od szaraka, czyż nie? A i młodzieniec łatwiej przełknie karę na kobierczyku ojcową daną ręką niż cios pięścią w ucho od chłopca, prawda?

– Znajduję słuszną w waszmości słowach – rzekł zdecydowanym tonem Ligęza, który z niepokojem przyglądał się poczerwieniałemu Broniewskiemu – bo przecież jakby przyszło co do czego, to człek wolałby być ścięty przez starostę na rynku i na czerwonym kobiercu, i mieczem, niż zawisnąć na suchej gałęzi powieszony ręką byle grasanta. I to śmierć, i to śmierć, ale jednak... – Westchnął.

– Ja nie pojmuję, co waść masz na myśli – wyjąkał Broniewski, wpatrując się w Jacka Zarembę takim wzrokiem, jakby podstarości był jakimś wyjątkowym zamorskim dziwem, które nagle wyrosło przed jego oczami.

– Zaraz pozwolę sobie teorię, którą wykułem, waćpanom dokumentnie wyłuszczyć – obiecał spokojnie Zaremba – a jeśli w moich wywodach zauważycie luki, nieścistości lub proste błędy, tym będę szczęśliwszy, mogąc z nieocenionej pomocy waszmość panów skorzystać i owe luki wypełnić, błędy skorygować, a nieścistości...

– Mówże już, panie Jacku kochany, mów, co masz do powiedzenia!

– W spisku przeciw rodzinie Broniewskich wzięło udział dwóch hultajów. Jeden podał się za Małachowskiego, drugi za Dobrowolskiego...

– Jakże to!?! – zakrzyknął miecznikowic. – Przecież...

– Panie Pawle – przerwał mu stanowczo stolnik – wysłuchajmy pana podstarościego, gdyż eksperyencję w odkrywaniu złoczyńców i ich dzieł ma na pewno największą.

– Tak jest, proszę waszmości dobrodzieja. Jak każesz.

– Plan ułożony przez tych łotrów, przyznam to niechętnie, był iście szatański, doskonały wręcz...

– Panie Zarembo kochany, czyż to wypada tak zachwycać się niegodziwością ludzką?

– Panie stolniku dobrodzieju, toż ja, za pozwoleniem waszmości, nie zachwycam się niegodziwością, lecz jedynie planem i sposobem jego przeprowadzenia...

– No to proszę, panie Jacku, opowiadaj nam o tej perfekcji łotrów...

– *Primo* – Zaremba wystawił kciuk – wycelowali w ojca waszmość pana Pawła Broniewskiego, który znany był z afektu żywionego dla spraw niezwykłych i nadprzyrodzonych, *secundo*: przeprowadzili rzecz całą ostrożnie, wystawiając jednego franta, który pięknie opowiadał o magii, i drugiego, który szydził zeń i go wykpiwał. Przy czym łotr pierwszy

zaskarbił sobie szacunek panów braci, a łotr drugi przeciwnie. A tak to już bywa na świecie i leży to w ludzkiej naturze, że kiedy człowiek lubiany wygłasza głupstwa, to skłonni jesteśmy, jeśli nie wierzyć mu, to chociaż wyrozumiale go traktować. A jeżeli człowiek nie lubiany mówi oczywiste nawet prawdy, to wyszydzą go i wyśmieją, gdyż tak w istocie nie słuchają wypowiedzianych słów, a myślą jedynie o swej niechęci do niego...

– Święta racja, panie Jacku – przyznał Ligęza. – I w wielkiej polityce takie rzeczy przecież bywają, że kto przypodoba się panom braciom na sejmikach czy na sejmie, to chociażby opowiadał najgorsze farmazony, wypowiadał najbezczelniejsze łgarstwa i składał najbardziej kłamliwe obietnice, to i tak zyska poklask szaraków.

Paweł Broniewski pokiwał głową.

– I ja nie odmówię racji słowom waszmość pana. Bo przecież uprzejmy kupiec sprzeda nam czasem i to, czego wcale kupić nie zamierzaliśmy, a od gbura wyjdziemy z pustymi rękami, choćbyśmy wcześniej chcieli w jego sklepie wydać niezłą sumkę.

– Cieszę się, że swoim wywodem utrafiłem w myśli waćpanów – powiedział podstarość. – *Tertio*¹²⁶ – wyciągnął środkowy palec – w wielu z nas, proszę waszmościów, odzywa się tęsknota za cudownością. Czyż nie lubimy słuchać bajek i baśni? – Uśmiechnął się. – Choć dawno już wyszliśmy z dziecięcego wieku. Czyż nie chętnie słuchamy o zadziwiających zdarzeniach z dalekich czasów lub z dalekich krajów? Choćby ja! Pomnę, że kiedy czytałem Herodota, to nie prędeż przestawałem, aż oczy całkiem zachodziły mi łzami...

Pan Paweł znowu pochylił głowę.

– O, tak – rzekł – i ja znam ten ból.

– A co dopiero, waszmość panowie, nie tylko słuchać o cudownościach, lecz znaleźć się w samym środku opowieści! – dokończył Jacek Zaremba.

– Racja, panie podstarości, racja – przyznał poważnie Broniewski – zwłaszcza że każde towarzystwo potrzebuje nowych podniet. Wiecie przecież, waszmościowie, że im dłużej trwa wydarzenie, tym pospolitsze wydaje się to, co na jego początku zdawało się zajmujące. Toteż i goście nasi poza dobrymi trunkami, dobrym jadłem i dobrą zabawą zaczęli potrzebować czegoś ekstraordinaryjnego.

– I owi łotrzy świetnie w taką właśnie potrzebę utrafili – zgodził się Zaremba.

– Sądzę też, waszmościowie, że goście panów Broniewskich chętniej słuchali Dobrowolskiego niż Małachowskiego, gdyż zawsze popularniejszy jest ten, kto opowiada barwne farmazony, niż ten, który wieszczy klęskę, że wspomnijmy tylko los nieszczęsnej Kasandry – dodał stolnik.

– *Quarto*¹²⁷ wreszcie, proszę waćpanów, ten, kto uczestniczył w owym przedsięwzięciu, mógł słusznie być dumny z siebie, iż pomaga w prawdziwie zbożnej sprawie, bo nie dość, że ratuje duszę biednej dziewczyny, to jeszcze pomaga w budowie kościoła. Więc nie dla zysku składał majątek w owej jaskini, a dla wspólnego dobra.

– Święta prawda! – gorąco przytaknął Broniewski. – Przyrzekam waćpanom, że ani mój ojciec dobrodziej, ani ja nie pomyśleliśmy nawet, iż możemy zostawić sobie coś z tych bogactw, lecz obiecaliśmy, że wszystko, co zostanie po zbudowaniu kościoła, rozdamy potrzebującym.

– Podejrzewam, że nie wszyscy jednak podobnie myśleli – powiedział łagodnie podstarość – i wielu zapewne cieszyło się, że oszczędności urosną im jak pięćdziesiąt od sta.

– Taka już jest natura ludzka, że raczej ku mnożeniu się skłania, nie ku dzieleniu – skwitował sentencjonalnie Ligęza.

– Nie mieliśmy im tego, uchowaj Boże, za złe – odezwał się zaraz Paweł Broniewski – bo przecież takie, a nie inne warunki ów duch ogłosił i kto chciał, mógł podążyć dalej niż granica, którą wyznaczały, a kto chciał, mógł właśnie na niej się zatrzymać. My, jak już wspominałem, czyli ojciec dobrodziej i ja, nie myśleliśmy, by dla siebie cokolwiek zatrzymać, gdyż bogactw mieliśmy nadto, jak waszmościowie dobrodzieje z mojej opowieści się dowiedzieliście, dzięki zapobiegliwości mojej mateczki, świeć Panie nad jej duszą.

– Matka waćpana nic do samego końca nie wiedziała o sprawie?

– Uchowaj Boże. Ojciec mój dobrodziej pilnie strzegł, by żadne wieści nie doszły do uszu mateczki, świeć Panie nad jej duszą, bo wiedział, że niedobrze by się to skończyło. A przyznam też waćpanom, iż nieszczęsna moja mateczka, świeć Panie nad jej duszą, tak była słaba, tak mizerna i tak we własnej dojmującej boleści pogrążona, że mało co ją świat boży obchodził i raczej ku życiu wieczystemu wzrok oraz myśli obracała.

– Że też taką silną niewiastę nieszczęście takie spotkało, no, no. – Zaremba pokręcił głową. – Aż się człowiekowi serce rozdziera, choć przecież walcinej matki nie znałem, że choroba potrafi w taki okrutny sposób połamać nawet ludzi mocnej konstytucji.

– Ooo, prawda – westchnął smutno pan Hieronim – w moim wieku coś się o tym już wie, bo coraz więcej moich przyjaciół jeśli już z kim ucztuje, to z aniołami w niebie.

Broniewski życzliwie spojrział na podstarościego.

– Masz waćpan słuszość, że smutny to był widok i żalosne przeżycie, nie tylko wynikające z afektu, jaki mąż i syn powinni czuć do żony i matki, ale również z wielkiego dysonansu, jaki mogliśmy obserwować pomiędzy tym, kim była mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą, przed chorobą, i tym, kim stała się w czasie choroby.

– Niech spoczywa w pokoju i weseli się w chwale Pańskiej. – Ligęza uniósł kielich. – I mnie niedługo przyjdzie w tamtą stronę pójść, więc o waćcinym silnym synowskim afekcie niechybnie pani Broniewskiej wspomnę.

Miecznikowic skinął głową w podziękowaniu za życzliwe słowa, po czym wszyscy wypili trunek, odsapnęli i pomilczeli przez chwilę.

– Panie Jacku kochany, prosimy i żądamy dalszych objaśnień. – Gospodarz przerwał tę cichą zadumę.

Podstarości zbierał przez chwilę myśli.

– Historyjka o samobójczyni, rzecz jasna, była zmyślona, a w tym podejrzeniu utwierdziłem się, kiedy usłyszałem, że duch nie chce zdradzić swego nazwiska. Bo przecież gdyby je zdradził, waszmościowie moglibyście całą historię sprawdzić. Jednak opowieść dziewczyny, czy raczej bajka wymyślona przez Dobrowolskiego, brzmiała wiarygodnie, gdyż takie rzeczy jak samobójstwo pod wpływem zawiedzionej miłości się zdarzają.

– Oj tak, oj tak, głupi ludzie, którzy ryzykują wieczne zbawienie.

– Nie mówiąc już o tym, że tracą możliwość cieszenia się życiem doczesnym – zauważył Zaremba. – Przecież każdy ból kiedyś mija.

– Nie mija, panie Jacku, wierz mi, nie mija. Przynajmniej jeśli mowa o prawdziwym bólu. – Ligęza nieruchomym wzrokiem zapatrzył się w okno. – Przycicha jeno, abys mógł z nim żyć, lecz w pełni nigdy nie ustępuje.

Zamilkli na chwilę, rozważając słowa stolnika, aż wreszcie Paweł Broniewski skinął głową.

– Tak i ja myślę, jak waćpan dobrodziej – rzekł. – Ale by poznać prawdę tkwiącą w waszmości słowach, trzeba wpierw samemu posmakować straszego cierpienia. Wtedy dobrze już się wie, że do końca

życia będzie ono, to cierpienie, z nami. Jak drzazga wbita w pierś, która choć nie zabije, to przy każdym serca uderzeniu przejmuję boleścią...

I znowu w gabinecie zapadła cisza, którą zdecydował się wreszcie przerwać i przegnać Jacek Zaremba, a że dość miał już posępnych rozważań swych towarzyszy, uznał, że anegdotą rozproszy żałobny nastrój.

– Znamy jednak panny, które rozpaczają i przysięgają nożem się dźgać, kiedy ojciec skłania je do niechcianego małżeństwa, a minie kilka tygodni i już są wesołe i figlarne niczym małe koteczki – powiedział lekkim tonem.

Pan Hieronim popatrzył na podstarościego wzrokiem bez wyrazu, jakby jeszcze przebywał w innym świecie – świecie, gdzie ludzi karmi się łzami. W końcu jego twarz złagodniała i zaśmiał się.

– Taka to już kobieca natura, panie Jacku kochany! Wpisano w nią nie tylko płochy, lecz również tak przedziwną mieszankę radości i melancholii, które czasem z bliżej niewiadomych przyczyn przechodzą jedna w drugą, że nam, mężczyznom, na próżno szukać logiki w tym wszystkim. Ale, ale, panie podstarości, do rzeczy, jeśli łaska, bo teraz nie czas na filozofowanie i rozprawianie o różnicach pomiędzy męską a niewieścią naturą...

– Sługa waszmości. Tak jak mówiłem, historia opowiedziana przez Dobrowolskiego rzeczywiście mogła się wydarzyć. Ale gdyby panna naprawdę utopiła się w tym jeziorze wiele lat temu, jak twierdziła, to przecież jej szkielet nie znajdowałby się na wierzchu błotnistego dna, lecz byłby w tym błocie głęboko pogrążony!

Ligęza i Broniewski popatrzyli po sobie w milczeniu.

– No chyba tak – rzekł wreszcie z wahaniem w głosie pan Paweł.

– Nawet na pewno, proszę waszmości, o czym świadczy przykład krowy, która choć utopiła się całkiem niedawno, to jednak jej kości tkwiły w głębi błota, nie na jego wierzchu!

– Jest coś w tym, co waśc prawisz – przyznał Broniewski.

– Ale skądże ten szkielet, panie Jacku kochany?

– Bóg raczy wiedzieć. Pewnie wykopali na cmentarzu jakieś zwłoki, czy raczej już szkielet, i wrzucili do stawu należącego do panów Broniewskich, by uwiarygodnić całą historię. Gdyż od chwili, kiedy waszmościowie znaleźliście zwłoki, już we wszystko inne również wierzyliście bez trudu.

- To prawda – burknął nachmurzony miecznikowic.
- Nie turbuj się waszmość – pocieszył go stolnik serdecznie – wola boża. Tak widać musiało się stać.
- Jeno gdybym pana starostę Zarembę miał wtedy obok siebie albo sam mógł chlubić się podobnym do niego doświadczeniem, pozwalającym odgadnąć zamysły tych łotrów, to całe nieszczęście wcale by się nie wydarzyło – odparł jeszcze bardziej zasepiony Broniewski.
- Próżne gdybanie... Nie nasza sprawa wnikać w boże wyroki i boże zamysły – powiedział twardo Ligęza. – Mów dalej, panie Jacku.
- Służę uprzejmie, panie stolniku dobrodzieju. Dobrowolski i Małachowski wymyślili, przyznam, iż wielce ciekawą, historyjkę z pomnażaniem skarbów. To podobnie jak z wrózeniem przyszłości przez Cyganki, proszę waszmościów, które to, aby zacząć mówić, muszą wpierv potrzeć dłoń złotą monetą. Tylko tak to już jest, że moneta zaraz potem gdzieś znika. – Zaremba się roześmiał. – A tak są te Cyganichy chytre i zręczne, że możesz taką rozebrać do naga i wszystkie, za przeproszeniem waszmościów, otwory jej przeszukać, a monety i tak nie znajdziesz.
- Nie bardzo pojmuję analogię, panie Jacku...
- Ani owi frantowie, ani Cyganki, o których wspomniałem, nie proszą, by dać im złoto – wyjaśnił już poważnie pan Jacek, akcentując mocno słowo „dać”. – Oni jedynie zapewniają, że potrzebują je użyzyć, by za jego pomocą odprawić magiczny rytuał. W przypadku Cyganek było to wrózenie, w przypadku Dobrowolskiego i Małachowskiego rozmnożenie bogactwa. Skale przygotowań i efektów, rzecz jasna, są różne, ale skutek ten sam: utrata majątku.
- I ja to teraz widzę jak waszmość – przyznał Broniewski. – Jasne to zdaje się teraz niczym słońce na niebie. Mój Boże, żebym wcześniej był taki mądry! – Pokręcił głową z prawdziwą rozpaczą.
- Panie Pawle, przestań waćpan natychmiast! – surowo napomniął go stolnik. – Słuczonego jajka nie skleisz, przeszłości nie odmienisz, a jedynie siebie zagryziesz wyrzutami sumienia, których mieć nie powinieneś. Byłeś młody i ufny, więc nie dziw się, że dwóch starych frantów podeszło cię niegodnym sposobem.
- Wierz mi waćpan, że pan stolnik dobrodziej ma słuszość w tej mierze – odezwał się Zaremba. – Jak się domyślam, słuchając twej opowieści, trafiłeś na ludzi, którzy z oszustwa uczynili sposób na zarobienie majątku i pewnie nie pierwszy raz sprokurowali swym ofiarom

podobne nieszczęście. Nie miałeś waszmość prawa ani wiedzieć, ani przypuszczać, że trafiłeś w pułapkę.

– Ale waćpan od razu poznałeś podstęp!

– Bo ze słów waszmości poznałem, że cała sprawa nieszczęśliwie się zakończyła! – zawołał podstarości. – Ta właśnie wiedza kazała mi od razu węszyć co najgorsze i bacznie przyglądać się każdemu detalowi, o którym wspominałeś.

– Hmm... – Broniewski potarł szczękę, a potem spojrzał bystro na pana Jacka. – Czyli myślisz waćpan, że jakbyś był na moim miejscu i nie wiedział, że sprawa skończy się tak tragicznie, jak wiesz teraz, to owi łotrowie również ciebie wystrychnęliby na dudka?

– Panie Pawle, cóż to za pytania? – wtrącił się Ligęza. – Po pierwsze, nikt z nas nie umie powiedzieć, co by zrobił, gdyby to a siamto, a nie tamto; po drugie, pan Jacek jest sługą sprawiedliwości, co, jak waszmość zapewne się domyślasz, pozwala mu lepiej rozumieć wszelkiego rodzaju szubrawców, gdyż aby z nimi walczyć, trzeba wszak ich wcześniej dobrze poznać.

– Tak jest, panie stolniku dobrodzieju. My, słudzy prawa, musimy myśleć podobnie jak łotrowie, którzy prawo łamią. A jedyne, co nas odróżnia od owych niegodziwców, to moralna busola nieodmiennie wskazująca nam, co daj panie Boże, słuszny kierunek.

– I wypijmy właśnie za to – zdecydował stolnik – za ową moralną busolę, której znaczenie tak pięknie przypomniałeś, panie Jacku kochany. Szkoda, że w naszej Rzeczpospolitej niewielu już obywateli śledzi jej wskazania.

– Nażreć się, napić i poswawolić, ot, cała filozofia panów braci – stwierdził zgryźliwie Jacek Zaremba – a o ojczyźnie i dobru państwa nie ma już komu pomyśleć. – Podstarości uniósł kielich i zwrócił się do Ligęzy: – Rzecz jasna, panie stolniku dobrodzieju, mówiąc to, nie myślę o waszmości, lecz sam przyznasz, że mało już zostało takich ludzi jak ty, którym służba publiczna prawdziwie leży na sercu i którzy myślą nie tylko o własnym kałdunie, lecz również o szczęściu i pomyślności współobywateli.

– Za moralną busolę – Broniewski wznosił kielich – aby nas prowadziła przez życie.

– I aby nie pozwoliła, byśmy ulegli podszeptom ludzi podłych, głupich i kłamliwych – dodał Zaremba.

Wszyscy trzej jednym tchem opróżnili kielichy, a Ligęza zaraz potem odsapnął głęboko i otarł wąsy.

– Wielu ich... – powiedział, kiwając głową. – I w sejmie, i w senacie, i na królewskim dworze aż się roi od tego robactwa. Od tych, którzy lafę pobierają od obcych monarchów, od tych, co po nagrody z obcych dworów wystawiają dłonie, a piersi prężą, by im wrogowie Rzeczypospolitej przypinali do nich ordery.

– Tak dawniej bywało, tak jest teraz i tak pewnie zawsze będzie – stwierdził podstarość.

– Tak jest, panie Jacku. Tak było, jest i będzie – powtórzył stolnik – i nie w tym, panie Zarembo kochany i panie Pawle, problem, że pod niebem Rzeczypospolitej tacy ludzie mieszkają, którzy matkę swą, ojczyznę, sprzedają niczym na targu temu, od kogo więcej dostaną za zdradę. Nie, nie, wcale nie w tym problem...

– W czym więc, panie stolniku dobrodzieju?

– Ano w tym, mości panowie, że prawdziwie złe czasy nastaną wtedy, kiedy brać szlachecka w owej zdradzie nie tylko nic złego już nie zobaczy, lecz będzie zazdrościć zdrajcom, iż tak są przebiegli oraz tak chytry, i kiedy marzeniem tych szaraków będzie pójść w ślady zdrajców. Wtedy, proszę waszmościów, żadne już podłości, oszustwa, złodziejstwa nie zagrożą rządzącym, gdyż ci, którzy ich obierają, będą tak samo podli, kłamliwi, nieuczciwi. I wtedy bycie cnotliwym stanie się grzechem oraz przestępstwem. I wtedy złodziej będzie hołubiony, a tego, co krzyczał „łapaj złodzieja”, najpierw wyszydzą, potem schwycają, ubiczują i ukrzyżują...

– Oby nie. – Broniewski się wstrząsnął.

– Oby nie – powtórzył jak echo Zarembo.

– Oby nie – zgodził się z nimi Ligęza, lecz głos miał tak ponury, kiedy wypowiadał te słowa, jakby sam nie wierzył, że się kiedykolwiek spełnią.

Milczeli dłuższą chwilę, dumając o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Rzeczypospolitej. A może po prostu żaden z nich zadumy pozostałych dwóch nie chciał czy nie ośmielał się przerywać? W końcu jednak stolnik klasnął i wstrząsnął głową.

– Dość, waszmościowie, tego ponurego milczenia, dość, dość, powiadam. Jam stary, zgorzkniały i pewnie za dużo już widziałem, bo i was owym zgorzknieniem próbuję zarazić. Ale wy, waszmościowie, jesteście

jeszcze młodzi i w waszych właśnie rękach spoczywa przyszłość Rzeczypospolitej. I w waszych cnotliwych wyborach. Ale wracajmy do rzeczy, waćpanowie, czyli do wyłuszczonej przed chwilą teorii pana podstarościego. Cóż, panie Zarembo kochany, powiesz na to, iż Dobrowolskiego znaleziono martwego, a skarby zniknęły? Jak mogły zniknąć, skoro wejście do jaskini opieczętowano i założę się, że pilnie go strzeżono. No i ja się nie dziwię, że strzeżono, skoro sąsiedzi pana Broniewskiego cały tam schowali swój majątek...

– Cały pewnie nie – sprostował smętnie miecznikowic – ale dużo było tego, oj, dużo.

– Tu tylko mogę się domyślać, bo przecież pewności w tym względzie nikt nie może mieć. Sądzę, że albo wyniknęła kłótnia i Małachowski zabił Dobrowolskiego, albo ów łotr z góry przewidział i zaplanował, że pozbędzie się współnika występku. Wiem o sposobach, na jakie można zabić człowieka, wyraźnych śladów nie pozostawiając na jego ciele, i myślę, że jednego z nich właśnie użyto.

– A skarby?

– Panie miecznikowicu – pan Jacek obrócił się w stronę Broniewskiego – przyjmę zakład o każdą sumę, że jaskinia miała drugie wyjście, którym owi niecnotnicy zakradli się i którym złoto łatwo wynieśli.

– Niemożliwe – odrzekł natychmiast pan Paweł – sprawdziliśmy wcześniej grotę bardzo dokładnie. Nie dlatego, żeśmy coś podejrzewali, lecz by uniknąć, iż ktoś się do niej wkradnie i pozabiera ofiarowane nam przez ducha skarby, które wszak miały iść na zbożny cel.

– Musiało być drugie wejście – upierał się podstarości – nie ma innej możliwości, proszę waszmościów, zapewniam was. W takich grotach, jaskiniach czy jamach często jest ono ledwo widoczne albo od świata oddziela je gruzowisko kamieni. Wystarczyło kamienie usunąć, by mieć wolną drogę. A może to był jakiś komin zamaskowany w sklepieniu? Coś w każdym razie być musiało, bo złoto samo z siebie nie znika.

– Siedzieliśmy zaledwie kilkanaście stóp od wejścia – powiedział Broniewski – i to w sporej kompanii, bo przecież każdy chciał swego przypilnować. Jaskinia była długa gdzieś na... czy ja wiem... może dziesięć sążni. Myślisz waszmość, że nie usłyszelibyśmy, jak się wkradają i jak wynoszą łupy?

– A waszmościowie całą noc siedzieliście w milczeniu, pilnie nasłuchując?

Broniewski poczerwieniał i zagryzł usta.

– No nie – rzekł wreszcie cicho – oczywiście, że nie...

– Ogień rozpalili, popili, pośpiewali, pokrzyczeli... Tak, tak, znamy to, znamy. – Ligęza pokiwał głową.

– Tak właśnie było – przyznał pan Paweł jeszcze ciszej – a teraz przypominam sobie, że Dobrowolski wiódł wówczas prym w towarzystwie, bo zabawiał nas opowieściami i facecjami. A że miał również prawdziwie piękny głos, to i nietrudno było mu nas nakłonić, byśmy go wspomagali w śpiewie. Nawet cieszyliśmy się z ojcem dobrodziejem, że pan Strzeżymir wreszcie otrząsnął się z dręczącego go smutku.

– Kiedy Dobrowolski bawił się z wami, wtedy Małachowski wynosił skrzynki – orzekł Jacek Zaremba. – Bo przecież, tak jak waszmość powiedziałaś, on całą tę zabawę w rozmnażanie skarbów uznał za głupstwo, więc z wami nie siedział, czyż nie?

– Nie, nie siedział. Nikt się nawet nie zastanawiał, gdzie on może być, bo i kogo to obchodziło, zwłaszcza że wszyscy mieli go serdecznie dość i tych jego posępnych wizji też...

– Kasandra – mruknął stolnik z przekąsem.

– Sądzę, że mieli wcześniej przygotowany schowek, gdzie Małachowski owe bogactwa zakopał czy w inny sposób ukrył, a sam wrócił na dwór waszmościów, wiedząc, że sięgnie po majątek, kiedy tylko będzie chciał. I teraz mógł już z przewrotną radością obserwować tumult, jaki wywołał. Bo wiele się działo, prawda? Prawda, panie miecznikowicu?

Broniewski otrząsnął się ze smutnej zadumy.

– Co tu dużo gadać, co tu wnikać w zajazdy i procesy, którymi nas gnębiono. Ważne, że skończyło się, jak skończyło: utratą majątności i szacunku, śmiercią ojca na proszonym chlebie i moją poniewierką. I waść twierdzisz, że to wszystko zawdzięczam nie diabelskim siłom, ale żywym ludziom z krwi i kości? – Pan Paweł spojrzał podstarościeму prosto w oczy, a Zaremba zobaczył zimną nienawiść czającą się w tym wzroku.

– Tak uważam – potwierdził.

– I sądzisz waść, czy raczej sądzicie waszmościowie, że tutaj uzyskam odpowiedź na pytanie, kto i czemu pogwałcił moją rodzinę?

– Powiedziałbym raczej, panie Pawle, że ten, kto wysłał list w moim imieniu, jest tego zdania.

– Lub pragnie, byśmy sądzili, że tak uważa – sprostował Jacek Zaremba.

– Bóg da, a okaże się, kto jest winien nieszczęściom Broniewskich – rzekł miecznikowic. – I Bóg da, a odda dług z nawiązką.

– Niech tak się stanie – przytaknął z surową powagą w głosie Ligęza.

*

– I cóż, panie Jacku kochany, sądzisz o naszym młodzieniaszku?

– Sądzę, że więcej on wart, niż na to wygląda – odparł Zaremba.

Pan Hieronim powoli skinął głową.

– Waćpan tego nie widziałeś – kontynuował podstarość – lecz ponieważ pan Broniewski powtarzał „mateczka moja, świeć Panie nad jej duszą”, jakoś tak się złożyło, że kiedy po raz już któryś zaczął mówić „mateczka moja”, to ja pod nosem, przysięgam: ledwo ruszając ustami, dokończyłem za niego „świeć Panie nad jej duszą”...

Słyszając to, stolnik uśmiechnął się szeroko.

– ... i waćpan nie uwierzysz, jak szybko obrócił się on w moją stronę – pan Jacek pokręcił głową – niczym atakująca żmija.

– Bo też waść czas na płatanie figli sobie znalazłeś.

– Panie stolniku dobrodzieju, on tego słyszeć nie mógł! Bo nawet ja, mimo że własne uszy wszak mam blisko własnej gęby, nie usłyszałbym tego zdania. Ja przecież jedynie ustami poruszyłem! Ten człek jakiś nie szósty, ale siódmy ma zmysł, powiadam waszmości!

Ligęza machnął dłonią.

– Dajże pokój, panie Zarembo kochany. Musiałeś waść głośniejsze, niż chciałeś, owo zdanie wyrzec, bo i ja przyznam, że kiedy tylko pan Broniewski zaczynał z tą swoją mateczką, to już sam dopowiadałem za niego „świeć Panie nad jej duszą”. Tyle że ja to w myślach czyniłem. – Pan Hieronim obrzucił przyjaciela karcącym spojrzeniem.

– Może masz waćpan rację – przyznał Zaremba, ale nie był do końca przekonany. – A waść oczywiście dostrzegłeś, jak pan Broniewski gniewnie zareagował na samo podejrzenie, iż mógłbyś coś niemilego powiedzieć o jego matce?

– Trudno było nie dostrzec.

– Mówią: „uderz w stół, a nożyce się odezwą” – powiedział przytłumionym głosem podstarość.

Ligęza spojrział na niego ostro.

– No to dobrze, żeś waść z podobnym konceptem przy panu Pawle się nie wychylił – zganiał gościa – bo jak nic, miałbym dziś w domu porąbanego szlachcica. Pytanie: czy Broniewskiego, czy ciebie?

– Ja to tylko waszmość panu mówię, nikomu innemu, by zgodnie z waściny przykazaniem dzielić się każdym podejrzeniem.

– Ale ja nie pojmuję, co waszeć masz na myśli! – warknął zniecierpliwiony stolnik. – A cóż dla nas może mieć za znaczenie, nawet jakby pani Broniewska była byle latawicą!? Co najpewniej zresztą miejsca nie miało... – dodał spokojniej.

– Obawiam się, że za połączenie słów „pani Broniewska” i „latawica” to pan Paweł mógłby powinnościom gościa poważnie uchybić – stwierdził Zaremba ze złośliwym uśmiechem.

– Do czego zmierzasz, panie Jacku?

– Ano do tego, iż może w tej opowieści jeszcze coś się kryje. Może Broniewski prawdą tak się z nami dzieli jak skąpiec grosiwem z biedakami? A jeśli wszystkich kamyczków nie zbierzemy, to i mozaiki nie damy rady ułożyć. Czyż nie, panie stolniku?

Ligęza szarpnął wąsa.

– Czyli co mamy robić? Jak go chcesz podpytać, by podobna interogacja nie zakończyła się rąbaniną na podwórzu?

– Nie wiem, panie stolniku, nie wiem – podstarości rozłożył dłonie – a raczej: jeszcze nie wiem. Chciałem tylko, byś waszmość pan wiedział, że coś może być na rzeczy.

– Nie nazbyt pochopny to osąd, by z jednego niewinnego zdania tak barbarzyńskie wyciągać wnioski, podające w wątpliwość cześć zmarłej? – Pan Hieronim przymrużył oczy.

– Na złodzieju czapka gore – sentencjonalnie stwierdził pan Jacek. – Tak ja myślę o tym, jak waszmość pan raczyłeś określić, „niewinnym zdaniu”.

– Uderz w stół... Na złodzieju... – rzekł z przekąsem stolnik. – Waszmość wieloma jeszcze podobnymi mądrościami uruczysz mnie dzisiaj?

Jacek Zaremba uśmiechnął się szeroko.

– Panie stolniku, dobrodzieju mój i łaskawco, wybacz, lecz podejrzliwość musi być drugą naturą człowieka, który pragnie służyć

sprawiedliwości. A i przecież nie dlatego waszmość pan mnie zaprosiłeś i sprawę mi przedstawiłeś, żeś ufny i łatwowierny, lecz dlatego, że na świat spoglądam okiem raczej podejrzliwym niż naiwnym.

– To niby ja spoglądam naiwnym, co? – burknął Ligęza.

Podstarości już chciał tłumaczyć, lecz pan Hieronim klepnął go w ramię.

– I masz waść rację, jeśli tak myślisz – rzekł – bo zapewne tak właśnie jest. Choć i ja czasem przyglądam się pilnie poczynaniom bliźnich, jednak chciałbym wierzyć, że więcej w nich dobrego niż złego. A przynajmniej – westchnął – że chociaż u niektórych tak jest.

– Ja nawet nie mówię tego, myśląc w kategoriach dobra i zła, panie stolniku dobrodzieju – powiedział Zaremba – z doświadczenia wiem po prostu, że niemal każdy z nas skrywa w głębi serca jakiś sekret. Czasem ponury i straszny, czasem wstydlivy, czasem mogący się nawet wydać zabawny. I te sekrety jedno tylko mają ze sobą wspólnego. A co? Ano to, że właściciel nie chce się nimi z nikim dzielić.

Ligęza wyduł usta i pokiwał głową raz w lewo, raz w prawo, zupełnie jakby była ona szalami wagi usiłującymi złapać jeden poziom.

– Pewnie to i prawda – przyznał wreszcie – choć cały czas nie wiem, w jaki sposób owa informacja miałaby się nam przydać. Uważam też, że przez Broniewskiego przemawia szczególny afekt, jakim darzy zmarłą w kwiecie wieku matkę, i drażliwość jego wynika jedynie z pełnej szacunku pamięci o nieboszczce, z niczego innego. Powiedz, panie Jacku kochany, podobałoby ci się, gdyby ktoś nieprzystojnie wyraził się o twej rodzicielce?

– Oczywiście, że nie, panie stolniku. Jeno szkopuł w tym, że waszmość pan ani się nieprzystojnie nie wyraziłeś, ani nie dałeś powodu do tak gwałtownego zachowania. I nie reakcja na obrazę tak mnie zaciekawia i zastanawia, lecz to, że pan Paweł nad wyraz łatwo sobie ową obrazę wyimaginował.

– Ha! – Ligęza ścisnął dolną wargę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Widać było, że słowa Zaremby może nie w pełni trafiły mu do przekonania, lecz na pewno dały do myślenia. – Może i coś w tym jest, może i ty masz rację, panie Zarembo kochany? Hmm, trudna sprawa, trudna... – Stolnik uniósł wzrok. – Waść, panie Jacku, musisz jednak nadzwyczaj pilnie uważać, by śledzenie każdego szczegółu nie przeszkodziło ci w poprawnym dostrzeżeniu całości.

– Aby nie być jako ten człowiek, który widział jeno drzewo, nie cały las – powiedział Jacek Zaremba i zamyślił się na chwilę. – Może i tak, panie stolniku dobrodzieju, może i tak. Usłucham waszmości i mam nadzieję, że łącząc waścina mądrość z moim jakim takim doświadczeniem, zdołamy wyciągnąć prawdę z tej mrocznej dziury, w której się przed nami ukryła.

Ligęza pokiwał głową z aprobatą.

– Moje całkowite zaufanie jest przy waści, panie Zarembo kochany, i wiedz, że możesz moją osobą dowolnie rozporządzać.

Jacek Zaremba skłonił się uprzejmie, gdyż nawet jeśli te słowa stolnik wyrzekł z grzeczności, to zawsze miło słyszeć podobne zapewnienia od *primo*: wielkiego pana i posesjonata, a *secundo*: od człeka starego i mądrego, który niejedno widział i niejedno wie.

Podstarości nie zwierzył się stolnikowi z jeszcze jednego podejrzenia: otóż był niemal pewien, że matkę pana Broniewskiego gdzieś już widział. I to nie na konterfekcie, lecz w świecie żywych ludzi. Pan Jacek był również pewien, że widział panią Annę po czasie, który Paweł Broniewski ukazywał jako rok śmierci swej matki – nie opowiadał jednak o tym, gdyż były to zaledwie podejrzenia i nie do końca dowierzał swojej pamięci oraz umiejętności rozpoznawania niegdyś spotkanych ludzi. Uznał więc, że na razie nie będzie stolnika niepokoić podobnymi przypuszczeniami, lecz obiecał sobie, że na Pawła Broniewskiego będzie zwracał baczną uwagę, gdyż pewien był, że młodzieniec nie powiedział wszystkiego, co wie, i na pewno chowa w zanadrzu jakąś tajemnicę. Pytanie oczywiście brzmiało, czy nawet wyjaśnienie tajemnicy miecznikowica w jakikolwiek sposób pomoże w odgadnięciu głównej i podstawowej zagadki kryjącej się za odwiedzinami ludzi legitymującymi się rzekomymi zaproszeniami od Ligęzy.

– Wysłuchałeś już trzech opowieści moich gości, panie Jacku. Czy coś przychodzi ci na myśl? Czy zbliżyłeś się do rozwiązania tego coraz, przyznać muszę, wstrętniejszego sekretu?

– Skoro tych ludzi zaproszono do waszmość pana podobnymi w treści listami, znaczyć to musi, że coś ich łączy...

– Panie Jacku kochany, już to wiemy przecież, bo...

– Panie stolniku dobrodzieju, dajże mi waść zdanie dokończyć – poprosił Zaremba tonem zarówno grzecznym, jak i stanowczym.

– Mów waszec, mów...

– Cóż może łączyć ich innego, jak nie osoba krzywdziciela?

Ligęza pokręcił głową.

– I ja o tym cały czas myślałem, panie Jacku, ale jakże osoba krzywdziciela ma ich łączyć, skoro nikt podobny do drugiego w żadnej opowieści nie występuje? – Zastanawiał się nad tą kwestią przez chwilę, a podstarość mu w tym zastanawianiu nie przeszkadzała. – Sądysz, że nad tymi ludźmi, którzy zło moim gościom wyrządzili, stoi ktoś jeszcze? Jakiś umysł wszeteczny i zgniły, choć potężny, który kierował nimi niczym morderczymi dłońmi?

Zaremba ledwo zauważalnie się uśmiechnął.

– Nie, panie stolniku dobrodzieju. Nie sędzę, by jaki diabeł stał nad nimi wszystkimi. Ośmielam się przypuszczać, iż wszystko jest sprawką jednego człowieka, lecz człowieka, którego w trakcie opowiadanych historii świetnie poznaliśmy.

– Jakże to?

– Zauważyłeś waszmość, jakie były daty owych smutnych zdarzeń, o których opowiadali twoi goście?

Stolnik skinął głową.

– Żadne z tych dat, panie stolniku dobrodzieju, się nie pokrywają. Historie, o których mówimy, działy się od roku 1679, o czym opowiadał nam Broniewski, przez rok 1680, w którym zniszczono ród Komarnickich, aż do roku 1682, o czym słyszeliśmy od pułkownika Sperlinga.

– Tak właśnie było – zgodził się pan Hieronim.

– Można więc spokojnie rzec, iż ów zły duch czy umysł zgniły a potężny, jak waszmość pan raczyłeś go nazwać, był we wszystkich tych miejscach i brał udział we wszystkich zdarzeniach.

Ligęza zmarszczył brwi i dumiał przez chwilę.

– Cóż, panie Jacku – rzekł wreszcie – można by tak rzec, gdybyśmy z opowieści nie wiedzieli, że nie było tam nikogo, kto zostałby podobnie opisany przez moich gości.

– I na te opisy zwróciłem uwagę, wielmożny panie stolniku, gdyż wydały mi się wielce charakterystyczne. – Zaremba uniósł palec. – Oto spójrz waszmość: w opowieści Sperlinga to mąż czarnobrody, dziki z wyglądu i zachowania, który zarówno boskie przykazania, jak i zwykłą przyzwoitość ma za nic. Czyż nie?

– Tak jest, panie Jacku, tak jest. I podobnej postaci w żadnej ze słyszanych przez nas opowieści już nie spotkaliśmy.

Podstarości skinął głową, zgadzając się ze starszym towarzyszem.

– Pozwól waszmość, że będę mówił dalej. Oto człekiem, którego nie może zapomnieć pan Komarnicki i który ród jego doprowadził do zguby...

– Sam sobie winien! – przerwał gniewnym głosem Ligęza.

Pan Jacek znowu nie miał innego wyjścia, jak zgodzić się z gospodarzem.

– Ano tak, proszę waszmości, ano tak. Wspomnij, jak wyglądał ów Jaworski wedle opisu pana Komarnickiego, któremu chyba postać ta dobrze utkwiała w pamięci.

– Jak wyglądał, jak wyglądał...? – Ligęza potarł szczecinę na policzku. – Dajże mi pomyśleć... Ach, no tak, ponoć szpetne znamię miał na twarzy.

– Tak jest, panie stolniku, miał ogromną włochatą myszkę, którą wszyscy zaraz zauważali. A w rozmowie, czy to z potrzebą, czy bez niej, wciąż wtrącał *per consensum*.

Ligęza plasnął dłonią w udo.

– Tak jest, panie Jacku, tak jest! Teraz już pomnę. Masz waćpan rację i widzę, że pamięć ci dopisuje. Tyle tylko – wydał usta – że nie bardzo pojmuję, do czego waść zmierzasz...

– Człowiek z opowieści Broniewskiego to z kolei siwowłosy i siwobrody starzec mówiący głosem monotonnym, nużącym i tak zawile, że kiedy zdanie kończył, mało kto pamiętał, co było na tegoż zdania początku. Przy tym złośliwy, niemiły i zaczepliwy.

– I co z tego, panie Jacku? Trzech różnych ludzi nam opisano. Cóż oni mają ze sobą wspólnego?

– Ano to może, że są aż tak różni – odparł z uśmiechem podstarości.

Stolnik uderzył się znowu w nogę, ale tym razem pięścią w kolano i z wyraźną irytacją.

– Waść gadaj wprost co i jak, a nie turbujesz mnie iście sfinksowymi zagadkami, bo ja na zagadki nie mam czasu... panie Jacku kochany – dokończył już łagodniej.

– Upraszam waszmość pana o wybaczenie – rzekł grzecznie Zaremba – i już spieszę objaśnić, co mam na myśli. Oto zauważ, panie stolniku dobrodzieju, że wszyscy ci trzej mężczyźni mieli niezwykle

charakterystyczne cechy wyglądu i zachowania. Czarna broda, czarne kudły i bluźnierstwa to raz. Włochata, obrzydliwa myszka i ciągle powtarzane powiedzonko to dwa. Siwe włosy, siwa broda i męcząca wszystkich bezładna gadanina to trzy. Tak charakterystyczni ludzie, panie stolniku, że zdałoby się trudno o podobnych im na świecie, prawda?

– Może i prawda – powiedział ponuro Ligęza – chociaż z tym trzecim to chyba nie do końca się z waszmością zgodzę, bo starych nudziarzy nigdy w Rzeczypospolitej nie brakowało i pewnie nie zabraknie.

Pan Jacek uznał, że trzeba przejść do wyjaśnienia zagadki, gdyż stolnik nadal nie domyślał się, dokąd zmierza wywód podstarościego, i zaraz mógł się obruszyć, zeźlić, a nawet na przyjaciela obrazić. Tego podstarości chciał, rzecz jasna, uniknąć, gdyż po pierwsze: starego szlachcica szanował, po drugie: przebywał w jego gościnie, a po trzecie: wiedział, że bez pomocy Ligęzy nie będzie możliwe ostateczne wyjaśnienie zagadki, a zaczynała go ona coraz bardziej zajmować.

– Waszmość pan dobrze wiesz od mego ojca, że mając ledwie szesnaście lat uciekłem, przebac mi, Boże!, z ojcowskiego domu i przystałem do trupy komediantów.

– Jakżebym miał nie wiedzieć! Setnieś wtenczas ojca zasmucił, lecz powiedział on wtedy, panie Jacku, mądre słowa: każdy musi iść własną drogą, bo jeśli wpadnie w przepaść, to niech do siebie samego jedynie żywi urazę.

– W przepaść może nie wpadłem, lecz czasem bywało nielekkko – Zaremba westchnął – a do ojca wracać się wstydzilem, by do błędnego wyboru się nie przyznawać.

– Młody to i głupi – skwitował stolnik. – Ale po cóż o tym teraz mówić?

– Otóż ludzie, z którymi uciekłem, owi komedianci, zaczęli mnie z czasem traktować jak swego. Imaginuj więc sobie waść, że poznałem wiele sekretów, które są znane jedynie komediantom właśnie czy cyrkowcom, czy też jarmarcznym sztukmistrzom.

– Jakież to sekrety?

– Na przykład takie, w jaki sposób szybko tę samą osobę przemienić, by mogła udawać a to króla, a to wiedźmę, a to dzielnego rycerza. Trochę szminki, peruka, sztuczne wąsy, tu przyczernić węgielkami, tu posmarować maścią cynkową, tam barwiczką, a ówdzie bielidłem. Szybko przyodziać

inne szaty i zmienić głos. I ważne: dodać do postaci coś tak wyrazistego, że kto ją zobaczy, ten tylko o tym szczególnie będzie pamiętał.

– Jak włochata myszka albo słówka *per consensum* – powiedział w zamyśleniu Ligęza.

– Albo jak czarna, gęsta i skołtuniona broda – dodał pan Jacek.

– Aż tak można człowieka zmienić jeno strojem i tymi tam...? – Stolnik zatańczył palcami przed twarzą, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa.

– Tak jest, waszmość panie. Sam widziałem komediantów, którzy potrafili udawać powabne niewiasty, a czynili to z taką maestrią, iż niejednego przekonaliby, że należą nie do tego gatunku, który kołek nosi przy sobie, a do tego, któremu jest on jedynie wielkodusznie używany.

Ligęza się zaśmiał.

– Ano patrz, panie Jacku, i ja przecież podobne teatrum oglądałem w Warszawie, w czasie elekcji, kiedyśmy z bożą pomocą króla Jana na władcę naszego obrali. I masz waszmość rację, że kobiety udawali tam mężowie, a wśród nich był jeden taki, że powiem ja ci... – stolnik aż pokręcił głową – obraza boska, jakby nie spojrzeć...

– Ano właśnie, panie stolniku dobrodzieju. Czy jest zatem możliwe, by człowiek opisany nam w tych trzech opowieściach był w rzeczywistości jedną i tą samą osobą? Kimś, kto nauczył się twarz za pomocą jarmarcznych sztuczek tak udatnie zmieniać, jakby jedna po drugiej zakładał maski?

– Tak to żeś waćpan wytłumaczył, wykręcił i wycisnął, że trudno się z tobą nie zgodzić... – rzekł zakłopotany Ligęza. – Dajże mi chwilę pomyśleć, bo ten koncept wydaje mi się niezwykle śmiały, by nie powiedzieć wręcz: nazbyt śmiały.

– A czy nie sądzisz wać, bo ja tak sądziłem, kiedy słuchałem opowieści waćpanowych gości, że ów człowiek swe zamierzenia mógł przeprowadzić w sposób prostszy, łatwiejszy i mniej niebezpieczny? A przecież przeprowadził, jak przeprowadził – Zaremba zmarszczył brwi – tak jakby chciał przed całym światem zagrać komedię, trochę z Plauta, trochę z Corneille’a...

Pan Hieronim sapnął i potarł podbródek wierzchem dłoni.

– Dajże mi pomyśleć, panie Jacku, dajże mi pomyśleć...

– A może nawet nie przed światem...? – Podstarości się zamyślił. – Może jego ofiary starczały mu za całą publiczność. A może nawet starczało mu jedynie to, że był zadowolony sam z siebie i swych konceptów...

– Znam i ja podobnych ryzykantów. – Tym razem Ligęza poparł przyjaciela. – Pomnę, że spotkałem takich, co mając prostą drogę i wertepy do wyboru, woleli iść wertepami, bo mówili, że po prostej drodze iść nudno i że wystarczy być wołem, by się wlec po ubitym gościńcu. A jak umierali, to podnosili oczy na tych, co byli obok, i zamiast pomodlić się w ostatniej godzinie życia, mówili jedynie: *plaudite, cives!*¹²⁸

– Dziwna to w niektórych ludziach przywara, by zawsze chcieć być nie sobą, a kimś, czyj obraz stworzyli jedynie we własnej imaginacji.

– Ba, panie Jacku, zgadzam się z tobą co do joty. Bo przecież komedie dell'arte i ja oglądałem, raz było to w Warszawie, a raz na dworze jaśnie oświeconego księcia Sapiehy. Oj, naśmialiśmy się wtedy z przechwałek wygadywanych przez Kapitana i wtedy też, kiedy Arlekin na koniec popędził mu kota, światu ujawniając wszystkie tchórzostwa oraz łotrostwa tegoż nicponia.

– I ja znam te historie – Zaremba odpowiedział uśmiechem – i kilka razy na własne oczy oglądałem komedie dell'arte, bo przecież trupy cyrkowe nawet po jarmarkach je grają. Chociaż wierzę, że z warszawskim przedstawieniem czy z tym, które waszmość dobrodziej miałeś sposobność u księcia Sapiehy obejrzeć, nie może być porównania...

Stolnik skinął głową.

– ... bo stroje bogatsze, a talent komediantów nie do porównania, kiedy jedni stają przed możnymi, by sztukę swą odprawować, natomiast drudzy jeno temu służą, by zabawiać ciemny motłoch. Do tego wielkiego talentu wszak nie potrzeba, a jedynie odrobiny doświadczenia, by trafić do prostych natur z odpowiednimi gestami lub minami.

– Święta prawda, panie Jacku, z waści ust wypływa – zgodził się Ligęza. – Ale tak to już ze wszystkim wszak jest na tym naszym bożym padole. Inni rzemieślnicy wykonują naczynia dla magnata, inni dla prostego szlachetki, znowu inni dla mieszczanina, a jeszcze inni dla chłopa. Albo tam i chłop, jak biedny, sam wszystkiemu musi uradzić...

– Nie każdy może posmakować fruktów pojawiających się wraz z nadejściem subtelnej sztuki – stwierdził Jacek Zaremba.

– Ale swoją drogą powiedz no, panie Zarembo kochany, czyż ważny dla ciebie talerz, z którego dary Pańskie spożywasz, czy raczej jakość i

wysłuchałeś, czyż nie? Niech więc owa postać, co w cieniu do tej pory stoi, z tego cienia wreszcie wyjdzie...

– Mówisz więc: czekać.

– A co innego możemy uczynić?

– Niby racja, niby racja... Ale jakoś nieswojo się czuję, całą inicjatywę oddając w ręce człowieka, który, kto wie, czy nie jest moim wrogiem.

– Panie stolniku dobrodzieju, powiem prosto z mostu: teraz posłusznie tańczymy, jak ten nieznajomy nam zagra, to prawda...

Na te słowa Ligęza skrzywił się i naburmuszył.

– Ale już niedługo za łeb go chwycimy i przyciśniemy. Możesz mi waćpan wierzyć, że prędzej czy później ów człowiek wpadnie w nasze ręce, bo prędzej czy później, ale zawsze tak jest, że choć na początku widzisz jedynie żagiel, maszt i burty statku, to potem, w miarę jak statek się zbliża, dostrzegasz również sternika stojącego za kołem...

– Może i tak, panie Zarembo, może i tak. Cóż więc...? – Ligęza westchnął. – Skoro na razie nic od nas nie zależy, chociaż dobrze zabawmy się w czasie oczekiwania na moment, aż coś zależeć będzie.

Podstarości uśmiechnął się radośnie.

– Temu konceptowi, panie stolniku dobrodzieju, mogę tylko jak najszczerzej i jak najgłośniejszy przyklasnąć.

[124](#) *Miles gloriosus* (łac.) – chępliwy wojaka.

[125](#) *Malleus maleficarum* (łac.) – „Młot na czarownice”.

[126](#) *Tertio* (łac.) – po trzeciej.

[127](#) *Quarto* (łac.) – po czwartej.

[128](#) *Plaudite, cives!* (łac.) – oklaskujcie, obywateli!

ROZDZIAŁ 5

Saladyn, wygnany książę Egiptu

Minęło kilka dni, słonecznych, upalnych i tak dusznych, że zdawało się, iż człowiek oddycha przez mokrą szmatę, którą położono mu na twarzy i przyciśnięto do nosa oraz ust z całych sił, dla spotęgowania cierpienia. W czasie tych ospałych dni niewiele ciekawego się wydarzyło poza tym, że Gideon Rokicki rzeczywiście, jak zapewniał stolnik, okazał się przednim gawędziarzem i rozprawiał a to o dalekich krajach, a to o dawnych i dramatycznych wydarzeniach. A opowiadał tak barwnie i tak zajmująco, iż każdy ze słuchaczy widział, w zależności od snutej akurat historii, a to husarską szarżę, a to żagle łopoczące na wietrze, a to dym bijący w niebo z płonących miast, słyszał lament mordowanych i szczęk oręża, i łomot końskich kopyt, i świst strzał, i przerażający jazgot kartaczy.

Jacek Zaremba wiele z tych historii znał, słyszał je już z innych ust, lecz słuchał po raz wtóry z prawdziwym zaciekawieniem, gdyż wiadomo przecież, że liczy się nie tylko gawęda, że równie ważny jest gawędziarz. Podstarości znał wiele wypadków, w których szlachcic zatrzymujący się przypadkiem we dworze nieznanego sobie pana brata zostawał tam miesiąc, rok, a nawet dłużej, a czasem to i na całe życie, gdy oprócz tego, że potrafił pięknie opowiadać, mógł wykazać się również roztropnością lub umiał zabawić gospodarza i patrona grą w szachy albo grą w karty, jeśli ów gospodarz akurat gustował w podobnych rozrywkach. Kto wie, czy tego rodzaju historia nie szykowała się z panem Gideonem, chociaż Jacek Zaremba cały czas nie mógł się pozbyć myśli, że Rokicki – mimo wyglądu, za który nie dałoby się nawet klepańca – może być jednak niebezpiecznym człowiekiem. Ale podstarości w ogóle ostatnimi dniami był w nie najlepszym humorze. Po pierwsze: z uwagi na pogodę, gdyż pan Jacek upałów serdecznie nie znosił i kiedy powietrze stało nieruchomo, parne i duszne, to najchętniej siedziałby w piwnicy, w miarę możliwości blisko brył lodu i – co by było najmiłsze – z zimniutkim winem w szklanicy. Po drugie: pan Jacek kiepsko sypiał (co pewnie również wynikało z niedobrej pogody, bo wiadomo, iż na smaczny sen nie ma jak świeże powietrze), a budził się spocony, niewyspany i zmęczony, zupełnie jakby go nocami dusiła zhora

wysysająca oddech z płuc. Śnił jakieś koszmary, których później już nie pamiętał, a raczej pamiętał jak przez mgłę, że były w tych koszmarach i krew, i ciemność. Dużo krwi i dużo ciemności.

– Może naprawdę jaka zmora mnie dusi? – żalił się Ligezie. – Wiemy przecież, że złe kobiety nie raz i nie dwa potrafią w czarne koty się przemienić, by z Bogu ducha winnego mężczyzny duszę i życie wysysać, kiedy śpi.

– Gdzież u mnie uchowałyby się zmory? – Stolnik wzruszył ramionami. – Ale skoro waść siły nieczystej się obawiasz, to każ całą noc czuwać pacholikowi przy swym łożu. I jak co złego zobaczy, niech cię zaraz budzi!

– Może i racja. – Zaremba skinął głową. – Tak uczynię, jak waszmość dobrodziej radzisz. A jak to nie pomoże, może jakiegoś księdza czy mnicha sobie wezmę, żeby warował przy mnie jak pies i modlitwą odpędzał złe moce. Hmm, co waść sądzisz?

– Modlitwa zawsze dobra i na wszystko – odparł pan Hieronim – zaszkodzić z całą pewnością nie może.

Ale podstarości wiedział, że te dni zapamięta nie tylko z uwagi na paskudną pogodę, senne koszmary i zmęczenie. Tak jakoś bowiem dziwnie się sprawy ułożyły, że kiedy następnego wieczoru po rozmowie ze Sperlingiem Jacek Zaremba odwiedził sad, by odpocząć w cieniu drzew, to córka stolnika również już tam była, tak samo zdziwiona spotkaniem jak pan Jacek. I tak się wszystko ułożyło, że przez kolejne dni oboje wciąż przypadkiem na siebie wpadali, zwłaszcza że w sadzie polubili jedno miejsce i chętnie tam siadywali, podziwiając zachód słońca, czasem milcząc, a czasem rozmawiając. I tak jakoś się zdarzyło, że drugiego wieczoru panna nie umknęła Zarembie swojej dłoni, trzeciego siedziała oparta o niego barkiem, czwartego wtuliła się w panajackowe ramię, a piątego uśmiechała się tak słodko, iż pan Jacek nie mógł się powstrzymać, by tych uśmiechających się do niego ust nie pocałować. A ponieważ szóstego dnia i on, i dziewczyna w pocałunkach wielce zasmakowali, ponieważ i on, i dziewczyna słodkimi słowami się wzajem rozmarzyli, ponieważ pan Jacek kilka obietnic i zapewnień złożył, a panna z czułością i ufnością je przyjęła, więc zdawało się, że siódmego dnia na pewno nie będą odpoczywać. Sprawy jednak inaczej się potoczyły...

Oto rankiem pod ogrodzenie przycwałował jadący na oklep chłopaczek na źrebaku. Zeskoczył z końskiego grzbietu, czerwony,

zdyszany, spocony, i wpadł na podwórze, łapiąc powietrze rozwartymi ustami, jakby nie człowiekiem był, ale rybą wyrzuconą właśnie na rozgrzany, piaszczysty brzeg.

– Szymonek, a co ci? Cóżes tak się zganiał, chłopaku? – zagadnął serdecznie jeden ze służących stolnika, który dobrze znał dzieciaka i wiedział, że mieszka on w sąsiedniej wiosce. – Chodźże, napijesz się wody. – Mężczyzna obrzucił krytycznym spojrzeniem ledwo żywego źrebaka. – I z tym stworzeniem trzeba coś zrobić, bo żeś go, zbójcu, zajechał niemal na śmierć. – Szybkim ruchem walnął Szymonka w ucho na tyle mocno, że chłopak aż siadł na ziemi.

– Panie, panie... – wydyszał nieszczęśliwie przejęty ciosem – wieści, panie...

– Co niby za wieści?

– Wozy jadą do jaśnie pana! Komedianci! Cyrkowcy! Jak na jarmarku, panie! Na wieczór będą u nas we dworze!

Sługa zmarszczył czoło.

– Zajmij się koniem – przykazał ostro – bo jeśli źrebak zdechnie, to jak miły Bóg, jaśnie pan każe pasy z ciebie drzeć.

Wieść o nadjeżdżających wozach cyrkowców rozeszła się lotem błyskawicy, bo Szymonek opowiadał o nich każdemu, kto chciał słuchać, i każdemu, kto słuchać nie chciał, a służący, który jako pierwszy usłyszał nowinę, zaraz podzielił się nią z Janem Barańskim, który z kolei w te pędy pobiegł z meldunkiem do stolnika.

– A niech ich licho weźmie! Komediantów mi tylko teraz brakuje! – burknął Ligęza. – Każ ich, Baranusiu kochany, przegonić na cztery wiatry, kiedy tu przyjadą...

– Jak jaśnie pan rozkaże.

– Ciekawe, czy jakie powabne dziewczęta z nimi jadą – zainteresował się Paweł Broniewski, który akurat z Ligęzą i Zarembą konferował przy szklanicy wina. – Waszmość pan dobrodziej nie wiem, czy wiesz, iż w tych cyrkowych wozach czasem podróżują takie ślicznotki, iż rzekłbyś, że to piękne lilie, które na gównie, za przeproszeniem waszmościów dobrodziejów, wyrosły.

– Już te cyrkówki nie lepsze od byle małp. – Stolnik machnął ręką.

– O, z tym się nie zgodzę, za pozwoleniem waszmości – zaprotestował pan Jacek – zwykle mają one bowiem różnorakie talenta, jak to wrózenie,

chodzenie po linie, tańcowanie czy śpiewanie, a pieniądze, jakie zyskają za dzielenie się swymi wdziękami, traktują jeno jako dodatek. A poza tym zwykle nie dają byle komu i nie dają tanio...

– Ale ja ich do domu nie wpuszczę, bo zaraz mi pokradną, co tylko zdołają chwycić... Tak więc, Baranusiu kochany, każ im dać jakieś jedzenie i skrzyneczkę wina, tego, co dla służby trzymamy, niech nie mówią, że stolnik Ligęza jadła i napitku żałował wędrowcom, chociaż nikt ich tutaj przecież nie zapraszał. A potem przegoń ich na cztery wiatry.

– Jak jaśnie pan sobie życzy – rzekł Barański.

– Tylko, Jasiu drogi, grzecznie ich przegoń. Żeby mi tam jakie lanie z tego przeganiania nie wynikło. Niech jadą w pokoju.

– Rzecz prosta, jaśnie panie. To biedni ludzie, więc po co im nowej biedy do starej dokładać.

– Bardzo słusznie, Baranusiu.

Kiedy drzwi zamknęły się za starym dworzaninem, Ligęza spojrział na Zarembę.

– Widzisz, panie Jacku? Oto podejście godne dobrego samarytanina.

– Ja ze sługą waszmości w pełni się zgadzam – stwierdził podstarość – bo jeśli kto zawinił, należy go karać z całą surowością prawa. Ale jeśli nic złego nie uczynił, grzech go prześladować bez żadnego powodu. Przecież nawet takich Żydów, choć naród to przez Boga przeklęty, nie raz i nie dwa broniłem przed figlami żaków lub innych swawolników.

– Żydzi są nacją przez Boga potępioną – surowo powiedział stolnik – to rzecz pewna i nikt z takowym twierdzeniem nie będzie się sprzeczał. Jeno skoro Bóg ich potępił i piekielne kotły dla nich są szykowane, to rzekłbym, że litować się nad nimi raczej wypada, niż ich dodatkowo gnębić. Tak więc broniąc ich, słusznie czyniłeś, panie Jacku.

– Lecz pozwól mości stolnikowi zauważyć, że żydowska niecnota nie polega na samym fakcie ich urodzenia, lecz w tym, że Jezusa Chrystusa nie chcą przyjąć do serc i zapamiętali tkwią w pogańskim odurzeniu – nie zgodził się z gospodarzem Zaremba.

– Tak też mówił pan hetman Czarniecki, kiedy jego ludzie Żydków bijali. Ja jednak panu Czarnieckiemu powiedziałem, że nie gnębić ich trzeba, ale chrzcic – rzekł dobitnie Ligęza i palec uniósł, by wagę swych słów wzmocnić.

– Waszmość pan hetmanowi Czarnieckiemu ośmieliłeś się tak powiedzieć? – Podstarości otworzył szeroko oczy, bo przecież Czarniecki znany był z niezwyklej wręcz surowości, z jaką traktował podkomendnych.

– Ja, panie Jacku, hetmańskim oficerem nie byłem, lecz sześcuset ludzi miałem wtedy pod komendą – oznajmił z dumą Ligeza – i jakby mnie pan Czarniecki chciał obwiesić, to kto wie, który z nas by pod koniec dnia zastukał do niebieskich bram. A zresztą – stolnik machnął dłonią i uśmiechnął się – pan hetman potrzebował moich ludzi, a nie bitki ze mną i moimi, toteż dogadaliśmy się, choć przyznam, że pan hetman w alteracji był wielkiej, bo pluł i seplenił, jak zwykle wtedy, kiedy coś mocno nie szło po jego myśli.

– I do jakiegoż konsensusu doszłście, waćpanowie, jeśli wolno wiedzieć? – spytał ciekawie Broniewski.

– Ano do takiego, że którzy Żydzi zechcieli się ochrzcić i Boga zamiast diabła do serca przyjąć, mogli potem pójść wolno. A ci, którzy w heretyckich błędach niewzruszenie tkwili, no to cóż... – stolnik wzruszył ramionami – rady nie było i ludzie pana Czarnieckiego po swojemu ich pokropili. A trzeba przyznać, że żołnierze i oficerowie pana hetmana szczególnie byli na żydostwo zawzięci, a to też z przyczyn *stricte* politycznych, gdyż Żydzi przecież ze szwedzkim najeźdźcą spiskowali i niejeden służył jako szpieg Karola Gustawa, Rzeczypospolitej, matce naszej wspólnej, niezmiernie tym sposobem szkodząc.

– Wielu ich się tam ochrzciło?

– Zawziętość w tym narodzie wielka i umiłowanie grzechu silniejsze niż lęk przed śmiercią – Ligeza pokręcił głową – jeno widzicie waszmościowie, dzieci i młodzieniaszków to i nawet nikt nie pytał, tylko chrzciliśmy jedno po drugim, ze słusznego wychodząc mniemania, iż ze względu na wiek nie mogą przecież sami podjąć roztropnej decyzji i że my za nich ową decyzję musimy podjąć. Natomiast ze starych Żydów powiem ci, że spora grupka Panu Jezusowi chętnie się pokłoniła. A ci, którzy paktu z diabłem nie chcieli się wyrzec, to ich już żołnierze pana hetmana zabrali i co z nimi uczynili, nie pytałem.

– Cóż robić? – Zaremba pokiwał głową. – Dano im wszak uczciwy wybór, nikt nie może powiedzieć, że stało się inaczej... Ale waćpan wielką musiałeś mieć fantazję, by z samym panem hetmanem Czarnieckim w targi wchodzić.

– Phi – pan Hieronim wydał usta – takie to czasy były, że pan hetman stronników na gwałt szukał, a jakby się dowiedziano, że stolnika Ligęzę kazał uwięzić czy powiesić, to by mu ani przyjaciół, ani szabel od tego nie przybyło. Zresztą, tak jak już ci mówiłem, panie Jacku, moi ludzie nie patrzyliby pewnie spokojnie, jak mnie hetmańscy żołnierze szlachtują.

– No, no, ale z samym panem Czarnieckim... – Podstarości raz jeszcze popatrzył z podziwem na starego szlachcica. – Waszmość pan dobrodziej nie dawałeś sobie w kaszę dmuchać nawet najpierwszym magnatom. Nie ma co!

– Stare dzieje, panie Jacku kochany, stare dzieje. Ale powiem jedno: człowiek musi być wierny temu, w co wierzy, i gotów bronić swej wiary przed każdym i w każdej sytuacji. Nawet za cenę życia. I nieważne, czy rzecz się ma z byle szarakiem, czy z najdostojniejszym z karmazynów. Bo inaczej, kiedy tego, w co wierzysz, nie będziesz chciał lub potrafił bronić, to nie szlachcicem będziesz, ale byle hetką-pętelką.

– Niewiele już w naszej Rzeczypospolitej ludzi, którzy myślą podobnie jak waszmość – powiedział ze smutkiem Jacek Zaremba.

– Ano coraz mniej – z równym smutkiem zgodził się Ligęza. – I uwierz mi, panie Jacku kochany, że jeśli ta nasza Rzeczpospolita kiedy upadnie, co nie daj Boże – stolnik przeżegnał się zamasyście – to nie w wielkiej bitwie, w wojnie, w której zginie cała szlachta, w jakiejś niespotykanej narodowej katastrofie... Nie, panie Jacku, jeśli Rzeczpospolita kiedy upadnie, to dlatego, że nie będzie komu walczyć ani komu ginąć...

Podstarości już chciał się odezwać, jednak stolnik uniósł dłoń, nakazując tym gestem, by mu nie przerywano.

– Że panowie bracia tak bardzo zapamiętają się w walce o wolność czynienia głupstw, iż na walkę o wolność ojczyzny ani siły, ani czasu, ani ochoty już mieć nie będą.

– Ależ...

– Tak właśnie, panie Jacku, upadła dawna Grecja, gdzie mieszkał lud waleczny i dumny, lecz wzajem skłócony. Gdzie wolność oznaczała ni mniej, ni więcej tylko nieskrępowane prawo do mordowania, okradania i niewolenia pobratymców. Aż przyszli Rzymianie i odebrali tę wolność Grekom, w zamian wprowadzając pokój, ład i jednakie dla wszystkich prawo. Kto wie, czy i my kiedyś, zamiast mieć nad sobą kapryśną wolę któregoś z tych naszych książątek: Paców, Sapiechów, Radziwiłłów,

Wiśniowieckich czy inszych wszetecznych gwałcicieli wolności, nie będziemy woleć obcych rządów, gdyż będą one oznaczać po prostu spokój oraz bezpieczeństwo?

– Panie stolniku dobrodzieju, to w tej naszej Rzeczpospolitej trzeba się nauczyć żyć! – zawołał wesoło Jacek Zaremba, starając się ową wesołością odpędzić posepny nastrój stolnika. – Waszmość pan żyjesz, ja żyję, goście nasi – spojrzał na Broniewskiego, który od dłuższego czasu milczał, zapewne rozmyślając o powabach cyrkówek – i sąsiedzi żyją, a więc żyć się da, jak przykład oraz praktyka wskazują!

Ligęza uśmiechnął się pod wąsem.

– Ano da się, panie Zarembo kochany, pytanie tylko brzmi, jak długo się jeszcze da, bo każda choroba do takiego wszak dochodzi stadium, że dłużej żyć z nią nie można.

– Albo i człowiek ozdrowieje!

– Tylko gdzież mamy lekarza cudotwórcy szukać? We wciąż zrywanych sejmie, gdzie nieszczęsne liberum veto zgłaszane przez niczemników wolę mądrej i zacnej większości potrafi w każdej chwili zgładzić? W senacie, w którym wielcy panowie żrą się między sobą niczym wściekłe psy, a każdy tylko szuka okazji, by własną władzę oraz majątność powiększyć kosztem wspólnego dobra? Na królewskim dworze, gdzie synowie i żona króla Jana we wzajemnej żyją nienawiści i tylko patrzą, które koronę będzie mogło zerwać z głowy trupa?

Pan Jacek przeżegnał się szybko, a potem odplunął na zły urok i plwocinę wtarł podeszwą buta w podłogę.

– Obyś panie stolniku dobrodzieju na nieszczęście tych słów nie wyrzekł!

Ligęza tylko machnął dłonią.

– Nasze nieszczęście nie w gorzkich słowach się czai, panie Zarembo kochany, ale w bezwolności jednych i złej woli drugich. Nam trzeba dziś drugiego Oktawiana, panie Jacku. Takiego władcy, który wielką gospodarność z militarnym przemiesza talentem, a żelazną swą wolą będzie potrafił możliwych poskromić. Uczyni to jednak tak zręcznie, by nigdy oni nie przestawali ufać, iż jest on jedynie *primus inter pares*¹²⁹, a nie *tyrannus*¹³⁰ gotowy wprowadzać *absolutum dominium*¹³¹, którego wszak dumny nasz szlachecki naród znosić nie jest gotowy.

– I słusznie – rzekł z mocą Jacek Zaremba – wszak nie chcemy, by u nas jako u Francuzów, Hiszpanów czy inszych Turków, nie mówiąc już o Moskwiczach, wola jednego człowieka mogła o życiu nobilów decydować i by samowładca mógł odbierać życie i majątek nie tylko bez sądu, lecz nawet bez wysłuchania czy dania racji.

– Ano tego naprawdę nie chcemy – pan Hieronim potwierdził równie mocno słowa podstarościego – bo nawet król, tak samo jak zwykły szlachcic, musi prawa słuchać. I pamiętamy przecież, jak kanclerz Dembiński ręce na koronie położył i wyrzekł pamiętne słowa do Walezjusza: „jeśli szlacheckich przywilejów nie poprzysięgniesz, nigdy nie będziesz panował”.

*

Minęło właśnie południe. Jacek Zaremba nie mógł nigdzie znaleźć sobie miejsca i nawet to, że co chwila podchodził do studni i pachółkowi kazał polewać sobie łeb i plecy lodowatą wodą, niewiele mu pomagało.

– Jezus Maria, kiedy jaki deszcz spadnie? Kiedy jaki wiatr te opary przegoni?

– Ejże, panie Jacku kochany, takiego cię jeszcze nie widziałem! – Stolnik był mokry od potu i czerwony na gębę, ale głos miał dziarski. – Możeś chory, biedaku?

– Świat jest chory, stolniku dobrodzieju, nie ja – jęknął podstarości. – Kiedy to się wszystko skończy, na miłość Boga!?

– Mam tu takiego starego pasterza, panie Zarembo, który pogodę niechybnie i wielce trafnie zawsze przepowiada, a to w ten sposób, iż na każdy deszcz czy chłód zaraz w kościach go tak zaczyna łupać i łamać, że chłopina nawet ze zwykłym chodzeniem ma kłopoty.

– I co? I co on teraz mówi? – Pan Jacek podniósł na przyjaciela wzrok pełen nadziei. – Za pozwoleniem bożym może leży, nie mogąc ruszyć ręką ni nogą?

– Muszę cię zasmucić, panie Jacku, gdyż jest wręcz odwrotnie. Mówili mi, że wczoraj takie hołubce wycinał w karczmie, jakby miał z pięćdziesiąt lat mniej.

Podstarości całkiem już zrezygnowany zwiesił głowę.

– Nie martwże się tak, panie Jacku. Co złe, kiedyś musi minąć. Ja też już o deszcz zacząłem się modlić, bo przydałby się na polach, żeby

wszystko ładnie nam rosło i nie wyschło.

– Ja tu zeschnę, proszę waszmości – pożalił się znowu Zaremba. – Nic już mi nie pomaga, panie stolniku dobrodzieju. Ani woda ze studni, ani przejażdżka, ani wino. Nawet wieczorem i w nocy żadnej nie znajduję ulgi w cierpieniu.

Ligęza poklepał podstarościego po ramieniu.

– Przyjdzie deszcz, przyjdzie wiatr, wszystko się odmieni jak amen w pacierzu – powiedział, najwyraźniej nie do końca rozumiejąc żale pana Jacka. – Słyszałem, że waszmość dużo czasu spędzasz ostatnio w moim sadzie.

– Jakoś tam, w cieniu tych drzewek, trochę odnajduję ulgi, dziękować Bogu – wyjaśnił pan Jacek.

Zastanawiał się, czy stolnik wie o jego czułych schadzkach z Hanką, czy też jeszcze mu o nich nie doniesiono. Zresztą, gdyby nawet wiedział, to na razie sprawy nie zaszły na tyle daleko, by wiedza mogła się w złość zamienić. Tyle że nagle podstarości zaniepokoił się, iż może stolnik zamierza mu dziewczynę wyswatać. „No jeszcze tego by brakowało”, pomyślał. Bo faktem niezbitym było, że Hanna to prawdziwa piękność. I faktem niezbitym było również, że panu Jackowi okazywała słodką czułość. I faktem niezbitym było także, iż dla pana Jacka z całą pewnością mocniej zabiło jej serce. Ale faktem najbardziej niezbitym z niezbitych było to, że Zaremba uważał siebie za człowieka wolnego, a małżeństwo bardzo by mu ową wolność ograniczyło. Na taki rozwój wypadków bynajmniej pozwolić nie zamierzał. Bo nie chodziło nawet o to, że dziewczyna urodziła się z nieprawego łoża, gdyż Ligęza, gdyby chciał, to w urzędach przeprowadziłby własną wolę i z Hanki z Młyna zrobił Hannę Ligęzównę. Nie chodziło o majątek, bo stolnik na pewno potrafiłby dłonie córki i przyjaciela spętać złotymi łańcuchami. O wolność chodziło, o nic więcej – o rzecz świętą dla każdego szlachcica i dla każdego mężczyzny. Poza tym Jacek Zaremba uważał, że jest personą na tyle wybitną (co z rzeczywistością się o tyle pokrywało, że naprawdę pochodził ze starego rodu, był w miarę bogaty i na tyle dzielny oraz śmiały, by go uważano za jedną z pierwszych szabel województwa), iż marzył mu się związek ze znakomitą córą znakomitej rodziny. Bo pan Jacek, chociaż nawet mężem jeszcze nie był, już poważnie rozważał kwestie ojcostwa i pragnął, by kiedyś jego syna liczono pomiędzy senatorów Rzeczypospolitej. A w tym

świetne małżeństwo z posażną panną wywodzącą się z wielce ustosunkowanej rodziny nie mogło na pewno zaszkodzić.

*

Domownicy Ligęzy mogli sobie mówić, że nic ich nie obchodzi przyjazd cyrkowców, mogli wiedzieć, że stolnik kazał ich przegnać precz, ale na pewno wszyscy z ciekawością czekali przyjazdu tych ludzi. Na polskiej prowincji, jak i na każdej prowincji jak boży świat szeroki, życie toczyło się bowiem zwykle sennym rytmem, a jeden dzień był podobny do drugiego. I coś, co w wielkim mieście takim jak Warszawa czy Kraków, czy też Lwów nie wywarłoby szczególnego wrażenia, to na wsi było wielkim wydarzeniem, o którym potrafią potem gadać całymi tygodniami, jeśli nie miesiącami. Tak więc wszyscy czekali, kiedy barwne wozy komediantów pojawią się u bram stolnikowego dworu, a kiedy wreszcie wozy się pojawiły, to jakoś tak się złożyło, że i czeladź, i nawet szlachcice znajdowali się na dziedzińcu.

Dwa kolorowo pomalowane wozy podjechały pod samą bramę, a z kozła jednego z nich zeskoczył złotowłosy młodzieniec w długiej szacie, która mogłaby przypominać mnisi habit, gdyby nie to, że nie była szara, bura lub czarna, ale cała upstrzona różnobarwnymi łatami.

– Dostojni panowie! Dostojni panowie i wy, dostojne damy! – Młodzieniec miał tak silny i donośny głos, że już stało się widome, dlaczego właśnie jego wybrano, by obwieszczać przyjazd trupy. – Wy, którzy jesteście ozdobą najznamienitszego szlacheckiego stanu, jego chlubą i błogosławieństwem, pozwólcie, że przedstawię wam Saladyna al-Mansura, nieszczęsnego księcia Egiptu! – Komediant wykrzyczał słowa „księcia Egiptu” i wskazał dłonią wóz, z którego jednak nikt nie wychodził. – On to wygnany z rodzinnego kraju przez złego wezyra – ciągnął niezrażony młodzieniec – cudem uniknął strasznej śmierci, by udać się w gościnę Rzeczypospolitej, gdzie był przyjmowany przez książąt, wojewodów, a nawet przez samego króla jegomości!

– Chyba króla żebraków – mruknął Gideon Rokicki.

Komarnicki uśmiechnął się smętnie i zamrugnął oczami, bo łzawiły mu od zachodzącego słońca, które wymalowało na niebie oślepiający pas czerwieni akurat tuż nad wozem cyrkowców.

Przed wóz wyskoczyły dwie dziewczyny, obie czarnowłose i ciemnolice, odziane w kolorowe, błyszczące suknie i podzwaniające łańcuszkami mającymi udawać złoto.

– Sala-dyn, Sala-dyn, ooo, Sala-dyn! – zaśpiewały obie zgodnym chórem, zamiatając ziemię spódnicami i kręcąc się tak szybko i tak długo, aż krańce materiału uniosły się w powietrze na tyle wysoko, że obie dziewczyny śmiało pokazały, po połowę ud, smukłe nogi.

Podsędek aż mlasnął.

– Oj, proszą się te dziewczki, żeby im nóżęta rozłożyć i pofiglować pomiędzy udeczkami.

– Przyznam, że wdzięczne bestyjki – zgodził się Jacek Zaremba, gdyż obie dziewczyny udające Arabki były rzeczywiście świeże, młode, zgrabne i przyjemnie uśmiechnięte.

– Księżę Egiptu, władca północnego i południowego Nilu, pogromca straszliwych krokodyli! – zapał znowu młodzieniec. – Oto pojawi się przed waaaaaszymi olśnionymi oczami... Sala-dyn! – Potrząsnął metalowymi talerzami, aż ogłuszająco zabrzęczały.

Komarnicki parsknął z niezadowoleniem.

– Jezus Maria, ogłuszy człowieka ten nicpoń przeklęty.

– Ciekawe, jak oni tegoż Saladyna wyszykowali, hmmm? Jak waszec myślisz, panie podstarości? – zagadnął Rokicki.

– Czy ja wiem... – Pan Jacek wzruszył ramionami.

– Sądziłem, że waścina eksperienca celnie ci podpowie.

Zaremba obrócił się w stronę podsędka.

– O jakiej eksperieneci waszmość pan mówisz? – spytał chłodno.

– A czyż za młodych lat nie uciekłeś przypadkiem z cyrkowcami? – zapytał niewinnie pan Gideon.

Krzysztof Komarnicki, słysząc to pytanie, prychnął zduszonym śmiechem, potem chrapliwie i głośno się rozkaszał, aż wreszcie odplunął na ziemię gęstą flegmą.

– To nie waćpana rzecz – odparł ostro podstarości. – Ciekaw jestem, skąd waszmość masz tak zajmujące wiadomości dotyczące mojej skromnej osoby.

– Pan stolnik coś tam wspomniał przy okazji, lecz co tam, gdzie tam, kiedy tam, już nie pamiętam. Ale, ale! – wykrzyknął Rokicki, obracając się

raptownie. – Lepiej patrzcie, waćpanowie! – Gwałtownym gestem wyciągnął dłoń. – Wychodzi do nas ten książę!

Jacek Zaremba spojrział we wskazanym kierunku, bo chociaż Rokicki go nie przekonał, to nie zamierzał się spierać. Ze swej ucieczki z domu nigdy nie robił szczególnej tajemnicy, bo w Rzeczypospolitej, jak i w całej Europie, nie było niczym niezwykłym, iż surowo hodowany syn wymykał się spod ojcowskiej władzy i uciekał, gdzie pieprz rośnie. W Italii zaciągał się na okręt albo szedł na najemnika, w Hiszpanii podróżował do Nowego Świata, we Francji ruszał na którąś z licznych wojen, które francuski król toczył ciągle ze swymi sąsiadami, w Polsce zaś zmykał wojować na Dzikie Pola, gdzie dla odważnych awanturników zawsze istniała sposobność zyskania ogromnej sławy i takiegoż majątku. Na Dzikich Polach nietrudno było również stracić sławę, majątek oraz życie, ale o tym awanturnicy nie myśleli, wspominając raczej skarby przywiezione z wypraw na Moskwę, Wołoszę czy Krym, a nie mogiły towarzyszy, które pozostały w tych krajach. Pan Jacek wybrał dość niezwykłą drogę wyrwania się spod ojcowskiej kurateli, jednak sam zwykł o tym opowiadać jako o przygodzie z dawnego, młodzieńczego życia, w zasadzie tak odległej, jakby dotyczyła kogoś innego, nie jego samego. Niemniej nie lubił, jeśli ludzie wiedzieli o jego życiu więcej, niż sam raczył im powiedzieć.

Na razie jednak zmrużył oczy, gdyż słońce – mimo że głęboko chylące się ku zachodowi – świeciło kłującym w źrenice blaskiem. Z wozu dostojnym krokiem wyszedł tęgi mężczyzna o brązowej twarzy i czarnych, opadających na ramiona włosach.

– Sok z orzecha i peruka – wyszeptał podstarość.

Mężczyzna uniósł wysoko ramiona, a słońce prześwieciło różem rękawy jego zielonego kaftana.

– Otom jest, panie stolniku! – wykrzyknął nowo przybyły potężnym basem. – Oto pojawił się Saladyn al-Mansur, jak tego pragnąłeś i tak jak sobie tego życzyłeś!

Barański parsknął z niezadowoleniem.

– Coś za dużo sobie ten cyrkowiec pozwala.

Dał znak, by służący wynieśli za ogrodzenie kosze z jedzeniem i winem.

– Zabieraj podarki i zmykaj, bo jak nie, to psami poszczuję! – krzyknął groźnie.

Saladynowi opadły ramiona i wgapiał się w pana Jana z komicznym zdumieniem wymalowanym na pucułowatej twarzy.

– Ależ, jaśnie panie stolniku, przecież listy, które otrzymałem od jaśnie pana...

– Nie jestem stolnikiem! – przerwał mu Barański. – Co ty myślisz, błaznie, że jaśnie pan fatygowałby się do takiego żebraka? A teraz zabieraj, co...

– Poczekajże, panie Janie, poczekajże z łaski swojej – poprosił Zaremba. Potem zwrócił się do komedianta: – O jakich gadasz listach?

Saladyn wyciągnął głowę, bystro przypatrując się panu Jackowi, lecz musiał mieć słaby wzrok, bo widać było, że mocno mruży oczy.

– Jaśnie pan stolnik pisał do mnie – wyjaśnił zduszonym głosem, tak niepodobnym do basu, którym jeszcze niedawno obwieszczał swoje przybycie. – O, tutaj – sięgnął w zanadrze – mam pismo od jaśnie pana, własnym jego jaśniepańskim nazwiskiem podpisane i pieczęcią jaśnie pana opatrzone, jak trzeba. I jaśnie pan przecież nawet pieniądze mi przesłał i obiecał nawet więcej. Tak było, jaśnie panie...

Podstarości z przykrością zauważył, że dziewczęta przestały wirować w tańcu i stały teraz, jedna obok drugiej, trzymając się za ręce i przysłuchując rozmowie z wyraźnym niepokojem.

– Maciek, zabierz no ten list – rozkazał słudze Barański.

Maciek posłusznie przeszedł za bramę, zabrał pismo z dłoni Saladyna i wrócił. Wahał się przez chwilę, nie wiedząc, komu przekazać dokument: czy Barańskiemu, który wszak zarządzał majątkiem, czy Zarembie, który był miłym gościem i powiernikiem stolnika, a przy tym możliwym panem. W końcu, by nikogo nie obrazić, wyciągnął dłoń tak, że list znalazł się pomiędzy Baranusiem a podstarościm. Sprytny Maciek czekał spokojnie, który ze szlachciców po niego sięgnie.

– Proszę, waszmość panie, ty tu teraz zastępujesz gospodarza – uprzejmie zwrócił się do rządcy Jacek Zaremba – a mnie jako zaledwie gościowi nie wypada czytać ani pism do niego kierowanych, ani jego dłonią pisanych.

– Pokornie dziękuję waćpanu. – Pan Jan sięgnął po list, ale nie kwapił się z rozkładaniem karty. – Może... – zawiesił niepewnie głos – może zaniosę ten list panu stolnikowi? He? Co waćpan sądzisz?

– Waćpan potrafisz poznać, czy podpis i pieczęć są naprawdę stolnika?
– zapytał cicho Zaremba.

– Jakżeby nie!

– To sprawdź, list przeczytaj i zobaczymy, czy ten człowiek mówi prawdę. A stolnika nie budźmy, bo będzie zły.

– Co prawda, to prawda – mruknął Barański, po czym zakręcił listem w palcach. – Myślisz, waćpan, że mogę...?

– Jeśli nie chcesz, ja przeczytam.

– A uprzejmie proszę. – Pan Jan z wyraźną ulgą oddał pismo podstarościemu. Potem obrócił się w stronę Maćka, który z wyraźnym zaciekawieniem czekał, jak się dalej sprawy potoczą (może miał nadzieję, że pan Jacek przeczyta list na głos). – A ty tu czego? Poszedł won! – warknął.

Podstarości przeczytał list i cicho zaklął pod nosem. Treść pisma brzmiała bardzo podobnie do treści listów otrzymanych przez Broniewskiego, Komarnickiego i Sperlinga. Jego autor, podający się za Ligęzę, zapraszał Saladyna do swojego dworu, obiecywał mu wyjaśnienie „strasznego sekretu” oraz to, że człowiek, który okrutnie mu uczynił krzywdy, trafi przed oblicze sprawiedliwości.

– Ta sama śpiewka co wcześniej, panie starosto? – zapytał domyślnie Barański.

– Zgadłeś waszmość. – Zaremba, zanim oderwał wzrok od karty, przeczytał jeszcze dwa słowa wypisane na samym dole: „piętno” oraz „nocna zbrodnia”. – Nie ma wyjścia, musimy ich wpuścić, panie Janie, nie bacząc na wcześniejszy zakaz stolnika. Zresztą w wozie siedzą jeszcze najwyżej ze dwie osoby, więc będzie ich w sumie sześcioro, a tylu przecież słudzy pana Ligęzy bez trudu upilnują.

– Niby tak – westchnął rządcą. – Każę im zajechać wozem pod szopę i niech tam siedzą, a do czeladnej niech mi nie chodzą, bo bat będzie w robocie!

– Ech, nie sroż się, panie Janie – poprosił z uśmiechem podstarości. – Powiedz no, takie ślicznotki kazałybyś batożyć? – Wskazał podbródkiem kolorowo odziane dziewczyny.

– Ja bym wybatożył, a to ni mniej, ni więcej tylko tym batogiem, co go trzymam w portkach. – Komarnicki zaśmiał się chrapliwie i poklepał się po podbrzuszu.

– Asana o zdanie nikt nie pytał, więc siedź waść cicho! – warknął Zaremba.

– Już tam słudzy pana stolnika ustawią się w kolejce do owych panienek – odezwał się Rokicki – bo dla nich to taki specjał i taka nowina, jakby rajske ptaszki sobie pooglądać. Tyle że tu na oglądaniu się pewnie nie skończy...

– Pewnie nie – odparł zafrasowany Barański i pokręcił głową – ja, waćpanowie, nie lubię, jak czeladź pije, gra w karty albo smali cholewki do dziewczek. Nie, nie lubię, bo z tego zawsze wyjdzie jeśli nawet nie jakie nieszczęście, to gorsza praca.

– Wielu panów zakazuje grać w karty swojej czeladzi – zgodził się pan Gideon – a i za picie niektórzy potrafią wypisać pochwałę abstynencji na grzbiecie sługi, zamiast pióra używając kija. – Zarechotał i zatarł dłonie, jakby sam się szykował, by właśnie chwycić w nie kij dla wygarbowania skóry nieposłusznego pachółka.

– Ale żeby do dziewczek nie ciągnęło, tego nikogo nie oduczysz – stwierdził Jacek Zaremba.

– Chyba że kto jaki poturczony – powiedział podsędek.

Barański odplunął.

– A uchowaj Boże! – wykrzyknął. – Takich sodomitów paskudników u nas nie ma. Nie tylko we dworze, ale i w całej okolicy taki się nie znajdzie, to mogę honorem ręczyć waszmościom. Tu, proszę waćpanów, żyją porządni ludzie, nie jakieś dupojebce, za waszym przeproszeniem.

– Jak Walezjusz przywłókł z Francji tę zarazę, tak u nas w Rzeczypospolitej już ona ostała – Rokicki pokręcił głową i wzdrygnął się – obrzydlistwo, proszę waszmościów.

– Obrzydlistwo czy nie, to obojętne – powiedział podstarość – najważniejsze, że niezgodne z prawem zarówno bożym, jak i ludzkim. Przez to właśnie sodomita podlega najpierw naszej ziemskiej jurysdykcji, a kiedy jej działanie się już zakończy, to go diabli zabierają prosto do piekła.

– Do piekła... – Komarnickiemu zatrzęsły się ramiona i zwiesił głowę – Jezus Maria, do piekła...

– A waszmość coś się tak wystraszył? – zagadnął wesoło podsędek. – Zdarzyło się, że żądza skierowała waści nie w tę stronę, co trzeba, że tak się piekła obawiasz?

Podczaszycowicz brzeski zerknął na niego spode łba.

– W piekle to już diabli od dawna trzymają dla mnie miejsce – odparł ponuro – ale bynajmniej nie za grzech sodomii.

Zarembie przypomniał się sen opowiedziany przez pana Krzysztofa i przez chwilę zrobiło mu się nawet trochę żal znękanego szlachcica, który i swoje życie, i życie najbliższych wydał na straszny hazard. Ale potem pomyślał, że przecież nie zły los sprokurował taką dołę Komarnickiemu, nie sploty nieszczęsnych wypadków, ale zła wola oraz umyślne niegodziwe działanie. I współczucie minęło mu, jak ręką odjął.

Tymczasem słudzy otworzyli już bramę i najpierw przeszedł przez nią zadowolony i uśmiechnięty komediant, który kazał nazywać się wygnanym księciem Egiptu.

– Pokornie dziękuję jaśnie panom za wielką uprzejmość, do nóżek pokornie się ścielę...

Zbliżył się do stojących szlachciców i powiódł po nich wzrokiem spod przymrużonych powiek, tak jak zwykli spoglądać ludzie widzący dobrze jedynie z bliska. Jego wzrok zatrzymał się na twarzy Jacka Zaremby. Zatrzymał się na długo. Niemilo zdziwiony tą bezczelnością podstarości odpowiedział komediantowi chłodnym spojrzeniem i ze zdumieniem zauważył, że Saladyn cofa się, jęczy, a po twarzy spływają mu krople potu zmieszane z orzechowym barwnikiem.

– Jezus Maria! Jezus Maria! – zaryczał strasznym głosem komediant, wciąż nie odrywając oczu do podstarościego.

– A temu co się znowu stało? – burknął niezadowolony z zamieszania Barański.

Saladyn wyciągnął upierścienioną dłoń, a wskazujący palec wycelował prosto w pierś pana Jacka.

– To on! To on!

– Co za on? – podchwycił Gideon Rokicki. – Jaki on? O czymże bredzisz, człowieku?

– Jezus Maria, to on!

– Niespełna jakiś rozumu czy co? – Podstarości był i zły, i zmieszany tą sceną, bo przecież nie tak miało wyglądać przybycie komediantów. A poza tym ani nie podobało mu się, że mężczyzna celuje w niego palcem, ani trwoga, która wykrzywiała twarz Saladyna, kiedy ten patrzył na niego.

– To ty, diable, uczyniłeś! Ty! Zabiłeś mnie!

Zaremba prychnął, jednocześnie zły, choć teraz, po tych nielogicznych słowach, trochę rozbawiony.

– Jak widać nie do końca – stwierdził.

– Sprawiedliwości!!! – zawył Saladyn. – Sprawiedliwości, jaśnie panowie! Oto człowiek, który córkę moją pohańbił, ludzi moich zarżnął, a mnie zostawił zdychającego, bo myślał, że umarłem. To on! W piekle rozpoznam tę twarz!

Podstarości zacisnął zęby tak silnie, aż go zaboląły szczęki.

– Jeśli to jakaś komedia, drogo za nią zapłacisz – warknął.

– Przysięgnę przed Bogiem i przysięgnę przed diabłem. I przed każdym sądem – powiedział komediant tym razem cicho, ale głosem pełnym bezbrzeżnej nienawiści. – I jeszcze lepiej – pochylił się – mam świadka, który potwierdzi moje słowa, morderco niewinnych!

– A któż jest tym twoim świadkiem? – zapytał z pogardą pan Jacek. – Inny cyrkowiec czy może jakaś murwa?

– Nie – rzekł Gideon Rokicki, występując o krok i spoglądając prosto w twarz podstarościego. – Ja!

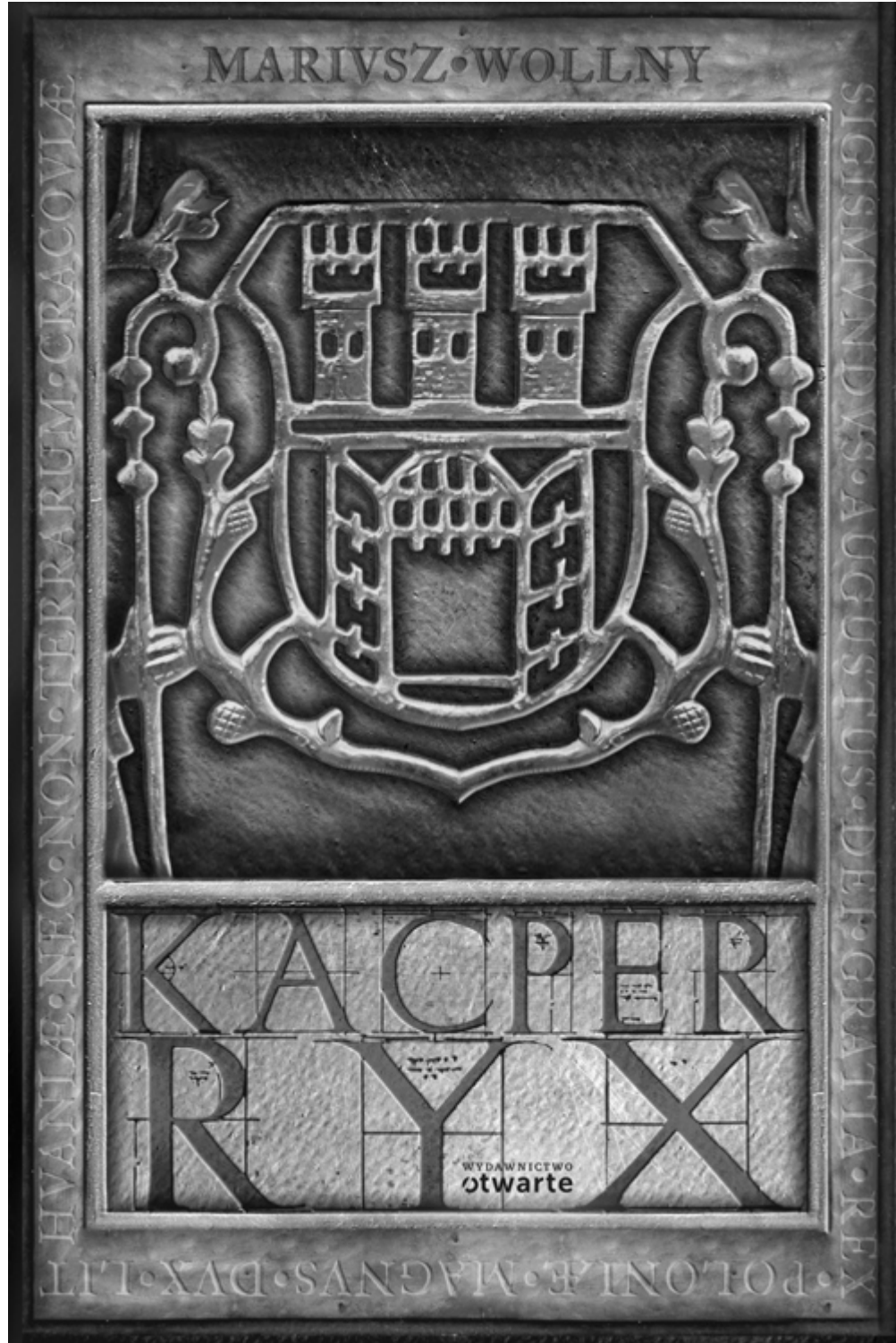
KONIEC TOMU I

¹²⁹ *Primus inter pares* (łac.) – pierwszy wśród równych [sobie].

¹³⁰ *Tyrannus* (łac.) – tyran.

¹³¹ *Absolutum dominium* (łac.) – absolutyzm.

Polecamy także



Pierwsza część przygód królewskiego inwestygatora. Pewnej styczniowej nocy 1569 roku ostatni z Jagiellonów spojrział w niezwykle zwierciadło. Za sprawą „czarnoksiężskiej” sztuczki zobaczył w nim coś, co na lata pozwoliło grupie przebiegłych intrygantów zawładnąć schorowaną wyobraźnią władcy... Czy Ryksowi uda się uratować majestat Rzeczypospolitej?



Drugi tom opowieści o Kacprze Ryksie. Ginie doktor Akademii Krakowskiej. Z bibliotek znikają cenne woluminy. Nocami ukazują się upiorny jeździec bez głowy. Kacper Ryx podejmuje śledztwo. Tropi

prowadzą go w najmroczniejsze zakamarki miasta. A Kraków bywa
naprawdę niebezpieczny...



Trzeci tom przygód królewskiego inwestygatora. Ryx nie umarł! A jednak coś umarło w nim. Rany na jego ciele się zabiłiły, rany na duszy wciąż krwawią. Pragnie hańby i śmierci swoich wrogów. Ale zemsta musi poczekać, bo ojczyzna wzywa. Z rozkazu panującego Stefana Batorego Ryx

ma wytropić zdrajcę na królewskim dworze. Zło, które pozna, przeraża
bardziej niż mroki spowijające jego duszę...



Czwarty tom przygód renesansowego detektywa. Nobilitacja, ślub z Janką, stracenie Samuela Zborowskiego – Kacper Ryx może wreszcie odetchnąć i cieszyć się życiem. Nic bardziej mylnego. Przeszłość powraca w najmniej oczekiwanym momencie. Ryx musi po raz kolejny użyć swych

inwestygatorskich talentów, by udaremnić spisek różokrzyżowców,
odnaleźć księgę mistrza Twardowskiego, ocalić rodzinę i uniknąć śmierci.

Szubienicznik

Copyright © by Jacek Piekara

Projekt okładki: Dark Crayon / Piotr Cieśliński

Redakcja: Arletta Kacprzak

Korekta: Anna Brynkus-Weber / d2d.pl,
Anna Woś / d2d.pl

ISBN 978-83-7515-871-7

WYDAWNICTWO
otwarte
www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków, tel. (12),
61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można
kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracowany na podstawie *Szubienicznik*, Kraków 2013

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com

Table of Contents

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1. Podstarości Jacek Zaremba](#)

[Rozdział 2. Podczaszycowicz Krzysztof Komarnicki](#)

[Rozdział 3. Pułkownik Albrecht Sperling](#)

[Rozdział 4. Miecznikowicz Paweł Broniewski](#)

[Rozdział 5. Saladyn, wygnany książę Egiptu](#)

[Polecamy także](#)

[Karta redakcyjna](#)

Table of Contents

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1. Podstarości Jacek Zaremba](#)

[Rozdział 2. Podczaszycowicz Krzysztof Komarnicki](#)

[Rozdział 3. Pułkownik Albrecht Sperling](#)

[Rozdział 4. Miecznikowic Paweł Broniewski](#)

[Rozdział 5. Saladyn, wygnany książę Egiptu](#)

[Polecamy także](#)

[Karta redakcyjna](#)